



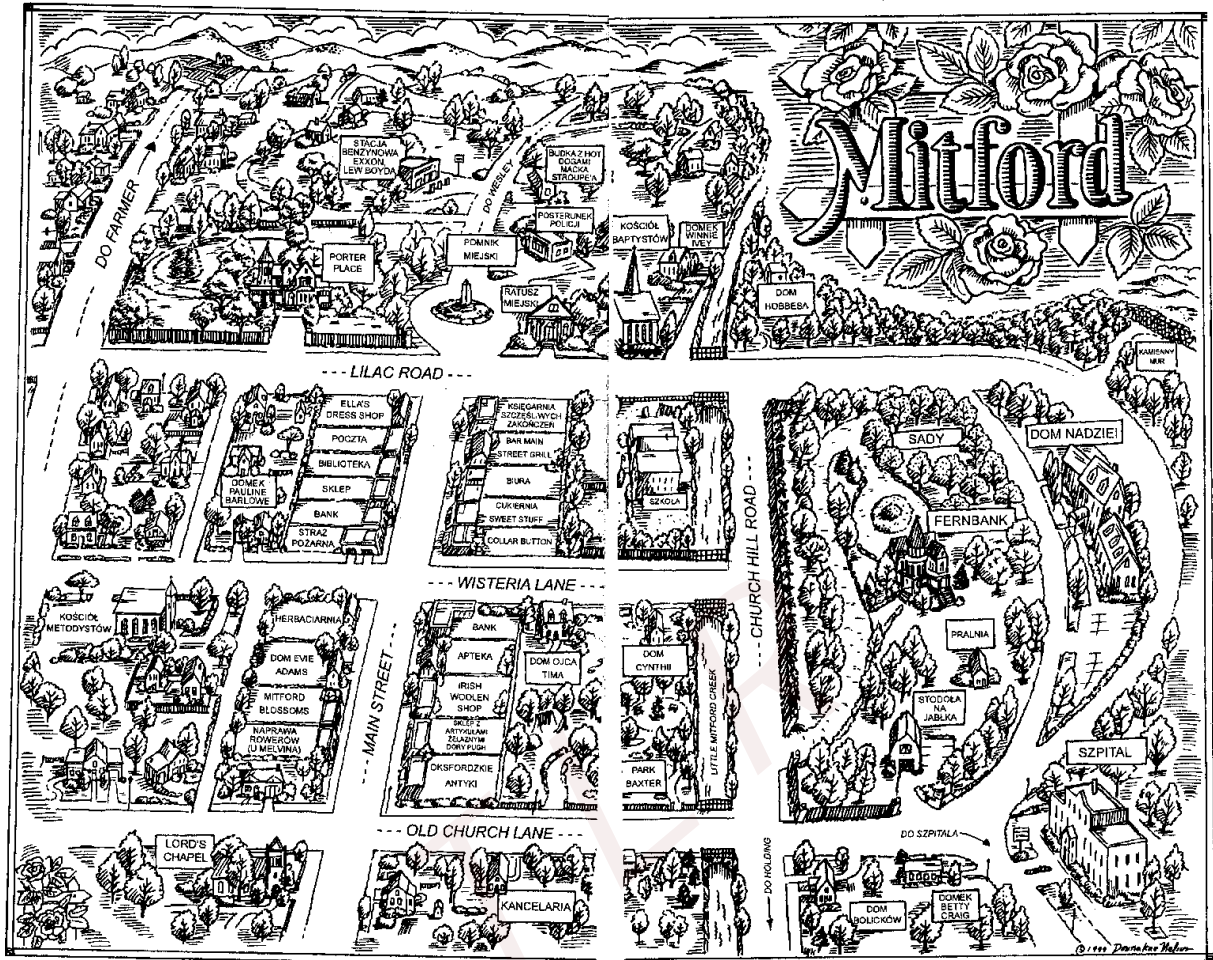
Jan Karon

NOWA PIEŚŃ

Śpiewajcie Panu pieśń nową, chwałę Jego od krańców ziemi!

Niech Go sławi morze i co je napelnia, wyspy wraz z mieszkańcami!

Księga Izajasza 42, 10



Rozdział pierwszy

ANIOŁ ŚWIATŁA

Rozproszone przez gałęzie japońskiej wiśni popołudniowe słońce wpadało do pracowni, nie napotykając po drodze żadnej przeszkody w postaci zasłon czy żaluzji.

Sączyło się przez długi szereg okien za przykrytą nowym pokrowcem sofą, ogrzewając dębową podłogę i rozsiewając w powietrzu zapach świeżo ciętego drewna.

Pod urokiem czerwcowego światła pewien blask i światłość zdawały się promieniować z każdej powierzchni.

Wysoka komoda, kiedyś należąca do będącego duchownym pradziadka ojca Tima, przeszła coś na kształt odrodzenia. Pod lśniącą warstwą olejku cytrynowego gęste słoje starego orzecha, długo niewidoczne w ciemnym korytarzu w sąsiednim domu, nabrały wyraźnego rysunku. Nawet nieporadnie oddana litera M, wyryta szczyrykiem, była teraz widoczna w pobliżu jednego z oryginalnych uchwytów szuflad.

Ale to ruch i gra światła pod penetrującą jasnością słońca sprawiały, że ojciec Tim wyczekiwał jego codziennego nadejścia, jak inni mogli wyczekiwać wschodu lub zachodu słońca.

Przychodził niecierpliwie do tego dużego, nowego pokoju, jakby od dawna był pozbawiony światła lub powietrza, nadal nie dowierzając, że taka jasna przestrzeń może w ogóle istnieć, a zwłaszcza że może istnieć specjalnie, by zaspokoić jego potrzeby, odkąd odszedł — sześć miesięcy temu — z Lord's Chapel na emeryturę.

Jako pastor parafii episkopalnej w Mitford przez szesnaście lat mieszkał w sąsiednim domu, który kiedyś należał do kościoła. Teraz nie był już pastorem, za to był właścicielem domu; kupił go i zapłacił gotówką, która pochodziła ze sprzedaży posiadłości jego matki, a on razem z Cynthią mieszkał w małym żółtym domku.

Oczywiście — cały czas zapominał — ten dom nie był już wcale taki mały; on i jego obdarzona bogatą wyobraźnią żona powiększyli jego mikroskopijne wymiary o 118 metrów kwadratowych powierzchni.

Tylko jedna rzecz się nie zmieniła. Dom nadal był żółty, mimo że świeżo pomalowany od dawna ulubioną farbą Cynthii „Dziką forsycją” i wykończony błyszczącą warstwą ciemnozielonej „Wyżynnej cykuty”.

— Witaj! — przywitała go żona, pojawiając się w dzinsach i dzinsowej koszuli, ze szklankami lemoniady na tacy. Spotykanie się tutaj w każde popołudnie na — jak to nazwali — „Zmianę światła” uczynili ostatnio swoim zwyczajem.

Zaśmiał się.

— Nie możemy nikomu zdradzić, co się stało naszą rozrywką.

— Możesz na mnie liczyć! Poza tym, kto by uwierzył, że siedzimy i oglądamy, jak zmienia się światło?

Postawiła tacę na stole, obok sterty poczty. — Mogło być gorzej.

Opadli na sofę, która została przetransportowana przez żywoplot z domu obok.

— Jeszcze jeden tydzień — szepnął z niedowierzaniem.

— Uch. Boże, miej nas w swojej opiece! — Oparła głowę i zamknęła oczy. — Jakie to przerażające przeprowadzić się w miejsce, którego nigdy nie widzieliśmy... na nie wiadomo jak długo... i zastąpić księdza, który przyzwyczał ich do gitary!

Ujął jej dłoń, śmiejąc się.

— Jeśli jest na tym świecie człowiek, który potrafi to zrobić, to jesteś nim ty. Na marginesie, ile pudeł z książkami tam wysyłamy?

— Czternaście jak na razie.

— A tam nie ma nawet jednej półki.

— Zupełnie zwariowaliśmy! — stwierdziła z przekonaniem.

Przez ostatni tydzień jego żona pracowała jak wół, aby uporządkować przed wyjazdem żółty domek, zakończyć większość pakowania i pozostawić sprawy finansowe w porządku. Jemu z kolei wolno było spacerować po mieście, żegnać się ze wszystkimi, popijać herbatę niczym posiadacz ziemski i trzymać ręce z daleka od ciasteczek i ciast, które mu oferowano na każdym kroku.

Zajrzał nawet do Księgarni Szczęśliwych Zakończeń i kupił dwie nowe książki, aby zabrać je do Whitecap. To fakt, którego nigdy — nawet pod karą śmierci — nie ujawni Cynthii Kavanagh.

Spojrzała na niego i uśmiechnęła się.

— Modliłam się, żeby ujrzeć, jak siedzisz zrelaksowany, tak jak teraz, nie śpiesząc się, aby zgasić tysiące pożarów. Pomyśl tylko, najdroższy, jak przyda ci się ten odpoczynek kilku ostatnich tygodni, gdy będziesz pracował na zastępstwie na wyspie. Kto wie, prawdę powiedziawszy, co nas tam czeka i ile sił możesz potrzebować?

Popijał lemoniadę. Kto wie, w rzeczy samej?

— Klamka już jednak zapadła — stwierdziła z przekonaniem. — W następnym tygodniu...

— Wiem. Wymienić filtr w piecu w domu obok, wylewić grządki z bylinami, naprawić stopień prowadzący do sutereny, spakować ubrania... Mam spisana całą listę.

— Dać do wyprasowania garnitur — kontynuowała — kupić dwie trykotowe koszulki, nic z aligatorem, mam gorącą nadzieję — i poszukać pompki do roweru dla Dooleya.

— Zgadza się!

Prawdę powiedziawszy, z niecierpliwością oczekiwał ekscytacji związanej z ich ostatnim tygodniem w Mitford.

— Przy okazji, zastanawiałam się nad czymś. Zamiast pakować rzeczy do samochodu po trochu, ułóż wszystko przy drzwiach do garażu. W ten sposób będę mogła je sprawdzić dwa razy, a samochód spakujemy w ostatniej chwili.

— Ale byłoby łatwiej...

— Zaufaj mi — przerwała mu, uśmiechając się.

Barnaba zajmie tylne siedzenie, klatka Violet spocznie po lewej stronie, na podłodze. Po prawej stronie ułożą bieliznę pościelową i ręczniki, bagażnik będzie wypełniony po brzegi, a na górze przymocują wszystko, co się nie zmieści.

— Ach, tak, jeszcze jedna rzecz, Timothy... trzymaj się z daleka od księgarni!

Obrzuciła go tym rzeczowym spojrzeniem swoich szafirowych oczu, spojrzeniem, które — pomimo całego jego domniemanego autorytetu — nadal rozpalało w nim ogień. Jako mężczyzna o zdecydowanie tradycyjnej naturze spodziewał się, że niebawem przyjdzie czas na pewną rutynę w ich małżeństwie. Do tej pory jednak ten moment nie nadszedł. Jego jasnowłosa i rozsądna żona była do pewnego stopnia nieprzewidywalna w działaniu, co sprawiało, że codzienne sprawy nie dawały się ująć w monotonne wzorce.

— Coś cudownego w poczcie? — zapytała.

— Nie wiem. Dopiero ją przyniosłem. Może ty przejrzyś?

Fascynacja jego żony pocztą przewyższała jego własną, która też była spora. William James*, według niego, ujął to bardzo trafnie. „Tak długo jak będą listonosze — stwierdził James — życie będzie miało swój smak”.

* William James (1842-1910) — amerykański psycholog i filozof.

— Ach, spójrz! Jak cudownie! List z Whitecap, i jest zaadresowany do mnie!

Przyglądał się, jak rozrywa kopertę.

— Mój Boże, posłuchaj...

„Droga Pani, wyglądamy z radością Państwa pobytu w naszej małej parafii na wyspie i mamy nadzieję, że wszystkie przygotowania do przyjazdu do nas, pod koniec czerwca, postępują dobrze.

Nasze Kobiety Kościoła Episkopalnego były bardzo zajęte przygotowywaniem »Dove Cottage« na Wasz pobyt w Whitecap i w związku z tym musicie przywieźć jedynie bieliznę pościelową do dwóch sypialni, tak jak uzgadniałyśmy, i ręczniki oraz poduszki wedle własnego uznania.

Wyposażyliśmy szafki w kuchni w nowe naczynia, a kilka osób wypożyczyło własne rzeczy, aby mogli Państwo przyjechać do nas bez większych zmian we własnym domu, w Mitford. Sam naprawił elektryczny otwieracz do konserw, ale słyszałam, że doskonale Pani gotuje, więc prawdopodobnie nie będzie Pani potrzebny, ha, ha.

O tak. Marjorie Lamb i ja pracowałyśmy trochę w ogrodzie, który wyglądał na strasznie opuszczony po latach zaniedbania. Znalazłyśmy piękną, staromodną różę, który to kwiat — jak słyszę — mąż Pani bardzo lubi, i wyswobodziłyśmy ją z jeżyn. Pnie się teraz po treliazu, zamiast wychodzić na ulicę! Mamy nadzieję, że na Państwa przyjazd w pełnym rozkwicie będą hortensje i rokitnik, chociaż magnolie w kościelnym ogrodzie, niestety, już przekwitną.

Załączamy pełne wskazówki dotyczące podróży, które — jak zapewnia mnie mąż Marjorie, Leonard — powinny doprowadzić Was z Mitford prosto pod drzwi »Dove Cottage«, bez żadnych pułapek po drodze. (Leonard kiedyś dużo jeździł, sprzedając artykuły hydrauliczne).

Proszę zwrócić uwagę na czerwoną strzałkę, którą naniósł na mapie. Musicie bardzo uważać w tym miejscu, żeby znaleźć drogowskaz, ponieważ jest schowany za okropnym żywopłotem, którego właściciel posiadłości nie chce przyciąć. Myślałam o tym, aby przystrzyc go samodzielnie, ale Sam twierdzi, że to byłoby wtrącanie się w nie swoje sprawy.

Mamy nadzieję, że nie będziecie przeciwni raczej licznemu komitetowi powitalnemu, który uparł się, by wydać na Waszą cześć hawajską ucztę z udziałem całej parafii. Wydaje mi się, że odwiodłam ich od pomysłu włożenia spódniczek z trzciny, ale ten krępujący pomysł może się ponownie pojawić.

Gdy ojciec Morgan dołączył do nas kilka lat temu, również przyjechał latem i oczekiwał miłych wakacji na plaży. Jestem pewna, że ostrzeżono Was, iż lato to u nas najbardziej ruchliwy okres w roku, zważywszy na turystów, którzy wypełniają nasz mały kościół po brzegi i zmuszają do odprawiania dwóch mszy! Wszyscy odpoczywamy zimą, gdy musimy wyciszyć się i żyć ze zgromadzonych zapasów!

Biskup Harvey był bardzo podekscytowany, gdy dowiedział się od biskupa Cullena, jak bardzo doceniała Pani i ojca Kavanagha parafia w Mitford! Zrobimy wszystko, abyście czuli się tutaj tak mile widziani jak kwiaty w maju, jak mawiała moja droga mama.

Dobry Boże! Mam nadzieję, że wybaczycie mi długość tego listu! Od dziecka kochałam bieg pióra po kartce papieru i pisząc, często daję się ponieść temu przyjemnemu zajęciu.

Życzymy Pani i ojcu Kavanaghowi szczęśliwej podróży.

Z poważaniem, Marion Fieldwalker, członek rady parafialnej kościoła St. John's in the Grove i przewodnicząca Kobiet Kościoła Episkopalnego.

PS. Pracuję w miejskiej bibliotece w Whitecap (od 35 lat) i modlę się, aby zechciała Pani przeczytać nam tej jesieni fragment jednej ze swoich słynnych książek o Violet. Pani małe książeczki cały czas są wypożyczone i wydaje mi się, że każde dziecko na wyspie przeczytało je co najmniej dwa razy!"

Jego żona zarumieniła się z radości.

— Proszę! Jakie to miłe! List Marion jest taki cudowny. I tylko pomyśl, najdroższy, treliaże i stare róże!

— Nie wspominając o nowych naczyniach — dodał pełen podziwu dla starań swoich przyszłych parafian.

Wypiła łyk ze swojej szklanki, na której pojawiły się kropelki wody, i dalej przeglądała pocztę.

— Timothy, spójrz tylko na ten charakter pisma. Przestał w końcu pisać drukowanymi literami i używa teraz normalnego alfabetu!

— Pokaż...

Zdecydowanie nowa era Dooleya Barlowe'a w dziedzinie piśmiennictwa i wyraźna zasługa szkoły przygotowawczej w Wirginii. Okrągłe sumy panny Sadie, przekazywane corocznie, mimo że pośmiertnie,

cały czas nadawały nowej ogłady rudowłosemu chłopcu z gór, który zamieszkał w jego domu pięć lat temu.

„Hej — zaczął czytać list Dooleya. — Dużo o tym myślałem i chciałbym zostać tego lata w Mitford i pracować u Avisa i zarobić pieniądze, żeby kupić samochód i grać w softball z Redsami.

Nie chcę jechać nad morze.

Proszę, nie złościście się, nie martwcie ani nic takiego. Mogę mieszkać w suterrenach z Harleyem, tak jak mówiliście, i będzie nam ze sobą dobrze. Może Puny mogłaby do nas przychodzić i robić nam pranie albo możemy to robić sami i jeść w Wesley albo w barze Grill, albo Harley może gotować.

Przyjadę na tę wyspę albo na Święto Dziękczynienia, albo na Boże Narodzenie, tak jak mówiliśmy.

Dziękuję, że pozwoliliście mi pojechać do domu Jimmy'ego Duncana. Jest tu cudownie. Jimmy jeździ wranglerem. Jego mama ma rovera, a tato BMW 850. Właśnie taki chciałbym mieć. To znaczy, chodzi mi o wranglera. Przyjadę do domu, zanim wyjedziecie, pan Duncan odwiezie mnie po drodze na jakieś ważne spotkanie. Pozdrów ode mnie Barnabę i Violet. Dziękuję za pieniądze. Pozdrawiam, Dooley".

— No, cóż — powiedziała jego żona, wyglądając na rozczarowaną. — Jestem pewna, że chciał być blisko swoich przyjaciół...

— Tak. I brata, i siostry... Westchnęła.

— Mniej więcej tego się spodziewaliśmy.

On sam był rozczarowany, że chłopiec nie spędzi tego lata z nimi w Whitecap, ale zostawili mu wybór i on go dokonał. Poza tym już kilka lat temu nauczył się nie dopuszczać do tego, aby plany wakacyjne Dooleya Barlowe'a psuły jego własną radość z tej ulotnej pory roku.

Martwiło go całe to zamieszanie z samochodami... Dooley skończył w lutym szesnaście lat i przybędzie do Mitford za niecałe trzy dni z jak najbardziej autentycznym prawem jazdy w kieszeni.

— Puk, puk!

Emma Newland pojawiła się w holu, a następnie weszła do pracowni.

— Nie wstawajcie! — powstrzymała ich, przejmując kontrolę. — Nigdy nie uwierzycie!

Jego była kościelna sekretarka na pół etatu, która przeszła na emeryturę razem z nim, najwyraźniej nie była w stanie zrezygnować ze swojej pracy. Odwiedzanie go dwa razy w tygodniu i pomaganie mu przez kilka godzin — czy tego potrzebował, czy nie — uczyniła swoim obowiązkiem.

— Robię to dla Pana — stwierdziła autorytatywnie, nie przyjmując żadnego podziękowania. Choć Cynthia zazwyczaj uciekała z pokoju, gdy Emma przychodziła, on raczej wyglądał jej wizyt i ciągłości, jaką zapewniała z Lord's Chapel, która znajdowała się teraz pod zarządem tymczasowego księdza.

Emma stanęła z rękami na biodrach i spoglądała na niego sponad okularów.

— Nie uwierzycie, co znalazłam w Internecie. Zgadujcie! Do trzech razy sztuka.

— Przepraszam! — wtrąciła Cynthia, podnosząc się nagle z sofy. — Przyniosę lemoniadę dla ciebie, Emmo, i wracam do pracy. Mam mnóstwo książek do spakowania.

— Zgadnij! — nalegała Emma, usiłując wciągnąć go do zabawy, która jemu wydawała się zarówno bezmyślna, jak i wyjątkowo irytująca.

— Przepis na mieszanie farby domowym sposobem?

— Och, proszę — odparła zde gustowana. — Nie starasz się.

— Dzieła zebrane Fulgentiusa z Ruspe*!

— Czyje?

— Poddaję się — stwierdził z przekonaniem.

— Znalazłam jeszcze jedno Mitford! Jest w Anglii i ma kościół stary jak świat, nie mówiąc o zamku!

* Fulgentius z Ruspe (468-533) — zakonnik, opat i biskup Ruspe w prowincji Byzacena w Afryce.

Miała taką zwycięską minę, jakby właśnie odparła inwazję Maurów.

— Naprawdę? To niesamowite! Przypuszczam, że to właśnie stamtąd pochodzą ci piszący Mitfordowie...

— Żadnego związku. Oni pochodzą z Cotswolds, to gdzieś na północy. Miałam mnóstwo wydrukowanych materiałów, ale Snickers usiadł na całym tym cholerstwie, po zabawie nad strumieniem, i teraz muszę wszystko wydrukować jeszcze raz.

— Aha.

— No dobrze, zgadnij, co jeszcze?

— Do licha, Emma, wiesz, że tego nie cierpię. Powiedziała to, co zwykle.

— Wyjdzie ci to na dobre, takie ćwiczenie pobudza umysł. Uważała, że pastor zupełnie zdziecinniał od czasu, gdy przeszedł na emeryturę sześć miesięcy temu.

— Powiedz mi po prostu i miejmy to z głowy.

— Och, nie bądź taki! Spróbuj przynajmniej raz. Masz podpowiedź. Chodzi o wybory w listopadzie.

— Esther się wycofuje, a Andrew Gregory zamierza kandydować.

Zmarszczyła czoło.

— Skąd wiedziałeś?

— Nie ogłuchłem przecież i nie oślepiłem, na litość boską. Wychodzę czasami z domu.

— Przypuszczam, że wiesz również — powiedziała Emma z nadzieją, że nie wie — że restauracja w Fernbank zostanie uroczystie otwarta w dzień przed twoim wyjazdem.

— Tak. Dostałem zaproszenie.

Opadła na wysoki fotel przykryty pokrowcem i spojrzała na niego tak, jakby był tarczą w celowniku. Chociaż oczywiście nigdy się do tego nie przyzna, wierzyła, że pastor znajduje się obecnie w czymś w

rodzaju czyścica, pomiędzy bezsprzecznym niebem Lord's Chapel a piekłem obcej parafii w obcym miejscu, gdzie temperatura sięga czterdziestu stopni w cieniu.

— Czy będziesz tam miał sekretarkę? — zapytała podejrzliwie.

— Raczej nie. Mała parafia, rozumiesz.

— Jak mała?

— Och, pięćdziesiąt, sześćdziesiąt osób.

— Wydawało mi się, że biskup Cullen jest twoim przyjacielem — prychnęła.

Nigdy się do tego nie przyzna, ale w głębi serca miała nadzieję, że jej szef od szesnastu lat dostanie duży kościół w dużym mieście i w końcu będzie kimś. Jak dotąd każdego ranka swojego życia dreptał do Domu Nadziei i szpitala, wyglądając na tak zadowolonego, że natychmiast domyśliła się, iż to tylko poza.

Cynthia wróciła z lemoniadą i tacą ciastek maślanych, które postawiła na stoliku obok Emmy.

— Będę w pracowni, gdyby ktoś mnie potrzebował. Zważywszy na liczbę książek, które ze sobą zabieramy, możemy zatopić wyspę!

— Prawdziwa Atlantyda — stwierdził ojciec Tim.

— Skoro mowa o książkach — Emma zwróciła się do jego żony — czy piszesz nową?

— Nie, o ile będzie to w mojej mocy. Roześmiał się, gdy Cynthia zniknęła w korytarzu. — To za zwyczaj nie jest w jej mocy.

Oczekiwał, że kolejna książka dla dzieci zrodzi się w głowie jego żony lada moment. Czyż nie słysze z tego, że zaczyna kolejną książkę w chwili, gdy jej życie postawione jest na głowie?

Emma żuła ciastko, a na kolana sypały się jej okruszki.

— Czy masz już gotowe te listy do przepisania na komputerze?

— Nie wszystkie. Spodziewałem się ciebie dopiero rano.

— Przyjdę rano, teraz chciałam tylko zaglądnąć i opowiedzieć ci wszystkie nowiny. Ale — zawiesiła głos, unosząc jedną brew — nie powiedziałam ci wszystkiego. Najlepszą nowinę zostawiłam na koniec.

Jego pies wszedł do pracowni i położył się ciężko u stóp swojego pana, dysząc.

— Jeśli powiesz, że już to słyszałeś, to do końca życia niczego ci nie opowiem. Po drodze spotkałam Mule'a Skinnera. Mówił, że w końcu wynajął twój dom.

Wyprostowała się zadowolona i piła lemoniadę.

— Cudownie! W samą porę! Miał ochotę zatańczyć z radości.

— Mówił, że nie miał czasu, żeby do ciebie zadzwonić, zadzwoni dzisiaj wieczorem, ale to nie jest rodzina z dziećmi, tak jak chciała Cynthia.

— No cóż...

Był szczęśliwy, że w końcu znalazł się ktoś, kto chciał zamieszkać w jego domu. Razem z Harleyem ciężko pracowali przez kilka ostatnich miesięcy, aby zwiększyć szanse domu na rynku nieruchomości. W kuchni położyli nową winylową wykładzinę, wymienili chodniki na schodach, zainstalowali nową toale-

tę w łazience obok głównej sypialni i nowy próg u drzwi wejściowych... lista ciągnęła się w nieskończoność. I była kosztowna.

— To kobieta.

— Nie mam pojęcia, jak jedna osoba może chcieć zamieszkać w takim dużym domu?

— Jak szybko zapominasz! Ty też mieszkałeś w nim zupełnie sam przez całe wieki.

— To prawda. No cóż. Mule mi wszystko opowie.

— Powiedziała, że nie przeszkadza jej, iż Harley będzie mieszkał w suterrenach. Pytała tylko, czy nie puszcza głośnej muzyki rockowej.

Emma zastukała lodem w szklance, wypila ostatni łyk i zaczęła się zbierać do wyjścia.

— Zapomniałam, nie uwierzysz, co jeszcze znalazłam w Internecie — kościelne biuletyny! Powinieneś zobaczyć, jakie głupoty tam wypisują, Boga się nie boją i ludzi.

Wyjęła kawałek papieru z torebki.

— „Na spotkaniu w najbliższą niedzielę — zaczęła czytać — przeprowadzona zostanie specjalna zbiórka pieniędzy na pokrycie kosztów zakupu nowego dywanu. Wszystkich, którzy pragną na nim coś zrobić, zapraszamy, aby podeszli i to uczynili”.

Zaniósł się śmiechem.

— A co powiesz na to: „Nie pozwól, aby zjadł cię smutek, kościół ci w tym pomoże”.

Odrzucił do tyłu głowę i roześmiał się jeszcze raz. Życie Emmy w cyberprzestrzeni z pewnością miało swoje jaśniejsze strony.

— Przy okazji, czy zabieracie tam ze sobą Barnabę?

Wymówiła słowo „tam” w taki sposób, jakby to było jakieś miejsce na końcu świata.

— Tak.

— Nie wiem, jak możecie zrobić coś takiego biednemu zwierzęciu. Spójrz tylko na całe to futro, dość, żeby wypchać materac.

Barnaba ziewnął szeroko i uderzył ogonem w podłogę.

— Nawet nie będziecie w stanie dojrzeć tych strasznych stworzeń, które zagnieżdżą się w jego sierści całymi tabunami, nie wspominając o tych, które będą żyły w jego łapach.

Emma czekała na jakąś kłótnię, powód — na coś. Czy nie miał sumienia?

— A ten upał... Będziecie musieli wygolić Barnabę do golasa.

Ojciec Tim szedł z nią przez pokój, odprowadzając ją do drzwi.

— Dziękuję za odwiedzinę, Emmo. Pozdrów ode mnie Harolda. Zobaczymy się rano.

Jego nieoficjalna sekretarka kroczyła korytarzem, a on szedł za nią.

Otworzył drzwi wejściowe i starał się powstrzymać od kaśliwej odpowiedzi, gdy ona odwróciła się nagle i spojrzała na niego. Jej oczy zrobiły się czerwone i napłynęły do nich łzy.

— Będę za tobą tęskniła! — wyrzuciła z siebie.

— Naprawdę?

Zbiegła pospiesznie po schodach, pociągając nosem i szukając w torebce papierowej serwetki z Hardee's, która na pewno tam była. Stał zdruzgotany.

— Emma! Rano... rano zjemy pączki z galaretką!

— Ja zjem pączka z galaretką, ty dostaniesz suchy tost! Nie chcielibyśmy dostarczyć cię tam w śpiączce!

Wsiadła do swojego samochodu zaparkowanego przy chodniku. Trzasnęła drzwiami, uruchomiła silnik i odjechała z warkotem Wisteria Lane.

Przez jedną ulotną chwilę zupełnie zapomniał o swojej cholernej cukrzycy.

— Już mnie tu nie ma — pożegnał się, całując żonę.

— Poproś go, żeby zostawił coś, co będzie mógł targać wiatr od morza, kochanie. Nie pozwól mu, żeby ściał wszystko.

— Zawsze tak mówisz.

— No tak, cóż, wracasz do domu, wyglądając jak wyliniały lis. Nie wiem, co robi z tobą Joe Ivey.

Zważywszy na to, co za każdym razem robiła z nim Fancy Skinner, Joe Ivey mógł zrobić, co tylko zechciał.

— Zostawiasz nas, prawda? — Joe przeczesał grzebieniem włosy ojca Tima nad lewym uchem i wykonał cięcie nożyczkami.

— Niestety tak.

— Zostawiasz nas na lodzie, powinienem powiedzieć.

— Ależ, Joe. Czy ja prawilem ci kazania, gdy wyjechałeś do Graceland i zostawiłeś mnie skazanego wyłącznie na siebie?

Joe zachichotał.

— Dziękuję Bogu, że odzyskałem rozum i zostawiłem tę głupią pracę. I to w samą porę, muszę przyznać. Dopiero teraz mogę powiedzieć, że udało mi się uporządkować to, co zrobiła z głowami biednych ludzi Fancy Skinner. W twoim przypadku wygląda to tak, jakby obniżyła ci uszy o jakieś czterdzieści centymetrów.

— Żona mówiła, żebyś nie obcinał mi zbyt krótko.

— Gdybym słuchał tego, co mówią żony, wypadłbym z tego biznesu już czterdzieści lat temu. Czy wiesz, jak tam jest gorąco?

To pytanie zostało chyba zadane o jeden raz za dużo. Chyba nic nie było mieszkańcom gór tak nie-miłe jak „gorący” klimat.

— Jestem chłopcem z Missisipi, rozumiesz.

— I te moskity...!

Joe zagwizdał.

— Na Boga!

— Właśnie tam — poprosił, gdy Joe zajął się jego koloratką. — Uporządkuj to trochę, nie ścinaj...

Joe przystąpił do ścinania. No cóż. Joe Ivey zawsze postępował z włosami ojca Tima dokładnie tak, jak miał na to ochotę, identycznie jak Fancy Skinner. Co takiego było tym wszystkim ludziom, którzy zawodowo zajmowali się włosami innych? Nigdy, przez wszystkie lata swojego życia, nie potrafił tego zrozumieć.

— Słyszałem, że to dziesięciogodzinna wyprawa — kontynuował Joe, najwyraźniej opanowany obsesją o niedogodności całego przedsięwzięcia.

— Blżej dwunastu, jeśli policzyć przerwę na zatankowanie paliwa i lunch.

— Nawet droga do Nowego Jorku nie zajęłaby ci tyle czasu. Pewnie starczyłoby na podróż w obydwie strony.

— To jest myśl.

Joe przycinał włosy wokół prawego ucha swojego klienta.

— Jestem coraz bliżej tego, żeby ci opowiedzieć... — Joe odchrząknął — o tym, co wydarzyło się w Graceland.

— Aha.

— Nie powiedziałem tego nikomu, nawet Winnie. Nastąpiła długa chwila ciszy.

Ojciec Tim czekał, wdychając aromat z cukierni Sweet Stuff, znajdującej się tuż za cienką ścianą. Siostra Joe, Winnie i jej mąż, Thomas, piekli baclawę i zaczynała mu cieknąć ślinka.

— Nigdy nie możesz nikomu o tym powiedzieć — zastrzegał się Joe. — Musisz przysiąc na Pismo Święte.

— Nie mogę tego zrobić, ale daję ci moje słowo. Joe odetchnął głęboko, wzdychając jednocześnie.

— No cóż, pod sam koniec byłem bliski tego, żeby uwierzyć, że Elvis może...

— Może co?

— No wiesz. Może żyć.

— Nie!

— Wstyd mi się do tego przyznać. Sęk w tym, że wypijałem dość dużo brandy, gdy tam mieszkałem. Mąż mojej siostry stracił pracę i sprawy miały się coraz gorzej. Na dodatek, ich dom to raczej nie jest posiadłość w Baltimore, jeśli mówimy o przestrzeni, więc od czasu do czasu wybierałem się na przejażdżkę po kolacji, żeby dać Vernowi i mojej siostrze trochę czasu dla siebie.

— To bardzo troskliwe z twojej strony.

— Zacząłem wyglądać Elvisa w każdym miejscu, które odwiedzałem, szczególnie w miejscu przygotowanym na grill. Wszyscy mówili, że przepadał za grillem. Kiedy moja siostra usłyszała, że usiłuję spotkać Elvisa, zaczęła wylewać mi brandy do toalety. Trudno mieszkać z kimś, kto wylewa ci brandy do toalety.

— No tak, to mogło prowadzić do napięć.

Bóg raczy wiedzieć, że od lat usiłował nakłonić Joe, by przestał popijać alkohol, ale Joe powiedział mu, żeby zajął się własnymi sprawami. W Memphis zdarzyło się jednak coś, co sprawiło, że jego fryzjer wrócił do domu zupełnie trzeźwy.

— Pewnej nocy gdy tak jeździłem, powiedziałem sobie, Joe, Elvis nie jechałby do baru typu „drive-in”, żeby kupić schabowego z kością i pikantnym sosem, wysłałby kogoś po to. Zapytałem się więc: gdybym był Elvisem, gdzie bym teraz był? Wygląda na to, że coś powiedziało mi, że mam wrócić do Graceland. Była już mniej więcej jedenasta w nocy, więc pojechałem tam i zaparkowałem, wyłączając światła w samochodzie. Przykro mi to mówić, ale miałem butelkę w skrytce i popijałem od czasu do czasu jeden łyczek.

Joe wziął butelkę z szafki i uniósł ją nad głowę klienta.

— Chcesz Sea Breeze?

— Czy papież jest katolikiem?

— Najpierw, wiesz, zobaczyłem coś w najwyższym punkcie posiadłości. Dom stoi na dużym otwartym terenie, wiesz, który rozciąga się za bramą i tak dalej. To było coś białego i... — Joe odchrząknął — i to się poruszało.

— Aha.

Joe ochlapał mu głowę Sea Breeze i natarł ją energicznie.

— Nie uwierzysz mi.

— Przekonajmy się.

Dłonie Joe przestały masować mu głowę. Ojciec Tim widział w lustrze, że jego fryzjerowi trzęsie się podbródek.

— To był Elvis, w białym stroju.

— Daj spokój!

— Kosił swój trawnik.

— Niemożliwe!

— Mówiłem, że mi nie uwierzysz.

— Dlaczego miałby kosić swój trawnik, skoro mógłby zapłacić komuś innemu, żeby to zrobił? I dlaczego miałby to robić w specjalnym stroju, na dodatek białym? I dlaczego miałby to robić nocą?

Oczy Joe zaszyły mgłą. Potrząsnął głową, rozmyślając.

— Nigdy nie udało mi się znaleźć na to odpowiedzi.

— No, no.

Cóż innego mógł powiedzieć?

— Siedziałem tam i patrzyłem. Kosił jeden pas, a potem wracając — drugi.

— Miał kosiarkę ręczną czy spalinową?

— Ręczną.

— Jak mógł cokolwiek widzieć? — dopytywał się ojciec Tim, lekko zniecierpliwiony.

— Biła od niego... jasność.

— Aha.

— A potem, wiesz — głos Joe przycichł — uniósł do góry dłoń i pomachał do mnie.

Ojciec Tim zaniemówił.

— Od tak dawna czekałem na to, żeby go zobaczyć, a gdy to się w końcu stało, to tak się przestraszyłem, że wyrzuciłem butelkę w krzaki i rzuciłem picie, na miejscu i na zawsze.

Jego fryzjer wziął głęboki oddech i wyprostował się.

— Nie wypilem ani kropelki od tamtego czasu i nie miałem na to ochoty.

Ojciec Tim był przekonany, że to święta prawda. Miał jednak jedno pytanie.

— Więc, Joe, co, hm... robi ta butelka obok toniku do włosów?

— Trzymam ją dla klientów. Nie miałbyś ochoty na jeden łyk?

— Nie, dziękuję. Ale powiedz mi... nie żałujesz, że wróciłeś do Mitford?

— Ani tyćkę, jak mawiał mój tato. Minął już rok, odkąd wyniosłem się z Memphis i przyjechałem do domu do Mitford, i moi starzy klienci wrócili do mnie, jeden po drugim. Winnie dała mi ten ładny pokój, żebym tu urządził swój salon, a dobry Pan dał mi na powrót zdrowie.

Joe ściągnął pelerynkę z ramion swojego klienta i strzepnął ją.

— Tak, proszę księdza, patrzy ksiądz na szczęśliwego człowieka.

— I ty też! — odparł ojciec Tim. — I ty też!

Czyż nie miał nowej fryzury, nowej parafii i całego nowego życia, które właśnie się rozpoczynało?

Nic nie mógł na to poradzić.

Gdy dzwony w Lord's Chapel wybiły trzecią, skreślił do Księgarni Szczęśliwych Zakończeń, jakby był zaprogramowany. Miał całe pięć minut do wykorzystania, zanim będzie musiał wskoczyć do samochodu i popędzić do Wesley po pompkę do roweru, ponieważ okazało się, że pompka Dooleya zginęła.

— Tylko się rozglądam — wyjaśnił Hope Winchester.

Rudy kot Hope, Margaret, przyglądał mu się podejrzanie, gdy minął szybko dział literatury pięknej, skreślił w prawo przy filozofii i zatrzymał się po lewej stronie, przy religii, gdzie przedsiębiorcza Hope każała ostatnio zainstalować półkę z rzadkimi książkami.

Wiedział bardzo dobrze, że jedyna księgarnia w Whitecap znajdowała się na tyłach sklepu ze sprzętem wędkarskim. To było absolutnie niemożliwe, żeby mieli w sprzedaży *On the Art of Reading* Arthura Quillera-Coucha, którą miał na oku już od tygodnia. Teraz albo nigdy.

Jego ręka powędrowała do unikatowego tomu Quillera-Coucha, ale natychmiast się cofnęła. Nie, po tysiakkroć nie. Gdyby jego żona wiedziała, że kupuje kolejne książki, żeby targać je do Whitecap, byłoby po nim.

Westchnął.

— Lepiej kupić ją teraz, niż dzwonić później na międzymiastową i kazać mi ją tam wysłać za dodatkowe trzy dolary.

Obok niego pojawiła się Hope, wyglądająca bardzo mądrze w nowych okularach w szylkretowych oprawkach.

Nie miał wątpliwości, Hope go przejrzała.

Zgarnął książkę z półki i porwał *The Freedom of the Will* Jonathana Edwardsa z drugiej. Zauważył, że na czoło wystąpiły mu krople potu.

No cóż, skoro już tu jest...

Chwycił egzemplarz *Great Divorce* Lewisa, który zniknął gdzieś bezpowrotnie z jego półek, i pośpieszył do kasy.

— Jestem pewna, że nie może się już ojciec doczekać swojego przyjęcia! — zawołała Hope, wybijając na kasie ceny zakupów.

Margaret wskoczyła na ladę i spoglądała na niego gniewnie. Dlaczego koty tak go nienawidziły? Co też takiego im zrobił? Czyż nie kupował dla kota swojej żony jedynie najdelikatniejszych, absurdalnie drogich części kurczaka w wymyślnym pojemniku z folii aluminiowej?

— Przyjęcia? Jakiego przyjęcia?

— Jak to jakiego? Tego, które na cześć Cynthii i ojca wydają wujaszek Billy i panna Rose!

— Nic nie wiem o żadnym przyjęciu. Czyżby ktoś mu powiedział, a on zapomniał?

— Dla nich to najważniejsze wydarzenie na świecie. W całym swoim życiu nie wydawali przyjęcia, ale chcą to zrobić, ponieważ wielce ojca szanują.

— No cóż! Nieomal zaniemówił.

— A kiedy ma się odbyć?

— Jutro wieczorem, oczywiście. Przyglądnęła mu się dziwnie.

Na jutrzejszy wieczór mieli zaplanowaną ciągnącą się w nieskończoność listę obowiązków, nie wspominając o zakupach spożywczych, żeby przygotować dla Dooleya Barlowe'a powitalną kolację, złożoną z befsztyku, frytek i czekoladowej tarty.

Otarł czoło chusteczką. Będzie szczęśliwy, gdy opuści miasto i w jego życiu znowu zapanuje porządek.

— Zajmę się tym — mruknął, wykładając gotówkę za zakazane książki.

— I jeśli możesz, to znaczy, gdybyś przypadkiem widziała Cynthię, mogłabyś jej nie wspominać, że hm...

Hope Winchester uśmiechnęła się. Oczywiście, że nie powie ani słowa żonie księdza o tym, że kupił nowe książki. Podobnie jak z pewnością nie wspomni mu o tym, że Cynthia wpadła tu zaledwie dzisiaj rano, żeby kupić egzemplarz *My Island Garden* Celi Thaxter i wydanie w twardych okładkach *Ira Sleeps Over*.

Zapukał do drzwi z siatką małego, przekazanego w wieczyste użytkowanie mieszkania na tyłach muzeum miejskiego.

— Wujaszku Billy! Panno Rose! Czy jest ktoś w domu?

Nie potrafił sobie wyobrazić starszej pary wydającej przyjęcie. Ten pomysł zupełnie nie mieścił mu się w głowie. U Rose Watson zdiagnozowano schizofrenię wiele lat temu i mimo iż cały czas przyjmowała środki farmakologiczne, gnębiły ją gwałtowne i nieprzewidywalne zmiany nastrojów. Jakby to nie było wystarczającym strapieniem dla jej od lat znoszącego to cierpliwie męża, w zastraszającym tempie traciła słuch, ale nie godziła się na założenie aparatu słuchowego.

Przyłożył nos do drzwi z siatką i zobaczył wujaszka Billy'ego, jak śpi na fotelu obok elektrycznego wiatraka, z laską opartą między nogami. Ojciec Tim czuł ogromne wyrzuty sumienia, że musi go obudzić, ale nie miał wyboru. Zapukał ponownie.

Wujaszek Billy otworzył oczy i rozglądnął się po kuchni zdziwiony.

— To ja, wujaszku Billy.

— Na Boga, toż to nasz kaznodzieja!

Starszy mężczyzna uśmiechnął się w stronę drzwi, błyskając złotym zębem.

— Rose! — krzyknął. — To kaznodzieja!

— Miał tu być dopiero jutro! — zagrzmiała panna Rose z mocno sfatygowanego fotela obok lodówki.

Wujaszek Billy chwycił swoją laskę i podniósł się wolno do wyprostowanej pozycji.

— Jak siedzę za długo, kolana mi sztywnieją, wie ojciec. Ale już idę.

— Powiedz mu, że przyszedł o dzień za wcześnie! — poleciła panna Rose.

— Proszę nie zwracać uwagi na Rose. Jest tu ojciec mile widziany o każdej porze dnia i nocy.

Wujaszek Billy otworzył drzwi z siatką, a ojciec Tim wszedł do kuchni. Watsonowie gotowali na lunch kapustę, bez dwu zdań.

— Wujaszku Billy, słyszałem, że wydaje wujaszek... cóż, ktoś mi mówił, że wydajecie na Cynthii i moją cześć... przyjęcie?

Starszy mężczyzna wyglądał na ogromnie zadowolonego.

— Całe mnóstwo ludzi wybiera się tu, żeby się z wami zobaczyć! Mam do opowiedzenia trzy nowe dowcipy, będą się wam podobać, a Rose robi pudding bananowy.

Ojciec Tim podrapał się w głowę, czując się niezręcznie.

— Widzi ojciec, kościół urządził dla nas miłe, duże przyjęcie i tak dalej, ale to wszystko wydawało się takie oficjalne, byli tam wszyscy i nikt, coś w rodzaju: bezpłatny poczęstunek, wstęp wolny. Powiedziałem więc: „Rose, powinniśmy urządzić dla kaznodziei i jego pani małe pożegnalne przyjęcie, z jego przyjaciółmi!”

Starszy mężczyzna oparł się na lasce, uśmiechając się triumfalnie.

— Więc je wydajemy, i bardzo się z tego cieszymy!

— No cóż...

— Odbędzie się w tej części domu, gdzie jest muzeum, będziemy więc mogli słuchać szafy grającej, wie ojciec.

— Ależ to cudownie, naprawdę, tylko...

— A ja i Rose wzięliśmy solidną kąpiel w wannie! Pamiętał okazje, gdy wujaszek Billy i panna Rose potrafili wyludnić dwa albo trzy rzędy ławek wokół siebie...

Panna Rose, w szydełkowym szlafroku i nie zasnurowanych dwukolorowych półbutach, wstała ze swojego fotela i spojrzała mu prosto w oczy. Natychmiast zapragnął, aby była z nim jego żona, przy której poczułby się bezpieczniej.

— Mam nadzieję, że nie przyszedł ojciec, licząc na to, że będziemy mieli ojca czym poczęstować dzień wcześniej — rzuciła niecierpliwie.

— Ojej — jęknął jej zrozpaczony mąż. — Ależ, Rose. Zwróciła się do wujaszka Billy'ego.

— Nie zrobiłam nawet jeszcze puddingu bananowego, więc czym moglibyśmy go poczęstować?

— Och, nie przyszedłem jeść. Przyszedłem, żeby się dowiedzieć...

— Niech ojciec wraca do domu — zamknęła dyskusję panna Rose — i wróci jutro o właściwej porze.

Wujaszek Billy zasłonił dłońmi oczy, jakby nie chciał być świadkiem tej strasznej sceny, która właśnie się rozgrywała.

— A która mogłaby to być godzina? — krzyknął ojciec Tim.

— Punkt szósta trzydzieści! — odparła starsza kobieta, wyglądając na solidnie zniecierpliwioną. Jego żona zbladła.

Miał ochotę zakryć dłońmi swoje własne oczy, tak jak uczynił to wujaszek Billy.

— Przepraszam — tłumaczył. — Nie wiedziałem, jak mam odmówić. Wujaszek Billy jest taki podekscytowany... Nigdy przedtem nie wydawali przyjęcia.

— Dlaczego, na litość, nic nam nie powiedzieli?

— Wydaje mi się, że zaprosili wszystkich innych, a o nas zapomnieli.

— Boże, miej litość! — jęknęła jego żona, cytując dla ułatwienia modlitewnik.

Obydwoje opadli na sofę w salonie, żeby oglądnać zmianę światła po dniu nieprzerwanej pracy, który rozpoczęli o piątej trzydzieści rano. Tym razem on przyrządził lemoniadę i podał ją z dwoma kromkami chleba, z pośpiesznie przygotowanym nadzieniem z serem pimiento, domowego wyrobu Puny.

— Nie mam nawet siły, żeby pomyśleć o przyjęciu — przyznała, wkładając do ust chleb i ser. — Poziom cukru opadł mi chyba poniżej zera.

Ach, jaki spokój panuje w tym pokoju, zachwycił się, rozpinając koszulę. A oni właśnie zamierzają go opuścić. Zbudowali go, a teraz wyjeżdżają. Tak właśnie wygląda życie w koloratce.

— Timothy, czy naprawdę jesteś podekscytowany na myśl o wyjeździe do Whitecap?

— To przychodzi i odchodzi falami. W jednej chwili jestem podekscytowany...

— A w drugiej, przerażony na śmierć?

— Cóż...

— Ja też — wyznała. — Tak bardzo nie chcę wyjeżdżać z Mitford. Myślałam, że to będzie zabawne, jak powiew nowego życia, wspaniała przygoda.

Położyła się, opierając głowę na jednej z wypłowiałych szydełkowych poduszek, które również przywędrowały tu drogą przez żywopłot.

— Ale teraz... Jej głos uwiązł.

— Jesteśmy dość zmęczeni, Kavanagh. To, co robimy, to bardzo stresujący krok, zrywamy z naszymi korzeniami. Prawie w ogóle nie wyjeżdżałem z Mitford przez szesnaście lat. Ale pojedziemy tam i będzie wspaniale, zobaczysz. Będiesz zachwycona tym miejscem. Swoboda, jaką daje wyspa...

— Wiatr we włosach...

— Mewy krążące nad nami...

— Zapach morskiego powietrza...

Była to litania, którą recytowali jak antyfonę przez kilka ostatnich miesięcy. Zawsze zdawała się pocieszeniem. Położył jej stopy na swoich kolanach.

— Co powiesz na drzemkę? Czekają nas napięty program.

— Dzisiaj wieczorem — przypomniała — Punny pomagają nam opróżnić wszystkie szafki... Dooley przyjeżdża jutro wieczorem, tuż przed przyjęciem Watsonów, i idzie na kolację do swojej mamy. Następnie dzień zakupów z naszym pozbawionym odzienia chłopcem i przeniesienie go do Harleya, potem twoje spotkanie z lokatorką i kolacja dla Dooleya z befsztykiem w roli głównej. Potem, oczywiście, czeka nas uroczyste otwarcie Lucery w czwartek wieczorem, gdy skończymy pakować samochód, i w piątek rano wyruszamy w drogę. Wydaje mi się — dodała bez tchu — że nie będziemy mieli czasu uczcić twoich urodzin.

Jego urodziny! Do licha! W tym roku skończy sześćdziesiąt sześć lat i tylko pomyśleć, że zaledwie cztery lata dzieli go od siedemdziesiątki. Potem osiemdziesiąt lat. A potem... będzie po nim, przypuszczał. No cóż.

— Nie martw się — zganiła go. — I na litość boską, najdroższy, rozluźnij się. Siedzisz tam jak pomnik w parku.

— No tak — odparł, pijąc łąpczywie lemoniadę.

Przez kilka ostatnich dni zauważył, że późnoczerwcowe słońce jest w najwyższym punkcie, gdy pada na anioła z brązu. Ponieważ pokój był wysunięty na zewnątrz, bezpośrednie światło nie sięgało wyżej niż półka nad kominkiem, gdzie na ciężkiej podstawie z zielonego marmuru stał pewnie anioł.

Znalazł anioła na poddaszu w Fernbank, przepastnym domu panny Sadie na szczycie wzgórza, który obecnie należał do Andrew i Anny Gregory. Zaledwie kilka miesięcy przed śmiercią w wieku dziewięćdziesięciu lat, Sadie Baxter napisała w list, w którym wydała dyspozycje odnośnie do swojego domu rodzinnego i jego zawartości. Jedną z rzeczy, o które go poprosiła, to, żeby wybrał coś dla siebie, cokolwiek mu się spodoba.

W czasie gdy Cynthia wędrowała po domu w poszukiwaniu swojej części spadku, on znalazł anioła w pudełku. W pudełku z wypłowiałym francuskim stemplem. Mimo że strych wypełniony był bogatą kolekcją niekwestionowanych skarbów, wiedział z taką pewnością jakby ktoś wyrył na nim jego nazwisko, że anioł w pudełku należy do niego.

Słońce przesunęło się teraz na anioła, na jego rozpostarte skrzydła i złożone błagalnie dłonie. Świeciło również na flakon z różowym kwitnącym migdałowcem, obok starych książek i małej postaci jego mamy, którą Cynthia ponownie oprawiła i powiesiła nad kominkiem.

Jak daleko sięgał pamięcią wstecz, zawsze bał się siedzieć nieruchomo, słuchać, czekać. Jako ksiądz cieszył się każdą potrzebującą duszą, którą mógł się zaopiekować; każdą przygodną kolacją, do której mógł usiąść; nawet każdą chorobą, do której mógł biec — wdzięczny za pośpiech i krzątanie. Bał się każdej skłonności do tego, żeby usiąść i pozwolić myślom wędrować swobodnie jak puszczony wolno żrebak, któremu wolno jest skubać trawę tam, gdzie ma na to ochotę.

Zaczynał jednak zdawać sobie sprawę, że coraz mniej obawia się robić to, co wydaje się becznością.

W końcu, nie bał się też przenieść do Whitecap; wprowadził swoją żonę w błąd. Modlił się, żeby Bóg posłał go tam, gdzie On zechce, i gdy biskup zaproponował mu Whitecap, wiedział, że to wcale nie jest wspaniały pomysł biskupa, ale samego Boga. Lata temu nauczył się już odczytywać odpowiedź Boga na każdą trudną decyzję, poprzez poszukiwanie we własnym sercu, we własnej duszy synonimu spokoju. Ten spokój nadszedł; w przeciwnym razie nie pojechałby.

Wdychał świeżość bryzy, która dostawała się do środka przez otwarte okno, i aromat dębu i wiśni, który przenikał pokój jak kadzidło.

Potem, uśpiony widokiem drzemiącej żony, oparł głowę i zamknął oczy, i zasnął.

Rozdział drugi

ZOBOWIĄZANIA TOWARZYSKIE

Rose Watson wyłożyła coś, co zapewne większość ludzi określiłaby jako koszmarną zbieraninę połamanej, wyszczerbionej i zdekompletowanej porcelany, w tym nie pasujące do siebie filiżanki i talerzyki, które balansowały na stosie talerzyków na sałatkę, zakotwiczonym na półmisku na indyka.

Odsunąwszy się lekko i spojrzawszy nie bez pewnej satysfakcji na tę intrygującą konstrukcję, postanowiła wykończyć całość zestawem talerzy na zupę.

Na kuchence elektrycznej stał duży plastikowy pojemnik z puddingiem bananowym. W środku złotego deseru błyszcząły zatknięte dwie duże łyżki. W zastępstwie serwetek wujaszek Billy podał rolkę ręcznika kuchennego, którą umieścił obok puddingu.

— Nie kładź papieru na kuchence!

Panna Rose chwyciła rolkę i przesunęła ją niczym pionek na szachownicy na stół kuchenny.

— A gdzie są łyżki?! — krzyknął jej mąż.

Myśl o tym, że cały tłum ludzi wkrótce ma się pojawić w ich mieszkaniu, była dla niego paraliżująca, chociaż musiał przyznać, iż był to jego własny pomysł.

— Wsuń szufladę! Sami mogą sobie wziąć.

Zrobił tak, jak mu powiedziano, myśląc jednocześnie, że jego żona miewa czasami dobre pomysły i nie jest ani w połowie tak szalona, jak wszyscy uważają. Zrędliva, być może, ale to jej choroba.

Próbował przeczytać coś o schizofrenii w bibliotece w Mitford podczas jednej z nielicznych okazji, gdy udało mu się tam zawitać. Poszukał najstarszej wolontariuszki, zakładając, że będzie ona szefem, i poprosił, aby wskazała mu książkę o chorobie, której nazwy nie potrafił przeliterować. Zabrał książkę do stolika, usiadł i poprosił

Pana, aby obdarzył go mądrością, która pozwoli mu pojąć, na jaką straszną i okrutną chorobę cierpi jego żona. Nie był jednak w stanie zrozumieć nic z tego, o czym była mowa w książce, absolutnie nic.

— Ma rację, kto tak twierdzi! — odkrzyknął.

— Mówisz, że coś śmierdzi? — Odwróciła się i spojrzała na niego.

— Do licha, Rose, mówiłem...

— Chyba pod twoim nosem, Billu Watsonie. — I nagle wybuchnęła śmiechem.

No proszę! Śmiech, który tak rzadko słyszał, o którym nieomal zapomniał, nieskrępowany niczym wydostający się z klatki ptak, śmiech dziewczyny, którą znał tak wiele lat temu...

Stał oniemiały i szczęśliwy, a do oczu napłynęły mu łzy, tak gwałtownie, jak gwałtownie rozległ się ten śmiech...

Ojciec Tim był zafascynowany kolekcją porcelany. Odnalazł pośród niej pojedyncze egzemplarze francuskiego serwisu Haviland z takim samym wzorem, jaki kiedyś posiadała jego babcia. I kilka sztuk serwisu Sevres.

Przynajmniej wydawało mu się, że to Sevres. Wziął talerzyk na chleb i dyskretnie zerknął pod spód. Miśnia. Jakże niewiele wiedział.

A już na pewno nie miał pojęcia, co zrobić z puddingiem bananowym. Każdy oprócz nich został poproszony o przyniesienie jakiegoś dania, było więc w czym wybierać. Panna Rose jednak stała przy kuchence niczym strażnik, pilnując, aby każdy nowo przybyły gość otrzymał solidną porcję tego, czego przygotowanie zajęło jej całe popołudnie.

Wszystkie te pęknięcia na porcelanie, myślał, wszystkie te wyszczerbione brzegi i ubytki... czyż nie było powszechnie wiadome, że stanowią siedlisko bakterii, idealne środowisko dla ich rozwoju? I czyż nie siedział w szpitalu przy łóżku kobiety, która skorzystawszy z gościny Rose Watson, ledwie uszła z życiem?

Pamiętał jej opowieść bardzo dokładnie.

— Bóg mi świadkiem, nie zdążyłam nawet dojść do domu, a kiszki zaczęły mi grać takiego marsza, nigdy nie słyszałam czegoś podobnego. Cóż, wstyd mi to mówić, ale i tak wszystko już kaznodzieja słyszał — pięć minut później siedziałam na muszli i wymiotowałam na własne buty.

Obraz tej zaciej kobiety wymiotującej na własne buty był nadal jak żywy w jego wyobraźni. Z pewnością nie zapomniał też jej ponurej przestrogi, żeby nie brać niczego do ust w domu Rose Watson.

— Nałóżcie sobie na talerze i przejdźcie do frontowego pokoju! Gospodarz błysnął złotym zębem.

— Niektórzy już tam są i czekają na błogosławieństwo.

— Zabieraj się do jedzenia, kochanie — poradziła radosna jak dziecko.

Och, ten nieustający entuzjazm jego małżonki! Westchnął, rozglądając się w poszukiwaniu bułek z szynką.

Zauważył, że wszyscy są dziwnie podekscytowani faktem, iż znaleźli się w tak ważnym miejscu, jak muzeum miejskie. Rozwiązanie to było jednak trochę niezręczne, zważywszy na fakt, że nie było tam ani jednego krzesła i wszyscy musieli wędrować z talerzykami w rękach, stawiając szklanki z herbatą na parapetach i stopniach schodów.

Szafa grająca rozbrzmiewała dźwiękami — jak mu się wydawało — *Pucybuta z Chattanooga*, wprawiając jednocześnie w rytmiczne pulsowanie gołe deski podłogi.

Razem z Cynthią obejrzeliby pobieżnie wszystkie eksponaty, którym nigdy wcześniej, z jakiegoś niewyjaśnionego powodu, bliżej się nie przyglądał.

Była tam należąca do Willarda Portera kopia aktu własności apteki w Mitford — obecnie Księgarni Szczęśliwych Zakończeń. Była też odręcznie sporządzona lista farmaceutyków, które Willard wynalazł i opatentował, włącznie z syropem na kaszel Rose, który nazwał imieniem swojej wtedy dziesięcioletniej siostry, a ich gospodyni tego wieczoru.

Było tam oprawione w ramki zaświadczenie informujące, że Wurlitzer został podarowany muzeum miejskiemu przez właściciela baru Main Street Grill, gdzie był zainstalowany do 26 czerwca 1951 roku. Został przywrócony do stanu świetności dzięki hojności pani burmistrz Esther Cunningham.

Przyjrzał się uważnie dagerotypowi prapradziadka Coota Hendricka, siedzącemu na krześle z wysokim oparciem ze strzelbą na kolanach.

To właśnie brodaty przodek Coota, Hezikiah, założył Mitford. Posuwając się indiańskim szlakiem handlowym, wspiął się na górę na grzbiecie rumaka. Towarzyszyła mu przytulona do jego pleców, nowo poślubiona angielska małżonka, Mary Jane. Jak głosiła legenda, jego żona tak bardzo tęskniła za domem, że pan Hendrick wspaniałomyślnie zgodził się nazwać miasto jej panieńskim nazwiskiem, Mitford, zamiast Hendricksville czy Hendricksburg, co byłoby naturalną konsekwencją przy wyborze nazwy dla miejsca będącego efektem ciężkiej pracy czyichś rąk.

— To jest mój prapradziadek — wyjaśnił Coot Hendrick, podchodząc do kaznodziei i jego żony.

Czekał, aż ktoś zatrzyma się przy zdjęciu. Przez lata leżało w szufladzie w domu jego mamy i prawie w ogóle nie zwracał na nie uwagi. Potem ktoś poprosił o przekazanie fotografii na rzecz muzeum i wtedy cała rzecz nabrała zupełnie nowego wymiaru.

— Wygląda na nieustraszonego! — zachwycała się Cynthia.

— Miał dwanaścioro dzieci!

Coot uśmiechnął się od ucha do ucha, co nie było przyjemnym widokiem, zważywszy na stan jego uzębienia.

„Pniaki!”, ocenił kiedyś Mule Skinner, nie mogąc się nadziwić, że niejednokrotnie widział, jak ludziom wypadają zęby, ale nigdy jeszcze nie widział, żeby się tak wycierały.

— Sześcioro przeżyło, sześcioro zmarło, wszystkie zostały pochowane na grzbiecie góry, który teraz należy do pani Mallory. Jej dom stoi tuż obok miejsca, w którym stała chatka jego i mojej praprababki.

— No, no! — zawołał z uznaniem ojciec Tim.

— To było idealne miejsce, by dojrzeć z niego wszystkich jankesów — wyjaśnił Mule.

— Na pewno.

— Prawdopodobnie w tej okolicy nie skradało się zbyt wielu jankesów — zauważyła Cynthia, która czytała, że zaledwie sto pięćdziesiąt lat temu anglikański biskup określił tę okolicę jako „dziką i niezamieszkaną”.

— Byłaby pani zdziwiona — odparł Coot, zakładając palce za szelki spodni. — Słyszałem, że mój prapradziadek zastrzelił pięciu i każdemu z nich urządził uroczysty pochówek.

— Nie wiedziałam, że w pobliżu Mitford stoczono jakiegokolwiek bitwy — kontynuowała Cynthia, wyraźnie zainteresowana tym nowym rozdziałem lokalnej historii.

— Nie stoczono. Ci jankesi byli zbiegami z wojska. Dostrzegając Esther i Gene'a Bolicków zmierzających w ich kierunku, przeprosili Coota i wyszli im na spotkanie w połowie drogi.

— To straszne! — zawołała Esther.

Nie mogąc się powstrzymać, chwyciła go za rękę i pocałowała ją, a potem zrozpaczona takim zachowaniem upuściła ją jak gorący węgiel.

— Gene i ja mamy już za sobą całą tę huśtawkę uczuć i nadal nie możemy się pogodzić z tym, że wyjeżdżacie!

— My też nie możemy się z tym pogodzić — powiedział zwyczajnie.

— Upiekłam i zamroziłam dla was dwuwarstwowe ciasto pomarańczowe. Możecie zabrać je ze sobą w przenośnej lodówce.

Nie mogła zrobić nic innego, aby zatrzymać swojego byłego księdza w Mitford, gdzie — była pewna — jest jego miejsce. Modliła się, płakała, aż w końcu upiekła ciasto.

Jej mąż, Gene, westchnął i wyglądał na przygnębionego.

To dokładnie ten moment, myślał ojciec Tim, kiedy pożegnalne przyjęcie zamienia się w cholerną stypę, jeśli ktoś nie nałoży zabawnego kapelusza albo nie zjedzie po poręczy, cokolwiek...

Zwrócił się do żony, która wzruszyła ramionami, uśmiechnęła się i odeszła w poszukiwaniu weselszego towarzystwa.

— Gene nie czuje się ostatnio zbyt dobrze — poskarżyła się Esther.

— Co ci dolega? — chciał wiedzieć ojciec Tim.

— Nie jestem pewien — odparł Gene w chwili, gdy podchodziła do nich panna Rose. — Ale rozmawiałem z Hoppym i wziąłem zastrzyki na wzmocnienie.

— Na rozwolnienie?! — krzyknęła panna Rose.

Wszyscy spojrzeli na nich.

Gene zaczerwienił się.

— Nie, proszę pani. Wzmocnienie.

— Bill miał rozwolnienie tydzień temu — wyjaśniła, marszcząc czoło. — To może być coś w powietrzu.

Ich gospodyni, która sprawdzała talerzyki wszystkich gości, żeby upewnić się, czy jej pudding spotkał się z właściwym przyjęciem, oddaliła się do kolejnego kręgu biesiadników.

— Mamy nadzieję, że zdajecie sobie sprawę, jak gorąco tam bywa — przestrzegął go Gene.

— Słonko, gorąco to niewłaściwe słowo! — Fancy Skinner pojawiła się w swoim charakterystycznym stroju złożonym z rybaczek, puloweru z dekoltem w kształcie litery V i szpilek. — Będziecie się gotowali na ogniu i parze, opiekali, piekli i smażyli.

— Nie wspominając o przysmażaniu w małej ilości tłuszczu — dorzucił Avis Packard, który był właścicielem sklepu spożywczego na Main Street i lubił gotować.

Fancy zrobiła balon ze swojej gumy do żucia bez cukru.

— Pozostaje nam jeszcze duszenie i przypiekanie.

— Proszę — rzucił słabo ojciec Tim.

— Grillowanie! — przyłączył się do dyskusji Gene, bardzo z siebie zadowolony. — Zapomnieliście o grillowaniu.

Fancy, która była właścicielką jedyne go salonu fryzjerskiego typu uniseks w Mitford, zaniósła się śmiechem.

— Czy rozważał ojciec być może wyjazd do Vermont?

Gene zastanawiał się, czy ich były pastor przemyślał jeszcze raz cały ten pomysł z wyspą.

— Bo jeśli myśli ojciec teraz, że włosy zawijają się ojcu za uszami — tłumaczyła Fancy — to proszę poczekać, aż zadziała cała ta wilgoć, będzie ojciec wyglądał jak skrzyżowanie Shirley Temple z Little Richardem*. Właśnie dlatego, gdy to ja strzygłam ojcu włosy, lubiłam, by za uszami przylegały gładko do głowy, a teraz znowu ma ojciec te kępki, zupełnie jak wiewiórka.

* Little Richard — Richard Wayne Penniman, ur. 5 grudnia 1935 roku w Macon w stanie Georgia. Jedna z wielkich postaci rock and rolla, Little Richard połączył pasję muzyki gospel z nowoorleańskim rhythm and bluesem.

Fancy wyciągnęła rękę, by przyglądzić mu palcami niesforne kępki, ale się powstrzymała.

Rozejrzał się z obawą dookoła w poszukiwaniu Cynthii, która śmiejąc się, rozmawiała z panią burmistrz i Hope Winchester.

Omer Cunningham nadszedł z kuchni z wypełnionym po brzegi talerzykiem, odsłaniając w swoim charakterystycznym uśmiechu bielejące jak klawisze fortepianu zęby. Ojciec Tim był gotów przysiąc, że w całym swoim życiu nie widział naraz tylu białych zębów co u szwagra pani burmistrz. Starczyłoby ich do zagrania najprawdziwszego koncertu Debussy'ego.

— Na Boga, ależ dzisiaj był ruch!

— Na Main Street?

— Chodzi mi o ruch powietrzny — sprostował dumny właściciel małego samolociku z brezentu z zadartym ogonem. — Oblatywałem wąwóz. Nigdy nie widział ojciec takiej liczby jeleni, jaka tam żeruje. Mogłoby się wydawać, że dzisiaj latał tam dosłownie kto żyw.

Ojciec Tim natychmiast i bardzo żywo przypomniał sobie wszystkie okazje, gdy razem z Omerem podróżował w jego samolociku. Raz poleciał do Wirginii, żeby posłuchać wystąpienia Dooleya podczas koncertu, kiedy to jego żołądek z trudem nadażał za samolotem. Potem znowu obserwowali z lotu ptaka obszerną posiadłość Edith Mallory na wzgórzu nad Mitford, próbując dowiedzieć się, jakie czarne sprawki stoją za ostatnią jej walką o fotel burmistrza.

— Widziałem pipera cherokee, cessnę 182 i beechcrafta bonanzę.

— To prawie jak obserwowanie dzikiego ptactwa.

— Taka bonanza kosztuje pół miliona dolców. Nieczęsto się je spotyka.

— Na pewno.

— Niech mnie ojciec posłucha — rzucił Omer, odrywając zębami mięso od kości udka — jak kiedyś będzie ojciec potrzebował pomocy czy coś takiego, to proszę mi tylko dać znać, a ja przylecę. Mój mały samolocik z brezentu jest do ojca dyspozycji o każdej porze dnia i nocy, słyszy mnie ojciec?

— Dziękuję ci, Omer, jesteś bardzo troskliwy! Omer zdawał się przeżuwać mięso bardzo skutecznie.

— Latałem nad tymi małymi wyspami, gdzie się ojciec wybiera, wiele razy. Lądowałem na niejednej plaży. Jeśli trzymać się z daleka od tych okropnych burz, które się tam zdarzają, jest tam tak cicho i spokojnie jak marzenie.

Omer ujął kocią bułkę* z szynką i przyjrzał się jej uważnie.

— Nie lubię szynki w kocich bułkach — zauważył. — Za głęboko trzeba wbijać zęby, żeby dotrzeć do szynki.

* Kocia bułka, „Cathead biscuit” — bułka wielkości kociej głowy, pieczona zazwyczaj z mięsnym dodatkiem, stąd jej nazwa.

To była jego wina. To on wspomniał o tym przypadkowo Mule'owi Skinnerowi. Nie minęło wiele czasu, a wiadomość o prawie jazdy Dooleya Barlowe'a zastąpiła toczące się podczas przyjęcia rozmowy o decyzji Avisa Packarda, o zakupie furgonetki do dostaw domowych i o ogromnej rozbudowie już i tak olbrzymiego domu Edith Mallory.

Czy ma tylko takie wrażenie, czy oni wszyscy rzeczywiście przyglądają mu się tak, jakby chcieli sprawdzić, czy zamierza kupić samochód, który stanowiłby uzupełnienie prawa jazdy Dooleya?

Zdecydowanie, nie. Nie ma zamiaru kupować samochodu dla szesnastolatka, a potem wziąć nogi za pas i zostawić go samemu sobie. Na szczęście Dooley zgodził się, że tego lata będzie jeździł na czerwonym rowerze, wiedział jednak, że chłopiec nie może przestać myśleć o samochodzie. Czyż nie jest prawdą, że wszyscy ojcowie w tej wymyślnej szkole sypią jak z rękawa narowistymi kabrioletami i ekskluzywnymi samochodami z napędem na cztery koła?

Chociaż to oczywiste, że Dooley nie zarobi dość pieniędzy na samochód, pakując zakupy, ojciec Tim był zdania, że jedno lato poświęcone takim staraniom nie wypaczy charakteru chłopca.

Szczerze mówiąc, dużo bardziej niż pociąg Dooleya do motoryzacji martwiło go coś zupełnie innego — to, że przez dziesięć tygodni chłopiec będzie mógł robić, na co tylko przyjdzie mu ochota. Harley Welch będzie surowym, godnym zaufania opiekunem, ale Dooley jest w stanie go przechytryć.

Ojciec Tim zamieszał łyżką w puddingu bananowym.

Jakby czytając w jego myślach, Mule obiecał:

— Wszyscy będziemy go pilnować.

— Tak — uspokoił go Gene — będziemy go pilnować.

Adele Hogan, jedyna kobieta oficer policji w Mitford, a od niedawna żona wydawcy gazety, podeszła do niego, gdy stał przy szafie grającej, podczas gdy jej mąż robił zdjęcia do poniedziałkowego wydania „Muse”.

— Chciałam, żeby ojciec wiedział — dodała mu otuchy — że nasze samochody patrolują miasteczko przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Będziemy mieć na oku ojca młodzieńca, gdy ojca nie będzie.

Prawdę powiedziawszy, uzbiera się niezła gromada mężczyzn, którzy będą się opiekować chłopcem, nie wspominając o znacym zastępie kobiet, włącznie z Puny i mamą Dooleya, a teraz i Adele.

— Dziękuję! — odparł szczerze.

Adele stała z palcami zatkniętymi za pas z bronią, a wyglądała zupełnie jak wynajęta ochrona. Przyszła prosto z posterunku, w mundurze, ze swoim pistoletem marki Glock, kaliber dziewięć, na biodrze. Widok Adele, która była nowym wszechwiedzącym trenerem Mitford Reds, jak również babcią trojga wnucząt, nieodmiennie budził jego podziw i zdziwienie.

— O nic proszę się nie martwić — uspokajała go Adele.

Był nieomal skłonny jej posłuchać.

— Właśnie! — poparł ją Avis. — Jestem jedyną osobą, która będzie jeździła moją furgonetką, z wyjątkiem kuzyna Lew Boyda, który będzie mnie zastępował w soboty. Zamierzam w każdym razie wycisnąć ósme poty z ojca chłopca tego lata. Nie będzie miał czasu, żeby się pakować w kłopoty.

W spontanicznej demonstracji braterskich uczuć Avis poklepał go po ramieniu.

Nadeszła pani burmistrz i klepnęła go w drugie ramię. Nieomal wpadł na Wurlitzera, który teraz grał *Miętowego burbona*.

— Zostawiasz nas wobec tego — zagadnęła Esther Cunningham. — Nic mnie to nie obchodzi.

— Już mnie nie potrzebujecie. Po tym jak osiem razy z rzędu wymodliłem dla ciebie fotel burmistrza, robisz sobie wolne i wyruszacie z Rayem w podróż waszym samochodem turystycznym.

Esther zmrużyła oczy i przyjrzała mu się.

— Domyślam się, że słyszałeś o huraganach, które nawiedzają tamte tereny.

— Słyszałem.

— I ten upał...

Czy oni nigdy nie przestaną...?

Mięsień drgnął na policzku pani burmistrz.

— Będziemy za tobą tęsknić.

— Ja też będę za wami tęsknić — odparł, otaczając ramieniem pulchne ramiona swojej starej przyjaciółki. Jakże nienawidził takich pożegnań. Wolałby raczej siedzieć teraz w domu i wrywać ząb na nitce przywiązanej do klamki od drzwi, wszystko byle nie to.

— Czy rzuciłaś bułki z parówkami?

— Ciekawość to pierwszy stopień do piekła — odcięła się.

Esther przyłożyła ręce do ust i zawołała:

— Niech ktoś wyłączy z prądu szafę grającą!

Omer przykucnął obok Wurlitzera, którego nie dało się wyłączyć ręcznie, i wyciągnął wtyczkę.

— Na pewno już pora na jeden z dowcipów wujaszka Billy'ego — wyjaśnił Gene Bolick, wstając ze stopnia schodów, gdzie siedział razem z Mule'em.

Mule westchnął.

— Mam nadzieję, że to nie ten o kuchence gazowej! Słyszałem go już chyba tysiąc razy.

— W takim razie ja ci opowiem — zaproponował Gene. — Kto to taki: prezbiterianin?

— Nie mam pojęcia.

— Metodysta z problemem alkoholowym, którego nie stać na to, żeby wstąpić do Kościoła episkopalnego.

Mule podrapał się w głowę. Nigdy nie rozumiał dowcipów o członkach Kościoła episkopalnego.

— Zapraszam wszystkich! — zawołała pani burmistrz, a jej głos niósł się echem w pomieszczeniu o wysokim sklepieniu. — Czas na dowcip!

Wujaszek Billy stał najprościej jak potrafił, oparty na lasce i spoglądał poważnie na małą gromadkę, z której dochodził szmer odkaszliwania i odchrząkiwania.

— A więc, moi mili! — wykrzyknął tytułem wstępu. — Farmer wioził nawóz, no wiecie, i jego ciężarówka zepsuła się przed szpitalem dla umysłowo chorych. Jeden z pacjentów przechylił się przez płot i zapytał: „Co zamierza pan zrobić z tym nawozem?” Farmer odpowiedział: „Zamierzam położyć go na truskawkach”. Na to gość: „Może i jesteście szaleni, ale my na truskawkach kładziemy bitą śmietaną”.

Wujaszek Billy uśmiechnął się, słysząc wybuch śmiechu.

— Prosimy o następny! — rzucił ktoś.

— A więc, moi mili, pewien starszy mężczyzna siedział z żoną na ganku. Po jakimś czasie ona mówi: „Zgadnij, na co miałabym ochotę”. On na to: „Na co takiego?” Więc ona: „Na ogromny puchar lodów waniliowych z polewą czekoladową, posypanych orzechami!” A on: „Na Boga, to rzeczywiście byłoby dobre. Pójdę do sklepu i kupię nam takie lody”. Żona na to: „Chodzi mi o lody waniliowe z polewą czekoladową i orzechami. Lepiej sobie zapisz”. Mąż mówi: „Nie muszę zapisywać. Zapamiętam”. Po niedługim czasie wrócił. Przyniósł dwie kanapki z szynką. Dał jej jedną. Spojrzała na kanapkę, zajrzała do środka i powiedziała: „Ty głuptasie, mówiłam ci, żebyś sobie zapisał, że chcę z musztardą!”

Rozkoszując się dźwiękiem śmiechu w przepastnym pomieszczeniu, wujaszek Billy skinął głową w lewo, a potem w prawo.

— Jeszcze jeden — oznajmił, drżąc lekko z emocji, jakie niósł ze sobą wieczór.

— Dawaj go! — zachęcała pani burmistrz, mając nadzieję, że uda jej się zapamiętać pointę dowcipu o lodach waniliowych.

— A więc, moi mili, rachmistrz spisu powszechnego poszedł do jednego domu i zapukał do drzwi. Otworzyła mu kobieta, a on ją zapytał: „Ile macie dzieci i w jakim są wieku?” Ona na to: „Niech się zastanowię, mamy bliźniaki Sally i Billy, mają po osiemnaście lat. Potem bliźniaki Seth i Beth, mają po szesna-

ście. I bliźniaki Penny i Jenny, te mają po czternaście...". Gość na to: „Chwileczkę! Czy to znaczy, że za każdym razem rodziły się wam bliźniaki?" Kobieta na to: „Och, nie, setki razy nie rodziło się nic”.

Starszy mężczyzna usłyszał oklaski zagłuszające śmiech i pochylił się lekko do przodu, przykładając dłoń do lewego ucha, żeby wyraźniej je zapamiętać. Brawa w jakiś dziwny sposób dodawały mu odwagi, były zachętą do życia, do tego, by wstać rano z łóżka i codziennie zaczynać od nowa.

Wujaszek Billy i panna Rose wyglądali na dość zmęczonych swoją działalnością towarzyską; dłoń starszego mężczyzny drżała, gdy stali na chłodnym frontowym ganku.

— Chciałbym się za was pomodlić — zaproponował ojciec Tim.

— Bylibyśmy zobowiązani, kaznodziejo — odparł wujaszek Billy — ale wydaje mi się, że to my powinniśmy się pomodlić za was.

Prawie nikt tego nie robi, pomyślał poruszony tym dobrym gestem.

— Byłbym wam bardzo wdzięczny — zgodził się. Cynthia wsunęła się do kółka i ujęli się za dłoń.

— A więc, Panie... — starszy mężczyzna wziął głęboki oddech — nie jestem przyzwyczajony, żeby robić to na głos, ale wydawało mi się, że chcesz, żebym to zrobił, i oczekuję, że mi pomożesz, Panie. Panie Jezu, proszę Cię, żebyś miał w swojej opiece kaznodzieję i jego panią. Nie pozwól, żeby tam utonęli albo żeby mieli tam jakiegokolwiek kłopoty. Mów im, którzy mają pójść, gdy będą tego potrzebowali. — Wujaszek Billy przerwał na chwilę. — I będę za to wdzięczny. Na litość boską, Amen!

— Amen!

Ojciec Tim uściśnął swojego starego przyjaciela.

— Wujaszku Billy...

— Mam nadzieję, że nie będą wam tam żałować smażonego kurczaka! — krzyknęła panna Rose.

Zawsze słyszała, że księża lubią smażone kurczaki. Obawiał się, czy będzie w stanie znieść kolejne pożegnanie.

To nie było tak, że nie chciał pojechać z Cynthią do Whitecap, żeby poznać nowe miejsce i ludzi i się przedstawić. Starannie zaplanowali wyjazd na pięć dni w marcu, ale pogoda zrobiła się fatalna, z zacinającymi deszczami i porywistymi wiatrami, które nie ustępowały przez wiele dni na całym Wschodnim Wybrzeżu.

Usiłował następnie uzgodnić jakąś datę w sierpniu, ale zdecydowana większość członków rady parafialnej z Whitecap, którzy odgrywali kluczową rolę w procesie akceptacji, byłaby z takiego czy innego powodu nieobecna.

— Nie martw się tym — uspokajał go podczas rozmowy telefonicznej Stuart Cullen. Stuart był nie tylko jego obecnym biskupem, ale bliskim przyjacielem, jeszcze z czasów seminarium. — Wszystko o tobie wiedzą. Są zachwyceni, że chcesz pracować u nich tymczasowo. Biskup Harvey zgadza się, że to doskonały wybór, więc nie martw się koniecznością złożenia tam zwyczajowej wizyty wstępnej.

— To jednak trochę przypomina kupowanie kota w worku, tak mi się wydaje.

Stuart roześmiał się.

— Uwierz mi, Timothy, potrzebują dokładnie tego, co masz im do zaoferowania. Poza tym, jeśli nie przypadniecie sobie do gustu, Bill Harvey i ja zwrócimy ci pieniądze.

— A może w takim razie wyjawisz mi minusy parafii? Bill Harvey powtarza jedynie, że kościół jest tak piękny, iż jest ozdobą pocztówek.

— Zgadza się — przyznał Stuart. — Przysięga również, że przez otwarte okna w nawie słyszy rżenie dzikich kucyków, chociaż nie wydaje mi się, że są dzisiaj w Whitecap jakiegokolwiek dzikie kucyki.

— Wolałbym raczej wiedzieć, kto zamierza zadać tymczasowemu księdzu cios w plecy? I kto planuje uciec z szefową chóru?

Żartował oczywiście, ale jednocześnie pytał całkiem serio. Chciał mieć jasność co do Whitecap, a nikt nie zamierzał mu niczego powiedzieć.

— No cóż, Timothy, nie ma tam szefowej chóru. — Biskup nagle zdał się bardzo przygnębiony.

— Naprawdę? Dlaczego?

— No cóż...

— Stuart!

— Ponieważ szefowa chóru uciekła z organistą.

— Czy to żart?

— Bardzo bym chciał.

— Myślałem, że stać cię na więcej. Dobry Boże, człowieku, na strychu Lord's Chapel mieszkał kiedyś złodziej drogocennych klejnotów, nie wspominając o parafianinie, który usiłował kupić zwycięstwo w ostatnich wyborach na burmistrza. Powiedz mi coś, co mnie zaskoczy.

— Przepraszam, ale właśnie wyznałem ci najprawdziwszą prawdę, niczym nie ubarwioną.

Zapadła długa chwila ciszy.

— Co jeszcze powinienem wiedzieć?

Biskup powiedział mu. Szczerze mówiąc, powiedział mu dużo więcej, niż chciał wiedzieć.

Wszedł do łazienki na dole i wyjął z szafki na lekarstwa zestaw do pomiaru glukozy w krwi. Przy całym tym zamieszaniu, i radykalnej zmianie w diecie, przypuszczał, że powinien częściej sprawdzać poziom cukru.

Raz czy dwa czuł się tak przygnębiony, że pragnął zaszyć się w najciemniejszej dziurze. Innym razem znowu miał wrażenie, że adrenalina zalewa mu organizm.

Naciął lancetem koniuszek lewego palca wskazującego i upuścił kroplę krwi na papierek testujący. Wsunął następnie papierek do glukometru i czekał na odczyt. 130.

Doskonale. Nie potrzebuje żadnych złych wiadomości ze swojego organizmu. Nie teraz, i nigdy w przyszłości.

— Dziękuję Ci, Panie — wyszeptał, zasuważąc przybornik.

On i Dooley przemierzali kilkoma susami park Baxter z Barnabą na czerwonej smyczy, następnie skręcili w lewo i pobiegli w górę Old Church Lane.

Biegli ramię w ramię aż do przecznicy prowadzącej do szpitala, gdzie Dooley spojrział nagle na niego, uśmiechnął się i wystrzelił do przodu jak z procy.

Gdy przyglądał się, jak chłopiec oddala się w stronę grzbietu stromego wzgórza, dostrzegł natychmiast powód jego większej szybkości — nogi Dooleya Barlowe'a miały chyba metr osiemdziesiąt.

Biegł za nim z rezygnacją, ubolewając, że tak bardzo zaniedbał jogging. No cóż. W Whitecap wszystko się zmieni. Całe to świeże morskie powietrze i bryza znad oceanu, i czysta, szeroka plaża, ciągnąca się całymi kilometrami...

Nawet do kancelarii, która znajdowała się w podziemiach oddalonego zaledwie o dwie przecznice od Dove Cottage kościoła, będzie chodził na piechotę. Ponadto nie tylko jego kondycja fizyczna ma ulec radykalnej poprawie. Razem z przesyłką ich artykułów gospodarstwa domowego Cynthia wysyłała swój stary błękitny rower marki Schwinn i zamierzała zostawić mazdę w Mitford. Komu potrzebny jest samochód na wyspie długiej na osiemnaście i szerokiej na sześć kilometrów? Podobno nawet wielu jej mieszkańców porusza się na dwóch kółkach.

— Rozglądajcie się na prawo i lewo — radził im Omer. — Żeby was tam nie rozjechali, bo jeżdżą na rowerach jak popadnie.

— Poczekaj! — zawołał do Dooleya.

Dooley odwrócił się roześmiany i przez jedną ulotną chwilę ojciec Tim ujrzał, jak słońce błyszczy w rudych włosach chłopca, i dostrzegł wyraz jego błękitnych oczu. Był to wyraz triumfu i radości, wyraz, którego nigdy wcześniej, ani razu, nie widział na twarzy Dooleya Barlowe'a.

Nie wiedział, czy ma krzyczeć z radości, na co miał ochotę, czy płakać, z którego to pomysłu zrezygnował natychmiast. Ruszył więc do przodu, pokonując dystans pomiędzy nimi, i otoczył chłopca ramionami, i powiedział mu coś, co musiało zostać powiedziane teraz, natychmiast i ani chwili później.

— Kocham cię, przyjacielu — wyznał, dysząc i śmiejąc się jednocześnie. — Niech mnie licho, jeśli tak nie jest.

Siedzieli na kamiennym murku, spoglądając na dolinę, na misterny patchwork. Tam, za drzewami, widać było wieżę kościelną, a tam, ledwie zauważalny błysk torów kolejowych... tam znowu, staw przy sadzie, w którym — jak wiedział — pływają kaczki.

A nad tym wszystkim, ciągnące się po drugiej stronie doliny, wysokie, zielone wzgórza, które rysowały się na tle błękitnego i bezchmurnego nieba. Był to jego ulubiony widok, najbardziej ulubiony na całej ziemi.

— Chciałbym, żebyś coś wiedział — powiedział do Dooleya. — Wierzę, że znajdziemy Sammy'ego i Kenny'ego.

Ojciec Tim poszedł do Creek z Lace Turner i zabrał stamtąd młodszego brata Dooleya, Poobaw. Później pojechał na Florydę, wiedziony niczym więcej jak tylko przeczuciem, i znalazł młodszą siostrę

Dooleya, Jessie. Teraz brakowało jeszcze dwójki z pięciorga rodzeństwa Barlowe'ów. Ich matka, Pauline, która wracała do normalnego życia po latach ciężkiego alkoholizmu, nie miała pojęcia, gdzie mogą się znajdować. Na ile sam był w stanie sprawdzić, nie istniały żadne wskazówki, żadne ślady, nic. Miał jednak nadzieję — ten rodzaj nadziei, która pochodzi z miejsca świętszego niż rozum czy zdrowy rozsądek.

— Czy będziesz w to wierzył razem ze mną? — poprosił Dooleya.

Mięsień zadrgał na policzku Dooleya.

— Poradziłeś sobie całkiem nieźle z Poo i Jessie. Barnaba upadł na trawę przy nogach Dooleya.

— Wydaje mi się, że jesteśmy już coraz bliżej wyboru kilku college'ów, nad którymi należałoby się zacząć zastanawiać.

— Tak. Może Cornell.

— Masz jeszcze trochę czasu do podjęcia decyzji.

— Może University of Georgia.

— Może. Oni specjalizują się w dużych zwierzętach; właśnie to cię interesuje. W każdym razie, wszystko przed tobą. Na razie zbieraj informacje, zastanawiaj się i módl w tej sprawie.

— Tak.

— Jesteśmy z ciebie bardzo dumni, synu. Będzie z ciebie świetny weterynarz. Pokonałeś — my razem — pokonaliśmy długą drogę.

Zapadła chwila niezręcznej ciszy.

— Co cię trapi? — zapytał ojciec Tim.

— Nic.

— Porozmawiajmy o tym.

Dooley zwrócił się do niego wdzięczny za zaproszenie.

— Wygląda na to, że mógłbyś mi pożyczyć pieniądze, a ja ci oddam. Pracując przez sześć dni w tygodniu za pięć dolarów na godzinę, będę miał tysiąc sześćset dolarów. Plus jakieś trzy ogródki tygodniowo, średnio dwadzieścia za każdy, liczę siedemset dolarów, to razem dwa tysiące osiemset.

Poczuł się nagle zupełnie jak pomiędzy młotem i kowadłem...

— Prawie trzy tysiące — stwierdził Dooley, dobitnie akcentując słowa. — Udałoby mi się prawdopodobnie zarobić równe trzy, gdybym sprzątał strychy i piwnice w domach.

Aha. Nie spodziewał się, że trzy tysiące dolców odegrają kluczową rolę w kwestii zakupu samochodu. Spoglądał na roztaczający się przed nim widok niewidzącymi oczami.

— To po prostu nie jest właściwa pora. Nie możemy być tutaj, a to bardzo istotna kwestia. Poza tym wiesz, że uzgodniliśmy, że będziesz miał samochód następnego lata. Jeśli nadal będziemy w Whitecap, przyjedziesz tam i wszystko będzie dobrze. — Spojrzał na Dooleya. — Możesz twierdzić, że jestem surowy, ale to niemożliwe.

Dooley odwrócił się i powiedział coś do siebie.

— Powiem ci, co zrobimy. Razem z Cynthią podarujemy ci równowartość tego, co zarobisz tego lata.

Podejmował pochopną decyzję, ale dlaczego nie? Nadal miał ponad sześćdziesiąt tysięcy dolarów z pieniędzy swojej mamy i był właścicielem domu bez kredytu. Tak należało zrobić.

Dooley spoglądał przed siebie, kopiąc w murek piętami.

Gdyby Dooley Barlowe tylko wiedział to, co on wie — że Sadie Baxter zostawiła chłopcu w testamencie okrągły milion i dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów, które staną się jego własnością gdy skończy dwadzieścia jeden lat. Znał ten fragment listu panny Sadie na pamięć: „Ufam, iż nie powie mu Ojciec o tym, dopóki nie będzie dość dorosły, by przyjąć to z godnością”.

— Posłuchaj. Pozwoliliśmy ci wybrać pomiędzy pozostaniem w Mitford a latem nad morzem. To bardzo duża swoboda. Nie zmuszaliśmy cię do zrobienia niczego, czego nie chciałbyś zrobić. Musisz nam to przyznać. Samochód to zupełnie inna sprawa. Nie będzie nas na miejscu, żeby...

— Harley będzie na miejscu przez cały czas, pozwoli mi jeździć swoją ciężarówką więc co za różnica, czy będę miał swój samochód?

No tak, do licha, co za różnica?

— Ale tylko raz w tygodniu, jak dobrze wiesz, i będziesz musiał być w domu o jedenastej.

Ojciec Tim wstał zdenerwowany. Nigdy mu się nawet nie śniło, że będzie wychowywał nastolatka. Gdy miał tyle lat, ile Dooley, w Holly Springs w Missisipi, nie znał nikogo, kto w jego wieku miałby samochód. Dzisiaj kupowano takie prezenty chłopcom lekką ręką i było to tak, jakby odbierali burgera przy okienku w restauracji fast food. Prawdę powiedziawszy, wielu z nich kończyło jako dekoracja przedniej maski tira — nie ciężko ranna, ale martwa. Miał zbyt wiele lat, żeby mieć pod opieką nastolatka, zbyt wiele lat, żeby poradzić sobie z tym, tak jak inni ludzie, inni rodzice, najwyraźniej sobie radzili.

— Słuchaj — powtórzył, chodząc tam i z powrotem wzdłuż kamiennego murku — rozmawialiśmy już o tym po raz pierwszy kilka miesięcy temu. Zupełnie nie przeszkadzało ci, że nie będziesz miał samochodu tego lata; uzgodniliśmy to. Poprosiłeś mnie nawet, żebym odszukał pompkę do roweru, abym mógł napompować koła.

Bardzo dobrze wiedział, co się stało. To ten przeklęty wrangler.

— Czy Tommy dostanie samochód tego lata?

— Nie. Pracuje, żeby odłożyć pieniądze i kupić sobie za rok samochód. Odłożył tylko osiemset dolarów.

To z pewnością brzmiało pocieszająco.

— W takim razie, posłuchaj. Harley miał kosić obydwie nasze ogródki raz w tygodniu, ale dlaczego nie miałbym tobie dać tej pracy? Zapłacę za każdym razem dwadzieścia dolarów za obydwie domy.

— Buster Austin wzięłby piętnaście dolarów za każdy, to razem trzydzieści. Będę kosił obydwie za dwadzieścia pięć.

— Zgoda!

Spojrzał na chłopca, którego kochał, na chłopca, dla którego zrobiłby wszystko. Prawie wszystko.

Padało przez całą noc, spokojny, bębniący deszcz, który był dla niego po stokroć bardziej językiem lata niż jakiegokolwiek słońce. Słuchał go przez otwarte okno w sypialni. Było już dobrze po północy, a on nie spał, nie była to jednak męcząca bezsenność. Wyjdą obronną ręką z całego tego zamieszania, bolesnego procesu tworzenia i przekuwania, i życie będzie trwało nadal.

Lekkie, świszczące chrapanie żony było dla niego niczym opoka.

Spiesząc w dół Main Street o siódmej rano, zobaczył Evie Adams w jej skąpanym deszczem ogródku, ubraną we frotowy szlafrok i uzbrojoną w solniczkę.

— Czterdzieści dwa! — zawołała na powitanie.

Wiedział, że chodzi jej o ofiary w ślimakach. Evie była w stanie wojny ze ślimakami od czasu, gdy doszczętnie wyjadły jej całą kępę błękitnej funkii. Minęło już kilka lat od tego nadzwyczaj agresywnego ataku, ale Evie go nie zapomniała. Uniósł pięść wysoko w górę w geście braterskiej solidarności.

On też miał przecież funkii...

— Jeśli będę się musiał z tobą pożegnać kolejny raz, to zwymiotuję — wyznał Mule.

Szczerze mówiąc, Mule wzruszył się nieomal do łez, widząc, że jego stary przyjaciel znalazł w ogóle czas, żeby zaglądnąć do baru Grill. Ojciec Tim mógł przecież pakować samochód albo zakręcać zawór z wodą na ulicy, czy też informować o zmianie adresu na poczcie — mógł robić wszystko to, co się robi, wyjeżdżając na koniec świata.

— Wątróbka bez dodatków — zwrócił się ojciec Tim do Percy'ego, wślizgując się do boksu. — Podwójna.

— Wątróbka? Nie zamawiałeś wątróbki ani razu przez ostatnie dziesięć czy może dwanaście lat.

— Tak. Ale właśnie to zamawiam. — Uśmiechnął się do osłupiałego Percy'ego. — I pośpiesz się z tym.

Zjedzenie wątróbki było ryzykowną decyzją, szczególnie podwójnej porcji, ale był w beztroskim nastroju.

Percy mocno zacisnął usta, tak że tworzyły wąską kreskę, i odkroił dwa plastry z bloku wstępnie przygotowanej wątróbki. Nie aprobował sytuacji, w której długoletni klienci baru Grill przeprowadzali się w inne miejsce. Po pierwsze, ojciec Tim przychodził do baru od szesnastu, może siedemnastu lat; był stałym klientem. Tak po prostu rzucić to i uciec, jednym beztroskim gestem odbierając i powierzając jego biznes w porze lunchu i śniadania zupełnie obcym ludziom, było... nie potrafił nawet znaleźć właściwego słowa, żeby to określić.

Po drugie, nie był w stanie zrozumieć, jak w ogóle można chcieć opuścić Mitford. On osobiście wyjeżdżał z Mitford tylko dwa razy — gdy Velma była w ciąży i jechali odwiedzić kuzynów w Avery County oraz gdy on i Velma wybrali się na ten cholerny rejs statkiem po Hawajach, na który zostali wysłani przez dzieci, czy tego chciał, czy nie.

Najgorsze jednak nie było wcale to, że ojciec Tim wyjeżdżał z Mitford, ale że wyjeżdżał w miejsce, które kiedyś oderwało się od kontynentu, na litość boską, i co do którego nie można było mieć pewności, że się stąpa po bezpiecznym gruncie. Tak więc miał oto do czynienia z osobą, o której myślał, że jest rozsądna i mądra, a której zachowanie wyraźnie dowodziło, że jest odwrotnie.

Umieszczając dwa grube plastry na syczącym grillu, Percy potrząsał głową. Za każdym razem, gdy myślał, że udało mu się zrozumieć trochę lepiej ludzką naturę, działo się coś takiego i musiał zaczynać od nowa.

J.C. Hogan opadł ciężko na siedzenie w boksie.

— A niech mnie! — westchnął, osuszając twarz pomiętą chusteczką. — Gorąco dzisiaj jak w piekle. Mam nadzieję, że wiesz, jak gorąco potrafi być tam, gdzie jedziesz.

Ojciec Tim zakrył uszy dłońmi i zamknął oczy.

— Spójrz tylko — zachęcał go J.C. Cisnął na stół pachnącą jeszcze farbą drukarską „Muse”. — Jesteś na pierwszej stronie.

— Po co?

Mule przyciągnął ośmiostronicowe wydanie gazety na swoją stronę stołu i poprawił okulary.

— Pozwólcie, że przeczytam. No tak. Proszę bardzo. — Pośrednik handlu nieruchomościami odchrząknął i przeczytał na głos.

— „Z miasta — Vanita Bentley...” Bla, bla, bla, OK, oto najważniejsze. „Ojciec Kavanagh traktował wszystkich jak równych pod względem inteligencji i osiągnięć, czyniąc swoim prawdziwym Kościołem domy, chodniki i małe firmy w Mitford...” „Bez względu na to, czy wierzyliśmy, czy nie, kochał nas wszystkich”.

Ojciec Tim poczuł, jak jego twarz oblewa ciepły rumieniec.

— Daj mi to — powiedział, wrywając gazetę.

— O co chodzi? — zaniepokoił się J.C. — Nie podoba ci się?

Nie wiedział, czy mu się podoba. Wiedział tylko, że brzmiało to jak... nekrolog.

Pracował teraz w skupieniu, usiłując dopilnować wszystkich spraw.

Dzięki Bogu, mieli już to prawie za sobą, siedzieli na walizkach. Podeszedł do całej tej kwestii wyjazdu, jakby to była sprawa życia i śmierci, podczas gdy w rzeczywistości wszystko zamknie się w obrębie roku, góra szesnastu miesięcy, potem wróci do Mitford, a połowa mieszkańców nie zdąży się nawet zorientować, że wyjechał.

Dotarł do pokoju Louelli w Domu Nadziei, ciężko oddychając. W testamencie panna Sadie przeznaczyła dla towarzyszek swojego życia pokój numer jeden, który był najwspanialszym pokojem w całym budynku.

Louella wzięła do ręki pilota, który leżał na jej szerokich kolanach, i ściszyła *Wszystkie moje dzieci*.

— Wygląda ojciec jak z krzyża zdjęty! — zawołała zaniepokojona.

— Ach... — odparł, nie potrafiąc wymyślić nic lepszego.

— A to ojca urodziny! — zganiała go.

— Naprawdę?

— Kończy ojciec dzisiaj sześćdziesiąt sześć lat!

— Louello, czy ja przypominam ci, ile ty masz lat?

— Słonko — odparła, wyglądając na zadowoloną z siebie — nie wiesz, ile mam lat.

Odwiedzał Louellę codziennie, odkąd umarła panna Sadie. Czasami grali w warcaby, ale dużo częściej śpiewali pieśni. Myśl o tym, że ją zostawi, sprawiała, że czuł się jak pospolity przestępca...

— Jak twoje kolano? — zapytał, całując ją w ciepły policzek czekoladowego koloru. — Jak twoje zapalenie pęcherza? Czy zaczęłaś już zajęcia z garncarstwa?

— Niech ojciec usiądzie na swoim krześle — poleciła.

Zawsze siadał na jej podnóżku, co sprawiało, że czuł się jak dziewięciolatek. Na marginesie, było to całkiem przyjemne uczucie.

— A teraz — zaczęła, promieniejąc — nie będziemy rozmawiać o kolanach i pęcherzach, a jeśli chodzi o zajęcia z garncarstwa, to postanowiłam, że nie będę się babrać w żadnej glinie. Chcę śpiewać, a nie ma tutaj prawie nikogo, komu by słoń na ucho nie nadepnął.

— Zaśpiewam z tobą kilka linijek — zaproponował, od razu czując się lepiej.

— Ja zaśpiewam pierwszą zwrotkę, ojciec drugą, a trzecią zaśpiewamy razem, w chórze.

Louella zamknęła oczy, uniosła do góry dłonie i zaczęła powoli śpiewać swoim głębokim mezzosopranem.

Król Miłości jest pasterzem mym,

Na wieki Jego dobroć;

Nie zawiedzie mnie w niczym,

Jest obok mnie na wieczność.

Odczekał dwa takty i zaczął śpiewać drugą zwrotkę, zupełnie nie zważając na to, czy słyhać go pod samym pomnikiem.

Prowadzi do wody życia,

Mą odkupioną duszę,

I na zielonych pastwiskach

Niebieski pokarm daje.

Dwie siostry wsunęły przez drzwi głowy, uśmiechając się, właśnie kiedy wspólnie z Louellą zaczęli śpiewać trzecią zwrotkę.

Błądziłem, uparty i zły,

On, kochając, szukał mnie,

Do domu na ramieniu swym,

Z radością zaniósł mnie.*

* *The King of love my Sheperd is* — pieśń autorstwa Sir H.W. Bakera (1821-1877).

Milczeli przez chwilę.

— Od razu lepiej — stwierdziła Louella — prawda?

Kiwnął głową, czując, że jest bliski łez. Było to coś na kształt smutku, który zdawał się go nie opuszczać od mniej więcej tygodnia.

— Zmaga się ojciec ze zbyt wieloma problemami — zauważyła Louella.

— Trzeba się zmagać, Louello.

Tam, na zewnątrz, miał ochotę dodać, wszystko jest zmaganiem.

— Może wyprzedził ojciec Boga i chce teraz prowadzić.

Wstał i wyglądnął przez okno na zieloną dolinę, którą nazywał misternym patchworkiem. Może miała rację.

Louella nieczęsto podnosiła się z fotela ostatnimi czasy, ale teraz wstała i stanęła obok niego, i oparła mu na ramieniu rękę.

— Wie ojciec, że co rano modłę się za ojca i pannę Cynthię i nie zamierzam przestać. Za każdym razem, gdy będzie tam ojcu ciężko, proszę tylko pomyśleć: Louella modli się za mnie, i robić, co do ojca należy.

Gdy wychodził z pokoju numer jeden, odkrył, że nuci melodię. Nie mógł sobie przypomnieć, kiedy ostatnio mu się to zdarzyło.

— *Prowadzi do wody życia, mą odkupioną duszę...*

Może prawdziwy problem nie polega na tym, jak Louella poradzi sobie bez niego, ale jak on poradzi sobie bez Louelli?

Pośpieszył korytarzem i znalazł Pauline, która kończyła właśnie pracę w jadalni.

— Pauline?

— Ojczy!

Uścisnął ją.

— Jakie masz wieści od Bucka?

— Wraca do domu piętnastego października.

— A my zjedziemy dwudziestego piątego, po której to dacie osobiście dopilnuję tego, żebyś została panią Leeper.

Uśmiechnęła się i spojrzała na swoje dłonie. Nigdy wcześniej nie wyglądała tak pięknie. Prawdę powiedziawszy, cud przyglądania się, jak Pauline Barlowe powoli staje się nowym człowiekiem, był niczym cud obserwowania, jak stopniowo rozchylają się płatki jego róży Souvenir de la Malmaison.

— Tego właśnie chcesz, prawda?

— Ponad wszystko. Tak, proszę ojca.

— Czekalaś i doceniam to. Jak przebiega jego praca na Alasce?

— Naprawdę dobrze. Mówi, że ukończy ją na czas.

— Jak zawsze — rzucił dumny z niej. — A Jessie i Poo? Co oni myślą o tym, co was czeka?

— Są podekscytowani. — Zawahała się, a potem odważyła się użyć słowa, któremu nigdy w swoim życiu nie ufała: — Szczęśliwi!

Pokiwał głową zadowolony.

— Dooley pod opieką Harleya będzie w bezpiecznych rękach i wiem, że często będzie cię odwiedzał. Być może będziesz chciała...

„Przypilnować go”, chciał powiedzieć.

— Tak — odparła ze zrozumieniem.

Był już w połowie korytarza, gdy za nim zawołała:

— Ojcie! Odwrócił się.

— Tak?

— Tak strasznie nam przykro, że ojciec wyjeżdża.

— Zanim się zdążycie zorientować, będę z powrotem.

Uśmiechnęła się i pomachała do niego, a on przez jeden ulotny moment zobaczył w niej Dooleya. Może to sposób, w jaki przechylała głowę, i wysunięty podbródek...

— Boże, miej litość! — zawołała Punny, która wyglądała na wyczerpaną. — Już się nie mogę doczekać, kiedy wszyscy pojedziecie!

No proszę! Nareszcie słowa prawdy.

— Nawet sobie ojciec nie wyobraża, ile rzeczy Dooley potrafił zmagazynować w swoim pokoju. Musieliśmy to wszystko znieść do suterenu. Harley powiedział, że jak przyniesiemy mu coś jeszcze, to będzie musiał zamieszkać w swojej ciężarówce.

Piegowata Punny zanosła się śmiechem.

— Gdzie są moje wnuki? — Rozejrzał się.

Punny przyprowadzała czasem bliźniaki ze szkoły kościelnej trochę wcześniej. Sissy i Sassy miały nawet pewien zapas zabawek w żółtym domku. Był tam czerwony wózek, kilka lalek, pluszowe małpki, kredki i inne drobiazgi.

— Śpią jak zabite we frontowym pokoju, pani Hart mówiła, że rozrabiały przez cały dzień.

— Ojej.

— Ale na pewno ucieszą się na widok swojego dziadka.

Punny uśmiechnęła się szeroko. Ten nieszczęśnik stojący przed nią nigdy nie zaznałby radości posiadania wnuków, gdyby nie jej hojność. Obdarowała go swoimi dziećmi ze szczerego serca, a on poczuł się w roli dziadka jak ryba w wodzie. Szczerze mówiąc, Sassy uwielbiała swojego dziadka i często całowała jego fotografię w ramce, którą Punny dumnie postawiła w domu. Poklepał się po kieszeni.

— Czekam na nie, gdy się obudzą.

— Przez te cukierki od ojca powypadają im ząbki.

— Raz w tygodniu dwa małe kawałeczki? Wątpię. Poza tym — zauważył — i tak im wypadną.

Pokiwała głową z politowaniem, szczęśliwa, że ktoś, kogo kocha, kocha również jej trzyletnie bliźniaczki. Gdy ojciec wyjedzie, i Cynthia, zawsze taka radosna i pomocna, nie będzie już tak samo...

Do mieszkania Harleya w suterrenach powędrowały ostatnie fragmenty ekwipunku Dooleya, a ojciec Tim pomógł mu wysprzątać wzdłuż i wszerz jego pokój w domu. Ponadto cała wysyłka książek do Whitecap była spakowana i zaklejona, czekając na przedstawiciela firmy przewozowej, który zgłosi się po nią jutro.

Przed wspięciem się na górę, żeby wziąć prysznic, położy się i oprze głowę na poręczy sofy, ale tylko na chwilę, oczywiście.

Dzisiaj były jego urodziny, ale po raz pierwszy w życiu nie miał dość siły, żeby przeczytać Listy świętego Pawła do Tymoteusza. Od ukończenia seminarium dokładał starań, aby przeczytać je w dniu albo tuż przed lub po swoich urodzinach. Być może to doroczne rozpamiętywanie Pisma Świętego stanowiło jeden ze sposobów regenerowania sił.

— „Do Tymoteusza, swojego umiłowanego dziecka — wyszeptał, cytując jeden z wersetów dobrze mu znanego Drugiego Listu. — „Łaska, miłosierdzie, pokój od Boga Ojca i Chrystusa Jezusa, naszego Pana... Ty zaś czuwaj we wszystkim, znoś trudy, wykonaj dzieło ewangelisty, spełnij swe posługiwanie!” — Zapadał się w sofę. — „Opończę, którą pozostawiłem w Troadzie u Karpa — szepnął, to był jego ulubiony fragment — zabierz po drodze, a także księgi, zwłaszcza pergaminy...”

— Timothy!

To jego żona, wołała go z wejściowego holu.

— Czy możesz tu przyjść na chwilę?

Zmusił się, by wstać z sofy, i podreptał wzdłuż korytarza posłuszny jak baranek.

— Wzywałaś mnie? — zapytał, pocierając oczy. Uśmiechnęła się.

— Wyjdź ze mną na ganek.

— Po co? — zapytał zniecierpliwiony.

— A dlaczego by nie? — odpowiedziała pytaniem, biorąc go za rękę.

Zauważył, że robi wrażenie wyjątkowo... podekscytowanej, jakby za chwilę miało wydarzyć się coś wyjątkowego.

Gdy wyszli na ganek, zauważył go natychmiast. Elegancki czerwony kabriolet stał przy chodniku, z opuszczonym dachem. Prawie nikt nie parkował przed ich domem...

— Jestem ciekawy, do kogo należy.

— Patrzę na niego — wyjaśniła Cynthia.

Jego żona promieniała jak bożonarodzeniowa choinka.

— Jak to, patrzysz...

— Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, kochanie!

W sekundzie zaczęła całować jego twarz — obydwie policzki, nos, usta.

— Ale to niemożliwe, żebyś...

— Jest twój! Dla ciebie, ode mnie, na naszą wyprawę do Whitecap, żebyśmy szaleli nim jak nieodpowiedzialne młokosy, w słońcu i w deszczu, w śniegu, a co tam!

— Ale...

Zupełnie bezwiednie usiadł nagle, jak ścięty z nóg, na najwyższym stopniu.

Roześmiała się i usiadła razem z nim.

— I co o nim myślisz?

Wpatrywał się w samochód, zdumiony, zupełnie niezdolny do myślenia.

— Ale — oponował słabo — jest czerwony.

— I co z tego? Czerwony to bardzo dobry kolor.

— Ale ja jestem księdzem!

— Tym lepiej! — zawołała. — Kochanie, nie traktuj mnie z góry. Zrozumiał, że jest o krok od tego, by urazić ją do żywego.

— Ale buick...

— Co z buickiem?

— Jest... jest nadal w idealnym stanie. Uniosła do góry brew.

Nagle przyszła mu do głowy jeszcze jedna myśl, dużo gorsza niż wszystkie poprzednie.

— Nowy ksiądz, zajeżdżający do miasta jak gwiazda rockowa... co ludzie pomyślą?

— Nigdy nie martwię się tym, co pomyślą ludzie — nigdy! Nie spaliśmy razem przed ślubem, a mimo to, pomyśl tylko, jak ludzie musieli mieć językami, gdy skradaliśmy się tam i z powrotem przez żywopłot.

— Ja się nigdy nie skradałem — zaprzeczył oburzony.

— Timothy, ale ty masz krótką pamięć. Ale z pewnością go nie kupiła.

— Jest wypożyczony! Prawda?

— Kochanie, poznajesz mnie? Jestem Cynthia, niczego nie wypożyczam. Jest twój. Oto kluczyk.

Wsunęła mu go do ręki.

Była zmęczona tymi podchodami, widział to. Usiłował wstać, ale usiadł z powrotem, czując, że ma miękkie kolana.

— Nie mogę w to uwierzyć — powtórzył z poczuciem winy. — Proszę, wybacz mi. Bóg mi świadkiem, bardzo ci dziękuję. Ale ten wydatek...

Dlaczego nie był w stanie przestać bełkotać o negatywach? A tak w ogóle, ile to mogło kosztować? Sama myśl była przerażająca... Poklepała go w kolano.

— To nieładnie mówić, ile kosztował prezent. Poza tym, jeśli naprawdę musisz wiedzieć, ma trzy lata i nie działa w nim radio.

— Wygląda na fabrycznie nowy!

— Ale jest kupiony za stare pieniądze. Tantiemy za *Violet jedzie na wieś* i *Violet idzie do szkoły*, ulokowane dawno temu w funduszu finansowym. Pracowałam bardzo ciężko, Timothy, i byłam tak oszczędna jak mysz kościelna — chciałam to zrobić.

Wstydził się zapytać, co to za marka. Nigdy nie potrafił odróżnić samochodów, w przeciwieństwie do Tommy'ego Nolesa, który rozpoznawał bezbłędnie packardy i oldsmobile, fordys i chevrolety. Szczerze mówiąc, studebaker był jedyną marką, co do której nigdy nie miał żadnych wątpliwości.

Może jaguar.

— To mustang GT — wyjaśniła jego żona z szelmowskim uśmiechem.

Otoczył ją ramieniem, przyciągnął do siebie i zanurzył w jej włosach twarzy.

— Zadziwiasz mnie, zawsze mnie zadziwiałaś, muszę po prostu posiedzieć tutaj i popatrzeć na niego przez minutę. Dziękuję, że jesteś taka cierpliwa.

Czuł, jak wzbiera w nim dziki śmiech, tak jak przed chwilą czuł łzy. Co za dziwnej huśtawki uczuć właśnie doznawał?

— Nie zasługuję na niego — stwierdził.

No właśnie. W końcu był w stanie ująć istotę problemu. Uniosła dłoń w kierunku jego policzka.

— Nie zasługujesz? A od kiedy to w miłości można na coś zasłużyć?

— To prawda — zgodził się.

Czuł, że serce zaczyna mu walić jak młotem na widok samochodu stojącego tak spokojnie przy chodniku, który zdawał się przytłaczać dom i mieszkających w nim ludzi.

Zdał sobie sprawę, że jest o krok od zranienia jej, trzymając się tak kurczowo swoich przyzwyczajzeń. Nie, nigdy nie uwierzyłby, że będzie jeździł czerwonym kabrioletem, za nic w świecie, ale wiedział, że za wszelką cenę musi zacząć w to wierzyć — i to natychmiast.

Poczuł, jak na twarz wypływa mu uśmiech, i wiedział, że nie będzie mógł powstrzymać śmiechu, który w nim wzbiera.

— Poczekaj, aż Dooley go zobaczy! — zawołał, gdy wychodzili na ulicę.

Rozdział trzeci

DO BIEGU GOTOWI, START!

— Timothy!

W ostatnich dniach żona wołała go nieustannie. Ze szczytu schodów, z głębin suterren, z odległych zakamarków nowego garażu. Wszędzie słychać było tylko Timothy i Timothy.

— Tak? — zawołał donośnie z salonu.

— Czy naprawdę potrzebny jest nam ten żeliwny rondel?! — krzyknęła z holu, gdzie gwałtownej redukcji ulegały rzeczy, które miały zostać zapakowane do samochodu.

— Jak inaczej będę mógł przyrządzić pieczeń wieprzową? — zawołał w odpowiedzi.

— Nie wydaje mi się, żeby ludzie nad morzem jadaliby pieczeń wieprzową! — wyjaśniła.

Nie cierpiał krzyków.

Cynthia zjawiała się w salonie. Włosy przewiązała bandaną, na sobie miała szorty i T-shirt. Wyglądała jak uczennica dwunastej klasy w szkole w Mitford. Dlaczego jego żona wygląda coraz młodziej, podczas gdy on robił się coraz starszy? To nie jest sprawiedliwe.

— Wydaje mi się — przekonywała, ocierając pot z czoła — że ludzie mieszkający nad morzem jedzą skorpenę albo pieczonego na grillu tuńczyka, albo... — Wzruszyła ramionami. — No wiesz.

Niezadowolony wziął od niej ciężkie naczynie.

— Zostaw — odparł, niosąc rondel do kuchni.

— I czy naprawdę myślisz — huknęła z salonu — że potrzebujemy te gumowce, w których plewisz ogródek?!

Wrócił do salonu.

— Co mówiłaś?

— Te ogromne zielone buty. Te gumowce.

— Co z nimi?

— Przecież nad morzem nie będzie błota! Westchnął.

— Poza tym nie możemy niczego załadować na dach... — uśmiechnęła się, huśtając się w przód i w tył jak dziecko — ponieważ dach będziemy mieć opuszczony.

— Wyrzuć buty.

— I kuchenkę turystyczną. Na co będzie nam potrzebna kuchenka turystyczna? Nie będziemy przecież biwakować.

Jak tak dalej pójdzie, ani się obejrzy, a ruszą w drogę zaopatrzeni zaledwie w jedną zmianę bielizny i pudełko akwareli. Poza tym planował, że może jednej nocy przyrządzą kolację na plaży, pod gwiazdami, na kocu...

Zarumienił się na samą myśl.

— Bierzemy kuchenkę — zdecydował.

Szybko zrobił ostatni przegląd całego domu, ponownie wysuwając szuflady w kuchni, sprawdzając dłońmi górne półki w salonie, zaglądając do szafek na lekarstwa.

Każdy kąt wymieciony.

Ich lokatorka wprowadza się jutro, przywoząc ze sobą — jak to określiła — „kilka sprzętów”, fortepian i kota, i nie chciał, żeby przywiłały ją jakieś jego śmieci. Od kiedy wprowadził się po ojcu Bellwetherze w Alabamie, zawsze pamiętał o tym, żeby wysprzątać każdy dom, który opuszczał.

Ojciec Bellwether zostawił po sobie fordę z 1956 roku na cegłach, kilka toreb pełnych starych koszul i swetrów, zestaw połamanych kijów do golfa, trzy dywany pogryzione przez psy, przeróżne sprzęty kuchenne, kilka drzwi bez klamek, bogatą kolekcję kryminałów w miękkich okładkach i innych trudnych

do zidentyfikowania śmieci. Ponieważ ojciec Tim postanowił nie skarżyć się radzie parafialnej, która go powołała, użył łopaty i wynajętej ciężarówki, żeby uprzątnąć dom, a w tym czasie firma zajmująca się przeprowadzkami wносиła jego rzeczy.

Echo jego kroków niosło się, gdy szedł korytarzem do drzwi prowadzących do suterenu. Otworzył je i zawołał:

— Harley, jesteś tam?

U stóp schodów pojawiła się Lace Turner. Jej blond włosy splecione były we francuskie warkoczki.

— Harley pisze test — wyjaśniła.

Wydawało mu się, że za każdym razem, gdy widzi piętnastoletnią Lace Turner, dziewczynka jest coraz piękniejsza, coraz bardziej pewna siebie. Ten surowy wyraz twarzy, który kiedyś u niej dostrzegał, zdawał się łagodnieć.

— Ale może ojciec zejść — zaprosiła go. — Już prawie skończył.

— Z czego ten test? — zapytał, schodząc do suterenu.

— Z historii. To jego ulubiony przedmiot.

— To nieprawda! — zawołał Harley z salonu.

Harley siedział na sofie z plikiem kartek na kolanach, używając jako podkładki do pisania książki w twardej okładce. Stojący na stoliku obok sofy wiatraczek poruszał się wolno, w lewo i w prawo.

— Była twoim ulubionym przedmiotem zaledwie tydzień temu — wyjaśniła cierpliwie, gdy wchodzili do pokoju.

— Wielebny, kazała mi się uczyć o Lewisie i Clarku*, jak wyruszyli na ekspedycję wzdłuż Missouri i poznawali tubylców...

— Brzmi interesująco.

— Ach, to jest ciekawe, zgoda, ale to pytanie, które tutaj napisała, brzmi: „Ile wodospadów jest na rzece Missouri?” Nikt mnie o to w życiu nie zapyta, nie muszę tego wiedzieć, to mi się nie opłaci...

— Harley... — przerwała mu Lace z surowym wyrazem twarzy.

— Dwa wodospady! — zaryzykował Harley.

— Nie. Mówiliśmy o tym wczoraj.

— Sześć!

* Meriwether Lewis i William Clark — szefowie ekspedycji zwanej Korpusem Badawczym (Corps of Discovery), która w 1803 roku na polecenie Thomasa Jeffersona, ówczesnego prezydenta Stanów Zjednoczonych, wyruszyła, by zbadać tereny wzdłuż rzeki Missouri i dalej, aż do Oceanu Spokojnego.

Lace potrząsnęła głową.

— Zastanów się — poradziła. — Nie lubisz myśleć, Harley.

— Czy nie zdobyłem osiemdziesięciu dziewięciu punktów z testu z działań matematycznych, który mi zrobiłaś?

Harley uśmiechnął się, odsłaniając całkowicie pozbawione zębów, różowe dziąsła.

— Tak, i możesz zdobyć sto z tego testu, jeśli tylko postarasz się przypomnieć sobie to, co czytałeś wczoraj.

Ojciec Tim w milczeniu zanurzył się w fotelu.

— Nic mnie to nie obchodzi, ile wodospadów jest na rzece Missouri. Nie piszę dalej, na Jowisza.

Harley położył ołówek na poręczu sofy i odsunął kartki na bok.

— Zamierzam nalać wielebnemu szklankę herbaty. Możesz podliczyć mi wynik z tego, co napisałem.

Harley poszedł do kuchni, wyglądając na tak zdeterminowanego jak jego nauczyciel. Odwrócił się w drzwiach.

— I powiedz wielebnemu kilka swoich mądrych słów.

Lace obrzuciła ojca Tima intensywnym spojrzeniem swych błyszczących, bursztynowych oczu.

— Bardzo dużo się nauczył — wyjaśniła.

Uzasadniała w ten sposób praktykę przychodzenia regularnie, aby uczyć mężczyznę, który bronił jej w czasach, gdy dorastała. To właśnie Harley często karmił Lace i ukrywał ją przed jej gwałtownym i okrutnym ojcem. Dla Lace nie było to bez znaczenia, że często dla jej dobra ryzykował własne życie.

Lace mieszkała teraz z Hoppym i Olivią Harperami, a proces adopcji był w toku. Ojciec Tim uważał, że uprzywilejowane życie z Harperami mogło zwrócić sympatie dziewczyny w innym kierunku. Ale nie. Lace często odwiedzała Harleya, nierzadko gotowała, aby pobudzić jego wybredny apetyt. Jeśli zaś chodzi o jej pragnienie, aby Harley stał się uczonym człowiekiem, edukacja Harleya Welcha wkraczała w trzeci rok.

Lace wzięła test i przyjrzała mu się. Jej wzrok szybko przesunął się po kartkach, a ona na przemian to wzdychała, to kiwała głową.

Ojciec Tim przyglądał się jej głęboko poruszony. Gdy spotkał ją po raz pierwszy, Lace Turner mieszkała w ziemi, pod swoim rozpadającym się domem w Creek, polując na jedzenie jak pies. Jej przemiana była cudem, który miał przywilej oglądać na własne oczy.

— Dziewięćdziesiąt — oświadczyła, zapisując wynik ołówkiem.

— To cudownie!

— Nie pomylił się w pisowni Willamette River.

— Dobrze! Mam nadzieję, że dasz mu za to kilka dodatkowych punktów.

Na twarzy Lace pojawił się jeden z jej rzadkich uśmiechów. Był oczarowany, bez dwu zdań.

— Dziewięćdziesiąt dwa wobec tego! — stwierdziła z zadowoleniem.

— Więc ile jest wodospadów? — chciał wiedzieć.

— Pięć.

— Aha.

— Przykro mi, że ojciec wyjeżdża — powiedziała.

— Dziękuję, Lace. Oczywiście nie wyjeżdżamy na zawsze, to tylko praca tymczasowa.

— Co to znaczy: „praca tymczasowa”? — dopytywał Harley, wchodząc z dwoma szklankami herbaty.

— Ta jest dla ojca — zwrócił się do ojca Tima — bez cukru.

— Na jakiś czas — wyjaśniła Lace.

— Na jaki czas? — zastanawiał się Harley.

— Na czas po zakończeniu jednego etapu w życiu i przed rozpoczęciem kolejnego — dodał ojciec Tim, śmiejąc się.

Lace uniosła do góry test.

— Zdobyłeś dziewięćdziesiąt dwa punkty. Czy Harleya zrobiły się okrągłe.

— Jak udało mi się zdobyć te dwa dodatkowe?

— Napisałeś poprawnie Willamette.

— Miałem to napisane na ręce. Nie, tylko żartuję, nie miałem. Podał jej herbatę.

— Tu jest twoja.

— Tutaj jest twoja — poprawiła go. — I bardzo ci dziękuję. Harley uśmiechnął się.

— Jest jak policja. Pilnuje mnie na każdym kroku.

Czasy, gdy woził alkohol, a potem pracował przy wyścigach samochodowych, nauczyły go kilku rzeczy o policji.

— Na Boga, potrafi czytać jak nakręcona, używa słów, których człowiek w życiu nie słyszał. Czy powiedziałaś wielebnemu jedno z tych twoich wielkich słów?

— Wszechobecny — szepnęła Lace.

— Co to, u licha, znaczy?

— Obecny wszędzie, w tym samym czasie.

— To prawie idealnie opisuje moją mamę. Miała oczy dookoła głowy. Ta kobieta była jak jastrząb.

Powiedz jeszcze jedno.

Zarumieniła się i spuściła oczy.

— Nie, Harley.

— Spójrz tylko, co ja dla ciebie zrobiłem.

— Nie zrobiłeś tego dla mnie, zrobiłeś to dla siebie. Harley pokiwał poważnie głową.

— Powiedz wielebnemu jeszcze jedno i już cię więcej razy nie poproszę.

— Hipotrepsja.

— Aha.

Lace pośpiesznie wypila herbatę i zebrała książki.

— Miło było się z ojcem spotkać. Harley, zjedz kolację dzisiaj wieczorem, i dziękuję ci, że tak doskonale poradziłeś sobie na teście.

— Dziękuję, że mnie uczysz.

— Doskonała robota, Lace! — zawołał ojciec Tim, gdy wychodziła przez drzwi prowadzące na podjazd.

Harley promieniał nieskrywaną dumą.

— Czyż ona nie jest wspaniała? Znam ją od czasów, gdy jeszcze nie odrastała od ziemi. Potrafi mnie zamęczyć na śmierć, ale jestem pełen podziwu dla tego dzieciaka.

Ojciec Tim pożałował, że jego słownik jest już zapakowany, ponieważ nie miał pojęcia, co znaczy „hipotrepsja”.

Siedział z Harleyem przy wiatraczku, który obracał się raz w lewo, raz w prawo.

— Dobry Boże, tylko pomyśleć o tej rdzy, którą tam mają — westchnął Harley, potrząsając głową. — Sam nie wiem, ale na ojca miejscu zaparkowałbym nowy wóz w garażu, a pojechałbym buickiem.

— Raczej nie.

W gwałtownie rosnącej temperaturze oficjalnej fali upałów mężczyźni rozmawiali jak we śnie. Harley pochylał się w stronę ojca Tima, żeby złapać strumień powietrza po lewej stronie; ojciec

Tim pochylał się w stronę Harleya, żeby złapać strumień powietrza po prawej stronie.

Obaj mieli łokcie oparte na kolanach, nieomal dotykali się głowami i spoglądali na podłogę.

— Myślisz, że poradzisz sobie z naszym chłopcem?

— Wielebny, proszę o nic się nie martwić. Ojca chłopiec będzie pracował, ja będę go pilnował, a Pan będzie czuwał nad całością.

— Sam nie wiem, Harley...

— Cóż, jeśli ojciec nie wie, to kto ma wiedzieć?

— Wygląda na to, że jestem Mu w stanie zawierzyć wszystko, z wyjątkiem nastolatka.

— Jeśli chodzi o moje zdanie, to przede wszystkim w tej sprawie powinien Mu ojciec zawierzyć.

Ojciec Tim poczuł strużkę potu pomiędzy łopatkami.

— Dopilnuj, żeby Dooley nie zapomniał o zanoszeniu wątróbki swojemu dziadkowi.

— Ma się rozumieć.

— Co drugi tydzień, tak właśnie lubi Russell. Harley pokiwał głową.

— Ściągnę te gniazda szerszeni z garażu w najbliższy piątek.

— Dobrze. Dziękuję.

— Nie zgrabie liści przed zimą, jeśli ojciec pozwoli, dobrze zrobią trawie.

— Doskonale.

— Posypię je korą, żeby łatwiej zgniły. Położę też kompost pod kwiaty w październiku.

— I róże...

— Przytnę je, tak jak ojciec prosił.

— Zapisałem numery telefonów obok twojego telefonu w kuchni. Podałem ci numer do kancelarii i do domu. Możesz do nas dzwonić o każdej porze dnia i nocy, bez względu na to, jak późno albo jak wcześnie będzie.

— Tak zrobię. I moja w tym głowa, żeby autko Cynthii chodziło jak brzytwa, gdy przyjedziecie do domu na ślub. Jeśli znudzi się jej jazda rowerem, będzie mogła nim tam wrócić.

— Dobrze, ale nie podrasuj jej za bardzo.

— Mazdy nie da się podrasować.

Doskonale pamiętał, jak kiedyś Harley majstrował przy jego buicku i w rezultacie samochód osiągał zawrotne prędkości; dwa razy mignął obok szefa miejscowej policji jak błyskawica. Nic dobrego.

Siedzieli przez chwilę w ciszy. Ojciec Tim oparł podbródek na dłoniach.

— I nie pozwól Dooleyowi grać tutaj zbyt głośnej muzyki, bo pozbędziemy się naszej lokatorki.

Harley westchnął.

— Jak Bóg na niebie, cudów czynić nie umiem.

Wyszedł nocą z domu, zlany potem, zostawiając w łóżku żonę śpiącą jak niemowlę.

Za dziesięć jedenasta. Zero księżycy. Jedyne wilgotna ciemność, która niezwykle wyraźnie ukazywała gwiazdy, gdy spoglądał w górę.

Nie byli przyzwyczajeni do takiego upału w górach. Mitford słynęło ze swojego chłodnego lata, które sprawiało, że mieszkańcy nizin ściągali w ich wyżynne tereny od maja do października, rozkoszując się cieniem drzew i delikatnymi bryzami, które oferowało miasto.

Spacerował z Barnabą po ogrodzie na tyłach żółtego domku, zatrzymując się pod klonem i słysząc, jak psi strumień moczu rozpryskuje się w trawie.

Prowadząca przez żywopłot ścieżka — co dostrzegł w świetle padającym z okna w salonie — nieomal całkowicie zarosła. Ostatnimi czasy Harley najczęściej używał frontowych drzwi, a od kiedy on starał się o względy sąsiadki, minęły już co najmniej trzy lata.

Uśmiechnął się, przypominając sobie cytat z Chestertona*: „Sami wybieramy sobie przyjaciół, sami przysparzamy sobie wrogów, ale to Bóg zsyła nam najbliższego sąsiada”.

* Gilbert K. Chesterton (1874-1936) — angielski pisarz.

Kiedyś siłę ich uczucia łatwo można było odgadnąć, przyglądając się szerokiemu przesmykowi w żywopłocie z rododendronów. Teraz gałęzie po każdej stronie porośniętej chwastami ścieżki nieomal się złączyły; żeby przedostać się na drugą stronę, należałoby zgiąć się wpół.

Gdy wchodził pod koronę tulipanowca, poczuł nagły chłód, jak gdyby wokół drzewa powstała bariera, powstrzymująca całodzienny upał przed zgromadzeniem się pod jego konarami.

Opadł ciężko na skąpą trawę pod tulipanowcem, a Barnaba leżał u jego stóp, dysząc.

Kolejne przyjęcie jutro wieczorem. Był już zmęczony przyjęciami, nie kończącymi się pożegnaniem, które ciągnęły się za nim od przyjęcia w grudniu ubiegłego roku w sali parafialnej z okazji jego przejścia na emeryturę. Pamiętał dziwne uczucie lekkości w głowie, jakie mu wtedy towarzyszyło, a samo zdarzenie zdawało się obecnie jedynie dziwnym i przykrym snem. Potem musiał odnaleźć się w nowej rzeczywistości, kiedy to nie pracował już dla Lord's Chapel, parafii, która była jednocześnie jego zbawieniem i utrapieniem i która ofiarowała mu najszcześniejsze lata życia.

Przejście na emeryturę było dokładnie tym, co chciał zrobić, a jednak gdy stało się faktem, czuł się nieswojo i miał wrażenie, że to nie dzieje się naprawdę. Można je było porównać do pierwszego spaceru ze sztuczną nogą.

Potań uszy swojego psa. W dotyku zdawały się kawałkiem aksamitu albo dziecięcym kocykiem niosącym ukojenie. Wpatrywał się ponad żywopłotem w podwójne kominy swojego domu widoczne w świetle ulicznej lampy.

Wydawało mu się, że od czasu, gdy tam mieszkał, minęła cała wieczność. Na wilgotnej trawie siedział teraz zupełnie inny człowiek.

Przez wiele lat życia w tym domu uczynił zwyczajem robienie tego, czego nauczył się w seminarium, a mianowicie na każdą minutę swojego kazania poświęcał godzinę pracy w salonie. Z oddaniem spędzał najpierw ponad dwadzieścia godzin, następnie piętnaście, a potem, już od kilku lat, dziesięć. Gdzie zniknęło to spokojne centrum jego życia? Miał wrażenie, że biegnie coraz szybciej i szybciej wokół drzewa, stojąc w miejscu.

Z drugiej strony, czyż jego życie nie było teraz bogatsze i głębsze, i bardziej realne niż kiedykolwiek przedtem? Tak! Zdecydowanie tak. Za nic w świecie by tego nie zmienił.

Bóg rzeczywiście sprowadził Cynthię Coppersmith do sąsiedniego domku i podarował mu ją. Małżeństwo jednak, ze wszystkimi jego rozkoszami i smutkami, zdawało się pęcznieć jak sucha gąbka zanurzona w wodzie i zajmować największą, najistotniejszą część jego życia. Z pewnością był to powód, dla którego niektórzy księża nigdy nie brali sobie małżonki i zostawali poślubieni swojemu powołaniu.

Barnaba przewrócił się na bok i oblizał wargi, rozkoszując się chłodnym nocnym powietrzem pod drzewem.

Kochał Cynthię Kavanagh; jego serce biło dla niej i nie, nigdy nie zrezygnowałby z jej śmiechu, z jej łez i z jej czarującego sposobu bycia. Ale dzisiejszej nocy, spoglądając na kominy skąpane w świetle ulicznej lampy, opłakiwał czasy całkowitej wolności, gdy nikt nie oczekiwał go w domu i nie martwił się tym, kiedy wróci; gdy mógł siedzieć z książką na kolanach, chrapiąc w fotelu z wysokim oparciem w czasie, gdy ogień płonący na palenisku powoli zamieniał się w żar...

Uniósł dłoń w stronę swojego domu, jakby oddając salut, pokiwał sam do siebie głową i zamknął oczy w chwili, gdy dzwony Lord's Chapel zaczęły wybijać ostatnią godzinę dnia.

Bam...

— Panie — powiedział na głos, jakby był razem z Nim pod drzewem — niech będzie Twoja wola.

Bam...

— Chron mnie przed zarozumiałością i pewnością siebie, i przed szukaniem w tej podróży przede wszystkim siebie.

Bam...

— Wierzę, że chcesz, abyśmy znaleźli się w Whitecap, i wiem, że czeka nas tam obfitość Twojej łaski.

Bam...

— Przygotuj nasze serca na spotkanie z nową parafią, a ich, aby były gotowe nas przyjąć.

Bam...

— Dziękuję Ci za błogosławieństwo mojej żony i za Dooleya; za ten czas i miejsce, i tak, Panie, nawet za tę zmianę...

Bam... Bam...

Dzwony zabiły dwa razy, zanim przyznał się przed sobą i nazwał strach w swoim sercu.

— Wybacz mi ten strach w sercu, którego nie wyznałem przed Tobą wcześniej, dopiero teraz.

Bam...

— Mówisz, że nie dajesz nam ducha bojaźni, ale mocy i miłościwi trzeźwego myślenia.

Bam...

— Łaskawy Boże... Przerwał.

— Oddaję Ci się całkowicie... na nowo.

Bam...

Wziął głęboki oddech i odczekał chwilę, następnie powoli wypuścił powietrze i zdał sobie sprawę, że odczuwa spokój, spokój, który nie zawsze przychodzi, ale teraz przyszedł.

Bam...

Lokatorka trochę go zaskoczyła. Niewysoka kobieta, dobrze po czterdziestce, trochę tęga i o łagodnym usposobieniu. Robiła wrażenie, że cofa się w siebie, aby zająć mniej miejsca. Wydawało mu się, że ma francuski akcent, ale nie był zbyt dobry w określaniu takich rzeczy.

Spotkali się późnym popołudniem w salonie jego domu, teraz wyposażonego skromnie w jej własną sofę i dwa fotele oraz fortepian Baldwin stojący pod oknem.

Ciasto wiśniowe, które przyniósł z cukierni Sweet Stuff, znajdowało się na stole przed sofą, na której siedziała. Jej stopy ledwie sięgały podłogi. Myślał, że po dniu przeprowadzki do obcego domu, w obcym mieście, będzie zupełnie wyczerpana, a ona — wręcz przeciwnie — wyglądała tak świeżo, jakby właśnie wstała po długiej drzemce.

— ...bardzo interesują mnie stare domy, ojciec — wyjaśniła.

— Cóż, z pewnością właśnie w takim domu teraz pani mieszka. Ten dom został zbudowany w 1884 roku i nie wprowadzono w nim żadnych istotnych zmian aż do czasu, gdy zamieszkał w nim w latach

pięćdziesiątych biskup. Zlikwidował on kominek w kuchni, a wybudował w salonie — bardzo przydatny w czasie naszych długich zim. Mam nadzieję, że nie przeszkadzają pani nasze długie zimy.

— Oczywiście, że nie. My mamy takie w Bostonie przerażająco często.

— Pan Skinner oprowadził panią — pokazał poddasze i sutereny?

— Z góry na dół.

— Wie pani, że może zadzwonić do niego w każdej chwili. Będzie się wszystkim zajmował w naszym imieniu... i w pani.

— Dziękuję, ojcze, i chciałam jeszcze raz podziękować, że zgodził się ojciec wynająć mi dom na tak krótki czas. Zawsze jest dobrze najpierw zbadać nowy grunt, *n'est-ce pas?*

— Oczywiście.

— Pan Skinner wspominał, że pan i panna Sadie byliście bliskimi przyjaciółmi.

— Tak, panna Sadie dużo dla mnie znaczyła. Czy pani ją знаła?

— Och, nie. Zobaczyłam jej imponujący dom z Main Street i próbowałam się o nim czegoś dowiedzieć. Jestem pewna, że zostawiła panu kilka pięknych rzeczy.

— Mogłem zabrać wszystko, co mi się podobało, ale prawdę powiedziawszy, nie wziąłem prawie nic. Moja żona znalazła haftowane na kanwie poduszki na krzesła, którymi jest zachwycona, więc...

Uniósł do góry otwarte dłonie i uśmiechnął się. W tej chwili na kolana wskoczył mu dosłownie znikąd duży kot. Dał się słyszeć dźwięk dzwonka zawieszonego na jego obróźnie.

— Wielkie nieba! — wykrzyknął.

— To Barbizon — wyjaśniła zupełnie niewzruszona Hélène Pringle.

Siedział sztywno, jakby kij połknął. Barbizon zajął całkowicie jego kolana i zapamiętałe lizał swoje białe łapy. Zapach ryb z puszki uniósł się ku jego nozdrzom niczym trujące opary.

Lokatorka spojrzała na niego.

— Mam nadzieję, że Barbizon panu nie przeszkadza.

— Och, nie. Ani troszkę. Koty zazwyczaj mnie nie lubią.

— Barbizon lubi przeróżnych ludzi, za którymi inne koty nie przepadają.

— Rozumiem.

— Ma imię na pamiątkę miejsca narodzin mojej matki we Francji, na południe od Paryża. Spędziłam tam dzieciństwo.

— No, no.

— Czy zna ojciec francuski?

— Słabo.

— Przypuszczam, że pan Skinner mówił ojcu, że będę dawała lekcje gry na pianinie...

— To cudownie! — zachwycił się. — Potrzebujemy w Mitford więcej muzyki.

— Miał sprawdzić, czy będę mogła umieścić tabliczkę.

— Aha.

— Oczywiście bardzo małą tabliczkę.

— Mam nadzieję, że nie nazbyt małą. Ludzie powinni ją zobaczyć!

— „Hélène Pringle. Lekcje gry na pianinie. Wiadomość na miejscu”.

Miał wrażenie, że wyrecytowała treść swojej tabliczki z pewnym smutkiem.

— Cudownie!

Spojrzał dyskretnie na zegarek i usiłował podnieść się z fotela, mając nadzieję, że długowłose stworzenie z żółtymi oczami zeskoczy na podłogę. Ale nie, trzymało się pazurami, z którego to powodu ojciec Tim usiadł na powrót, z wymuszonym uśmiechem.

— Muszę iść. Mamy wiele rzeczy do załatwienia w ostatniej chwili, rozumie pani.

Hélène Pringle kiwnęła głową.

— *Parfaitement!* Rozumiem ojca doskonale. — W takim razie...

Usiłował oderwać kota od swoich kolan, ale jeden pazur utkwił w rozporoku jego spodni. Do licha.

— Niegrzeczny chłopiec! — zganiła zwierzę Hélène Pringle.

Podniosła się z sofy, podeszła do niego i zabrała kota, który natychmiast rozluźnił pazury. Dostrzegł wtedy zmęczenie w oczach swojej lokatorki, w jej ściągniętej twarzy.

Opuściła duże zwierzę na podłogę, a ono zniknęło pod sofą Chippendale.

— Koty nie lubią przeprowadzek, wie ojciec. Westchnął ze zrozumieniem.

— A kto lubi?

— Życzę ojcu szczęśliwej podróży.

— I ja tego pani życzę, panno Pringle. Niech panią Bóg błogosławi i sprawi, żeby przeżyła pani tutaj wiele szczęśliwych godzin.

— Szczęśliwych godzin... — powtórzyła cichnym głosem.

— Ach, prawie zapomniałem. Klucz!

Harley wpuścił do domu lokatorkę i firmę przeprowadzkową.

Dał jej klucz do ręki i odkrył, że wpatruje się, jak leży na jej dłoni. Ona też spojrzała na przedmiot i przez jedną chwilę połączyło ich dziwne zrozumienie. Nie byłby w stanie powiedzieć, co dokładnie, ale wspomnienie o nim miało mu towarzyszyć przez bardzo długi czas.

Zastanawiał się, czy opuścić dach na przejażdżkę na wzgórzu do Lucery w obawie, że to jedynie spotęguje u Dooleya chęć posiadania samochodu.

— Opuść go, kochanie! — nalegała żona. — Po to przecież jest!

No cóż. Jest ciepły czerwcowy wieczór, a Dooley będzie musiał po prostu dorosnąć i znieść to jak prawdziwy mężczyzna...

— Hej, pozwól mi prowadzić — poprosił Dooley, gdy szli do samochodu, który pożerał wzrokiem przez cały dzień.

Ojcu Timowi wydawało się, że ich podopieczny wygląda jak wycięty z żurnala mody w swojej szkolnej marynarce, krawacie i jasnych spodniach.

— Wyglądasz wspaniale, jak wycięty z żurnala mody — pochwalił go ojciec Tim, śpiesząc na miejsce kierowcy.

— Pozwól mi jechać — powtórzył Dooley, nie dając się zbić z tropu. — To tylko jazda na wzgórze.

— Dlaczego nie, Timothy? To tylko jazda na wzgórze. — Cynthia wzięła pod ramię swojego męża i zaprowadziła go na miejsce pasażera. — Ale ja nie mogę siedzieć z tyłu, byłoby to zabójcze dla mojej fryzury.

Dwóch na jednego.

To, co pozostało mu na głowie z jego własnych włosów, fruwało na wszystkie strony, gdy wpadli z hukiem na podjazd Fernbank i ujrzeli światła jaśniejące w każdym oknie wspaniałego domu. Wciąż jeszcze się czesał, gdy wspinali się po schodach, a potem weszli przez otwarte frontowe drzwi.

Mrugnął. Potem mrugnął jeszcze raz.

— Jej! — zawołała z podziwem Cynthia.

— A niech mnie! — wykrzyknął Dooley.

Ojciec Tim dobrze pamiętał, jak niejedną raz splukiwał toalety panny Sadie deszczówką, która kapiała z tego właśnie sufitu do garnków na zupę i rondla do pieczenia indyka.

— Niemożliwe — wyszeptał Dooley, potrząsając głową z niedowierzaniem.

Przepastny hol wejściowy domu Fernbank stał się... jaki? Cudownie ciepły. Jakby mniejszy. Przytulniejszy. Nieomal drżał z ekscytacji. Czy to sen?

I muzyka — na Jowisza, to była opera, to był Puccini, nie wierzył własnym uszom. Wiele miesięcy upłynęło od czasu, gdy ostatnio słuchał opery, zagłuszanej przez zakłócenia płynące z jego radia w samochodzie.

— Czosnek! — zachwycała się jego żona, głęboko wciągając powietrze.

Pod ścianami w drewnianych koszach znajdowały się pomidory i chrupiące bochny chleba, pęki wonnych ziół i ogromne kiście winogron, żółte kule sera i butle oliwy z oliwek. Zawartość butelek jaśniała w płomieniu świec niczym stopione złoto.

— Timothy, patrz! Ściany.

Dobry Boże, ściany przypominały te, które stworzyła jego żona w kuchni ich domu kilka lat temu — dziobate, zadymione, prymitywne — zupełnie nie w typie panny Sadie. Panna Sadie boczyłaby się z tego powodu bez dwu zdań.

— Ojczy! Cynthia! Dooley! Witamy!

To gościnny Andrew Gregory, w jasnym lnianym garniturze, pojawił się w drzwiach jadalni.

Poczuł się nieomal pijany ze szczęścia, owładnięty zapachami, dźwiękami i widokiem ulubionego antykwariusza Mitford, przeistoczonego w szczęśliwego *maître d'hôtel*.

Mule i Fancy podeszli do stolika, przy którym siedzieli Kavanaghowie z Dooleyem oraz Harperowie z Lace Turner.

— Jak wymawia się nazwę tego miejsca? — zapytała szeptem Fancy. — Za nic w świecie nie jestem w stanie tego zapamiętać!

— Lu-czer-a! — krzyknęła Cynthia szczęśliwa, że może pomóc.

Fancy rozglądnęła się dookoła z niedowierzaniem.

— Są tutaj ludzie, których widzę pierwszy raz na oczy. Mule westchnął.

— Na taką imprezę trzeba mieć kieszenie bez dna — szepnął, idąc za Fancy do ich stolika w rogu.

Ojciec Tim był prawdziwie oczarowany swoimi towarzyszami przy stole, wszystko wydawało się takie pełne życia. To była po prostu dobra... zabawa, coś, co zawsze starał się zrozumieć i wcielić w swoje życie.

Olivia nie postarzała się ani odrobinę od czasu, gdy kilka lat temu poślubiła miejscowego lekarza; pamiętał, jak tańczył na ich przyjęciu w sali balowej, dokładnie naprzeciwko stolika, przy którym teraz siedzieli, po drugiej stronie korytarza. Jej ciemne włosy splecione były we francuskie warkocze, takie same, jakie codziennie plotła z zapalem Lace, a spojrzenie jej fiołkowych oczu nadal przeszywało jego serce poruszającą szczerością.

Hoppy uśmiechnął się do swojej żony i ujął jej dłoń.

— A tak w ogóle, gdzie my jesteśmy?

— Z pewnością nie w Mitford! — odparła, śmiejąc się.

— Wydaje mi się, że to... jakiś sen — powiedziała Lace tak cicho, że zapewne tylko on i Dooley byli w stanie usłyszeć jej słowa.

Olśnieni, to było właściwe słowo. Byli olśnieni.

Duża jadalnia, w której kiedyś spożywał chleb kukurydziany i fasolę z panną Sadie i Louellą była wypełniona ludźmi z Wesley i Holding, a jedynie gdzieniegdzie w tłumie można było dostrzec znajomą twarz, stanowiącą jakby dodatkową atrakcję.

Była tam Hope Winchester, która machała do niego z drugiego końca sali, a kilka stolików dalej siedziała pani burmistrz z Rayem, z co najmniej dwójką swoich atrakcyjnych, niezwyklej rozmiarów córek, dokładnie w miejscu, gdzie kiedyś stała georgiańska szyfonierka panny Sadie, a tam daleko w rogu...

Serce zabiło mu dziko, pozbawiając go na chwilę tchu. Edith Mallory. Dokładnie w chwili, gdy ją zauważył, podniosła wzrok i spojrzała mu prosto w oczy.

Odwrócił szybko głowę. Każdy rodzaj kontaktu z tą byłą parafianką podobny był do ukąszenia skorpiona. Naiwnie wierzył, że jakoś zniknie z widoku i już nigdy nie będzie musiał jej oglądać. Przez lata była niczym bolący ząb — usiłowała manipulować nim i uwieść go, próbowała kupić ostatnie wybory na burmistrza, traktując mieszkańców jak ostatnią szumowinę.

Cynthia spojrzała na niego.

— Co się stało, kochanie? Jesteś biały jak ściana.

— Umieram z głodu — wymamrotał, chwytając kawałek pieczywa.

Kilka lat temu Lace Turner pomogła Dooleyowi uratować Barnabę od wykrwawienia, gdy potrafił go samochód. W sytuacji, gdy liczyła się każda minuta, Dooley i Lace połączyli siły, śpiesząc psu na ratunek, i w rezultacie wytworzyła się pomiędzy nimi więź, która zastąpiła poprzednią wrogość.

Czas i odległość jednak rozluźniły tę więź, a oni byli teraz dwojgiem nowych, innych ludzi.

Nie uszedł uwagi ojca Tima żarliwy sposób, w jaki Dooley przyglądał się Lace Turner, gdy ta czytała swoje odręcznie napisane menu. Jeszcze bardziej jednak, doszedł do wniosku, zdradzała Dooleya udawana obojętność za każdym razem, gdy Lace się odzywała, co nie zdarzało się zbyt często. Zauważył też, że chłopiec, który służył z apetytu, dziobał swoje jedzenie, śmiał się nerwowo, nieustannie bawił się wiązaniem swojego krawata i przewrócił szklanekę wody.

Bez wątpienia Dooleya Barlowe'a interesowało coś więcej niż tylko samochody.

Ucztowali, smakując risotto i eskalopki, baranią pręgę i świeże małże, kurczaka pieczonego w rozmarynie z ogrodów Fernbank i świeżo przygotowany makaron Anny Gregory, z nadzieniem z ricotty*, podany w marinarze** z pomidorów z miejscowej szklarni; zamówili całe litry wody mineralnej, coca-cole i butelkę wina chianti z Lucery, wszyscy zadeklarowali też chęć spróbowania tiramisu w wykonaniu Tony'ego.

* Ricotta — delikatny włoski serek ziarnisty.

** Marinara — pikantny sos z pomidorów, czosnku, z dużą ilością przypraw.

Hoppy Harper rozsiadł się wygodnie na krześle i spojrzał z czułością na Lace, która siedziała obok niego i naprzeciwko Dooleya.

— Lace, a może podzielisz się ze wszystkimi swoją dobrą wiadomością?

Lace trochę nieśmiało spojrzała na siedzące przy stole osoby.

Ojciec Tim zauważył, że Dooley zdaje się bardziej zainteresowany bębnieniem palcami po stole niż wysłuchaniem tego, co ma do powiedzenia Lace.

— We wrześnie jadę do szkoły. Palce przestały bębnić.

— Cudownie! — zawołała Cynthia. — Dokąd?

— Do Wirginii. Mrs. Hemingway's.

Opalone policzki dziewczyny rozświetlił dodatkowo rumieniec.

— O Boże — jęknął Dooley, przewracając oczami. — Ohyda. Ojciec Tim zdenerwował się.

— Proszę?

— W tej szkole są same wariatki.

Ojciec Tim miał ochotę potrząsnąć chłopcem tak, by zadzwoniły mu zęby.

— Przeprós za to natychmiast.

Dooley poczerwieniał gwałtownie, niezdecydowany, czy ma bronić tego, co powiedział, czy też zrobić tak, jak mu kazano. Postanowił bronić tego, co powiedział.

— Prawie nigdy nie zapraszamy ich do naszej szkoły na zabawy, ponieważ są takie... mądre.

Ostatnie słowo wypowiedział z pogardą.

— Lace właśnie podzieliła się z nami wspaniałą wiadomością — wyjaśnił ojciec Tim cicho. — Ty właśnie popisałeś się złym zachowaniem. Ponownie proszę cię, żebyś przeprosił Lace.

Dooley usiłował spojrzeć w oczy swojej współbiednicze, ale nie był w stanie.

— Przepraszam — powiedział, przyglądając się szklance.

Hoppy otoczył ręką ramiona Lace.

— Prawdę powiedziawszy, Dooley ma rację. Dziewczynki w szkole Mrs. Hemingway's są bardzo mądre. A ponadto utalentowane. Lace i kilka jej koleżanek z klasy spędzą następne lato w Toskanii, studiując literaturę klasyczną i akwarelę — w ramach stypendium. Jesteśmy bardzo dumni z Lace.

Ojciec Tim dostrzegł zmieniony wyraz twarzy dziewczynki, który widział już wcześniej, gdy przyłapał ją na kradzieży paproci panny Sadie — łagodność zniknęła, a zastąpiła ją hardość.

Lace siedziała sztywno na krześle, wpatrując się przed siebie, ponad głową nieszczęśliwego i nieszczęsnego nędznika.

No to Dooley Barlowe wpadł po same uszy.

Kiedy Cynthia oddaliła się z Dooleyem, żeby przyprowadzić samochód, ojciec Tim udał się na poszukiwanie Andrew, chcąc uregulować rachunek.

Andrew Gregory nadal wyglądał tak świeżo i elegancko, jakby właśnie wrócił z przechadzki w parku, a nie dokonał otwarcia restauracji i spełnił życzenia ponad pięćdziesięciu osób. Był jedynym znanym ojcu Timowi człowiekiem, który nie miał lnu.

Bezwiednie powróciło wspomnienie czasów, gdy Andrew Gregory gorliwie starał się o względy Cynthii. Z okna sypialni w swoim domu obserwował ich wyjścia i powroty, bardzo tym zasmucony, żeby użyć łagodnego określenia. Przypomniawszy sobie, że raz porównał wysokiego, szczupłego Andrew do cedru libijskiego, a siebie, skromnego wiejskiego pastora — do zwykłej sosny.

Kto jednak zdobył rękę pięknej panny?

— Miałem okazję spędzić dość dużo czasu z twoją lokatorką — wyznał Andrew. — Przez kilka ostatnich dni mieszkała w Wesley, czekając na firmę przeprowadzkową, i kilka razy odwiedziła sklep. Robi wrażenie bardzo dociekliwej, jeśli chodzi o Fernbank. Chciała wiedzieć, co zostało sprzedane z domu i tak dalej. Mówiła, że bardzo interesują ją stare domy.

— Tak, wspominała mi o tym.

— Poprosiła mnie, żebym powiedział jej dokładnie, co kupiłem od ciebie, i bardzo ją interesowało, czy nic nie zostało na strychu. Wyjaśniłem, że nie, wszystko zostało usunięte i sprzedane. Pytała, czy krewni coś zabrali, i odparłem, że naprawdę nie wiem.

— Ciekawska.

— Tak mi się wydaje — zgodził się Andrew. — A tak na marginesie, nic tu nie płacisz.

Żona Andrew dołączyła do nich z kuchni. Wyglądała na podekscytowaną i szczęśliwą.

— Proszę to schować, proszę to włożyć z powrotem — poprosiła Anna, wskazując na portfel.

Był zdania, że włoska małżonka Andrew, którą poślubił dwa lata temu i która przyjechała do nich z miasteczka Lucera, jest uderzająco podobna do Sophii Loren.

— Ale...

— To nasz prezent dla ciebie, nasz pożegnalny prezent — nalegał Andrew.

— W takim razie dziękuję. Tak bardzo ci dziękuję! Mitford wiele ci zawdzięcza. Panna Sadie byłaby dumna, widząc Fernbank pełen światła i śmiechu. Anna, Andrew — do zobaczenia.

— *Ciao!* — zawołała Anna, zarzucając mu ramiona na szyję i całując w obydwie policzki.

Kochał Włochów.

— Bóg z tobą!

— Ojczy!

To Tony, młodszy brat Anny i szef kuchni w Lucerze, nadbiegł z jej wnętrza w białej czapce i pochłapanym fartuchu.

— *Grazie al cielo!* Myślałem, że ojciec już pojechał!

Tony objął go mocno, pocałował w obydwie policzki, następnie wyprostował się i uściśnął mu ramiona. Ojcu Timowi wydawało się, że to najprzystojniejszy mężczyzna w Mitford.

— *Ciao!* — pożegnał się Tony. Jego ciemne oczy pojaśniały ze wzruszenia. — Bóg z tobą!

— I z tobą, przyjacielu.

— *Ciao!* — zawołał z samochodu do Andrew i Anny.

Ich gospodarze wyszli na ganek w chwili, gdy oni oddalali się od Fernbank, od wspaniałego starego domu, który rozpoczynał nowe wspaniałe życie.

Jechał ulicą Parkway, z opuszczonym dachem, gdy spojrzął we wsteczne lusterko i zobaczył swojego buicka jadącego za nim.

Kim był kierowca? To Dooley, a na siedzeniu obok niego siedział Barnaba, patrząc prosto przed siebie.

Dooley uśmiechał się od ucha do ucha, widział go wyraźnie. Gdy jednak spojrzął ponownie, samochód zniknął.

Obudził się, wpatrując się w ciemność.

Druga nad ranem, według zegara przy ich łóżku. Westchnął.

— Nie śpisz? — zapytała Cynthia.

— Śniło mi się coś.

— Co?

— Dooley. Jechał moim buickiem.

— Och. Nie mogę zasnąć, zawsze źle sypiam przed długą podróżą.

Westchnęła, a on wyciągnął rękę i poklepał ją po ramieniu.

— Może mógłbym dać Dooleyowi buicka za rok. Mógłby mi coś zapłacić, jakieś dwa, trzy tysiące...

— Uhm — szepnęła.

Nagle przyszedł mu do głowy cudowny pomysł. Nie każdy był w stanie obudzić się w środku nocy i tak sprawnie myśleć.

— Wiesz co? A może tobie dam buicka, a ty weźmiesz kilka tysięcy od Dooleya za mazdę. Wydaje mi się, że bardziej podobałby mu się twój samochód. Jest nowszy, ma bardziej... młodzieżową stylistykę.

— Za nic w świecie — zaprzeczyła. — Może jestem żoną kaznodziei, ale nie składałam ślubów ubóstwa.

— Cynthia, ten buick chodzi jak poezja.

— Marz sobie — odparła.

Jego żona była uparta jak osioł.

— Jest bezawaryjny.

— Ma czternaście lat, wypłówiały lakier i rdzewieje mu prawy błotnik. Tapicerka na fotelu kierowcy jest w strzępach, a klimatyzacja pracuje gorzej niż elektryczny wiatrak w kościele i śmierdzi stęchlizną.

Westchnął.

— A poza tym wszystko w porządku, szanowna pani? Zachichotała.

Przysunął się do niej i spoczęli w ulubionej pozycji zwanej kołyską, którą ktoś kiedyś nazwał „podstawową pociechą łoża małżeńskiego”. Gdy tak leżała w jego ramionach, czuł jej ciepło i miękkość.

— Słuchaj — powiedział.

— Co takiego?

— Coś usłyszałem przed chwilą. Wydaje mi się, że to muzyka.

Leżeli bardzo cicho. Ledwie słyszalne dźwięki pianina dobiegły ich przez okno.

— Pianino — powiedział.

— Chopin — szepnęła.

Kilka chwil później usłyszał jej świszczące chrapanie, które uspokoiło go, a potem zasnął.

Jak pszczoły robotnice.

Tak właśnie uwijali się w żółtym domku.

Mieli plan, aby wyruszyć o ósmej, na którą to godzinę Dooley miał się zgłosić do Sklepu.

Podkscytowany pomysłem, który przyszedł mu do głowy w czasie snu, ojciec Tim poprosił Dooleya, aby pomógł mu zanieść ostatnie pakunki na chodnik, gdzie w mustangu, na podłodze z tyłu, w klatce czekała już na nich Violet.

Dach był opuszczony, dzień był rześki i obiecujący, a Barnaba zdążył już być na szybkim spacerze do pomnika i z powrotem.

— Ach! — ojciec Tim odetchnął letnim porannym powietrzem, następnie uśmiechnięty zwrócił się do Dooleya.

— Wyglądasz na zadowolonego — zauważył Dooley.

— Z zadowoleniem obwieszczam ci, że za rok o tej porze, przy jedynie skromnym nakładzie finansowym z twojej strony, Cynthia i ja chcielibyśmy uczynić cię dumnym właścicielem... buicka.

Dooley wyglądał na osłupiałego.

— W życiu nie będę jeździł czymś takim! — zawołał wyraźnie obrażony, powracając na chwilę do wyniesionego z domu rodzinnego języka.

Stali na chodniku w chwili, gdy dzwony Lord's Chapel wybiły ósmą.

Puny i jej bliźniaki były pierwsze w kolejce, a piłka była po jego stronie.

— Powiedzcie pa, pa, dziadziusiowi — zachęcała dziewczynki Puny.

— Pa, pa, Ba — pożegnała się Sissy.

Wychyliła się w jego kierunku, nieomal wypadając z rąk Puny. Wziął ją z rąk mamy i przytulił, całując w czoło.

— Niech Bóg będzie z tobą, Sissy.

Jej zielone oczy przepełnione były łzami.

— Wróć do nas, Ba.

Postawił dziewczynkę na jej krótkich nóżkach, zastanawiając się, jak zdoła przez to wszystko przejść...

Uniósł teraz pulchną poważną Sassy, która żuła kawałek tostu, i pocałował jej wilgotne zmierzwione włoski.

— Niech cię Bóg błogosławi, Sassy.

Barnaba, który siedział cierpliwie na chodniku, oblizwał twarz Sassy.

Puny łkała otwarcie. Do licha. Zniósł to jak mężczyzna i przytulił ją, czując jej ogromną siłę ducha, czując zapach jej wykrochmalonej bluzki, przepełniony czułością za całą jej dobroć, jakiej doświadczył przez te wszystkie lata.

Puny otarła nos brzegiem fartucha.

— Będzie nam ojca brakować.

— Wrócimy, zanim zdążycie za nami zatęsknić.

Puny i dzieci uciekły do żółtego domku, kiedy Cynthia stała na palcach i ścisnęła Dooleya.

— Trzymaj się, ty olbrzymie.

— Dobrze.

— I pisz. Albo dzwoń. Często!

— Dobrze.

Ojciec Tim przyciągnął chłopca mocno do siebie, następnie odsunął się i przez chwilę wpatrywał się w niego uważnie.

— Liczę, że pomożesz Harleyowi dopilnować tutaj wszystkiego.

— Tak, proszę ojca. Pomogę.

— Kochamy cię.

— Ja też was kocham.

Dooley powiedział to pewnym i szczerym głosem, patrząc im prosto w oczy. Następnie odwrócił się i podbiegł do swojego czerwonego roweru, wskoczył na niego i popedałował na Main Street. Zanim dojechał do rogu, zatrzymał się, obejrzał i pomachał im.

— Cześć, Cynthia, cześć, tato!

Pomachali do niego, a on wkrótce zniknął za krzewem rododendronu.

Ojciec Tim zadzwonił kluczykami, które trzymał w ręce.

— Harley, myślisz, że znalazłbyś kupca na mojego buicka?

Harley spojrział sceptycznie, podrapał się w głowę i wbił oczy w chodnik.

— Chciałbyś nim jeździć, jak mnie nie będzie?

— Wielebny, doceniam tę propozycję, ale będę się trzymał swojej ciężarówki.

— Aha.

Wyraźnie miał pojazd, który nie nadawał się do prezentowania, a co dopiero do sprzedaży.

— W takim razie, Harley...

Ujął za ramiona drobnego, wątego mężczyznę, który przejmował dowodzenie.

— Wielebny, Cynthia... niech Bóg was prowadzi. Podbródek drżał Harleyowi i otarł rękawem oczy.

— Do zobaczenia, Harley — pożegnała się Cynthia. — Kochamy cię.

Ojciec Tim otworzył drzwi po stronie pasażera i odchylił siedzenie.

— Bardzo proszę, przyjacielu, wsiadaj.

Barnaba wskoczył na skórzane siedzenie, obwąchał klatkę Violet i położył się, spoglądając żałośnie.

— Nawet nie próbuj płakać — upomniął żonę, gdy wsiadali do samochodu.

— Wiatr we włosach... — rzuciła, śmiejąc się przez łzy. Uruchomił silnik.

— Krzyk mew krążących nad nami...

— Zapach morskiego powietrza!

Nawrócił na podjeździe na końcu Wisteria Lane. Na Boga, jak cudownie się to prowadzi, a siedzenie... siedzenie wydawało mu się niczym wygodny fotel.

Pomachali do Harleya, który stał, nie ruszając się z miejsca, i machał do nich w odpowiedzi.

Skręciwszy w prawo, w Main Street, jechał wolno, jakby uczestniczyli w paradzie samochodowej.

J.C. Hogan wychodził właśnie z baru Grill.

Ojciec Tim przycisnął energicznie klakson, a J.C. spojrział na nich oszołomiony, gdy machali mu na pożegnanie.

Następnie wcisnął pedał gazu i niczym błyskawica okrążył pomnik, celowo unikając spojrzenia we wsteczne lusterko.

Rozdział czwarty

ZAPACH MORSKIEGO POWIETRZA

Był zachwycony.

— Jesteś zachwycony! — wykrzyknęła jego żona.

Nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek towarzyszyło mu takie uczucie absolutnej wolności; czuł się lekki jak piórko, szybki jak żywe srebro, przejrzysty jak kryształ.

I było mu gorąco jak w piekle.

Spojrzał we wsteczne lusterko. Barnaba, który siedział obecnie z łbem zwróconym w stronę chłoszczącego wiatru, przyciągał uwagę całego zmiernego na zachód ruchu samochodowego.

— Musisz się zatrzymać i kupić kapelusz! — obwieściła jego żona, usiłując przekrzyczeć huk pędzącego tira. — Twoja głowa robi się czerwona!

— Już wkrótce lunch i kapelusz — oznajmił, niechętnie zgadzając się na zwłokę w podróży, nawet jeśli wiodła w nieznaną.

Pędzili w kierunku Williamston przez bezkresną krainę tytoniu.

— Płasko — stwierdziła Cynthia, oceniając krajobraz.

— Trudno o ocean tam, gdzie nie jest płasko.

— Gorąco — zauważyła, ograniczając się do mowy w telegraficznym skrócie.

— Nie mów, że nas nie ostrzegano. Chcesz naciągnąć dach?

— Jeszcze nie, staram się nabrać wyspiarskiego wyglądu.

Jego żona miała na sobie szorty, bluzkę bez rękawów, okulary przeciwsłoneczne i czapkę baseballową Mitford Reds. Na wszystkie odsłonięte miejsca nałożyła grubą warstwę olejku do opalania i smażyła się jak frytka.

— Myślę, że niedługo powinniśmy schować Barnabę przed słońcem. Naciągniemy dach w Williamston.

Szust. Ciągnik z naczepą niemal wyssał ich z samochodu. Wyciągnął rękę i przycisnął do głowy swój nowy kapelusz.

— Czy pani Pringle mówiła, dlaczego wyjechała z Bostonu i zamieszkała w Mitford?

— Nie, nie mówiła.

— A ty nie zapytałeś?

— Nie przyszło mi do głowy.

— Dlaczego, u licha, wybrała właśnie Mitford? I tylko na sześć miesięcy?! Czy ciągnąłbyś pianino z Bostonu do Mitford na jedyne sześć miesięcy? Czy ma w Mitford jakichś krewnych albo znajomych?

— Nie wydaje mi się, ale nie jestem pewien.

— Kochanie, skąd możesz cokolwiek wiedzieć o innych, skoro nigdy ich o nic nie pytasz?

Jako księdzu zazwyczaj udawało mu się dowiedzieć dużo więcej, niż chciał, ale raczej nie poprzez zadawanie pytań.

Siedziała pogrążona w myślach, a Violet spała u jej stóp na podłodze samochodu.

— Pamiętasz tę sałatkę z kurczakiem, którą jedliśmy na lunch? — zapytała.

— Bardzo niewyraźnie.

— Dla mnie również staje się coraz bardziej odległym wspomnieniem. Umieram z głodu. Prawdę powiedziawszy, przez cały lunch marzyłam o czymś dużo bardziej wykwintnym.

— Tak?

— O cieście Esther.

— Aha.

— W przenośnej lodówce...

— Uhm.

— Myślałam o tym, jakie jest wilgotne, jakie zimne i słodkie, jaką ma aksamitną strukturę...

— O tak, to całe ciasto Esther.

— I te dyskretne malutkie kawałeczki gorzko-słodkiej skórki pomarańczy, które eksplodują w ustach jak... jak promienie słońca!

— Jesteś prawdziwym Cowperem ciasta.

— Czy nie uważasz, że powinniśmy zjeść trochę? — zaproponowała.

— Wreszcie mówisz do rzeczy.

— Czy masz ze sobą scyzoryk?

— Zawsze — odparł, wyjmując go z kieszeni.

Uklękła na swoim siedzeniu i przez chwilę zajęta była poszukiwaniem ciasta. Następnie zrzuciła pokrywę lodówki i wyjęła ze środka zawinięty w folię pakunek.

— Och, cudownie. Jakie wspaniałe uczucie chłodu na moich nogach. No cóż, jak mamy się do tego zabrać? — zapytała, odchylając kolejne warstwy folii. — To ciasto, dzięki któremu w kwiecie wieku nieomal znalazłeś się w niebie. Przypuszczam, że nie powinieneś zjeść całego kawałka.

— Jeśli sobie przypominasz — przekonywał — to dwa kawałki nieomal dopełniły dzieła. Zjem tylko jeden i byłbym wdzięczny, gdyby nie był przezroczyisty.

Starannie ukroiła mały kawałek i umieściła go na serwetce ze skrytki.

— Tylko mi tutaj nie zasłabnij — poprosiła żarliwie.

Jazda nad morze w czerwonym kabriolecie, smakowanie ciasta Esther — iluż ludzi marzyłoby, żeby być w jego skórce? Słodczyz i delikatność topniejącego w jego dłoniach kęsa były wręcz odurzające. „Książd w stanie upojenia alkoholowego, po spożyciu ciasta pomarańczowego...”

— Kochanie, wczoraj w nocy mówiłeś przez sen.

— Och jej.

— Powtórzyłeś kilka razy „śliski”, byłeś bardzo niespokojny.

— Śliski?

— Tak, i raz powiedziałeś „Tommy”.

— Aha!

Natychmiast przypomniał sobie ten sen. Jego przyjaciel z dzieciństwa, Tommy Noles, i to żalosne zdarzenie, któremu zawdzięczał swój przydomek, przydomek, o którym nigdy nie mówił swojej żonie...

— Kto to jest Tommy? — zapytała.

— Tommy Noles, mój stary przyjaciel z Holly Springs.

— Ten, który znał wszystkie marki samochodów.

— Zgadza się.

— Co ci się śniło?

Jak zwykle jego dociekliwa żona chciała wiedzieć wszystko. Czy ma jej powiedzieć?

— No cóż, niech sobie przypomnę. Miałem sen o... no cóż, o czasach, gdy...

Czyż pary nie powinny dzielić się ze sobą swoimi najskrytszymi marzeniami, najgłębszymi sekretami i najstraszniejszymi obawami? Nigdy nie wydawało mu się to jakąś wyjątkowo skuteczną dewizą, ale do tej pory zawsze się sprawdzała. Prawdę powiedziawszy, odkrył, że w rewanżu za każdy z jego największych sekretów Cynthia Kavanagh wyjawiała dwa lub trzy własne. To było jak rozbijanie banku.

— ...zyskałem swoje przezwisko.

— Zarumieniłeś się. Czy to słońce?

— Słońce — odparł.

— Jak to było, gdy zyskałeś swoje przezwisko? Nawet nie wiedziałam, że je miałeś.

Tommy Noles mieszkał dokładnie na drugim końcu ulicy, tuż obok nie uprawianej farmy jego ojca prawnika. Pan Noles był nauczycielem historii i zamiłowanym kolekcjonerem. Ściągał na swoje trzy hektary każdy możliwy rupieć i stawiał go na swojej posesji, jakby był rzeźbą. Rdzewiejący przetrząsacz siana, zabytkowy traktor, dystrybutor ze stacji benzynowej, wóz pionierów Dzikiego Zachodu, duża reklama tytoniu...

Pan Noles doglądał tych przedmiotów regularnie i z ogromnym szacunkiem, zaniedbywał jednak przycinanie trawy, która rosła tuż obok nich. W rezultacie każdy eksponat zdawał się tkwić w wielobarwnym gnieździe z turzycy i polnych kwiatów, co młodemu Timowi wydawało się jeszcze bardziej fascynujące.

Jego ojciec natomiast nie widział w tym wszystkim absolutnie nic fascynującego. Jego ideałem była perfekcja ponad wszystko i dlatego nikt, kto mienił się jego synem, nie mógł się bawić z Tommym Nolesem.

On jednak w rzeczywistości bawił się z Tommym Nolesem. Brodzili razem w strumieniu, budowali fort w lesie, domek na drzewie, łowili mołę, szukali grotów strzał na polach.

Tommy Noles chciał być pilotem myśliwca na jakiejś strasznej wojnie, a on, Timothy Kavanagh, marzył, by zostać bokserem albo trenerem zwierząt, albo — co dość zaskakujące — introligatorem, bo czyż nie porwał go zapach i wygląd książek jego dziadka?

Pamiętał, jak uczył psa Tommy'ego, Jeffa, łapać patyki w powietrzu i przewracać się na bok, i udawać zdechłego. Nakłonienie innej żyjącej istoty do zrobienia czegokolwiek sprawiało mu ogromną satysfakcję i marzył o własnym psie, ale jego ojciec nie chciał się zgodzić. Psy mają pchły, psy się drapią, psy zostawiają po sobie nieczystości.

Gdy tak rozmyślał nad tym, jak to się stało, poczuł się nagle skrzepowany.

Tommy Noles, ulegając namowom innych i bez jego wiedzy, umieścił psie odchody pomiędzy podwójnymi drzwiami w budynku szkoły, dwie kupki.

„Wbiegnij do środka, przez te drzwi — zachęcał go Tommy — to damy ci pięciocentówkę”.

„Dlaczego?” — chciał wiedzieć. Nauczyciele byli na spotkaniu na sali gimnastycznej i czuł, że zanoszą się na coś podejrzanego.

„Bo tak, bez żadnego powodu. Wbiegnij po prostu po schodach, przebiegnij pędem przez drzwi, potem wzdłuż korytarza do wodotrysku, a damy ci za to pięciocentówkę z głową Indianina”.

Nadal nie wiedział, dlaczego to zrobił, nie przypominał sobie, żeby jakoś szczególnie zależało mu na tych pieniądzach, być może zrobił to dlatego, że był tym chudeuszem, tym odmieńcem, tym, który uwielbiał czytać i rozmyślać, i zastanawiać się nad słowami oraz ich znaczeniem.

Bez szczególnej chęci, po prostu to zrobił; wbiegł przez drzwi, wdepnął w kupki i ślizgając się, przejechał na butach korytarzem, jakby stanął na plamie oleju, który wyciekł ze skrzyni biegów. Tuż przed salą panny McNolty stracił równowagę i przewrócił się na podłogę.

Słyszał, jak stojący przy drzwiach wejściowych chłopcy śmieją się, gdy on wstawał śmierdzący i usiłował zdrapać śliską masę z butów. Była śliska jak tłuszcz...

Podszedł do nich z bijącym sercem. Nigdy nie sprowokował żadnej bójki i nigdy się nie bił; wolałby raczej uciec, nie oglądając się za siebie.

Teraz jednak było inaczej. Jego przyjaciel zdradził go.

Przyglądali mu się, jak się do nich zbliża, i cofnęli się na schody.

„Hej, Śliski!” — ktoś krzyknął. Trzej chłopcy, którzy się śmiali i trzymali za nosy, nagle odwrócili się i uciekli pod dąb, gdzie stanęli i wyglądali zza jego pnia. Lee Adderholt i Tommy Noles stali nieruchomo na dole schodów, spoglądając na niego z obawą, jak zahipnotyzowani.

Co zobaczyli na jego twarzy? Nigdy się nie dowie.

„Prze... przepraszam, Tim" — wyznał Tommy.

Czuł, jak coś się w nim rodzi, coś... narasta. Nagle poczuł, że ma dwa metry wzrostu i cały czas rośnie.

„Naprawdę przepraszam!" — jęknął Tommy.

Nie potrafił sobie przypomnieć, co dokładnie się stało, wiedział tylko, że rzucił się na Tommy'ego Nolesa bez strachu, bez zajknięcia, i stłukł go na kwaśne jabłko.

Pamiętał, że potem siedział w gabinecie dyrektora — dzięki Bogu, że był to pan Lewis, który miał zbyt czułe serce, żeby kogokolwiek wychłostać. Pan Lewis patrzył na niego przez — jak mu się wydawało — długi czas, z wyrazem czegoś na kształt dobroci na twarzy, młody Kavanagh nie był jednak pewien.

Wiedział, siedząc tam, że spuszczenie lania Tommy'emu Nolesowi sprawiło mu przyjemność. Ale przede wszystkim był zadowolony, że doprowadził go do płaczu na oczach tych wszystkich osób, które pohukiwały i śmiały się, trzymając się za nosy.

„Twój ojciec nigdy się o tym ode mnie nie dowie" — poinformował go pan Lewis. „Ale jeśli ktoś mu powie, a on zapyta, będę oczywiście zmuszony..."

Po raz pierwszy w życiu był zadowolony, nie posiadał się wręcz z radości, że każdy, kto go zna, jego koledzy z klasy i przyjaciele, panicznie boją się jego ojca i nie odważą się do niego odezwać, a co dopiero wyjawiać haniebne przewinienie syna, który wdał się w bójkę na pięści.

„Co się stało, Timothy?" — zaniepokoiła się jego mama. „Zbiłem Tommy'ego Nolesa". Przyjrzała mu się uważnie.

„Jestem pewna, że się o to prosił" — stwierdziła zwyczajnie. „Tak, proszę mamy".

„Ale nie rób tego nigdy więcej". „Nie, proszę mamy".

Nigdy więcej już tego nie zrobił. Nie musiał. Była to bójka jego życia, Wielka Inkwizycja. W gniewie stawiał czoło całemu światu i walcząc na pięści, w jakiś cudowny sposób wygrał.

Mizerny chłopiec, z chudymi ramionami i zamiłowaniem do czytania opasłych ksiązek oraz zdobywania samych piątek, nagle został spowity aurą chwały. Nazywając go Śliskim, przypisali mu status nietykalnego, ponieważ ujrzeli jego wściekłość, byli świadkami jego niszczącej siły, której nie zrozumieli i której nigdy mieli nie zrozumieć. Był Timothyem Kavanaghem, z którym nie należało zadzierać.

Koniec kropka.

Uśmiechnął się, wyprzedzając samochód turystyczny ze stanu Teksas. Po tym zdarzeniu Tommy Noles został jego najlepszym przyjacielem na świecie, nawet jeśli nigdy nie dał mu tej pięciocentówki. Czasami, gdy nie miał lepszego zajęcia, obliczał, ile Tommy byłby mu dzisiaj winien, z uwzględnieniem narosłych przez pięćdziesiąt sześć lat odsetek od tej kwoty.

— Zestarzę się — rzuciła jego zniecierpliwiona żona — czekając, aż mi powiesz, jakie miałeś przydomko.

— Śliski — odparł, spoglądając wprost przed siebie.

Nie był zaskoczony, że nieomal zgięła się wół ze śmiechu.

— Śliski! Śliski?

Wyraźnie była to najbardziej zabawna rzecz, jaką słyszała w życiu.

— Śliski! Nie, to zbyt piękne! Nie do wiary!

Ha, ha, ha, i tak bez końca. Musi to stłumić w zarodku.

— A jakie ty miałaś przezwisko, Kavanagh? Przestała się śmiać.

Strzał w dziesiątkę, pomyślał.

— Musisz wiedzieć?

— Cynthia, Cynthia... czy musisz pytać?

— Nie będziesz się śmiał?

— Będę się śmiał aż do rozpuku. Więc powiedz mi. Westchnęła głęboko i wsunęła pasmo blond włosów pod baseballową czapkę.

— Beka.

— Beka?

Małżeństwo było cudowne. Stwarzało tyle przeróżnych możliwości, żeby wyrównać z kimś rachunki bez konieczności odsiedzenia kary w więzieniu. Widząc jednak wyraz jej twarzy, nie mógł się śmiać.

— Najpierw Beczka, a potem Beka, w skrócie. Byłam taka przerażająco gruba.

Nie potrafił sobie tego wyobrazić.

— Nawet sobie nie wyobrażasz — mówiła dalej. — Gdy miałam dziesięć lat... pamiętasz tych fotografów, którzy podróżowali od domu do domu na kucyku?

Pamiętał.

— Jeden z nich zrobił mi zdjęcie i czekałam całymi tygodniami, aż przyjdzie pocztą. Gdy otworzyliśmy kopertę, nie mogłam uwierzyć własnym oczom, inni też. Wszyscy stwierdzili, że jestem... powiedzieli, że jestem większa niż kucyk.

— Nie.

— O tak, śmiali się z tego bez końca, Beka to, Beka tamto. Moja mama i tato uwielbiali robić sobie zdjęcia, więc pobiegli do domu i wyszli jak Ginger Rogers i Fred Astaire. Ja z kolei zostałam wsadzona na smętnego kuczka, w okropnej sukience, i wyglądałam dokładnie jak W.C. Fields*.

* W.C. Fields — William Claude Dukenfield (1880-1946), słynny amerykański aktor, komik i zongler.

Spojrzała na niego.

— Jeśli kiedykolwiek zdradzisz komuś to ohydne przezwisko, to cię zabiję.

— Zrobię to samo, jeśli zdradzisz moje.

— Zgoda — przystała na propozycję, ściskając mu dłoń.

— Zgoda — odparł, widząc znak, który mówił: „Williamston, 16 kilometrów”.

Patrzył na zegarek, gdy kropla deszczu spadła na kryształowy cyferblat.

Druga trzydzieści, powinni być na miejscu około szóstej trzydzieści, siódmej. Będą mieć jeszcze dużo czasu, aby przy dziennym świetle rozpakować samochód i poznać swój nowy dom.

Gwałtowność ulewy była zaskakująca. Bez ostrzeżenia runęła na nich ściana targanych wiatrem strug deszczu, spadając z hukiem z pociemniałego nieba. Zjechał z drogi i zatrzymał się, nie wyłączając silnika. Dobry Boże, wiedział, jak opuścić na tym dach, ale to Dooley go naciągał. Usiłował nacisnąć przycisk na desce, ale nic się nie działo.

— Timothy!

Jego żona była przemoczona i ociekała wodą.

— Co robimy?! — krzyknął.

— Nie wiem!

Jej głos uniósł się na wietrze.

Wychylił się na prawo i usiłował po omacku znaleźć w skrytce instrukcję obsługi, podczas gdy Barnaba, trzęsąc się ze strachu, skoczył Cynthii na kolana, które już zajmowała Violet.

— Wracaj! Wracaj do tyłu!

Była nieomal całkowicie przykryta masą jego ociekającej wodą sierści. Barnaba wrócił na swoje miejsce.

Siła deszczu była niewiarygodna. Bębniła w ich skórę i głowy jak niezliczona liczba małych młoteczków. Wsunął instrukcję pod deskę rozdzielczą po stronie Cynthii. Okulary miał zupełnie zalane deszczem. Indeks, strona 391, nie pod „Dach”, nie pod... o jest. „Kabriolet”, strona 213. Zdołał przeczytać słowa: „Zaciągnij hamulec ręczny”, gdy książka wchłonęła wodę niczym gąbka, a instrukcja rozmyła się, stając się zupełnie nieczytelna.

Zaciągnął hamulec, a potem naciskał przycisk kilkakrotnie, ale bez skutku.

Dobry Boże, pomóż...

— Rynienka! — zawołała Cynthia.

Wyskoczył na zewnątrz, niebezpiecznie blisko autostrady, po której wciąż mknęły samochody, i usiłował wyciągnąć boczne krawędzie klamry dachu spod listew pasa bocznego. Trwało to całą wieczność, a oni tonęli w wodzie.

Gdy znalazł się z powrotem w samochodzie, nacisnął przycisk i dach zaczął się podnosić. Nabierali wody jak pozbawiony dna kajak.

Dach podniósł się do połowy jak żagiel na łódce. Natychmiast wydał go wiatr i ulewny deszcz. Zdawało się, że dach zastygł w powietrzu.

— Będziemy musieli zrobić to ręcznie! — zawołał, przekrzykując huk. — Wsiądź!

„Pomóż nam, Boże” — modlił się w trakcie, gdy naciągali dach, walcząc ze straszną siłą wiatru, a potem go opuścili, otworzyli drzwi samochodu i usiedli z chłupotem na przepelnionych wodą siedzeniach. Następnie przekręcili dźwignię, zabezpieczyli dach i oparli się wygodnie, z trudem łapiąc oddech, przerażeni teraz ogłuszającym łomotem deszczu o dach.

— Ręczniki! — krzyknęła. — Z tyłu!

Z trudem sięgnął za siebie i znalazł zawinięty pakunek dwunastu frotowych ręczników, sprytnie zareklamowanych jako „pijące”. Były przemoczone.

Violet miauczała przeraźliwie na kolanach Cynthii.

— Jeśli je wykręcimy, będziemy mogli wytrzeć siedzenia!

Odcisnęli wodę na podłogę pod stopami, bojąc się otworzyć okna, i otarli skórzane siedzenia. Sądząc po odgłosach, można było odnieść wrażenie, że dudniący deszcz rozerwie powłokę i zaleje ich całkowicie.

Wtedy rozległy się pioruny, bijące nad ich głowami.

Barnaba jednym skokiem powrócił na przednie siedzenie, lądując na kolanach ojca Tima i drżąc na całym ciele.

Okna były całkowicie zaparowane, jego okulary bezużyteczne. Zdjął je i włożył do kieszeni koszuli. Gdy tak siedział ze swoim psem na kolanach, z ich czerwonej łodzi podwodnej widział jedynie przeszywające słupy błyskawic.

Deszcz, który rozpoczął się tak gwałtownie o drugiej trzydzieści, przestał padać o trzeciej, następnie powrócił około trzeciej trzydzieści, aby ponownie zaatakować samochód z jeszcze większą siłą, podczas gdy pioruny były wokół nich z impetem.

Stojąc na poboczu od ostatniej ulewy, zastanawiali się przez chwilę nad próbą powrotu na autostradę i dostania się do jakiejś stacji benzynowej, mostu, czegokolwiek. Widoczność jednak była zerowa.

Ociekając potem w tropikalnej wilgoci, jaka zapanowała w samochodzie, przekonali się, że klimatyzacja nie przynosi żadnej ulgi. Jej niezwykła wydajność sprawiła, że w swoich mokrych ubraniach czuli się jak mrożone dorsze.

Gdyby tylko jechali buickiem, pomyślał. Słabo działająca klimatyzacja, którą jego żona tak otwarcie krytykowała, byłaby wręcz doskonała w obecnej sytuacji. W istocie, jego buick byłby idealnym schronieniem przed burzą, grożącą porwaniem mizernej płachetki znad ich głów, która następnie zostałaby prawdopodobnie ciśnięta na jedno z oddalonych pól tytoniowych.

Temperatura w samochodzie z pewnością sięgała około trzydziestu stopni. Pamiętał, że kiedyś zapłacił dziesięć funtów za pełną godzinę podobnej niedoli w saunie angielskiego hotelu, oczywiście bez nieprzyjemnej woni parującej sierści psa i kociego futra.

— Po burzy... — wyszeptał ponuro.

— ...zawsze wychodzi słońce — dokończyła jego żona, głaszcząc swojego przemoczonego kota.

— Czwarta — stwierdził, wyjeżdżając na autostradę. — Straciliśmy prawie dwie godziny. To znaczy, że gdy dojedziemy do Whitecap, będzie się ściemniać.

— No cóż, najdroższy. To prędzej czy później musi się skończyć. Miał nadzieję, że taka pogoda zniweczy przynajmniej absurdalne plany nałożenia spódniczek z trzciny następnego wieczoru.

To, co pozostawiła po sobie burza, nie było pięknym widokiem. Najwyraźniej ominęło ich to, co najgorsze.

Tu i tam pozrywane zostały billboardy, metalowa tablica leżąca na środku autostrady reklamowała dżdżownice i gotowane orzeszki ziemne, a większość upraw stała w wodzie.

— Nasz chrzest na początek nowego życia — stwierdził, spoglądając na oślepiające światło, wschodzące nad polami.

Niewiele po siódmej powrócił deszcz, a z nim wiatr. Bez błyskawic tym razem, słychać było jedynie mocne, nieustające dudnienie nad ich głowami, które z pewnością nie oznaczało żartów.

Zatrzymał się i sprawdził poziom cukru, aby upewnić się, że dzięki Esther nie grozi mu śpiączka hiperglikemiczna bez kwasicy ketonowej, i był całkiem zadowolony z wyniku.

— Co myślisz? — zapytał, siedząc w samochodzie zaparkowanym przy dystrybutorze na stacji Amoco. — Powinniśmy rozglądać się za kolacją czy też jechać dalej?

Gdy był zmęczony, nadal określał wieczorny posiłek mianem „kolacji”, tak jak w dzieciństwie.

— Przed nami rozciąga się pustynia. Skąd weźmiemy tam kolację, chyba że sami zarzucimy przynętę?

— Dobrze, dobrze, Kavanagh. Ty myślałaś o dzikich szparagach z młodą baraniną, podczas gdy ja o hot dogach z dodatkami.

— Sama nie wiem, kochanie. Wydaje mi się, że powinniśmy dojechać na miejsce i się rozgościć. Gdy już tam będziemy, musimy przecież pościelić sobie łóżko. Czeka nas jeszcze wiele godzin drogi, a już nie mogę się doczekać, kiedy będę mogła się położyć!

— Bez kolacji wobec tego?

— Może paczka Nabs albo jakieś orzeszki, skoro już tu jesteśmy. Pomyśl tylko, ile jeszcze musisz przejechać, a kto wie, ile to potrwa.

Mustang zadrżał poruszony gwałtownym podmuchem bocznego wiatru.

— Masz rację — zgodził się, wysiadając z samochodu.

Poszedł wolno w stronę neonowego światła stacji benzynowej, czując się jak ogrodowy ślimak w swoim wciąż wilgotnym ubraniu.

— To chyba nie ma końca — westchnęła jego żona.

Mijali właśnie kolejne migające światła w biznesowej dzielnicy — jak przypuszczali — w Roper, a może Scupernong? Światła tańczyły gwałtownie targane wiatrem na drutach rozwieszonych nad ulicą.

Wyglądało na to, że wiatr i deszcz atakowały ich przez jakieś dwadzieścia, trzydzieści minut, następnie przycichały bądź ustawały całkowicie, a potem uderzały ponownie w kolejnym ataku.

Violet chrapała na kolanach Cynthii, Barnaba chrapał na tylnym siedzeniu.

Ojciec Tim pochylił się nad kierownicą, usiłując dojrzeć drogę w oślepiającym świetle samochodów z przeciwnej strony.

— Wystarczy poślubić kaznodzieję, Kavanagh, a życie przestaje być nudne.

— Dużo bym dała za nudne życie — stwierdziła ponuro, a potem nagle się roześmiała. — Ale tylko na pięć minut!

Zapadła długa cisza, kiedy prowadził samochód w kolejnej ulewie.

— Najdroższy, co dokładnie powiedziałeś Bogu w czasie swoich rozmów na temat tego, co robić na emeryturze?

— Powiedziałem, że pójdę, gdziekolwiek mnie pośle.

— Przypominasz sobie, czy coś ci na to odpowiedział?

— Powiedział: „To właśnie chciałem usłyszeć”. Niesłyszalnym głosem, oczywiście. Przemówił do mojego serca.

— Aha — odpowiedziała, cytując męża.

— Patrz — rzucił — jest znak do Columbii. Jedziemy na Columbię czy gdzieś tu skręcamy?

— Na Columbię — odparła jego żona, wpatrując się w mapę.

Jego żona nigdy nie twierdziła, że ma jakieś szczególne umiejętności w zakresie pilotowania; miał nadzieję, że nie skończą w Morehead City.

Gdy dojechali do mostu prowadzącego do Whitecap, wiatr i deszcz ustały; dookoła panowała niewinna cisza.

Most zagrodzony był grubym łańcuchem i równym rzędem pomarańczowych pachołków. Na wjeździe stał znak.

MOST NIECZYNNY

PROM 2 przecznice i w lewo

10 \$

Nie kursuje po 22.00

— Wielkie nieba — zawołała jego żona — czy nie jest już po dziesiątej?

— Za pięć — odparł, wycofując.

Zawrócił i wcisnął pedał gazu.

— To pierwsza przecznica... — powiedziała jego żona.

Taka szybka jazda na śliskiej nawierzchni nie świadczyła raczej o mądrości dojrzałego wieku.

— To druga — policzył.

— Teraz skręć tu w lewo. Modlę się, żeby było jeszcze czynne.

Skręcił w lewo. Nic, jedynie ziejąca ciemnością czeluść. Potem chwiejące się, przyćmione światło kilka metrów dalej.

Posuwali się centymetr po centymetrze, niepewni, co znajduje się na ich drodze. W świetle reflektorów ukazała się oparta o koziół tablica.

Prom do Whitecap

Proszę przygotować drobne

Na rogu czegoś, co wyglądało na maluteńki budynek przycupnięty tuż nad brzegiem wody, podskakiwała latarnia.

Czytał gdzieś o tym, że prom należy wzywać dźwiękiem klaksonu, więc nacisnął go energicznie.

— Boże, czy to jakiś żart? — jego żona zapytała na głos swego Stworzyciela.

W budynku rozbłysło światło i wyszedł z niego mężczyzna. Był w czapce i podkoszulku i zapinał spodnie.

Ojciec Tim opuścił szybę na kilka centymetrów.

— Nieczynne.

— Dwie minuty — nie zgodził się ojciec Tim, wskazując na zegarek. — Całe dwie minuty do dziesiątej. Musi nas pan przewieźć na drugą stronę.

Niewiele brakowało, a dodałby: „jestem duchownym”. Powstrzymał się jednak.

— Mieszkacie po drugiej stronie?

— Przenosimy się do Whitecap.

— Dziwię się, że chcecie się tam dostać dzisiaj wieczorem — stwierdził mężczyzna, nadal zapinając spodnie. — Nie ma prądu. Ciemno jak w grobie.

Ojciec Tim zwrócił się do Cynthii:

— Jak myślisz?

— Gdzie byśmy się tutaj zatrzymali?

— Musielibyśmy zawrócić jakieś dwadzieścia dwa kilometry. Cynthia spojrzała na męża.

— Płyniemy na drugą stronę!

— Dwadzieścia dolarów — powiedział mężczyzna, bez cienia uśmiechu na twarzy.

— Załatwione — zgodził się nowy ksiądz z Whitecap.

Opuściwszy tropikalne wnętrze samochodu i trzymając się mocno poręczy promy, spoglądali przed siebie, w czarną otchłań wody i w górę, na chmury przemykające szybko na tle dużego księżyca. Zostawiali za sobą ogromny kontynent i płynęli do miejsca, które wyglądało jak unoszące się na powierzchni morza szczątki rozbitego statku.

Prom kołysał się i posuwał ciężko do przodu, wyrzucając z siebie trujące spaliny. Mimo to jednak, zupełnie niezależnie od nieprzyjemnego zapachu, Cynthia wyczuła coś zdecydowanie bardziej wyrafinowanego.

— Jest, Timothy! Zapach morskiego powietrza!

— Mewy krążące nad nami — wyszeptał słabo, zauważając, że kilka mew leciało za promem, mimo iż był już niemal środek nocy.

Oparła się o jego ramię, a on otoczył ją ramieniem, ściągnął jej czapkę i zanurzył w jej włosach twarz. Cynthia była jego oazą spokoju pośród szalejącego oceanu zmian, zbieżność słów przypadkowa.

— Spójrz, najdroższy, wychodzą gwiazdy. Niebo jest tak świeże i nowe jak w czwartym dniu Stworzenia. Będzie cudownie, Timothy, nasze nowe życie. Będziemy się czuć bardziej wolni, zobaczysz, obiecuję ci.

To była bardzo ładna mowa, zauważył, jaką tylko jego żona mogła wygłosić.

— Zdecydowanie tak — przyznał, starając się uczynić to z przekonaniem.

Łańcuchy, którymi ich samochód był przymocowany do promu, zostały zwolnione, a krótki pomost, który połączył prom z Whitecap, został opuszczony. Przewoźnik stał przy pomoście, z papierosem w zębach, trzymając w górze latarnię i sygnalizując ich odjazd.

— Czy zechciałby pan spojrzeć na naszą mapę? — Ojciec Tim wychylił się przez okno. — Usiłujemy dostać się... tutaj. — Wskazał na położenie Dove Cottage, oznaczone czerwoną strzałką. — Ponieważ nie jedziemy od strony mostu...

Latarnia została uniesiona do góry, aby oświetlić ręcznie narysowaną mapę.

— Nie ma sprawy — zgodził się przewoźnik, nie wyjmując papierosa z ust. — Byłem w pobliżu kilka razy. Zjedźcie z pomostu, skręćcie w lewo, jedźcie ponad dwa kilometry, następnie w prawo w Tern Avenue, dalej prosto jakieś dwa kilometry, potem skręćcie w lewo, na Hastings. Wygląda na to, że wasz dom jest na rogu... o tutaj.

— Na lewo za pomostem, ponad dwa kilometry... — Ojciec Tim powtórzył całą litanię. — Domyśla się pan, kiedy wznowią dostawy prądu?

— Do rana najprawdopodobniej. Najdłużej nie było kiedyś prądu przez trzy dni, w osiemdziesiątym dziewiątym. Czym się pan zajmuje?

— Jestem nowym księdzem w St. John's in the Grove.

Przewoźnik zaciągnął się głęboko papierosem i wyrzucił go przez barierkę. Następnie sięgnął do kieszeni spodni, wyjął banknot dziesięciodolarowy i podał go przez okno.

— Ależ...

— Z Bogiem — powiedział przewoźnik, odchodząc.

Powiększający się księżyc dryfował nad nimi, gdy jechali wzdłuż wąskiej drogi.

— Wszystkie wyglądają tak samo — stwierdziła Cynthia, przyglądając się ciemnym domom. — Białe z drewnianym płotem. Niektóre na palach. Mój Boże, jak myślisz, czy ci wszyscy ludzie naprawdę śpią?

— W jednym z okien widziałem coś, co wyglądało na świeczkę.

— Czy mamy ze sobą świece?

— Jak myślisz?

— Wydaje mi się, że mamy. Jakie to ekscytujące być żoną takiego przewidywalnego konserwatysty. Mam nadzieję, że zabrałeś dodatkowe nożyki do mojej golarki.

— Gdybym nie zabrał, co jednak zrobiłem, mogłabyś je kupić w sklepie. Whitecap to nie busz australijski.

— Czy wiesz, jaki jest jeden z powodów, dla których cię Kocham? — zapytała.

— Nie mam pojęcia.

— Ponieważ — wyznała — jesteś jak opoka.

Poprzedni biskup powiedział kiedyś coś takiego, nazywając go „koniem zaprzęgowym”. Dał mu jednak jasno do zrozumienia, że to koń wyścigowy pnie się po kościelnej drabinie i ląduje w pięknej stajni.

Barnaba wystawił łeb przez okno, wachając. Nowe zapachy otaczały ich ze wszystkich stron, zapachy w tych stronach nie przypominały nic znajomego i za każdym razem niosły ze sobą zaskoczenie.

— Hastings Avenue powinna być już niedaleko — stwierdził. — Proszę bardzo! Słyszysz?

— Ocean! Tak! Och, zatrzymaj się, tylko na chwilę.

Zwolnił i zatrzymał samochód, a potem zdał sobie sprawę, że gdzieś tam w oddali jest ten ogromny ryk, że tuż za wysokimi wydmami jest plaża, a za nią rozciąga się ogromna platynowa tafla, migocząca w blasku księżyca.

— „Słuchaj!” — szepnął, cytując Wordswortha. — „To czuwa potężna istota, / I w wieczystego ruchu swego grzmotach / Huczy na wieki, wciąż o każdej porze”^{*}.

— Cudownie! — odetchnęła.

* Fragment sonetu *Nad morzem* Williama Wordswortha w tłumaczeniu Stanisława Kryńskiego zaczerpnięto z książki: *Angielscy „Poeci Jezior”*, Zakład Narodowy im. Ossolińskich — Wydawnictwo, Wrocław 1963.

Posuwali się wolno, jakby już poddali się jakiemuś wyspiarskiemu impulsowi, jakiemuś nowemu metabolizmowi. Jedyne z księżycem, gwiazdami i reflektorami samochodu oświetlającymi ich drogę w nieskończoną ciemność; zdawało się, że są ostatnimi istotami na ziemi.

— Opuśćmy dach! — zawołała Cynthia.

— Akurat — odparł, skręcając w prawo z Tern Avenue.

Wrócił do samochodu z latarką.

— Nie widzę tego na wpół schowanego drogowskazu, o którym mówiła Marion Fieldwalker...

— Nie rozumiem — martwiła się, pilnie studiując mapę oświetloną światłem w suficie. — Skręciliśmy w prawo na Tern Avenue, następnie w lewo na Hastings i dojechaliśmy do rogu. To musi być tutaj.

— Z pewnością są tu zaniedbane żywopłoty.

— Może drogowskaz został zdmuchnięty przez wicher. Czy powinniśmy... zawrócić i spróbować ponownie, czy też uważasz, że...?

Miał tego wszystkiego dość. I nigdy nie powie tego swojej żonie, ale jest tam dość przerażająco — potykać się na jakimś zapomnianym przez Boga kawałku ziemi w kompletnych ciemnościach, z daleka od domu, zataczając się z wyczerpania po trwającej piętnaście godzin podróży, z niczym z wyjątkiem paczki cholernych orzeszków ziemnych, w które można...

— Postąpiliśmy zgodnie z instrukcjami na mapie. Nie wydaje mi się, że zrobienie wszystkiego od nowa w czymkolwiek by nam pomogło. Może przyjrzymy się temu dokładnie?

Pomógł jej wysiąść z samochodu i oświetlił latarką ganek. Był to mający już swoje lata domek letniskowy, z szeregiem bujaków odwróconych na plecy, żeby nie porwał ich wiatr i nie uniósł na podwórko. Zepsuta okiennica oparta była o kamienną ścianę.

— Boże — szepnęła, nie mogąc wydobyć z siebie żadnego innego słowa.

— Nie widzę, żeby tu się pięła po czymkolwiek jakaś róża. — Cieszył się na myśl o tym krzewie różanym.

— Może to wichura... — zasugerowała.

— ...go zerwała — dokończył.

Weszli po skrzypiących schodach i stanęli pod drzwiami.

— Patrz, Timothy, tam.

Nad drzwiami wisiała przekrzywiona tabliczka, huśtając się na jednym gwoździu.

OVE OTTAGE

— Ojej — powiedziała cicho.

Z pewnością to nie może być... z pewnością to nie jest, myślał.

— Mówili, że drzwi będą otwarte — szepnęła jego żona. — Czy... spróbujemy?

Drzwi otworzyły się z łatwością. Bał się zaglądnąć do środka.

— Aha.

Meble ustawione były w dziwnie przypadkowy sposób w dużym, wyłożonym boazerią pokoju. Przykryta pokrowcem sofa stała tyłem do dwóch foteli klubowych, stoliki do gry w karty zajmowały miejsce w wejściu do — jak się zdawało — jadalni, jedną stronę pokoju zakrywał wypłowiały dywan perski, a jego druga część była zwinięta.

Weszli ostrożnie, jakby stąpali po rozbitym szkle. Cynthia skrzyżowała ramiona i rozglądała się dookoła z niedowierzaniem.

— Jak to możliwe, żeby...?

Poświecił latarką na jeden ze stolików i zobaczył na wpół ułożoną układankę przedstawiającą Wielki Kanion.

— Spójrz na ten śliczny stary kominek — zauważyła. — Marion nic nie wspominała o kominku...

— Stęchlizna — stwierdził. — Czujesz ją?

— Tak, ale jakie to dziwne. Marion mówiła, że harowali jak woły, żeby wszystko wysprzątać. Timothy, to nie może być Dove Cottage.

— To z pewnością tutaj zaprowadziła nas jej mapa, a tabliczka nad drzwiami mówi, że...

Westchnął osłupiały.

— Spróbujmy włączyć lampę. Może jest już prąd. Niestety, prądu nie było.

Barnaba obwąchał chodniki i sofę, a szczególnie zainteresował go niewidzialny trop, który prowadził na korytarz. Szli za nim, obezwładnieni rozczarowaniem i zmęczeniem.

W kuchni drzwi do lodówki były szeroko otwarte, podobnie jak kilkoro drzwiczek w szafkach.

— Uch! — jęknęła. — Nie mogę uwierzyć, że zrobiliby nam coś takiego. Z pewnością nie myśleli, że przyjeżdżamy w następnym tygodniu. Pamiętasz, powiedzieliśmy im na początku, że to będzie następny tydzień. Może jakoś im się to pomyliło i jeszcze nie zrobili porządków...

Jej głos ucichł.

Ona się starała, on jednak nie chciał jej wierzyć. Nie będzie mieszkał w tej norze, nawet gdyby przysłali ekipę sprząającą z hotelu Ritz-Carlton z Paryża. Niech tylko dopadnie starszego kościelnego. Swojego czasu stoczył kilka potyczek ze starszymi kościelnymi; nie był naiwnym dzieckiem, jeśli chodziło o twarde stawianie sprawy w rozmowach ze starszymi kościelnymi...

— Telefon, musi być gdzieś tutaj telefon. Możemy zadzwonić do Fieldwalkerów i rzucić trochę światła na tę sprawę.

Znaleźli ścienny telefon po drugiej stronie szafek, nie działał jednak.

— Sypialnie — wyszeptwała zrozpaczona.

Na końcu korytarza, który był wyłożony perskim chodnikiem, znaleźli ogromną sypialnię i obejrzel ją dokładnie za pomocą latarki. Otwarte drzwi garderoby... otwarte okna... fruujące franki... pościelone łóżko, ale ociekające wodą.

— To musi być pomyłka, nie zrobiliby nam tego. Czuł, że jego żona jest bliska hysterii.

— Poczekaj tylko, aż wezmę w swoje ręce tego twojego wspaniałego biskupa, który wysyła cię na jakieś... niezamieszkaną pustkowię po tych wszystkich latach wiernej służby, którą mu ofiarowałeś.

— Ten... ten pyszny pies!

— Nie bierz tego do siebie — uspokoił Barnabę, który obwąchiwał szafy.

Ponieważ nie mieli pojęcia, co innego mogliby zrobić nieomal o północy na obcej ciemnej wyspie i bez telefonu, pościelili dwuosobowe łóżko w pokoju gościnnym i położyli się do niego, z Barnabą na podłodze po jednej stronie i Violet w otwartej klatce po drugiej. Jego niepokieszona żona wzdychała, aż w końcu rozżalona zasnęła, podczas gdy on leżał, wpatrując się w blade kółko na suficie, jakie rzucała latarka, mamrocząc słowa i miewając myśli, o jakich wypowiedanie i posiadanie nie posądzał się nawet w najśmielszych snach. Dodatkowo czuł się wyraźnie przemoczony, pomimo iż miał na sobie idealnie suchą piżamę, prosto ze swojej komody w Mitford — dzięki Ci, Boże, za drobne przyjemności.

Rozdział piąty

BŁĘKITNA WSTAŻKA

Usiadł na łóżku oszołomiony. Gdzie, na litość boską...?

Barnaba szczeakał dziko, a ktoś pukał do drzwi. Gdy rozpoznał otaczający go pokój, przypomniał sobie tę straszną sytuację, w której się znaleźli, i uznał to za dziwne, że koszmar może być jawą, nie snem.

Spojrzał na zegarek — siódma — i ruszył na korytarz bez szlafroka i pantofli. Przeszedł przez ciemny, wyłożony boazerią pokój, czując, jak ponownie narasta w nim gniew.

— Ojciec? Ojciec Kavanagh?

— Tak! — warknął, zapinając górę pizamy.

— Sam Fieldwalker, proszę ojca, starszy kościelny.

Wysoki, robiący wrażenie bardzo miłego mężczyzna wyglądał na niezwykle zaskoczonego.

— Sam... — Uścisnął mu dłoń, a Barnaba w tym czasie wachał buty nieznajomego.

— Zobaczyliśmy samochód ojca przed domem i... no cóż, widzi ojciec, czekaliśmy na ojca i panią Kavanagh do jedenastej wczoraj w nocy...

— Czekaliście? Gdzie?

— W waszym domu. Tam. Wskazał ręką w przeciwnym kierunku.

— To znaczy... że to nie jest nasz dom?

— Cóż, nie. Bardzo mi przykro, nie wiem, jak to możliwe... To chyba przez tę burzę i przez to, że nie było światła...

— Niewłaściwy dom! — wykrzyknęła jego żona, w koszuli nocnej wyglądając zza drzwi do holu.

— Dzięki Bogu!

Sam pozwolił, aby Barnaba powachał mu rękę.

— Proszę bardzo, stary przyjacielu, czujesz naszą małą Bitsy. O mój Boże, ojcze, ależ macie pieska!

— Ale ta tabliczka... — dopytywała się Cynthia — ta tabliczka nad drzwiami...

Sam spojrzał do góry, poprawiając okulary.

— O, na litość. Oczywiście. No cóż, widzicie, to jest tak zwana Love Cottage, jedna z kilku w okolicy...

Cynthia rzuciła gniewnie:

— Z pewnością nie spełnia oczekiwań, które rodzi jej nazwa!

— Należy do rodziny Love'ów, którzy zaczęli tu przyjeżdżać w latach czterdziestych. Wielkie nieba, ojcze, proszę pani, nie umiem wręcz powiedzieć, jak mi przykro...

Ojcu Timowi wydawało się, że Sam Fieldwalker za chwilę wybuchnie łzami.

— Ależ nie, proszę — zaczął. — Nie wiem, jak mogliśmy choć przez chwilę przypuszczać... Cóż, widzisz, było zupełnie ciemno i nie mogliśmy znaleźć drogowskazu częściowo zasłoniętego przez żywopłot, tego, którego kazała nam szukać Marion...

— Ach, teraz zaczynam rozumieć! Sam wyraźnie się rozchmurzył.

— Skręciliście w starą drogę dojazdową państwa Love'ów, która jest dość szeroka, żeby wziąć ją za ulicę — nieruchomości nie były tak drogie w latach czterdziestych — i oczywiście, jest też zaniedbany żywopłot wokół ich posesji. Ojej, jestem pewien, że Marion nawet nie przeszło to przez myśl.

— Nic się nie stało. Cieszymy się, że rozwikłaliśmy zagadkę. Ale czy państwo Love zawsze zostawiają swój dom nie zamknięty?

— Prawie nikt na Whitecap nie zamyka domu. I oczywiście, ich dzieci i wnuki często zaglądają tu latem, chociaż już nie tak często jak kiedyś.

— Aha.

Słońce było oślepiające, jego okulary zostały przy łóżku, a on mrużył oczy i spoglądał na świat przez szparę, zupełnie jak kot.

— Pozwoli ojciec, że pomogę przewieźć wam rzeczy. Marion czeka na was w Dove Cottage, żeby pokazać wam dom i podać śniadanie. Piecze bułeczki...

Poczuł, jak zalewa go fala wstydu. Jakże mógł zwątpić w tę serdeczną osobę, wierząc choć przez jedną chwilę, że jest to właściwy dom? Boże, wybacz mi.

— ...i — Sam przekonywał ich żarliwie — udało się jej znaleźć ładnego karmazyna, jeśli... jeśli mielibyście ochotę.

W tej chwili ojciec Tim usłyszał, jak burczy mu w żołądku, a na myśl o świeżym karmazynie i bułeczkach Marion Fieldwalker sam poczuł, że jest bliski łez.

Marion czekała na nich na ganku Dove Cottage. Okazała się wysoką, grubokościstą kobietą w fartuchu, z miłym wyrazem twarzy i białymi jak gołąb włosami, podobnie jak jej mąż.

— Na wypadek, gdyby udało się wam przypląć promem, czekaliśmy do jedenastej. Potem, gdy się nie pojawiliście, pomyśleliśmy, że burza was zatrzymała i że zostaliście gdzieś na noc.

— Kiedy odkryliśmy, że most jest nieczynny, pomyśleliśmy, że jesteście już za daleko, żeby wracać i szukać jakiegoś miejsca do spania — wyjaśniła Cynthia.

— I nieomal spóźniliśmy się na prom! — wykrzyknął ojciec Tim, któremu relacjonowanie ich perypetii sprawiało dziwną przyjemność. — Zjawiliśmy się na miejscu dwie minuty przed zamknięciem.

— Och, moje biedactwa! Ten most odmawia posłuszeństwa, jak się krzywo uśmiechnąć. Wiecie, że te szychy w rządzie nie przykładają takiej samej wagi do tych małych punkcików na mapie jak do dużych miast. No cóż, cudownie, że już jesteście, i mam nadzieję, że będzie wam smakował karmazyn.

— Uwielbiamy karmazyna! — wykrzyknęły zgodnie.

— „Bo gdzie są dwaj albo trzej zebrani w imię moje...” — zacytował starszy kościelny, śmiejąc się. Samowi podobał się zarówno wygląd, jak i temperament tej pary.

Prawdę powiedziawszy, czuł ogromną ulgę, że jego modlitwy zostały wysłuchane i na ile był to w stanie ocenić, St. John's nie dostał kota w worku.

— Zanim wejdziemy do środka — zatrzymała ich Marion — spójrzcie na swoją różę.

— Ach! — zawołała Cynthia.

Pospiechali w stronę treliazu i zanurzyli nosy w obfitości kwiatów.

— Cudowne! — szepnęła jego żona.

— Wychodziła już na ulicę, gdy ją znaleźliśmy, i była bardzo podeptana przez robotników, którzy pracowali nad podłogami. Ale bardzo ją pokochaliśmy i nawoziliśmy ją, i podlewali codziennie, a teraz...

— Jaka to odmiana, jak myślicie?

— Nie mamy pojęcia. Razem z Marjorie Lamb przeszukaliśmy wszystkie katalogi i książki o różach, ale za żadne skarby świata nie jesteśmy w stanie jej zidentyfikować.

— Wydaje mi się, że wiem dokładnie, co to jest — stwierdził ojciec Tim, poprawiając okulary i uważnie przyglądając się układowi płatków.

— Naprawdę?

— Tak. To Pnącze Marion.

— Ależ, ojcze! Proszę sobie nie żartować!

— Ależ ja nie żartuję. Rozpoznałbym je z zamkniętymi oczami.

— Pnącze Marion! — zawołała Cynthia. — Nie wierzyłam, że kiedykolwiek uda mi się je zobaczyć. Jest przecież bardzo rzadkie.

— Jesteście tacy sami! — roześmiała się Marion, lekko zarumieniona z zadowolenia.

— Jak wam się podoba kuchnia? — dopytywał się Sam. Ojciec Tim był odrobinę zawstydzony, widząc łzy, które napłynęły do oczu jego żony.

— Brak mi słów, żeby powiedzieć, jaka jest śliczna! — zawołała.

— Nie mogłaby być ładniejsza!

Jeśli ostatnia noc była koszmarem, to teraz mieli wrażenie, że spełnia się ich najpiękniejszy sen. Słońce wpadało przez błyszczące okno wykuszu i ozłacało swymi promieniami szerokie siedzenie tuż pod nim. Nagie deski drewnianej podłogi błyszczały pod świeżą warstwą wosku.

— Jeden z naszych parafian kupił ten dom kilka miesięcy temu i całkowicie go odnowił — wyjaśnił Sam. — Otis Bragg, poznacie go dzisiaj wieczorem. Otis i jego żona podarowali go parafii dla nowego tymczasowego księdza.

— Widzicie, o tam? — Marion wskazała na okno. — Tę błękitną wstążkę pomiędzy wydmami? To ocean!

Obwieściła to tak, jakby ocean był jej prywatną własnością i dzielenie się nim sprawiało jej ogromną przyjemność.

— Zapraszam na śniadanie — powiedział Sam, odsuwając krzesło Cynthiai.

Na okrągłym stole nakrytym czyściutkim obrusem ujrzeni błękitny wazon z rokitnikiem w kolorze arbuza i efekt pracy Marion Fieldwalker.

Był tam smażony karmazyn, chrupiący i gorący, na półmisku. Dzbanek kawy, mocnej i pachnącej. Dzbanek świeżego soku pomarańczowego. Kantalup, pokrojony w grube, dojrzałe plastry. Koszyk wypełniony po brzegi bułeczkami, obok złote koło sera i spodek masła, a z boku dżemy i konfitury do wyboru.

— Konfitura z fig domowej roboty — wyjaśniła Marion, wskazując na słoiczki. — Dżem malinowy. Dżem z jagód. I marmolada pomarańczowa.

— Najdroższy, czy nie wydaje ci się to możliwe, że wczoraj podczas tej okropnej burzy w jakimś sensie umarliśmy, a dzisiaj jesteśmy w niebie?

— To nie tylko możliwe, ale bardzo prawdopodobne!

Po wielekroć stawał przed tym dylematem w czasie swych lat posługi duszpasterskiej — jak wyrazić wdzięczność, która przepelnia serce, tak by chociaż w nikły sposób odzwierciedlała naszą radość?

Ujął dłonie Fieldwalkerów i pochylił głowę.

— Ojcze, jesteś taki dobry. Taki dobry, ratując nas z opresji burzy i dając nam ten nowy błogosławiony dzień i towarzystwo tych nowych błogosławionych przyjaciół. Dotknij, Panie, dłoni, serca i ducha Marion, która przygotowała dla nas ten posiłek, chociaż mogła zrobić coś ważniejszego. Pobłogosław tego dobrego człowieka za to, że wyszedł nam na spotkanie, za to, że czekał na nas w nocy i za to, że zgromadził pracowników, którzy pracowali, aby uczynić ten dom pełnym światła i blasku. Boże, moglibyśmy spędzić tu cały poranek. Dziękując Ci, zamierzamy jednak iść do przodu i rozkoszować się przyjemnościami tej wspaniałej uczy, którą w swojej łasce postawiłeś przed nami. Dziękujemy Ci ponownie za

Twoją dobroć i łaskę, i za troskę o potrzeby tych, którzy znoszą trudy życia, w imię Jezusa.

— Amen!

Marion Fieldwalker uśmiechnęła się, a jej oczy lekko błyszczały.

— Ojcze, gdy mówił ojciec Panu o tym, że zrobiłam to, mimo że mogłam zrobić coś ważniejszego, myślę, że powinien ojciec wiedzieć... że nie było nic ważniejszego!

Ich gospodyni podała półmisek ze smażonym karmazynem Cynthii, podczas gdy Sam częstował gorącymi bułeczkami swojego nowego księdza.

Och, ta niewysłowiona świętość małych rzeczy, myślał, czyniąc znak krzyża.

Marion uparła się, by posprzątać po śniadaniu, a oni siedzieli w tym czasie beczynnie jak ostatnie lenie.

— Możecie zaglądnąć do biblioteki w każdej chwili — zapraszała ich, nalewając każdemu ostatnią filiżankę kawy — w każdy poniedziałek, środę i sobotę, od dziewiątej do czwartej!

— Wpadniemy w następnym tygodniu — obiecał ojciec Tim.

— A to przypomina mi, jak się ma księgarnia? Słyszałem, że macie małą księgarnię na wyspie.

Marion roześmiała się.

— To głównie używane książki w miękkich oprawach ulubionego autora Erniego, Louisa L'Amoura!

— Ernie nie sprzedaje niczego, czego wcześniej nie przeczytał i nie zaaprobował.

W oczach Sama zatańczyła iskierka.

— Mam nadzieję, że lubi ojciec westerny.

— W poniedziałek dotrze tutaj czternaście pudeł z książkami — obwieściła Cynthia. — Możemy otworzyć własną księgarnię!

— Na marginesie — poinformował ich Sam — Ernie oferuje również usługi notarialne, przesyłki UPS, a z boku ma wypożyczalnię lasek i kul.

— Szeroki asortyment!

— Prawdę powiedziawszy, codziennie będzie ojciec przechodził obok sklepu Erniego w drodze do kościoła. Jest na samym końcu ulicy.

— Wydaje się, że to najlepsze miejsce.

— Ernie ma swój lokal po jednej stronie budynku, Mona z kolei po drugiej. Dokładnie mówiąc, przez środek holu pomiędzy ich biznesami biegnie żółta linia i żadne z nich jej nie przekracza, chyba że w sprawach zawodowych.

— Aha.

Sam zamieszał kawę ze śmietanką, chichocząc.

— Ernie lubi powtarzać, że żółta linia ocaliła ich małżeństwo. Marion spojrzała na kuchenny zegar.

— Ojej! Lepiej pokażmy wam wszystko i zabierajmy się do swoich spraw!

Zdjęła fartuch i schowała go do torebki, następnie otworzyła drzwi do lodówki, jakby unosiła kurtynę na scenie teatru.

— Połowa chudej szynki, pieczony kurczak i trzy bochenki wybornego pełnoziarnistego chleba Ralpa Gaskella... Peklowany chleb z masłem Lovey Hackett, jest bardzo dumna ze swoich pikli, to przepis jej ciotecznej babki... następnie jest tutaj sok i jajka, i masło. To na początek, i jajka z farmy Marshalla i Penny Duncan — jest młodszym kościelnym Sama.

— A na koniec najważniejsze... — Marion wskazała na duży pojemnik na dolnej półce — szarlotka z przyprawami korzennymi Marjorie Lamb. Co roku, od dziesięciu lat, zdobywa nagrodę na naszym małym jarmarku!

Ojciec Tim jęknął w duchu. Nieustające kuszenie śmiertelnego ciała...

— Jakże hojną parafią jesteście, i niech wam Bóg za to błogosławi!

— Zawsze staraliśmy się rozpieszczać naszych księży — wyznała Marion, uśmiechając się. — Ale nie wszyscy na to zasługiwali.

Sam zamrugnął swoimi błękitnymi oczami.

— Ależ, Marion, na Boga...

— Mówiłam szczerze — sprostowała Marion delikatnie.

— Najdroższy, wydaje mi się, że my też powinniśmy być szczerzy.

— A, uch, w jakiej kwestii? — chciał wiedzieć ojciec Tim.

— W kwestii twojej cukrzycy. Mój mąż lubi myśleć, że tym kontrowersyjnym cierniem świętego Pawła była bez wątpienia cukrzyca.

— Ojej! — wykrzyknęła Marion. — To znaczy...

— Ogólnie rzecz biorąc, oznacza to, że nie mogę jeść tych wszystkich ciast i wypieków, którymi większość dobrych ludzi lubi dokarmiać księży.

— Ale ja mogę! — wykrzyknęła jego żona.

— Lepiej, żeby wszyscy dowiedzieli się o tym na wstępie — wyjaśnił lekko zmieszany. — Mniej osób będzie urażonych później, gdy...

Sam pokiwał głową ze współczuciem.

— Och, rozumiemy, ojcze, i powiemy o tym innym. Cóż, powinniśmy się zbierać, Marion. Zajęliśmy tym miłym ludziom zdecydowanie za dużo czasu.

— Wszyscy nie mogą się już doczekać, kiedy ojca zobaczą — powiedziała z dumą Marion. — Mamy nadzieję, że odpoczniecie po południu, a my przyjdziemy po was o szóstej. Wygląda na to, że pogoda dopisuje i będzie idealna na naszą hawajską ucztę.

— Czy ten pomysł ze spódniczkami z trzciny jest nadal aktualny? — wolał upewnić się ojciec Tim.

Marion roześmiała się.

— Obaliliśmy go. Nie chcieliśmy was wystraszyć, zanim zaczniecie!

— Doskonale! A jak można się dostać stąd do kościoła? Bardzo chciałbym już go zobaczyć!

— Na Boga! — zawołał Sam, sięgając do kieszeni. — Niewiele brakowało, a zapomniałbym. Mam tutaj klucz dla ojca.

Wyciągnął klucz i podał go ojcu Timowi.

— Trzeba wyjść główną furtką, skręcić w lewo i przejść dwie przecznice, cały czas idąc prosto. Nie może go ojciec nie zauważyć. Och, i na biurku w salonie znajdzie ojciec kilka listów. Od dwóch spośród naszych... najbardziej wylewnych parafian. Chcieli dotrzeć do ojca, zanim zrobią to wszyscy pozostali...

Sam odchrząknął.

— Jeśli ojciec rozumie.

— O tak, rozumiem — odparł.

— Na ojca miejscu — ostrzegła go Marion — poszłabym do kościoła i ucięłabym sobie przyjemną drzemkę przed zabraniem się do przeczytania tych listów. Ujmując rzecz prosto, wszystkie mówią o kłótniach. Wstyd się nam do tego przyznać, ale nasz mały kościół już od miesiący kłóci się o wszystko, od modlitewników zaczynając, a na kościelnych biuletynach kończąc. Słyszałam już tyle kłótni, że wystarczy mi na całe życie!

Wyszli na ganek, gdzie ogarnęło ich lśniące i migoczące światło. Cały świat zdawał się im — mieszkańcom gór, przyzwyczajonym do drzew — nie kończącym się błękitnym niebem, w poprzek którego żeglowały z królewską godnością cumulusy.

— Tysiąc razy dzięki za wszystko, co zrobiliście dla nas — wyraziła swoją wdzięczność Cynthia.

— To dla nas zaszczyt i przyjemność. Jak wiecie, my, mieszkańcy Whitecap, nie słyniemy z zamiłowania do wymieniania uścisków, ale wydaje się nam, że jeden by wam nie zaszkodził!

Sam i Marion uścisnęli ich, a oni z wdzięcznością odwzajemnili ten gest.

Starszy kościelny spojrzał z sympatią na swojego nowego księdza.

— Pomożemy ojcu, w czym tylko będziemy mogli. Może ojciec na nas liczyć.

Coś mu mówiło, że rzeczywiście będzie na to liczył.

Nie czyniąc wyjątku dla żony, w swoim życiu był posłuszny tylko kilku osobom — swojej mamie, większości biskupów, pannie Sadie i Louelli. Uważał, że Marion Fieldwalker może okazać się bardzo właściwą osobą do okazywania posłuszeństwa, dlatego położył się z Cynthią i zdrzemnął, czując ciepło wpadającego przez okno słońca, wdychając z lubością czysty zapach miękkiej, gęsto tkanej zakardowej narzuty i dziękując Bogu.

Gdy wyruszał z Barnabą do swojego nowego kościoła, poczuł się jak nowo narodzony. Nie pójdzie jednak dalej, dopóki nie obejrzy ogrodu otoczonego drewnianym płotem, z furtkami z przodu i z tyłu, które prowadzą na ulice.

Wzdłuż płotu po prawej stronie od ganku gęsty zagajnik kann i niewielkie skupisko oleandrów...

Obok furtki wejściowej przekwitnięte róże, ale w dobrej kondycji, a na płocie — milin. Kilka drzew różnego rodzaju, dających spory cień, a dalej masa hortensji.

Obszedł dom, idąc na drugą stronę. Tam, wokół zegara słonecznego, rosły petunie i werbena. Następnie udał się na podwórko za domem. Owalny ogród ziołowy, otoczony mniejszymi sztachetkami, karmnik dla ptaków wiszący nad tylnymi schodami...

Dokonał szybkiej kalkulacji odnośnie do trawnika. Dwadzieścia minut, najwyżej, ręczną kosiarką, którą Sam naostrzył, naoliwił i zostawił w szopie.

Znad wody dotarła lekka bryza, a czystość oczyszczonego burzą powietrza była tonizująca i ożywcza. Wydawało mu się, że słyszy, jak ktoś gwizdże, gdy wychodził przez tylną furtkę, i odkrył ze zdziwieniem, że to on sam.

Tu-da-i-da-da, tu-da-i-da...

Pobiegli z Barnabą truchtem wzdłuż wąskiej ścieżki, dostrzegając słynny już drogowskaz na rogu wysokiego ogrodzenia. Ogrodzenie było gęsto porośnięte kwitnącą winoroślą oraz zakryte opadającymi gałęziami drzew, których nie potrafił rozpoznać.

Jakie to cudowne uczucie widzieć rzeczy, których nie może rozpoznać — dlaczego nie był w swoim życiu większym podróżnikiem, dlaczego tkwił w Mitford jak kołek w płocie, odmawiając sobie wyjątkowej przyjemności obcowania z nieznanym?

Miał dziwne wrażenie, że ktoś go obserwuje. Zatrzymał się na środku ulicy i rozglądnął dookoła. Ani roweru, ani samochodu, ani żywej duszy, jedynie mewa nurkująca ponad nimi. Mogło się zdawać, że zostali przeniesieni do raj, samotni jak Adam.

Odkrył, że sklepy Erniego i Mony znajdowały się tuż przy ulicy. Przed budynkiem zaparkowanych było, jeden obok drugiego, kilkanaście samochodów. Samochody i ciężarówki stały też wzdłuż drogi.

Mona's Café

Trzy pełne posiłki

Sześć razy w tygodniu

Zamknięte w niedzielę

U Erniego — Książki, przynęta i sprzęt wędkarski

Od szóstej do szóstej

Z WYJĄTKIEM NIEDZIEL

Dwunasta trzydzieści, według jego zegarka, a przed nim ponad pięć pełnych godzin wolności. Alleluja!

Przywiązał czerwoną smycz do ławki, pod którą Barnaba wczuł się, dysząc.

Gdy drzwi z siatką trzasnęły za nim, ujrzał namalowaną żółtą linię, biegnącą od początku do końca przez środek holu. Na tablicy na stojaku widniały dwie strzałki — jedna wskazywała na lewo do Mony, druga na prawo do Erniego.

Przeczytał odręczny napis, umieszczony tuż obok drzwi z siatką, które prowadziły do kawiarni:

„Nawet nie myśl o tym, żeby tu przeklinać”.

Czy powinien podążyć za kuszącymi zapachami, które unosiły się z kuchni Mony, czy też powinien kupić „Whitecap Reader” i dowiedzieć się, co w trawie piszczy?

Skręcił w prawo, gdzie sklep z przynętą i sprzętem wędkarskim wywiesił własne ogłoszenie:

„Wędka to patyk z haczykiem na jednym końcu i głupcem na drugim. Samuel Johnson”

— Co mogę dla pana zrobić?

Postawny mężczyzna o miłym wyrazie twarzy, w czapce z daszkiem, siedział za kasą.

— Chciałbym kupić egzemplarz „Whitecap Reader” — poprosił ojciec Tim, wyjmując drobne z kieszeni.

— Powinien tu jakiś być. Chyba nie chciałby pan wydawać dzisiaj pieniędzy, skoro kolejny wychodzi w poniedziałek. Roanoke, jest tam gdzieś gazeta?

Roanoke podniósł wzrok, mrużąc oczy.

— Junior ją ma, zabrał do toalety.

— W porządku — wtrącił ojciec Tim. — Chętnie zapłacę. Ile kosztuje?

— Pięćdziesiąt centów. Może pan zabrać jedną ze stojaka przy drzwiach.

Odliczył dwie dwudziestopięciocentówki.

— Dziękujemy. Jest pan pierwszy raz na Whitecap?

— Właśnie się tutaj sprowadziłem z żoną.

— W takim razie... — Mężczyzna wyciągnął do niego przez ladę dłoń. — Ernie Fulcher. Prowadzę ten interes.

— Tim Kavanagh.

— A pan czym się zajmuje?

— Jestem nowym księdzem w kościele St. John's.

— Nigdy nie widziałem poprzedniego — przyznał Ernie. — Wydaje mi się, że Roanoke spotkał go raz czy dwa.

Roanoke kiwnął głową, z poważną miną. Ojciec Tim pomyślał, że ogorzała, pokryta zmarszczkami twarz Roanoke przypomina jabłko, które zbyt długo leżało na słońcu.

— No cóż, dziękuję. Do zobaczenia.

— Oczywiście. Zawsze zapraszamy. Łowi pan?

— Raczej nie.

— Jeśli będzie pan potrzebował krewetek, barweny, kalmarów, przynęty albo kumpla... to proszę dać mi znać.

— Nie omieszkam.

— Ponadto jesteśmy przedstawicielstwem UPS na całą wyspę, że nie wspomnę o tym, iż wypożyczamy kule...

— Doskonale.

— I łamigłówki, bez pobierania opłaty.

— Chciałbym się kiedyś przyjrzeć waszym książkom.

Ernie wskazał kciukiem w stronę pomieszczenia z odręcznym napisem nad otwartymi drzwiami: „Książki, książki i jeszcze więcej książek”. Mam teraz promocję — kup pięć, jedną dostaniesz za darmo.

— Aha.

— Trudno o lepszy pomysł.

— Być może. Do zobaczenia w takim razie.

Odwiązywał właśnie przywiązaną do nogi ławki smycz, kiedy dwóch mężczyzn wyszło z Mona's Café, pachnąc smażonymi rybami.

— Co to za pies? — zastanawiał się jeden, wkładając do ust wykałaczkę.

— Duży — odparł jego kolega.

Spodobał mu się od razu.

Kościół St. John's in the Grove stał na pagórku, w lasku zawsze zielonych dębów, które rzucały chłodny, nieprzenikniony cień na przykościelny cmentarz i pokrywały cętkami zielone drzwi wejściowe.

Pierwotny kościół St. John's został zniszczony przez pożar w czasie wojny o niepodległość Stanów Zjednoczonych i odbudowany pod koniec wieku dziewiętnastego w drewnianym stylu gotyckim. Sam Fieldwalker mówił, że rodzina Love'ów zakupiła sąsiadującą posesję w latach czterdziestych i podarowała

ją kościołowi. W rezultacie niewielki budynek stał na czternastu hektarach dziewiczego morskiego lasu, graniczącego od strony cmentarza z Atlantykiem.

Ojciec Tim stał pod schodami, wdychając zapachy swojego nowego kościoła, tkwiącego niczym klejnot w samym sercu jego nowej parafii. Ujmujący urok i wdzięk kościoła St. John's sprawiły, że od razu poczuł się swobodnie, pełen nadziei, niczym dziecko.

Przeżegnał się, a potem zaczął się modlić na głos, spontanicznie, słowami podziękowania:

— Dziękuję ci, Panie! Co za błogosławieństwo... i co za wyzwanie. Obdarz mnie cierpliwością, Ojczy, wobec wszystkiego, co mnie czeka, a szczególnie proszę Cię o Twoją uzdrawiającą łaskę dla całego kościoła St. John's.

Wszedł po stopniach i wsunął klucz do zamka. Klucz przekręcił się gładko, co było zasługą młodszego kościelnego. Następnie położył dłoń na gałce i otworzył drzwi.

Mimo że były ciężkie, uchyliły się z łatwością. Ojciec Tim lubił dobrze naoliwione drzwi do kościoła — wolał obyć się bez tego całego skrzypienia i rżenia.

Woń kościoła natychmiast przemówiła do jego serca. Stare drewno i olejek cytrynowy... wciąż obecny zapach kwiatów z ostatniej niedzieli, nadal znajdujących się na ołtarzu... całe lata kadzidła i wosku...

Po prawej stronie były wąskie odkryte schody, prowadzące na chór. Na lewo pulpit z otwartą księgą pamiątkową i przywiązany na tasemce długopisem. Otworzył grubą księgę na pierwszym wpisie. Jej kartki zaszeleściły jak suche liście. „Myra i Lewis Philips, Bluefield, Kentucky, 20 lipca 1975... Kochamy Wasz mały kościółek!!”

Spojrzał do góry, na wiszący nad pulpitem oprawiony w ramę napis, starannie wykaligrafowany i ozdobiony wypłowiałą akwarelą.

„Niech spokój tego miejsca przepełni Cię, gdy będziesz siedział bądź klęczał w ciszy. Niech pośpiech i smutki Twojego życia ustąpią. Jesteś dzieckiem Boga. On Cię kocha i troszczy się o Ciebie, i jest tutaj z Tobą teraz i zawsze. Rozmawiaj z Nim z namysłem, daj sobie czas dla Niego, aby przywiódł Ci na myśl wszystko, co ważne”.

Och, ten balsam, myślał, jakim jest chłodny, cichy kościół, pełen historii.

Podszedł do przejścia między ławkami, które odsłaniało nagie sosnowe deski podłogi. Były grubsze niż jego dłoń i przyjemnie skrzypiały pod jego stopami. Skrzypiące drzwi, nie, pomyślał, ale deski podłogi to coś zupełnie innego. Nigdy nie mieszkał w domu, w którym przynajmniej dwie albo trzy deski podłogi nie wydawały z siebie przyjacielskiego skrzypnięcia.

Po każdej stronie szerokiego przejścia znajdowało się osiem długich ławek, mogących pomieścić... trzy, cztery, pięć, sześć, siedem, osiem osób, i cztery krótkie ławki mogące pomieścić cztery osoby. Tu i tam na ławce leżała zwinięta poduszka, świadcząc o rezerwacji tego miejsca jako czyjegoś prawomocnego, możliwe iż długowiecznego terytorium.

Jego wzrok pobiegł za przejściem, do prezbiterium, gdzie — pod wspinałym witrażem — wisiał krzyż wykonany z drewna statku.

Na słabo oświetlonym szkle widniała samotna figura Chrystusa, z ramionami wyciągniętymi do każdego, kto mógłby stanąć w przejściu. Za nim błękitne morze. Nad nim lazuruwe niebo i biała mewa. Prostota i porywająca wymowa tego obrazu na chwilę zaparły mu dech w piersiach.

— „Przyjdźcie do mnie wszyscy... — odczytał na głos znajomy werset wyryty na oknie staroangielskim pismem — którzy utrudzeni jesteście, a Ja was pokrzepię”.

Były to jego pierwsze słowa, wymówione na głos w jego nowym kościele, słowa, które Paul Tillich* wybrał ze wszystkich możliwych wersetów, aby najlepiej wyrazić osobiste rozumienie wiary.

* Paul Tillich (1886-1965) — teolog.

Nagle czując znużenie pod spodem całej tej radości, wsunął się do ławki po lewej stronie i upadł na kolana, zanosząc słowa podziękowania.

Barnaba ciągnął go do przodu, z nosem przy ziemi; nowy urzędujący ksiądz kościoła St. John's pozwalał się ciągnąć tu i tam, tak beztroski jak targany wiatrem liść.

Obeszli kościół i udali się na cmentarz, gdzie z zainteresowaniem studiował kamienie nagrobne i spoglądał ponad zagajnikiem na jeszcze jedną odległą wstążkę błękitu. Przyłożył dłoń do ucha i nasłuchiwał, mając nadzieję usłyszeć słodki odległy huk oceanu, ale usłyszał jedynie mewę.

Oślaniając oczy przed słońcem, odwrócił się i wyglądał w stronę cieśniny, ponad ciągnącym się grzbietem wzgórze, zatrzymując wzrok na drzewach i zastanawiając się, czy dzikie kucyki są jedynie bajką, czy też naprawdę tam żyją. Miał nadzieję, że naprawdę tam są.

Zanim razem z Barnabą skierowali kroki do domu, stał przez chwilę przed miejscem, na którym znajdowały się groby rodziny Love'ów. Otoczone było żelaznym płotem, a pieczę nad nim sprawował kunsztownie wykonany anioł, okryty porostem. Spoczywali tam jedynie Redmon, jego żona Mary i ich syn Jonathan.

Obok miejsca rodziny Love'ów znajdował się grób, u którego czoła widniała jedynie prosta tablica z wyrytym napisem. Przystanął, żeby go przeczytać.

Odeszła osoba kochana,

Zamilkł głos, który kochaliśmy.

Pustka nam w domu została

I nic jej nie wypełni.

Estelle Woodhouse, 1898-1987

Wziął głęboki oddech i pogłaskał głowę swojego dobrego psa, który siedział zadowolony u jego stóp.

Wszystko będzie dobrze, bardzo dobrze, pomyślał. Był pewien.

„Drogi Ojcie Kavanagh,

w kościele St. John's zostałam ochrzczona, przystąpiłam w nim do bierzmowania i wzięłam ślub.

Służyłam w Bractwie Ołtarzowym, śpiewałam w chórze i uczyłam w szkole niedzielnej (z wyjątkiem tych lat, które spędziłam na łądzie, pobierając wykształcenie).

Pełniłam rolę odźwiernego, sekretarki i skarbnika Kobiet Kościoła Episkopalnego przez pięć kadencji, czytałam prioprium w każdą niedzielę przez siedem lat, a w 1975 roku przewodniczyłam dużej kampanii, której celem było zebranie funduszy na całkowitą odnowę naszych organów.

Ze wszystkich możliwych do zrobienia w Kościele episkopalnym rzeczy nie miałam jeszcze możliwości uczestniczenia we własnym pogrzebie.

Chodzi mi o to, że wiem, o czym mówię, a mówię o wszystkich tych osobach, które odmawiają wykonywania obowiązków kościelnych z szacunkiem i godnością, pragnąc tylko zaspokoić swoje zachcianki i zasiać zamęt w głowach młodych ludzi.

Czy zgodzi się Ojciec ze mną, że nie zamieszcza się informacji o samochodach na sprzedaż w kościelnym biuletynie? Czy zgodzi się Ojciec ze mną, że nie przeskakuje się z modlitewnika z roku 1928 do modlitewnika z roku 1979, tam i z powrotem, od niechcienia i bezmyślnie, czy też cokolwiek przyjdzie komuś do głowy?

Czy zgodzi się Ojciec, że Komunia Święta jest czasem, który najlepiej smakować i czcić w ciszy, a nie przy ryku i hałasie wszelakiego rodzaju dziwnych instrumentów, włącznie z harmonijką?

Mam gorliwą nadzieję i modłę się o to, aby ulubiony instrument ojca Morgana — gitara nie pojawiała się niespodziewanie w czasie Ojca pracy u nas na zastępstwie.

Zasmuca mnie, że zastaje Ojciec taki galimatias, jaki sami stworzyliśmy w St. John's, ale biskup Harvey gwarantuje, że jest Ojciec bez wątpienia właśnie tym, który uratuje nas przed nami samymi.

Ufam żarliwie, że nie pozwoli Ojciec na to, by takie zachowanie nadal występowało, i przypomni wszystkim i każdemu z osobna, nie przebierając w słowach, jak należy właściwie pielegnować czcigodne tradycje Kościoła.

Z wyrazami szacunku, Jean Ballenger".

Zachichotał mimowolnie. Gdyby to miał być przykład najgorszego gatunku sprzeczek, którym musiałby stawić czoło w czasie swojej pracy tymczasowego księdza, byłby szczęśliwym człowiekiem.

Słyszał swoją żonę, jak tupie bosymi stopami, nucąc fragmenty melodii i gotując wodę na mrożoną herbatę. Rozsiadł się wygodnie w fotelu i westchnął, dochodząc do wniosku, że bardzo mu się podoba ten pokój.

Dwa fotele klubowe, przykryte pokrowcami z prążkowanego impregnowanego płótna, stały po obydwu stronach pomalowanego na zielono stołu, zwieńczonego lampą do czytania.

Pod przeciwległą ścianą znajdował się niski kwadratowy stolik, a nad nim wisały oprawione akwarele, przedstawiające wiejską drogę, jezioro otoczone drzewami w jesiennej szacie, kaczki na stawie,

małą błękitno-czerwoną łódkę na otwartym morzu, starszego mężczyznę i kobietę odmawiających modlitwę przed wieczornym posiłkiem. Zaskakująco przyjemne połączenie, pomyślał, kiwając głową z aprobatą.

Ich książki zostaną dostarczone w poniedziałek i od razu wybierze się na poszukiwanie cegieł i desek. Przed wieczorem we wtorek, jeśli wszystko dobrze pójdzie, wzdłuż obecnie pustej ściany w ich salonie będą biegły półki z książkami.

Jeśli chodzi o wystrój pokoju, miał jedynie pewne wątpliwości odnośnie do reprodukcji rzymskiego Koloseum, która wyblakła, przybierając jednolity bladozielony kolor.

Czuł zmęczenie ostatnich dni w kościołach. Dzięki Bogu, nie będzie głosił kazania jutro rano; w najbliższą niedzielę jednak już się nie wywinie.

Spojrzał na drugi list, oparty o podstawę lampy.

„Drogi Ojciec,

Avery Plummer jest dziwką.

Proszę sprawdzić dokładne znaczenie tego słowa, jeśli go jeszcze Ojciec nie zna, w co wątpię. Kilka miesięcy temu uciekła z mężem innej kobiety i niech Bóg ma litość nad dziećmi w całym tym galimatiasie, pomijając Kościół, który im w tym pomógł.

Zapyta Ojciec, jak Kościół może pomóc komukolwiek w popełnieniu grzechu, a ja odpowiem, że Kościół pomaga, widząc, co się dzieje i odwracając w drugą stronę głowę, podczas gdy można byłoby poczynić jakieś kroki, które rozwiązałyby problem raz na zawsze. Proszę przeczytać werset 18 z Ewangelii wg świętego Mateusza, jeśli go Ojciec jeszcze nie zna, w co wątpię.

Ktoś powiedział, że Jeffrey Tolson, nasz były dyrektor chóru i drań, który troszczy się tylko o siebie i o nic więcej, chce wrócić do St. John's, ponieważ tutaj dorastał. Chcę zatem Ojca poinformować, że jeśli on kiedykolwiek przekroczy próg naszego kościoła, mój mąż i ja odejdziemy, a razem z nami wielu innych ludzi. Oznacza to, że ponad połowa rocznego budżetu Kościoła ucieknie przez okno i nigdy nie wróci.

Cieszymy się na spotkanie z Ojcem podczas uczyty hawajskiej, która odbędzie się w naszym domu dzisiaj wieczorem.

Wyrazy szacunku dla Ojca i żony. Życzymy powodzenia w pracy duszpasterskiej na Whitecap.

Z poważaniem, Marlene Bragg".

— Oto, co należy zrobić — instruował wszystkich Otis Bragg, wymachując widelcem. — Jeśli zapowiadają huragan, wszyscy zjawiają się przy wejściu do piwnicy kościoła. Wybudowana jak tankowiec. Wszyscy w parafii o tym wiedzą, trzymamy tam nawet niewielki zapas żywności w puszcze i kawę.

— Myślicie na zapas — odparł z uznaniem ojciec Tim.

— Nie mamy już tam kawy — sprostowała Marjorie Lamb. — Zabrakło nam podczas brunchu dla biskupa zeszłej wiosny i musieliśmy jej użyć.

Otis uśmiechnął się.

— W takim razie trzeba będzie przynieść własną.

Otis Bragg był niski, krępej budowy i łysiał. Miał wyraźną słabość do kubańskich cygar. Ojciec Tim zauważył, że ich nie pali, ale żuje.

Siedzieli przy stolikach w ogrodzie, za rozległym domem Braggów, który bardziej przypominał hotel w popularnej miejscowości wypoczynkowej niż dom mieszkalny. Woda w basenie kształtu nerki tańczyła i lśniła na słońcu.

Cynthia zmarszczyła czoło.

— Czy huragan kiedykolwiek dotarł do Whitecap?

— No pewnie — odparł Otis. — Łup, jeden mieliśmy w siedemdziesiątym drugim, drugi, buch, naprawdę niezły, w osiemdziesiątym czwartym.

— Jakie były zniszczenia? — dopytywała się.

— Ogromne. Powywracał moje ciężarówki do transportu żwiru, zerwał dach z moich budynków gospodarczych.

Leonard Lamb zamyslił się.

— Wydaje mi się, że to huragan Herman zerwał ci dach, ale to Darlene ustawiła samochód rekreacyjny Sama Fieldwalkera w ogrodzie sąsiada i starła na miazgę całe miasteczko.

— Nikt na Whitecap już od dawna nie dał swojemu dziecku na imię Herman czy Darlene — podsumował Otis. — Na marginesie, słyszałem, że Dove Cottage, w której mieszkacie, ma porządne piwnice; podobnie stary dom rodziny Love'ów. Trudno tu wykopać dobrą piwnicę, ale ta część wyspy leży na grzbiecie, tak jak St. John's. Bez grzbietu nie da się wykopać piwnicy.

Ojciec Tim spojrzał na żonę i wiedział, że już najwyższa pora zmienić temat.

— Czy dostarczają tu pocztę do domu?

Otis nałożył mu na talerz porcję surówki z białej kapusty i jeszcze jeden kawałek świeżo upieczonego na grillu mięsa.

— Wy, ludzie z gór, macie lekkie życie, ojczy, my musimy przywozić tu naszą pocztę, korzystając z usług QuikPik.

Otis polał mu porcję mięsa pikantnym sosem.

— Poczta przychodzi zazwyczaj około drugiej, wystawiają wtedy w oknie tablicę „Poczta”. Oczywiście, jeśli most jest nieczynny, przywozi ją prom.

— Czy most jest już naprawiony?

— Prawdopodobnie, zazwyczaj nie trwa to długo. Jak nie jedno, to drugie, aż do znudzenia. Albo deszcz podmyje most, albo koryto drogi i most rozciągną się pod wpływem ciepła, albo znowu wysiadzie przekaźnik. Pamiętam stare dobre czasy, gdy mój biznes nie zależał od niczyjego mostu, zarabiałem na życie tutaj.

— Czym się zajmujesz?

— Mam firmę transportową — przewożę żwir, piasek, tłuczone muszle ostryg, wszystko. Oferujemy również gotowy do użycia cement, dla wszystkich budowlanych potrzeb — czy to dla celów prywatnych, czy też komercyjnych.

— Aha!

— Dzisiaj firma Bragg obecna jest w Whitecap i Manteo, nie wspominając o pięciu placówkach na kontynencie.

— Zawojowała rynek!

— Właśnie! — przyznał Otis, czerwieniejąc lekko z dumy.

Marlene Bragg była rzucającą się w oczy kobietą, z paznokciami w kolorze fuksji, mocną opalenizną i ogromną grzywą blond włosów z ciemnymi odrostami.

— Bardzo się cieszymy, że ojciec wraz z żoną jest z nami — i przywieźliście ze sobą waszą chłodną pogodę!

Ojciec Tim uśmiechnął się do pani domu, która właśnie oprowadziła go po całym wnętrzu.

— Szczerze mówiąc — zauważył — mam wrażenie, że dzisiaj rano naprawdę poczułem górską bryzę!

— O tej porze roku jest zazwyczaj bardzo gorąco.

— Słyszałem — zgodził się.

— Ale wiem, że spodoba się ojcu na Whitecap, tak jak nam.

— Czy od dawna mieszka pani na Whitecap?

— Od siedemnastu lat, pochodzimy z Morehead City. Mój mąż bardzo ciężko pracował, ojczyźnie, żeby wyrobić sobie nazwisko w tych stronach. — Zasznurowała usta. — Był bardzo hojny dla diecezji, nie wspominając o St. John's.

— Oczywiście. Uśmiechnęła się.

— Chcielibyśmy, żeby tak zostało.

— Oczywiście — odparł. Lepiej, żeby tego nie mówił.

Jean Ballenger była niewysoką kobietą, z grzywką, która zdawała się przyklejona do jej czoła. Przy stoliku z deserami spojrzała mu głęboko w oczy i uściśnęła dłoń.

— Dziękuję ojcu za troskliwe pochylenie się nad sprawami przedstawionymi w moim liście — powiedziała.

— Bardzo proszę — odparł.

— A kto to jest, na litość? — zawołał ojciec Tim.

Dziecko, które wyglądało na mniej więcej trzy lata, zmierzało prosto w jego kierunku. Nie ściagała go jednak żadna dorosła osoba.

— To jest Jonathan Tolson! — wyjaśniła Marjorie Lamb, promieniejąc.

Jonathan oparł się o nogi ojca Tima i chwycił je mocno, spoglądając w górę, jakby byli starymi znajomymi. Pochylił się i ujął ręce chłopca w swoje dłonie.

— Hej, kolego!

Jasnowłosy maluch przygryzł dolną wargę i wpatrywał się przez chwilę w ojca Tima swoimi błękitnymi, pytającymi oczami. Następnie odwrócił się i pobiegł w kierunku, z którego nadbiegł.

— Chciał się po prostu przywitać — zaszczębiotała Marjorie, wyglądając na bardzo z siebie zadowolona.

Światelko oznaczające nową wiadomość w ich poczcie głosowej migotało.

— Hej — przywitał się Dooley. — Nie cierpię automatycznych sekretarek. Mam nadzieję, że dotarliście szczęśliwie. Skosiłem trawę w ogrodzie po pracy i zarobiłem piętnaście dolarów. Ciężarówka Avisy jest super, dostał ją dzisiaj. No cóż... — Głębokie westchnienie. — Harley ściągnął gniazda szerszeni. — Długa przerwa. — Tęsknię za starym Barnabą. Zadzwoń później. Cześć.

Kliknięcie. Sygnał.

— Słyszałam, że była tam straszna burza — rozległ się głos Emmy. — Mam nadzieję, że nie związało was do rowu. Jeszcze nie wyjechaliście dobrze z miasta, a Gene Bolick zasłabł i musieli go zabrać do szpitala. Dzwoniłam do Esther i lekarz powiedział, że musi go zatrzymać na badania.

Trzaskający dźwięk, jakby Emma trzymała rękę zanurzoną w paczce z ziemniaczanymi chipsami.

— Słyszałam, że młody ksiądz tymczasowy w Lord's Chapel rozdaje kartki z pieśniami, nie używają nawet śpiewnika, plus podobno, dwie czy trzy osoby podniosły do góry ręce, śpiewając, dając głowę, że mogłabym zgadnąć, kto. — Prychnęła. — Słyszałam, że twojemu dawnemu szefowi chóru szczęka opadła tak nisko, że mógłby zarysować zębami podłogę. — Emma schrupała kilka chipsów. — Widziałam kiedyś tę twoją lokatorkę, przemykała jak mysz, och, i widziałam Dooleya u Avisy, wygląda jeszcze lepiej, niż jak ty tu byłeś, więc nie martw się o nic. — Przeżuwanie i przetykanie, po którym nastąpiło siorbnięcie przez słomkę. — Snickers ma uczulenie na uszach, mam nadzieję, że Barnaba świetnie sobie radzi z tymi wszystkimi rzepami, i mam też, na Boga, nadzieję, że oglądacie mu regularnie łapy.

Emma przesuwiała słomkę po dnie kubka i wciągała powietrze pełna nadziei, nie znajdując jednak wiele. Ściszył automatyczną sekretarkę.

— Ach, przy okazji, Harold dostał prawdziwą podwyżkę, pierwszą od stu lat. Chciałabym, żeby poczta zrobiła sobie w końcu porządek w dokumentacji. Cóż, muszę kończyć, będzie mnie to kosztować krocie.

Kliknięcie. Sygnał.

— Timothy! Mówi Bill Harvey. Jak ci się podobają huczące fale? Wiem, że będziesz się cieszył każdą chwilą spędzoną z tymi wspaniałymi ludźmi w St. John's. Jesteś dokładnie tym, co przepisał lekarz. Wszystko, czego potrzebują, to Liturgia II, kazanie, które nie wstrząsa posadami kościoła, i mała przechadzka przez mostek na niedzielny brunch w Cap'n Willie's. Będę tam ósmego, żeby cię wprowadzić. Barbara nie przyjedzie — mamy tu wnuków z Connecticut — bardzo żałuje i przeprasza. Zatrzymam się, jak zwykle, u Otisa i Marlene Braggów. No cóż, posłuchaj, zadzwoń do mnie, jeśli tylko będziesz mnie

potrzebował, rozumiesz? I nie zapomnij o tym, żeby jeść dużo śledzianki i błyszczyka, powinno ich być teraz pod dostatkiem. Na twoim miejscu nie jadłbym jednak nic smażonego; ja najbardziej lubię pieczone, to zdrowsze dla serca. Och, postaraj się dobrze traktować Otisa. On i Marlene są bardzo hojnymi dobroczyńcami, nie chciałbym ich stracić, ha, ha. No cóż. Pozdrowienia dla twojej pięknej żony! Do zobaczenia ósmego.

Kliknięcie. Sygnał.

— Chodźmy poszukać plaży — zaproponował po telefonie do Dooleya.

— Teraz?

— Jest dopiero dziesiąta.

— W Mitford prawie wszyscy już smacznie śpią — zauważyła jego żona.

— To nie jest Mitford.

Otoczył ją ramieniem, przyciągnął do siebie i zanurzył twarz w jej włosach.

— Ale mam już na sobie koszulę nocną.

— Nic nie szkodzi. Nikt cię nie zobaczy.

— I jestem bosa.

— Doskonale — stwierdził.

Rozdział szósty

DŁUGIE LŚNIENIE

Wyspa Whitecap z grubsza przypominała kształtem bożonarodzeniową skarpetę, z czubkiem wypełnionym orzechami i cukierkami.

W czubku Otis Bragg ulokował rozbudowany system magazynów żwiru, kamieni, tłuczonych muszli ostryg, sprzętu do wyrobu cementu dla indywidualnych klientów i ogromne hangary mieszczące sprzęt do wykopów oraz sprzęt budowlany.

Tam, gdzie pięta, stała wygodnie latarnia, otoczona żywopłotem z ostrokrzewu, porzucona zagroda dla dzikich kucyków i niewielkie muzeum. Na resztę wyspy składały się głównie wysokie wydmy, białe plaże, kanały i bagna, las morski i mała osada domów, sklepów, gospod i restauracji, poprzeplatanych wąskimi drogami. Teren, na którym znajdował się kościół St. John's in the Grove, położony był na samym końcu skarpety.

Z każdym rokiem wyspa Whitecap przyciągała coraz większą liczbę turystów z tak odległych miejsc jak Kanada i Kalifornia, sprawiając, iż lokalne kościoły pękały w szwach. Podczas gdy wiele kościołów na kontynencie upadało, kościoły na Whitecap rosły w siłę zarówno pod względem liczebności, jak i aktywności.

Mimo to beztróskie poczucie swobody manifestowało się nieomal wszędzie.

Piaszczyste ścieżki wiły się w gęstym cieniu zawsze zielonych dębów, wzdłuż letnich domków z drewnianymi płotami i przyjemnie nieuporządkowanymi podwórkami.

Na bagnach widać było stojące czaple, tak majestatyczne jak rzeźby ogrodowe. Ich czarne oczy wpatrywały się w porośnięte trzcina miejsca, skąd wychodziły na brzeg krokodyle i grzały się na słońcu.

Dość wcześnie nowy ksiądz tymczasowy w St. John's przekonał się, że kultura wyspiarska sprawia, iż Mitford wydaje się kosmopolityczną stolicą świata. Czas zdawał się płynąć wolniej na Whitecap i mimo kalendarza, zegarka, telefonu i faksu dni zaczęły się zlewać ze sobą niczym kontury akwareli. Środa mogła być równie dobrze wtorkiem albo czwartkiem, gdyby nie różniła się od pozostałych dni odprawianym w połowie tygodnia nabożeństwem z komunią świętą.

Sam Fieldwalker zachichotał.

— To szybko mija — wyjaśnił. — Na razie trwa jeszcze ojca miesiąc miodowy.

Ojciec Tim roześmiał się razem ze swoim sympatycznym starszym kościelnym.

— To wszystko wygląda mi niczym wakacje, niczym jeden wielki odpoczynek!

— Pracował ojciec dość ciężko, nie nazwałbym tych kilku pierwszych tygodni ojca tutaj wakacjami. Prawdę powiedziawszy, doradzałbym ojcu jeden dzień wolnego.

Sam spojrział na zegarek.

— Dobry Boże! Muszę bieć do „Readera” i oddać opowiadanie o Festynie Jesiennym, potem pojechać z Marion do okulisty na ładzie i zanieść do naprawy mój faks. Mam nadzieję, że zdążę wrócić na spotkanie organizacyjne związane z festynem.

Nawet na małej, spokojnej wyspie, pomyślał urzędujący ksiądz, wszyscy są zabiegani.

— Przy okazji — dorzucił Sam — cieszę się, że współpracuje ojciec z wielbnym Harmonem. Baptyści z pewnością mają duży wkład w uczynienie z festynu najważniejszego wydarzenia na wyspie. Zazwyczaj zbieramy dużo pieniędzy dla potrzebujących.

Podszedł z Samem do drzwi kancelarii, które prowadziły do przykościelnego cmentarza.

— Skoro mówimy o potrzebujących — zaczął ojciec Tim — rozmawiałem z Janette Tolson.

— Cieszę się. Gdy Jeff odszedł, Janette nie mogła zwrócić się o pomoc do ojca Morgana, ponieważ przyjaźnił się z Jeffem. Przeszła przez najgorsze, bez możliwości skorzystania z pomocy księdza.

— Bardzo cierpi, jak wiesz.

— To dotknęło nas wszystkich w bardzo bolesny sposób. Nie wspominając o tym, w jak zupełny nieład popadł nasz chór.

Ostatnio ich najlepszy tenor zgodził się poprowadzić chór, a zdegustowany takim obrotem sprawy wiodący sopran zrezygnował z wyraźnym niesmakiem z chóru i nauczał teraz w szkole niedzielnej.

— Wszystko dobrze się ułoży.

Tak zawsze mówiła jego mama, gdy sprawy miały się bardzo źle.

— Przede wszystkim musimy przestać myśleć o nim jako o chórze profesjonalnym i zadowolić się tym, że dobrze przewodniczy śpiewowi całej kongregacji.

Sam pokiwał głową.

— Ma ojciec rację.

— Wiesz, że w następnym tygodniu będziemy przesłuchiwać organistę.

— Nie podoba mi się pomysł płatnego organisty w St. John's. Pan zawsze dawał nam kogoś z kongregacji.

— Może tak będzie lepiej, Sam. Żadnych więzi z kościołem, żadnych osobistych interesów... tak właśnie radziliśmy sobie z tym problemem przez kilka ostatnich lat w Lord's Chapel i funkcjonowało to całkiem niezle.

— No cóż, bracie... — Sam uściśnął mu dłoń. — Broń fortu, kiedy my będziemy za wodą. O, na litość boską! Zapomniałem o chlebie bananowym. Pobiegnę tylko do samochodu. Marion nie byłaby zadowolona, gdyby po powrocie do domu on nadal ślizgał się na tylnym siedzeniu.

Dość szybko ojciec Tim przekonał się, że Marion Fieldwalker miała rację — parafia rzeczywiście lubiła psuć swoich księży.

On i Cynthia zapraszani byli w każdą niedzielę na brunch w Cap'n Willie's i na kolację do Mona's Café, razem z Lambami i Fieldwalkerami.

Dostali kosz krabów i małży od Braggów i byli regularnie zasypywani przez parafian chlebem prosto z pieca, nie wspominając o workach fasolki szparagowej i pomidorów.

Za udzielenie chrztu dostał kurczaka i kilogram masła z małej farmy Duncanów, podczas gdy ceremonia zaślubin, którą odprawił pod dębami, wzbogaciła spiżarnię Dove Cottage w gotowaną na miodzie szynkę.

Na całe szczęście on biegał trzy razy w tygodniu, a Cynthia jeździła na rowerze na pocztę, a potem do pralni i do sklepu spożywczego. Przypominała opaloną uczennicę, gdy tak pedałowiała, a z umieszczonej w koszyku na rowerze papierowej torby wystawały czubki marchewki.

Światelko automatycznej sekretarki migąło, gdy wrócił ze spotkania ze Stanleyem Harmonem w kościele baptystów na Whitecap.

— Hej, mówi Punny, co u was słyhać? Tutaj wszystko jest w jak najlepszym porządku, mam nadzieję, że u was też. Dziewczynki chciały się przywitać... Sissy, wracaj w tej chwili, wróć i przywitaj się z panną Cynthią i Ba!

Tupot małych stóp oddalających się korytarzem, przy akompaniamencie pisków i śmiechu.

— No proszę, i Sassy też, och, na litość! Chwileczkę, przepraszam wszystkich...

Odgłosy Punny biegnącej za dziewczynkami do drugiego pokoju jej małego domku.

— Nie, nie! Zostaw to! Ba i panna Cynthia czekają, żebyś się z nimi przywitała! O, na Boga, nie mogę w to uwierzyć, Sissy!

— No dobrze, w takim razie pozwolę się przywitać Sassy. Twoja siostra jest taką grzeczną dziewczynką! Chodź tutaj, Sassy.

Stukające odgłosy wzdłuż korytarza, w drodze do telefonu.

— Proszę, przywitaj się teraz z Ba i panną Cynthią. Ciężki oddech.

— Chciałaś się przywitać, płakałaś, żebyś mogła się przywitać... Proszę, przywitaj się! — wyrzuciła z siebie sfrustrowana Puny.

— Kotek? — zapytała Sassy.

— Sassy, kochanie, zostań tutaj i porozmawiaj z Ba, a ja tymczasem przyprowadzę Sissy! Sissy! Widzę, co robisz, wyciągnij ręce z muszli w tej chwili!

Płacz dochodzący z łazienki. Ciężki oddech w telefonie. Odgłos kroków Puny śpieszącej korytarzem. — Czy już się przywitałaś?

— Pies! — zawołała Sassy.

— Proszę, na litość boską, daj mi słuchawkę. No cóż, kochani... Głośne zawodzenie.

— Chcę się przywitać! Chcę się przywitać!

— Nie, dopóki najpierw nie powiesz czegoś innego — poleciała Puny.

— Pro-o-szę!!!

— No dobrze, masz tu słuchawkę, przywitaj się i skończmy z tym!

Głęboki oddech.

— Hej, Ba! Chichot.

— Teraz idź i poszukaj swojego ciasteczka! Ba, chciałam powiedzieć, ojczy, widziałam wczoraj ojca lokatorkę, stała na palcach i zaglądała przez okno do ojca pracowni od strony żywoplotu. Wydaje mi się, że wystraszyłam ją na śmierć. Miałam nie iść do ojca domu wczoraj wieczorem, ale musiałam zanieść ojca pocztę i tak dalej. Powiedziała, że szuka swojego kota, który uciekł, i po prostu zajrzała przez okno, żeby zobaczyć, jak ładnie jest w środku. Powiedziała jeszcze, że ma nadzieję, że nie będziecie mieli nic przeciwko temu. No cóż, Joe w każdym razie mówił, żeby was pozdrowić, i Winnie z cukierni Sweet Stuff... Sissy, odłóż mopa w tej chwili! Ojej...

Kliknięcie. Sygnał.

Następna wiadomość była najwyraźniej od psa, który szczekał jak oszalały.

— Zamknij się! — krzyczała Emma. — Idź i przynieś swoją skarpetkę!

— Przypuszczam, że wiesz, ile znaczył twój telefon dla biednej Esther. Nigdy nie widziałam jej w takim stanie, właściwie załamywała ręce, a ona nie należy do takich, co to załamują ręce, ale nadal nie potrafią dojść, co dolega Gene'owi. Zamierzają zrobić mu kolejne badania w poniedziałek, szkoda, że nie możesz go zobaczyć, jeśli o mnie chodzi, to wygląda okropnie, mam nadzieję, że się za niego modlisz, pozwól, że tyle ci powiem. Snickers! Uciekaj stąd! Snickers usiłuje zjeść pieczeń, którą właśnie zrobiłam! Do licha, poczekaj chwileczkę...

Warczenie, sapanie, brzęk naczyń.

— Musiałam postawić ją na ladzie plus sprawdzić fasolę, będziemy jeść fasolkę i... idź i przynieś swoją skarpetkę... tłuczone ziemniaki z „Nie do wiary, że to masło”. Posłuchaj. Zgadnij, kto właśnie stanął w szranki do walki z Andrew Gregorym o fotel burmistrza? Nie uwierzysz. Do trzech razy sztuka!

Zadzwoń do mnie i powiedz mi, jak myślisz, kto to może być, dobrze? Chyba się przewrócisz. Przy okazji, słyszałam, że nie jest u was nawet gorąco, podobno to dziwne, że w tym roku jest tak chłodno nad morzem. Och, właśnie sobie przypomniałam, że na poczcie czeka na ciebie jakaś duża paczka z Florydy, wydaje mi się, że ktoś przysłał ci grejpfruty, chcesz, żebym ci to tam posłała, czy wolisz, żebym wzięła je do siebie? Harold uwielbia grejpfruty, zaoszczędziłabym na kosztach przesyłki stąd na tę wyspę, na której jesteście. Skoro mowa o Haroldzie, właśnie idzie, nie lubi zamiejscowych rozmów telefonicznych.

Kliknięcie. Sygnał.

— Ojciec? Mówi Otis Bragg. Chciałem posłać ojcu przez jednego z moich chłopców mały prezent. Lubi ojciec bourbona? Szkocką? Proszę mi powiedzieć. A co powie ojciec na Wild Turkey*? Ktoś mówił mi, że lubi ojciec sherry, ale chyba się pomylił. Proszę zadzwonić do mojej sekretarki na lądzie, dwa-osiem-dwa-cztery, i jej powiedzieć, dobrze?

Kliknięcie. Sygnał.

* Wild Turkey — klasyczna amerykańska bourbon whiskey.

— Hm — zastanawiała się jego żona nad tym, kto stanął w szranki do walki o fotel burmistrza w Mitford.

— Lew Boyd! — zawołał. — Tak mi się wydaje. Albo Lew, albo Mule Skinner. Mule mówił o tym już od lat.

Cynthia zmarszczyła czoło.

— Czy wyobrazasz sobie Fancy Skinner jako pierwszą damę Mitford?

— Mogłoby to dodać pewnego... — Brakowało mu odpowiedniego słowa.

— Sama nie wiem, nie mam pojęcia — westchnęła jego żona, która zazwyczaj bardzo lubiła zgadywanki.

— A co powiesz na... nie, to niemożliwe... niech no się zastanowię...

— A może... — kontynuowała Cynthia, całkowicie pochłonięta rozważaniami.

— Ale z drugiej strony... nie, nie wydaje mi się.

— Ojej! Jeśli ty nie zadzwonisz do Emmy, to sama to zrobię!

Pobiegli do salonu i zajęli miejsca na krzesłach. Wybrał numer telefonu Emmy.

— Kto? — zapytał, gdy odebrała telefon.

— Co za kto? — przekomarzała się Emma.

— Pewnie Lew Boyd!

— Masz jeszcze dwie szanse.

Jakże nie cierpiał, gdy kazała mu zgadywać.

— Mule Skinner!

— Nie.

— J.C. Hogan! — zawołała Cynthia, dzieląc się tym, co nagle podpowiedział jej szósty zmysł.

— Czy to J.C.? — chciał wiedzieć ojciec Tim.

— Siedzicie? — upewniła się jego była sekretarka.

— Tak. No, wyrzucić to z siebie.

— Coot Hendrick!

— Coot Hendrick?

— Mówi, że jego pradziadek założył całe miasto i nadszedł czas, żeby i on zrobił coś, co będzie kontynuacją rodzinnej tradycji.

— Niech mnie kule biją.

— Ja osobiście nie mogłabym głosować na nikogo, kto ma pniaki zamiast zębów, ale on twierdzi, że będzie ciężko pracował, żeby wygrać.

— Jak to dobrze, że nas tam nie ma, nie wydaje mi się, że byłbym w stanie przeżyć jeszcze jedną walkę wyborczą o fotel burmistrza — wyznał, nie otrząsnąwszy się jeszcze do końca po poprzedniej.

W czasie gdy on gotował obiad, jego żona siedziała na kanapce pod oknem w kuchennym wykuszu, patrząc przed siebie, ale nic nie widząc. Zajęta była nawijaniem pasma włosów na jeden palec i nuceniem.

Nie musiał być Salomonem, żeby wiedzieć, że za każdym razem, gdy jej spojrzenie stawało się szkliste i zaczynała nawijać na palec włosy oraz nucić, na coś się zanosiło.

Świeży makrodon skwierczał na patelni.

— Cynthia?

Brak odpowiedzi. Nucenie.

Do licha. To na pewno było spojrzenie z gatunku obmyślam-nową-książkę. A to znaczyło, że wkrótce przestanie jeździć na rowerze i przez całe miesiące nie będzie wstawać z za swojego stołu do rysowania, cierpiąc na ból w karku i robiąc się zrzędliva. Dlaczego gdy ludzie robią coś, co jak twierdzą — ubóstwiają — nie uśmiechają się, nie śmieją się i nie są beztroscy i optymistyczni?

Sól, pieprz i kilka kropel cytryny...

Kolejna książka oznacza, że cały ten pobyt nad morzem, który mógłby być czasem relaksu dla jego przepracowanej żony, będzie w rzeczywistości jeszcze jednym epizodem z cyklu orka na ugorze...

— Timothy — rzuciła — zastanawiałam się.

Westchnął i podrzucając, przewrócił rybę, która nie rozpadła się na dwa kawałki. Dochodził do wprawy.

— Wiesz, jacy cudowni byli dla nas wszyscy — zaczęła.

— Tak, to prawda.

— Jak serdecznie nas przyjęli...

— Zgadza się.

— Musimy zrobić coś, żeby się odwdziżyć.

— Aha.

Odwrociła się, żeby spojrzeć na niego, z wyrazem zdeterminowania na twarzy.

— Ale nie Pierwiosnkowy Podwieczorek!

Jego żona urobiła sobie ręce po łokcie, przygotowując dwa ogromne i bardzo udane Pierwiosnkowe Podwieczorki w Mitford.

— Nie wydaje mi się, żeby w promieniu tysiąca kilometrów znalazł się tu jakiś pierwiosnek.

— Zdecydowanie, absolutnie nie Pierwiosnkowy Podwieczorek! — powtórzyła.

— Słyszę cię, Kavanagh!

— To zabójcze, wiesz.

— A więc, nie Pierwiosnkowy Podwieczorek.

— Poza tym nie jestem pewna, czy wyspiarze piją herbatę. Mam na myśli gorącą herbatę, która pasowałaby do bułeczek i kruchego ciasta.

— Nigdy się nad tym nie zastanawiałem.

— Wydaje mi się, że wyspiarze woleliby... coś zimnego, na przykład lemoniadę albo cudowny poncz z mrożonym krążkiem z sorbetu z limonki... i może mnóstwem świeżych owoców w ogromnym, schłodzonym i wydrążonym arbuzie, a to wszystko ozdobione bukietem kwiatów z naszego małego ogrodu...

— Proszę bardzo! — Z patelni na talerz i idealnie usmażony.

— I piękne ciasto, trzy albo cztery warstwy, z białym lukrem, i weselne ciasteczka, co myślisz? Szkoda, że tyle przy nich bałaganu, cały ten cukier puder sypiący się na buty...

— Ślinka cieknie mi do ust.

Nałożył łyżką młode ziemniaki na talerze, tuż obok ryby. Teraz niewielka porcja masła i szczypta świeżej pietruszki...

— Wydaje mi się, że powinniśmy zaprosić wszystkich tutaj, nie do świetlicy parafialnej — dodała. — Parafianie lubią widzieć, jak mieszka ich ksiądz.

— Pomogę. Możesz na mnie liczyć.

I odrobina papryki, dla koloru. Czuł się podle, że pomyślał, iż jego żona potajemnie planuje napisanie nowej książki i nabawienie się bólu w karku, podczas gdy w rzeczywistości zamierzała zrobić coś niesamowicie hojnego dla innych. Dzięki Bogu, że się nie wygadał i nie popsuł wszystkiego.

— Prawdopodobnie spróbuję też zrobić coś cudownego z brzoskwiniami, nie wiem jeszcze co, może kruche ciasteczka, bardzo małe, o takie.

Złączyła kciuk i palec wskazujący, tak że tworzyły małe kółeczko.

— Słyszałam, że brzoskwinie są wspaniałe tego lata!

— Podano do stołu — zawołał, stawiając talerze na stole. — Zapraszam.

Spojrzała na talerze zaskoczona.

— Jesteś aniołem! — Najwyraźniej nie zauważyła, że przygotowuje posiłek. — Makrodon! I młode ziemniaki, i świeże szparagi! Och, Timothy, jestem taka szczęśliwa, że umiesz gotować.

— A ja jestem jeszcze bardziej szczęśliwy, że ty umiesz gotować. Twój dyżur w kuchni przez najbliższe cztery wieczory, mam nadzieję, że sobie przypominasz.

— Cztery? Dlaczego cztery?

— Spotkania — wyjaśnił — próba chóru. Posiedzenie Komitetu Organizacyjnego Festynu w Whitecap. Rada parafialna...

— Uhm — westchnęła.

— Co takiego, uhm?

— No cóż, najdroższy, zastanawiałam się, że być może...

— Tak?

— Tak tu pięknie i czuję się tutaj taka wolna, nawet Violet się tu podoba, zauważyłeś?

— Tak.

Spojrzała na niego błyszczącymi, szafirowymi oczami w sposób, któremu nigdy nie potrafił się oprzeć, z głową przechyloną lekko na bok.

— Myślałam, że mogłabym zacząć pracować nad nową książką... od razu.

— Pomódlmy się — zaproponował.

Wybrał numer, który przypominał sobie bez żadnego problemu.

— Esther? Czy to ty?

Esther Bolick miała zupełnie zmieniony głos.

— To, co ze mnie zostało.

Serce go zabolalo z żalu nad starą przyjaciółką; co gorsza, czuł się winny, że nie było go tam, żeby towarzyszyć im w tych trudnych chwilach.

— Jak się ma Gene?

— Niedobrze.

Usłyszał, jak Esther wzdycha. Nie potrafił tego znieść, gdy Esther wzdychała; Esther nie należała do tych, co wzdychają, ona należała do tych, co działają.

— Modlimy się — usiłował dodać jej otuchy — i wierzymy, że Gene wróci do zdrowia i odzyska siły. A teraz opowiedz mi o sobie, jak ty sobie radzisz?

— Pojechałam wczoraj wybrać sobie trumnę.

— Co zrobiłaś?

— Trzeba to było kiedyś zrobić. Cała ta historia z Gene'em mi to uświadomiła.

— Myślisz, że to odpowiedni moment, to znaczy...?

— Gdy Louise Parker pojechała do Wesley wybrać swoją, wielebny Sprouse jej towarzyszył.

— Aha.

— Ze mną nie miał kto pojechać.

Poczuł się bardzo nieswojo. Znowu to poczucie winy.

— A co z waszym księdzem tymczasowym? On nie mógł pojechać?

— Ojciec Hayden? Boże broń! Ma jeszcze mleko pod wąsem i żyje na przecieranych zupkach!

Ojciec Hayden, jeśli dobrze policzyć, miał czterdzieści pięć lat.

— Więc co wybrałaś?

Dlaczego nie spojrzeć na sprawę optymistycznie?

— Czy zdajesz sobie sprawę, że za pogrzeb w Mitford trzeba zapłacić cztery tysiące dolarów? Możesz w to uwierzyć? Chciałam się poddać kremacji, ale w garnku zupełnie nie ma na co popatrzeć. Pamiętam, że gdy grzebaliśmy mamę, jej widok w trumnie był takim pocieszeniem.

— Symbolika zakończenia — zgodził się.

— Wybrałam więc coś z ładnym satynowym wyłożeniem w kolorze kości słoniowej. Zawsze dobrze mi było w kremowym.

— Tak, rzeczywiście, wydaje mi się, że sobie przypominam. Mówił zupełnie szczerze.

— Potem człowiek myśli, że ma już za sobą całe to okropieństwo, i wiesz, co się wtedy dzieje?

— Co?

Bardzo go to interesowało.

— Chcą ci sprzedać osłonę! Jakieś cholerne metalowe pudło, do którego wkłada się trumnę, żeby nie zabrudziła się ziemią.

Esther prychnęła.

Pannę Sadie bardzo poruszyła cała ta sprawa osłon, przypominał sobie.

— W każdym razie kupiłam tę przeklętą rzecz i teraz wszystko jest już załatwione, jeśli wyciągnę kopyta przed Gene'em, wszystko jest gotowe, może się zrelaksować! Zaopatrzyłam nawet zamrażarkę, na wypadek gdybym ja odeszła pierwsza.

Nie podobało mu się to ani trochę. Najwyraźniej Esther nie chciała zaakceptować niepewnej przyszłości Gene'a; aby uniknąć myślenia o jego przyszłości, skoncentrowała się na swojej.

— Lasagna, kurczak, gulasz z kabaczków...

— Esther...

— Jest tylko jeden problem — wyznała jego była parafianka.

— Co takiego?

— Nie mogę się zdecydować, w czym chciałabym zostać pochowana. Strój mamy, włącznie z rajstopami, wisiał gotowy w garderobie. Oczywiście, wisiał tam tak długo, że sukienka ze starości spadła z wieszaka i musieliśmy się zabrać do poszukiwań i znaleźć coś innego w ostatniej chwili.

— Uhm.

— Tak więc wczoraj przyszła do mnie Hessie i pomogła mi przejrzeć zawartość mojej garderoby. Wyciągnęłam szafirowy kostium, pamiętasz mój szafirowy kostium?

— Tak mi się wydaje. Naprawdę tak mu się wydawało.

— Ale Hessie mówi, że jest zbyt skromny. Wyciągnęłam więc różową sukienkę z rękawami z szyfonu. Pamiętasz moją różową sukienkę z rękawami z szyfonu?

— Hm... niech no się zastanowię...

— Miałam ją na sobie na przyjęciu z okazji rocznicy ślubu Fancy i Mule'a, w sutenach. To ulubiona sukienka Gene'a.

— Tak.

Miał ochotę przewrócić się jak długi na podłogę i wyzionąć ducha.

— Cóż, właśnie na nią ostatecznie się zdecydowałyśmy. Ale dopiero gdy Hessie wyszła, oświeciło mnie — a co, jeśli umrę zimą?

Zawahał się.

— Nie rozumiem. Esther westchnęła głęboko.

— Różowy to kolor na lato!

Udzielił jej jedynej mądrej rady w całej tej rozmowie:

— Proponuję, abyś to wszystko zawierzyła Panu, Esther. Na pewno chętnie wszystkim się zajmie, gdy nadejdzie odpowiedni moment.

Pocałowała go na pożegnanie. Był to jeden z tych długich pocałunków, co do których miał obawę, że mogą się dość gwałtownie skończyć, gdy Cynthia zacznie pisać swoją książkę. Nie tracąc okazji, odwzajemnił go.

— Kochanie — powiedziała, gładząc jego twarz koniuszkami palców — uważam, że powinieneś wziąć sobie dzień wolnego.

— Dlaczego? Dopiero tu przyjechaliśmy!

— Przyjechaliśmy tu dopiero sześć tygodni temu i od tego czasu pracujesz bez przerwy. To znaczy, biegasz dwa razy w tygodniu do szpitala i uczysz w szkole niedzielnej dla dorosłych, i przygotowujesz na jesień modlitewne śniadanie dla mężczyzn, i pracujesz z wielbnym Harmonem...

— Ale to wszystko wydaje mi się niczym wakacje.

— Uwierz mi, potrzebujesz dnia wolnego.

Pocałowała go jeszcze raz, przyciągając do siebie w ten swój troskliwy sposób, który czasami sprawiał, że czuł się jednocześnie mężczyzną i dzieckiem.

Westchnął.

— Nie mogę zrobić tego dzisiaj.

— Do licha!

— Ale może jutro...

— Będę na to liczyć, kochanie.

Śpiesząc do kościoła St. John's, zbiegł po schodach, z Barnabą na czerwonej smyczy.

Jeszcze jeden cudowny dzień! Jeśli kiedykolwiek mieliby zapłacić za tę balsamiczną pogodę, która im nieustannie towarzyszyła, to na myśl o astronomicznej kwocie, która na pewno wchodziłaby w rachubę, przechodziły go ciarki.

Wyjmując scyzoryk, zatrzymał się przy ich rabacie z kosmosami i uciął kilka łydzy, aby postawić je na półce w kancelarii.

Chwała! Spojrzał na cumulusy mknące w górze i wziął głęboki oddech. Kwiaty, wieczne mewy, wstążka błękitu za wydymami — to godziło człowieka w sam splot słoneczny, było niczym cios pomiędzy oczy, trafiało prosto w serce.

To miejsce było krańcowo inne, nie dawało poczucia bezpieczeństwa, które towarzyszyło mu w górach. Tam lato było jednym długim zielonym uściskiem. Tutaj było jednym długim lśnieniem i poczuciem nie kończącej się wolności.

Barnaba warknął nagle, a potem zaszczekał.

Ojciec Tim rozglądnął się dookoła w poszukiwaniu jakiegoś bezpańskiego psa albo kogoś przechodzącego w pobliżu. Pusto.

Szybko odciął jeszcze dwa kwiaty i włożył mały bukiet do kieszeni koszuli.

Przechodząc przez furtkę i kierując kroki wąską ścieżką, miał dziwne uczucie, że ktoś go obserwuje. Odwrócił się, żeby sprawdzić, czy Cynthia nie stoi na ganku, ale nie stała.

Jego parafianie nieźle mu nagadali o nieczułym, egoistycznym, muzycznie utalentowanym szefie chóru, który porzucił swoją żonę i dzieci dla zamężnej organistki w kościele St. John's. Mówiąc o Jeffreyu Tolsonie, parafianin zacytował Johna Ruskina: „Gdy człowiek pochłonięty jest sobą, nie przedstawia żadnej wartości dla innych”.

Często modlił się za Jeffreya Tolsona, ale nie umiał się pozbyć tej twardości serca, którą wtedy odczuwał. I mimo że nigdy wcześniej nie widział byłego szefa chóru w St. John's, wiedział dokładnie, kto to, gdy wysoki Skandynaw z blond włosami wszedł do kancelarii bocznymi drzwiami.

— Jeffrey Tolson — przedstawił się gość. Stanął przy biurku ze skrzyżowanymi ramionami.

Nie mógł nie zauważyć, że jego gość miał skórzane drewniaki i koszulę z szerokimi rękawami spiętymi w mankiet, na wzór dziewiętnastowiecznych poetów.

— Jeffrey.

„Panie, podpowiedz mi słowa, daj mi mądrość i potrzebne serce, niech się dzieje wola Twoja...”

— Nie zabiorę księdzu dużo czasu.

Chciał powiedzieć, mój czas należy do pana, ale nie mógł. To właśnie zawsze lubił mówić swoim parafianom, bez względu na ograniczenia czasowe.

Jeffrey Tolson wyjął z tylnej kieszeni spodni portfel.

— Przyjechałem do Whitecap na kilka dni. Chciałem zostawić to dla Janette.

Wyciągnął banknot studolarowy i wręczył go ojcu Timowi.

— Nie może go pan dać jej osobiście?

— Nie ma nastroju na spotkanie ze mną.

Spojrzał na pieniądze i ogarnęła go nagła ochota, żeby uderzyć Jeffreya Tolsona w nos — prosto, wszystkie chwyt dozwolone. Zniknął na osiem miesięcy i to była jedyna rekompensata?

— Dopilnuję, żeby je dostała.

— Wiem, że ojciec źle o mnie myśli, podobnie jak większość ludzi. Ale Janette jako żona wcale nie była aniołem. Kapryśna, przygnębiona, wymagająca. Jestem wrażliwym człowiekiem, ojciec. To było jak życie z cerberem.

— A jak ci się żyło z twoimi dziećmi?

Wyraz twarzy Jeffreyja Tolsona zrobił się nagle surowy.

— Proszę mnie tu nie pouczać!

— Daleki jestem od tego, panie Tolson.

Serce biło mu mocno, poczuł suchość w ustach, gdy stał naprzeciw mężczyzny, który wniósł cierpienie i gniew w samo serce Kościoła St. John's.

Jeffrey Tolson odwrócił się i wyszedł dumnym krokiem z kancelarii. Otworzył szeroko drzwi prowadzące na boczne schody, a potem zatrzasnął je za sobą.

Obudził się i zobaczył Barnabę stojącego przy łóżku, nieomal dotykającego jego twarzy swoim czarnym nosem.

— Nie daj mu się nabrać, Timothy, już byłam z nim w ogrodzie.

Obrócił się i objął ramieniem żonę.

Dzień wolnego! Będzie musiał zwalczyć poczucie winy, zanim wstanie i zacznie się nim cieszyć.

— Timothy...

Znał ten ton głosu; nic nie potrafił przed nią ukryć.

— Uhm?

— Słyszysz już, jak pracuje twój mózg, pędzi jak ekspres! Analizujesz wszystkie sprawy, którymi powinieneś się zająć dzisiaj w kościele.

— To prawda. Widzisz, pracuję razem z Marion i jej ludźmi nad uporządkowaniem i skatalogowaniem biblioteki St. John's, co oznacza...

— Mam nadzieję, że wypożyczysz rower i wybierzemy się razem na przejażdżkę.

Barnaba polizał mu ucho i zniecierpliwiony pomachał ogonem. Jego pies nigdy nie był do końca zadowolony z wizji porannej przechadzki, jaką miała Cynthia.

— Ale najpierw — stwierdziła — uważam, że powinieneś pójść do Erniego po porannej modlitwie i przejrzeć jego książki. Chciałeś to zrobić, odkąd tu przyjechaliśmy.

— Ernie... sam nie wiem.

— Jest szósta trzydzieści. Mógłbyś zjeść śniadanie w Mona's Café i może przeczytać gazetę, tak jak kiedyś w barze Grill...

Brakowało mu tego.

— ...potem spotkamy się tu o dziewiątej i pójdziemy razem do Mike's Bikes i...

— Myślałem, że zrobię ci śniadanie — wyznał.

— Zawsze tylko szukasz, żeby coś dla kogoś zrobić. — Pogłaskała go po policzku. — Może byłoby dobrze, gdybyś spędził trochę czasu, robiąc... to, co zazwyczaj robią mężczyźni.

Co robią mężczyźni? Nigdy nie udało mu się dowiedzieć. Ziewnął.

— Nie zdążę się obejrzeć, a zajmiesz się zorganizowaniem dla mnie całodziennej wyprawy na połów ryb na otwartym morzu.

Spojrzała na niego i wybuchła śmiechem.

— Skąd wiedziałeś? Nie mogę w to uwierzyć! Właśnie kupiłam ci bilet na czarterową wyprawę łodzią w Captain Willie's!

Rozdział siódmy

ODROBINA NOCNEJ MUZYKI

Już o siódmej rano dzień był duszny; prognozy mówiły o blisko czterdziestu stopniach w południe.

Oblał go pot, zanim dotarł do Mona's Café, gdzie trafił na Erniego, który płacił przy kasie swojej żony za bułkę z parówką i filiżankę kawy.

— Wolno mi przekraczać żółtą linię tylko jako płacącemu klientowi — wyjaśnił miły właściciel z naprzeciwnika. — Proszę sobie coś zamówić i przyjść na moją stronę. Pogadamy trochę.

— Cóż — odparł zadowolony z zaproszenia — bardzo chętnie.

— Dwa dolce razem.

Mona wyciągnęła dłoń do swojego męża, który wyliczył należność, głównie w drobnych monetach.

— Wezmę to samo — zdecydował się ojciec Tim. Rudowłosa Mona spoglądała trzeźwo zza swoich szkielec w jasnokolorowych oprawkach.

— A więc dzisiaj rano zadaje się ojciec z chłopakami?

Pokiwał głową, czując się nagle onieśmielony i podekscytowany faktem, że jest ktoś, z kim może się zadawać.

— Jak będą zbyt grubiańscy — poradziła Mona — proszę wracać tutaj, do cywilizowanego świata.

— Dobrze — podziękował. A przekraczając żółtą linię, zauważył: — Ta żółta linia... musi być tematem wielu rozmów.

— Wszystko wzięło się z tego, że Mona cały czas węszyła po mojej stronie, twierdząc, że stare książki nie wystarczą na opłacenie rachunku za światło. Potem ja znowu szedłem na jej stronę, pomstując pod niebiosa, że od czterech lat nie podniosła cen. Niewiele brakowało, a skończylibyśmy na rozprawie rozwodowej.

— Aha.

— Musieliśmy się nauczyć pilnować własnego interesu, można powiedzieć. Chodzi o to, że w końcu doszedłem do wniosku, że wszystkie małżeństwa powinny mieć taką czy inną żółtą linię.

Ernie otworzył drzwi z siatką prowadzące do jego sklepu z książkami, przynętą i sprzętem wędkarskim.

— Witamy w miejscu, gdzie jada elita. Chłopcy, uważajcie na to, co mówicie, kaznodzieja Kavanagh dołączy do nas dzisiejszego ranka.

— Tim — przedstawił się kaznodzieja, skinąwszy głową w stronę zgromadzonych. — Mówcie do mnie Tim.

Ernie postawił swoją torebkę na jednym z porysowanych stolików obok automatów z napojami.

— Pamiętasz Roanoke, nie przepada za księżmi. Ale jest nieszkodliwy.

Roanoke kiwnął zdawkowo głową i wsypał saszetkę cukru do styropianowego kubka.

— Tam jest Roger Templeton i jego pies Lucas. Lucas jest ślepy. Roger jest jego ludzkim Widzącym Okiem.

— Tim, miło cię poznać — przywitał się Roger, który trzymał na kolanach coś, co przypominało kłodę drewna. Roger był wysokim, szczupłym mężczyzną, prawdopodobnie po sześćdziesiątce, z miłą twarzą. Spojrzenie szklistych oczu jego brązowego labradora zdawało się spoczywać na przybyszu z pewnym zainteresowaniem.

— Połóż swoją torebkę — zaprosił go Ernie — i przysuń krzesło. To nic wykwintnego, ale nic lepszego nie mamy. Junior, podejdź tu i przywitaj się z kaznodzieją Kavanaghem.

Młody mężczyzna z brodą i płowymi włosami wszedł z tylnego pokoju. Wytarł dłoń w swoje robocze spodnie i wyciągnął ją w kurtuazyjnym geście powitania.

— Dzień dobry panu, miło pana poznać.

— Miło cię poznać, Junior.

— Junior ma dzisiaj dzień wolny, pracuje jako kierowca dla Otisa Bragga. Znasz Otisa, przypuszczam.

— O tak, Otis należy do kościoła St. John's. Roanoke prychnął.

Ernie zabrał się do swojej parówki z dużym zapalem.

— Cóż, chłopcy, czeka nas dużo pracy, żeby dostarczyć ogłoszenia Juniora przed ostatecznym terminem. Tim, cieszymy się, że jesteś z nami, ponieważ jesteś wykształconym człowiekiem i wiesz, jak wyrazić myśli. Oczywiście Roger jest również niezłe wykształcony. Zarządzał miliardowym przedsiębiorstwem, zanim przeszedł na emeryturę i razem z żoną zamieszkał w Whitecap.

Roger uśmiechnął się, posługując się zręcznie ołówkiem, żeby nanieść znaki na kawałku drewna.

— Warte było tylko pół miliarda.

— Miliard brzmi lepiej. Ernie napił się kawy.

— Junior, masz notes?

— Mam — odparł Junior.

Wyjął z kieszeni koszuli długopis i notes z nadrukiem imienia i nazwiska — Junior Bryson.

— Czego dotyczy twoje ogłoszenie? — chciał wiedzieć ojciec Tim.

Junior spojrział na Erniego.

— Ty mu powiedz — polecił Ernie Juniorowi.

— Cóż, proszę pana, usiłuję znaleźć żonę. Junior poczerwieniał.

— Aha.

— I razem z Roanoke, Erniem i Rogerem wpadliśmy na pomysł, żeby zamieścić ogłoszenie.

— Często przynosiło to rezultaty — przyznał ojciec Tim, odpakowując swoją bułkę z parówką.

— Radziliśmy zamieszczenie ogłoszenia poza wyspą — dodał Roger.

— Właśnie — rzucił Ernie. — Każdy na Whitecap zna Juniora i on zna każdego.

— Czy to znaczy, że na Whitecap nie ma żadnych kandydatek?

— Nic godnego uwagi — wyjaśnił Ernie. — Poza tym wydaje się nam, że znalezienie kobiety, do której trzeba się będzie przeprawiać na ląd, czyni wszystko bardziej... bardziej...

— Romantycznym — dokończył Roger. Junior rozpromienił się i kiwnął głową.

— Na twoim miejscu — radził Roanoke — dałbym duże ogłoszenie w ramce.

Z kieszeni koszuli wyjął papierosa z paczki marlboro.

— To będzie więcej kosztować — stwierdził Ernie. Roanoke zapalił zapalkę.

— Może będzie więcej warte.

— Przeczytaj, co napisałeś do tej pory — polecił Roger.

— Biały mężczyzna, trzydzieści sześć lat, metr siedemdziesiąt sześć...

Roanoke sączył kawę.

— Ja bym powiedział metr osiemdziesiąt.

— Słusznie — zgodził się Ernie. — Brzmi lepiej.

— To byłoby kłamstwo — bronił się Junior.

— Możesz włożyć sobie wkładki do butów — poradził Roanoke.

— Nie będę kłamał, metr siedemdziesiąt sześć, z zadbaną brodą...

Ernie pokręcił głową.

— Nie wspominałbym o brodzie. Niektóre kobiety w ogóle nie lubią owłosienia na twarzy.

— Mogę równie dobrze postawić sprawy jasno — wyjaśnił Junior.

— Czytaj dalej — poradził Roanoke.

— Metr siedemdziesiąt sześć, z zadbaną brodą, lubi muzykę country, wędkarstwo i grę w scrabble, jeździ najnowszym modelem bronco.

Roanoke pochylił się do przodu.

— Nie mówiłbym nic o bronco. Powiedziałbym raczej... raczej...

— Mustang kabriolet! — zaproponował z kamienną twarzą Roanoke. — Może mógłbyś pożyczyć samochód kaznodziei.

— O tak — przytaknął Junior, uśmiechając się. — Widziałem ojca samochód, to naprawdę niezła bryka.

— Dziękuję.

— Musimy się pośpieszyć — ponaglił ich Ernie, spoglądając na zegarek. — Jeśli ma to wydrukować „Diplomat”, Junior musi przekazać telefonicznie jego treść za trzydzieści minut.

— Przeczytaj jeszcze raz — polecił Roanoke.

Zwinął w kulkę opakowanie z parówki i cisnął nim do pudełka obok automatu z pepsi.

Junior odchrząknął i przecesał dłonią rzednące włosy.

— Biały mężczyzna, trzydzieści sześć lat, metr siedemdziesiąt sześć, z zadbaną brodą, lubi muzykę country, wędkarstwo i grę w scrabble, jeździ najnowszym modelem bronco... plus dodaję to... zainteresowany poważnym związkiem, proszę przysłać zdjęcie.

— Nie dodawałbym tam niczego o poważnym związku — poradził Roanoke. — To je przestraszy.

Junior spojrzał bezradnie na swoich doradców. Następnie zatrzymał wzrok na ojcu Timie.

— Co pan myśli?

Prawdę powiedziawszy, prawie w ogóle nie myślał.

— No cóż...

Długopis Juniora zawisł nad notesem.

— Szczerze mówiąc, podoba mi się twój pomysł, żeby postawić sprawy jasno.

Junior kiwnął głową z wyraźną ulgą.

— W takim razie świetnie! Jest gotowe.

Pot spływał mu po plecach, kiedy robił szybki przegląd pomieszczenia z książkami, znajdując sfatygowany egzemplarz *Drzew* Conrada Richtera. Wiedział, że nigdy nie przeczyta tej książki ponownie, ale przypomniał sobie swoje dziecięce uwielbienie dla niej z taką czcią, że nie mógł się jej oprzeć. Szczególnie nie za pięćdziesiąt centów.

W jednym z licznych pudełek wypełnionych książkami i rozstawionych po pokoju znalazł śpiącego kota i nieomal wyskoczył z butów, gdy ten podskoczył do góry i syknął na niego.

— To Elmo, książkowy kot — wyjaśnił Ernie, stojąc w drzwiach. — Ma tysiąc lat. To jego pudełko do spania, jest pełne książek w miękkich okładkach Zane'a Greya. Czy czytałeś kiedykolwiek Zane'a Greya?

— Próbowałem — przyznał, podczas gdy jego wzrok wędrował po półkach. — Nie byłem w stanie.

— Czytałeś kiedyś Louisa L'Amoura?

— Nigdy.

— To mój autor. Posłuchaj tego.

Ernie ściągnął z półki książkę, przerzucił kilka stron i poprawił okulary.

— „Jesteśmy, w ostatecznym rozrachunku, wszyscy wędrowcami poszukującymi wiedzy. Większość z nas pielęgnuje marzenie, aby zostać czymś lepszym, niż jesteśmy, czymś większym, bogatszym, w pewnym sensie ważniejszym dla świata i dla nas samych. Zbyt często obrana droga jest złą drogą, przy zbyt dużym nacisku na to, co chcemy mieć, raczej niż na to, czym chcielibyśmy zostać”.

Ernie podniósł wzrok.

— Jakże to prawdziwe.

Ojciec Tim pokiwał głową.

— Rzeczywiście.

— To jego autobiografia. Spójrz tutaj. — Ernie przekartkował książkę na koniec i pokazał mu długą listę. — To część książek, które przeczytał. Preczytał ich tysiące i każdą z nich odnotował. Ponadto podróżował i wędrował po całym świecie, i nie mając żadnego konkretnego wykształcenia, czytał i sam napisał setki książek. — Ernie podrapał się w głowę. — Wydaje mi się, że gdybym mógł, zająłbym się jedynie czytaniem, z resztą dałbym sobie spokój.

— Świetny pomysł!

Właściciel ściągnął z półki jedną książkę.

— Proszę bardzo. To dla ciebie. Weź ją, przeczytaj i powiedz mi, co myślisz.

— Dobrze.

— Na mój gust, *Ostatni z gatunku* jest najlepszą książką L'Amoura i idę o zakład, że będzie cię trzymała w napięciu do samego końca.

— Dziękuję ci, Ernie. Dziękuję!

— Mam cię za prawdziwego wielbiciela książek.

— Myślę, że można powiedzieć, że Wordsworth jest moim pisarzem.

— Wordsworth, Wordsworth... — powtarzał Ernie, usiłując umiejscowić nazwisko.

— Przyniosę ci coś, zobaczę, czy ci się spodoba.

— Umowa stoi — podziękował Ernie, wyglądając na zadowolonego.

Przy kasie ojciec Tim wyciągnął dolara i kilka drobnych monet z kieszeni szortów, żeby zapłacić za książkę Richtera i ośmiostronicowy „Whitecap Reader”.

— Czy widziałeś już swojego sąsiada? — dopytywał się Ernie. — Pewnie powinienem raczej zapytać, czy go słyszałeś.

— O którego sąsiada ci chodzi?

— Tego za żywołotem.

— Nie wiedziałem, że ktoś mieszka za żywołotem.

— Nie wiedziałeś?

Ernie spoglądał na niego z niedowierzaniem.

— A powinienem?

— Można by pomyśleć, że ktoś powinien był ci powiedzieć. Czekał, aż Ernie dokończy myśl, ale on tego nie zrobił.

— Może ty powinieneś mi powiedzieć.

— Cóż... to wszystko, co pozostało po rodzinie Love'ów, ot i cała historia.

Miał wrażenie, że Ernie czuje się bardzo niezręcznie, jakby żałował, że poruszył ten temat.

— Aha.

— Widzisz, kiedyś żył cały klan Love'ów. Redmon Love, dziadek, kupił ten duży kawałek ziemi na końcu drogi, gdzie wy jesteście, zbudował sobie piękny dom i otoczył go murem. Potem posadził żywopłot po obydwu stronach muru. Przez ostatnie dwadzieścia lat żywopłot rozrósł się i zamienił nieomal w dżunglę.

Ojciec Tim spojrział na zegarek. Jeśli zamierza jeździć dzisiaj rano na rowerze, nie wspominając o zabranii na spacer swojego psa, to powinien się zbierać.

— Dom Love'ów był najwspanialszą budowlą na tych wyspach, prawdziwą rezydencją, ale nie zobaczysz jej tyłu, chyba że będziesz się bardzo starał.

— Do licha.

— Pan Redmon wynajął kogoś ze stanu Nowy Jork, żeby zbudował mu ogród tropikalny, miał tam palmy i małpy i sam nie wiem co jeszcze.

— Małpy?

— No cóż, nie ma tam teraz już żadnych małp, ale kiedyś były. Słyszałem je czasami, gdy byłem dzieckiem.

Ernie przerwał na chwilę i wydał z siebie głośny dźwięk, który — jak można było przypuszczać — był zawołaniem małpy.

— Coś takiego — wyjaśnił Ernie. Ojciec Tim pokiwał głową z uznaniem.

— Były tam też ary, a niektórzy mówili, że słonie, ale ja nigdy w to nie wierzyłem.

— Dość nieprawdopodobne — zgodził się ojciec Tim, zwijając gazetę i wsuwając ją pod ramię.

— W każdym razie dookoła rezydencji swoje domy pobudował cały klan. Wynajmujecie dom, z którego korzystał jego drugi wnuk do... och, nie wiem dokładnie, może dwóch, trzech lat wstecz. Potem właściwie przestali przyjeżdżać.

— Dobrze. Więc kto mieszka za murem? Ernie spojrział na niego poważnie.

— Nie mówiłbym o tym twojej żonie.

— Naprawdę?

— Szkoda ją martwić.

— Kto?

Drzwi z siatką zatrzasnęły się za dwoma rybakami. Kiedy jeden oglądał ciężarki i scyzoryki, drugi poprosił o przynętę.

— Potrzebujemy ćwierć kilograma krewetek, kilkanaście robaków i pół kilograma kałamarnicy.

— Złapię cię później, Tim — pożegnał się Ernie. — Zawsze jesteś tu mile widziany, słyszysz?

Zajrzał do St. John's, żeby zobaczyć, jak postępują prace związane z organizacją kościelnej biblioteki. Marion Fieldwalker i jej wolontariuszki katalogowały, wycierały z kurzu, układały na półkach — krótko mówiąc, nadawały ład i porządek książkom, które były składane w pomieszczeniu obok narteksu

od czasów pierwszych proroków. Zachęcił je do dalszej pracy i zrobił dzbanek kawy jako własny wkład w przedsięwzięcie.

Nie było oczywiście żadnego powodu, żeby jego żona miała się dowiedzieć o tym niewinnym zboczeniu z trasy...

Przemykał właśnie obok swojego biurka, gdy zadzwonił telefon.

— Proszę?

— Hej! — przywitał go Dooley.

— Hej, przyjacielu! — odwzajemnił jego powitanie. — Jak leci?

— Drużyna Redsów rozgromiła wczoraj wieczorem Bluesów.

— Alleluja! Opowiedz mi wszystko!

Opadł na swój skrzypiący fotel i oparł się wygodnie.

— Szkoda, że nie widziałeś naszego Mule'a, był przy kiju cztery razy, z biegaczami na bazie, i za każdym razem udawało mu się odbić piłkę do samiuskiej bazy!

Ach, to była prawdziwa muzyka dla jego uszu słyszeć, jak Dooley używa ponownie języka wyniesionego z domu rodzinnego.

— Zaliczyłem cztery rundy przy jego uderzeniach. Ograliśmy ich o siedem rund.

— A niech mnie! — zawołał, ciesząc się ze swoim chłopcem. — Dobra robota!

— Wyślizganie Bluesów było cudowne, nieźle im dołożyliśmy. Szkoda, że cię tu nie było.

Szkoda, to prawda.

— Duża widownia?

— Wszyscy prawie. Coot Hendrick, on też był, ścisnął wszystkim dłonie, jakby był prezydentem Stanów Zjednoczonych. Nasza burmistrz Cunningham... ona rzuciła pierwszą piłkę.

— Jak się ma Poo i Jessie, i twoja mama?

— Świetnie. Byłem u nich na kolacji w sobotę. Poo robi się coraz wyższy, Jessie przestała ssać kciuk.

— Widziałeś Lace?

Cisza.

— Kilka razy.

— Naprawdę? Zabrałeś ją do kina?

— Żartujesz? Prawie w ogóle mnie nie zauważa. Poza tym nie wolno jej umawiać się z chłopcami aż do następnego roku. Ma dopiero piętnaście lat.

— Aha.

Zauważył, że mowa Dooleya stała się na powrót oficjalną szkolną wersją.

— Ale widziałem ją kilka razy ze znajomymi, na przykład kiedy zabrałem do kina Jenny.

Potał podbródek i zmarszczył czoło.

Nie tak zaplanowałby lato dla Dooleya, ale kim był, żeby to osądzać? Jenny była ich ładną sąsiadką, o łagodnym głosie, która regularnie przychodziła do Dooleya, pukając do tylnych drzwi, rok po roku, lato za latem. Co byłoby, gdyby jego własna sąsiadka, teraz jego własna żona, nie przychodziła, pukając do jego drzwi?

— Czy Lace nadal uczy Harleya?

— Przychodzi, gdy ja pracuję. Dostał z czegoś szóstkę z plusem. Nie wiem, co to było dokładnie, ale bardzo się tym cieszył, chyba matematyka.

— Czy jesteś już gotowy na powrót do szkoły?

— Nie chcę wracać.

— Jeśli zamierzasz zostać weterynarzem, to musisz wrócić do szkoły — odparł, stwierdzając oczywisty fakt.

— Tak, to prawda. Tak więc wracam, ale wolałbym zostać w domu.

— Masz jeszcze osiem dni, postaraj się je wykorzystać jak najlepiej. Tak jak rozmawialiśmy, państwo Barnhardts podjadą po ciebie z Josephem, żeby cię zawieźć do twojej *alma mater*.

— Gdzie?

— Przy okazji, Harley mówi, że doskonale wywiązujesz się ze swojej godziny powrotu do domu.

— Powiedział, że przetrzepie mi tyłek, jak będę nawalał. — Dooley zachichotał. Myśl o tym, że chudy, bezzębny Harley miałby przetrzepać mu tyłek, wydawała mu się wyraźnie bardzo zabawna.

— Co jadacie, chłopcy?

— Harley zrobił wczoraj wieczorem pizzę, była wspaniała.

— Ze wszystkim? — Uwielbiał szczegóły.

— Bez anchois, bez cebuli, z toną kielbasy i sera. Mógłby dostać franszyzę.

— Jak się ma nasza lokatorka?

— Pytała mnie dwa razy, czy mógłbym jej pokazać wasz dom, mówiła, że chce zobaczyć wszystko, co zrobiliście, nową część i tak dalej. Powiedziałem, że może gdy przyjedziesz w październiku, to jej pokażesz. Dlaczego tak interesuje ją nowa część? Przecież nie zamierza nic takiego budować.

— Nie mam pojęcia.

— W każdym razie wydaje mi się, że Lace bierze u niej lekcje przed wyjazdem do tej szkoły, wyjeżdża za tydzień. Nie będzie się jej tam podobało.

— Proszę, zachowaj swoje opinie na temat tej szkoły dla siebie.

— Uwierz mi, te dziewczyny są dziwaczne. Piszą, rysują, czytają i noszą zupełnie dziwaczne ubrania. Sznurowane buty i okulary w drucianych oprawkach. Chodzi o to, że nawet nie potrafią tańczyć, depczą człowiekowi po nogach.

— Jak twoje konto?

— Ogromne.

— Jak ogromne?

— Do tej pory odłożyłem sześćset dolarów.

— Jestem ci winien drugie tyle, to razem tysiąc dwieście. Ile masz łącznie?

— Z tym, co odłożyłem rok temu, równo tysiąc siedemset.

— Możesz kupić całkiem niezły samochód za to, co będziesz miał na koniec wakacji.

— Nie chcę starego samochodu, powtarzałem ci to wiele razy.

— Obaj całkiem się zestarzejemy, jeśli będziemy czekać, aż zarobisz na nowy.

Dooley westchnął.

— Słuchaj — stwierdził, czując się winny, zgaszony i prehistoryczny. — Cynthia i ja dorzucimy kolejne pięćset, co razem da dwa tysiące dwieście.

— Dzięki! Hej, naprawdę! Dzięki, tato.

— Bardzo proszę. A teraz trzymaj się z daleka od kłopotów.

— Tak robię.

— Dobrze. Doskonale. Jeśli nadal tu będziemy, to na pewno spodoba ci się tutaj następnego lata.

— Dlaczego?

— Piasek. Woda. Dziewczyny. Krewetki i kukurydziane ciasteczka. Nie wiem, same dobre rzeczy.

— I będę miał samochód.

— Będziesz miał samochód. Zgadza się. — Słuchaj, muszę kończyć.

— Pozdrów Harleya.

— Tęsknię za naszym Barnabą. Pozdrów Cynthię, co u niej?

— Tęskni za tobą, wygląda świetnie, jest opalona na czekoladkę.

— Cóż, muszę kończyć.

— Kocham cię, przyjacielu.

— Też cię kocham.

Siedział przez chwilę przy biurku, kiwając głową i uśmiechając się. Był dumny z tego chłopca. Chociaż ze spadku po mamie zostało mu jedynie około sześćdziesięciu tysięcy, powinien był dorzucić jeszcze jedną setkę.

Gorąco. Wściekle gorąco.

Poszedł do Dove Cottage, wdzięczny za wiatrak kręcący się w salonie. Na powitanie wybiegł korytarzem jego pies, a tuż za nim gonił kilkuletni chłopiec.

— Popatrz tylko, kogo tutaj mamy! — zawołał.

— Jonathan! — odparł Jonathan Tolson. Cynthia wyszła z kuchni.

— Jonathan spędzi z nami dzień. Miałam nadzieję, że nie będzie ci przeszkadzało jego towarzystwo. Na przejażdżkę rowerem możemy wybrać się w sobotę.

— Oczywiście!

— Twój pies — powiedział Jonathan, obejmując Barnabę za szyję. — Mój pies.

— Zgadza się. Moje psy są twoimi psami.

Przykucnął i napotkał błękitne spojrzenie oczu ich jasnowłosego gościa.

— Poszłam dzisiaj rano odwiedzić mamę Jonathana i nie czuła się za dobrze, więc...

Cynthia uniosła do góry dłonie, uśmiechając się.

— Tak więc czeka nas przygoda — dokończył ojciec Tim. — Pójdziemy na spacer po plaży, następnie na hot dogi, a potem na lody. Co ty na to?

— Bez hot dogów — odparł Jonathan, marszcząc nos.

— W takim razie pizza! Albo frytki. Jestem otwarty.

Jonathan kiwnął energicznie głową, a jego loki podskoczyły do góry i na dół.

— Frytki.

— Jesteś dużo bardziej zabawny, gdy w pobliżu są dzieci — obwieściła jego żona.

— Twój duży pies może pójść? — zapytał Jonathan.

— Oczywiście. Uwielbia lody.

Cynthia wzięła swojego męża za rękę i zaciągnęła do kuchni.

— Janette ma straszliwą depresję — powiedziała ściszym głosem. — Nie chce wyjść z łóżka. Poszłam sprawdzić dzisiaj rano, co u niej słychać — nie wydaje mi się, żeby Jonathan dostał ostatnio coś do jedzenia. Właśnie pochłonął cały talerz krakersów z serem, dzięki Bogu, że miałam mleko...

— A co z innymi dziećmi?

— Pojechały do kuzynów. Powiedziała, że nie mieli miejsca dla Jonathana. Wygląda na to, że Janette nie pracowała ostatnio. Szyje w domu, jak może wiesz.

— Dobry Boże — wyszeptał.

Proponował opiekę medyczną Janette Tolson, ale ona odmówiła, zapewniając go, że wszystko będzie w porządku. Widział jej puste spojrzenie, słyszał pustkę w jej głosie i wiedział, że ma poważne problemy.

— Zaraz wracam — obiecał, całując żonę.

— Dzieci... — zaczął, siadając przy łóżku Janette.

— Wszystko mi... jedno — szepnęła.

Przypomniał sobie, jak panna Sadie opowiadała mu o swojej miłości do Willarda Portera, o tym, że tak długo zależało jej tak bardzo, że w końcu z wyczerpania przyszła obojętność.

— Bogu nie jest wszystko jedno. Jest teraz z tobą.

Obróciła wolno głowę i spojrzała na niego z niedowierzaniem. Położył prawą dłoń na jej wilgotnym czole. Pamiętał dotyk chłodnej dłoni matki na swoim czole, gdy był chory, i ile ten prosty gest dla niego znaczył.

— Naprawdę tak jest — zapewnił ją.

Zamknęła oczy, a spod jej rzęs popłynęły łzy. Chrześcijanin zazwyczaj rozumie swoje życie, powiedział Oswald Chambers, jako wybawienie od nieszczęścia. Ojciec Tim zgadzał się z Chambersem, że w istocie oznacza ono wybawienie w nieszczęściu. Jedynie to i nic więcej, i nic więcej nie jest potrzebne.

Dziecko Boże musi jednak podjąć wysiłek, zanim zostanie obdarzone mocą. Janette Tolson nie była w stanie podjąć wysiłku.

— Pozwól, że się za ciebie pomodłę.

Trzymał dłoń na jej czole, a drugą ręką ujął jej dłoń.

— Nie zostaję — upierał się Jonathan, marszcząc czoło.

— Zjemy naleśniki na śniadanie — przekonywał.

Nie była to najskuteczniejsza strategia, ale najlepsza, jaka w tej chwili przychodziła mu do głowy.

Jonathan potrząsnął głową i tupnął nogą.

— Nie! Chcę iść do domu.

— W kształcie kaczek!

— Nie.

— Babette i Jason świetnie się bawią z kuzynami. Nie chcesz zostać u nas na noc i bawić się z Barnabą?

Nie mogli go zaprowadzić do domu; jego mama nie była w stanie się nim zająć. Zadzwoił do Jean Ballenger, która pragnąc przypodobać się nowemu księdzu, zgodziła się zostać na noc z Janette. Jutro, po zasięgnięciu porady Hoppy'ego Harpera, porozmawia z lekarzem Janette, którego unikała od miesiący, i zabierze ją do szpitala na łódzie. Przerażała go ta perspektywa.

Spojrzał na swoją żonę, która — spośród wszystkich ludzi — powinna wymyślić coś, co skusiłoby trzylatka.

— Nie wiem, jak zachęcić małego chłopca do spędzenia nocy w obcym domu — odparła.

Do oczu Jonathana napłynęły łzy.

Zabawa w cieniu! Przypomniał sobie nagle przyjaciela rodziny z Holly Springs, który pochłonał jego uwagę na całe godziny za pomocą lampy naftowej, pustej ściany i dwóch zręcznych dłoni.

— Wyłącz światła w pracowni — poprosił zrozpaczony.

— Po co?

— Chcę iść do domu! — zawołał Jonathan jak najbardziej serio.

— Zapal świecę w lampie sztormowej — polecił. — Skalpel, szwy... Postaw ją na stole pomiędzy naszymi krzesłami.

Cynthia spojrzała na niego, jakby postradał zmysły, i pośpieszyła do pracowni.

— Filmy! — powiedział do Jonathana. — Pokaz rysunków. Wydawało mu się, że potrafi zrobić psa. Przynajmniej świnię.

Był pewien, że potrafi zrobić orła; zrobił go na ścianie w swojej pracowni w Mitford zaledwie kilka miesięcy temu.

— Popcorn? — zapytał chłopiec.

— No, w końcu mówisz z sensem! Cynthia! — zawołał. — Popcorn i dużo masła!

Cynthia wyszła z pracowni.

— Wyłącz światła, zapal świecę, popcorn z dużą ilością masła... a gdzie podział pracy tak popularny w nowoczesnym małżeństwie?

— Moja droga, ja zapewniam rozrywkę, nie mogę zrobić wszystkiego, do tego potrzeba pracy zespołowej!

— Moja mamusia, moja mamusia robi popcorn! — zawołał Jonathan, biegnąc za Cynthią do kuchni.

Gdy leżał, nie śpiąc po północy, czuł wilgotność, która ciążyła mu jak koc. Czuł również coś, do czego nie chciał się przyznać od tygodni.

Tęsknił za domem.

Tęsknił za Mitford, za swoim chłopcem i za Harleyem, za wszystkimi niezliczonymi cząsteczkami, które składały się na jego dom w górskim miasteczku.

Whitecap nie można było odmówić uroku, oczywiście. Można się było długo rozwodzić nad mniejszą parafią, nie wspominając o ogólnej swobodzie, którą narzucały słońce, słone powietrze i morskie fale. Czyż w dawnych czasach lekarze nie zalecali wybrzeża jako uniwersalnego lekarstwa na nieomal wszystkie dolegliwości?

Jemu jednak nic nie dolegało i nie potrzebował lekarstwa.

Wydawało mu się, że czyni pewne postępy we wprowadzaniu bardziej pokojowego ładu w parafii. Kilka sporów zostało załagodzonych, zignorował też pomniejsze problemy, które — czym nie był zdziwiony — przycichały, ponieważ nikt ich nie pielęgnował.

Co ważniejsze, widział, że jego żona odnajduje pewien spokój i beztroskę po latach niewolniczej pracy. Tak, zaczęła nową książkę, ale była wypoczęta, opalona i pełna życia, kwitnąca niczym dziecko na koloniach.

Ponadto, a może przede wszystkim, St. John's zakochał się w Cynthii Kavanagh i otwarcie się do tego przyznawał. Stała z nim przed kościołem w każdą niedzielę po nabożeństwie, wymieniając uściski dłoni i objęcia. Działała też w kilku grupach parafialnych, włącznie ze żłobkiem, niczym płatna pomoc.

— Ale ja to kocham! — przekonywała go zaledwie tydzień temu, gdy dziękował jej po raz kolejny.

— A czego ty nie kochasz? — zapytał.

— Pogarszające się wzroku, postępującej sklerozy i... i kalendarzy, w których brakuje miejsca, żeby wpisać wszystkie ważne wydarzenia w danym dniu!

Jego żona potrafiła sypnąć myślami jak z rękawa, a potem żonglować nimi tak, że aż mieniło się w oczach. Gorąco.

Odsunął nakrycie, wysunął się z łóżka i przeszedł korytarzem przy akompaniamencie skrzypiącej podłogi.

W salonie Barnaba wstał ze swojego koca w kącie, przeciągnął się, potem podszedł i stał razem z nim pod drzwiami z siatką, wpatrując się w osrebrzoną światłem księżycą noc.

Odbezpieczył haczyk siatki i wyszedł na ganek. Księżyc w pełni odbijał się w odległej wstążce wody.

Widok dwóch księżyców, olśniewających i połyskujących pomiędzy dwoma śpiącymi domami, sprawił, że zadrżał pomimo gorąca.

Co za zupełnie inny świat, ten ogromny bezkres piasku i połać kontynentu, która podniosła się z głębin...

Siedział na ostatnim stopniu i spoglądał na rozciągającą się nad nim ogromną kopułę, na coś, co James Joyce nazwał „niebiańskim drzewem gwiazd, uginającym się pod wilgotnymi, mocno błękitnymi owocami”.

Wielkie piękno było czymś, do czego musiał się przyzwyczajać stopniowo, musiał je przyjmować wolno, nie zachłystując się nim, ale sącząc powoli. Zakrył dłońmi oczy i ujrzał gwiazdy tańczące pod palcami, kolejny podwójny obraz w tej głębokiej i cichej nocy.

W Mitford czuł się przywiązany, przywiązany do Lord's Chapel, przywiązany do swojego domu, przywiązany do małego żółtego domku. Tutaj czuł się tak, jakby szybował w przestrzeni, przywiązany jedynie do Boga.

Wstał i zszedł po schodach do ogrodu, niespokojny i podekscytowany jak dziecko, które budzi się w nocy z rozpaloną głową pełną snów. Barnaba podniósł nogę w swoim ulubionym miejscu pod drewnianym płotem.

Gdyby mógł, zadzwoniłby do domu i porozmawiał jeszcze raz z Dooleyem. Rozmawiałby jeszcze dłużej niż dzisiaj, a potem poprosiłby Dooleya, żeby oddał słuchawkę Harleyowi. Następnie zadzwoniłby do Esther i zapytał, jak się ma Gene, nawet jeśli rozmawiali dopiero w środę, a potem mógłby zadzwonić do Louelli i zaśpiewaliby razem pieśń przez telefon...

Prawdę powiedziawszy, niczego nie pragnął bardziej, niż zadzwonić do panny Sadie i usłyszeć jej radosny głos, który zawsze sprawiał, że słuchał jej z zainteresowaniem, a potem wiedział, jak postępować mądrze.

— Panno Sadie — powiedział na głos do swojej nadal ulubionej parafianki — to bezpłatne połączenie. Mam nadzieję, że się tam pani podoba i że nie napytała sobie pani jeszcze biedy za przestawianie aniołów...

Ujrzał spadającą gwiazdę, jak zbliża się szybko w stronę sylwetki domu stojącego nad brzegiem morza, a potem znika.

Następnie usłyszał muzykę.

Odwrócił się przekonany, że to radio w jakiś sposób włączyło się w domu.

Ale muzyka nie dochodziła z domu.

Była to pieśń Karg-Elerta *A teraz dziękujmy wszyscy naszemu Panu* i dochodziła z... naprzeciwna. Stał nieruchomo i wsłuchiwał się.

Ktoś włączył swój sprzęt grający na cały regulator. Było to wyjątkowe wykonanie jednego z jego zdecydowanie ulubionych utworów na organy — potężne, dramatyczne, obdarzone niesamowitą siłą.

Podszedł do drewnianego płotu i wyrzwał przez ulicę na wysoki, oświetlony światłem księżyca żywopłot.

Mimo że muzyka dochodziła z oddali, wyraźnie słyszał każdą nutę i być może dlatego, że znał ten fragment, potrafił wyczuć ogromne napięcie obecne w muzyce płynącej zza muru, w złowrogim blasku pełnego księżyca.

Wsunął się z powrotem do łóżka, myśląc o Hélène Pringle i ledwie słyszalnych dźwiękach pianina, które unosiły się w nocnej ciszy w Mitford.

Zadrżał, gdy poczuł powiew chłodnego powietrza znad wody, który nagle wpadł do środka przez otwarte okna.

Tuż przed świtem poczuł, jak coś rusza się w nogach łóżka, i pomyślał, że to Barnaba.

Był to Jonathan Tolson. Chłopiec wspiał się na szczyt łóżka w ciszy i znalazł miejsce pomiędzy nimi. Ojciec Tim usłyszał, jak wzdycha, a potem, po sekundzie, rozległ się miarowy oddech chłopca. Poczuł też zapach jego wilgotnych, zmierzwionych włosów.

Pomodlił się za Janette i za dzisiejszą misję, zanim ponownie odpłynął w sen.

W drodze do St. John's zoczył do Mona's Café, aby napić się kawy, i zajrzał do sklepu z przynętą i sprzętem wędkarskim.

— Posłuchaj najnowszych wiadomości — zaczął Ernie. — „Diplomat” wyszedł wczoraj wieczorem i Junior już otrzymał odpowiedź na swoje ogłoszenie.

— I?

To było dość ekscytujące szukać żony.

— To był facet.

— Aha.

— Chciał się dowiedzieć, czy Junior nie będzie sprzedawał swojego bronco.

— To wszystko?

Ernie potrząsnął głową wyglądając na przygnębionego.

— Wydaje mi się, że musimy popracować nad tym ogłoszeniem.

— Być może. Przy okazji, miałeś mi powiedzieć, kto mieszka za murem.

— O tak. Zgadza się. No cóż, mieszka tam Morris Love.

— Morris Love. Studiował twarz Erniego.

— Powiedz mi coś więcej.

— No cóż, Morris jest, no wiesz... Ernie wskazał na czoło i palcem wskazującym zakreślił kółko.

— Tak jak my wszyscy — przyznał ojciec Tim, próbując spojrzeć na sprawę bardziej optymistycznie.

— Nie ma się czym martwić. Morris trzyma się od wszystkich z daleka, nigdy nie wychodzi z domu, tyle że czasami bardzo krzyczy na ludzi. Tak jakby chowa się za murem i wykrzykuje na ludzi nie stworzone rzeczy. Ale powiedz swojej pani, żeby się nie martwiła.

— Dlaczego nie wychodzi z domu?

— Nie chce, żeby go ktokolwiek widział.

— Dlaczego?

— No cóż, widzisz, cierpi na tę... dolegliwość. Jest pewna kobieta, która się nim opiekuje, przychodzi do niego prawie codziennie, gotuje, i stroiciel organów, który przyjeżdża swoją furgonetką z Wirginii. Tak niewiele się tam dzieje, że droga zarosła trawą.

— No, no.

— Widzisz, jego dziadek zainstalował tam duże organy, podobno światowej klasy, i stary Morris gra na nich jak z nut, ale ostatnio jakoś nie słyszałem o tym, żeby na nich grał. Wszyscy przyzwyczailiśmy się do Morrisa. Większość nawet nie pamięta, że on tam jest.

— Do licha.

— Ale nic się nie martw. Jest całkowicie niegroźny, trochę złośliwy, jak jego dziadek, to wszystko.

— Aha. A zatem tutaj jest książka, którą ci obiecałem.

— Niech mnie kule biją! Dałem ci używaną książkę w miękkiej okładce, a ty przynosisz mi dzieło w skórzanej oprawie.

— Jest dla ciebie i mam nadzieję, że będzie ci się podobać.

— Tobie dostały się okruszki z pańskiego stołu, jeśli chcesz znać moje zdanie, ale jestem bardzo wdzięczny.

Ernie otworzył książkę, zmrużył oczy, studiując przypadkową stronę, i przeczytał na głos, wolno:

Bo gdy z rana Pan wychodzi,

By dołądnąć trzód swych wszędzie;

Po kolana w zbożu brodzi,

Widząc bydło i jagnięcie;

Ma przyjaciół na spacerze,

Aby mówić, milczeć szczerze;

Cztery psy, dwojga ras,

Dwa co węszą, dwa co idą w las.

Ot i zerwał się zajaczek!

I ruszyły w pościg psy,

Każdy żwawo, chętnie,

Wszystkie pędzą z całych sił...

Ernie podniósł wzrok, uśmiechając się.

— Całkiem wartka akcja.

Gdy wychodził ze sklepu ze sprzętem wędkarskim, spojrzął przez frontowe okno, uradowany widokiem właściciela pochłoniętego niewielką książeczką z pastoralnymi rozważaniami.

Janette Tolson płakała całą drogę przez most do szpitala oddalonego o dwadzieścia kilometrów. Towarzyszył jej podczas przyjmowania na oddział psychiatryczny, wyjaśniając urzędnikowi, że pacjentka nie ma ubezpieczenia, i dając swoje słowo, że rachunek zostanie zapłacony. Nie miał pojęcia jak, ale to było zadanie dla Boga. Czekał, aż przyjdzie jej lekarz, a ona sama rozgości się w swoim pokoju, który dzieliła z inną osobą.

Niechętnie puściła jego rękę.

— Jonathan...

— Nie martw się — uspokoił ją.

Przytulił się do Cynthii przed wyjściem na spotkanie rady parafialnej w St. John's.

Och, ta błogosławiona miękkość żony w twardym świecie...

Pocałował ją, opierając ręce na jej talii. Nawet przy całym tym jeżdżeniu na rowerze wyczuwał tam przyjemny wałeczek.

— Do zobaczenia, Beko. — Mrugnął.

Odskoczyła od niego z gniewnym wyrazem twarzy.

A on śpiesząc w stronę drzwi, myślał, że bez wątplenia przekroczył żółtą linię swojej żony.

Rozdział ósmy

PŁOMIEŃ ŚWIECY NA WIETRZE

Deszcz zaczął padać nocą, bębniąc miarowo w czerwony dach Dove Cottage.

O szóstej rano usiłował znaleźć jeden przekonujący powód, aby spędzić cały dzień w kancelarii, ale nic nie przychodziło mu do głowy. Czyż duchowni nie brali zazwyczaj dwóch dni wolnego w każdym tygodniu, a on od przyjazdu wziął tylko jeden? Pójdzie po lunchu, oto rozwiązanie.

— Cudownie, kochanie, możesz mi pomóc nakarmić Jonathana! Jego żona miała wyraźnie złośliwy błysk w oku.

— Nie! Nie lubię tego! — Jonathan potrząsnął energicznie głową, gdy postawiono przed nim miskę z płatkami.

Cynthia zaproponowała tost z masłem.

— Nie! — bronił się Jonathan. — Nie tost!

— A jeśli posmarujemy go dżemem? — zapytał ojciec Tim.

— Już tego próbowałam — wyjaśniła Cynthia. — Nie działa. Przechodzimy przez to wszystko codziennie rano, gdy ty wędrujesz sobie spokojnie ulicą, gwizdząc.

Westchnęła.

— Nie wiem, jak sprawić, żeby dzieci jadły to, czego nie lubią.

— Czy niczego ci nie podpowiedział?

— Próbowałam owsiankę, płatki Froot Loops, kaszę z masłem, bekon, nie wspominając o jajecznicy i jajkach na twardo. Nic mu nie odpowiada. Zawsze kończy się na płaczu i krakersach z serem.

— Moglibyśmy do kogoś zadzwonić — stwierdził odkrywco — i zapytać, co lubi na śniadanie.

— Do kogo mielibyśmy zadzwonić?

— Zastanówmy się. Do Jean Ballenger! Ona zna tę rodzinę! Jakie wspaniałe rozwiązanie. Był prawdziwym Sherlockiem.

— Muszę zrobić siusiu — zawołał Jonathan.

— Właśnie zrobiłeś siusiu — odparła Cynthia z wyrazem rozpacz na twarzy.

Jonathan ześlizgnął się z krzesła i pośpieszył truchtem do łazienki.

— Teraz ty idź z nim — powiedziała. — I proszę, opuść potem deskę.

— Nie mam pojęcia! — zawołała Jean Ballenger, gdy zadzwonił do jej małego domku obok biblioteki. — Nigdy nie widziałam, żeby ktoś coś jadł, gdy byłam u Tolsonów.

Po bezowocnym zapytaniu telefonicznym Cynthia wciągnęła go do pracowni.

— To raczej mało prawdopodobne, żeby Jean zechciała się zająć Jonathanem przez jakiś czas?

— Jean Ballenger? Zupełnie sobie tego nie wyobrażam!

Jean, pedantyczna stara panna z szydełkowymi zagłówkami i podłokietnikami na fotelach, z pewnością nie miałyby ochoty opiekować się upartym trzylatkiem.

— Co zrobimy? — zastanawiała się Cynthia. — Uważam, że jest uroczy, naprawdę. Ale mnie wykańcza. Jestem na to za stara!

— Będę tu do pierwszej. Idź do swojego stołu do rysowania, zrelaksuj się, wszystko jest pod kontrolą.

Więc dlaczego przygląda mu się w ten sposób, z jedną brwią uniesioną do góry, a drugą opuszczoną?

— Eureka! — zawołał, biegnąc korytarzem do jej pracowni. — Odkryłem!

— Co odkryłeś? — zapytała, nie podnosząc wzroku znad akwareli przedstawiającej Violet pod żółto-niebieskim parasolem plażowym.

— Co lubi na śniadanie!

Triumfował, można by pomyśleć, że znalazł Świętego Graala.

— I tak nie zgadnę, więc powiedz.

Nie potrafiła powstrzymać uśmiechu na widok męża, który wyglądał, jakby przeszedł przez magiel.

— Zgadnij! — nalegał, bawiąc się z nią w podłą sztuczkę, w którą zawsze bawiła się z nim Emma.

— Cukierki M&M's?

— Nie jesteś nawet blisko. Masz jeszcze dwie szanse.

— Dukaty z orzeszkami ziemnymi w polewie czekoladowej! Ja na pewno wybrałabym to na śniadanie każdego rana!

— Cynthia...

— No dobrze, nie staram się. Proszę bardzo, i tym razem mówię jak najzupełniej poważnie. — Wyrzała przez okno. Nawinęła pasmo włosów na palec. Westchnęła. — Nie mam pojęcia — rzuciła w końcu.

— Spaghetti.

— Nie.

— Tak!

— Al dente, rozumiem.

— Odrobina szacunku, proszę. Właśnie dokonałem ważnego odkrycia.

— Tak, kochanie, i bardzo ci dziękuję. Samo czy z sosem marinara?

— Z masłem. Bez widelca, bez łyżki. Wystarczy wrzucić do miski i postawić przed nim. Oczywiście będziesz musiała go wykąpać, gdy będzie już po wszystkim.

— Wykąpać go?

Jej brew znowu uniosła się do góry.

— No dobrze, ja go wykąpie, ale tylko ten jeden raz.

Dlaczego u jego drzwi zjawiały się dzieci? Nie, żeby narzekał, ale czy nie było to dziwne, że przeżył pełne sześćdziesiąt lat, w trakcie których nie pojawiło się w jego życiu prawie ani jedno dziecko, z wyjątkiem tych, które spotykał w szkole niedzielnej? Ale z drugiej strony, ile na tym zyskał, wystarczy spojrzeć — Dooley Barlowe. Jeden z najwspanialszych darów, nieomal każdego dnia, jaki kiedykolwiek „zstąpił z góry, od Ojca światła”, cytując świętego Jakuba.

To w każdym razie pikus w porównaniu z ojcem Traceyem, który razem ze swoją żoną adoptował czternaścioro dzieci. Czternaścioro! Nie mieściło mu się to w głowie. Był też ojciec Moultrie, który przeszedł do legendy, mimo że nadal żył, o ile się orientował.

Ten poczciwy człowiek zebrał dwadzieścioro jeden dzieci w różnym wieku i różnego pochodzenia i udawało mu się, podobno, trzymać całą gromadkę w ryzach, chociaż przybudówka, którą wznosił przy swoim podmiejskim domu, dosłownie runęła jednej nocy po ogólnej bitwie na poduszki. Dzięki Bogu, że nikt nie został poważnie ranny.

— I, kochanie... — dorzuciła jego żona z uśmiechem, gdy się odwracał, żeby wyjść z pokoju.

— Tak?

— Będę wdzięczna, jeśli zetrzesz mopem podłogę pod jego krzesłem, gdy skończycie.

— Nie ma sprawy — odparł, starając się, by jego słowa zabrzmiały przekonująco.

Wyrzał przez okno w pracowni na nieustający deszcz, następnie spojrzął na zegarek. Za kwadrans dwunasta.

Mule i J.C. w tej właśnie chwili wsuwają się do tylnego boksu.

Wiedział, że w barze Grill jest teraz godzina szczytu, ale tęsknił za tymi chłopcami, a jakim kłopotem może być dla Velmy poproszenie kogoś do telefonu?

Czekał, aż czerwony telefon na ścianie obok grilla zadzwoni dwa razy. Cztery razy. Sześć. Siedem...

Był gotowy odłożyć słuchawkę, gdy Velma odebrała.

— Velma, mówi Tim Kavanagh!

— Kto?

— Tim Kavanagh.

— Co mogę dla ciebie zrobić? Musimy zająć się podaniem lunchu wszystkim klientom.

— Oczywiście. Czy mogłabyś... aa... poprosić do telefonu Mule'a? Albo J.C.?

— Chwileczkę.

Usłyszał, jak Velma kładzie słuchawkę na telefonie, następnie usłyszał, jak słuchawka spada, huśta się na kablu i uderza o ścianę, bum... bum... bum. Odsunął swoją słuchawkę od ucha.

Gwar w barze Grill dochodził do niego jak z drugiego kontynentu, cały ten stukot i zgiełk, który przez tak długi czas był taki znajomy, wydawał się teraz taki... odległy. Ogarnął go ogromny smutek.

— Nie podaję kaszy po dziewiątej! To był Percy.

Brzdęk. Brzdęk. Bum.

— Do licha! Znowu Percy.

Musiał upuścić łoPATkę kuchenną.

— Boże, miej litość! Spójrz tylko, co tym razem zrobił prezydent.

Wydawało mu się, że to Leonard Stanley, który zawsze siedział przy ladzie naprzeciwko telefonu.

— Ojej! Niewiarygodne.

— Nie czytam gazet, bo skręca mnie od tego w żołądku. Z wyjątkiem stron z komiksami, dałem sobie spokój.

Coot Hendrick.

— Ale lubię te ulotki, które dają z gazetami — no wiesz, Wal-Mart, Ken's Auto Parts, kupony rabatowe na pizzę Domino, takie tam.

Trzask. Skwierczenie.

— Nie mamy dzisiaj dania dnia! — krzyknął Percy. — Skończyłem już z oferowaniem dań dnia, musisz zamówić z menu!

— Więc co takiego zrobił prezydent?

— Zaufaj mi, wolałbyś nie wiedzieć. Zastanawiam się, czy nie mają tutaj tabletek Alka Selzer.

Szelest, trzask. Leonard musiał się szarpnąć na jakąś dużą gazetę, w rodzaju „Atlanta Constitution”, zważywszy na hałas, jaki było słyCHAć, gdy przewracał strony.

— Czy możesz w to uwierzyć?

Usłyszał, jak Velma przechodzi obok telefonu.

— Przedni boks chce kanapkę z bekonem, sałatą i pomidorem, ale bez sałaty i pomidora! Powiedziałam mu prosto w oczy: „Jak może pan chcieć kanapkę z bekonem, sałatą i pomidorem bez sałaty i pomidora?“, a on na to: „Co?“ To ten sam idiota, który kiedyś zamówił burgera z serem i powiedział, żebym zrobiła go bez sera.

— Na twoim miejscu przeszedłbym na wcześniejszą emeryturę — poradził Coot.

Było oczywiste, że w godzinie szczytu w porze lunchu Velma zapomniała o jego telefonie.

Wykrzyknął z całych sił do słuchawki:

— Velma! Percy! Halo!

Słyszał, jak się otwierają a potem trzaskają drzwi wejściowe, syknięcie towarzyszące otwieraniu zatyczki butelki wody mineralnej.

— Halo! Niech się ktoś odezwie! Ktokolwiek!

— Dlaczego ta słuchawka wisi na kablu? — zapytał Percy. — Ktoś musiał ją zrzucić z widełek. Kliknięcie.

Jonathan wskazał pulchnym palcem ekran telewizyjny w pokoju gościnnym.

— Chcę obejrzeć film — powiedział.

— Och, film.

— W pudełku — dodał trzylatek. Spojrzał na zegarek.

— W pudełku.

Zostało mu jeszcze pięćdziesiąt siedem minut.

— Piotruś Pan.

— Piotruś Pan. Oczywiście.

— Lubisz Piotrusia Pana?

— O tak. Bardzo!

Jonathan wskazał palcem na nogę ojca Tima.

— To obejrzymy go!

— Moglibyśmy opowiedzieć jakąś bajkę. Mógłbym ci poczytać, co ty na to?

— Chcę oglądać film w pudełku!

W pudełku, w pudełku. Zostało mu jedno pudełko po książkach. Popędził na tylny ganek i przyniósł je.

— Kiedyś miałem film o królu Lwie — wyznał Jonathan — i mój tato, mój tato, mój tato nie pozwolił mi go oglądać.

Jonathan zmarszczył czoło.

Włożył chłopca do tekturowego pudełka i włączył telewizor. Dobry Boże! Nie wierzył własnym oczom, i w dodatku w samym środku dnia. Skakał po kanałach. Jeszcze pięćdziesiąt minut.

— Piotruś Pan! — krzyknął Jonathan. — W pudełku! Pospiesz się do pracowni.

— Na litość boską, Kavanagh, co to jest film w pudełku?

— Wideo, kochanie. Nie mamy ani jednego.

— Dlaczego?

— Bo nie mamy magnetowidu.

— Nie mamy nawet mikrofalówki — dodał zakłopotany. Wrócił biegiem do pokoju gościnnego i wyjął Jonathana z pudełka.

— Idziemy na spacer.

— Nie chcę spacerować!

— W tym życiu, mój chłopcze, będziesz zmuszony robić wiele rzeczy, na które nie będziesz miał ochoty, możesz to więc potraktować jako próbę.

Poszedł z Jonathanem do kuchni i wyciągnął Barnabę spod stołu. Zapiął czerwoną smycz na obroży swojego psa, gdy zadzwonił telefon.

Wyjrzał przez okno w kuchni, podnosząc jednocześnie bezprzewodowy telefon z kanapki pod oknem. Do licha! Nie mogą iść na spacer, zapomniał, że leje jak z cebra.

— Proszę! — krzyknął do słuchawki.

— Ojciec? Czy to ojciec?

— Esther!

— Miał ojciec zmieniony głos — wyjaśniła Esther, która też miała zmieniony głos. — Muszę z tobą porozmawiać o Gene'u.

— Do licha! — wykrzyknął, biegnąc korytarzem za Jonathanem, który zmierzał wprost do drzwi.

— Zachowuje się tak dziwnie, prawie go nie poznaję. Mówię ci, on po prostu nie jest moim Gene'em, mógłby się nazywać Hubert, Pete albo Bóg raczy wiedzieć jak jeszcze inaczej, tak dziwnie się zachowuje.

— Co robi? — zapytał, chwytając chłopca, który już był gotów skoczyć z ganku.

Zaniósł go z powrotem do domu, trzymając pod ramieniem.

— Na dół! — krzyczał chłopiec, wywijając się i kopiąc.

— Na Boga, kto to jest? — chciała wiedzieć Esther.

— Jonathan. Powiedz mi, co robi Gene?

— Wszystko liczy. Patrzy na mnie i mówi: „Siedem”. A ja odpowiadam: „Siedem czego?” On na to: „Siedem razy otworzyłaś drzwiczki od szafki nad kuchenką”.

— Na dół! — powtórzył Jonathan, wywijając się z uścisku ojca Tima.

— Aha. Słucham Esther, mów dalej. Otworzyłaś drzwiczki do szafki siedem razy...

Jonathan wylądował na czworaka i pił wodę z miski psa. Ojciec Tim przełożył słuchawkę do lewej ręki, a prawą odpiął z obroży czerwoną smycz Barnaby. Przypiął smycz do paska pajacyka chłopca, a drugi koniec przywiązał do oparcia krzesła w kuchni.

— Spojrzał na mnie wczoraj wieczorem i powiedział: „Osiemnaście”. Ja na to: „Osiemnaście czego?” On na to: „Walków”. Kładziemy się spać, mówi: „Czternaście”. Bóg raczy wiedzieć, że miałam

już wszystkiego dość, robił to przez cały dzień, nawet go nie zapytałam, do czego się odnosiło to czternaście, a on powiedział: „Schodów”. Mówię ci, wcale mi się to nie podoba, bawi się ze mną w tę głupią sztuczkę od miesiący, ale z każdym dniem jest coraz gorzej. Prawdę powiedziawszy, miałabym ochotę zdzielić go w głowę. Czy możesz sobie wyobrazić życie z kimś, kto chodzi, powtarzając: „Sześćdziesiąt sześć! Sześćdziesiąt sześć szyb”. Albo: „Dziewiętnaście! Dziewiętnaście uchwytów od drzwiczek szafek”. Pewnego dnia pomyślałam, ciekawe dlaczego jest tylko dziewiętnaście uchwytów, a nie dwadzieścia, i zanim się obejrzałam, sama zaczęłam liczyć uchwyty.

— Do licha.

— Rozmawiam przez telefon w korytarzu, ale słyszę go, jak liczy teraz kwadraty w linoleum!

— Ojej.

— Setny raz!

Esther zniżyła głos.

— Ojcie, czy myśli ojciec, że on... zwariował? Na samą myśl o tym ogarnia mnie dzikie przerażenie.

— Czy Hoppy wie, co się dzieje?

— Zrobili mu wszystkie badania, można by pomyśleć, że jakaś choroba psychiczna ujawniłaby się w badaniach krwi.

— Uważam, że powinnaś porozmawiać z Hoppym. Kiedy się do niego wybieracie?

— Za dwa tygodnie.

— Może powinnaś do niego zadzwonić.

— Nie mogę, jest na wakacjach. Wiesz, że nie był na żadnych wakacjach już od lat, więc sędzę, że mu się należą.

— Porozmawiaj z jego współpracownikiem, porozmawiaj z doktorem Wilsonem.

— Żartujesz sobie ze mnie? Jest jeszcze zupełnie zielony.

— Ja porozmawiałbym z doktorem Wilsonem, Esther. Esther zaczęła płakać i próbowała to ukryć.

— Tylko jedno się nie zmieniło.

— Co takiego?

Jonathan ciągnął krzesło po kuchni, podczas gdy Barnaba siedział pod stołem oszołomiony.

— Nadal głaszcze mnie po policzku i mówi: „Dobranoc, ślicznotko”, tak jak przez ostatnie czterdzieści dwa lata.

— Konik! — krzyknął Jonathan.

— Szkoda, że cię tu nie ma — załkała Esther.

— Ja też tego żałuję — odparł jak najbardziej na serio.

Włożył skarpetki na nogi krzesła i pozwolił Jonathanowi ciągnąć to cholerstwo po całym domu. Cynthia zamknęła swoje drzwi — szczerze mówiąc, wydawało mu się, że zamknęła je na klucz — a

Barnaba schował się w kącie pracowni, pod półkami. On sam natomiast siedział w salonie jak właściciel ziemski i przeglądał gazetę „Whitecap Reader”.

Niektórzy członkowie plemienia Wadamo, z Doliny Zambezi w Zimbabwie, rodzą się tylko z dwoma palcami u każdej stopy, co jest cechą dziedziczną. Ludzie ci jednak poruszają się tak samo sprawnie, jak osoby posiadające po pięć palców.

Powierzchnia do wynajęcia

Przygotuj się! Dwa w jednym — Twój sklep ze sprzętem wędkarskim i częściami samochodowymi, sprzęt wędkarski i części samochodowe w Whitecap.

Domy modułowe pod indywidualne potrzeby klienta, jakoś za dobrą cenę, Firma Budowlana Tozier (naprzeciw firmy Bragg's w Czubku).

Ciekawostki: Jaka noc poprzedza 1 maja? Która wyspa oddziela kanadyjską część wodospadu Niagara od amerykańskiej? Dla której armii wynaleziono konserwy?

SPOD NOŻYC: Fryzury dla całej rodziny, kanapki z rybą i makaron na drogę...

Żart tygodnia: „Nie mam nic naprzeciw, że się ponownie narodziła, ale czy musiała przyjść pod tą samą postacią?”

Westchnął. „Reader” był jedyną gazetą, jaką widział, która sprawiała, że „Muse” wydawała się przy niej niczym „Philadelphia Inquirer”.

Pozwolił, aby Jonathan się zmęczył, aż — punktualnie o pierwszej — chłopiec zapadł bez zajknięcia w drzemkę.

— Alleluja! — szepnął ojciec Tim do swojego psa.

Wyszedł następnie na palcach z pokoju gościnnego i zamknął za sobą drzwi.

Wsiadł do samochodu przy tylnej bramie i wciągnął za sobą okapującą deszczem parasolkę. Gdy przekręcał kluczyk w stacyjce, zauważył furgonetkę zaparkowaną pod bramą Morrisa Love'a. Poprawił okulary.

„L.L. Mansfield. Strojenie wysokiej klasy organów”.

Kierowca wyszedł z samochodu i podszedł do kutej bramy, otworzył ją szeroko, a następnie wrócił do samochodu i wjechał na posesję.

Siedział przez chwilę, zastanawiając się nad pierwszym znakiem życia, jaki miał okazję zaobserwować po przeciwnej stronie drogi. Przyglądał się, jak kierowca wraca i zamyka za sobą bramę.

Fort Knox!, pomyślał, odjeżdżając.

„Mówię ci, co chciałbym, żebyś zrobił...”

Siedział w kancelarii, słysząc, jak deszcz bębni w szyby niczym dziobiące ziarno kury, i czytał kazanie Charlesa Spurgeona, które wygłosił w Newington 9 marca 1873 roku.

„Idź do Niego bez strachu i drżenia; zanim to słońce zajdzie i zakończy ten dzień łaski, idź i powiedz Mu, że złamałeś zakazy Ojca — powiedz Mu, że jesteś zagubiony i że potrzebujesz zbawienia;

powiedz Mu, że jest mężczyzną, i szukaj zrozumienia w Jego męskim sercu, i w Jego ludzkim współczuciu-współczuciu.

Wylej u Jego stóp żale swojego złamanego serca; pozwól, aby twoja dusza otwarła się w Jego obecności, i mówię ci, że On nie może cię odrzucić..."

Zapisał w swoim notesie z notatkami do kazań: „Nie chodzi o to, że On cię nie wysłucha, ale że On nie może cię nie wysłuchać. Podkreśl tę prawdę". Spurgeon uchwycił tu istotę tego, o czym będzie chciał nauczać w niedzielę swoją kongregację w St. John's.

„...choć Twoja modlitwa będzie chwiejna niczym płomień świecy na wietrze, On jej nie stłumi; i chociaż twoje serce będzie obolałe niczym smagana wiatrem trzcina, On go nie złamie.

Niech Duch Święty przepelni cię pragnieniem, abys szedł do Boga poprzez Jezusa Chrystusa; i niech cię zachęca, abys czynił to, pokazując, że On jest pokorny i cichego serca, delikatny i czuły, i pełen współczucia".

Koniec kropka, powie swojej kongregacji to, co firma Nike powiedziała całemu światu: Po prostu zrób to.

Skończył pisanie na maszynie kościelnego biuletynu i zadzwonił do szpitala. Janette była na korytarzu.

— Proszę jej powiedzieć, że będę jutro — poprosił pielęgniarkę. — Proszę jej powiedzieć, że Jonathan świetnie się bawi.

Wyjął parasol ze stojaka przy drzwiach na dole i przygotowywał się do wyjścia na ulewę.

— Czy to ojciec Kavanagh? Odwrócił się gwałtownie.

— Wielkie nieba!

— Przestraszyłam ojca, tak bardzo przepraszam!

— Na litość! — rzucił, nie mając pojęcia, co innego powiedzieć.

Przed nim stała wysoka, szczupła, lekko pochylona kobieta w ociekającym deszczem kapeluszu i płaszczu przeciwdeszczowym. Z mokrego nosa zsuwały się jej okulary.

— Weszłam frontowymi drzwiami i nie mogłam znaleźć żywej duszy, więc weszłam na te schody. Jestem Ella Bridgewater, przyszłam na przesłuchanie!

Miał kłopoty z myśleniem.

— Ale ja myślałem, że to jutro...

— Zapisałam datę w kalendarzu, ojciec, jestem bardzo dokładna w takich sprawach, a poza tym nie mogłabym zrobić tego jutro, ponieważ jadę na łód odwiedzić moją siostrzenicę. Zawsze odwiedzam ją w sobotę, więc nigdy nie przyszłoby mi do głowy...

— Oczywiście, na pewno się pomyliłem, jestem pewien.

On też był bardzo dokładny w takich sprawach, ale po co się spierać?

— No cóż, panno Bridgewater, miło panią widzieć!

Ujął jej mokrą dłoń i potrząsnął nią energicznie, zauważając, że wydawała się znacznie starsza, niż informował o tym jej list. Poklepała się po piersi.

— Nuty mam pod płaszczem!

— Cudownie. Podejźmy na górę i zrobimy próbę. Dziękuję, że przyszła pani w tej ulewie.

Poszedł za nią po schodach do zakrystii. Jest z pewnością bardzo energiczna, myślał.

— Zawsze kochałam ten kościół, ojciec. Wydaje mi się, że napisałam w swoim liście, że grałam dla łączonych parafii na tych wyspach przez wiele lat.

— Tak. To cudownie!

— Więc z pewnością znam kościoły w tych stronach, chociaż dzisiaj jestem po raz pierwszy w St. John's. — Rozejrzała się po świątyni i nawie z pewnym podziwem.

— Niemożliwe!

— Ani razu. Byłam zbyt zajęta graniem gdzie indziej!

— Szkoda, że nie może go pani zobaczyć w pełnym słońcu, gdy witraże sączą kolory do środka. Szorstkie siwe loki rozsypały się, gdy ściągnęła przeciwdeszczowy kapelusz.

— Ufam, że zobaczę go w słońcu!

Bardzo pewna siebie dama, pomyślał. I w wieku lat siedemdziesięciu, co najmniej. W liście napisała jednak, że ma sześćdziesiąt dwa lata i jest „w doskonałej kondycji”.

— Tam jest balkon dla chóru, jak pani widzi. Mam nadzieję, że stan i sprawność naszych organów Hammonda uzna pani za odpowiedni: Cóż, w takim razie pozwoli pani, że pomogę jej ściągnąć płaszcz, i może wejść pani po schodach na górę. Czy miałaby pani ochotę na filiżankę kawy? Albo herbaty? Jedna chwilka.

— Nie, dziękuję, ojciec, wolałabym przejść do rzeczy. Ćwiczyłam zapamiętane przez wiele dni — wie ojciec, jak to się mówi, jeśli zaniedbasz przygotowanie, przygotujesz się na porażkę.

— Idealna sentencja na kościelną tablicę przy drodze!

— Właśnie tam ją przeczytałam — odparła, wybuchając śmiechem. — No cóż, proszę bardzo.

Przeszła energicznie przejściem między ławkami, ściskając swoją liliową kopertę, i szybkimi krokami pokonała schody na balkon.

Nastąpiła chwila szelestu na balkonie i — jak mu się wydawało — dało się też słyszeć ciężkie westchnienie.

— Wspaniały ranek! — krzyknęła na dół. — Te organy są w wieku matuzalowym.

— Wyprodukowane w roku, gdy miałem cztery lata!

— To na pewno był dobry rok, jestem pewna. A teraz... Usłyszał, jak odchrząkuje i wzdycha głęboko.

— ...proszę usiąść i zamknąć oczy. Zagram preludium i fugę, a po nich pieśń. A potem spełnię jedno osobiste życzenie ojca.

— Dziękuję, panno Bridgewater.

Cieszył się, że nigdy mu nie przeszkadzało, gdy kobiety mówiły mu, co ma robić; nigdy nie narzekał na brak rad tego rodzaju.

— No, no — usłyszał jej głos. — O tak.

Pokręciła kluczami, nacisnęła pedały, nuciła przez chwilę.

— W takim razie!

Stare organy zagrzmiały tak mocno, że nieomal wypadł z ławki. Aha. Małe *Preludium* i *Fuga C-dur* Bacha, i grała je z całej mocy. Ta kobieta łykała witaminy, bez dwu zdań.

Na koniec zawołała głośno:

— I jak wrażenia, ojcze?

— Ależ... proszę grać dalej! — odparł. Bardzo pewna siebie.

Dźwięki *Przez wszystkich świętych* poszybowały pod samo sklepienie. Ach, jak cudownie słyszeć organy w tym miejscu. Prawdziwe błogosławieństwo.

Słuchał uważnie, nie mogąc powstrzymać się od nucenia szeptem.

— „Przez wszystkich świętych, którzy po pracy odpoczywają, którzy swą wiarą przed światem całym Cię wyznali, Twoje Imię, o Jezu, niech będzie błogosławione. Alleluja, alleluja...”

Nie jakoś wyjątkowo poruszające, jak można byłoby z pewnością oczekiwać, ale lepsze, niż mógł się spodziewać, szczerze mówiąc. Klepał się po nodze, uważnie wsłuchując się w każdą nutę i nie ferując sądów do samego końca.

Przyjemnie poprawne, doszedł do wniosku.

— I jak? — zagrzmiała.

— Dobra robota!

— Dziękuję, ojcze, szczerłość jest najlepszym rozwiązaniem. I nie będę nieskromna, jeśli powiem, że wszyscy moi księża byli zadowoleni z mojej gry.

Deszcz zacinał w okna, pac, pac, pac.

— Panno Bridgewater, czy już czas na moje osobiste życzenie?

— Tak, i muszę przyznać, że zżera mnie ciekawość.

— A co powie pani na *Dodaj sił do służby, Panie?* Pieśń śpiewana podczas komunii, potężna i porywająca.

— Cudownie, ojcze! Dwa-zero-jeden w starym śpiewniku, trzy-dwanaście w nowym. Proszę bardzo.

Zachichotał. Nie miał do czynienia z taką brawurą od czasu ostatniego spotkania z grupą młodzieżową.

— „Dodaj sił do służby, Panie — szeptał, kiedy kobieta grała — dłoniom, które święte rzeczy wzięły; spraw, aby uszy, które Twych świętych pieśni słuchały, na zawsze głuche na zgiełk pozostały...” — Głuche na zgiełk. To był jego ulubiony werset.

Rozejrzał się dookoła po ścianach i w górę, na sufit, jakby muzyka malowała samo belkowanie, które zdawało się w niej skapane, a przez to mocniejsze.

Chłonał to wszystko, jakby był spragniony. Przesłuchanie dobiegło końca.

Wstał i spojrzął na balkon, a potem zaczął bić brawo, nie bez pewnego entuzjazmu.

Dyszząc lekko i ściskając swoją kopertę, zeszła po schodach, przeszła między ławkami i w sekundzie stanęła obok jego ławki. Jej długi nos i pochylone ramiona sprawiały, że przypominała orientального żurawia.

— Dobra robota! — powtórzył.

— Dziękuję, ojcze. Chciałabym coś wyznać.

Trzymała swoją kopertę jak tarczę, osłaniając nią pierś. Wyglądała na strapioną, ale jednocześnie pewną siebie.

— Podejźmy... do ołtarza? — zaproponował.

— Proszę nie robić sobie kłopotu, wyrzucę to z siebie tutaj.

— Proszę usiąść — zaprosił ją. Sam też usiadł i pochylił się. Usiadła energicznie w dębowej ławce.

— Skłamałam odnośnie do swojego wieku.

— Tak?

— Skończyłam siedemdziesiąt cztery lata miesiąc temu. Myślałam, że nie zatrudni mnie ojciec, jeśli powiem prawdę, i chcę, żeby ojciec wiedział, że bardzo mi przykro. Gdy grałam utwór, o który mnie ojciec poprosił, Pan poruszył moje serce i poprosił Go, aby mi wybaczył. Być może ojciec zechce zrobić to samo.

Wyglądała na bardzo cierpiącą.

— Ależ oczywiście, panno Bridgewater. Oczywiście. I, czy mogę powiedzieć, że nie wygląda pani na siedemdziesiąt cztery lata?

W jednej sekundzie się rozpromieniła.

— Tak bardzo ojcu dziękuję. Widzi ojciec, wierzę, że Pan wezwał mnie do St. John's. Gdy się dowiedziałam, że macie wakat, natychmiast Go o to zapytałam, a On powiedział: „Ella Jean — Pan zawsze używa mojego drugiego imienia — idź tam natychmiast i poproś o tę pracę, potrzebują cię”.

— Aha.

— Nie mówi do mnie słyszalnym głosem.

— Rozumiem.

— Kładzie mi myśli wprost do głowy, można powiedzieć. Jak na pewno dobrze ojciec wie, przed Bogiem należy zachować ciszę i trzymać usta zasnurowane, żeby mógł wtrącić słowo, takie jest moje doświadczenie.

— Panno Bridgewater...

— Proszę mówić do mnie Ella — poprosiła.

— Ella, jeśli dojdziemy do porozumienia w sprawie twojego honorarium, myślę, że możesz być idealną kandydatką dla St. John's.

Do oczu napłynęły jej łzy.

— Naprawdę tak ojciec myśli?

— Tak.

— Ale — zauważyła, odzyskując równowagę — będzie to ojciec musiał uzgodnić z radą parafialną.

— Zgadza się. To właśnie zamierzam zrobić.

— Kiedy może się to stać?

— W środę. Odezwę się do ciebie zaraz po spotkaniu. Nie powinno być żadnego problemu. Czy masz rodzinę?

— Mieszkałam ze swoją mamą przez wiele lat. Odeszła do nieba rok temu w marcu.

— Przykro mi to słyszeć. Czy też może powinienem się tym radować.

Niebo, ostateczne miejsce ucieczki przed zgiełkiem...

— Jestem starą panną — wyznała, pochylając głowę i uśmiechając się. — Ale nie tym zaszuszonym typem starej panny z komiksów.

— Och?

Ksiądz nigdy nie mógł być pewien, co przyjdzie mu usłyszeć. Poruszył się z zakłopotaniem na ławce.

— Nie, ani trochę. Zakochałam się po uszy, gdy miałam czterdzieści siedem lat, i szczerze mówiąc, nigdy do końca się z tej miłości nie otrząsnęłam. Słyszałam, że ojciec też zakochał się dość późno.

— Tak, późno — zgodził się z uśmiechem. — Ale nie za późno.

— Minor był młodym odkrywcą, który pracował z admirałem Byrdem, i ostatnie swoje lata spędził, robiąc balony do latania.

— Niemożliwe!

— Och, tak. I w jednym z nich sama leciałam! — Jej oczy pojaśniały z radości. — Lecieliśmy wzdłuż wybrzeża i przez Wirginię i wylądowaliśmy na pastwisku, gdzie zjedliśmy piknik złożony z sera i fig. To była najcudowniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek zrobiłam.

— Wspaniale — powiedział. I naprawdę tak myślał.

Panna Bridgewater poprawiła okulary i spojrzała na niego.

— I kiedy bym zaczęła, jeśli... jeśli...

— W następną niedzielę, przypuszczam.

— No cóż! — powiedziała, opierając się o ławkę i promieniejąc. — No cóż!

Nie kończący się deszcz nadal padał mocno o czwartej trzydzieści, gdy podjechał do Erniego po mleko.

Roger Templeton siedział w kącie obok niedużej sterty drewnianych wiórów i spojrzał na niego, gdy pojawił się w drzwiach.

— Tim! Miło cię widzieć! Jak twoja pogoda ducha?

— Pytasz o moją pogodę ducha w odróżnieniu od tej panującej na zewnątrz? Powiedziałbym... słonecznie!

Czy Bóg nie dostarczył właśnie organisty kościołowi St. John's?

Podrapał Lucasa za uszami, następnie przysunął krzesło do Rogera, zerkając na jego kolana, na kawałek drewna, który na nich spoczywał. Drewno miało kształt kaczki, mimo że na razie bez głowy, a prawe skrzydło zaczynało porastać piórami.

— Zadziwiające! Czy mogę spojrzeć?

— Proszę bardzo — zaproponował Roger, zadowolony, że usłyszał taką prośbę.

Wziął kaczkę i przyjrzał się jej dokładnie. W uproszczeniu, to właśnie w ten sposób Dawid wyszedł spod dłuta Michała Anioła.

— To drewno tupelowe — wyjaśnił Roger. — Sprowadzam je aż z okolic Albemarle Sound. W tym drewnie można rzeźbić w poprzek włókien, z włóknami albo pod włókna.

— Jest piękna! — zawyrokował.

Skąd Roger wiedział, że kawałek drewna chowa w sobie właśnie kaczkę, która tylko czeka, żeby wydostać się na zewnątrz?

— To cyranka z zielonymi skrzydłami. Na razie nie ma jeszcze na co patrzeć. Wykroilem ją z grubsza piłą taśmową i teraz wycinam opierzenie.

— Skąd wiedziałeś, że będziesz to umiał zrobić?

Roger wyjął nóż ze starego pudełka po cygarach, które znajdowało się obok jego krzesła.

— Nie wiedziałem. Nigdy nie robiłem niczego rękami.

— Z wyjątkiem robienia pieniędzy — dorzucił Ernie, wchodząc z tylnego pokoju. Usiadł ciężko przy stole.

— Jeździłem na polowania z kolegami... Alaska, Kanada, wschodnie wybrzeże Maryland, w okolicy St. Michael's i Easton. Pamiętam dzień, w którym zestrzeliłem do jeziora cyrankę z zielonymi skrzydłami. Gdy Lab mi ją przyniósł, zobaczyłem po raz pierwszy jej niesamowite piękno. Oczy mi się otworzyły i nie mogłem się nadziwić, jak mogłem... robić to, co robiłem.

— Aha.

— Och, nie, żebym głosił kazanie przeciwko polowaniom, Tim. Niech ludzie polują! Mam też dużą słabość do chłopca, który uczy się polować. Ale ja rzuciłem to natychmiast, tam nad rzeką, powiedziałem, jeśli Bóg Wszechmogący był w stanie stworzyć tak misterne i piękne pióro, choćby jedno, nie wspominając o całej kaczce, to kim ja jestem, żeby ją zabijać?

— Wciąż łowi — zdradził Ernie.

— Dlaczego zacząłeś rzeźbić? Roger wzruszył ramionami.

— Chciałem zobaczyć, jak blisko potrafię zbliżyć się do ideału. Wydawało mi się, że zrobię tylko jedną, a potem przestanę.

— Rozumiem.

— Ale wygląda na to, że nigdy nie jestem w stanie sięgnąć ideału, więc cały czas próbuję.

Ojciec Tim też nigdy nie robił zbyt wiele swoimi rękami, z wyjątkiem przewracania stron książki lub zasadzenia krzewu róży.

— Ile czasu zajmuje ci zrobienie jednej?

— Och, pięć, sześć tygodni, czasami dłużej.

— Robi swoje kaczki wyłącznie u mnie — wyjaśnił Ernie, jakby to nadawało sklepowi Erniego z książkami, przynętą i sprzętem wędkarskim szczególnej dystynkcji.

— Czy pracujesz też w domu?

Roger zarumienił się lekko.

— Maluję w domu, ale moja żona nie pozwala mi rzeźbić.

Słyszał o tym, że niektórym nie wolno było palić cygar w domu, ale nie słyszał o zakazie rzeźbienia kaczek.

— Roger, moja żona wykupiła mi miejsce na łodzi rybackiej Captain Willie's. Czy ty wybierasz się kiedykolwiek na połowy na pełnym morzu?

— Czyż ryba nie lubi wody? — wtrącił Ernie, który nie był zadowolony, gdy wykluczano go z rozmowy.

— Pływałem wiele razy w prądzie zatokowym z Captain Willie's.

— Nie wstydzę się wyznać ci, że żaden ze mnie rybak. W swoim życiu nie spędziłem zbyt wiele czasu nad wodą.

— To żadna przeszkoda. Rybactwo sportowe polega na relaksie i dobrej zabawie. To przygoda.

Przygoda! Zawsze marzył o przeżyciu przygody, ale nie był zbyt dobry w wymyślaniu, jak się dostać z punktu A do punktu B. Najlepiej zostawić to jego żonie.

— Dużo słyszałem o spędzeniu całego dnia z głową przewieszoną przez burtę.

Roger i Ernie roześmiali się.

— Nie słuchaj tych bredni — poradził Ernie. — Nie pij nic poprzedniej nocy, wyśpij się dobrze i wszystko będzie w porządku.

— I nie jedz tłustego śniadania — dodał Roger. — Poza tym, jeśli jest to dla ciebie jakimś pocieszeniem, statystyki mówią, że tylko dwanaście procent ludzi cierpi na chorobę morską.

Poczuł przyływ ochoty.

— Co tam zobaczymy?

— W prądzie — powiedział Ernie — zobaczysz błękitnego marlina, białego marlina, żaglicę i delfina...

— Jest też wacha — dodał Roger — i tuńczyk żółtopłetwy...

— Plus twój czarny tuńczyk i tuńczyk albacore...

— A niech mnie. To naprawdę niesamowite! Czuł się, jakby miał dwanaście lat.

Roger strugał.

— Możesz zobaczyć wszystko od półtonowego błękitnego marlina po półkilogramową koryfenę.

— Serio? Ale jakie ryby naprawdę można złowić?

— Czymkolwiek Bóg cię w tym dniu obdarzy — wyjaśnił Roger. — Oczywiście zawsze wypuszczamy marlina.

— Może być. Jaką łodzią byśmy wypłynęli?

— Kapitan Willie pływa łodzią klasy North Caroline, zbudowaną na Roanoke Island. Długa na jakieś tysiąc sześćset metrów...

— ...osiemset pięćdziesiąt koni mechanicznych! — Ernie zdawał się osobiście dumny z tego faktu.

— Można by ją nazwać wyścigową łodzią motorową.

— Osiemset pięćdziesiąt koni mechanicznych? A niech mnie! — Zaczynało mu brakować słów.

Roger poprawił okulary i spojrzał na ojca Tima.

— Po prostu zjaw się przygotowany na dobrą zabawę. Taka jest moja rada.

— I nie zapomnij o wiaderku smażonego kurczaka — dorzucił Ernie.

Gotował nieodzowną miskę spaghetti, podczas gdy Jonathan siedział na kanapce pod oknem i kolorował partię odręcznych szkiców Cynthii. Coś pieczonego w piekarniku przyprawiało go o szybsze bicie serca.

— Cassoulet*! — wyjaśniła jego kreatywna żona.

* Cassoulet — duszona potrawa francuskiego pochodzenia z białej fasoli, często zawierająca wieprzowinę, baraninę, parówki czosnkowe i marynowaną gęś bądź kaczkę

Chociaż nigdy wcześniej tego nie próbowała, nie miała ani cienia wątpliwości, że potrawa będzie rewelacyjna. „Nieustraszona w kuchni”, tak się kiedyś nazwała.

— Wszystko sprowadza się do chrupiącej skórki, która tworzy się na wierzchu — wyjaśniała, pozwalając mu zajrzeć do piekarnika. — Wiem, że jest zbyt gorąco, żeby włączać piekarnik, ale nie mogłam sobie tego odmówić.

— Gdzie, u licha, znalazłaś kaczkę?

— Na małym rynku. Leżała tuż obok koryfeny. Czyż to nie cudowne?

Z pewnością nie powie o tym Rogerowi. Jonathan zsunął się z kanapki pod oknem.

— Oglądać film! — zawołał, pociągając ojca Tima za nogawkę od spodni.

— Timothy, musimy kupić magnetowid. Czy nie mógłbyś pojechać jutro na łódź, do pierwszego lepszego sklepu, który oferuje taki sprzęt? Nie wiem, czy wytrzymam do poniedziałku bez jakiejś domowej rozrywki!

— Czy wystarczy po prostu włączyć go do prądu?

Nigdy nie był za pan brat z nowoczesną technologią której zawsze towarzyszyły instrukcje obsługi po chorwacku.

— Nie mam pojęcia — odparła. — To twoje zadanie. Ja jestem niepracującą mamusią.

Objął ją ramieniem i przesunął nosem po jej policzku.

— Dziękuję za to, że jesteś najlepszym diakonem w całej wspólnotcie Kościoła anglikańskiego.

Jonathan potrzebował tej nocy swojej mamy; jego łzy wycisnęły kilka łez ojca Tima.

Wydawało mu się, że to prawdziwe męczarnie być małym, bezsilnym, bez matki, ojca, brata czy też siostry na wyciągnięcie ręki. Tulił Jonathana do swojej piersi, do swojego serca, i pozwolił chłopcu łkać, aż ten zasnął ze zmęczenia.

Spacerował z nim po domu, zataczając koło po pięciu pokojach, nucąc fragmenty pieśni, odmawiając krótkie modlitwy i błogosławieństwa, szepcząc fragmenty opowieści o Puchatku i Ropusze, i nieznośnym króliku o imieniu Peter. Nie wiedział, co począć z dzieckiem, które płacze z konsternacji i poczucia osamotnienia. Mógł tylko być razem z nim.

Przykrył śpiącego chłopca cienkim kocem, modląc się po cichu. Następnie zamknął drzwi i przeszedł na palcach korytarzem, kierując się na ganek, gdzie siedziała Cynthia, czekając na niego. Na jej kolanach spała ukołysana deszczową pogodą Violet.

Barnaba poszedł za nim i rozciągnął się u jego stóp.

Jakie to ukojenie odpoczywać chłodnym sierpniowym wieczorem, po kolacji, która mogłaby zostać z powodzeniem podana w Langwedocji.

Po raz pierwszy tego dnia z przyjemnością pomyślał o deszczu, był jak przyjaciel i schronienie, otulając ganek pajęczyną babiego lata.

Obserwowali, jak odległa wstążka szarego Atlantyku zamienia się w zapadającym zmierzchu w platynę.

— Zmęczony, kochanie? — zapytała, ujmując jego dłoń.

— Tak, chociaż nie wiem dlaczego. Nie zrobiłem dzisiaj zbyt wiele.

— Robisz więcej, niż ci się zdaje. Wstałeś o świcie, odmówiłeś poranną modlitwę, nakarmiłeś i wykapałeś chłopca, pomogłeś swojej żonie, napisałeś kościelny biuletyn, pracowałeś nad kazaniem, zatrudniłeś organistę...

Ujął jej dłoń i pocałował. Ze wszystkich ziemskich pociech najbardziej kochał zrozumienie. Nie współczucie, nie, ono mogło być śmiertelne. Ale zrozumienie. Było niczym balsam dla jego duszy i chłonał je jak gąbka, choć często odmawiał go jej.

— Twoja książka... jak sobie z nią radzisz? — zapytał.

— Sama nie wiem, dlaczego piszę kolejną książkę, chociaż mogłabym się cieszyć cudowną wolnością całkowitego nieróbstwa. Przypuszczam, że uległam fascynacji nowym miejscem, tym, jak zmienia się światło, jak nadchodzi i odchodzi przyływ. Przemówiło to do mnie i nie mogłam się

powstrzymać. — Uśmiechnęła się do niego. — Przypuszczam, że piszę książki, bo nic innego nie przychodzi mi do głowy.

— Wiesz, jak zrobić rewelacyjne cassoulet.

— Tak, ale cassoulet ma swoje ograniczenia, a małe książki nie. Pokiwał głową.

— Czy myślisz, że kiedykolwiek będziemy po prostu leniuchować? — zapytała.

— Nie wydaje mi się, żebyśmy byli w tym dość dobrzy. Odchyliła głowę do tyłu i zamknęła oczy.

— Dzięki Bogu za ten spokój.

Usłyszał ją pierwszy, pomimo głośnego szelestu deszczu. Była to muzyka organowa ich sąsiada. Usiadł w napięciu i przyłożył do ucha dłoń.

— Co to, Timothy?

— To Morris Love z domu za murem. Posłuchaj. Siedzieli w milczeniu przez długą chwilę.

— Cudowne — szepnęła cicho.

Deszcz zdawał się ustawać z szacunku dla muzyki i poszczególne dźwięki stawały się wyraźniejsze.

— Powiedz, co to za melodia — poprosiła jego żona.

— *Jezus mą radością*. Preludium chóralne Bacha.

Nie mógł nie usłyszeć niepokoju — prawdę mówiąc, rodzaju gniewu — który przebijał przez muzykę. Powiedział jej, co wie o sąsiedzie, pomijając część o tym, że zdarza mu się krzyczeć przez żywopłot.

— Czy pan Love jest organistą?

— Nie, chyba że uznasz, iż jest to prywatny koncert dla państwa Kavanagh.

— Jaka urocza myśl — stwierdziła z zadowoleniem.

Gdy zadzwonił telefon, sięgnął po niego w ciemności. Przez chwilę znajdował się w domu w Mitford i spodziewał się, że natrafi na niego obok łóżka. Ale do licha, był w Whitecap, a telefon był na drugim końcu pokoju.

Dźwięk telefonu rozległ się ponownie. Ojciec Tim wpadł na krzesło i próbował ustalić, która jest godzina. Deszcz ustał i chłodna bryza wpadała przez okna.

W czasie gdy telefon dzwonił nadal, on podniósł zegarek i spojrzał na świecąca tarczę. Dwunasta czterdzieści. Niedobrze. „Panie, miej litość...”

— Proszę!

— Mam rozmowę na koszt odbiorcy od Harleya Welcha — poinformował go operator. — Czy zapłaci pan za rozmowę?

— Tak!

— Wielebny?

— Harley?

Serce zabiło mu mocno.

— Wielebny, tak bardzo mi przykro, ale...

Rozdział dziewiąty

Z DALEKA OD DOMU

— Zabrali Dooleya do więzienia.

— Co takiego?

— Ale nic mu nie jest, nie jest ranny ani nic takiego...

Cynthia usiadła.

— Co się stało, Timothy?

Włączył lampę.

— Dooley.

— Dobry Boże! — zawołała.

— Opowiedz mi wszystko, Harley.

Modlił się kiedyś, żeby nigdy nie usłyszeć tego, co słyszał teraz.

— No cóż, wracał do domu, żeby się nie spóźnić, byłby tutaj co do minuty...

— I? — W ustach mu wyszło, czuł skurcz w żołądku. Boże, miej litość...

— I zabrał Bustera Austina, który stał na poboczu. Pamięta ojciec Bustera.

Rzeczywiście, pamiętał. Buster nazwał go osobiście „safandulą”, za co obaj z Dooleyem musieli umyć podłogę w szkolnej stołówce. Do ostatniego spięcia doszło, gdy Buster ukradł paczkę papierosów i namówił Dooleya, żeby z nim zapalił na terenie szkoły. Dyrektor szkoły, Myra Hayes, była gotowa rzucić na pożarcie lwom pewnego nieszczęsnego księdza za to, że „dopuścił”, iż takie zdarzenie w ogóle mogło mieć miejsce, i zawiesiła Dooleya w prawach ucznia na dziesięć dni.

— Buster powiedział, że potrzebuje kogoś, kto podwiózłby go po jego ubrania. Zapytał, czy Dooley mógłby to zrobić, i Dooley się zgodził, ale powiedział mu, żeby się pośpieszył. Dooley siedział w ciężarówce, kiedy Buster wziął ze sobą pustą torbę i po dłuższej chwili wyszedł z pełną. Wygląda na to, że chłopcy jechali drogą, gdy za nimi nadjechało dwóch funkcjonariuszy w wozie patrolowym. Kazali im zjechać na pobocze i odeskortowali na posterunek za włamanie, napad i kradzież.

— Kradzież? To był zły sen.

— Pamięta ojciec tę pustą torbę, którą Buster ze sobą zabrał? Była pełna, gdy Buster wyszedł z domu. Była w niej biżuteria, odtwarzacz płyt kompaktowych, pieniądze, alkohol, sam nie wiem co jeszcze.

— Nie!

— Policja powiedziała, że w domu był zamontowany niemy alarm, który namierzył ich, zanim chłopcy zdążyli opuścić podjazd. Ale Dooley nic nie zrobił.

— Wierzę w to.

— Nie, proszę ojca, on nic nie zrobił, prowadził jedynie samochód. Ale policja powiedziała, że dopóki nie będą wiedzieć na pewno, to muszą go zamknąć.

— Co mogę zrobić? — Nogi miał jak z waty; opadł na fotel pod lampą.

— Na ojca miejscu, wielbny, zrobiłbym to, co robią księża.

— Modlą się.

— Tak. Jestem na posterunku i jak tylko się czegoś dowiem, zadzwonię. Wiem, że Dooley nie chciał, żeby się ojciec martwił. Zadzwoniłby sam, ale nie chciał ojca zmartwić.

— Jak on się ma, Harley? Powiedz mi szczerze.

— No cóż, boi się. Jest niewinny, ale to przerażające zostać wtrąconym do celi i zamkniętym.

— Czy Rodney tam jest?

— Z tego, co słyszałem, szef policji naciągał spodnie i śpieszy tu, co koń wyskoczy.

— Dzięki Bogu, że zesłał ciebie, Harley.

— Proszę się nie martwić, wielbny.

Odłożył słuchawkę, drżąc i czując bezlitosną odległość tysiąca kilometrów pomiędzy Mitford a jego bijącym dziko sercem.

O pierwszej trzydzieści nie był już w stanie dłużej czekać i zadzwonił na posterunek policji w Mitford.

Rodney Underwood przesłuchiwał Dooleya i Bustera. Nie, nie wiedzą, kiedy szef skończy, ale jak to się stanie, na pewno zadzwoni.

Jonathan wszedł do ich sypialni i wspiął się na łóżko.

— Wydaje mi się, że gdzieś czytałem, że dzieci nie powinny sypiać ze swoimi rodzicami — zauważył.

— Nie jesteśmy jego rodzicami — wyjaśniła mu żona. Jonathan usiadł obok Cynthii z wyrazem nadziei na twarzy.

— Oglądać film!

Cynthii wcale nie wydawało się to śmieszne.

— Jonathan, jeśli jeszcze raz wypowiesz to zaczynające się na „f” słowo, wskoczę do oceanu!

Pokiwał energicznie głową.

— Umiem pływać!

— Dobrze! W takim razie śpij.

Dotknął pulchnym palcem ramienia Cynthii.

— Ty też idź spać.

Ojciec Tim przemierzał pokój, sprawdzając godzinę.

— Jestem głodny — poskarżył się Jonathan.

— Ludzie nie jedzą w nocy. Jonathan wyciągnął rękę.

— W takim razie daj mi cukierka, dobrze? Cynthia pochyliła się w jego stronę.

— Gdybyś nie był tak absolutnie uroczy...

— Śmierdzi ci z ust — stwierdził Jonathan, marszcząc nos.

— Gdy pójde jutro do biblioteki — zwierzyła się mężowi — zapytam, czy nie mają książki o tym, jak postępować z dziećmi.

Telefon zadzwonił o drugiej.

— Buster Austin prosił się o guza już od lat — wyznał Rodney. — Teraz będzie miał za swoje.

— A co będzie z Dooleyem?

— Dooley mówi, że zawiózł Bustera do domu i że siedział w ciężarówce, mówi, że nie ma z tym nic wspólnego, ale Buster twierdzi inaczej. Jak tylko skończymy papierkową robotę, zawiozę chłopców do Wesley i będą musieli stanąć przed sędzią pokoju.

— Dobry Boże, Rodney, co to znaczy?

— Sędzia pokoju jest tym, który wydaje nakaz aresztowania, potem ja go egzekwuję. Powiem im, że uważam, iż Dooley jest niewinny, że nigdy nie miał żadnych problemów z prawem, i zobaczymy, co dalej. Wyznaczy kaucję i będziesz musiał rozmawiać z nimi, jeśli będziesz chciał, żeby wypuścili Dooleya z więzienia.

— Dobrze. Znam tych ludzi z Wesley. Zadzwonź do mnie, jak tylko będziesz coś wiedział. O jakiego rzędu wielkości kaucji mówimy?

— Włamanie, napad i kradzież to poważna sprawa. Może uda ci się wywinąć za dwadzieścia, może dziesięć tysięcy. Austinowie prawdopodobnie poproszą o ustalenie kaucji pod zastaw domu, Buster nie ma w domu zbyt ciekawych warunków.

Nie mógł uwierzyć, że to się dzieje naprawdę. To było niczym koszmar. Było to również całkowite zrujnowanie wakacji chłopca, jego ostatnich cennych dni w domu... Z żalu aż zrobiło mu się słabo.

— Co dalej? — zapytał.

— Sędzia pokoju ustali datę rozprawy sądowej za dwa tygodnie, maksymalnie do trzydziestu dni.

— Pozwól mi porozmawiać z Dooleyem, jeśli mogę. — Serce ciążyło mu jak kamień.

— Hej — przywitał się Dooley.

— Hej — odwzajemnił słowa chłopca, nie znajdując wiele pocieszenia w ich starym powitaniu.

— Nie zrobiłem tego.

— Wierzę ci.

— Buster Austin nic się nie zmienił i jest tym samym kłamliwym i oszukańczym kretynek, co zawsze. Żałuję, że byłem taki głupi. Zabrałem go, bo myślałem, że ma kłopoty. Pomyślałem, że może zepsuł mu się samochód, i próbowałem mu pomóc. Miałbym ochotę go zabić, może to zrobię.

— Myślę, że postąpiłeś słusznie.

— Naprawdę?

— Tak. Był to ktoś, kogo znałeś, pomyślałeś, że potrzebuje pomocy, i zatrzymałeś się.

— Więc dlaczego tak się to skończyło?

Słyszał w głosie chłopca z trudem opanowywany gniew.

— Czasami postępujemy dobrze, a rezultat obraca się przeciwko nam. Nie wiem dlaczego. Ale na pewno nie znaczy to, że mamy przestać robić dobre rzeczy.

— Tak, poczekaj tylko, aż dowie się o tym Lace i wszyscy inni.

— Wydawało mi się, że nie widzisz się zbyt często z Lace.

— Wszystko mi jedno, co ona myśli, ale co z innymi, na przykład z Avisem? A jeśli wiadomość o tym dotrze do szkoły? To znaczy, niektórzy koledzy będą uważać, że to świetne, ale dyrektor, on chyba... chyba dostanie szału.

— Jeśli sprawa wyjdzie na jaw, to powiedz prawdę.

— Chcę wrócić do domu — poskarżył się Dooley. Robił wrażenie wyczerpanego. — Muszę jutro iść do pracy.

— Rodney zawiezie cię do domu, jak tylko zostanie uzgodniona kwestia kaucji.

— Czy mówił ci, że będę musiał iść do sądu przez tę całą głupotę?

— Tak.

— Będę musiał przyjechać do domu ze szkoły, ale nie mam zamiaru mówić o tym panu Flemingowi, w żadnym razie. Możesz powiedzieć, że mam operację czy coś takiego. Może nerki albo migdałki, albo... mózg, albo kręgosłup.

— Zastanowimy się nad tym, gdy przyjdzie pora. Bardzo mi przykro, że tak się stało, żałuję, że nie jesteśmy z tobą. Niech cię Bóg błogosławi, wszystko będzie dobrze. Zadzwońię w sprawie kaucji, jak tylko dostanę wiadomość od Rodneya, nie bój się, kochamy cię.

Próbował o niczym nie zapomnieć, ale w sercu czuł przerażającą pustkę.

Rodney zadzwonił o trzeciej rano.

Zrobił wszystko, co w jego mocy, żeby przekonać sędziego, że Dooley jest dobrym dzieckiem i że w przeszłości nie popełnił żadnych wykroczeń. Podkreślił również, że jego tato jest duchownym. Sędzia powiedział, że on sam jest dzieckiem księdza, i gdyby miał swoją decyzję uzależniać jedynie od tej informacji, to chętnie ustaliłby kaucję na poziomie czterdziestu tysięcy. Koniec końców, sędzia uwolni Dooleya na podstawie ubezpieczonej kaucji w kwocie pięciu tysięcy dolarów i Rodney zawiezie go do domu, jak tylko sędzia będzie mógł przyjechać do więzienia w Wesley. Rodzice Bustera Austina odmówili wpłacenia kaucji, więc Buster nie wyjdzie do domu.

Znalazł numer telefonu Raya Portera w swoim czarnym notesie i obudził go.

— Ray, Tim Kavanagh. Mój chłopiec jest w więzieniu w Wesley i jest niewinny. Ustanowiono dla niego ubezpieczoną kaucję w wysokości pięciu tysięcy dolarów. Jak szybko możesz go stamtąd wydostać?

— Niech no tylko narzucę ubranie — odparł Ray. — Wyciągnę go za jakieś dwadzieścia, trzydzieści minut. Jesteście nadal na wybrzeżu?

— Niestety tak. Jak mam opłacić kaucję?

— Prześlij mi czek pocztą. Masz mój adres?

— Tak.

— Skrzynka pocztowa sześć dwadzieścia jeden.

— Niech cię Bóg błogosławi.

— Mam dwóch chłopców — powiedział Ray Porter, uważając to za wystarczający dowód zrozumienia.

Polewał masłem spaghetti Jonathana na śniadanie, gdy rozległ się dźwięk telefonu. Trzymał słuchawkę w ręce, zanim zdążył zadzwonić ponownie.

— Proszę?

— Tak mi przykro, że muszę ci to powiedzieć... — usłyszał głos Emmy.

— Już wiem — odparł.

— Skąd?

— Harley zadzwonił do mnie wczoraj w nocy.

— A on skąd wiedział? — zniecierpliwiła się Emma.

— Był tam.

— Nie wiem, o czym mówisz — przerwała mu — ale ja mówię o tym, że Gene Bolick ma guza mózgu.

— Co?

— Wczoraj znowu stracił przytomność, zabrali go do szpitala baptystów i zrobili rezonans magnetyczny. To dlatego zachowywał się tak dziwnie, to guz uciskał mu mózg.

— Dobry Boże!

— Proszę, zapisałam, co to takiego. Muszę przeliterować. O-p-o-n-i-a-k. Jest bardzo głęboko, u samej podstawy mózgu.

— Czy można go operować?

Zdał sobie sprawę, że wstrzymuje oddech.

— Niech no zobaczę. Gdzie ja to napisałam? O tutaj, na mojej liście zakupów. Nie, nie można go operować, jest zbyt głęboko. Lekarz powiedział, że jeśli nie zrobi się większy, to lepiej nie operować.

— Czy wiesz coś jeszcze?

— Nic poza tym, że słyszałam, że Esther jest kłębkim nerwów. Ray Cunningham zawiózł ich do szpitala baptystów i zadzwonił, żeby zdać relację. Wiem, że to nie moja sprawa, ale...

— Ale co?

— Tak jak mówiłam, to nie moja sprawa, ale uważam, że powinieneś wrócić do domu.

Wrócić do domu. Wrócić do domu.

Chodziło mu to po głowie niczym śpiew liturgiczny.

Ale jak mógł pojechać do domu? Na ile był w stanie ocenić, nie było nikogo, kto mógłby wziąć do siebie Jonathana. Wszyscy pracowali, wyjechali na wakacje bądź byli za starzy, żeby biegać za trzylatkiem. Była też Janette, która go potrzebowała, albo przynajmniej tak mu się wydawało, i

podwieczorek Cynthii w Dove Cottage dla parafii za trzy tygodnie, i spotkanie rady parafialnej, i kwestia Elli Bridgewater, i jego zobowiązania wobec komitetu organizacyjnego festynu w Whitecap...

— To jest dom! — powiedział na głos.

Nie potrafił się jednak zmusić, żeby w to uwierzyć. Przynoś plon tam, gdzie posłał cię Bóg, przeczytał na tabliczce w Mona's Café. I czyż nie próbował?

Prawdę powiedziawszy, tęsknił za Mitford. Tęsknił za tym, żeby zobaczyć swojego chłopca i dodać mu otuchy, i rozweselić go, i pomóc mu spakować się do szkoły, i wsunąć kilka Kit Katów do jego walizki, i usiąść z Gene'em i Esther, i modlić się z nimi, prosząc o pomoc w tym strasznym nieszczęściu, które ich spotkało.

Chciał oprzeć głowę na poduszce w żółtym domku i przejść się z Barnabą Main Street, i zaglądnąć do baru Grill, i zaskoczyć wszystkich. Chciał pójść do Fernbank i sprawdzić, jakich nowych sztuczek z czosnkiem nauczyli się Anna i Tony, i odwiedzić wujaszka Billy'ego i Esther Cunningham, i zobaczyć jego krzewy róż — niektóre z nich będą teraz roztaczały piękniejszy zapach i miały głębszą barwę niż w czerwcu...

Pozbawiony snu i otepiały z wyczerpania pojechał na południe do Czubka, w upalnej temperaturze, która równała się trzydziestu stopniom i cały czas rosła.

Nie uświadamiał sobie, czego się spodziewał, ale biuro Otisa Bragga nie było z pewnością niczym, o czym warto byłoby pisać do domu. Było w rzeczywistości mniejsze niż jego własna kancelaria w kościelnych suterach i pokryte warstwą kurzu z pobliskiej zwirowni. W pomieszczeniu szumił klimatyzator i wprawiał w drżenie szyby.

— No proszę! — przywitał go Otis. Wyjął z ust niedopałek dużego cygara i splunął do kosza. — Powiedziałbym, że do Czubka sprowadzają ojca w takim pośpiechu albo pieniądze, albo polityka.

— Nie wiedziałem, że pieniądze i polityka to zupełnie niezwiązane ze sobą kwestie.

Otis roześmiał się swobodnie.

— Podoba mi się ksiądz z poczuciem humoru. Można by pomyśleć, że powołanie kościelne sprawia, że człowiek szybko gorzknieje, jeśli nie ma się na bacności.

Ojciec Tim usiadł, nie czekając na zaproszenie.

— Przyszedłem prosić o pieniądze.

Dziwny smutek pojawił się na chwilę na twarzy jego parafianina.

— Właśnie to zawsze sprowadza pod moje drzwi duchownych.

Spojrzał na niewysokiego, korpulentnego mężczyznę i ogarnęło go dziwne wzruszenie. Wróci tu, gdy nie będzie musiał o nic prosić, wróci tu, żeby tylko złożyć wizytę, żeby powiedzieć dzień dobry.

Otis pochylił się do przodu i zmrużył oczy.

— Co mogę dla ojca zrobić? Wygląda ojciec tak, jakby przez całą noc walczył z aligatorami.

— Za drzwiami jest mnóstwo aligatorów, a jeden z nich właśnie spowodował, że Janette Tolson zmuszona była udać się do szpitala z ciężką depresją.

— Słyszałem o tym. Słyszałem też, że zaopiekował się ojciec jej chłopcem.

— Bardzo ciężko to przeżywa. A w rodzinie nie ma ubezpieczenia. Pomyślałem, że gdybyś się zgodził, dopilnowałbym, aby St. John's zwrócił kwotę, którą zechciałbyś ją wesprzeć.

Otis przesuwiał w palcach niedopałek cygara.

— Czy uważa ojciec, że to w porządku, żeby St. John's miał wydawać pieniądze na coś takiego?

— Janette jest parafianką, jesteśmy jej kościelną rodziną. Myślę, że możemy ogłosić zbiórkę pieniędzy, a nawet zrobić coś specjalnego na festynie — nie jestem pewien, ale na pewno zwrócimy kwotę, którą ofiarujesz.

— A co, jeśli dam, powiedzmy, pięć tysięcy dolców? Myśli ojciec, że będzie w stanie zwrócić tę kwotę? — Otis zacisnął zęby na cygarze, mrużąc oczy.

— No cóż.

Oślupiał. Oczekiwał pewnej hojności, ale...

— Nie wiem, czy uda się nam zdobyć pięć tysięcy. Wydaje mi się, że miałem nadzieję na... sam nie wiem, może tysiąc najwyżej.

— Ojczy, jeśli chce ojciec coś osiągnąć na tym świecie, musi ojciec myśleć z rozmachem.

Jego biskup Stuart Cullen też wyznawał z przekonaniem tę filozofię; dlaczego on nie miałby postąpić tak samo?

— Dziękuję, Otis. Niech cię Bóg błogosławi! Pięć tysięcy to bardzo hojna oferta, swobodnie wystarczy, aby pomóc dzieciom Janette odzyskać matkę.

— Mam nadzieję, że — nie będę przeklinał z szacunku — ten sukinsyn nigdy nie wejdzie mi w drogę. Gardziłem nim od momentu, gdy po raz pierwszy go ujrzałem.

Otis splunął gwałtownie do kosza.

— Zawsze kroczył dumnie, wdzierząc się, zmuszając chór, żeby śpiewał te średniowieczne pieśni, które sięgają setek lat wstecz.

— No cóż, mam też dobre wiadomości, Otis. Wydaje mi się, że znaleźliśmy organistę.

— Świetnie, świetnie, bardzo się cieszę. Oby tak dalej, słyszy ojciec?

Otis wcisnął klawisz telefonu.

— Agnes, wypisz ojcu czek na pięć tysięcy dolarów. Wystaw go na St. John's.

Wyjął nie zapalony niedopałek z kosza i wstał.

— Skoro jest już ojciec w Czubku, to proszę pozwolić, że pokażę ojcu moją małą firmę.

Ojciec Tim chciał odmówić, ale zmienił zdanie. Może nie zaszkodzi zobaczyć, jakie są rezultaty tego, co znaczy myśleć z rozmachem.

— Pani Tolson nie śpi — poinformowała go pielęgniarka wyraźnie niezadowolona. — Lubi po prostu leżeć z zamkniętymi oczami.

Sam nie pragnął niczego więcej, tylko runąć jak długi i spać. Przy drzwiach do pokoju pielęgniarka szepnęła:

— Mam nadzieję, że porozmawia z nią ojciec o tym, żeby z nami współpracowała. Udawała, że połka pigułki, ale właśnie odkryliśmy, że wypluwa je do szuflady na bieliznę!

— Zrobię, co w mojej mocy — obiecał. Siedział cicho przez chwilę, powtarzając jedynie:

— Jestem tutaj, Janette.

Leżała odwrócona do niego plecami i nie poruszała się ani w żaden inny sposób nie okazała, iż zauważyła jego obecność.

Głowa opadła mu dwa razy, gdy się zdrzemnął, ale potem wziął się w garść. Przyszedł tu w określonym celu i lepiej będzie, jak się do tego zabierze.

— Janette?

Żadnej odpowiedzi. W takim razie będzie do niej mówił, jakby go słuchała; przemówi do jej serca, do jej duszy i niech się dzieje, co chce. Zdążył nauczyć się kilku rzeczy o depresji — swojej własnej, jak również innych. Nauczył się, że nawet jeśli zdaje się, że dusza obumarła, pozostaje wrażliwe miejsce, które można zasiać. To, czy ziarno zakwitnie, jest w rękach Boga. „Ja siałem, Apollos podlewał, lecz Bóg dał wzrost”, napisał święty Paweł w Liście do Koryntian.

Wyjął z torby Księgę Psalmów.

— Przyniosłem ci coś. Być może nie będziesz w stanie tego czytać jeszcze przez dłuższy czas, ale trzymaj je w pobliżu. To są pieśni Króla Dawida — są o radości i uwielbieniu, o przegranej i zwycięstwie, o jego walkach ze śmiertelnym wrogiem i o jego walkach z depresją.

— Pozwól, że ci poczytam...

Gdy był dzieckiem, nic nie dawało mu takiego ukojenia jak słuchanie kogoś czytającego mu książkę. Zakładał, że podobnie musi to działać w przypadku wszystkich innych.

— „Pan światłem i zbawieniem moim: kogóż mam się lękać? Pan obroną mojego życia: przed kim mam się trwożyć? Gdy na mnie nastają złośliwi, by zjeść moje ciało, wtenczas oni, wrogowie moi i nieprzyjaciele, chwieją się i padają. Chociażby stanął naprzeciw mnie obóz, moje serce bać się nie będzie; choćby wybuchła przeciw mnie wojna, nawet wtedy będę pełen ufności”.

Siedział przez chwilę w milczeniu.

— Dawid miał wielu wrogów, Janette, w ludzkiej postaci, jak również wrogów, z którymi ty musisz walczyć: z gniewem, rozgoryczeniem, strachem, może nawet z niechęcią do Boga. Gdy czytam psalmy, czytam je jak osobistą modlitwę, wymieniając nieprzyjaciół, z którymi musi walczyć moja dusza. „Albowiem On przechowa mnie w swym namiocie w dniu nieszczęścia, ukryje mnie w głębi swego przybytku, wydzwignie mnie na skałę”. Pozwól, aby cię przechował, Janette, dopóki nie nabierzesz sił. Wydzwignie cię na skałę. Pamiętaj o tym.

Słuchał jej cichego, miarowego oddechu. Może rzeczywiście spała. Modlił się w myślach, aby ziarna upadły na żyzną glebę.

— Zaznaczyłem ten psalm dla ciebie, trzydziesty. Usłysz to sama swoją duszą, Janette. „Płacz nadchodzi z wieczora, a rankiem okrzyki radości”.

Nie odwracając się w łóżku, uniosła lekko dłoń, a on wstał i ujął ją.

Musiał sięgnąć głęboko do kieszeni, żeby opłacić zwolnienie Dooleya za kaucją, ale chłopiec był teraz w domu z Harleyem, a to było najważniejsze.

— Ludzie patrzą na mnie inaczej — skarżył się Dooley podczas rozmowy kolejnego wieczoru. — Gdy pakowałem zakupy, widziałem, że wiercą we mnie dziurę wzrokiem.

Wyniesiony z domu rodzinnego język wracał zawsze, gdy Dooley był zły, zmęczony albo zdenerwowany.

— Może tak, może nie. Nawet w małym mieście wiadomości nie rozchodzą się tak szybko. Bądź po prostu sobą. Nie zrobiłeś nic złego i nie musisz za nic przeproszać.

Czy nie mógł powiedzieć czegoś głębszego, czegoś mądrzejszego?

— Nie zapominaj o uśmiechu! — zakończył, świadom, że jego przemówienie wypadło blado, co przyprawiło go o jeszcze gorsze samopoczucie.

— Mama Lace właśnie zmarła — poinformował go Dooley.

— Bardzo mi przykro.

Mama Lace, chora i cierpiąca już od wielu lat, nigdy nie obdarzała miłością Lace, żądając jej jednak dla siebie.

— Czy dzwoniłeś do Lace?

— Ona mnie nie cierpi.

— Zadzwoń do niej, poślij jej kartkę, zrób coś. Straciła matkę i będzie to dla niej ciosem bez względu na okoliczności. Ja też to zrobię.

— Chciałbym... — Dooley zawahał się.

— Chciałbyś czego?

— Chciałbym, żebyście razem z Cynthią wrócili do domu. No nic, muszę kończyć.

Kliknięcie.

— A niech mnie! Co to?

— To mój nowy przepis na mrożoną herbatę — wyznała jego żona. — Smakuje ci?

Uniósł szklankę na znak toastu.

— Najlepsza, jaką kiedykolwiek piłem. Nie wiedziałem, że umiesz robić coś takiego.

— Ja też nie wiedziałam. Nigdy nie umiałam robić dobrej mrożonej herbaty. Więc w związku ze zbliżającym się podwieczorkiem parafialnym poprosiłam Boga, żeby dał mi doskonały przepis.

— Oto właściwe podejście!

— Czy naprawdę ci smakuje?

— Nigdy nie piłem lepszej! — wykrzyknął, nie ujmując splendoru herbacie swojej mamy, która reprezentowała południowy ideał — z dużą ilością cukru i sobicie skropionej sokiem ze świeżej cytryny.

— Obudziłam się wczoraj rano i wręcz kipiałam od tych wszystkich nowych pomysłów na herbatę. To było bardzo ekscytujące.

— Hm — mruknął, pijąc łąpczywie zimny, mocno owocowy płyn. — Tropikalny. Egzotyczny. — Opróżnił szklanekę do ostatniej kropli. — Pełen sukces — pochwalił ją. — Obawiam się jednak, że nie wszyscy będą w stanie zrozumieć, skąd pochodzi przepis.

Wzruszyła ramionami.

— Jeśli Bóg dał Williamowi Blake'owi te wszystkie rysunki, dlaczego ja nie miałabym dostać od Niego zwykłego przepisu na mrożoną herbatę.

— Masz rację. Co tam jest?

— Nie mogę ci powiedzieć.

— Nie możesz mi powiedzieć?

— Nie, kochanie, postanowiłam zrobić coś bardzo południowego — to znaczy posiadać przynajmniej jeden tajemny przepis.

Wyglądała na zadowoloną z siebie.

— Ale mnie możesz powiedzieć.

— Za nic w świecie!

— Dlaczego? Jestem twoim mężem!

— Jakiś kierujący się dobrymi intencjami parafianin wydobyłby go z ciebie, o tak.

Pstryknęła palcami.

— Nie!

— Tak. I wtedy jechałabym na tym samym wozie co biedna Esther, której kiedyś sekretny przepis na ciasto pomarańczowe krąży po Mitford niczym wirus.

— Jeśli tak ci się wydaje — poddał się lekko urażony.

— Na granicy samobójstwa — ocenił lekarz, dodając, że nie jest w stanie powiedzieć, kiedy będzie gotowa wrócić do domu.

Ojciec Tim wykręcił numer międzymiastowy do kuzynki Janette. Nie, naprawdę nie mogą wziąć Jonathana, ledwo są w stanie pomieścić Babette i Jasona, jest im bardzo przykro i mają nadzieję, że zrozumie, co oczywiście uczynił.

Zdecydowanie wpadł w wir obowiązków w Whitecap, z następującymi po sobie spotkaniami, wyjściami do szpitala, wizytami domowymi i cyklem trzech prelekcji dla Pracowitych Palców, to znaczy sekcji Kobiet Kościoła Episkopalnego zajmującej się robótkami ręcznymi. Pomagał nawet raz w tygodniu Cynthii oprowadzać turystów po kościele i przyległym terenie.

Ponieważ wszystko działo się to tu, to tam, zazwyczaj jeździł mustangiem. Dzisiejszego ranka jednak szedł do kościoła, zostawiwszy w domu Barnabę, żeby zapewnić rozrywkę Jonathanowi. Słyszał głośne krzyki chłopca dochodzące z pokoju gościnnego. Jonathan zdecydowanie pragnął swojej matki.

— Dzisiaj rano czytam w bibliotece swoje książki. Zajmie go to. — Cynthia sprowadzała go po schodach. — Nic mu nie będzie, kochanie, idź już!

Poszedł, nie wiedząc, co innego mógłby zrobić.

Gdy wychodził przez furtkę, kierując się na ulicę, miał po raz kolejny wrażenie, że ktoś go obserwuje. Osłonił oczy przed słońcem i zerknął w stronę porośniętego żywopłotem, sięgającego piersi muru, który otaczał dom jego sąsiada.

Powodowany impulsem zbliżył się do muru i zawołał:

— Proszę pana! Czy to pan?

Jakieś dwa metry na lewo poruszyły się liście, zadrżały lekko, a potem zapanowała cisza. Co miał do stracenia? Jeśli nie był to Morris Love, to stał tutaj, rozmawiając sam ze sobą. Jeśli Morris Love tam był, to zachowywał się jedynie tak, jak nakazuje dobrosąsiedzki obyczaj.

— Jeśli jest pan tam, chciałbym tylko powiedzieć, że bardzo nam się podoba — mnie i mojej żonie — pana muzyka.

— Precz! Precz!

Gwałtowny krzyk, który dobiegł zza żywopłotu, był głośny, nieprzyjemny i wściekły. Ojciec Tim zatrzymał się.

— Precz!

Polecenie zostało powtórzone z jeszcze większą zajadłością.

Głos sprawił, że ciarki przeszły mu po kręgosłupie. Tak, rzeczywiście, popełnił błąd, starając się zachować jak dobry sąsiad.

Oddalił się pośpiesznie ścieżką kierując się do Erniego i nie oglądając się za siebie.

— Junior dostał pocztę! — obwieścił z dumą Ernie.

— No, to już po nim! — skonstatował ojciec Tim, siadając przy stole z Juniorem.

— Proszę spojrzeć — zaprosił go Junior, posuwając w jego stronę stertę listów. — Może je ojciec przeczytać, jeśli ojciec chce.

Ściągnął przykrywkę ze swojego kubka z kawą.

— Coś obiecującego?

— Widzi ojciec ten? — Junior wskazał na różową kopertę, która wieńczyła stosik. — Jest najlepszy, proszę przeczytać.

— Jesteś pewien, że chcesz, abym go przeczytał?

— Pewnie! — odparł Junior. — I pozwolę ojcu oglądnać jej zdjęcie, gdy skończy ojciec czytać list.

Nie uwierzy ojciec.

Ernie opadł na krzesło przy stole, uśmiechając się.

— Przeczytaj go na głos. Chciałbym go usłyszeć jeszcze raz.

— Tak, proszę ojca — zachęcił go Junior. — Proszę przeczytać go na głos, ja też tak zrobiłem.

— Proszę bardzo. Odchrząknął.

— „Drogi...”

Drzwi z siatką zatrzasnęły się za Roanoke.

— Jak się macie? — zapytał wszystkich zebranych.

— W porządku — odparł Ernie. — Usiądź, ojciec czyta listy miłosne Juniora.

Roanoke przysunął krzesło i usiadł, ściągnając przykrywkę ze swojej kawy. Za ucho miał zatknięte cygaro.

— Mam nadzieję, że nie są zbyt tkliwe — zaznaczył. Ernie szturchnął Juniora w ramię.

— Właśnie takich szukamy, prawda, Junior? No, czytaj, Tim.

„Drogi Poważny,

Nie mogłam uwierzyć własnym oczom, gdy zobaczyłam Twoje ogłoszenie. Naprawdę uwielbiam grę w scrabble i łowienie ryb, najbardziej w świecie! Osobiście jednak nie lubię całej tej muzyki country, z wyjątkiem Loretty Lynn. Szukałam kogoś, z kim mogłabym pójść na ryby i zagrać w scrabble, odkąd skończyłam dziewięć lat. To moje ulubione zajęcia. Czy jesteś chrześcijaninem? To dla mnie bardzo ważne. Jeśli tak, to powinieneś o tym wspomnieć w swoim ogłoszeniu. Może to pomóc komuś w podjęciu decyzji, czy na nie odpowiedzieć.

Jeśli jesteś chrześcijaninem i jeśli naprawdę myślisz poważnie, tak jak piszesz w swoim ogłoszeniu, zanim będziesz mógł mnie gdzieś zaprosić, musisz się najpierw spotkać z moim tatą. Nie interesują mnie sprośne dowcipy ani przeklinanie. Oto moje zdjęcie. Otrzymałam imię na pamiątkę Avy Gardner, tej gwiazdy filmowej, która urodziła się w tym samym mieście co moja mama, która zmarła na raka cztery lata temu. To miasto to Smithfield.

Dlaczego piszę do zupełnie obcego człowieka? Moja siostra powiedziała, żebym to zrobiła, ponieważ najpierw spotka się z Tobą mój tato. Zanim jednak sprawy zajdą tak daleko, przyślij mi swoje zdjęcie na numer skrytki pocztowej, jeśli jesteś zainteresowany. Mam 29 lat i wyszłam za mąż, gdy miałam 17 lat. Mój mąż zginął jednak, gdy prowadził ciągnik, któremu wysiadły hamulce na ostrym zakręcie w Wirginii Zachodniej. Prowadzę swój własny interes i wierzę w ciężką pracę.

Wierzę również w stawianie spraw jasno.

Z poważaniem, Ava Goodnight".

— Miły list — ocenił ojciec Tim. — Bardzo staranny charakter pisma.

— Spójrzcie tylko — powiedział Junior, wyjmując zdjęcie z kieszeni koszuli.

Ojciec Tim spojrzał na zdjęcie młodej kobiety z kasztanowymi włosami i olśniewającym uśmiechem.

— Do licha. Piękna!

— Gdzie mieszka? — chciał wiedzieć Roanoke.

— Swanquarter — odpowiedział Junior, wydając się szczególnie dumny z tego faktu.

— To będą zaloty na bardzo długi dystans.

Junior wzruszył ramionami, podczas gdy Roanoke spojrzał ponad ramieniem ojca Tima na zdjęcie.

— Wygląda na to, że wygrałeś los na loterii.

— Sam nie wiem. Ma swój własny interes i tak dalej, poza tym jest naprawdę... ładna.

— Ja bym powiedział, że przystojna — przekonywał Ernie.

— Tak. Więc prawdopodobnie nie będzie zainteresowana... no wiecie... mną czy coś takiego.

— Złe podejście! — skrytykował go Ernie. — Nie mogłeś się już doczekać randki, a teraz, gdy zacząłeś dostawać odpowiedzi, chcesz stchórzyć i się wycofać.

— Nie, nie wycofać się — bronił się zakłopotany Junior. Roanoke podmuchał na swoją kawę.

— Z kobietami to jest wóz albo przewóz.

— Zgadza się — przyznał Ernie. — Czyż nie tak, Tim?

— O tak.

Czy tego nie wiedział? Czy się nie nauczył? Woził się tak długo, aż nieomal stracił Cynthię Coppersmith na całą wieczność.

— Odpisz jej — poradził Ernie. — Nie przeklinasz za bardzo i nigdy nie słyszałem, żebyś opowiadał sprośne kawały, więc o to nie musisz się martwić. Poza tym, obydwójce święcie wierzyacie w stawianie spraw jasno.

— Czy jesteś chrześcijaninem? — zapytał Roanoke, wyjmując papieros zza ucha. — Wydaje się, że to dla niej bardzo ważne.

— No cóż... — Junior zastanawiał się przez chwilę. — Chyba tak. To znaczy, moja mama chodziła do kościoła i tak dalej aż do śmierci i ja też chodziłem dość regularnie jeszcze kilka lat temu.

Roanoke zapalił papierosa i zaciągnął się głęboko.

— To niekoniecznie wystarczy — stwierdził. — Nie znam się na tym za dobrze, ale tyle wiem.

— I tak — rzucił Junior — nie mam zdjęcia.

— Masz aparat?

— Gdzieś mam aparat, który wygrałem na festynie.

— Przynies go jutro rano po drodze do Czubka i zrobię ci kilka zdjęć — obiecał Ernie. — Mam tu film, użyjemy dwusetki, jeśli światło nie będzie wystarczające.

— Czy mam nałożyć krawat?

— Nie. To, co masz na sobie, wystarczy.

— Może powinienem pokazać się w czapce.

Junior przyglądał włosy, które wyglądały na lekko przeredzone na czole.

— Powinieneś postawić sprawę jasno — wyjaśnił Ernie. — Nie nakładaj czapki. Ale wciągnij brzuch i tak dalej.

— Nie wydaje mi się, że powinienem zaprezentować się w tym, co mam na sobie, to mój strój do pracy.

Roanoke wypuścił kółko dymu.

— Powiedziała, że wierzy w ciężką pracę.

Junior wyglądał na coraz bardziej zmartwionego. Nagle zwrócił się do ojca Tima:

— A co ojciec myśli?

— Może... może dzinsy z dzinsową koszulą i marynarką? Junior westchnął.

— Będę musiał wyprać dzinsy i wyprasować koszulę.

— I co z tego? — rzucił Ernie. — Wielka mi rzecz. Otrzymanie takiego listu od miłej dziewczyny powinno być warte odrobiny wysiłku. Pomyśl tylko, co było napisane w kilku innych listach.

Junior zarumienił się.

Światelko jego automatycznej sekretarki mrugało. Emma jak zwykle nie bawiła się w ceregiele.

— Wygląda na to, że odkąd wyjechałeś, wszystko wali się na głowę. Właśnie usłyszałam, że Louella się wywróciła i złamała biodro, tak samo jak panna Sadie, i jest w szpitalu, i Hoppy twierdzi, że to dobrze, iż jest taka puszysta, ponieważ mogło być dużo gorzej. Jeśli jednak chcesz znać moje zdanie, to właściwie każda starsza osoba, o której słyszałam, iż złamała sobie biodro... no cóż, nie chcę tego mówić, ale wiesz, co mam na myśli... Snickers, przestań w tej chwili! Poczekaj, gryzie kościelne buty Harolda.

Słuchawka upadła z brzdękiem na blat. Przytłumiony głos, szczekanie, trzaśnięcie drzwi.

— Przy okazji, chciałam ci powiedzieć, że wujaszek Billy będzie miał operację na kolano. Wydaje mi się, że tak właśnie powiedział, mam straszne zakłócenia w telefonie od burzy tydzień temu...

Odmówili wspólną modlitwę w półmroku i przytulili się do siebie, rozmawiając ściszym głosem, żeby nie obudzić Jonathana, który mógłby dokonać swojej zwyczajowej inwazji o północy.

— Wydaje mi się, że powinniśmy pojechać do domu, do Mitford — wyznał.

— Pojechać do domu, do Mitford? Kochanie, nie da się ot tak, pojechać do domu, gdy odległość wynosi dwa tysiące kilometrów, tam i z powrotem, a temperatura czterdzieści stopni w cieniu. Dooleyowi nic nie będzie, obiecuję.

— Nie chodzi tylko o Dooleya. Chodzi również o Esther i Gene'a, i Louellę, i Lace, i... — Westchnął. — Czuję się bezradny.

— Chcesz pomóc każdemu i wszystko naprawić. Ale, Timothy, po prostu nie możesz.

— Nigdy nie umiałem się z tym pogodzić.

— Pamiętasz ten napis nad moim stołem do rysowania w domu? „Nie czuj się całkowicie, osobiście i nieodwoalnie odpowiedzialny za wszystko. To moje zadanie. Podpisano. Bóg”.

— Uhm.

Pocałowała go w policzek.

— Kocham cię do szaleństwa — wyznała.

— Ja też cię kocham do szaleństwa — odparł, uśmiechając się w ciemności.

Bez Cynthii Kavanagh byłoby po nim.

— Posłuchaj — szepnęła — ty pojedziesz do domu, do Mitford, a ja będę pilnowała ogniska tutaj, dobrze? Mam do upieczenia i zamrożenia co najmniej dwie i pół tony ciasteczek, nie wspominając o setce minizapiekanek i sześciu bochenkach chleba z suszonymi na słońcu pomidorami.

— Robisz to po raz kolejny, nikomu nie pozwalasz, aby ci pomógł w przygotowaniu przyjęcia.

— Kto może mi pomóc? Marion jest w bibliotece prawie codziennie, biedna Jean Ballenger nie jest w stanie nic ugotować za żadne skarby świata, Marlene Bragg ma takie długie paznokcie, że zaledwie może wyciągnąć lód z formy, a wszyscy inni pracują.

— Kto przygotowuje kwiaty? Wiem, że będziesz chciała je mieć w każdym pokoju.

Westchnęła.

— Oddałabym moją francuską akwarelę za Hessie Mayhew w tej parafii. Ale niestety, wygląda na to, że sama będę musiała się tym zająć.

— Zamówię dla ciebie kwiaty, każę je dostarczyć.

— Jak to miło, ale nie, zetnę to, co zostało w ogrodzie, i pobuszuję trochę po małym ogródku Marion. Wiesz, że lubię, aby kwiaty wyglądały trochę dziko, nic układanego. Poza tym, kochanie, zbaczamy z tematu. Jedź do domu, do Mitford, zobacz się z Dooleyem, odwiedź znajomych i wracaj do mnie.

— Jesteś pewna?

— Oczywiście. Idź spać.

Pogłaskała go po policzku i odwróciła się na bok, a on czekał, słuchając, aż jej oddech stanie się regularny, rytmiczny. Czekał na próżno. Czuł, że leży, nie śpiąc, tak jak on.

— O co chodzi, Kavanagh? Nie możesz zasnąć? — Wyciągnął rękę i dotknął jej ramienia. — Cynthia?

Wielkie nieba, płakała.

Przyciągnął ją do siebie, a ona wtuliła się w jego ramiona i płakała.

— Moja dziewczynka, moja najdroższa ukochana, co się stało?

— Ja też tęsknię za Mitford, ale tak bardzo starałam się być dzielna i nie zdradzić się przed tobą. Widzę, że chcesz pojechać i zająć się wszystkim, i no cóż, ja też. To znaczy, bardzo mi się tutaj podoba, szczerze mówiąc, uważam, że tu jest cudownie, ale tęsknię za Mitford, tęsknię za naszym domem.

— Rozumiem.

— Tak mi przykro, że mnie rozszyfrowałeś, Timothy. Czuję się jak przestępca, że ukrywałam to przed tobą.

— Dzięki Bogu, że wszystko wyszło na jaw. Pojedziesz w takim razie ze mną, wyjedziemy z samego rana w najbliższy czwartek. Poproszę ojca Jacka, żeby mnie zastąpił. Jestem pewien, że to zrobi. A wrócimy tutaj w niedzielę.

Miał ochotę wstać i zatańczyć gige.

— Najlepsze w tym wszystkim — stwierdził — będą dwa dni z Dooleyem, zanim wyjedzie do szkoły.

— Cudownie! — ucieszyła się, zapominając o tym, żeby szeptać. — Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę naszego wielkoluda. Z jakim trudnym przeżyciem musi sobie poradzić. Oczywiście, będziemy musieli zabrać Jonathana...

- Oczywiście! Będą nim zachwyceni w Mitford.
- Może oglądać film, Dooley ma magnetowid!
- Dziękuję Ci, Panie! — wykrzyknął, czując ogarniającą go powoli falę szczęścia.
- Tak, dzięki Ci, Panie! — zawtórowała mu, dmuchając nos.

Rozdział dziesiąty

DOBRYMI CHEĆCIAMI...

Żałował, że nie będzie mógł wprowadzić nowej organistki w niedzielę, ale Sam i Marion obiecali, że się tym zajmą. Zadzwoił do Jacka Fergusona.

— Z przyjemnością! — ucieszył się emerytowany ksiądz, który lubił przyprawiać swoje kazania eklezjastycznymi dowcipami. — Wpadnę po prostu z Earlene. Może pozwolisz nam zatrzymać się u ciebie na noc z soboty na niedzielę?

— Oczywiście! Zostawimy klucze pod geranium w doniczce, przy drzwiach wejściowych. Wiesz, gdzie jest kościół...

— O tak, kilka razy odprawiałem w zastępstwie mszę, zawsze robię to z przyjemnością!

— ...i prześlę ci faksem wskazówki, jak dojechać do Dove Cottage.

— Świetnie! — podziękował ojciec Jack. — Przy okazji, słyszałeś, że Ron Cowper odchodzi z St. Michael's?

— Niemożliwe. Wydawało mi się, że już na dobre zapuścił tam korzenie.

— Jeden parafianin powiedział mu, cytując: „Ojciec Ron, tak mi przykro, że ojciec odchodzi, nie mieliśmy pojęcia, co to grzech, dopóki ojciec do nas nie przyszedł”.

Zachichotał.

— Oj, Jack.

— To najszczęsza prawda, Timothy. A czy słyszałeś o wielkiej eskapadzie biskupa Harveya do Ugandy?

— Pobieźnie, gdy był tutaj w lipcu.

— Na zakończenie nabożeństwa Bill zapragnął udzielić błogosławieństwa w lokalnym języku. Wziął do ręki drukowaną kartkę, uczynił znak krzyża, a następnie bardzo wolno i z nabożeństwem przeczytał w języku ugandyjskim: „Proszę nie zabierać ze sobą kościelnych biuletynów”.

Ojciec Tim roześmiał się serdecznie.

— Jak to dobrze, że mnie nie możesz przypiąć żadnej łatki.

— Ach — zripostował ojciec Jack — pomyślę o czymś.

Jego chód stał się bardziej sprężysty; zarówno w domu, jak i w kościele wszystko wydawało mu się bardziej ekscytujące.

— Jest ojciec niezwykle radosny — zauważył członek Bractwa Ołtarzowego, który przycinał knoty w pomieszczeniu z szatami liturgicznymi.

— Kochanie, najnormalniej w świecie promieniejesz! — stwierdziła jego żona, która sama wydawała się bardzo pogodna.

— Dobrze będzie nacieszyć wami oczy — ucieszył się Harley. — Upiękę nam blaszkę ciastek czekoladowych z orzechami.

— Naprawdę się cieszę, że przyjeżdżacie — zachęcał ich Dooley.

Ciesząc się niezmiernie na to wszystko, odbył rozmowę międzymiastową, dzwoniąc wprost do prywatnej rezydencji wujaszka Billy'ego.

— Niech mnie licho, jeśli to nie kaznodzieja! — wykrzyknął starszy mężczyzna wyraźnie zadowolony.

— Chciałem tylko zapytać, co z kolanem wujaszka?

— Z moim kolanem? Bez większych zmian, artretyzm je dopadł i tyle.

— Wydawało mi się, że Emma mówiła, iż będzie miał wujaszek operację kolana.

— Nie, proszę ojca, miałem tylko operację polana.

— Aha. No cóż. Opowiedz mi o tym coś więcej.

— To było wielkie wydarzenie, wie ojciec, miasto przysłało całą ekipę, żeby zajęła się starymi drzewami, były spróchniałe w niektórych miejscach i groziły przewróceniem się. No cóż, byli tutaj przez całą środę, potem znowu wrócili i spędzili tu cały czwartek, mieli ze sobą duży dźwig i tak dalej. To było jak impreza plenerowa, tylu ludzi przyszło popatrzeć, mogliśmy zacząć sprzedawać bułki z kukurydzą. Szkoda, że nie było ojca z nami.

— Przyjedziemy z krótką wizytą w czwartek wieczorem. Zaglądnę i odwiedzę wujaszka i pannę Rose w sobotę.

— To będzie prawdziwa frajda zobaczyć was. Poproszę Rose, żeby ukreśliła pudding bananowy.

— Proszę, nie róbcie sobie żadnego kłopotu — oponował ojciec Tim zupełnie szczerze. — Prawdę powiedziawszy, niech wam to nawet nie przychodzi do głowy!

— Jedziemy do domu, przyjacielu — podzielił się dobrą wiadomością z Barnabą gdy pędzili susami do Erniego. — Zobaczymy Dooleya, pamiętasz Dooleya?

Oczywiście, że jego pies pamiętał Dooleya. Każdy pies z zamiłowaniem do Wordswortha, Cowpera i Keatsa musi być inteligentnym psem.

Tylko cztery dni i będzie jak nowo narodzony, gotowy oddać się bez reszty St. John's i spokojnie poczekać do kolejnego wyjazdu do domu w październiku, na ślub Bucka i Pauline, co uzgodnił wcześniej ze swoim biskupem.

Czuł się jak na wakacjach. Czeka go pięć godzin w St. John's, a potem popędzi do domu, żeby się spakować i zabrać Cynthię i Jonathana na wczesną kolację. O szóstej trzydzieści rano już ich tu nie będzie.

Lekarz Janette mógł mu przekazać wiadomość o jedynie niewielkiej reakcji pacjentki na przyjmowane leki. Zanim poczuje jakieś zauważalne efekty, będzie musiało upłynąć sporo czasu, dodał. Tymczasem precyzyjnie monitorowali jej stan zdrowia.

Zadzwoił do pokoju Janette. Brak odpowiedzi. Wydawało mu się, że powinien uzyskać jej zgodę na zabranie Jonathana na drugi koniec stanu, ale też obawiał się, że może ją niepotrzebnie zaniepokoić. A jeśli poczuje się osamotniona, wiedząc, że jej ksiądz i syn opuścili wyspę? Przypomnił sobie, że nawet jej lekarz wyjeżdża grać w golfa w Beaufort.

Marion zgodziła się pójść do szpitala po mszy w niedzielę. Złapał Jean Ballenger, kiedy wychodziła z zajęć Pracowitych

Palców, i poprosił, żeby odwiedziła Janette w czwartek, piątek i sobotę.

— O tak! — zgodziła się. — Pójdę. Lubię towarzystwo chorych.

— Proszę — powiedział, wyjmując portfel i oferując jej pięć dolarów. — Gdybyś mogła, to proszę, kup jej jakieś pomarańcze albo...

Jean wzięła banknot.

— Chciałby może ojciec, żeby były w koszyku z małą kokardką na rączce?

— Byłbym bardzo wdzięczny — podziękował.

— Mogłabym dodać doniczkę afrykańskich fiołków za kolejne pięć dolarów — zaproponowała, przyglądając się jego portfelowi.

Odprawił mszę dla siedmiu wiernych parafian oraz czterech turystów z Kanady, posprzątał na biurku, odpowiedział na telefony, przez telefon omówił szczegółowo z Ellą Bridgewater akompaniament muzyczny na niedzielę i zwrócił chórowi szczególną uwagę, by stanął na wysokości zadania. Oprowadził również po cmentarzu parę z Delaware, napisał na maszynie kościelne biuletyny, opróżnił kosz i opieczętował pocztę.

Stał w drzwiach, gdy zadzwonił telefon.

— St. John's in the Grove! — wykrzyknął na powitanie. Potem czując nagle przyływ polotu, dodał, cytując psalmistę: — „Oto dzień, który Pan uczynił!”

Po drugiej stronie zapanowała chwila ciszy.

— Timothy?

Wydawało mu się, że to Bill Harvey.

— Przy telefonie.

— To było bardzo optymistyczne pozdrowienie. To był Bill Harvey, bez dwu zdań.

— Czuję się optymistycznie, biskupie, a jak się ma biskup?

— Chciałem porozmawiać z tobą na pewien temat.

Bill Harvey nie przemawiał tonem żartobliwym; to był ton hierarchii kościelnej i *vox populi* skierowany do wiernych.

— Strzelaj!

Równie dobrze może skoczyć do wody na główkę.

— Doszły mnie słuchy, że wybierasz się w krótką podróż do Mitford.

— No cóż... tak. — Odchrząknął. — Tylko na cztery dni.

— Doglądnąć, jak mi się wydaje, spraw kilku byłych parafian...

— No cóż... tak. — Wspomniał kilku osobom, dlaczego wyjeżdża, ale nie mówił nic o Dooleyu.

— ...i zaniehbując, przypuszczam, swój święty obowiązek doglądania spraw obecnych parafian?

— Nie patrzyłem na to w ten sposób, biskupie. — Poczł skurcz w żołądku.

— Najwyższy czas, abyś tak to ujrzał, Timothy. Znasz bardzo dobrze politykę Kościoła w tym zakresie, a mówi ona, że w czasie zajmowania się nową parafią musisz absolutnie wycofać się z działalności na rzecz starej. Nie mogłeś z pewnością zapomnieć, że Lord's Chapel ma własnego księdza, który dogląda spraw tych ludzi.

— Z pewnością.

Czuł, że niewiele brakuje, a głos zacznie mu się łamać. Uznał, że nie polepszyłoby sytuacji wyznanie, że jego chłopiec był właśnie w więzieniu i być może dobrze zrobiłaby mu odrobina ciepła, zanim wyjedzie do szkoły.

Z drugiej strony, biskup miał rację, nie powinien wtrącać się w sprawy nowego księdza w Mitford. Ale ci ludzie są jego przyjaciółmi...

— Ale oni są moimi przyjaciółmi — powiedział, wiedząc, że nic mu to nie da.

— Oczywiście, że są twoimi przyjaciółmi, służyłeś im przez szesnaście lat.

— Miałem dobre chęci... chciałem tylko...

— Dobrymi chęciami, Timothy, wybrukowana jest droga do piekła. Trzymajmy się jednak sedna sprawy. Uważam, że jedziesz do Mitford w październiku, żeby udzielić ślubu.

— Tak.

— Zdecydowanie odradzam ci obecną eskapadę.

Nagle pozbawiony tchu opadł na krzesło przy biurku i wpatrywał się niewidzącym wzrokiem w ścianę.

Jego żona, nie przebiorając w słowach, nie zostawiła suchej nitki na całym episkopacie i podsumowała incydent w jednej sekundzie. Mimo że jej cięte słowa krytyki sprawiły mu satysfakcję, w żaden sposób nie zmieniły faktu, iż czuł się boleśnie zraniony. To prawda, że zasadniczo Bill Harvey miał rację, ale jego ton i służbowy chłód wydały mu się dalece obraźliwe. Był przyzwyczajony do biskupa, który swoją dobrocią otaczał całą diecezję i z jawną serdecznością traktował wszystkich diakonów i księży; zaiste był dumny, iż w Stuarcie Cullenie znalazł biskupa, który rzeczywiście pisał ważne listy „własnoręcznie”, tak jak z radością czynił to sam święty Paweł.

— Do licha! — zawołał, wyglądając przez okno w kuchni. — Po dwakroć do licha!

— Masz rację, kochanie, wyrzuć to z siebie! — zachęcała go żona, która polewała masłem spaghetti Jonathana.

— Do licha! — zawtórował mu Jonathan, uderzając obydwoma dłońmi w stół.

Dlaczego wygadał się ze swoimi planami wyjazdu do domu? Czuł się jak zdrajca, jak ostatni podlec, przynosząc wszystkim rozczarowanie. A teraz będzie musiał wypić całe to piwo, które nawarzył, zadzwonić do wszystkich i przeprosić...

— Musisz zrobić coś... energicznego — zaproponowała.

— Wezmę Barnabę i pójde pobiegać — rzucił niepewnie.

— Czy nie zbliża się przypadkiem termin twojej wyprawy na ryby?

Wyprawa na ryby! Ostatnia rzecz, na którą miał ochotę, to wybrać się na ryby. Zrobi z siebie niezłe widowisko, nie wiedząc prawie zupełnie nic o wędze i kołowrotku, a jeszcze mniej o ślizganiu się po pokładzie statku z silnikiem o mocy ośmiuset pięćdziesięciu koni mechanicznych, dudniącym pod jego obutymi w tenisówki stopami. Czyż nie robił z siebie głupca w każdy niedzielny poranek swojego życia? Dlaczego miałby to robić kolejny raz podczas wycieczki, która kosztowała jego żonę okrągłe dwieście dolców, nie licząc wiaderka kurczaka?

Panna Rose odebrała telefon i przywitała go najnormalniejszym krzykiem.

— Halo!

— Panna Rose? Mówi ojciec Tim.

— Czy jest ojciec tutaj?

— Nie, proszę pani, jestem tutaj! — krzyknął w odpowiedzi. — Widzi pani, coś... mi wyskoczyło.

— Co takiego? Coś ojcu wypaliło?

— No cóż, w pewnym sensie. Czy mogę rozmawiać z wujaszkiem Billym?

Odsunęła słuchawkę i zaskrzeczała:

— Billu! Billu Watsonie! To nasz stary ksiądz! Pomyślał, że mogła użyć innego określenia.

Zapadła długa chwila ciszy.

— Przykro mi, synu. Dooley westchnął.

— Wiem. Wszystko w porządku. Naprawdę.

— Spróbuję ustalić datę przesłuchania w sądzie w tym czasie, gdy przyjadę do domu na ślub. Ty też będziesz wtedy w domu, więc wydaje mi się, że wszystko powinno się ułożyć bardzo dobrze.

— Wspaniale — przyjął z ulgą wiadomość Dooley.

— Baw się dobrze przez te ostatnie dni. Jak się mają Poo i Jessie?

— Doskonale!

Usłyszał niespodziewaną czułość w głosie chłopca.

— A twoja mama?

— Ma się naprawdę dobrze, dostała podwyżkę w Domu Nadziei.

— Cudowna wiadomość! Modlimy się nieustannie za ciebie, przyjacielu! Bóg troszczy się o twoje potrzeby.

— W porządku, no to cześć — odparł Dooley. — Poczekaj, ta kobieta z góry...

— Tak, co takiego?

— Gra na tym cholernym pianinie niesamowicie głośno. Razem z Harleyem mamy ochotę zastukać w sufit szczotką.

A on martwił się, że muzyka Dooleya będzie przeszkadzała jego lokatorce.

— Nie robiłbym tego. Musicie jakoś dać sobie radę.

— Kupiłem kartkę dla Lace.

— Wspaniale! Ja też.

— Nieźle się musiałem natrudzić, żeby ją wybrać, są miliony kartek.

— To prawda. Jaki zawierała tekst?

— Żaden. Była pusta.

— Aha.

— Napisałem po prostu: „Przykro mi”.

— Doskonale.

— Podpisałem się pełnym imieniem i nazwiskiem, na wypadek gdyby znała jeszcze kogoś innego o imieniu Dooley.

— Wątpię.

— No cóż, muszę kończyć, Avis chce, żebym umył ladę chłodniczą na mięso. Uch. Powiedziałem mu, że mogę wziąć do ręki wszystko z wyjątkiem wątroby, sam będzie musiał się tym zająć. Chodzi o to, że przez te śmieszne rękawice, które musimy nakładać, czuć wątrobę, jakby się ją trzymało gołymi rękami.

— Błagam! — przerwał, czując, jak robi mu się niedobrze na samą myśl.

Pożegnał się z prawdziwym bólem serca. Ale od czego w końcu są serca, jak nie od tego, żeby zadawać im ból? Odrobina bólu od czasu do czasu jest zdecydowanie lepsza niż jego zupełny brak.

Usiłował wybaczyć Billowi Harveyowi. Ogólnie rzecz biorąc, postawa jego biskupa nie miała żadnego znaczenia. Dlaczego nie miałby tego po prostu pominąć, wybaczyć i zapomnieć? Duże znaczenie natomiast miało to gorzkie uczucie, które się pojawi, jeśli nie wybaczy tej obrazy. Musi wyciągnąć ją na światło dzienne, obnażyć przed Bogiem i mieć to z głowy.

Upadł na kolana w swoim gabinecie i modlił się w ciszy. Poranna bryza wpadała przez otwarte okna i wydymała firanki w pokoju.

Poczuł klepięcie w ramię.

— Co robisz? — zapytał Jonathan, stojąc obok niego w pomiętej błękitnej pizamie.

Podniósł się z kolan i wziął chłopca na ręce.

Opadli na fotel, a on posadził chłopca na kolanach.

— Modliłem się.

— Dlaczego? — Jonathan przytulił się do niego.

— Abym mógł znaleźć łaskę Boga i komuś wybaczyć.

— Dlaczego?

— Ponieważ jeśli nie wybaczę tej osobie, będzie to dla mnie niedobre, i Bóg też nie będzie z tego zadowolony.

Jak cudownie było czuć dotyk klockowatego, pełnego wigoru ciała siedzącego mu na kolanach chłopca, ten ciepły, solidny ciężar na piersi. Dokładnie w ten sam sposób Bóg pragnie, abyśmy przychodzili do Niego, pomyślał, nagle weselejąc.

— Nie chcę już psgeti. Dość psgeti.

— Świetnie! Alleluja! A co chcesz?

Jonathan zastanawiał się przez chwilę, potem spojrzał na niego.

— Nie wiem.

— No cóż, jeśli ty nie wiesz, to kto ma wiedzieć? Jonathan dotknął jego piersi pulchnym palcem.

— Ty coś wymyśl.

— Proszę.

— Proszę.

— Masz to załatwione.

On i Cynthia zostali przesadzeni, koniec kropka. Dobrze wiedział — dzięki latom kopania w ziemi i przenoszenia bylin z jednego kąta ogródka w drugi — na czym polega przesadzanie. Najpierw przychodzi zmarnienie, potem powolne zapuszczanie korzeni, a potem gwałtowny wzrost. Ot, i cała filozofia. Co powiedziała Gertrude Jekyll* do ogrodnika, który nie miał odwagi przesadzić rośliny czy krzewu? „Do góry z nim!”

* Gertrude Jekyll (1843-1932) — znakomita brytyjska projektantka ogrodów, autorka licznych książek i artykułów na temat ogrodnictwa.

Bóg wyrwał go i teraz powinien skończyć już z okresem marnienia i zająć się zapuszczaniem korzeni.

Wyszedł na ganek, gwizdząc. Cudowny dzień — jego piękna żona siedzi wygodnie na bujaku, Jonathan wyposażony w słomkowy kapelusz bawi się w ogrodzie z jego psem, a w planach rodzinnych na popołudnie są igraszki w oceanie.

Usiadł na jednym z bujaków i zsunął mokasyny.

— Achhhh! — westchnął.

— Timothy, znowu masz ten dziki wygląd.

— Jaki dziki wygląd? — zapytał, jakby nie wiedział, o co chodzi.

— Ten wygląd Jana Chrzciciela.

Już od jakiegoś czasu odmawiał zauważenia problemu, aż jego włosy niczym ogon indyka zaczęły rozpościerać się w pięknym wachlarzu na jego koloratce. Wygląda na to, że brakuje mu tego czegoś, co jest potrzebne, by przekonać się do nowego fryzjera.

— Słyszałam, że jest jakiś niewielki salon obok poczty, Linda's albo Libbie's, albo Lola's... coś takiego.

— Aha. — O nie. Prędzej obetnie je sam nożem do ostryg, niż odda swoją głowę w ręce kolejnej Fancy Skinner.

— Za fryzjera na razie dziękuję — odparł wyniosłym tonem.

Sprawdził automatyczną sekretarkę, gdy wrócili ze sklepu spożywczego.

— Ojczy? To ja, Puny.

Głos Puny brzmiał jakoś dziwnie.

— Nie wiem, jak to ojcu powiedzieć.

To był zdecydowanie najmniej ulubiony przez niego sposób zaczynania rozmowy telefonicznej.

— Właśnie przyszedłam do ojca domu i uświadomiłam sobie, że przez cztery dni drzwi nie były zamknięte. Zapomniałam je zamknąć!

— Mówić z Ba! — prosiło jedno z bliźniąt.

— Nie mam pojęcia, jak mogłam zrobić coś tak głupiego, tak mi przykro. Ale wszystko dokładnie sprawdziłam i wydaje mi się, że nic nie zginęło. Wiem jednak, jak bardzo ojciec na mnie liczy, że wszystkiego dopilnuję, i tak bardzo nie chciałabym ojca zawieść.

— W porządku! — rzucił na głos do automatu. Kochał tę dziewczynę, jakby należała do jego najbliższej rodziny. — O nic się nie martw!

— Wiem, że czasami nie zamykacie drzwi, ale ja zawsze to robię, ponieważ jestem za to wszystko odpowiedzialna, i mam tylko nadzieję... w każdym razie, tak mi przykro, że nie przyjeżdżacie, tak bardzo się cieszyliśmy, i mam nadzieję, że nie będzie miał mi ojciec tego za złe, że nie zamknęłam drzwi.

— Mówić z Ba, mówić z Ba!

— Och, na litość boską, Sissy, obudzisz Sassy, proszę!

— Ba! Wracaj do domu, mamy szczenięta. Wracaj do domu, Ba!

— Teraz się pożegnaj. Powiedz mu, że go kochasz.

— Kocham cię, Ba.

— Powiedz mu, że kochasz pannę Cynthię.

— Kocham pannę Cynthy.

— To była Sissy. Sassy jeszcze śpi — wyjaśniła jego zaradna pomoc domowa. — Mamy w garażu całe mnóstwo szczeniąt, cztery cętkowane maleństwa, nie wiem, jaka to rasa, och, na litość, zużyłam pewnie całą ojca taśmę, a teraz dobra wiadomość! Joe Joe awansował na porucznika! To zaraz pod samym szefem. Jak się to ojcu podoba?

O tak, bardzo mu się to podobało.

— Wydawało się nam, że jedziesz do domu — zauważył Roanoke.

— Zmiana planów. Gdzie jest Ernie dzisiaj rano?

— Razem z Rogerem wybrali się na ryby.

— Captain Willie?

— Nie. Pojechali do Sound.

— Pilnujesz sklepu?

— Właśnie — potwierdził Roanoke.

Ojciec Tim myślał, że w całym swoim życiu nie widział tylu zmarszczek na jednej twarzy. Roanoke Clark, można powiedzieć, wyglądał tak, jakby ktoś powiesił go na sznurku, żeby wyschnął, a potem zapomniał zebrać pranie.

Nie do końca był zadowolony z perspektywy spędzenia czasu w pojedynkę z człowiekiem, który nie lubi księży. Z drugiej strony, była dopiero szósta trzydzieści rano i nie miał zupełnie nic do zrobienia w kancelarii, ponieważ wszystko zrobił wcześniej, przygotowując się do wyjazdu do Mitford.

A co tam. Usiadł przy stole, odwinął z papierka bułkę z jajkiem i zdjął pokrywkę z kawy.

— Więc... jak interesy?

— Rano był niesamowity ruch, zrobiło się trochę spokojniej tuż przed twoim przyjściem.

Jadł swoją bułkę, podczas gdy Roanoke czytał gazetę i palił.

— Czy jest na wyspie jakiś dobry męski fryzjer? Znasz kogoś?

— Nie mamy oficjalnego fryzjera na wyspie. Trzeba pojechać na ląd.

— To trochę strata czasu przeprować się na drugą stronę tylko po to, żeby przystryc sobie włosy.

Wyglądało to tak, jakby Roanoke rozmawiał z gazetą którą trzymał przed sobą.

— Lola, obok poczty, przystrzyże ci włosy. Nie będziesz musiał nic robić do Bożego Narodzenia.

— Kto to jest?

— Lola sprzedaje kanapki z rybą, obcina włosy, co sobie zażyczysz.

Przeszył go dreszcz.

— Czy właśnie tam strzyżesz sobie włosy?

— Raz na dwa miesiące, czy tego potrzebuję, czy nie. Przyjrzał się fryzurze Roanoke. Nigdy.

— A poza tym, gdzie obcinają sobie włosy Ernie i Roger?

— Ja to robię.

— Ty?

— Trzymam swój sprzęt fryzjerski w pokoju z książkami, o tam.

Roanoke wskazał ruchem ręki na pokój z książkami.

— Aha.

— Sześć dolców za głowę — dodał Roanoke, kładąc gazetę na stole. — Sześć dolców i piętnaście minut, to moje motto.

— Czy kiedykolwiek... obcinałeś włosy zawodowo?

— Obcinałem włosy kierowcom ciężarówek. Gdy woziłem arkusze blachy, miałem dwa razy w miesiącu postój w Concord. Rozkładałem się w tylnym pokoju baru z grillem. Zjeżdżali tam z Nowego

Jorku, Des Moines, Iowa, Los Alamos, Kalifornii, ze wszystkich stron, ustawiając się w kolejkę odąd do-
dotąd.

Roanoke wyglądał na dumnego, za ucho wsunął świeżego papierosa.

— Można powiedzieć, że obcinałem włosy od morza do morza.

— Niech mnie licho.

Co ma teraz zrobić? Jego bułka z jajkiem zaczynała mu ciążyć w żołądku jak kamień.

— Będziesz musiał usiąść tutaj, ponieważ muszę pilnować kasy, ale zajmę się tobą. Nic nie chciałem mówić, ale zastanawiałem się, kiedy odsłonisz koloratkę. Myślałem, że może to twoje przekonania religijne.

Ojciec Tim roześmiał się nerwowo i poklepał się po biodrze. Zapłacił za swoją bułkę drobnymi z kieszeni; może zostawił portfel w domu. Czasami mu się to zdarza. Miał nadzieję, że tak właśnie zrobił.

— Możesz mi zapłacić, kiedy będziesz mógł. Roger i Ernie też są mi trochę winni.

Ojej, jak źle może to wypaść? Nie przypominał sobie, żeby Ernie i Roger wyglądali na jakos szczególnie wygryzionych; dość zwyczajnie, prawdę mówiąc.

— Dobrze — zgodził się. — Piętnaście minut?

Roanoke wyciągnął zniszczone krzesło z za kasy i ustawił je pod oknem.

— Czy moglibyśmy, aa, odsunąć trochę to krzesło od okna? Nie chciał, żeby oglądał go każdy kierowca i pasażerowie wszystkich poruszających się na wyspie samochodów i ciężarówek.

— Muszę mieć światło — wyjaśnił Roanoke, mrużąc oczy i oceniając jego fryzurę.

Mimo że spędził dzisiaj rano dużo czasu na modlitwie w swojej pracowni, pomodlił się ponownie, zajmując miejsce na krześle.

Roanoke przyniósł pudełko z pokoju z książkami, a za nim przyszedł Elmo, książkowy kot. Po raz pierwszy widział Elmo na zewnątrz, w towarzystwie. Starszy, długowłosy kot siedział na cementowej posadzce, machał ogonem i wpatrywał się w niego, podczas gdy Roanoke wykładał swoje przyrządy fryzjerskie na kanapkę pod oknem.

— Proszę bardzo — powiedział Roanoke, narzucając podarte prześcieradło na ramiona ojca Tima. Płótno pachniało rybami. Być może dlatego kot wpatrywał się w niego.

— Dawno temu, kiedy jeździłem — opowiadał Roanoke, zabierając się do pracy — objechałem trzydzieści siedem stanów i dwie prowincje w Kanadzie. Raz złapało mnie tornado, ale wyszedłem z tego bez zadrapania. Nigdy nie byłem tak bliski uwierzenia w Boga.

Ojciec Tim czuł, jak nożyczki tną, widział, jak włosy upadają na cementową podłogę. Kot przyglądał się, nadal machając ogonem.

— W swoim czasie wywoziłem wiele soku pomarańczowego z Florydy. Gdy wiozłem świeży, ładunek mógł wynieść nawet dwadzieścia pięć tysięcy litrów. Skoncentrowany, mógł ważyć około dwudziestu jeden tysięcy.

Ciach. Ciach.

Strzyżenie z pewnością rozwiązywało język zazwyczaj małomównemu Roanoke; zamienił się w najprawdziwszą gadułę. Gdyby się nad tym zastanowić, ojciec Tim zauważył to samo zjawisko u Fancy Skinner i Joe Iveya. Najwyraźniej nieprzerwana wypowiedź była bardzo ściśle związana z zabiegami pielęgnacyjnymi przy włosach.

— Wozilem nawet syrop czekoladowy z Pensylwanii, dużo syropu czekoladowego pochodzi z Pensylwanii, ale nigdy nie wozilem drobiu ani niczego żywego, o nie, proszę księdza, nie wozilibym niczego żywego.

— Dobry pomysł.

— Tylko raz mnie zatrzymali. Wie ojciec, są kierowcy, którzy potrafią jeździć jak szaleni, wyciskają ze swoich wozów wszystko, żeby na przykład wjechać pod następną górkę. Przepisy mówią że nie można jeździć więcej niż dziesięć godzin dziennie, ale kowboje, tak ich nazywaliśmy, oni dochodzą do osiemnastu, dwudziestu godzin, jeżdżą z naruszeniem prawa. Dzisiaj kowboje stanowią jedynie jakieś dwa procent, ale i tak wystawiają nam wszystkim złą opinię, wie ojciec, o co mi chodzi?

— O tak! Ciach, pac.

— Trochę naprawiam dachy, trochę maluję domy, trochę obcinam włosy, można jakoś się utrzymać, jeśli ma się ambicje.

— Zgadza się!

— Pozbyłem się swojego samochodu, jeżdżę teraz rowerem, to niewiarygodne, ile pieniędzy można zaoszczędzić, jeśli się rzuci samochód.

— No pewnie.

— Zostałem wychowany w chrześcijańskim domu, ale odszedłem od religii. Widzi ojciec, moja pierwsza żona uciekła z wędrownym księdzem; przywiozłem go do domu, dałem mu dobre, ciepłe łóżko i gorący posiłek i zanim się obejrzałem, prysnęli razem.

— Aha.

A więc to dlatego Roanoke nie był nigdy szczególnie zachwycony, widząc go; uważa, że wszyscy księża muszą być tacy sami. Nagle stanął mu bardzo wyraźnie przed oczami autoportret van Gogha, tego, na którym miał tylko jedno ucho. Błagam, Boże...

Elmo ziewnął i położył się, nie spuszczać wzroku z klienta na krześle.

— Na przykład ja nigdy nie zdradziłem swojej drugiej żony, a miałem wiele okazji. Parkingowe jaszczurki, tak je nazywaliśmy, potrafiły zamęczyć człowieka na śmierć. Ale ja dochowałem wierności swojej żonie i jestem z tego bardzo zadowolony, bo nigdy nie wiadomo, co człowiek złapie na drodze i przywiezie później do domu, do niewinnych ludzi.

— Zgadza się.

— Nigdy nie brałem też tabletek, o nie, proszę ojca, najsilniejsze, co przyjmowałem, gdy jeździłem, to Sun-drop; jak ktoś nie jest przyzwyczajony do takiej ilości kofeiny w organizmie, to może wylądować na tamtym świecie. Gdyby chciał się ojciec napić Sun-drop, to jest w lodówce.

— Nie, dziękuję, raczej nie. Może innym razem. Do licha, to dopiero miał lekcję.

Pac, pac, ciach.

— Wszystko się jednak zmieniło. Aż człowiekowi żal, gdy słyszy, ile właściciel-operator musi zapłacić w dzisiejszych czasach, żeby jeździć dużym wozem.

— Ile?

— Ponad sześćdziesiąt centów za półtora kilometra. Trzeba się nieźle napracować, żeby wyżyć z długodystansowego transportu.

— Nie wątpię.

— Zajmę się teraz ojca szyją. Jak z czasem?

Ojciec Tim spojrzął na zegarek.

— Masz niecałą minutę.

— Będzie ojciec gotowy co do sekundy — obiecał Roanoke, włączając przycisk elektrycznej maszynki.

Cynthia pomachała do niego z ganku. Jonathan i Barnaba czekali przy bramce.

— Popatrz na mnie! — zawołał chłopiec, podskakując.

— Patrę. Nowa koszula!

— I nowe spodnie! Otworzył bramkę.

— Skąd się wzięły te eleganckie, nowe ubrania, kolego?

— Z UPS!

— Najdroższy, gdzie się podziały twoje włosy? — zawołała z ganku jego żona.

— Są na śmietniku, za sklepem Erniego! I jak?

— Cudownie! — pochwaliła go, siadając na najwyższym stopniu. — Mamy dla ciebie niespodziankę!

Jego żona też miała na sobie coś nowego i olśniewającego. Czerwone szorty, biały top bez ramiączek i espadryle.

Podrapał za uszami swojego psa i nieomal w podskokach wbiegł po schodach.

Jego kazanie było ukończone i przeanalizowane, myśl za myślą nakaz za nakazem. W gabinecie Jonathan chodził za nim krok w krok, od półek z książkami do ściany z obrazem przedstawiającym rzymskie Koloseum. Wyczerpany zasnął w końcu na chodniku, a ojciec Tim nie tracąc ani chwili, ominął go jednym krokiem.

Reszta dnia rozciągała się przed nim, połyskując niczym kupon jedwabiu. Będą pływać w oceanie, pójdą na kolację w swoich nowych strojach, a jutro usłyszą organy, których potężne dźwięki poszybują aż po sam strop.

Czuł się młody jak wikariusz, odważny jak lew.

— Z małym chłopcem wszystko jest inaczej — zauważyła jego żona, susząc włosy po ich harcach w oceanie. — Wychodzimy na kolację, a jest dopiero piąta trzydzieści.

— Jak prawdziwi wieśniacy — zgodził się z nią, nakładając swoje nowiutkie szorty i półgolf. Jedno musiał przyznać golfowi, w którego nigdy nie grał i nigdy nie zagra, że z pewnością bardzo podobały mu się półgolfy.

— Zrobiłam dzisiaj szkic Jonathana — opowiadała.

— Aha!

— Do nowej książki o Violet. Sądzę, że doskonale się w nią wkomponuje, to jest dokładnie to, czego potrzebowałam... żeby ją ładnie wykończyć, wydaje mi się.

Usłyszał, jak ktoś puka do drzwi. Barnaba rzucił się do nich, szcękając tak gardłowo i głęboko, że przypominał dźwięk organów w St. John's.

Zapiął szorty i poczłapał bosymi stopami wzdłuż korytarza, z osłupieniem patrząc na ojca Jacka i Earlene zaglądających przez drzwi z siatką.

Dobry Boże! Zupełnie zapomniał o tym, żeby powiedzieć Jackowi Fergusonowi, że nie jadą do domu do Mitford!

Czerwony jak burak ze wstydu zaprosił radosną, ale zaskoczoną parę do salonu, i nastrojał się do złożenia nieporadnych przeprosin, które był winien nie tylko Fergusonom, ale również swojej żonie.

Do licha, teraz ojciec Jack będzie miał do opowiedzenia coś i na niego, a opowieść rozejdzie się po całej diecezji lotem błyskawicy.

— Witamy w Dove Cottage — zaczął, starając się, żeby zabrzmiało to jak najbardziej szczerze.

Poszli do Mona's Café i jedli smażonego karmazyna, twarde kraby, opiekane krewetki, tuńczyka żółtopłetwego prosto z morza, kukurydziane ciasteczka, frytki i mnóstwo surówki z białej kapusty. Nie żalowali sobie sosu tatarskiego i pochłonęli hektolitry słodkiej jak syrop herbaty, a następnie ślaniając się na nogach, szli w upale do domu z Jonathanem na wpół odurzonym, na wpół śpiącym na plecach ojca Tima.

Po drodze Cynthia wywiązała się ze swojej części obowiązków w zakresie zapewnienia wieczornej rozrywki, recytując na głos wiersz niejakiej Rachel Field:

Jeśli spałeś choć raz na wyspie,

Nie będziesz już taki sam;

Możesz wyglądać jak poprzedniego dnia

I zwać cię będą bez zmian.

Możesz wędrować po ulicach i zwiedzać sklepy;

Możesz siedzieć w domu i szyć,

Ujrzysz jednak błękitną wodę i krążące mewy,

Gdziekolwiek zechciałbyś być.

— Nie do wiary! — zachwyciła się Earlene. — Jesteś taka mądra, że możesz to wszystko spamiętać. Ciekawe, czy to prawda?

— Co?

— To o tym, że już nigdy człowiek nie będzie taki sam.

— Nie wiem — odparła Cynthia. — Będziemy musieli poczekać i sami sprawdzić.

Siedzieli na ganku i poprzez trelią, na którym róża Pnącze Marion wypuściła kilka nowych pąków, obserwowali zachodzące powoli słońce.

— Tylko błagam, Jack — powiedział — nie jedź do domu i nie opowiadaj o mnie tej historii.

— Niczego nie obiecuję — zachichotał ojciec Jack. Westchnął z udawanym smutkiem.

— Czy nie ma już balsamu w Gileadzie?

— Nie, jeśli w pobliżu jest Jack — wyjaśniła jego żona.

Zastanawiał się, czy Jack rozmawiał na temat jego wycieczki do Mitford z biskupem. Bardzo możliwe, że rozmawiali i że Jack o tym wspomniał, o tak, przy okazji.

— Rozmawiałeś ostatnio z biskupem? — chciał się upewnić.

— Nie. W ogóle. Widziałem go na konwencji jakiś czas temu. Sporo przytył.

— A kto z nas nie przytył? — rzucił ojciec Tim z ulgą.

— Przypuszczam, że wiesz, co zdarzyło się w Holy Cross w Manteo.

— O tej diecezji wiem tylko tyle, ile sam mi powiedziałaś, Jack.

— Tym gorzej. W każdym razie biskup Harvey wybrał się z doroczną wizytacją do Holy Cross, dotarł na miejsce i zobaczył jakieś osiem osób siedzących w kościele. Jak możesz sobie wyobrazić, bardzo go to rozżłościło. Nałożył szaty liturgiczne, mając nadzieję, że jeszcze ktoś przyjdzie, ale ponieważ nic takiego się nie stało, zapytał Luke'a Castora, cytując: „Ojcze, czy nie powiedział im ojciec, że przyjadę?”

— Luke na to: „Nie, ale najwyraźniej jakoś się dowiedzieli”.

— Jacka trzeba traktować z przymrużeniem oka — uspokoiła ich Earlene.

Zachód słońca skapał z wolna w pięknej poświacie stojące nad brzegiem morza domki i zmienił wstążkę błękitu najpierw we fioiolet, następnie w szkarłat, a potem w złoto.

— Och, ganek to prawdziwe błogosławieństwo — westchnęła Earlene. — Gdy my z Jackiem wychodzimy przez frontowe drzwi, wpadamy do ogrodu jak barbarzyńcy.

— Można to i tak ująć — próbował oponować jej mąż. Earlene spojrzała poważnie na swoją gospodynię.

— Nie daj się nikomu namówić na dom dla emerytów!

— Nie ma takiej obawy! — wykrzyknęła Cynthia.

— Nie jest przecież tak źle, Earlene. Może nie masz ganku, ale to nie ty gotujesz trzy razy dziennie.

— Masz rację, kochanie — zgodziła się Earlene i od razu brak ganku wydał jej się mniej uciążliwy.

— A po kolacji w jadalni niektórzy grają w remika, a czasami w pinochle*.

— To cudownie! — zachwyciła się Cynthia.

* Pinochle — amerykańska gra w karty przypominająca bezika.

Ojciec Tim spojrział na swoją żonę, dochodząc do wniosku, że radzi sobie dzielnie, chociaż wydawało mu się, że ściska dość mocno poręczę swojego bujaka.

Earlene Ferguson nie była zwolenniczką chwil milczenia w rozmowie i robiła, co tylko w jej mocy, żeby wypełnić każdą przerwę, nie wiedział więc, od jak dawna z drugiej strony ulicy płynęła muzyka.

— Słuchajcie! — zawołał w krótkiej przerwie.

— Co to? — chciał wiedzieć ojciec Jack.

— Po prostu posłuchajcie.

César Franck...

Na ganku zapadła krótka chwila ciszy.

— Wielkie nieba! — zawołała Earlene. — Ktoś puścił naprawdę głośno swoje radio. Mamy ten sam problem w naszym domu dla emerytów, tylu mieszkańców jest na wpół głuchych, a poza tym ściany mamy cienkie jak papier...

— Cicho, Earlene — poprosił ojciec Jack.

Nigdy nie był w stanie docenić mądrości posiadania ekstradżego łóżka, aż do chwili, gdy jego żona zaprezentowała mu jego luksusy w drugą noc ich małżeństwa. Jako kawaler spędził kilkadziesiąt lat wciśnięty jak parówka w hot dogu w środek zapadającego się materaca.

Obecnie, gdy w ich życiu pojawił się dodatkowo trzylatek, podstawowe zalety dużego łóżka dawały się wyraźnie odczuć. Zaglądnął do Jonathana, który leżał rozciągnięty na poduszce Cynthii, następnie poszedł do pokoju gościnnego i zapukał do drzwi.

— Jack? Idziemy na chwilę na plażę. Jack podszedł do drzwi i uchylił je.

— Od jak dawna jesteście małżeństwem? — zapytał, uśmiechając się.

— Od niedawna — odparł ojciec Tim.

Rozwinął koc i rozłożyli go na piasku.

— Księżyc w pełni, moja droga, zupełnie gratis.

— Niebiosa — westchnęła, klękając na kocu. — Niebiosa!

— Czy ci nie mówiłem, że dam ci księżyc i gwiazdy?

Usiadł obok niej i poczuł delikatny zapach wistarii, który dotarł do niego z podmuchem wiatru. Czasami mijały miesiące, a on nie czuł jej zapachu i pozostawał odporny na jego kuszącą moc, potem nagle zaskakiwał go znowu i zniewalał.

— Jak sobie radzisz jako żona pastora?

— Uwielbiam być żoną mojego pastora.

— Fergusonowie nie zmęczyli cię za bardzo?

— Na Boga, Timothy, za kogo ty mnie masz? Może nie wiem wszystkiego, ale wiem, że żona księdza musi być przygotowana na wszystko.

— Tak trzymać!

Położyła się na kocu, a on położył się obok niej, zachwycony jej bliskością, kochając to uczucie, że czasami, nawet jeśli tylko przez chwilę, nie jest w stanie powiedzieć, gdzie ona się kończy, a gdzie on się zaczyna.

Kołysany do snu szumem oceanu w tle i pluskiem fal spojrzął w górę, na onyksowe sklepienie, usiane światłem i gwiazdami, i ujął jej dłoń.

— „Chciałbym, o jasna gwiazdo — zacytował jej z Keatsa — tak jak ty być stały...”.*

* Fragment *Sonetu napisanego na pustej karcie w tomie wierszy Szekspira* Johna Keatsa w tłumaczeniu Włodzimierza Lewika zaczerpnięto z książki: *Poeci języka angielskiego*, PIW, Warszawa, 1971.

— Zawsze uważałeś, że jestem stała — zaczęła — ale ja wcale taka nie jestem, Timothy. Czasami jestem jak kulka plasteliny.

— Zawsze jesteś przy mnie, posyłasz dla mnie po ubrania, przyjmujesz do domu dzieci, organizujesz parafialną herbatkę, stoisz ze mną przy kościelnych drzwiach. Nie zasługuję na to, wiesz dobrze, to mnie przeraża.

— Jesteś wszystkim, co mam — szepnęła, przyciągając go do siebie — i wszystkim, czego kiedykolwiek pragnęłam. Więc przestań się bać.

— Dobrze — zgodził się. — Spróbuję.

Okna i drzwi wejściowe były otwarte na całą szerokość, wpuszczając do środka delikatną bryzę, skrzypiące wiatraki na suficie pracowały na pełnych obrotach. Tu i tam podmuch powietrza unosił pojedynczy biuletyn kościelny, który wirował potem przez chwilę.

Spoglądając w stronę chóru przez szybę w drzwiach do zakrystii, nie mógł nie zauważyć, że damski sopran powrócił do trzódki i schładzał się wiatraczkiem na baterie. Zauważył również, że każda ławka w St. John's wypełniona była po brzegi.

Klimatyzacja!, pomyślał, przesuwając palec po wewnętrznej stronie koloratki. Budżet na przyszły rok, bez dwu zdań.

Stojący obok niego w maluteńkiej zakrystii Marshall Duncan pociągnął za sznur dzwonu jedenaście razy.

...ding...dong...

Gdy tylko przebrzmiało jedenaste uderzenie, Ella Bridgewater, doskonale przygotowana i lekko drżąc z ekscytacji, rozpoczęła z pasją godną lepszej sprawy pieśń na otwarcie.

Marshall otworzył drzwi do zakrystii i przeżegnał się gorliwie, podczas gdy osoba niosąca krzyż poprowadziła procesję do nawy.

Cudownie! Każdy członek jego kongregacji stał wyprostowany jak struna i śpiewał z takim zapamiętaniem jak kongregacje baptystów, które sam widział lub o których słyszał.

Unieś wysoko krzyż

Miłość Chrystusa wyznaj...

Odrzucił do tyłu głowę i razem ze swoją trzódką oddał się całkowicie wyrażeniu radości w ten ranek ranków.

...aż świat uwielbi cały

Imię Jego święte.

Podążają za tym triumfalnym znakiem boskie zastępy

i w zwycięskich szeregach się łączą.

Muzyka organów szybowała do góry i wirowała nad ich głowami jak ogromny nadciągający przypływ; musiało mu się jedynie wydawać, iż drżą żyrandole.

— Niech będzie błogosławiony Bóg — obwieścił, gdy rozległo się potężne: Amen. — Ojciec, Syn i Duch Święty!

Poczuł mrowienie na czubku głowy, słysząc żarliwą odpowiedź kongregacji.

— I niech będzie błogosławione Jego królestwo, teraz i na wieki! Uniósł dłonie do nieba i modlił się.

— Wszchemogący Boże, na Ciebie otwierają się nasze serca,

Ty znasz wszystkie nasze pragnienia i nie ukryje się przed Tobą żaden sekret. Oczyść myśli naszego serca za natchnieniem Twojego Ducha Świętego, abyśmy mogli kochać Cię doskonale i godnie sławić Twoje święte Imię; przez Chrystusa naszego Pana. — Amen! — odpowiedzieli zgodnie.

Nie wyczuwał tego za każdym razem, nie; gdyby tylko mógł. Ale tego ranka Duch Święty obecny był w muzyce i pośród parafian St. John's; poruszał się w tym miejscu w sposób, który ich oczarowywał i przyprawiał o niedowierzanie, sprawiał, że nie byli w stanie pojąć cudownej tajemnicy tego zjawiska.

W tej chwili, przez tę błogosławioną godzinę, niebiosa spowijały swym wonnym tchnieniem ich nieliczną garstkę w kościele na wyspie, na ogromnym błękitnym morzu, a oni czuli się zaszczytzeni i wdzięczni, i pełni niemego podziwu.

Rozdział jedenasty

Z POCZWARKI W MOTYLA

— Ojcze?

— Puny!

— Stała się najstraszniejsza rzecz, nie wiem, jak to ojcu powiedzieć...

Opadł na krzesło w kancelarii.

— Po prostu mi powiedz — rzucił, czując nagle zmęczenie.

— Ojca anioł... — Płacz, dmuchanie nosa.

— Mój anioł?

— Ten z półki nad kominkiem! Ścierałam kurz szmatką na dole, wie ojciec, ścieram kurz za każdym razem, gdy przychodzę, ze względu na te roboty na drodze, wiedział ojciec, że wymieniają instalację, prawda?

— Nie, nie wiedziałem.

— No cóż, ścierałam kurz i... — Znowu wydmuchiwanie nosa.

— W porządku. Bez względu na to, co zamierzasz mi powiedzieć, wszystko jest w porządku!

Ścierała kurze i anioł spadł z półki na podłogę, i odłamało mu się skrzydło albo ramię. Co gorszego mogło się stać?

— No cóż, anioł... nie ma go tam, zniknął!

— Zniknął?

— Dzisiaj ścierałam kurze na dole, ponieważ na górze ścierałam w zeszłym tygodniu, i gdy podeszłam do półki, nie mogłam uwierzyć własnym oczom. Tam, gdzie zawsze stał, zobaczyłam tylko puste miejsce!

— To dziwne...

— Chcę powiedzieć, że wtedy, gdy dzwoniłam do ojca, żeby powiedzieć o nie zamkniętych drzwiach, rozglądając się dookoła i nie zauważyłam, żeby czegoś brakowało, to znaczy, wydawało mi się, że ojca gabinet wygląda jakoś inaczej, ale nie potrafiłam zgadnąć dlaczego, nie zauważyłam, żeby czegoś brakowało, chciałam tylko powiedzieć, że może nie było go już w zeszłym tygodniu, nie wiem!

— Czy rozmawiałaś z Harleyem? I, Puny, przestań płakać, nic się nie stało. Usiądź spokojnie, weź głęboki oddech i opowiedz mi wszystko.

— Rozmawiałam z Harleyem, powiedział, że nie zauważył, żeby coś działo się w ojca domu, z wyjątkiem moich wizyt.

— Czy brakuje jeszcze czegoś, czy coś zmieniło miejsce?

— Nie, proszę ojca, i przysięgam, że naprawdę wszystko sprawdziłam, przeczesałam dom centymetr po centymetrze, nawet garderoby, i sprawdziłam okna i drzwi do piwnicy, zamknięte na cztery spusty. Tak mi strasznie przykro, ojczu, zapłacę za anioła bez względu na cenę, zapłacimy razem z Joe, co do centa.

— To bardzo zagadkowe. Pamiętam, że w szufladzie miałem banknot pięćdziesięciodolarowy i kartę kredytową. Ciekawe, czy...

— Pójdę zobaczyć! — zawołała. Bardzo dziwne, rozmyślał.

— Pieniądze i karta kredytowa są w szufladzie po lewej stronie. Jeszcze dziwniejsze.

— A może Dooley mógłby coś powiedzieć.

— Wydaje mi się, że Dooley nie był tu ani razu.

— Zadzwoń do niego do szkoły i zapytam. Nie wiem, Puny. Jestem tak samo zaskoczony jak ty.

— Naprawdę mi przykro.

— Nic się nie stało, mówię szczerze. Jakoś to rozwikłamy, nie martw się. Zamknij... jedynie dobrze, gdy będziesz wychodzić.

Siedział przy biurku jeszcze trochę, kiwając od czasu do czasu głową, mówiąc na głos urywanymi w połowie zdaniami i czując ogólnie mętlik w głowie.

Harley Welch wydawał się bardzo przygnębiony.

— Mój współlokator mnie opuścił, a Lace wyjechała do szkoły. — Westchnął głęboko. — Pusto tu jak w rodzinnym grobowcu.

— Wierzę.

— Wydaje mi się, że nie byłem całkiem przygotowany na to, że wyjadą.

— Nigdy nie jesteśmy.

— Wie ojciec, niektóre z tych rzeczy, których nauczyła mnie Lace, trzymają mi się głowy! Usiadłem sobie wczoraj wieczorem i spisałem pięć stron tego, co nie dawało mi spokoju.

— Wspaniale! Cudownie! Jestem z ciebie dumny!

— Zacząłem myśleć o tych wielkich wodospadach Missouri, wszystkich pięciu, i o tym, jak musieli się czuć Lewis i Clark, gdy zobaczyli taki widok.

— Lace jest wspaniałą nauczycielką. Jesteście dla siebie prawdziwą pomocą i pocieszeniem.

Harley jednak robił wrażenie niepocieszonego w żalu.

— Obydwoje wyjechali i ani żywej duszy, z którą można byłoby usiąść i razem coś zjeść. Można tylko chodzić z kąta w kąt i słuchać, jak człowiekowi dzwoni w uszach od tej ciszy...

— Jak tylko będziesz się czuł samotny, idź do baru Grill, zamów danie dnia, porozmawiaj z ludźmi. Dobrze ci to zrobi.

Bóg raczy wiedzieć, że jego samego uratowało to raz czy dwa przed postradaniem zmysłów.

— Wyciągam silnik z samochodu turystycznego pani burmistrz dzisiaj rano, nie mogę mitrzyć czasu.

— Puny mówi, że nie widziałeś nikogo w pobliżu domu, nic podejrzanego...

— Nie, proszę ojca. Oczywiście przy tych nie zamkniętych drzwiach i tym gangu pracującym na ulicy...

— Wydaje mi się jednak, że zabraliby coś innego. No cóż, posłuchaj, Harley, trzymaj się. Będziemy w domu w październiku. Zamierzam trzymać cię za słowo w sprawie tych ciastek czekoladowych z orzechami.

Harley zachichotał i przez chwilę znowu przypominał dawnego Harleya.

— Ćwiczę ich pieczenie raz w tygodniu i już prawie opanowałem tę sztukę do perfekcji.

Siedzieli na ganku w zapadającym zmierzchu późnego lata i przyglądali się, jak Jonathan bawi się wiaderkiem i łopatką do piasku. Książka w miękkiej oprawie Louisa L'Amoura leżała obok na stoliku; Barnaba rozciągnął się u ich stóp.

Jego żona nie wiedziała absolutnie nic o aniele i była tak samo zaskoczona jak on. To było niewiarygodne, niemożliwe, to było...

— Odbiorę — powiedziała Cynthia, gdy zadzwonił telefon. Pospieszyła do środka i wróciła z telefonem bezprzewodowym.

— Te jajka, które nam dałaś w zeszłym tygodniu, są cudowne, żółtka mają taki śliczny żółty odcień! — Zakrywając mikrofon, szepnęła: — Penny Duncan.

— Naprawdę? — Słuchała uważnie. — To cudownie! Jak to miło z twojej strony, Penny, jesteś taka troskliwa.

Spojrzała na bawiącego się przed domem Jonathana.

— O tak, niezły z niego urwis, to prawda, ale nie, bardzo dziękuję, cudownie mieć go u siebie, jest nam wszystkim całkiem dobrze. Tak, na pewno, ale nie, dziękuję, jesteś bardzo kochana, Penny. Naprawdę? Byłoby cudownie, gdybyś mogła mi pomóc przy podwieczorku. Czy mogłabyś zrobić szron? Jaki wspaniały pomysł, tak, świeża mięta pieprzowa byłaby idealna. No cóż, w takim razie — pozdrowienia dla Marshalla. Do zobaczenia w kościele!

Położyła telefon na oparciu bujaka i uśmiechnęła się.

— Ktoś oferował ci pomoc przy Jonathanie, a ty jej nie przyjąłeś?

— Ma dziesięć dni urlopu i zaproponowała, że zabierze go do siebie, ale... — Wzruszyła ramionami.

— Ale co?

— Ale się nie zgodziłam.

— Dlaczego? — zapytał. Ponownie wzruszyła ramionami.

— Bo tak.

— Nie uwierzysz! — zawołał Dooley, dzwoniąc z telefonu w korytarzu w internacie.

— A może uwierzę.

— Zgadnij, z którą szkołą żeńską mamy pierwszy bal?

— Z Mrs. Hemingway's. Kto inny mógłby to być?

— Czy możesz w to uwierzyć?

Wydawało mu się, że wyczuł coś w rodzaju... czego? Nadziei, może, pod wyraźną odrazą Dooleya.

— Mam nadzieję, że poprosisz Lace do tańca.

— Nie, jeśli będzie w tych dziwacznych butach i tak dalej.

— Daj spokój, co z tym wszystkim mają wspólnego buty?

— Mnóstwo — odparł Dooley z przekonaniem.

Użył wszystkich możliwych wpływów, na jakie może liczyć duchowny, i data przesłuchania w sądzie przypadnie w dzień po ślubie Bucka i Pauline, po czym Harley odwiezie Dooleya z powrotem do szkoły. Wyjawił Dooleyowi plan.

— Wspaniale! Super. — Dooleyowi wyraźnie spadł kamień z serca.

Nie, Dooley nie był w żółtym domku, nic nie wiedział o aniele i ani razu nie widział, żeby z domu wychodził albo żeby do środka wchodził ktoś inny niż Puny.

— Opowiedz mi potem, jak było na balu — poprosił.

— Czy mogę ci coś przeczytać?

— Lubię, gdy mi ojciec czyta — szepnęła Janette. Siedziała razem z nim w niewielkiej przestrzeni jej na wpół prywatnego pokoju, spoglądając na ścianę.

Poprosiłam Pana

O bukiet świeżych kwiatów,

Ale on dał mi w zamian brzydki kaktus

Z kolcami wieloma.

Poprosiłam Pana

O kilka pięknych fruujących motyli,

Ale on dał mi w zamian

Wiele brzydkich i strasznych poczwarek.

Byłam przerażona.

Byłam rozczarowana.

Plakałam.

Ale po wielu dniach, Nagle,

Zobaczyłam, jak kaktus kwitnie

Wieloma pięknymi kwiatami,

A poczwarki zmieniają się

W piękne motyle

Latające na wietrze.

Bóg wie najlepiej.

Na początku wizyty ujrzał z nadzieją powracający do jej oczu blask, chociaż był to blask, który jedynie rozbłysnął, a następnie zgasł jak słaby płomień na wilgotnym drzewie.

Teraz obróciła głowę i spojrzała na niego, a on szukał tego płomienia, jednak go nie znalazł.

— Napisał to ktoś o imieniu Chung-Ming Kao — powiedział. — W więzieniu.

Zamknęła oczy, a on poczuł rozpacz swojej własnej bezsilności. Prawdę powiedziawszy, nie miał do zaoferowania Janette Tolson żadnego rozwiązania, nawet palącego kazania.

Koniec końców, mógł jej zaoferować jedynie nadzieję.

— Ojczy? Buck Leeper.

— Buck!

Dźwięk szorstkiego barytonu Bucka sprawił mu ogromną radość. Bez względu na to, jak źle potraktował go swojego czasu nadzorca projektu budowy Domu Nadziei, teraz pamiętał jedynie ten wieczór w swoim domu, gdy Buck zapukał do jego drzwi, mówiąc: „Zrobię wszystko”.

W przypadku Bucka potrzebna była jedynie złamana dusza i chętne serce. W tamten wieczór wigilijny Buck Leeper odmówił prostą modlitwę i poprosił Chrystusa, aby został jego Zbawicielem i Panem. Stali przy kominku, obejmując się wzajemnie — dwaj dorośli chłopcy z Missisipi — płacząc jak dzieci.

Wychylił się do przodu, siedząc na swoim obrotowym fotelu w kancelarii, podwójnie podekscytowany faktem, że jeszcze nikt nie dzwonił do niego z Alaski.

— Jak się masz, przyjacielu?

— Jestem przerażony — wyznał Buck.

— Wiem. Ja też przez to przeszedłem.

— Tak, ale gdy ty zdecydowałeś się na węzeł małżeński, robiłeś to po raz pierwszy. Ja robiłem to trzy razy i za każdym razem ponosiłem klęskę.

Trzy małżeństwa Bucka zakończyły się tragicznie. Jego pierwsza żona zmarła na nie zdiagnozowaną chorobę krwi, jego druga żona popełniła samobójstwo, a jego trzecia żona, dwanaście lat temu, uciekła z jego mistrzem i zażądała rozwodu.

— W czasie tych trzech małżeństw nie znałeś Go, nie miałeś pojęcia, kim naprawdę jest. Święty Paweł mówi, że gdy zawieramy nasze życie Chrystusowi, stajemy się nowymi istotami. „Jeżeli więc ktoś pozostaje w Chrystusie, jest nowym stworzeniem. To, co dawne, minęło, a oto wszystko stało się nowe”.

Na drugim końcu zapanowała wdzięczna cisza.

— Modlę się za ciebie i Pauline, i dzieci. Będziesz potrzebował Jego łaski po tej stronie krzyża, tak samo jak potrzebowałeś jej po tamtej. Módl się o Jego łaskę, Buck, aby coraz bardziej umacniał ciebie i Pauline, gdy będziecie budować razem to nowe życie.

Słuchał zakłóceń na linii, podczas gdy jego przyjaciel na Alasce usiłował wydobyć z siebie głos.

— Dzięki — wymówił w końcu Buck, stojąc w budce telefonicznej w Juneau i czując, jak z serca spada mu kamień, ważący co najmniej tyle, ile dźwig budowlany model D-8.

Hoppy Harper zadzwonił do kancelarii, żeby powiedzieć, że złamanie Louelli jest dość poważne, ale nie jest to nic tak skomplikowanego jak u panny Sadie. Louella będzie musiała trochę poleżeć, ale rokowania są dobre.

Kuracja farmakologiczna Gene'a Bolicka przynosiła pozytywne wyniki, policzył schody sypialni zaledwie dwa razy w ciągu pięciu nocy i Esther zaczynała przypominać siebie. Przyniosła nawet ciasto pomarańczowe do gabinetu Hoppy'ego.

Hoppy powiedział mu również, że Lord's Chapel otrzymała nowego księdza. Ksiądz tymczasowy zakończy pracę z końcem października, a nowy człowiek, ojciec Talbot, zaczyna w dniu Wszystkich Świętych. Obaj przyznali, że powołanie przyszło dość szybko; w niektórych parafiach znalezienie nowego księdza trwało nawet dwa lata.

Pospieszył alejką do kościoła baptystów na tłumne spotkanie z komitetem do spraw Festynu Jesiennego.

Dzięki Bogu, że sprawy mają się lepiej w Mitford. Są rzeczy, których musi dopilnować w Whitecap — a z nich wcale nie najmniej istotną jest zaplanowanie rocznicy własnego ślubu, od której dzieliły go zaledwie trzy dni.

— Ojczy, tu... Pauline Barlowe.

— Pauline!

— Znalazłam coś.

Zrozumiał natychmiast; znalazła jakąś wskazówkę, jakiś trop prowadzący do Kenny'ego i Sammy'ego. Dosłownie wstrzymał oddech.

— Przygotowywałam się do wyrzucenia starego notesu, którego nie nosiłam już od lat. I z jakiegoś powodu przeglądałam go naprawdę dobrze, a za okładką...

— Tak?

— Za okładką znalazłam mały kawałek papieru, na którym było napisane... Ed Sikes.

— Ed Sikes?

— Tak. Musiałam to zapisać po tym, jak oddałam Kenny'ego. Zawahała się, nie będąc w stanie wypowiedzieć swojej myśli.

— Mężczyzna, który go zabrał, nazywał się Ed Sikes, to wszystko, co wiem. Byłam... byłam pijana i nigdy się nie dowiedziałam, gdzie pracuje, gdzie mieszka... nic.

Wyczuł ból, którym podszyte było jej wyznanie, ból, który być może nigdy nie zostanie uzdrowiony, mimo że Pauline Barlowe poznała Uzdrowiciela.

— Dałabym wszystko, gdyby ojciec zdołał... Nie dokończyła.

— Wiem, że ten człowiek dał ci alkohol, ale czy był jeszcze jakiś inny powód, dla którego pozwoliłaś Kenny'emu odejść razem z nim?

— Nie wiem... wydawał mi się miły, przypuszczam. Wydaje mi się, że myślałam, iż będzie prawdopodobnie traktował Kenny'ego lepiej niż ja.

— Zajmę się tym i jak tylko czegoś się dowiem, dam ci znać. A co u Bucka? Jak on się ma?

— Właśnie do nas dzwonił, radzi sobie naprawdę dobrze, przyjeżdża pod koniec września. Jesteśmy wszyscy... naprawdę podekscytowani.

— Tego się trzymaj — poradził matce Dooleya.

— Emma, pamiętasz, jak pomogłaś odnaleźć Jessie Barlowe?

Emma lubiła, gdy jej się przypominało o roli, jaką odegrała w sprowadzeniu do domu w Mitford małej siostrzyczki Dooleya. Emma podłączyła się do Internetu i znalazła aktualne miejsce pobytu kobiety, która wyjechała z Jessie na Florydę.

Kierując się przecuciem, zapakował wtedy do buicka Cynthię i Pauline i jechał przez szesnaście godzin do Lakeland, na Florydę, gdzie w cudowny sposób odzyskał pięcioletnią Jessie, która teraz mieszkała ze swoją mamą i starszym bratem Poo.

— Chciałbym, żebyś weszła do Internetu i poszukała kogoś, kto się nazywa Ed Sikes. S-i-k-e-s. To może być Edward, Edmund, Edwin...

— Nawet Edisto! Miałam wujka Edisto, na którego mówiliśmy Ed.

— Wszystko. Wszystko, co ci przyjdzie do głowy.

— Czy chodzi o jednego z braci Dooleya? — zapytała.

— Tak.

— Zaraz się do tego zabieram — zapewniła jego była sekretarka — i będę się modlić. Czasami modłę się, gdy surfuję.

Zaparkował mustanga na posypanym żwirem fragmencie terenu przylegającego do kościoła, kiedy z nieba runęła prawdziwa ściana deszczu.

Zbiegł po schodach do suterenu, z „Mitford Muse” pod pachą, ociekając wodą, i podreptał do męskiej toalety, żeby się osuszyć papierowym ręcznikiem.

— Czy to ojciec? — Znad zlewu na końcu korytarza zawołała Marion.

— Tak! Jak się masz, Marion?

— Świetnie! Właśnie zrobiłam kawę. Ma ojciec ochotę na filiżankę?

— Tak!

Gwałtowny grzmot pioruna rozległ się w górze akurat w chwili, gdy naciskał klawisz start automatycznej sekretarki w kancelarii.

— Ojciec Timothy? Kapitan Willie. Na czwartek zapowiadają silną burzę i odwołujemy rejs. Jesteśmy obecnie w samym sercu sezonu huraganowego, więc domyślam się, że nie jest to zaskoczeniem. Ojca rejs jest oczywiście ważny w każdej chwili, proszę tylko zadzwonić, żeby potwierdzić termin, cztery-zero-dwa-osiem. — Zapadła niezręczna chwila ciszy. — Dziękujemy za zainteresowanie, i udanych połowów.

Hot dog i alleluja!

Rozłożył przemoczoną gazetę na kawałki i rozwiesił do wysuszenia trzy podwójne kartki na krzesłach szkoły niedzielnej. Kolejny grzmot pioruna przetoczył się nad ich głowami. Jakie to przyjemne, pomyślał, zaszyć się w podziemiu starego kościoła, czuć zapach kawy snujący się korytarzem, w towarzystwie osoby, do której w każdej chwili można zawołać, i słyszeć bębniący w okna deszcz...

Marion weszła do środka z filiżanką w każdej ręce.

— Zostało trochę ciastek z cukrem ze szkoły niedzielnej — powiedziała — ale przypuszczam, że nie może się ojciec poczęstować.

— Nie mogę tknąć ani okruszka.

Marion usadowiła się na krześle obok jego biurka.

— Ella Bridgewater jest tematem numer jeden — stwierdziła, kiwając z aprobatą głową. — Świetnie się ojciec spisał, znajdując ją.

— To nie ja ją znalazłem. Ellę zesłały niebiosy. Marion się uśmiechnęła.

— Ojca i Cynthię zesłały niebiosa, tak myślimy razem z Samem.

Poczuł, jak jego twarz zalewa fala ciepła.

— Ależ, Marion...

— No cóż, to prawda. Jak sobie radzicie teraz, gdy już zdążyliście się zdomowić? Czy jesteście szczęśliwi w Whitecap?

Marion posiadała jedną z najwspanialszych cech jego mamy — szczerą prostotę, która prowokowała prawdę.

— Jesteśmy. W St. John's nie brakuje dobrych ludzi, czujemy się tu naprawdę szczęśliwi.

— Mamy swoje złe strony, ale przypuszczam, że nie jesteśmy gorsi niż cała reszta. Pomogliście nam załagodzić niektóre z naszych drobnych sporów.

— Przynajmniej biuletyn kościelny nie publikuje już reklam — zażartował z uśmiechem.

Marion roześmiała się.

— I tylko pomyśleć, że właśnie tam znalazłam swoją zamiatarkę do dywanów za dziewięć dolarów! W każdym razie mam nadzieję, że pełnienie obowiązków rodzicielskich nie sprawia wam zbyt dużych kłopotów. Dobry Boże, gdy nasze wnuki wyjeżdżały, byliśmy wykończeni jeszcze przez dobre kilka tygodni. A wtedy były już dość duże, żeby samodzielnie się ubierać i jeść!

— Rzeczywiście, niezły z niego urwis.

— Janette nie czuje się zbyt dobrze, prawda? Prawie w ogóle nie odzywała się w niedzielę, biedactwo.

— Lekarz mówi, że jej stan zdrowia pogarszał się przez dość długi okres. Odzyskiwanie sił też musi potrwać.

Podmuchała na parującą kawę.

— Dzięki Panu, że nigdy nie miałam problemów z depresją. Narzekanie było zawsze moją wadą.

— Nie zauważyłem — pocieszył ją.

— Nie wydaje mi się, żeby większość ludzi wyznawała swoje wady. Święty Paweł powiedział jedynie, że taką ma. Bardzo żałuję, że nie posunął się dalej i nie powiedział nam, co to takiego!

Roześmiał się.

— Ja nigdy nie wyjawię ci swojej! Przekonanie o własnej nieomyślności, bez dwu zdań.

Lubił towarzystwo Marion. Przebywanie w jej obecności było niczym balsam dla duszy.

— Czy słyszał ojciec, że Janette przepięknie szyje? — zapytała Marion.

— Słyszałem jedynie, że się tym zajmuje.

— Szyje tak cudownie, jak Jeffrey Tolson śpiewa — zapewniła go z uczuciem Marion. — Uszyła wszystkie nasze kościelne szaty i sztandary, szyje wszystkie ubrania dla swoich dzieci, a ponadto z tego się utrzymuje. Przypuszczam, że będzie musiała robić to nadal, żeby utrzymać rodzinę, dopóki nie pozwie go do sądu. Jeśli w ogóle to zrobi.

Marion sączyła kawę. Wyglądała na zmartwioną.

— Widziałam kiedyś Jeffreya Tolsona.

— Aha.

— Wydaje mi się, że mieszka na wyspie. Potrząsnął głową. Cóż mógł powiedzieć?

— Uważa, że to jego Kościół, że do niego należy, ponieważ jego ojciec i dziadek byli jego członkami, jakby połowa kongregacji nie mogła powiedzieć tego samego.

Wzruszyła lekko ramionami.

— Och, jak bardzo nie chciałabym, żeby wrócił. Niektórzy twierdzą, że tak się stanie. To tak, jakby ktoś zamierzał przekreślić nas przez wyżymaczkę.

— Raz wydaje mi się dość — zauważył, spoglądając jej w oczy.

— Słyszałam, że romans z Avery Plummer się nie udał, zostawiła go i wyjechała do matki, do Goldsboro. — Marion westchnęła. — Zawsze żałowałam Janette, że jest takiej przeciętnej urody, a ma takiego przystojnego męża. Byli tacy — nie powiem kto — którzy nazywali ją myszą kościelną. Chłopiec ma słodki charakter swojej matki, ale wygląda kropla w kroplę jak jego ojciec, prawda?

— Rzeczywiście.

— Jeffrey zawsze przypominał mi jabłko, które zaniósłam swojej nauczycielce z szóstej klasy, pannie Fox. Nigdy nie zapomnę tego jabłka. Byłam z niego taka dumna, polerowałam je o swoją sukienkę przez całą drogę do szkoły; było najpiękniejsze w całym naszym sadzie. Stałam tuż obok jej biurka i przyglądałam się, jak zanurza w nim zęby. Myślałam, że usłyszę: „No cóż, Marion, to najsmaczniejsze jabłko, jakie kiedykolwiek jadłam!” Cóż! Gdy ugryzła owoc, jej twarz przybrała bardzo dziwny wyraz.

— Naprawdę?

— W środku było zepsute! Było mi tak strasznie wstyd, miałam ochotę zapaść się pod ziemię.

— Aha.

— Bardzo się cieszymy na myśl o podwieczorku — powiedziała w końcu, zmieniając bolesny temat. — Zamierzam wziąć dzień wolnego od pracy w bibliotece i pomóc Cynthii. Oboje z Samem pożyczymy wam nasze ładne płócienne rozkładane krzesła do ogrodu. Na spotkaniu Kobiet Kościoła Episkopalnego modliłyśmy się o słoneczną pogodę. Mam nadzieję, że nie prosimy o zbyt wiele, prawda?

— „Przybliżmy się więc z ufnością do tronu łaski!” — zacytował z Listu do Hebrajczyków.

— No cóż, nie ma spoczynku dla potępionych! — westchnęła, podnosząc się z krzesła. — Muszę posprzątać pod zlewem. W całym swoim życiu nie widział ojciec takiego mnóstwa flakonów, jest tam dość gąbki do kwiatów, żeby zatopić statek. A skoro mowa o statku, kiedy wybiera się ojciec na swoją wielką wędkarską wyprawę z Cap'n Willie?

— Przełożona na później!

— Och, tak mi przykro.

— Nie ma powodu.

Nie dawało mu to spokoju, przypominając o zdarzeniu sprzed wielu lat, gdy odkrył, że ktoś uszkodził zamek w kościelnych drzwiach. Gdy okazało się, że nic nie zostało skradzione i że wszystko jest

w porządku, nie zgłosił tego zdarzenia na policję. Znalazł następnie urnę z prochami wypełnioną drogo-drogocennymi klejnotami, stojącą niewinnie na półce prowizorycznego kolumbarium, w kościelnym schowku...

— Rodney? Tim Kavanagh, jak interesy?

— Spokojnie, dzięki Panu — odparł szef policji z Mitford. — Jak sobie radzisz na tym końcu świata?

— Nie najgorzej, dziękuję. Słuchaj, Rodney — dziwna sprawa... Punny Guthrie, żona Joe Joe, wiesz, jest naszą gospodynią...

— Zgadza się.

— Twierdzi, że coś zginęło z naszego domu obok mojego starego domu. Po prostu zniknęło z półki nad kominkiem.

— Jaki przedmiot zaginał?

— Anioł z brązu na zielonej marmurowej podstawie, wysoki na około czterdzieści pięć, może pięćdziesiąt centymetrów.

— Jaka jest jego wartość?

— Nie wiem. Ale to piękna figura, bardzo piękna. Szacowałbym na jakieś trzy tysiące, co najmniej. Stare brązy nie są tanie.

— Co jeszcze zginęło?

— Nic. I wszystko jest na swoim miejscu. Ale Punny zostawiła przez pomyłkę nie zamknięte na klucz drzwi, a na ulicy przed domem prowadzone są jakieś roboty, więc...

— Jacyś podejrzani?

— Nie, i nie widziano, żeby ktokolwiek wchodził do środka lub wychodził. Nikt nawet nie wiedział, że drzwi nie są zamknięte.

— Nie wiem, co możemy zrobić, oprócz złożenia raportu. Żadnych podejrzanych, nic innego nie zginęło, żadnego wandalizmu. Nie daje to zbyt wielkiego pola do działania. Powinniśmy prawdopodobnie pojechać tam i ściągnąć odciski palców.

Pamiętał, że Rodney Underwood uwielbia ściągać odciski palców.

— Czy obecność twoich ludzi, kręcących się po domu i ściągających odciski palców, nie wywoła niepotrzebnego zamieszania? Poza tym zdarzyło się to być może tydzień temu, mniej więcej, a Punny ściera kurze dość pilnie, czy to nie zatarłoby odcisków palców?

— Nic się nie martw, pozwól, że się tym zajmę! No dobrze, jak możemy się tam dostać?

Zważywszy na zainteresowanie, które usłyszał w głosie Rodneya, można by pomyśleć, że miał wręczyć szefowi policji klucze do hoga Harleya Davidsona.

— Porozmawiaj z Punny — odparł, nieomal żalując, że w ogóle poruszył ten temat.

Kiedy gazeta wyschła, złożył ją i zaniósł na biurko.

Był zdziwiony, gdy na zdjęciu ujrzał otoczoną ogrodzeniem, odosobnioną górską posiadłość Edith Mallory. Biała strzałka wskazywała na kępę drzew obok zbudowanego bez jednolitego planu domu Edith.

Posiadłość pani Mallory świadkiem konfliktu w sprawie historii miasta

Gdy prapradziadek rodowitego obywatela Mitford i kandydata na burmistrza, Coota Hendricka, założył nasze miasto w 1853 roku, zbudował niedużą chatkę na Lookout Ridge i mały skład handlowy w miejscu, gdzie obecnie znajduje się Księgarnia Szczęśliwych Zakończeń.

Później, w miarę jak rodzina Hezikiaha Hendricka się rozrastała, założyciel naszego miasteczka wybudował domek-chłodnię, stodołę i spichlerz na kukurydzą na terenie swojego szesnastohektarowego gospodarstwa na grzbiecie wzgórza. Po chatce i zabudowaniach gospodarczych już dawno nie ma śladu, ale kamienne fundamenty pozostały, twierdzi doktor Lyle Carpenter z Wesley College z sąsiedniego miasta. Na terenie posiadłości zachował się też podobno rodzinny cmentarz i groby pięciu żołnierzy Unii.

— To, co odkryliśmy na grzbiecie, jest klasycznym przykładem tego, jak żyli nasi pierwsi górscy osadnicy — mówi Carpenter. — Pragnęlibyśmy widzieć to wartościowe miejsce zachowane, być może nawet z repliką budynków, tak aby mieszkańcy i turyści mogli zrozumieć i docenić dziedzictwo naszej górskiej granicy.

Doktor Carpenter relacjonuje, że miejsce wysypiska rodziny Hendricków, usytuowane podobno zaledwie kilka metrów od miejsca, gdzie stała chatka, może zawierać kawałki ceramicznych przedmiotów, drewnianych wiader, lemiesz i innych pozostałości wczesnego górskiego życia.

Jest jednak pewien problem. Gospodarstwo Hendricków jest obecnie własnością pani Edith Mallory, której czterdziestohektarowa posiadłość na grzbiecie wzgórza, Clear Day, obejmuje teren dawnego gospodarstwa. Jej dom dzieli ponoć zaledwie czternaście metrów od fundamentów południowej ściany chatki Hendricków.

Pani Mallory posiada obecnie pozwolenie władz miejskich na budowę dodatkowych dwustu siedemdziesięciu metrów kwadratowych powierzchni mieszkalnej, co naruszy część zabytkowego terenu. Stwierdziła podobno, iż nie zamierza wstrzymywać prac budowlanych, które zgodnie z planem powinny rozpocząć się we wrześniu, i ogłosiła zakaz wstępu na teren posesji.

— To przełomowy moment w naszej lokalnej historii — twierdzi doktor Carpenter. — Musimy znaleźć sposób, aby zachować to ważne miejsce, które wraz z kolegami odkryliśmy dopiero teraz, dzięki wspaniałej pracy muzeum miejskiego w Mitford i jego archiwom.

Coot Hendrick, praprawnuk założyciela Mitford, deklaruje, iż będzie walczył o to, aby teren jego dawnego domu rodzinnego został określony mianem zabytku historycznego.

Doktor Carpenter zauważył również, że prowadząca z miasta na teren zabytku ścieżka dla pieszych, jak również szlak przyrodniczy prezentujący bujną florę byłyby doskonałym pomysłem.

Rada miejska zwróciła się o poradę w tej sprawie do Departamentu Stanu ds. Historii i Archiwów.

Nie udało się nam skontaktować z panią Mallory, by zechciała przedstawić swój punkt widzenia.

Edith Mallory, pomyślał, jest niczym wszechobecny byt, nieustająco sączący swój jad. Właśnie gdy był już przekonany, że na wieki zniknęła w Hiszpanii czy na Florydzie, ona wraca, jak zawsze pełna nienawiści.

Musi być przecież jakiś sposób na osiągnięcie kompromisu w tej sprawie z miastem.

Koniec końców, czy kiedykolwiek zrobiła coś pożytecznego dla Mitford? Ani razu, o ile sobie przypominał. Jej wart wiele milionów dolarów dom rozciągał się na grzbiecie wzgórza ponad miasteczkiem, spoglądając z góry na społeczność dusz, które raz po raz musiały sobie radzić z trudnymi czasami, a mimo to ona nigdy nie wykazała najmniejszego zrozumienia — nawet dla biblioteki, gdy ta walczyła o przetrwanie.

I czyż on nie został wysłany do niej z prośbą, gdy muzeum miejskie zaczynało się organizować, i czyż ona nie czyniła swych zwyczajowych, uwodzicielskich, jeśli nawet nieskutecznych awansów, i nie odesłała go z niczym? Doroczna wenta dobroczynna już dawno przestała prosić ją o darowizny, nie wspominając o ochotniczej straży pożarnej.

Dała oczywiście piętnaście tysięcy dolarów na nowe łóżka w Szpitalu Dziecięcym, jego ulubionej instytucji charytatywnej. Szybko się jednak dowiedział, że było to jedynie częścią planu, aby zwabić go do jej własnego łóża.

Przeszywały go ciarki na myśl o tym, jak uwięziła go w tym przeklętym lincolnie, zmuszając do wyskoczenia z samochodu, który był jeszcze w ruchu.

Złożył „Muse” i wrzucił gazetę do kosza. Z jego punktu widzenia jedyna dobra wiadomość, to że J.C. Hogan najwyraźniej zainstalował oprogramowanie sprawdzające pisownię. Szkoda tylko, że nie istnieje oprogramowanie poprawiające gramatykę.

Prawdę powiedziawszy, był zmęczony dowiadywaniem się, co słychać w Mitford. Nie miał ochoty na ani jedną dodatkową wiadomość z tamtych rejonów, przynajmniej przez jakiś czas.

Zamierzał zrobić to, co zalecał szylid Mony, czyli przynosić plon tam, gdzie posłał go Bóg.

Musiał wyłączyć przez przypadek dzwonicie i nie słyszał telefonu, gdy mył swoją filiżankę nad zlewem na końcu korytarza.

— Nie wiem, dlaczego nigdy nie mogę cię zastać — żaliła się Emma, gdy wcisnęła klawisz startu. — Wydawało mi się, że chciałbyś się dowiedzieć wszystkich nowinek o ojcu Talbocie, wszyscy o tym mówią. Nie widziałam go, gdy był tutaj na próbę, ale Esther Bolick mówi, że jest niesamowicie przystojny i wysoki. Bardzo wysoki. Ach, i szczupły. Ona przypuszcza, że musi ćwiczyć, może podnosi ciężarki. Esther Cunningham mówi, że przyszedł do niej, gdy była w biurze, powiedział, że chciał poznać burmistrza takiego wspaniałego miasteczka, chciał uścisnąć jej dłoń, czy to nie miło z jego strony?

Przyjeżdża w listopadzie, tak mówią, ma żonę, która wygląda jak bliźniaczka Meg Ryan, i dwoje dzieci, które są wzorowymi uczniami. Ludzie w każdym razie są naprawdę podekscytowani perspektywą otrzymania kogoś na stałe w Lord's Chapel i też z dużego kościoła, wydaje mi się, że to Chicago. Widzieli

go podobno na wideo, potrafi porwać swoim kazaniem i jest też przezabawny, wszyscy w ławkach aż zanosili się od śmiechu.

Niech no pomyślę, co jeszcze... ktoś, nie pamiętam kto, mówił, że wspaniale śpiewa i ma naprawdę białe zęby, i wygląda cudownie w... nieważne, może w swojej sutannie.

Ma aureolę, pomyślał, i skrzydła...

— O Boże, oto wraca Harold, musiał zapomnieć swojego lunchu. Kliknięcie. Sygnał.

— Timothy?

— Walter!

Jego jedyny żyjący kuzyn — zgodnie z jego stanem wiedzy — i najlepszy przyjaciel od zawsze.

— Całe wieki.

— Pomyślałem, że zadzwonię na głuchą prowincję, czekając na kolejnego klienta. Jak wędkowanie?

— Nie mam pojęcia.

— Pływanie? Czy ty tam pływasz?

— Nie. Nie pływam.

— Połowy małży? Krabów? Polowanie na kaczki? Cokolwiek?

— Cały czas taki sam konserwatysta.

Przeklęty Walter, zawsze szuka jakiejś sensacji, jakiegoś działania. Jak do tej pory, najbardziej ekscytującą rzeczą, jaką zrobił, było poślubienie Cynthii Coppersmith. Było to tak wielkie wydarzenie, że Walter dał mu spokój na kilka lat, teraz jednak jego kuzyn prawnik znowu go prześladował.

— Słuchaj, głąbie, mam nową parafię, którą muszę się zajmować, i trawnik do skoszenia. To wszystko, czemu mogę się w tej chwili poświęcić. Jak się ma Katherine?

— Chytra jak żmija i chuda jak patyk.

— A więc wszystko w normie!

Roześmiali się swobodnie. Obaj pozostawali pod urokiem serdecznej żony Waltera, jej olśniewającego śmiechu i niepoahowanej hojności ducha.

— A Cynthia?

— Zapracowana. Pisze kolejną książkę, czyta w bibliotece, zajmuje się trzylatkiem.

— Wzięliście kolejnego?

— Jedynie na krótko, jego mama jest w szpitalu.

— Jak ci się podoba nowa parafia?

— Podoba mi się. Dobrzy ludzie. Jesteśmy tu szczęśliwi. Kiedy będziecie mogli tu przyjechać z Katherine? Nie byliście u mnie już od lat, ja byłem u ciebie ostatnim razem, teraz twoja kolej.

— Gdy skończysz to zastępstwo, przyjedziemy do Mitford na tydzień, co ty na to? Będziemy się snuć w naszych szlafrokach i objemy cię ze wszystkiego.

— Nie uda ci się mnie przestraszyć, przyjacielu.

— A skoro mowa o strachu — zaczął Walter — mieliśmy niedawno w nocy małe włamanie. Zabrali nasz telewizor i mojego rolexa. Nie możemy się nadziwić, że na tym się skończyło.

— I nam przytrafiło się coś dziwnego. Pamiętasz tego anioła, o którym ci kiedyś mówiłem, tego ze strychu panny Sadie? Zniknął z półki nad kominkiem z domu w Mitford. Wszystko inne pozostało nietknięte, żadnego śladu, że ktoś był w środku, nic. Po prostu zniknął, przepadł. Bardzo dziwne.

— Był wartościowy?

— Prawdopodobnie trzy tysiące czy coś koło tego, może więcej. Z brązu. Na ciężkiej marmurowej podstawie. Francuski, wydaje mi się.

— Życie zawsze było zbyt tajemnicze jak na mój gust. No cóż, kuzynie, oto i nadchodzi mój wspomniany klient. Dobrze sprawdzić, co słychać w bazie. Pozdrowienia dla Cynthii i dla Dooleya — co u niego?

— Cudownie!

— To dobrze. Mam dla ciebie pewną wskazówkę odnośnie do giełdy, więc zadzwoń do mnie, szczywany lisie, i nadrobimy zaległości.

— Załatwione — odparł.

Zapisał to wszędzie, z wyjątkiem swojej dłoni, żeby nie zapomnieć. Nie, w rzeczy samej, zapominanie urodzin i rocznic nie było mile widziane w jego domu — w żadnym domu, na ile był w stanie wywnioskować po latach udzielania porad w ramach swoich obowiązków duchownego.

Spiesząc do lokalnego sklepu spożywczego, z wycieraczkami na najwyższym biegu, rozmyślał nad zbliżającą się uroczystością.

Byli już na plaży i zabrali ze sobą koc, ale nie byli jeszcze na plaży z kocem i kuchenką turystyczną.

Na plaży obok starego domku Millerów z czerwonym dachem rozłożyli wszystko w ich ulubionym miejscu.

Będą oglądać zachód słońca, a on upiecze na grillu świeżą koryfenę i kukurydzę w kolbie.

Pokroi dojrzwały słodki melon — wydawało mu się, że nie jest jeszcze po sezonie i że uda mu się znaleźć ten owoc — i naleje im dobrze schłodzonego szampana. Pomyślał, że będzie musiał pojechać na ląd, żeby znaleźć jakiś przyzwoity gatunek, ale skoro już tam będzie, to może uda mu się znaleźć również coś, z czego będą mogli go wypić, ponieważ w ich szafkach znajdowało się jedynie coś, co wyglądało na luksusowe słoiki po dżemie.

Na deser, oczywiście, zrobi jej zadeklarowany ulubiony przysmak — gruszki w zalewie — dokładnie to, co zaserwował Cynthii Coppersmith, gdy przyszła po raz pierwszy na kolację do jego domu.

Ogólnie rzecz biorąc, całkiem twórczy plan jak na wiejskiego pastora...

Co do rozrywki, mogą poszukać na nocnym niebie Arktura i Andromedy, a może Pegaza. Kupił książkę u Erniego, która w bardzo jasny sposób wyjaśniała, jak znaleźć coś więcej niż tylko Mały i Wielki Wóz, które — jak się z rozczarowaniem dowiedział — nie są nawet gwiazdozbiorami.

Po raz kolejny sprawdził całą listę.

Leonard i Marjorie Lamb zgodzili się zaopiekować Jonathanem i mieli się pojawić w Dove Cottage o szóstej trzydzieści... O czym zapomniał?

Zdał sobie sprawę, że wstrzymuje oddech, i wypuścił powietrze. Wszystko na swoim miejscu. Załatwione!

Czy to minęły już cztery lata od chwili, gdy wbiegł z zakrystii do nawy Lord's Chapel, drżąc jak osika na wietrze, spóźniony na własny ślub i to nie ze swojej winy, i zobaczył pannę młodą, również spóźnioną, lekko zaróżowioną z pośpiechu, która przypominała zjawę, stojąc w przejściu pomiędzy ławkami?

Całe zdarzenie było jak sen na jawie.

Pamiętał, że stał tam przerażony, że zaraz wybuchnie płaczem, razem z połową kongregacji, i zauważył, że w całym swoim życiu nie widział tylu chusteczek powiewających na wietrze. Dźwięk organów nie zdołał zagłuszyć prawdziwego koncertu pociągania i wycierania nosów, w wykonaniu zarówno panów, jak i pań.

A potem nagle znalazła się obok niego i stali razem. Wyznał później swojemu kuzynowi Walterowi, że w tym momencie poruszyła się ziemia. Czuł to tak wyraźnie, jakby od dawna nieaktywny uskok tektoniczny biegnący gdzieś od Blue Ridge Mountains do Charlestonu w Karolinie Południowej nagle się rozstąpił.

Pamiętał, że pomyślał z radosnym i pełnym nadziei sercem: no to po mnie.

W sklepie skończyło się ulubione mleko Jonathana, więc powlókł się z powrotem do Erniego, smagany deszczem.

— Zrobiliśmy podwójne odbitki — oznajmił Ernie, pokazując mu kolorowe zdjęcia Juniora formatu osiem na trzynaście. — To te dwa wysłaliśmy w piątek, co myślisz?

Na pierwszym zdjęciu Junior miał bolesny wyraz twarzy, jakby siedział na pinezce. Drugie zdjęcie przedstawiało Juniora z czerwonymi oczami, stojącego niczym pomnik przed automatem z napojami. Nie wydawało mu się, aby Junior w końcu zdobył się na wyprasowanie koszuli.

— A te czerwone oczy? — zapytał w trosce o efekt ogólny całego przedsięwzięcia.

— Nie wiem, co to takiego. Wygląda na to, że aparat Juniora nie był dość szybki.

— Cóż...

— Minęło już pięć czy sześć dni, a on nie dostał jeszcze odpowiedzi.

— Nie wygląda to zbyt dobrze...

— Opowiedz mi o Juniorze — poprosił. — Wydaje się przyzwoitym facetem. Ma jakąś rodzinę?

— Junior stracił swoją mamę, gdy był jeszcze dość młody, a o tacie nie ma co mówić. Roger, Roanoke i ja próbujemy się nim opiekować, w pewnym sensie wychowaliśmy go.

— Nie wydaje się, żeby w wieku trzydziestu sześciu lat potrzebował opieki rodzicielskiej.

— No tak, ale problem w tym — wyznał Ernie, zniżając głos — że Junior nie jest zbyt bystry.

— A kto jest?

— Chcielibyśmy, aby się ustatkował, ożenił, założył rodzinę. Ciężko pracuje, ma trochę odłożonych pieniędzy, mały domek, i w całym Whitecap nie ma większego serca. Pomaga opiekować się swoją sąsiadką, która jest ślepa jak kret...

— Dobry chłopiec!

Ernie ściągnął okulary i przyjrzał się badawczo ojcu Timowi.

— Roanoke mówił mi, że cię ostrzygł.

— Nawet moja żona jest zadowolona — odparł, wyjmując kanister mleka z chłodziarki.

— Na czwartek zapowiadają silną burzę.

— Mam nadzieję, że przejaśni się do piątku. Ernie otworzył kasę i wydał mu resztę.

— Jakies szczególne plany?

— Tak. Czwarta rocznica.

— Mnie też coś wypada w najbliższym czasie, ale nie mogę sobie przypomnieć, kiedy dokładnie.

— Spróbuj tylko zapomnieć, a czeka cię coś znacznie gorszego niż reperkusje związane z przekroczeniem żółtej linii.

— Masz rację — przyznał Ernie. — Przy okazji, czytam tę książkę Wordswortha.

— I co o niej myślisz?

— Z pewnością dużo biega, to pod górkę, to w dół doliny. Wygląda na to, że zauważa każdą małą rzecz, ma oczy i uszy szeroko otwarte...

— Dokładnie tak jak Louis L'Amour!

— Nie przyszłoby mi to do głowy — zauważył z zadowoleniem Ernie.

Wyjął go z pudełka.

— Magnetowid! Jego żona promieniała. Wyjął coś z torby.

— Nie wspominając...

— *Piotruś Pan!* — wykrzyknęła. — Dzięki Ci, Panie!

Wyjął coś innego z torby.

— *Babe — świnka z klasą!* Zawsze chciałam to oglądać.

— No, to uszczęśliwiłem dwoje ludzi — skwitował, czując się jak prawdziwy bohater.

Jonathan pędził przed nimi, rozganiając biegusy, krzycząc na mewy, przykucając, by przyglądać się muszelce.

Słońce wyjrzało godzinę temu i zgodnie doszli do wniosku, że powinni z tego skorzystać. Na bosaka i trzymając się za ręce na szerokiej, ociekającej deszczem plaży, był pewien, że to, co powiedział Marion i Walterowi, jest prawdą — są szczęśliwi w Whitecap.

Schylił się, podniósł stare frisbee i rzucił je Barnabie, który popędził za nim wielkimi susami po piasku. Gdy przyglądał się, jak chłopiec i pies turlają się z talerzem, wróciło do niego dawno zapomniane

wspomnienie. Miał dziewięć lat, znajdował się w Pass Christian, w Missisipi, i był zakochany w psie. Zupełnie już o tym zapomniał i nagle wspomnienie tego lata na chwilę pozbawiło go tchu.

— Czuję, że twoje myśli pędzą jak szalone — stwierdziła jego żona.

— Pass Christian — odparł jak we śnie. — Wyjechaliśmy z Holly Springs na plażę, aż do Pass Christian, to nad zatoką w pobliżu Gulfport i Biloxi. Cudowne miejsce.

— Opowiedz mi wszystko! — poprosiła.

— To było w roku, gdy mój ojciec zdecydował, że powinienem zaprosić przyjaciela na nasze letnie wakacje. Uważał, że zbyt wiele czasu poświęcam nauce, że jestem za dużym samotnikiem. Chciałem zabrać Tommy'ego Nolesa, ale...

— Ale pan i władca się nie zgodził.

— O tak. To on wybrał przyjaciela, którego miałem zabrać.

— Kto to był?

— Drew Merritt, syn kolegi mojego ojca z biura prawnego.

Jego żona nigdy nie lubiła opowieści o jego ojcu. Być może powinien trzymać język za zębami, ale on chciał mówić, chciał nareszcie przestać tłumić w sobie — jak mu się wydawało — swoje wspomnienia, swoje uczucia. Jeśli nie potrafi mówić swobodnie tutaj, nad oceanem, rozciągającym się tak ufnie pod tarczą słońca i niebem...

— Drew nie był kimś, z kim chciałbym spędzić dwa tygodnie. Był samolubny, wybuchowy i wymagający. Pamiętam, że zabraliśmy układankę, która przedstawiała budynek Kapitolu... Upierał się, żebym ułożył kwiaty wiśni, a on ułożył Kapitol. Zamiast układać kawałek po kawałku, pracowaliśmy nad całością w częściach. Nie chciałem układać kwiatów wiśni.

— Ale je ułożyłeś — wtrąciła — bo jesteś miły.

— Bycie miłym ma swoje zalety — zauważył. Uścisnęła mu dłoń.

— Kocham cię.

— Ja też cię kocham.

— W końcu, po kilku dniach pobytu na miejscu, Drew znalazł sobie towarzystwo, z którym spędzał czas, a ja zacząłem wypuszczać się w pojedynkę. To było bezpieczne miejsce, oczywiście, mnóstwo dzieciaków przychodziło i wychodziło, meldując się u rodziców po południu. Zatrzymaliśmy się w starym hotelu, tak bardzo chciałbym sobie przypomnieć jego nazwę. W każdym razie jednego dnia poszedłem na plażę i poznałem... psa.

Uśmiechnęła się, uwielbiając nawet najzwyczajniejsze jego opowiadania.

— To był rudy seter i wyglądało na to, że nie należy do nikogo, chociaż z pewnością nie był bezpański. Pamiętam, że miał długą i jedwabistą sierść, która błyszczała, gdy poruszał nią wiatr. Był jak coś z samego nieba, zrozumieliśmy się natychmiast. Pstryk — o tak, on był mój, ja jego.

— Lepiej, żeby Barnaba nie słyszał tego, co mówisz. Objął ją ramieniem, śmiejąc się.

— Nie, Jonathan, nie dotykaj tego! — zawołała Cynthia. Intensywny deszcz sprawił, że ocean wyrzucił na brzeg przeróżne nieczystości.

— Zaczęliśmy się spotykać popołudniami, nigdy nie widywałem go rano. Codziennie przynosiłem ze sobą małą czerwoną piłeczkę i rzucałem mu ją. Zawsze przynosił ją z powrotem.

Pamiętał bardzo wyraźnie uczucie wolności i niewypowiedzianą radość posiadania w końcu psa, którego nigdy nie pozwolono mu trzymać w domu.

— Nazwałem go... Mick — dodał, nagle zawstydzony wyjawieniem historii, której nigdy nikomu nie opowiedział.

— Mick! — zawołała. — Cudowne imię!

— Pamiętam ten ranek, gdy wyjechaliśmy w podróż powrotną do Holly Springs.

Ponad pięćdziesiąt lat później nadal pamiętał ogromny smutek, jaki przepełniał wtedy jego serce.

— Mój ojciec postanowił, że wyjedziemy dzień wcześniej, a ja... się nie pożegnałem. Zaniósłem serwetkę herbatników do starego domu, gdzie zazwyczaj się spotykaliśmy, ale oczywiście jego tam nie było, bo to za wcześnie, więc zostawiłem herbatniki pod schodami.

— Kocham to, co zrobiłeś.

— Och, Kavanagh, czego ty nie kochasz?

— Mężów, którzy nie potrafią mówić o swoich uczuciach, piasku w łóżku i map, których nie da się porządnie poskładać.

— Chodźmy złożyć nasze kości na bujaku na naszym ganku — zaproponował.

— O tak, chodźmy!

Odwróciła się i spojrzała na niego, a potem dotknęła dłonią jego policzka.

— Właśnie tak chciałabym cię zapamiętać... wszystkie rysy twojej drogiej twarzy w tej chwili.

Ku jego zdziwieniu do oczu napłynęły jej łzy, objęła go i pocałowała z dziwną czułością.

Jonathan pociągnął Cynthię za szorty.

— Muszę zrobić kupkę! — zawołał niecierpliwie.

Niż tropikalny przesunął się znad Karaibów na północ, zboczył na lewo, w stronę wysp Outer Banks Karoliny Północnej, poszybował nad Whitecap i zrzucił piętnaście centymetrów deszczu na stały ląd w Smithfield. Nie huragan, dzięki Bogu, ale z niebezpiecznymi silnymi wiatrami. W piątek rano zatrzymał się z wyraźną przyjemnością bezpośrednio nad Dove Cottage i rozpętał prawdziwą, trwającą pełne dwie godziny burzę.

Chodził po domu przez cały ranek w szlafroku, pracując nad kazaniem, przeglądając muzykę na niedzielę, pisząc w swoim notatniku z cytatami i czytając to, co akurat wpadło mu w ręce. Podczas gdy były pioruny i wiał wiatr, Barnaba i Violet chowali się w różnych miejscach pod krzesłami i łóżkami. Jonathan w jakiś cudowny sposób przespał większość tego widowiska, podczas gdy jego żona pracowała na drugim końcu korytarza nad swoją nową książką.

Ach, niewysłowiony spokój domu, nad którym szaleje ciemna burza i w którym słychać dźwięk uderzającego o okna deszczu. Mimo iż nie było na to żadnych dowodów w jego irlandzkiej genealogii, był zdania, iż musi posiadać w sobie dużą domieszczę Szkota.

I co z tego, że jego plany na wieczór zostały przekreślone? Czyż nie mieli przed sobą całego życia, jeśli Bóg pozwoli, aby świętować na plaży nawet bez specjalnej okazji?

Usiadł na swoim fotelu w gabinecie i słuchał deszczu, wiatru i bicia własnego serca.

Koniec końców, czyż życie samo w sobie nie jest szczególną okazją?

Gdy burza ustała około osiemnastej trzydzieści, zjedli swoją rocznicową kolację w kuchni.

Potem cała czereda wspięła się na ich łóżko, Barnaba z Violet zajmując miejsca w nogach, a Jonathan obok Cynthii, która siedziała oparta o puchowe poduszki jak caryca.

— A teraz — obwieścić — film... z pudełka!

Uniósł pudełko z magnetowidem do góry, żeby wszyscy je zobaczyli.

— *Piotruś Pan!* — cieszył się Jonathan, klaszcząc w dłonie. Spojrzał na Cynthię przeciągle.

— Nigdy się nie dowiesz, co straciłaś dzisiajszego wieczoru.

— Nic się nie stało, kochanie — szepnęła jego zadowolona żona. — Ubóstwiam *Piotrusia Pana*.

Oglądnęli w szybkim tempie *Piotrusia Pana* i włączyli *Babe* — *świnką z klasą*, czując zalewającą ich falę adrenaliny.

— Szaleję za tym filmem! — krzyczała jego żona. — Ale, uch, nie cierpię tego kota.

— Niedobry kot! — poparł ją Jonathan.

Prawdę powiedziawszy, kot przypominał mu kogoś. Kogo takiego?

Oczywiście. Kot przypominał mu Edith Mallory.

Obudził się o drugiej nad ranem i nasłuchiwał deszczu. Cisza. Burza minęła i w pokoju zrobiło się duszno i wilgotno.

Podszedł do okna i otworzył je szeroko.

Razem ze słodką, chłodną bryzą, która pieściła jego gołą skórę, napłynęła muzyka.

Rozdział dwunasty

ZA MUREM

Odpowiadając na głośne puknięcie, spojrzął przez drzwi z siatką i zobaczył Otisa Bragga.

Otis trzymał w rękach wyłożony folią kosz pełen krewetek.

— Nie da się zorganizować przyjęcia bez krewetek! — wyjaśnił, uśmiechając się szeroko.

Jego nie zapalone cygaro wyglądało na świeże, specjalnie na tę okazję.

— Otis! Co za niespodzianka!

Niespodzianka, w rzeczy samej. Jego żona nie będzie zachwycona perspektywą gotowania krewek na piętnaście minut przed jej wielkim podwieczorkiem, a i on nie był tym zachwycony.

— Już ugotowane, gotowe do serwowania. Jeden człowiek znad zatoki Sound robi to dla mnie, my tylko obieramy i jemy. Gdzie je postawić?

— Dzięki, Otis. To bardzo miły gest.

Pośpiesznie uprzątnął jeden koniec stołu, który wynieśli na ganek i przybrali błękitnym obrusem.

— Marlene powinna się pojawić za chwilę z czymś, w czym można będzie je maczać. — Otis otarł czoło chusteczką. — Może mógłbym się napić czegoś mocniejszego przy barze?

— Przy barze? Ach, przy barze! Nie mamy baru. Ale jest herbata!

— Herbata.

Otis żuł z rozmysłem cygaro.

— Albo sherry.

— Sherry — rzucił Otis, spoglądając z niedowierzaniem.

— Szacowny trunek. Hiszpański, jak sędzę. Przypomniiał sobie, że Otis przysłał mu butelkę czegoś drogiego, ale nie pamiętał, gdzie się znajduje...

— No cóż, nieważne, rezygnuję. Ojciec Morgan zawsze wystawiał troszkę bourbona, ginu, szkockiej... no wiesz.

— Aha.

Otis przyjrzał mu się badawczo.

— Wychowałeś się jako baptysta?

— Tak, rzeczywiście.

— Ja też — wyznał Otis. — Ale mam to już za sobą.

— Pozwól, że przyniosę ci szklankę herbaty. Poczekaj, aż spróbujesz. Będzie ci smakowała, masz moje słowo.

Z pewnością nie wspomni o tym, skąd pochodzi przepis.

Sopran, któremu wcale nie zaszkodziła krótka kariera w szkole niedzielnej, energicznie potrząsnął jego dłonią.

— Wspaniały dzień, ojczy!

— Cudowny! — zgodził się Sam Fieldwalker. — Nie do wiary, co za dzień!

— Najlepszy tego lata! — zachwycała się Marion, wymieniając uściski ze swoim księdzem.

Od czasu do czasu pochlebne recenzje otrzymywały też kwiaty, stół, poczęstunek, pani domu, a nawet wybijały ogród, w którym pracował przez cały ranek.

Wielkość jego psa spotykała się z dużą dozą ostrożnego zainteresowania, a ubrany w nowy strój marynarski Jonathan unikał wszelkiej okazji do huśtania się na cudzych kolanach bądź też przytulania do czyichkolwiek piersi.

Ojciec Tim musiał przyznać, że Dove Cottage tego popołudnia przerodziła się w magiczne miejsce; czuł się tak swobodnie i władczo jak posiadacz ziemski. Jego żona krążyła w pobliżu w czymś koloru lawendy, rozsiewając za sobą zapach wistarii w powietrzu i sprawiając wrażenie, że organizacja całej imprezy przebiegała bez wysiłku. W rzeczywistości jednak Cynthia była na nogach od piątej rano, ścinając kwiaty i piekąc ostatnie partie cytrynowych ciasteczek, podczas gdy on zakładał nowe koronkowe panele w salonie.

— Koronka aż się tu prosi — wyjaśniła. — Rozprasza poranne światło i rzuca wzory na podłogę.

Czuł najwyższy szacunek dla cudów, które się zdarzały za pośrednictwem UPS.

Pracownia Cynthii cieszyła się ogromnym zainteresowaniem dzieci z parafii, które ich odwiedziły; grupy ciekawych wszystkiego małych zwiedzających przewijały się przez malutką przestrzeń, która kiedyś stanowiła dużą garderobę, wskazując na ściany ozdobione rysunkami, obwolutami książek i — cieszącymi się największym powodzeniem — roboczymi szkicami Violet pod plażowym parasolem. Prawdziwa Violet zajęła miejsce na szczycie lodówki, spoglądając gniewnie na każdego, kto zapragnął towarzystwa gwiazdy.

Przybyła też Ella Bridgewater, cała w czerni. Pomyślał, że wyglądała jeszcze bardziej jak żuraw zdobiący orientalny parawan. Jej widok, jak określiłaby jego mama, stanowił „prawdziwą ucztę dla oczu”, gdy wchodziła do ich ogrodu z plamą intensywnego rózu na każdym policzku.

Cynthia towarzyszyła ich nowej organistce, przedstawiając ją różnym zgromadzonym w ogrodzie grupkom.

— Penny, chyba nie miałaś okazji, żeby poznać Ellę Bridgewater. Ella, to Penny Duncan. Będziesz musiała zobaczyć ten cudowny szron, który przygotowała ze świeżej mięty pieprzowej.

— Penny była kiedyś hippiską! — wyjaśniła Jean Ballenger. Obwieściła to tak, jakby informowała o poprzednim etapie kariery zawodowej w branży usług maklerskich czy też marketingu.

— Hoduje wszystkie swoje warzywa, chowa kurczaki i robi kozi ser!

— Wielkie nieba! — Ella pokręciła głową z niedowierzaniem. — Mnie udało się co najwyżej zrobić łańcuch z żurawiny na choinkę!

— Penny uszyła sobie kiedyś buty — kontynuowała Jean.

Wszyscy spojrzeli w tej chwili na stopy Penny, odziane na tę okazję w czółenka.

— I — pochwaliła Jean, kończąc pozytywnym akcentem — wszystkie jej dzieci mówią: tak, proszę pani!

Przesunął się dalej, podchodząc do Leonarda i Marjorie, którzy opadli na dwa składane krzesła Marion obok rokitnika i zapamiętałe łuskali krewetki, wyrzucając skorupy w krzaki.

Gdyby Violet wiedziała, co się tutaj dzieje...

— Czy widziałeś swojego sąsiada? — zapytał Leonard.

— W ogóle! Ale za to często miałem okazję go słuchać.

— Mamy nadzieję, że nie robi zbyt dużo hałasu — zauważyła Marjorie.

— Hałas! To dla nas prawdziwa przyjemność. Jest wyjątkowej klasy muzykiem.

Leonard zanurzył krewetkę w sosie, na którego powierzchni unosiło się najwyraźniej jego ciasteczko cytrynowe.

— Niektórzy twierdzą, że mógł grać muzykę organową na koncertach. Wydaje mi się, że odebrał wykształcenie w Juilliard*. Ale nigdy nie lubił świateł reflektorów, jak łatwo możesz sobie wyobrazić. Jest prawdziwym pustelnikiem. Nie widziałem go od lat.

— Jego dziadek dostał się kiedyś do kolumny Waltera Winchella**! — zawołała Marjorie. — Pamiętasz Waltera Winchella?

— O tak — odparł ojciec Tim, czując się nagle bardzo staro. — Za co się tam dostał?

* Juilliard — The Juilliard School — prestiżowa akademia muzyczna założona w Nowym Jorku w 1905 roku.

** Walter Winchell (1897-1972) — amerykański dziennikarz prasowy, radiowy i telewizyjny, uważany za ojca współczesnej kolumny plotkarskiej.

— Za umawianie się z dziewczynami z chóru w Nowym Jorku!

— Aha.

— John Crawford przyjechał do Whitecap i gościł u państwa Love'ów — poinformowała go Marjorie. — I Betty Grabel także, albo... niech no pomyślę... może to była Irene Dunne!

— To była Celeste Holm! — Jean Ballenger, która znajdowała przyjemność w przemieszczaniu się od jednej grupy do drugiej, opadła na krzesło.

— Nigdy nie przepadałam za Celeste Holm, a ojciec? — chciała wiedzieć Marjorie.

— Chyba nie pamiętam Celeste Holm.

— Widzisz — zauważyła Jean — mówiłam ci, że ojciec Tim jest młodszy, niż nam się wydawało. Wciągnął brzuch.

— A jak wam się dokładnie... wydawało?

— Marjorie twierdziła, że zbliża się ojciec do siedemdziesiątki.

Do siedemdziesiątki!

— Ależ, Jean! Nie mówiłam nic takiego! Mówiłam, że przy ojca wszystkich wspaniałych osiągnięciach i doświadczeniu mógłby się ojciec zbliżyć już do siedemdziesiątki, ale w końcu dałam ojcu sześćdziesiąt!

— Dziękuję! — odparł.

— Kto jeszcze przyjeżdżał tu kiedyś i gościł u Redmona Love'a? — zastanawiał się Leonard.

Jean przyglądała grzywkę, która zaczynała się skręcać na wilgotnym powietrzu.

— Mówiono nawet, że Winston Churchill, ale nigdy w to nie wierzyłam, nawet przez chwilę. Pan Churchill z pewnością nie miał czasu, żeby włączyć się po Whitecap, weźmy tylko te Nagrody Nobla, które dostał, i te wszystkie wojny, które stłumił na całym świecie.

Leonard polizał kciuk.

— Słyszeliśmy w każdym razie, że rodzina ukrywała Morrisa zawsze, gdy przyjeżdżały takie szychy. Morris spędził podobno większość życia jako chłopiec na poddaszu. Redmon zrobił tam dla niego pokój, w którym umieścił organy, taką małą wersję dużych organów, które znajdowały się na dole. Morrisowi nigdy nie było wolno grać, gdy w domu byli goście. Przypuszczam, że nie chcieli, żeby ktokolwiek wiedział o jego istnieniu.

— Ludzie potrafią być tacy podli! — rzuciła Jean, zaciskając usta. — Zasłużyli sobie na chłostę. Ale „Do Mnie należy pomsta, mówi Pan”.

— Czy wobec tego wychowywali go dziadkowie? — zaciekał się ojciec Tim.

— Głównie. Jego rodzice większość życia spędzali w Europie. Chodziłem z Morrisem do tej samej szkoły, to była piąta albo szósta klasa, dzieci jednak tak mu dokuczały, że nie dotrwał do szkoły średniej. Jestem pewien, że zatrudnili dla niego prywatnego nauczyciela.

— Co dokładnie... mu dolega?

— To znaczy, że nie wiesz? — upewniał się Leonard.

— Nie mam pojęcia.

— No cóż, widzisz...

— Ojcie! — wykrzyknęła Ella Bridgewater, dołączając do grupy. — Tak jak mówiłam przed chwilą ojca żonie — ojca przyjęcie jest urocze, a ta herbata niebiańska.

Stuknęła lodem w swojej szklance z wyrazem uznania na twarzy.

— No cóż, dziękuję! Jeśli chodzi o herbatę, to sam bym tego lepiej nie ujął.

Marjorie przyjrzała się nowemu przybyszowi.

— Panna Bridgewater...

— Proszę mówić do mnie Ella!

— Ella, słyszałam, że mieszkasz na Dorchester Island. — Marion, podobnie jak wszyscy tubylcy, wymawiała tę nazwę, Dorster.

— Tam jest ślicznie, to dość odległe miejsce.

— Odległe nie jest właściwym słowem. Z mojego małego domku nad morzem jadę szesnaście kilometrów, przejeżdżam drogą na grobli, pokonuję autostradą numer 20 kolejne dwadzieścia cztery kilometry, przejeżdżam przez most do Whitecap i udaję się do St. John's, na północnym końcu. To cała wyprawa.

— I bardzo ci dziękujemy, że to robisz! — zawołała Marjorie.

— Od twojej gry w niedzielę cały kościół aż trząsł się w posadach. Minęły już wieki, od kiedy ostatni raz słyszeliśmy, żeby nasze organy wydawały z siebie takie dźwięki!

— Radosne dźwięki — dodał ich ksiądz, pragnąc uniknąć jakiegokolwiek nieporozumienia.

— Proszę przyjechać do Dorchester, ojcze, i zabrać ze sobą Cynthię. Nic nie sprawiłoby mi większej przyjemności niż widok waszych twarzy w moich drzwiach!

Po raz pierwszy zauważył złotą broszkę Elli — miała kształt latającego balonu.

— Bardzo chętnie. Od naszego przyjazdu nie widzieliśmy jeszcze zbyt wiele okolicy.

— Wyobrażam sobie, jak bardzo zapełniony musi mieć ojciec kalendarz, z tymi wszystkimi letnikami, którymi się trzeba zająć, więc zaglądajcie kiedykolwiek — z wyjątkiem, oczywiście, środy, wtedy zawsze myję sobie włosy u Edny. Louise i ja bardzo ucieszyłybyśmy się z waszej wizyty.

— Louise?

— Louise to mój kanarek. Powinien ojciec posłuchać, jak śpiewa, nie uwierzy ojciec własnym uszom!

— Z pewnością!

— Louise jest w sile wieku, jak mówi Stary Testament. Ale im jest starsza, tym słodszy ma głos.

— Aha.

— Pokażę ojcu małe Dorchester, to jak podróż w czasie. Zobaczy ojciec najstarszy zawsze zielony dąb na tych wyspach, rośnie tuż obok mojego domu, i zajrzemy do Christ Chapel, jest tak mała, że z ledwością zmieścimy się tam w trójkę, ma precudowne okna rozetowe nad ołtarzem! Potem pójdziemy na cmentarz, gdzie spoczywa moja mama. Opowiadałam ojcu, jak pogrzebaliśmy mamę?

— Chyba nie.

— Z modlitewnikiem z tysiąc dziewięćset dwudziestego trzeciego roku w dłoniach, przyciśniętym do serca.

— Cudowny sposób, by odejść.

— Musicie zjeść u mnie lunch!

Plamy różu na policzkach Elli nabrały jeszcze żywszej barwy.

— Czy lubicie morony?

— Lubimy, to mało powiedziane. To jedno z moich ulubionych ryb!

— Nauczyłam się, jak gotować rybę we wrzątku, od panny Child z telewizji. Bardzo mi jej brakuje, a ojcu? Ubóstwiałam to, jak upuszczała przedmioty na podłogę, podnosiła je i zabierała się dalej do pracy. Dobra lekcja dla nas wszystkich, uważam!

— Rzeczywiście!

Sam Fieldwalker dołączył do nich w chwili, gdy organistka St. John's wyprostowała się na całą wysokość, która była doprawdy imponująca.

— Umieję też pomagać przy wyrobie śliwowicy! Zachichotał.

— Jeszcze jedna zachęta, żeby cię odwiedzić. Sam, Ella zaprosiła nas do Dorchester.

— Och, na Boga, uwielbiamy Dorchester. Mają tam nieźle rozwinięte rybołówstwo. Jest tam przyjemnie i spokojnie, bez tych wszystkich turystów, którzy przyjeżdżają do Whitecap.

— Myślę, że spodoba się ojcu mój dom, jest całkiem historyczny. Został zbudowany w tysiąc dziewięćset drugim roku z drewna rozbitych statków, które wyrzuciło na brzeg morze. Lubię mówić, że mieszkam w domu, który żeglował kiedyś po morzach!

— Gdy pojedziesz do panny Bridgewater — zaproponował Sam — byłaby to dobra okazja, żeby odwiedzić kapitana Larkina. To ten starszy gość, opowiadałem ci o nim, który przez wiele lat należał do kościoła St. John's. Mieszka teraz ze swoim bratem bliźniakiem na Dorchester Island.

— Ich dom stoi zaledwie o rzut beretem od mojego — dodała Ella. — Przed drzwiami frontowymi trzymają zaparkowaną starą półciążarówkę, tam śpią ich psy.

— Mógłbyś mu zawieźć komunię — przekonywał Sam. — Byłby zachwycony. Ojcu Morganowi nigdy... nigdy się to nie udało.

— Załatwione! Oczywiście, jeśli wybierzemy się w najbliższym czasie, Ella, będziesz musiała podjąć również trzylatka. Co ty na to?

Ella przyglądała się biegającemu hałaśliwie po ganku Jonathanowi, za którym biegły dwie samozwańcze opiekunki z grupy młodzieżowej.

— Mam mały ogródek otoczony drewnianym płotem — odparła. — Moglibyśmy go tam umieścić!

Zauważył niewielką grupkę, która zebrała się po prawej stronie ganku, i podszedł, żeby zobaczyć, co się tam dzieje. Cynthia stała obok krzewu hortensji, opierając na biodrze Jonathana i spoglądając w obiektywy kilku aparatów.

— Uśmiechnij się, Jonathan! — zachęcała chłopca.

— Naprawdę — oceniła Jean Ballenger — jest wystarczająco podobny do twojej żony, żeby być jej synem! Czy widzisz podobieństwo?

Widział, w istocie. Dwie pary chabrowych oczu. Dwa ujmujące uśmiechy. Dwie głowy koloru dojrzałej pszenicy.

— Mam nadzieję, że Janette będzie mogła wrócić niedługo do domu.

— Potrwa to jeszcze trochę. To... bardzo trudne.

Na samą myśl o tym odczuwał ból. Jedynie z największym trudem był w stanie znieść głęboką depresję; widział ją u własnego ojca przez wiele lat.

— Podejdz tutaj — zaprosił go Sam Fieldwalker — i pozwól, że zrobimy i tobie jedno zdjęcie!

Cynthia przysłoniła dłonią oczy i spojrzała w jego kierunku.

— Tak, kochanie, chodź i pozwól im uwiecznić twoją opaleniznę. Nie cierpiał swoich zdjęć; na zdjęciu w nowym kościelnym albumie wyglądał, jakby ktoś wykopał go z ziemi u samych korzeni.

Nieśmiało objął ramieniem swoją żonę, poprawił okulary i spojrzał w obiektywy aparatów.

— Lepiej się uśmiechnij! — zawołał Jonathan.

— Przyszedłem pierwszy i wychodzę ostatni! — Otis Bragg potrząsnął energicznie dłonią gospodarza. — Spójrz. Wyczyszczone do dna.

Ojciec Tim zajrzał do środka pustego kosza po krewetkach.

— Wspaniały prezent. Dziękuję ci po stokroć.

— Cała przyjemność po mojej stronie! — odparł. — Miło widzieć, jak cała parafia stawia się tak tłumnie. To właśnie dzięki temu jesteśmy rodziną.

— Zgadzam się. Zapraszam cię, kiedy tylko będziesz miał ochotę, ciebie i Marlene.

Jak cała reszta zwykłych śmiertelników, właściciel domu, w którym mieszkał, i jednocześnie jego parafianin, z pewnością posiadał kilka cech charakteru, które trudno byłoby polubić. Mimo to miał coraz więcej uznania dla Otisa; miał też dziwne przeczucie, że gdyby znalazł się w tarapatkach, mógłby liczyć na Otisa Bragga.

— Powinniśmy się wybrać któregoś dnia na krótki rejs z kapitanem Williem. — Otis wyjął cygaro z ust i przyglądał się mu z lubością. — Łowisz?

— Z trudem odróżniam haczyk od spławika, ale moja dobra żona wykupiła mi miejsce na łódce Cap'n Willie i wygląda na to, że będę się musiał wybrać, zanim się to skończy. — Otis poklepał go po plecach.

— Wyjdzie ci to na dobre! Duchowni mają tendencję do tego, żeby za dużo myśleć, odrobina zabawy jest ci w życiu potrzebna. Nic tak nie podnosi ciśnienia, jak niezła ostra walka z marlinem! — Otis klepnął go ponownie. — Zadzwoń do mnie, gdy już ustalisz termin, postaram się z tobą wybrać.

— No cóż... — rzucił, ponieważ nic innego nie przychodziło mu do głowy.

— Przyniosę dla nas wiaderko kurczaka — obiecał Otis, wypluwając drobiny kubańskiego tytoniu na rabatę kosmosów.

Kiedy on zajmował się swoją częścią sprzątanego w kuchni, Cynthia nosiła Jonathana, teraz zmęczonego i płaczącego, po domu i na tylny ganek.

— Mamusia! Chcę mojej mamusi! — łkał.

Ojciec Tim stanął w kuchennym oknie i obserwował ich, jak zbliżają się do karmnika na tylnym podwórku. Jego żona usiłowała pocieszyć i odwrócić uwagę płaczącego dziecka.

— Chcę Babette i Jasona!

— Już dobrze, Jonathan. Zobaczysz wkrótce mamę i Babette, i Jasona, obiecuję. O, spójrz na tego ptaka na płocie, ciekawe, jak się nazywa.

Przyglądał się jej, jak przytula chłopca, klepie go łagodnie po plecach, i zobaczył, jak dziecko kładzie na jej ramieniu główkę. Gdy obróciła się, żeby spojrzeć w stronę domu, dostrzegł też w jej oczach łzy. Jego żona posiadała naturalny dar „weselenia się z tymi, którzy się weselą, płakania z tymi, którzy płaczą”, jak polecił święty Paweł Rzymianom.

Uniósł dłoń i pomachał do nich nieśmiało, gdy znikali z pola jego widzenia.

Cynthia coraz bardziej przywiązywała się do chłopca, nie miał co do tego żadnych wątpliwości. Nigdy nie mogła mieć własnych dzieci; w istocie, jej poprzedni mąż spędzał większość czasu, jak mu się zwierzyła: „robiąc dzieci z innymi kobietami”. Bezpłodność była dla niej wielką tragedią, jej cierniem.

Dokończył zmywanie w czasie, gdy Cynthia po raz kolejny niosła Jonathana tą samą drogą, którą zazwyczaj pokonywali, gdy chłopiec płakał za swoją rodziną. Słyszał, jak szepta do niego czule, nuąc fragmenty opowieści i piosenek.

To prawdziwa tortura dla wszystkich, pomyślał, gdy Cynthia wchodziła ciężko po schodach, wyglądając na zmęczoną. Z pewnością za tydzień Babette i Jason wrócą z wizyty u kolejnej części rodziny w Beaufort i będą mogli ich pożyczyć na popołudnie...

Stanął w drzwiach, gdy Cynthia opuściła chłopca na łóżko, a Barnaba wskoczył i położył się u jego stóp.

Patrzył, jak odgarnia wilgotne jasne włosy z czoła Jonathana, i ujrzał nieskończoną czułość w jej oczach.

— Jaki dobry chłopiec — szepnęła. Następnie odwróciła się i poklepała Barnabę.

— I jaki dobry pies! — zawołała.

Czując, że i jego ogarnia niespodziewane zmęczenie, usiadł przy telefonie w gabinecie i wybrał numer Emmy.

— Udało ci się coś znaleźć?

— Ojej, są setki, a może nawet tysiące osób o nazwisku Ed Sikes. To tak, jakbym szukała Boba Jonesa albo Johna Smitha! W samym Wesley są dwie osoby o tym nazwisku, jeden to Edmund, drugi Edward, ale Harold zna ich obydwu i mówi, że żaden z nich absolutnie nie mógł uciec z niczym dzieckiem, jeden jest diakonem w kościele prezbiteriańskim, a drugi jeździ na połowy żab z bratem Harolda. Ponadto wolałbyś nie wiedzieć, ile innych imion może mieć skrót Ed.

— Ile?

— Sprawdziłam w Internecie i znalazłam trzynaście — Edison, Edrick, Edgar, Edwin, Eduardo, żeby wymienić tylko kilka. W Internecie można znaleźć wszystko, powinieneś korzystać z Internetu, przydałoby ci się to do kazań. Wydaje mi się, że skoro nauczysz niedziela po niedzieli, to musisz rozpaczliwie potrzebować nowego materiału...

Emma Newland wróciła do jedzenia Little Debbies, na kilometr potrafił wyczuć histerię wywołaną cukrem.

— A więc... — rzucił, szukając drogi odwrotu.

— Więc tym razem będziesz musiał wymyślić jakąś inną sztuczkę — obwieściła.

Zadzwoił do Pauline.

— Zapomniałam ojcu o czymś powiedzieć — wyznała. — Był ze stanu Oregon albo może jechał do Oregonu.

— Wspaniale! Cudownie!

— Ojczy...

— Tak?

— Od jakiegoś czasu... bardzo się czegoś boję.

— Czego się boisz?

— No cóż... widzi ojciec, wydaje mi się, że na to wszystko... nie zasługuję.

— Na co dokładnie? Wzięła głęboki oddech.

— To... szczęście. Wydaje mi się, że to niewłaściwe, żebym je miała.

— Łaski, które otrzymujemy, nie mają nic wspólnego z zasługiwaniem na nie, Pauline. Nie możemy zasłużyć na łaskę Boga, nie ma takiej możliwości tu, na ziemi. Łaska jest za darmo, i tak jak tutaj siedzę, jestem pewien, że On sprawił, że się spotkaliście. Czy kochasz Bucka?

— Ponad wszystko. Po prostu... nie umiem powiedzieć, jak bardzo. Jest taki dobry dla mnie i dla dzieci, jest... nikt tego nie dostrzega, ale on ma bardzo czułe serce, ojciec wie.

— Wiem.

— Modłę się po prostu, żeby wszystko ułożyło się dobrze. Powiedziałam Bogu, że będę pracować bardzo ciężko.

— Będziesz musiała — wtrącił. Dlaczego nie powiedzieć jej prawdy?

— Dziękuję, ojcie. Rozmowa z ojcem zawsze pomaga. Czuję się lepiej.

— Czy nie przychodzi ci do głowy nic więcej? Nic więcej o Edzie Sikesie?

— Modliłam się, żeby sobie przypomnieć coś jeszcze, ale jest jeszcze tylko jedna rzecz, którą pamiętam...

— Tak? — Pochylił się do przodu, siedząc na fotelu.

— Łysiał na przedzie głowy.

A kto nie łysieje?, pomyślał. Zadzwoił ponownie do Emmy.

— Oregon — powiedział. — Sprawdź imię i nazwisko Ed Sikes w Oregonie. Może uda się nam coś znaleźć.

— Powinieneś poprosić, żeby twój Kościół zapewnił ci dostęp do Internetu — rzuciła gderliwie. — Zwłaszcza że nie dali ci sekretarki, myślę, że mogliby przynajmniej...

— Emma, pamiętasz, jak pomogłaś w znalezieniu Jessie? Gdyby nie ty, mała siostrzyczka Dooleya mogłaby nadal nie znać swojej rodziny.

— To prawda! — zawołała radośniej. — No dobrze, zajmę się tym niedługo, bo wyjeżdżamy z Haroldem do Atlanty, zamierzamy pożyczyć samochód turystyczny Avisa Packarda. Wiesz, on w ogóle go nie używa, stoi tylko u niego na podjeździe, a w oponach schodzi mu powietrze, bo Avis cały czas pracuje. Jest jedynym znanym mi mężczyzną, którego bardziej niż kobiety interesuje rumsztyk. Powinniście kupić sobie z Cynthią samochód turystyczny, dobrze zrobiłoby wam zostawienie za sobą wszystkich trosk, przecież w końcu jesteście na emeryturze. Gdy Harold skończy pracę na poczcie i przejdzie na emeryturę, zamierzamy robić to, na co nam tylko przyjdzie ochota, i nikomu nie będziemy się już wysługiwać, zostało mu jeszcze sześć lat, a potem wylądujemy na Hawajach albo na Alasce, a może nawet w Dollywood*, czy słyszałaś kiedykolwiek, jak ona śpiewa, chodzi mi o to, czy naprawdę jej słuchałaś? Jest bardzo

utalentowana, wiem, że lubisz Bacha i Mozarta, ale mógłbyś przynajmniej spróbować raz na jakiś czas dostroić się do prawdziwego świata, nie masz pojęcia, co możesz tracić...

* Dollywood — park rozrywki założony przez Dolly Parton w USA.

W przybliżeniu oceniał, że zawartość cukru w pudełku ciasteczek Little Debbie's z nadzieniem kremowym jest w stanie naładować organizm człowieka na pełne osiem godzin, minimum.

Dlaczego właśnie anioł?

Przestał już rozmyślać nad tym, kto wszedł do żółtego domu, i zastanawiał się jedynie, dlaczego ten ktoś zabrał anioła i nic więcej.

Gdyby on był złodziejem, ukradłby książki. Książki jednak nie wydawały się budzić szczególnego zainteresowania złodziei. Lubili srebro, telewizory i biżuterię, a mimo to wszystkie te rzeczy pozostały nietknięte.

Zdumiewające. Za każdym razem, gdy o tym myślał, miał wrażenie, że ktoś usunął mu czubek głowy i nalał do środka gotowanej owsianki.

Nie miał żadnej wiadomości od Rodneya, ale nie chciał do niego dzwonić i wywoływać dodatkowego zamieszania.

Spojrzał na zegarek. Szósta piętnaście i słońce już zachodzi. Nie miał ochoty na jogging — może w zamian długi spacer z Barnabą. Gdyby zatrzymali którąś z opiekunek Jonathana, mógłby spróbować namówić żonę, żeby do niego dołączyła...

Zszedł po schodach w szortach i półgolfie, zadziwiony tym, jak zniknęły wszelkie oznaki zdradzające niedawną wesołość, że cudowny moment w życiu czterdziestu dwóch osób stał się historią — a w ogrodzie nie pozostał nawet ślad po nogach składanych krzesel.

Zamknął za sobą na zasuwę bramkę i ruszył sprężystym krokiem, prowadząc na czerwonej smyczy Barnabę. Może spacer obok Erniego, potem skręt w lewo na wysokości St. John's, potem jeszcze raz w lewo przy małym szarym domku i powrót, z zatoczeniem koła przy bramie głównej domu Morrisa Love'a.

Siedemdziesiąt, rzeczywiście, pomyślał, idąc w górę alejką.

Zataczali już koło powrotne do domu, gdy najgrubsza, najbardziej zwinna wiewiórka, jaką widział na Whitecap, przemknęła przez drogę. Smycz została najzwyczajniej w świecie wyrwana z jego dłoni, gdy Barnaba rzucił się w pogoń za stworzeniem. Czerwona smycz frunęła za nim.

— Barnaba!

Jego pies biegł z prędkością stu kilometrów na godzinę i szczekał wniebogłosy, zbliżając się do rdzewiejącej bramy wjazdowej Morrisa Love'a i w ułamku sekundy wślizgując się pod nią.

— Barnaba! Wróć!

Otarł pot z czoła i zobaczył, jak jego pies znika w gąszczu — nie, w czymś w rodzaju loggii, po lewej stronie domu, która była ledwie widoczna przez drzewa. Wściekłe ujadanie trwało nadal, wcale nie tracąc na sile.

Zagwizdał głośno. Do licha, jego żona gwizdała lepiej niż on. Gdy gwizdała, drżały ściany. Szczekanie. Gwizdanie.

A jeśli Barnaba przebiegnie przez całą posiadłość Love'ów, prześlizgnie się pod ogrodzeniem z drugiej strony i wybiegnie na ulicę? Nie bez powodu trzymał swojego psa cały czas na smyczy. Czy Barnaba nie został skradziony przez najpodlejszą szumowinę z Creek, zajmującą się handlem narkotykami, i nie był więziony i niemal głodzony przez wiele tygodni?

Chwyając się szczytu muru rękami, znalazł oparcie dla stopy na chropowatej powierzchni, zdołał podnieść się do góry i przeskoczyć przez mur, lądując z głuchym odgłosem tuż obok zarośniętego podjazdu.

Stał przez chwilę, nadal pozbawiony tchu, i rozglądał się dookoła. Znalazł się w zupełnie innym świecie.

Mimo że od bramy dzieliły go zaledwie centymetry, od ulicy kilka kroków, a od Dove Cottage kilka metrów — opuścił Whitecap.

Tutaj była dżungla, dosłownie.

Tereny były tak gęste jak las deszczowy, rosły tutaj drzewa i rośliny, jakich nie widział nigdy wcześniej, z wyjątkiem jednego ogromnego zawsze zielonego dębu, uszkodzonego przez burzę. Nie byłby zaskoczony, słysząc głosy małpy i ary, trąbienie słonia...

Stał nieruchomo, jak przykuty do ziemi. Chłodno tutaj i cicho, dziwnie cicho. Słyszał swój własny oddech i przypomniał sobie o swoim zgubionym psie.

— Barnaba!

W odpowiedzi rozległ się chrzęst dobiegający z poszycia po lewej stronie oraz kolejna seria ujadania, rozbrzmiewająca z nową energią.

— Chodź! Chodź, przyjacielu!

Barnaba wypadł na podjazd przez porośnięty bujnie winoroślą żywopłot, spojrzął na niego dziwnie, potem odwrócił się i rzucił pędem w kierunku domu.

On też biegł ciężko wzdłuż porośniętego chwastami podjazdu, aż jego oczom ukazał się dom w całej doskonałości.

Hiszpański. Zdobiony sztukaterią. Dach kryty dachówką. Mech porastający szerokimi, bujnymi połaciami ściany loggii czy też portyku; winorośl zakrywająca połowę domu, gładkie, wiekowe korzenie ogromnego drzewa bielejące złowrogo przez kamienne półkole przy frontowych drzwiach.

— Barnaba! — syknął.

Do licha!, wyłonił się z prawej strony, galopując niczym koń za kolejną wiewiórką która uciekała ile sił w nogach przez kolejną żelazną bramkę jakiegoś zabudowania, nieomal całkowicie przykrytego poszyciem.

Tego już za wiele, na Boga. Dość tego dobrego.

Rzucił się za swoim psem w chwili, gdy wiewiórka wbiegała przez częściowo otwartą bramkę. Barnaba wbiegł tuż za nią, a jego długie futro zaczepiło się o zardzewiałe żelazo i bramka zatrzasnęła się za nim z hukiem.

Ojciec Tim stał przez chwilę, tłumiąc gniew.

Był to rodzaj starodawnej, zdobionej sztukaterią zagrody, taki stary wybieg dla psów, być może, porośnięty wybujałymi krzewami i chwastami. Wiewiórka przeskoczyła przez tylną ścianę i zniknęła im z oczu, a Barnaba stał samotnie na końcu wybiegu, ujadając z bezsilnej wściekłości.

Ojciec Tim poruszał bramką która wyglądała na zatrzaśniętą. Jeszcze nigdy nie widział takiego dziwnego zamknięcia bramki, rdza też nie ułatwiała obsługi. Do licha! Uderzył zamek wewnętrzną stroną dłoni, raniąc się do krwi.

Miał ochotę zadusić swojego psa, który teraz odwrócił się w jego stronę z wyrazem nieśmiałej skruchy.

— Chodź — rzucił przez zaciśnięte zęby.

Barnaba, wyraźnie pozbawiony całej adrenaliny, która powodowała nim jeszcze przed chwilą podszedł wolno do bramki z opuszczoną głową.

Jego pan ponownie uderzył pięścią bramkę, powtórzył ulubione przekleństwo swojego szkolnego przyjaciela, Tommy'ego Nolesa, a na koniec kopnął jeszcze energicznie całe to cholerstwo.

— Precz!

Usłyszał ryknięcie, jakby zostało nagłośnione przez megafon.

— Precz!

Przeszły go ciarki.

— Panie Love — krzyknął w powietrze — mój pies zatrzasnął się w pana wybiegu i nie mam pojęcia, jak go stąd... wydostać.

— Niepotrzebnie go pan tam wpuszczał — warknął Morris Love.

Ojciec Tim spojrzął w okno na piętrze, skąd — jak mu się wydawało — dobiegał głos, ale nikogo nie zobaczył.

— Nie wpuściłem go. Sam tam wbiegł w pogoni za wiewiórką!

Cały dygotał z bezsilnej frustracji, jaką zrodziła w nim ta eskapada, nagle wściekły na człowieka, który nie chciał się pokazać, a co dopiero okazać mu krztyny zwykłej ludzkiej gościnności.

— Niech pan wyciągnie bolec! — krzyknął Morris Love.

Wyciągnął bolec. Ktokolwiek to skonstruował, powinien dać sobie zbadać głowę...

— Niech pan przesunie zasuwę w prawo!

Przesunął zasuwę w prawo. Nic. Ani drgnie. Nie mówiąc już o tym, że coś dosłownie zżerało mu nogę.

Był wściekły. Miał wrażenie, że byłby w stanie rozbroić bramkę gołymi rękami, jak Samson, i cisnąć ją w krzaki. Krew uderzyła mu do głowy.

— Nie działa! — krzyknął, ręką klepiąc kęsane przez owady nogi.

— Działa, zawsze działało. Proszę jej nie pchać przy przesuwaniu w prawo.

Morris Love mógł obudzić zmarłych tym potężnym głosem, jakby przemawiał przez piszczałki organów. Ojciec Tim spróbował ponownie, tym razem nie pchając. Bramka otwarła się tak lekko, jakby właśnie zjechała z linii produkcyjnej.

Odetchnął z ulgą i otarł czoło ręką T-shirtu. Do licha, co za zamieszanie.

Gdy szli w stronę domu, ogon jego psa znajdował się dokładnie pomiędzy nogami zwierzęcia.

— Dziękuję! — krzyknął w stronę otwartego okna na piętrze. — Postaramy się już nie sprawiać panu więcej kłopotów.

Cisza.

Gdy skręcali w lewo na podjazd, kopnął gniewnie jeden z bielejących złowrogo konarów.

— I to by było na tyle — mruknął pod nosem.

Teraz kaczka posiadała fragment drugiego skrzydła. Trzymał ją delikatnie w dłoniach, podziwiając łudząco naturalne piękno powstającego stworzenia.

— Czy... robisz je na sprzedaż? — zapytał Rogera.

— O tak. Nie zostawiłem dla siebie ani jednej już od dłuższego czasu.

— Ile pieniędzy trzeba mieć, aby je kupić?

Czteryście, może pięćset, pomyślał, i jest tego warta! Brązowe oczy Rogera błysnęły jak zazwyczaj, gdy mówił o swojej sztuce.

— Myślę, że ta będzie warta około tysiąca pięciuset.

Podał ją z powrotem Rogerowi, bez — miał nadzieję — zbytniego pośpiechu.

Ernie opadł ciężko na krzesło przy stole.

— Junior dostał kosza — rzucił, wyglądając na przygnębionego.

— Co? Jak?

— Ava. Nie umówi się z nim, nie pozwoli mu się nawet spotkać z tatą.

— To straszne.

— Według mnie — kontynuował Ernie — to te zdjęcia go załatwiły. W rzeczywistości Junior wygląda lepiej.

Roanoke wyjął zza ucha papieros.

— No to przeszła mu gratka koło nosa. Ernie westchnął.

— Moglibyśmy zrobić je jeszcze raz, lepszym aparatem. Mógłbym pożyczyć z „Whitecap Reader”, wydaje mi się, że oni używają Nike.

— Nicony — sprostował Roger, nie podnosząc wzroku znad swojej pracy.

— Powinien zacząć od nowa i zamieścić kolejne ogłoszenie — poradził Roanoke. — Niech usunie tę część o bronco, o grze w scrabble, zostawi to o łowieniu ryb i wytnie to gadanie o poważnym związku...

— On nie chce zamieścić kolejnego ogłoszenia — wyjaśnił Ernie. — Nie chce zaczynać od nowa, chce się spotkać z Avą.

— Co napisał jej w liście? Może w tym tkwi sęk?

— Nie mam pojęcia. Usiłowałem mu powiedzieć, co ma napisać, ale kto wie?

Ernie wzruszył ramionami. Wyglądał na niepokieszonego. Przez chwilę słychać było jedynie nóż Rogera żłobiący tupelowe drzewo.

Wrzucił kubek do kosza obok automatu z pepsi i poszukał w kieszeniach szortów pięćdziesięciu centów, które dał Erniemu za „Readera”.

Roanoke popedałował na swoim rowerze, Roger poszedł na spacer z Lucasem i ojciec Tim doszedł do wniosku, że to najlepszy moment.

— Ernie — poprosił — powiedz mi wszystko, co wiesz, o Morrisie Love.

Rozdział trzynasty

POTEŻNY OCEAN

Obudził się na dziesięć minut przedtem, zanim zadzwonił budzik, i od razu usłyszał delikatny szelest deszczu przez otwarte okno.

— Timothy?

— Tak?

— Czy jest czwarta?

— Za dziesięć. Śpij.

— Będiesz się świetnie bawił, po prostu to wiem.

— Na pewno. I pamiętaj, nie rób kolacji. Przyniosę ją ze sobą.

— Tak, kochanie. Jestem podekscytowana...

Wcale nie była, już z powrotem chrapała. Pocałował ją w ramię i wysunął się z łóżka.

Był przyzwyczajony do rannego wstawania, ale czwarta rano to po prostu śmieszne, nie mówiąc już o tym, że mimo starań nie był w stanie wzbudzić w sobie zapału do tej eskapady.

Wysłuchiwał każdej związanej z połowami ryb historii, jaką tylko zechciano mu opowiedzieć, usiłując zamaskować swój pusty wzrok wyrazem prawdziwego zainteresowania. Ach, no cóż, na pewno cała ta wyprawa przyjemnie go zaskoczy — wróci do domu z chłodziarką pełną tuńczyka, opalony i pełen energii po dniu spędzonym na wodzie, gwiżdząc jakąś marynarską pieśń.

Istniało prawdopodobieństwo — a była to dodatkowa korzyść, której nie należało lekceważyć — że wyprawa zaowocuje powiewem świeżości w jego kazaniach, nie wspominając już o tym, że może przyczynić się do wytworzenia mocniejszej więzi duchowej z jego parafią. Mieszkał przecież na ich ziemi

od trzech miesięcy i właściwie jedyne, co zrobił, a czego nie mógłby zrobić w Mitford, to zabicie paru moskitów i wyciągnięcie kilku kolców z łap Barnaby.

Ubrał się pośpiesznie w łazience, umył zęby, zupełnie rezygnując z pomysłu smażonych kurczaków. Nie miał pojęcia, gdzie u licha można znaleźć smażone kurczaki o czwartej nad ranem. Upchał większą liczbę butelek z wodą i kilka napoi cytrusowych. Nie ma czasu na jedzenie, zrobi to na łódce, już go tu nie ma.

Jego pies szedł za nim wzdłuż korytarza, położył się ciężko przy drzwiach wejściowych i ziewnął szeroko.

— Pilnuj domu, przyjacielu.

Ciemno jak w grobowcu. Przekręcił zamek, zatrzasnął za sobą drzwi i dotknął kieszeni spodni, sprawdzając, czy jest tam zwinięty kapelusz z płótna i tubka kremu do opalania. Wszystko na miejscu.

Zatrzymał się na ganku i wziął głęboki haust chłodnego, porannego powietrza; unosił się w nim aromat deszczu i soli z czymś, co było dla niego w mistyczny sposób niepojęte. Był pewien, że już nigdy ocean nie będzie dla niego czymś zwyczajnym. Codziennie wyczuwał jego potęgę i obecność w tym nowym świecie, w którym obecnie żyli.

Wiele lat temu, gdy był młodym duchownym w małej parafii na wybrzeżu, woda nic dla niego nie znaczyła; prawie w ogóle nie istniała w jego umyśle. Równie dobrze mógł mieszkać w środkowo-zachodnich stanach, tak niewiele interesowały go sprawy związane z morzem, z wyjątkiem kilku kosztów krewetek i małży, które skonsumował podczas swojej pracy wikariusza. Jego myśli, jego serce były gdzie indziej, być może w chmurach; ale teraz było inaczej. Chociaż nie był zwolennikiem pływania w oceanie ani smażenia się na plaży, tym razem wytworzył jakąś więź, coś, co nie do końca umiał nazwać, i po co w ogóle próbować?

Lekki deszcz chłodził mu głowę, gdy zszedłszy po wejściowych schodach, otwierał furtkę i wsiadał do zaparkowanego przy ulicy mustanga.

Jadę na ryby!, myślał, zapinając pasy. Zważywszy na to, jak bardzo przejmował się całą tą wycieczką, można by pomyśleć, że to wyprawa do Mongolii, ale jak na razie wszystko szło dobrze. I tylko pomyśleć — tysiące, a może nawet miliony ludzi na świecie dałoby wszystko, żeby znaleźć się na jego miejscu.

Nadal jeszcze było ciemno, gdy znalazł basen, gdzie łódzie czarterowe cumowały w doku niczym czekające na osiodłanie konie.

Wjechał na prawie pełny parking, wyciągnął swój sprzęt z bagażnika i zamknął samochód, następnie stanął obok mustanga, spoglądając w mroczne światło. Ludzie z trudem wyciągali z bagażników chłodziarki wielkości trumien, szepcząc, nawołując się wzajemnie, śmiejąc się i trzaskając drzwiami.

Zdarzyło mu się słyszeć kilka razy, jak ludzie nazywali łódzie czarterowe łodziami zabawy, i miał żarliwą nadzieję, że w jego przypadku wszystko będzie zgodnie z zasadami.

Padło teraz trochę mocniej, ale nie był to alarmujący deszcz. Wytrzeł głowę kapeluszem i schował go z powrotem do kieszeni, sprawdzając godzinę. Punktualnie piąta.

Podniósł chłodziarkę i ruszył przed siebie, szukając łodzi Blue Heaven i usiłując pokonać uczucie, że nadal śpi i że to sen.

Ktoś wyłonił się z szarej mgły, pachnąc intensywnie tytoniem i płynem po goleniu.

— Dzień dobry, ojczy! No to ruszamy na połów!

— Otis! Czy to ty?

— Kapitan Willie powiedział mi, że będziesz dzisiaj na pokładzie. Nie chciałem, żebyś wypłynął sam i zbyt dobrze się bawił.

Otis taszczył ze sobą chłodziarkę z fluorescencyjnym napisem, który był widoczny nawet w panującym przed świtem mroku: „Firma Bragg's na wszystkie twoje murarskie potrzeby”.

Opalony na brąz, brodaty kapitan Willie stał na pokładzie w szortach i T-shircie, witając ich donośnym głosem:

— Ojciec Timothy! Dzień dobry ojcu, bardzo nam miło, że płynie ojciec z nami!

Po chwili ścisnął dłoń wielką jak szynka i twardą jak skała.

— Proszę wejść ostrożnie, a teraz pozwoli ojciec, że to wezmę, proszę bardzo, witamy na Blue Heaven.

— Dzień dobry, kapitanie. Jaka zapowiada się pogoda?

Miał wrażenie, że łódź unosi się i opada na wodzie dość gwałtownie, a oni nawet jeszcze nigdzie nie wypłynęli.

— Wypogodzi się i będzie dobry połów. — Kapitan Willie uśmiechnął się serdecznie, odsłaniając w uśmiechu kilka złotych zębów. — To mój pierwszy oficer, Pete Brady.

Uścisnął dłoń muskularnemu mężczyźnie w wieku około trzydziestu lat.

— Miło cię poznać, Pete.

— Tak, proszę ojca, witamy na pokładzie.

— Czy to ojca pierwszy raz? — zapytał kapitan.

— Pierwszy w życiu.

— No cóż, płynie ojciec na połów z zawodowcem. — Poklepał Otisa po plecach. — Zapraszam do kabiny, proszę zostawić swoje rzeczy, rozgościć się. I, ojczy...

— Tak?

— Czy wyświadczy nam ojciec przysługę i pobłogosławi flotę dzisiaj rano?

— Och... a jak się to robi dokładnie?

— Wszystkie łodzie wypłyną mniej więcej w tym samym czasie, potem po wschodzie słońca wyjdzie ojciec na mostek i poprosi Boga o bezpieczny rejs i dobry połów. Inne łodzie będą słyszały ojca przez radio.

— Załatwione! — obiecał, czując nagły przypływ adrenaliny.

— Będziemy też mieć dla ojca prośby o modlitwę w różnych intencjach, na przykład przez ostatnie kilka dni modlimy się za córkę kapitana Tuckera, która choruje na białaczkę.

— Bardzo mi przykro. To będzie dla mnie zaszczyt i prawdziwa przyjemność.

— Dziękujemy. Teraz zapraszam dalej, proszę poznać wszystkich i rozgościć się.

Ojciec Tim wsunął głowę do kabiny.

Ernie Fulcher, siedząc z zieloną chłodziarką pomiędzy stopami, uniósł do góry dłoń i uśmiechnął się od ucha do ucha.

— Nie chciałem, żebyś ten pierwszy raz wyruszył w morze całkiem sam.

— Prawda — rzucił Roger, wyglądając na zmieszanego faktem, że wchodzi mu w słowo. — Uważaliśmy, że nie będziesz miał nic przeciwko małemu towarzystwu.

Madge Parrott i jej przyjaciółka Sybil Huffman wyglądały tak, jakby wybrały się na rejs po wyspach Bahama. Obwieściły z wyraźną dumą, że pochodzą z Rzymu w stanie Georgia i że to ich pierwsza wyprawa na połowy łodzią czarterową. Zamierzały łowić marlina, zadowolilyby się tuńczykiem, jeśli będzie to konieczne, ale nie będą łowić delfinów, nie, dziękują bardzo, słyszały, że delfiny potrafią śpiewać i że mają uczucia, jak ludzie.

Obydwie były wdowami, których mężowie byli wspaniałymi rybakami, w tej wyprawie chodziło o nawiązanie kontaktu ze zmarłymi, ponieważ słyszały, jak Chuck i Roy twierdzili, że połowy na otwartym morzu są najlepszą rzeczą, jaką wynaleziono od czasu krojonego chleba. Madge wyznała, że chociaż ona i Sybil nie piją piwa, nie widzą powodu, dla którego miałyby nie umieć łowić ryb tak jak wszyscy inni.

Zauważył, że całą grupę łączy potrzeba wyjaśnienia, co mają w swoich chłodziarkach, niektórzy nawet podnosili pokrywy i pokazywali zawartość oraz zapraszali serdecznie do częstowania się w każdej chwili tym, co ze sobą przynieśli.

— Jak wam się skończy picie, Roger i ja mamy tu wszystko — zapraszał Ernie, klepiąc wielką jak buick lodówkę. — Mamy Sun-drop, Mello Yello, Sprite'a, częstujcie się.

— Są też kanapki z szynką i indykiem na żytnim chlebie — dodał Roger. — Przygotowałem dwie dodatkowe, na wszelki wypadek, i smażone kurczaki.

Wszyscy pokiwali głowami w podziękowaniu, a tymczasem silniki zaczynały warkotać i szumieć. Ojciec Tim nie puszczał pary z ust na temat zawartości swojej chłodziarki — dwie kanapki z bananem na białym chlebie z niskotłuszczowym majonezem.

— Jak będziecie potrzebowali kremu do opalania — zaproponowała Madge — mamy go całe mnóstwo. Jest tutaj w kieszeni mojej kurtki.

Wskazała błękitną kurtkę zwiniętą na siedzeniu, aby wszyscy i każdy z osobna mógł ją namierzyć w nagłej potrzebie.

— A ja mam bonine — dodała Sybil — jeśli ktoś będzie cierpiał na chorobę morską.

Uniosła do góry torebkę i zagrzechotała jej zawartością.

— Czy cierpiałeś kiedyś na chorobę morską? — zwróciła się Madge do ojca Tima.

— Nigdy! — odparł.

Prawdę mówiąc, był na morzu zaledwie kilka razy, i to zawsze nie tracąc z oczu stałego lądu, tak więc nie było takiej możliwości, żeby kiedykolwiek cierpiał na chorobę morską. A jeśli chodzi o dzisiaj, zrobił to, co z całego serca rekomendowali Ernie i Roger — nic nie pił, dobrze się wyspał i nie jadł tłustego śniadania.

— Tylko dwanaście procent ludzi cierpi na chorobę morską — oznajmił Roger, cytując najbardziej zachęcającą wiadomość, jaką na ten temat posiadał.

Ernie podniósł pokrywę swojej chłodziarki.

— Ach, czy ktoś ma ochotę na Snickersa? Są tutaj, na samym szczycie lodu. Nie ma nic lepszego niż dobrze zmrożony, chłodny Snickers.

Madge i Sybil przyznały, że nigdy nie słyszały o mrożeniu Snickersów, ale wydawało się im, że muszą być naprawdę smaczne, szczególnie w gorący dzień. Sybil zadeklarowała, że spróbuje jednego przed końcem wyprawy.

Otis obwieścił, że gdyby ktoś chciał się poczęstować jego kurczakami z Kentucky Fried, to wiadomo, gdzie ich szukać. Miał też cygara, czarnego Johnniego Walkera i gotowane orzeszki ziemne, jeśli ktoś miałby ochotę.

Ojciec Tim jeszcze nigdy nie widział, aby tak szybko wytworzyła się więź pomiędzy kilkoma ludźmi. W jednej chwili poczuł chęć, by wstać i zaintonować pieśń.

Kapitan Willie uruchomił silniki i rufa Blue Heaven zanurzyła się głęboko w wodę, gdy wypływali z doku z — jak mu się wydawało — maksymalną prędkością. Ojciec Tim zdał sobie sprawę, że nie jest pewien, czy podoba mu się perspektywa powrotnej drogi, pominąwszy fakt, że morze wyglądało na bardzo wzburzone.

Bardzo, do licha, cholernie wzburzone, pomyślał, gdy w nieustającym deszczu pruli coraz głębiej w morze. Rozejrzał się po wnętrzu małej kabiny, gdzie wszyscy podchodzili najwyraźniej z bardzo dużym zrozumieniem do faktu, że statek ciskał nimi niczym gracz kośćmi w kubku. Trzymali się wszystkiego, czego mogli się chwycić, i krzyczeli, usiłując zagłuszyć huk ośmiuset pięćdziesięciu koni mechanicznych, pracujących na otwartym oceanie.

Otis Bragg był najwyraźniej wniebowzięty, mając na pokładzie dwie kobiety, kompletnie zielone w kwestii łowienia ryb. Rozpoczął już seminarium o tym, jak trzymać kciuk na żyłce, jak trzymać wędkę, jak zaciskać usta i jak ustawić stopy, wciągając naprawdę dużą rybę. Ojciec Tim słuchał, najuważniej jak potrafił, potem w końcu opadł ciężko na oparcie tapicerowanej ławki i wyjrzał przez drzwi kabiny.

Na zewnątrz był deszcz, kłębiąca się woda i spaliny z dieslowskiego silnika. Wewnątrz — rozsadzający uszy huk i najgorsza przejażdżka, na jaką się wybrał od czasu, gdy Tommy Noles zepchnął go z kamienistego stoku w czerwonym wózku bez dyszla.

Słońce wynurzało się z wody, kładąc na srebrnym morzu plamy światła i koloru.

Pete Brady wszedł do kabiny, trzymając w jednej ręce ociekającego deszczem półdziobca.

— Będzie chciał ojciec wyjść teraz na mostek. Proszę lepiej nałożyć kurtkę — doradził.

— Zgadza się! — zawołał.

Był zadowolony, że będzie mógł opuścić kabinę; zaledwie chwilę temu miał dziwne wrażenie, że się dusi...

Wstał, przytrzymując się stołu przykręconego do pokładu, następnie skierował się w stronę drzwi, modląc się w duchu, żeby nie wylądować na kolanach Madge Parrott.

— Powiedz Bogu, że chcemy, żeby ważyły od dwudziestu kilogramów w górę, gdyby był tak miły.

Otis przygryzł cygaro i uśmiechnął się. Ojciec Tim przywarł do ościeży drzwi.

— Jak się dostanę na mostek? — zapytał Pete'a.

Pierwszy oficer, który wyglądał tak, jakby wyciskał wnętrze ze złapanej na przynętę ryby, wskazał kciukiem w bok.

— Po tamtej drabinie.

Rozglądając się dookoła i zobaczył drabinę. Szczeble znajdowały się tuż nad wodą i prowadziły prosto do góry. Trzy, cztery, pięć...

— Po tej drabinie?

— Tak, proszę ojca, proszę się mocno trzymać.

Zerknął w czarne i kłębiące się morze, po czym zrobił kilka szybkich kroków, stając przy krześle, które było przykręcone do pokładu kokpitu. Pete kręcił się dookoła, bez najmniejszego problemu utrzymując równowagę, ale ojciec Tim miał zdecydowane przeczucie, że gdyby puścił się krzesła, wylądowałby w Currituck Light.

Obrócił się i gwałtownym ruchem usiłował schwycić ostatni stopień drabiny, ale niestety, pomylił się w kalkulacjach i wpadł na reling. Zbyt zaskoczony, żeby się przytrzymać, zatoczył się na ścianę kabiny i w końcu zdołał uchwycić dolny szczebel. Dzięki Bogu, Pete zakładał przynętę, zwrócony w stronę morza, a jego współtowarzysze w kabinie nic nie wiedzieli o jego nieszczęściu.

„Dobry Boże, nigdy wcześniej tego nie robiłem. Ty świetnie sobie radziłeś z wodą i liczę na Ciebie, że pomożesz mi osiągnąć cel”.

Sięgnął do wyższego stopnia i mocno go pochwycił.

Dookoła wirowała rozpylona woda, fale się kłębiły, słońce wschodziło... teraz albo nigdy. Zawisł na drabinie i zaczął się wspinać, na próżno usiłując zawinąć swoje tenisówki wokół stopni, jak podłużne bulki wokół parówek.

Wciągnął się na mostek, chwycił twardy brzeg relingu i stał przez chwilę oniemiały. Widok, jaki rozciągał się z mostku, dosłownie zapał mu dech w piersiach.

Jak ktokolwiek mógł wątpić w żywą prawdę słów psalmisty: „Niebiosą głoszą chwałę Boga, dzieło rąk Jego nieboskłon obwieszczą!” Miał ochotę krzyknąć, głosząc niepohamowaną chwałę.

Jego koszula łopotała na wietrze niczym flaga, kolana mu drżały. Ta łódź pruć przed siebie jak torpeda, bez dwu zdań; a pod ich stopami było nieskończone, przerażające, niespokojne morze i wschód słońca wspinający się po niebie niczym języki ognia.

To był z pewnością dom aniołów, a życie w kabinie stanowiło godną politowania egzystencję.

Przedostał się do steru, gdzie kapitan Willie stał z mikrofonem, i chwycił się oparcia znajdującego się przy sterze krzesła.

— Cieszymy się, że jest ojciec z nami! Serdeczne pozdrowienia dla ojca od całej floty w ten piękny, wrześnieowy dzień!

Żołądek dziwnie mu podskoczył, gdy otworzył usta, żeby przemówić, więc zamknął je z powrotem.

Kapitan mrugnął.

— Trochę nas trzęsie dzisiaj rano. Skinął głową.

— Naprawdę gwałtowne i nacierające na kadłub morze. Poczul na czole pot, gdy kapitan przemówił do mikrofonu.

— Bardzo się cieszymy, że jest dzisiaj z nami ojciec Tim Kavanagh, który poprowadzi nas w modlitwie. Jest z Whitecap, gdzie Toby Rider ma swój sklep ze sprzętem żeglarskim. Jeśli ktoś ma jakieś prośby o modlitwę, to proszę je teraz przedstawić.

Odbiornik ryknął.

— Ojcie, mój chłopiec spadł z drabiny w niedzielę, jest, ach, w szpitalu, wygląda na to, że nic mu nie będzie, ale... ma na imię Danny. Dziękujemy.

— Proszę pomodlić się za Romaine'a, przygniótł go traktor i rozpruł mu nogę. Dziękuję.

— Chciałbym poprosić o... wybaczenie za coś, co zrobiłem, nie ma po co wchodzić w szczegóły, byłbym wdzięczny.

Przedstawiono jeszcze kilka innych próśb, podczas gdy on stał, pochyliwszy głowę, i słuchał uważnie, trzymając się z całych sił oparcia krzesła.

— To wszystko? Czy ktoś jeszcze?

Zanurzył dłoń w kieszeni, szukając czapki. Mimo że deszcz przestał padać, nałożył ją i naciągnął mocno na uszy. Następnie wziął mikrofon, zaskoczony, że wydaje się ciężki jak klucz do nakrętek.

— Chcielibyśmy się pomodlić za właściciela przystani i jego żonę, Angie — dodał kapitan Willie.

— Ma raka piersi. I córkę kapitana Tuckera, nie chcemy o niej zapomnieć, ma na imię Sarah, zostaje jeszcze Toby Rider, stracił tatę, i bardzo go nam żal. Oczywiście, chcielibyśmy prosić o łaski Boże dla każdej rodziny w domu i każdej duszy na pokładzie...

Kapitan Willie odwrócił się do steru, chwycił czerwoną gałkę i jednym ruchem dłoni wyłączył silniki.

W nagłej ciszy fale rozbijały się o kadłub, tłumiąc bulgoczące dźwięki wydostających się na zewnątrz spalin. Miał wrażenie, że kołyszą się na nierównym morzu jak obracające się w bębnie pralki pranie.

Serce było mu tak mocno, jakby właśnie ukończył bieg. Ale to nie serce go martwiło, tylko żołądek. Wydawał się dziwnie nieuchwytny, jakby przesunął się w jakieś nowe miejsce, a on nie potrafił go zlokalizować.

— Nasz Ojczy, dziękujemy Ci z całego serca za piękno wschodu słońca nad tym bezkresnym morzem i za niemy podziw oraz cud we wszystkich darach Twojego stworzenia. Prosimy Cię o Twoje hojne błogosławieństwo dla każdego kapitana i majtka na pokładzie każdego statku w tej flocie i modlimy się, abys za sprawą Twojej łaski sprawił, żeby każdy z nas był w stanie rozpoznać Twoją wolę, miłość i łaskę przez cały dzień...

Nazwiska ludzi i ich pragnienia, jak one brzmiały? Jego umysł wydawał się przeraźliwie pusty, jakby każdy zawiązek myśli i rozumu uleciał na wietrze niczym pył.

„Boże! Pomóż!”

— Dla Sarah prosimy o Twe czułe łaski, abys otaczał ją każdego dnia swą uzdrawiającą troską obdarzając mądrością tych, którzy się nią opiekują, i dając im siły oraz wytrwałość...

Bez względu na z górą trzydzieści lat nieprzerwanego doświadczenia w ofiarowaniu modlitwy, uznał, że to cud, iż jest w stanie przypomnieć sobie wszystkie nazwiska, jedno po drugim. Gorliwie oddał się modlitwie, odczuwając coś z autentycznego ciężaru i bólu, żarliwości łask, o które się modlił.

Otarł pot z czoła.

— O Panie, który czynisz drogę w morzu i ścieżkę pośród potężnego oceanu, dziękujemy Ci za wysłuchanie naszych modlitw w imię Twojego błogosławionego Syna, naszego Zbawiciela, Jezusa Chrystusa. Amen.

Kapitan wziął mikrofon i włożył go do uchwytu, jednocześnie dziękując mu za modlitwę.

Zauważył coś, co wyglądało na wyraz współczucia na twarzy kapitana, kiedy wymieniali uścisk dłoni.

— Blue Heaven, Salty Dog, wróć.

— Blue Heaven, słucham, Salty Dog.

— Chciałem tylko powiedzieć, że jesteśmy bardzo wdzięczni za modlitwę ojca Kavanagh i oczywiście mamy nadzieję, że nie padnie ofiarą tortur niespokojnego morza. OK, Salty Dog wraca na osiemdziesiąt.

— Blue Heaven gotowy do startu na osiemdziesiąt.

Kiedy kapitan uruchamiał silniki, ojciec Tim zatoczył się na reling i przechylił przez barierkę.

Dobre życzenia i szczerą nadzieję kapitana Salty Dog przyszły zbyt późno.

Dwa razy przez barierkę, to powinno stłumić wszystko w zarodku. Już teraz bolały go żebra od wymiotowania; było już prawdopodobnie po wszystkim i może zejść teraz po drabinie i napić się czegoś, a może nawet coś zjeść — na tym właśnie polega problem, wypływanie na niespokojne morze z pustym żołądkiem...

Był zaskoczony swoją zręcznością na drabinie, jakby po poprzedniej jednorazowej próbie stał się już wytrawnym żeglarzem. Nic groźnego, pomyślał, spoglądając w dół na fale uderzające z łoskotem o łódź.

„Dobry Boże!” Zszedł z drabiny i przechylił się przez reling. Gdzieś z głębi jego jestestwa dobyła się żółć, rozpylając się na wietrze jak mgła — gorąca, gorzka i niepojęta.

To jego głowa. Wyglądało na to, że stracił głowę, gdy ostatnim razem przechylił się przez barierkę. Sięgnął z wysiłkiem i starał się jej dotknąć. Nie, to czapka mu zginęła. Ześlizgnęła się i wpadła do morza, a skóra na głowie wysychała mu jak orzeszek ziemny w Georgii.

— Niech tu siedzi, na razie nie widzimy żadnych ryb — usłyszał słowa Otisa.

Otworzył oczy i zdał sobie sprawę, że siedzi w krześle do wyciągania ryb. Krzesło do wyciągania ryb. Dobry żart.

— Czapka — powiedział. — Czapka.

Nikt go nie słyszał, ponieważ odkrył, że nie jest w stanie mówić głośniej niż szeptem. Nie miał dość siły, żeby wymówić przez spękane usta słyszalne słowa.

Świetnie. Będzie tu po prostu siedział, aż wyrzucą go za burtę, i chciał, żeby się to stało raczej szybciej niż później. W całym swoim życiu nie zaznał takiego cierpienia — nie po majonezie na parafialnym pikniku, który nieomal zupełnie go wykończył, nie z powodu śpiączki cukrzycowej wywołanej przez ciasto pomarańczowe Esther Bolick, nie podczas szalejącej temperatury, którą miał w dzieciństwie i gdy widział swoją mamę jako artystę cyrkowego, który sprawiał, że limonki skaczą przez obręcze.

— W baptystach nie podoba mi się to — tłumaczył Otis — że nie chcą się odezwać do ciebie w sklepie z alkoholem.

Śmiech, szuranie, ogólna wesołość — ludzie cieszący się życiem, jakby jego tu nie było, jakby był niewidoczny jak huba na kłodzie drewna.

— Tak właśnie bywa, czasami — mówił Pete. — Jesteś zerem albo bohaterem. Wczoraj wciągaliśmy je tak szybko, że nie nadążałem z zakładaniem przynęty; dzisiaj nie wiem, gdzie są.

— Trzeba je pompować — radził Ernie. — Powiedzmy na przykład, że wciągacie dwudziestokilowego tuńczyka, trzeba podnieść wędkę naprawdę wolno, potem upuścić ją szybko w dół i nawijać.

Rozmowy to dobiegały jego uszu, to urywały się; jak huczenie w ulu, myślał, jak pszczoły, które wróciły z pracy na kępie kwiatów.

— A weźmy na przykład tarpona — kontynuował Otis. — Byłem w zatoce Keys, gdzie rosną tak duże, że nie można ich wciągnąć na burtę. Tarpona należy po prostu podrzucić kilka razy, a następnie zdjąć, zanim się go zmęczy. Jak się go za bardzo zmęczy, to dostanie się rekinom.

— Nigdy nie złapałem tarpona — wyznał Ernie. Otworzył oczy i szybko zamknął. Pete pokazywał Madge i Sybil, jak robi przynętę.

— Widzicie, wyluskujecie oczy w ten sposób... potem łamiecie kręgosłup.

— Uch — jęknęła Madge.

— Tylko żeby nie zemdląca — przestrzegał Otis.

— Nie mam zamiaru mdleć, dziękuję!

— Potem wyciskacie wnętrza, widzicie...

— Boże, miej litość — syknęła Sybil.

— Rzecz w tym, że im bardziej wiją się w wodzie, tym więcej ryb się na nie łapie.

— Sprytne! — rzuciła z uznaniem Madge. — Naprawdę bardzo sprytne.

Zanim zdał sobie sprawę, że to robi, znowu znalazł się przy relingu na kolanach.

— Na kolanach przy relingu — oceniła Madge. — To bardzo episkopalne.

— Albo luterańskie — zauważyła Sybil. — Czy to nie może być luterańskie?

Nie wiedział kto, może Otis albo Ernie, ale ktoś przytrzymał mu głowę, podczas gdy on wypluwał swoje wnętrza i obserwował, jak wymiociny oddalają się na smagającej statek wodzie.

— Wypływaliśmy każdego dnia przez czterdzieści jeden dni z rzędu — zauważył Pete, który obecnie urozmaicał przynętę, próbując wszystkiego.

— Czasami człowiek wręcz się modli o północno-wschodni wiatr, żeby można było zrobić sobie przerwę, ale jak jest dobra pogoda, trzeba płynąć.

Pogoda dzisiaj nie jest dobra, próbował powiedzieć, ale nie był w stanie. Dlaczego, do diaska, wypłynęliśmy dzisiaj, skoro się nie wypływa, jeśli pogoda nie jest dobra? Odpowiedz mi na to! Ponadto, ponadto... chciał porozmawiać o tym z Rogerem... jego wiedza matematyczna mu to mówiła — nie licząc załogi, stanowił więcej niż jakiegokolwiek cholerne dwanaście procent.

— Jak myślisz, jaki będzie w tej chwili wiatr? — chciał wiedzieć Roger.

— Och, dwadzieścia, trzydzieści kilometrów na godzinę. To nic takiego. Znam kogoś, kto wczoraj wypłynął na całą noc przy wietrze osiagającym prędkość sześćdziesięciu kilometrów na godzinę.

Ogólna pełna szacunku cisza. Spaliny z dieslowskiego silnika. — Musimy myśleć pozytywnie — rzuciła Madge. — Wędzony filet z tuńczyka! Właśnie tak myślę!

— Musi już być pora lunchu — doszedł do wniosku Otis. — Wydaje mi się, że wypiję jednego. Chcecie jednego?

— Może później.

— Dziękuję, ty się napij, ale nie miałbym nic przeciwko spałaszowaniu z tobą kilku orzeszków ziemnych.

Piekł się, przypiekał, smażył, był ugotowany. Krem do opalania. Pamiętał, że miał go w kieszeni kurtki, ale nie miał jej teraz na sobie. Ktoś wcześniej pomógł mu ją zdjąć.

— Spójrz — zauważyła Sybil. — To biedaczysko potrzebuje czegoś.

— Co? — odparła Madge. — O, na litość, spójrz na jego głowę, czerwona jak burak. Gdzie ma czapkę?

— Poszedł do relingu i wrócił bez niej.

— Proszę bardzo. — Otis wklepywał mu w skórę głowy krem do opalania, po czym nałożył mu czapkę.

— Niech cię Bóg błogosławi — zdołał szepnąć.

— Co powiedział?

— Powiedział, żeby mnie Bóg błogosławił. Wydawało mu się, że Otis jest wzruszony.

— Ojczy, może trochę wody albo coli? Cola mogłaby ojcu dobrze zrobić.

— Nie, proszę pana — nie zgodził się Ernie — jemu potrzeba piwa korzennego. Czy ktoś ma piwo korzenne?

— Sok owocowy — odparła Madge — właśnie to dałabym komuś, kto ma problemy żołądkowe.

— Sok owocowy nie jest dobry — wtrącił się Pete. — Ma za dużo kwasów.

— A co powiecie na kawałek lodu do potrzymania w ustach?

— Nie jestem pewien. Podobno jak człowiekowi jest bardzo gorąco, to nie powinien łykać niczego naprawdę zimnego, bo może dostać ataku serca albo wylewu.

— Porusza ustami. Co mówi?

Otis pochylił się i słuchał przez chwilę.

— Modli się — poinformował wszystkich Otis.

Zboczyli na wschód, potem na południe, ale nie mogli znaleźć żadnych ryb. Podobnie reszta floty. Od czasu do czasu jedna z łodzi miała kilka brań, informowała ich o tym przez radio i wszyscy śpieszyli w tamtą stronę. Do tej pory jednak Blue Heaven złapał tylko dwa delfiny i wrzucił z powrotem do morza kilka ryb, które były zbyt małe, żeby je wyciągać.

Unosili się obecnie na wodzie kilka kilometrów na południe od Wirginii, ciągnąc za sobą orczyk. Morze było wzburzone co najmniej tak samo jak przedtem albo jeszcze bardziej; ich statek baraszkował na falach jak buszujący w kukurydzy niedźwiedź. Pomyślał o tym, żeby spojrzeć na zegarek, ale po co się fatygować? Cierpienie zdawało się bez końca. Nie ma żadnej nadziei, że ktokolwiek zawróci do brzegu dla chorego mężczyzny, nie mówiąc nawet o przysłaniu helikoptera. Musi w tym wytrwać.

Nie dopuszczał do siebie myśli, że musi oddać mocz, ponieważ zrobienie tego oznaczało konieczność przejścia przez kabinę, gdzie po raz pierwszy go to dopadło i pozbawiło tchu. Nie wróci do tej kabiny, nawet gdyby mieli zaciągnąć go tam parą koni.

Od czasu do czasu jakaś życzliwa dusza odwiedzała jego krzesło i stała przez chwilę z wyrazem niemego współczucia.

— Bardzo mi przykro, Tim.

— Wyjdiesz z tego, przyjacielu.

Nawet kapitan zszedł z mostka i położył mu dłoń na ramieniu.

— Niech się ojciec trzyma.

Ich troska stanowiła jakieś pocieszenie, musiał przyznać, chociaż bardzo chciał mieć już za sobą całe to upokorzenie.

W pewnym momencie ktoś zapewniał go, że nie umrze, co jednak stanowiło dla niego wątpliwe pocieszenie, bo i tak było mu wszystko jedno.

— Czy słyszeliście o gościu, który wypadł z łodzi, gdy próbował wciągnąć marlina?

— Niemożliwe.

— Pisali o tym w gazecie. Marlin ważył sto osiemdziesiąt kilogramów, człowiek przeleciał przez ster.

— Zostałby wciągnięty przez zmyw.

— Nie został. Ktoś skoczył za nim i go uratował. Ale to nie jest najlepsze. Dostał tego marlina.

— Bujda. To bajka wyssana z palca.

— Mówię ci prawdę. Czytałem o tym w gazecie.

— Słyszałem o rybach, które wciągały do wody pierwszych oficerów — rzucił Pete.

— Nie chcę słuchać tych okropieństw — zaproponowała Madge.

Przeżył szok, gdy odkrył, że po raz kolejny klęczy przy relingu, w ogóle nad tym nie panując. Czuł się zupełnie pozbawiony kontroli, co kompletnie go przerażało; równie dobrze sam mógł być przynętą; pozbawioną woli i rozumu, żeby zmienić swoje położenie.

— Pięć — ktoś stwierdził. — To piąty raz.

— Siódmy. Przechylił się przez reling na mostku dwa razy.

— Macie ochotę coś zjeść? Umieram z głodu.

— Myślałam o tym, co zrobiłam wczoraj wieczorem. Sałatka z tuńczyka. Na bagietce! Ach, i późne pomidory z ogrodu mojego sąsiada. Wyśmienite! — zachwyciła się Madge. — Pokroję je, żebyśmy wszyscy mogli spróbować.

— Tuńczyk z puszki? — dopytywał się Otis. — To świętokradztwo.

— Czy zostawimy go tutaj samego? — zastanawiała się Sybil.

— Ojcie? Ojcie!

Dlaczego ludzie uważają, że chorzy automatycznie tracą słuch? „Co?” Nie był w stanie zadać tego pytania w słyszalny sposób, więc sformułował je w myślach, co powinno wystarczyć.

— Chce ojciec wejść do środka?

— Nie zabierajcie go do środka — poradził pierwszy oficer. — Traci się wtedy z oczu horyzont. To właśnie dlatego ludzie zazwyczaj zapadają na chorobę morską, że tracą z oczu horyzont.

— Ale siedzi tutaj, odkąd przestało padać. Myślę, że powinniśmy przynajmniej posmarować mu kremem ramiona. Spójrzcie na jego ramiona.

Czuł, jak kilka dłoni dotyka jego ciała, i usiłował wyrazić wdzięczność.

— Patrzcie. Nie ma skarpetek. Posmarujcie mu kostki.

— Tył szyi — zauważył Ernie. — To bardzo wrażliwe miejsce, nałóżcie mu tam trochę kremu.

— Jest strasznie czerwony — oceniła Madge.

Zdał sobie sprawę, że nie był dość precyzyjny, pisząc testament; teraz jest już za późno, żeby powiedzieć, że nie chce leżeć w otwartej trumnie.

Spał albo mu się wydawało, że śpi. Być może stracił przytomność, z głową pustą jak makówka. Najbardziej w życiu obawiał się właśnie pustej głowy. Zmusił się, żeby otworzyć oczy, i ujrzał jedynie błysk, jasność, która poruszała się i unosiła, i drżała, i tańczyła, i usiłowała za wszelką cenę przedostać się do jego żołądka. Prawdę powiedziawszy, nigdy nie zwracał większej uwagi na swój żołądek. Gdy był pusty, coś do niego wrzucał; gdy był pełny, był szczęśliwy. Teraz czuł go jak bolesną i zwiotczałą rzecz, która z każdą podrzucającą łódź falą huśtała się w nim jak pęcherz owcy.

Chciał swojej żony. Z braku tego pocieszenia otulił się kurtką, zacisnął mocno oczy i zaczął snić sen tak ulotny jak mgła.

Dzięki Bogu! Chyba naprawdę czuje się lepiej!

Wydawało mu się, że lepiej widzi, że jakby czuje się silniejszy; ale nie chciał chwalić dnia przed zachodem słońca, o nie. Posmarował usta pomadką ochronną i naciągnął głębiej czapkę Otisa, myśląc o swoim poziomie cukru, który musiał spaść na samo dno Prądu Zatokowego. Żałował, że nie wziął ze sobą tachometru... nie, to nie to. A co w takim razie? Czy mógł doznać uszkodzenia mózgu przez ten straszny atak? Glukometr, to o to mu chodziło.

Słaby... strasznie słaby. Zdał sobie sprawę, że myśli o Snickersach Erniego, dobrze zmrożonych i chłodnych. Niewielka iskierka, płomyk nadziei zrodził się w jego sercu. Dziękuję Ci, Panie...

Spojrzał na niespokojną wodę i zobaczył inne łodzie na horyzoncie — jedna, dwie, jak rodzina.

— Mieliśmy okropne gniazdo szerszeni na ścianie w naszym kościele! — opowiadała Sybil.

— I co zrobiliście?

— Przegoniliśmy je śpiewnikami i biuletynami.

— Dlaczego nie zniszczyliście ich?

— Ożywiają się tylko raz w roku, pod koniec kwietnia albo maja, i tylko po stronie, gdzie i tak prawie nikt nie siedzi.

— Wczoraj bohaterem, dzisiaj zerem — szepnął Pete, wyciągając przynętę, która przypominała ustrojona choinkę.

Ojciec Tim pomachał ręką do Erniego, który podszedł do niego i pochylił się nad krzesłem.

— Co mogę dla ciebie zrobić, przyjacielu?

— Snickersy — szepnął, skrzeczając jak ropucha.

— Snickersy?

Kiwnął głową słaby, ale nie bez pewnej nadziei.

— Złapaliśmy jedną! — krzyczał Ernie. — Otis! Gdzie jest Otis?

— Na dziobie. Ty ją wyciągnij!

Ojciec Tim słyszał o całkowitym pandemonium, ale nigdy wcześniej go nie widział. Sześcioro ludzi zamieniło się w prawdziwą horde i tłoczyło wokół niego jak armie Salomona.

— Mamy tu rybę! Hura!

— Mam tu kolejną. Weź ją, Madge!

Spojrzał na pulsujące żyłki, krzyżujące się ponad i wokół steru jak autostrady w LA.

— Jest odpowiednich rozmiarów! — Pete nabił coś na osękę i wyciągnął z wody.

— Świetnie, Roger!

Ujrzał tęczę kolorów, która rozbłysła na dużej rybie, gdy ta wędrowała do skrzynki. Upadła na dno z trzaskiem, który przywodził na myśl uderzenie kopyt konia o ścianę boksu. Pete wyciągnął osękę i splukał węzem z pokładu krew.

Kapitan łowił z mostku; wszyscy łowili. Podniósł się z krzesła, jak najdalej od tego zamieszania, i przytulił się do ściany kabiny.

W krześle do wyciągania ryb, zgięta do przodu, siedziała mocno Madge, mocując się z całych sił z czymś dużym.

Otis przytrzymał kciukiem jej żyłkę, pomagając jej unosić i opuszczać wędkę.

— Musisz go teraz pompować — radził, ściskając w zębach cygaro.

— Ojej! Musiałam złapać jakiegoś olbrzyma!

— Nie przestawaj nawijać! Kapitan Willie zawołał przez głośnik:

— Proszę, zajmij się lewym rogiem, Pete, zajmij się lewym rogiem, mamy tam kłopoty.

— Gorączka łowienia — szepnęła Pete, przemykając obok niczym błyskawica.

Madge nawijała żyłkę na kołowrotek, wydychając i wciągając powietrze jak zawodowy bokser.

— Ta ryba mnie wykończy. Niech ktoś przyjdzie i weźmie ode mnie tę cholerną wędkę!

— Nie poddawaj się! — krzyknęła Sybil, usiłując objąć całą scenkę aparatem. — Nie przestawaj, Chuck byłby dumny!

— To nic innego jak najprawdziwszy tuńczyk — zawyrokował Otis.

Pomógł Madge podnieść wędkę, gdy ryba zbliżała się do łodzi.

Chociaż nogi nadal miał jak z waty, ojciec Tim przeszedł na rufę i spojrzał w dół. Woda, która rano była zupełnie czarna, zmieniła się w błękitnozieloną, a pod jej lustrem mknęły zwinne i świetliste ryby.

Wydawało mu się, że to jeden z najpiękniejszych widoków, jakie kiedykolwiek widział.

— Następna!

Odsunął się, gdy Pete biegł na prawą stronę krzesła do wyciągania ryb, potem opuścił osękę i wciągnął na pokład tuńczyka.

— Świetnie, Madge!

— Piękna! Piękna! Pogwizdywania, wiwaty, aplauz.

— Ta będzie ważyła blisko trzydzieści, trzydzieści pięć kilogramów — ocenił Otis, gdy Madge wstała na chwiejnych nogach z krzesła, uśmiechając się do aparatu Sybil.

Kapitan łowił ryby, Ernie łowił ryby, Roger łowił ryby.

— Mam rybę na haczyku! — krzyknął Pete. — Kto ją weźmie?

— Ja ją wezmę! — Gdy ojciec Tim opadał na krzesło, wszyscy zgromadzeni dodawali mu odwagi gromkimi okrzykami.

Wstał z martwych, powrócił do życia, był gotów to zrobić.

— I jak było, kochanie?

— Wspaniale! — odparł, całując ją. — Co za braterstwo, cudowne braterstwo — bracia na statku, rozumiesz?

— Rozumiem. A pogoda? Wzruszył ramionami.

— Morze było trochę niespokojne, ale dało się wytrzymać.

— Co mamy na kolację? — zapytała, przyglądając się lodówce, którą taszczył.

— Tuńczyk żółtopłetwy i delfin! Rozpalmy grill — rzucił, idąc korytarzem — i wszystko ci opowiem!

Zanim znalazł się w kuchni, zaczął gwizdać.

Pośpieszyła za swoim mężem zadowolona. Wrócił do domu, wyglądając znacznie szczuplej, zdecydowanie bardziej opalony i wyraźnie bardziej zrelaksowany. Wiedziała od samego początku, że wykupienie mu miejsca u kapitana Williego jest genialnym pomysłem.

Rozdział czternasty

ZOSTAWIĆ TO ZA SOBĄ

— Odwróć się i nie patrz przez chwilę — poprosił Roger.

Ojciec Tim odwrócił się twarzą do pokoju z książkami, gdzie na parapecie siedział Elmo, liżąc swoje łapy po posiłku, na który składała się rozmrożona barwena.

— OK, teraz możesz spojrzeć.

Roger umieścił wyrzeźbioną głowę na kadłubie cyranki z zielonymi skrzydłami; kaczka spoglądała na niego w sposób, który zdawał mu się autentycznie smutny.

— Aha — szepnął.

— Osadziłem oczy już jakiś czas temu i zapomniałem ci pokazać.

— Zobaczysz, będzie wyglądała jak prawdziwa! — Ernie Fulcher uśmiechał się, jakby całe to przedsięwzięcie było jego dziełem. — Prawdę powiedziawszy, gdybyś chciał, mógłbyś porównać ją na miejscu do prawdziwego stworzenia. Mamy jedną, którą trzymamy w zamrażarce na wypadek, gdyby Roger potrzebował modelu.

— Nie trzeba — podziękował ojciec Tim, który wcale nie pragnął oglądać martwej kaczki w plastikowym worku Ziploc z hermetycznym zapięciem.

— Zanim osadziłem oczy — tłumaczył Roger — nie miała żadnego charakteru, była pozbawiona osobowości. Oczy leżące na stole do pracy są niczym, ale wystarczy je osadzić i ten kawałek drewna staje się kaczką.

— Zadziwiająca! Po prostu zadziwiająca.

— Muszę opalić wszystkie pióra, teraz gdy już je wyrzeźbiłem. Potem nakładając gips sztukatorski, przygotowuję podłoże, a następnie pomaluję całość. Widzisz te zwierciadlane pióra na skrzydłach? Będą zielone, a puch pod ogonem będzie koloru szampana.

Roger podał swoje dzieło ojcu Timowi, który wziął je z dziwnym nabożeństwem.

Chociaż nie wiedział, dlaczego, i na pewno nie wiedział, jak... to była jego kaczka.

Zbierał się, by wyjść, gdy do środka wszedł Junior Bryson, który wyglądał tak, jakby stracił ostatniego przyjaciela. Ogon Lucasa uderzył na powitanie w podłogę.

— Zrobiłem to — wyznał Junior.

— Co takiego zrobiłeś? — chciał wiedzieć Ernie.

— Porozmawiałem z tatą Avy.

— Chodź i usiądź — zaprosił go Ernie, wysuwając krzesło. — Chcesz pepsi, to bardzo proszę! Chyba że wolałbyś piwo korzenne.

Junior potrząsnął głową w odpowiedzi na zaproszenie Erniego i usiadł ciężko na krześle przy stole. Według ojca Tima wyglądał bardzo niewyraźnie. Postanowił nie wychodzić i usiadł obok Juniora.

Roger umieścił kaczkę w pudełku. Roanoke zapalił marlboro. Cisza.

— A więc? — zaczął Ernie. Junior westchnął.

— No cóż, zebrałem się w końcu na odwagę, żeby zadzwonić do jej taty, wziąłem więc książkę telefoniczną, w której jest Swan-quarter i znalazłem w niej nazwisko Goodnight.

— Sprytnie! — pochwalił go Ernie.

— Nie było to aż tak sprytnie — żalił się Junior. — Myślałem, że jej tato będzie się nazywał Goodnight, ale kiedy telefon zaczął dzwonić, olśniło mnie, że Goodnight to prawdopodobnie nazwisko po jej mężu i że to ona może odebrać telefon.

— Zgadza się! — przyznał Ernie, nie tracąc nadziei.

— Już miałem odłożyć słuchawkę, gdy odezwał się mężczyzna. Trochę mnie to zbiło z tropu. Pomyślałem, że to może jakiś jej przyjaciel. Ale to był jej tato, pan Taylor. Mieszka u Avy.

Roanoke wypuścił kółko dymu. Ziewnięcie Lucasa zabrzmiało jak skrzypnięcie zawiasów w drzwiach.

— No cóż, ćwiczyłem to, co chciałem powiedzieć, ale gdy odebrał telefon, wszystko zapomniałem.

— Tak — pocieszył go Ernie. — Zazwyczaj tak się dzieje.

— Mimo to powiedziałem: „Mówi Junior Bryson z Whitecap, Ava mogła o mnie wspominać”.

— To bardzo dobry początek.

— On na to: „Czy ty jesteś tym gościem, który gra w scrabble i łowi ryby”? — Twarz Juniora rozjaśniła się na chwilę. — Odpowiedziałem: „Tak, proszę pana”. On z kolei odparł, że podoba mu się gość, który mówi „proszę pana”, większość ludzi zapomniała już o tym, żeby mówić „proszę pana”.

— A co ty na to?

— Powiedziałem: „Tak, proszę pana, ma pan rację”.

— Znaleźliście wspólny język! — wykrzyknął Ernie.

Roger i ojciec Tim zgodnie pokiwali głowami.

— Powiedziałem więc, że miałem nadzieję, iż Ava mogłaby się ze mną spotkać, łowię zarówno w zatoce Sound, jak i na otwartym morzu, i że mam małą łódkę, którą można się wybrać na kraby, i tak dalej, mógłbym zaproponować jej całą gamę opcji.

— To powinno było załatwić całą sprawę od ręki!

— Dodałem też, że jestem całkiem niezły w scrabble i że mógłbym być godnym przeciwnikiem dla Avy.

— I co on powiedział?

— On powiedział, że cały czas go ogrywa, nie wspominając o tym, że zawsze pokonuje siostrę i niektórych sąsiadów.

Ernie zagwizdał przez zęby.

— Opowiedziałem mu o swojej pracy i o tym, że zostałem pracownikiem miesiąca w kwietniu, i tak dalej...

— Co jeszcze?

— Powiedziałem, że mam swój dom i że dbam o swoją ciężarówkę, zawsze jest umyta i nawoskowana, że sam wymieniłem olej i że właśnie założyłem nowy komplet michelinów.

Junior wyglądał na wyczerpanego.

— Wyłożyłeś wszystkie karty na stół — podsumował Ernie. — To wszystko, co może zrobić mężczyzna. A co on na to?

Junior spojrzał na swoje dłonie.

— Powiedział, że wyglądam na całkiem uczciwego i odpowiedzialnego.

Ernie rozpromienił się.

— I co potem?

— Więc wtedy powiedziałem mu, że nie otrzymałem od Avy żadnej wiadomości i że zastanawiałem się, czy zechciałby mi dać swoje pozwolenie na to, żebym się z nią spotkał i tak dalej.

Ojciec Tim rozejrzał się dookoła. Roanoke czyścił paznokcie swoim scyzorykiem. Roger rozważał w skupieniu całą sytuację. Ernie wyglądał na zdenerwowanego.

— A on na to: „Cóż, synu, podoba mi się to, co mówisz, naprawdę, i byłem zdania, że te zdjęcia przedstawiają prawdziwie przystojnego gościa, ale twój list nie przekonał Avy, że jesteś chrześcijaninem, a

to jest jej warunek, jak również mój". Potem dodał, że napisała do mnie list, dzień czy dwa dni temu, i że domyśla się, że go jeszcze nie otrzymałem.

Ernie wyglądał na zde gustowanego.

— Do licha, może lepiej nie spotykać się z kimś, kto może cię ograć w scrabble. Pomyślałeś o tym?

— To, że ogrywa swojego tatę, nie znaczy, że może ograć mnie.

— Więc co możemy zrobić, żeby popchnąć sprawy do przodu? — dopytywał się Roger.

Wyglądało na to, że w tej chwili dały o sobie znać nawyki Rogera nabyte podczas jego wieloletniej pracy na stanowisku prezesa.

Junior rozejrzał się, szukając wzrokiem w każdej twarzy odpowiedzi na to dręczące pytanie, i w końcu utkwił go w ojcu Timie, który znał spojrzenie Juniora bardzo dobrze.

— Chciałbyś porozmawiać? Junior kiwnął głową.

— W każdej chwili, daj mi tylko znać.

Na twarz Juniora wypłynął nagle wyraz nadziei.

— A może teraz? Moglibyśmy usiąść w mojej ciężarówce. Roger i Ernie skinęli aprobująco głowami w stronę duchownego.

— Załatwione — zgodził się.

— Jeśli potrzebuje ojciec klimatyzacji, możemy zamknąć okna. Ojciec Tim zauważył, że Juniorowi drżą ręce. Rozmowa z duchownym właśnie tak czasami działała na ludzi.

— Nie, dziękuję. Ale może mógłbyś przestawić ją gdzieś do cienia — zaproponował.

„Panie, obdarz mnie mądrością. Niech Twój Duch Święty będzie z nami...”

Jego serce przepelniała życzliwość dla Juniora Brysona.

Gdy Junior uruchomił silnik, z głośników wielkości transporterów na napoje eksplodował porażający ryk muzyki country. Zawstydzony Junior pośpiesznie wyłączył muzykę.

— Bardzo za to przepraszam.

— Nie ma sprawy — odparł jego pasażer. Zaledwie był w stanie odezwać się ze względu na zalewającą jego organizm adrenalinę.

Junior zatrzymał ciężarówkę pod porośniętymi liśćmi konarami pobliskiego drzewa.

— Moglibyśmy się przejechać, gdyby ojciec wolał — zaproponował Junior.

— Nie, tak jest dobrze, możemy tu zostać. Wydaje mi się, że czuję niewielką bryzę.

Junior wyłączył zapłon i milczał przez chwilę z wyrazem cierpienia na twarzy.

— Bardzo mi przykro, proszę ojca, ale...

— Tak, coś się stało?

— Muszę natychmiast skorzystać z toalety.

— Bardzo proszę. Naprawdę to rozumiem.

Junior wysunął się z kabiny i kilkoma szybkimi krokami przemierzył parking.

Skrepowanie Juniora przypominało mu z jakichś względów jego własne przeżycia, gdy spotkał się ze swoim pierwszym biskupem wiele lat temu.

— Dlaczego postanowiłeś zostać księdzem, Timothy?

— Zostałem powołany, proszę biskupa.

— Kto cię powołał?

— Bóg.

Wysoki, kościsty biskup Quayle siedział w milczeniu na swoim skórzanym fotelu, łącząc przed sobą wszystkimi palcami dłonie.

Ojciec Tim pamiętał, że zwrócił wtedy uwagę, iż jego palce tworzą rodzaj wieży. Wydawało mu się, że to bardzo pasuje do biskupiego urzędu.

— Będziesz miał chwile zwątpienia.

— Tak, proszę biskupa.

— Których teraz nie możesz sobie wyobrazić, oczywiście.

— Nie, proszę biskupa.

— Czy szczerze kochasz Chrystusa całym swoim sercem?

— Tak, proszę biskupa, Kocham.

— Z jakiego powodu przede wszystkim go kochasz?

— Ponieważ On mnie kocha.

Ta wizyta była krótka, ale bardzo cenna. Biskup Quayle pomodlił się z nim i uczynił znak krzyża na czole.

— Myślę, że sobie poradzisz, Timothy — powiedział w końcu, uśmiechając się.

Młody ksiądz zauważył wyjątkowe światło błyszczące w oczach biskupa; właśnie to światło było dla niego największą zachętą.

Junior otworzył drzwi i wsunął się na siedzenie, wyglądając na spiętego, ale odświeżonego.

— Przepraszam, ojciec. Jestem... trochę zdenerwowany.

— Rozumiem.

— No cóż — zaczął Junior. — Miałem nadzieję, że zdoła mi ojciec poradzić, jak postąpić z Avą.

— Aha.

— Mam tu gdzieś jej zdjęcie... — Junior wyciągnął je z dumną miną z kieszeni koszuli — żeby mógł sobie ojciec przypomnieć, jak wygląda.

Oparł je o pokrętko głośności w radiu.

— Oto, co napisałem do niej w liście. Powiedziałem, że chodziłem do kościoła, gdy żyła moja mama, i że przyjąłem chrzest w wieku czternastu lat. Wydaje mi się, że to czyni ze mnie chrześcijanina.

Uśmiechnął się.

— Czy rzeczywiście uczyniło to z ciebie chrześcijanina?

— Nie wiem. To znaczy, przyjęcie chrztu było wielkim wydarzeniem, tak jak pamiętam.

— To jest wielkie wydarzenie. Bardzo wielkie wydarzenie.

Ale dużo większym wydarzeniem jest to, co się dzieje w naszych sercach, w naszych duszach. Co się działo w twoim sercu, gdy przyjmowałaś chrzest, pamiętasz?

— Niewiele. Razem z kilkoma innymi osobami poszliśmy nad strumień, ksiądz opuścił nas do wody, wyszedłem i osuszyłem się, i wszyscy poszliśmy do Cap'n Willie's i jedliśmy sumę.

— Gdy prosimy Jezusa, żeby zamieszkał w naszym sercu i nas zbawił — i jeśli naprawdę tego chcemy — zawsze coś się dzieje. Coś potężnego. Czasami czujemy to dokładnie w chwili, w której o to prosimy, czasami później. Ale to się zawsze dzieje.

Junior wzruszył ramionami i przesunął się na siedzeniu, uderzając łokciem w klakson. Obaj podskoczyli.

— Przepraszam — rzucił pośpiesznie. Pojedyncze krople potu wystąpiły mu na czoło.

— Nie wiem, co myśli Ava — wyznał ojciec Tim, wskazując na zdjęcie. — Może dowiesz się więcej z jej listu. Ale ona może szukać kogoś, kto posiada osobistą więź z Chrystusem.

— Nie wiem, do licha, jak można mieć z Nim osobistą więź. Wydaje mi się to niemożliwe. Wydaje się to... niemożliwe.

— To trudno zrozumieć, jak wszechpotężny Bóg może być tak osobisty. Mimo to, gdy poprosisz Syna Bożego, żeby zamieszkał w twoim sercu, dzieje się coś niewiarygodnego.

— Co takiego?

— On rzeczywiście w nim zamieszkuje. Junior miał zupełnie bezmyślny wyraz twarzy.

— Przychodzi i ożywia naszą duszę, sprawiając, że po raz pierwszy naprawdę żyjemy. Widzimy nowymi oczami, słyszymy nowymi uszami, jesteśmy w stanie przyjąć Jego miłość. — Pomyślał, że dla takich chwil właśnie żyje. — Więż staje się głęboko osobista, jak w związku dwóch osób.

— Przykro mi, proszę ojca... ale ja po prostu tego nie rozumiem.

— Nic nie szkodzi. Pomodłę się za ciebie, żebyś to zrozumiał. Junior westchnął.

— I co zrobię z Avą?

— Bądź nadal szczery, tak jak ona. Jestem pewien, że nadal taka będzie. Cokolwiek się zdarzy, należy stawiać sprawy jasno.

Junior wpatrywał się w puste miejsce parkingowe obok nich.

— Bóg z pewnością kocha naszą szczerość. Możesz Mu powiedzieć wszystko, Junior, wszystko!

— Nie chciałbym mówić Mu wszystkiego. Uśmiechnął się.

— To bez znaczenia. On i tak wszystko wie. Junior zarumienił się.

— On nie tylko chce być twoim Zbawcą i Panem, chce być twoim najlepszym przyjacielem. Dość trudno sobie to wyobrazić, ale to prawda. Myślę w każdym razie, że ponieważ zarówno ty, jak i Ava cenicie szczerość, wszystko ułoży się dobrze.

— Tak ojciec myśli?

— Tak.

— Dziękuję ojcu. Naprawdę dziękuję.

— Za każdym razem, gdy będziesz miał jakieś pytania, za każdym razem, gdy będziesz chciał po prostu usiąść i porozmawiać, zadzwoń do mnie albo zaglądaj po prostu do St. John's.

— Tak, proszę ojca, na pewno tak zrobię. Czy mogę zawieźć ojca do kościoła?

— Byłbym wdzięczny.

Junior zabrał zdjęcie z pokrętła, spojrział na nie ukradkiem i włożył je z powrotem do kieszeni. Gdy opuszczali parking, ojciec Tim nie mógł nie zauważyć, że Roger i Ernie przyglądają im się przez okno.

A to kwoki!, pomyślał, machając do nich ręką.

Telefon na jego biurku zadzwonił dwa razy.

— St. John's in the Grove! Ojciec Kavanagh.

— Hej! — przywitał go Dooley.

— Hej, przyjacielu! — odwzajemnił jego powitanie.

Głos chłopca w telefonie sprawił mu ogromną przyjemność, słyszał w nim nawet uśmiech.

— Co sływać?

— Mam... jakby, no wiesz, jakby dziewczynę. Jej — westchnął w myślach.

— Dziewczynę? Opowiedz mi wszystko.

— Ma na imię Caroline.

Serce mu zamarło. Ale przecież to nie jego sprawa.

— Gdzie ją poznałeś?

— Poznałem ją na balu w jej szkole i piszemy do siebie. No wiesz. Dzwonimy do siebie.

— Aha. W której szkole?

— Nieważne, to znaczy...

— Nie, chciałbym wiedzieć. W której szkole?

W głosie Dooleya wyczuł pewne zdenerwowanie, że został zmuszony do wyjawienia tej informacji.

— Mrs. Hemingway's.

Ta szkoła, w której wszystkie dziewczyny to wariatki, noszą dziwaczne buty i śmieszne okulary? Ta szkoła?

— Przypuszczam, że jest bardzo mądra...

— Absolutnie, same piątki. I naprawdę... jakby, no wiesz... Wiedział.

— Wspaniale wygląda? Jest piękna?

— Hm, tak. Proszę ojca. Absolutnie.

Był zachwycony, że Dooley chce mu się zwierzyć. Kto by nie był? Ta przyjemność jednak była znacznie przyćmiona przez natrętą myśl, co pomyśli o tym Lace Turner.

Nigdy o to nie zapyta, oczywiście: nie, w istocie, za żadne skarby świata.

— Ojczy? — Dzwonił lekarz Janette, mówiąc ze swym silnym niderlandzkim akcentem. — Mam gdzieś tutaj mały kawałek papieru. Janette poprosiła mnie, żebym przekazał ojcu wiadomość. Chwileczkę, nie potrafię odczytać własnego pisma, przypuszczam, że to żadna nowość...

Ojciec Tim roześmiał się.

— Proszę bardzo. Chwileczkę. „Kaktus zaczyna kwitnąć”. Do oczu napłynęły mu łzy.

— Wraca do zdrowia w takim razie? — O tak. Zdecydowana poprawa.

— Jak pan myśli, kiedy będzie mogła wrócić do domu?

— Za dziesięć dni, może dwa tygodnie. Chcemy mieć absolutną pewność, że mamy za sobą wszelkie myśli samobójcze.

— Czy będzie mogła zająć się swoimi dziećmi?

— Tak, tak nam się wydaje. Być może byłoby dobrze, gdyby miała dzień lub dwa na ochłonięcie, jeśli to możliwe. Rozumiem, że jej kuzynka ma obecnie za swoje, czwórka dzieci w mieszkaniu z jedną sypialnią...

— Zrobimy, co tylko możliwe z naszej strony.

— Doskonale. Powiedzmy dwa tygodnie minimum.

— Dzięki Ci, Panie! — Poczuł, jak z serca spada mu kamień. — Dziękujemy, panie doktorze. Świetna robota!

— Ojciec Tim?

— Przy telefonie. Czy to ty, Rodney?

— Wszystko, co byliśmy w stanie znaleźć na tylnych drzwiach i na klamce, to odciski palców Puny. Posypaliśmy potem półkę nad kominkiem i twoje biurko, i tak dalej, ale niczego nie znaleźliśmy. Natarła wszystko solidnie olejkiem cytrynowym.

— No tak.

— Oczywiście znaleźliśmy też kilka twoich odcisków palców na szufladach w biurku, pamiętasz, że pobraliśmy ci odciski palców kilka lat temu.

— Pamiętam.

— Przepraszam, że dzwonię do ciebie z tymi informacjami dopiero po tak długim czasie.

Ach, no cóż. On zrobił to, co do niego należało, oni zrobili to, co należało do nich, i na tym koniec.

Czy Emma Newland zniknęła z powierzchni ziemi? Zawsze gdy dzwoniła, pragnął żarliwie, żeby tego nie robiła. A kiedy nie dzwoniła, chciał, żeby zadzwoniła. Bądź tu mądry.

Może wciąż byli w Atlancie. Może Harold zobaczył rachunek za telefon i wydał zakaz. Może już jej nie obchodziło, co się dzieje z jej starym szefem — co z oczu, to i z serca.

Wykręcił jej numer i obciążył rachunkiem Dove Cottage.

— Halo!

— Emma?

— To ty?

— Tak, to ja, we własnej osobie. Co słyszeć w Mitford? Opowiedz mi wszystko, ja płacę.

— Po tym jak odwiedziliśmy Jean w Atlancie, pojechaliśmy do Nowego Orleanu, Harold miał trzy tygodnie urlopu na poczcie. Jedzenie w Nowym Orleanie było świetne, to niewiarygodne, nigdy w życiu byś nie uwierzył, ile zjedliśmy, wydaje mi się, że mam podagrę.

— Podagrę?

— Po całym tym francuskim jedzeniu, podobno dostaje się od tego podagry.

— Czy boli cię duży palec?

— Mój duży palec? A co to ma wspólnego?

— Przy podagrze to on zazwyczaj cierpi. To bardzo bolesne.

— Mojemu palcowi nic nie dolega, więc to musi być coś innego.

— Gdzie jadaliście?

— Czasami braliśmy jedzenie na wynos z Cajun* i jedliśmy w samochodzie, a poza tym jadaliśmy w motelowych restauracjach. Posiłki były wliczone w cenę pokoju i to wszystko za jedyne osiemdziesiąt osiem dolarów na dobę. Dla dwóch osób!

* Cajun — Cajunowie — potomkowie francuskich emigrantów ze wschodniej Kanady.

— Z pewnością nie masz podagry — zawyrokował.

— Czy dali ci w końcu jakąś pomoc? Nawet Harold ma pomocnika.

— Wszyscy mi pomagają. Zastanawiał się, po co, do licha, zadzwonił.

— Nie sprawdziłam Eda Sikesa w stanie Oregon, jeśli po to dzwonicz. Wróciliśmy zaledwie kilka dni temu i jestem zawałona praniem, na dodatek Snickers ma pchły, wskakują na blat w kuchni, myślałam, że rozsypałam pieprz. Człowiek od dezynsekcji jest w tej chwili w drodze do mnie, nie uwierzyłbyś, ile to będzie kosztować, i muszę wyjść z domu na trzy godziny w czasie, gdy oni będą to robić, a potem wrócić do domu i odkurzać przez pięć dni z rzędu, to wszystko przez ten deszcz, który padał, jestem pewna, że pchły aż skaczą po Barnabie...

— Nic mi o tym nie wiadomo.

— No cóż, nie mam pojęcia, dlaczego nie ma pcheł przy tej pogodzie, pchły rozmnażają się przy pogodzie, którą mieliśmy ostatnio.

Jego była sekretarka wręcz szalała ze złości, że jego pies nie ma pcheł.

— A skoro mowa o pchłach, czy słyszałeś, co Rodney Underwood właśnie dostał, żeby ścigać przestępców? Nigdy nie zgadniesz.

— To prawda. Nie zgadnę.

— Rockwildera! Szkoda, że nie widziałeś, jak ludzie się rozstępują, gdy idzie ulicą, Adele Hogan wyprowadza go codziennie rano na spacer, a on co wieczór ciągnie za sobą Joe Joe Guthriego. Wolałabym

nie być przestępcą w tym mieście! A skoro mowa o przestępcach, czy słyszałeś, co tym razem zrobiła panna Pattie?

Panna Pattie była pensjonariuszką Domu Nadziei, która postradała zmysły jakiś czas temu i odyskiwała je jedynie w sporadycznych sytuacjach. Jej wybryki już od dawna bardzo interesowały Emmę.

— Wydaje mi się, że panna Pattie jest zbyt stara, żeby wpakować się w jakieś tarapaty.

— No cóż, może będziesz musiał zmienić zdanie, kradnie wszystko, co tylko wpadnie jej w ręce w pokoju pana Bermana, a potem idzie i wyrzuca to na zewnątrz ze swojego okna.

— Nie!

— Jego pieniądze, jego pantofle, jego porządny skórzany pasek, absolutnie wszystko. Rozebrał się któregoś wieczoru i zaczął szukać swojej piżamy, ale jej nie znalazł, zawinął się więc w koc niczym czerwonoskóry Indianin i wezwał pielęgniarkę, i powiedział jej, że jeśli panna Pattie nie skończy z tą błazenadą, to złoży pozew do sądu na milion dolarów.

— Czy obsługa nie może nic z tym zrobić?

— Zamknęli na stałe jej okno, to wszystko, co mogą zrobić. Twierdzą, że ma trudny okres.

— A co mówi pan Berman?

— Twierdzi, że strasznie się w nim zakochała.

— To całkiem możliwe — przyznał, przypominając sobie, że pan Berman jest bardzo przystojnym, starszym mężczyzną.

— A skoro mowa o szalonych ludziach, Coot Hendrick jest naprawdę przekonany, że wygra te wybory. Czy możesz sobie wyobrazić, że masz burmistrza, któremu brakuje piątej klepki?

Nagle zdał sobie sprawę, że tama została przerwana i że porwał go wartki strumień jej mowy.

— A więc, Emmo, cieszę się, że tak świetnie bawiłaś się w Nowym Orleanie. Daj mi znać, jak się dowiesz czegoś o Edzie Sikesie.

Odłożył słuchawkę i otarł twarz chusteczką.

Komitet selekcyjny spotykał się regularnie, gawędząc ze sobą przed kościołem, szepcząc do siebie w świetlicy parafialnej, zasięgając ogólnej opinii wśród kongregacji i zasadniczo podchodząc do tematu wymiany księdza, jakby już wszyscy nie mogli się doczekać, kiedy pozbędą się swojego księdza tymczasowego.

Kiedy śmiał się z Samem Fieldwalkerem z ich wyraźnego pośpiechu, jego starszy kościelny przekonywał go, że jest wręcz przeciwnie. Komitet śpieszył się, żeby wywiązać się z obowiązku, ale w rzeczywistości kilku parafian wyraziło chęć, aby ich ksiądz tymczasowy został na stałe. Poza tym ojciec Tim jest zbyt młody, żeby przejść na emeryturę. Czyż ojciec Grace nie służył w St. John's aż do osiemdziesiątego siódmego roku życia?

Nie każdego księdza tymczasowego parafia nakłaniała, żeby został. W rzeczywistości wielu z nich traktowano z podejrzliwością a wielu z całkowitym brakiem szacunku. Pamiętał, co lubił mawiać jeden z jego pierwszych biskupów — że ksiądz tymczasowy, który nie przysparza sobie wrogów, nie wykonuje

dobrze swojego zadania. Zadanie, jak powszechnie sądzono, polegało na zburzeniu starego porządku, na pozbyciu się tego, co stare, i przygotowaniu miejsca na to, co nowe.

Przecież kto mógłby zapomnieć ojca Harry'ego?

Ojciec Harry, który miał siedemdziesiąt jeden lat, kiedy rozpoczynał swoje życie jako ksiądz tymczasowy, znajdował bezgraniczną przyjemność w maceniu spokoju swojej parafii. Jego styl polegał na wtargnięciu i przejęciu kontroli, zanim parafianie zdążyli się zorientować, o co w tym wszystkim chodzi.

Jeśli kongregacja była przywiązana do Liturgii II, on odprawiał nabożeństwo zgodnie z Liturgią I. Jeśli parafianie byli zatwardziałymi zwolennikami muzyki tradycyjnej, przestawiał ich na pieśni pochwalne. Jeśli wielbili swój chór i organy, kazał im śpiewać przez całe tygodnie *a cappella*. Jeśli wyznawali zasadę, że dzieci powinno być widać, nie słyhać, zapraszał małych rozbójników, żeby chodzili z tacą i czytali łatwiejsze Listy. Jeśli ich poprzedni ksiądz unikał nawet poruszenia tematu bożka, ojciec Harry omawiał ten temat bardzo obszernie, szczególną uwagę zwracając na pobieranie dziesięciny. Ponadto sprawiało mu przyjemność celebrowanie porannej modlitwy, która jeśli niezupełnie zapomniana przez większość parafii, uważana była za osobliwie staroświecką.

Gdy obejmujący urząd ksiądz przybył w końcu do parafii, członkowie kongregacji byli tak szczęśliwi z pozbycia się starego wicrzyciela, że przyjmowali z zachwytem niemal wszystko, co wymyślił ich nowy pastor.

Ojciec Harry potrafił doskonale wypełnić swoje zadanie. Ojciec Tim skłaniał się bardziej w stronę tego, co w *Listach do Malcolma* napisał na temat form czczenia C.S. Lewis:

„Dobry but to but, którego nie zauważasz... Idealna msza to taka, której jesteśmy niemal nieświadomi; nasza uwaga skupia się na Bogu. Ale każda nowość zapobiega temu. Skupia naszą uwagę na samej mszy, a myślenie o czczeniu jest czymś innym niż czczenie”.

Z przyjemnością wracał do listu, który zostawiła mu na biurku dziewięcioletnia Margaret Wheeler:

„Drogi Ojciec Timie gdy dostaniemy nowego księdza mam nadzieję, że będzie dokładnie taki jak Ty. Pozdrowienia, Margaret PS Ale mam nadzieję że będzie miał dzieci!!!”

Kandydat na burmistrza zgadza się z przeciwnikiem

Andrew Gregory, jeden z dwóch kandydatów na burmistrza do wyborów 3 listopada, deklaruje, iż zgadza się ze swoim przeciwnikiem, rdzennym obywatelem miasteczka Cootem Hendrickiem.

— Pan Hendrick ma absolutną rację, walcząc o zachowanie wczesnej historii Mitford, chociaż nadzieja na wygraną tej konkretnej bitwy wydaje się płonna. Jeśli zostanie wybrany, zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby zachować to, co dobre i pozytywne w Mitford. Jednym z moich pierwszych projektów będzie zachęcenie właścicieli kilku miejscowych budynków, aby ubiegali się o umieszczenie tych budynków w wykazie zabytków i otrzymali wsparcie finansowe z funduszu federalnego na tak potrzebną renowację. Przez blisko dwadzieścia lat nasza urzędująca pani burmistrz, Esther Cunningham, wypracowała wzorzec służby społeczeństwu, który na zawsze podniósł rangę tego urzędu. Podjęcie próby kontynuowania tej wyjątkowej wizji będzie prawdziwym przywilejem.

Gregory powiedział, że jeśli zostanie wybrany, podejmie też działania na rzecz „rozsądnego, zrównoważonego rozwoju Mitford, który obejmowałyby zwiększenie bazy mieszkaniowej oraz infrastruktury handlowej, w tym spożywczej”.

Gregory, jego żona, Anna, i jego szwagier, Anthony Nocelli, są właścicielami popularnej Lucera Restaurant, mieszczącej się w ich prywatnej rezydencji, znanej wszystkim i każdemu z osobna jako Fernbank. Pan Gregory jest również właścicielem/menedżerem sklepu Oksfordzkie Antyki, który na stałe wpisał się w krajobraz Main Street.

Muzyczne posiedzenie rady miejskiej Pani Beulah Mae Hendrick, 92-letnia matka kandydata na burmistrza Mitford, Coota Hendricka, była gościem niespodzianką na posiedzeniu rady miejskiej w ostatni poniedziałek.

Pani Hendrick otrzymała zezwolenie na otwarcie posiedzenia pieśnią, której nauczyła się od swojego dziadka, który był synem założyciela Mitford, Hezikiaha Hendricka. Jak głosi miejscowa legenda, Hezikiaha Hendrick zastrzelił pięciu zbiegłych ze swojego regimentu unionistów i pochował ich w miejscu, które stanowi obecnie własność pani Edith Mallory.

Prawo stanowe mówi, że na terenach obejmujących miejsca pochówku nie można prowadzić żadnych prac, w tym budowlanych. Pani Mallory utrzymuje, że nie istnieją żadne dowody popierające tezę, że na będącym jej własnością czterdziestohektarowym terenie znajdują się takie groby. Pani Mallory zaczyna właśnie prace budowlane zmierzające do rozbudowy jej obecnej rezydencji, Clear Day, o dodatkowe dwieście siedemdziesiąt metrów kwadratowych powierzchni mieszkalnej, w pobliżu lub w miejscu kamiennych fundamentów starej chatki Hendricków.

Pani Hendrick, która stanęła obok swojego wózka inwalidzkiego, żeby odśpiewać pieśń, powiedziała potem:

— Udowodnię, że mamy rację!

Słowa pieśni, spisane na kartce, zostały przesłane do pani Mallory pocztą poleconą we wtorek rano, w ubiegłym tygodniu.

Zastrzelił pięciu jankesów

Z wojny zbiegłych

Znalazł ich pośród zbóż

Cichutko śpiących

Teraz już nie uciekną, o nie

Nie uciekną, o nie!

Siekierą i motyką

Pięć grobów wykopał

Przykrył ich ziemią

Zanim śnieg spadł

Teraz już nie uciekną, o nie

Nie uciekną, o nie!

Pan Hendrick powiedział:

— Mama zna i śpiewa tę pieśń przez całe swoje życie i już samo to powinno być wystarczającym dowodem, że groby istnieją.

W czasie dla prasy rzecznik poinformował, że rada miejska otrzymała list od prawnika pani Mallory z Florydy, stwierdzający, że nie ma żadnych dowodów na istnienie grobów, i sprawa została oficjalnie zamknięta. Dodał też, że nikt nie byłby w stanie wykopać pięciu grobów motyką i siekierą, i że pieśni ludowe nie są dokumentacją prawdziwego życia.

Rzecznik rady miejskiej stwierdził:

— Uważam, że to okrutna hańba strzelać do ludzi, którzy śpią, nawet jeśli są jankesami.

Pani Mallory wydała kategoryczny zakaz prowadzenia jakichkolwiek prac wykopaliskowych oraz wstępu na jej posiadłość, o czym dodatkowo informuje postawiona przez nią tablica.

Nowa nazwa i lokalizacja dla Hair House

Pani Fancy Skinner, właścicielka znanego w Mitford Hair House, przenosi swój salon piękności do centrum i zmienia jego nazwę.

Pani Skinner, która obecnie prowadzi Hair House w podziemiach swojego domu przy Lilac Road, powiedziała:

— Już czas wyjść na Main Street!! Ja i moi klienci jesteśmy zgodni co do tego, że ta okazja domaga się bardziej wyrafinowanej nazwy. Mój salon będzie się nazywał: O Stopień Wyżej.

Pani Skinner przenosi się nad cukiernię Sweet Stuff, co oznacza, że całość usług fryzjerskich w Mitford będzie teraz skoncentrowana w jednym budynku, ponieważ Joe Ivey strzyże na parterze za kuchnią cukierni Sweet Stuff.

O Stopień Wyżej będzie oferował pełną gamę usług fryzjerskich, damskich i męskich, przy cenie za ścięcie od 12 dolarów w górę. „Fancy — środki do odżywiania twarzy”, specjalna linia do pielęgnacji skóry z organicznymi składnikami, również będzie dostępna.

— Ale nie myśl nawet o jej zastosowaniu — ostrzega pani Skinner — jeśli nie chcesz wyglądać i czuć się od piętnastu do dziesięciu lat młodziej i prezentować się, ogółem rzecz biorąc, zdecydowanie lepiej.

Uroczyste otwarcie salonu odbędzie się we wtorek, począwszy od godziny dziewiętej rano, z gumą bez cukru dla wszystkich i nagrodą na wejściu pod postacią plastikowych paznokci.

Gratulacje dla O Stopień Wyżej!!!!

Humor lokalny

autor anonimowy

Czy widzieliście nową tablicę w oknie Percy'ego Mosely'ego?

„Starzy wyjadacze mają obowiązek żywienia się w Main Street Grill. Żółtodzioby mogą jeść, gdzie chcą”.

Na drzwiach sali porodowej w szpitalu w Mitford przeczytać można z kolei następujący napis:

„Przyj, przyj, przyj”.

Domyślam się, że do tej pory wszyscy już słyszeli o polowaniu na ślimaki, jakie o północy urządziła Evie Adams. Wygląda na to, że wyszła z domu z solniczką i latarką i polowała na ślimaki na swojej rabacie kwiatowej. W tym czasie obok jej domu na South Main przejeżdżał jeden z policjantów komendanta Rodneya Underwooda i zauważył to podskakujące światło w jej ogródku. Policjant, którego nazwiska nie ujawnimy, zatrzymał samochód przy chodniku i podszedł na palcach do Evie z odbezpieczonym pistoletem. Twierdził, że księżyc nie świecił i że wydawało mu się to dość dziwne, że włamywacz ma na sobie szydełkowy szlafrok i wałki we włosach.

Po tym, jak nieomal wystraszył na śmierć Evie, ofiara wręczyła mu drugą solniczkę i kazała mu dokończyć razem z nią rabatę, co niezbiecie dowodzi tezy, że ten się śmieje, kto się śmieje ostatni.

To tyle na dzisiaj!! Do zobaczenia za tydzień w tym samym miejscu i trzymajcie się ciepło.

W kancelarii znalazł wiadomość od Emmy, niezbiecie dowodzącą jej umiejętności przesyłania faksem informacji bezpośrednio z komputera.

<Do: Ojciec Tim

<Od: Emma Newland

<Data: Poniedziałek

<Memo: Nie ma Eda Sikesa w stanie Oregon.

<Do zobaczenia na ślubie. Czy chciałbyś, żebym ugotowała szynkę i wyręczyła ciebie?

<Pozdrowienia dla wszystkich.

Nie mógł uwierzyć, że to się rzeczywiście dzieje.

Gdy podczas popołudniowej przechadzki zbliżał się do domu Morrisa Love'a, jego pies nagle wyrwał się do przodu z siłą zaprzęgu koni. Zupełnie zaskoczony pozwolił, aby Barnaba wyszarpnął mu smycz z dłoni i w okamgnieniu zanurkował pod bramą. *Déjà vu!*

Jego gniew wybuchł z taką siłą, że sam był zaskoczony.

— Barnaba! — zagrzmiał.

Czyżby był tak głupi, że nie potrafi się do tego przygotować, przewidzieć, spodziewać się, że tak właśnie się stanie? Już nigdy nie wybierze się tędy na spacer, a Barnaba nie wyjdzie poza podwórko i tylny ganek aż do końca świata. Był traktowany jak król przez lata i teraz korzystał ze swoich królewskich przywilejów. Ojciec Tim nie mógł uwierzyć w uparty, rozmyślny, egoistyczny brak posłuszeństwa psa, dla którego zrobił wszystko...

— Barnaba! Wracaj natychmiast!

Z trudem rozpoznawał własny głos; na jego dźwięk czuł ciarki. Gdyby był psem, albo uciekłby za granice okręgu, albo wróciłby potulnie, żeby wypić piwo, które nawarzył.

Słyszając, jak donośne szczekanie cichnie coraz dalej w dżungli Love'ów, przeskoczył przez mur i wylądował po drugiej stronie, oddychając z trudem. Nie chciał po raz kolejny przechodzić przez ten

koszmar, naprawdę tego nie chciał. Z pewnością nie chciał też, żeby jego gburowaty sąsiad wymyślał mu, jakby był jakimś czerwono nosym złodziejem kur. I co z tego, że życie nie oszczędzało Morrisa Love'a? Czyż podobnie nie działo się z wieloma innymi ludźmi i czyż było to jakimkolwiek uzasadnieniem dla odmawiania chociażby odrobiny ludzkiej uprzejmości własnemu sąsiadowi?

Sapał i dyszał, jakby ukończył wyścig Nags Head Wood zamiast zrobienia półtorakilometrowego kółka po okolicy.

Już od dłuższego czasu nie był zmuszony użyć w odniesieniu do swojego psa słów Pisma Świętego. Była to sztuczka, która najlepiej powstrzymywała Barnabę przed skakaniem w ramiona niczego nie podejrzewających ludzi bądź przed obfitym lizaniem ich uszu i nosów. Mimo iż nie istniał precedens dla obecnej sytuacji, warto było spróbować.

— „Jest moją radością, mój Boże, czynić Twoją wolę, a Prawo Twoje mieszka w moim wnętrzu!”

Nieomalże wykrzyczał ten werset psalmu; wydawało mu się, że wprawił w drzenie liście na krzewie.

Cisza. Czuł się jak szaleniec.

No cóż.

A jeśli po prostu da sobie spokój i wróci do domu? Barnaba pójdzie w końcu za nim i ani się obejrzy, jak pies będzie leżał pod drzwiami wejściowymi, z nosem przy samej ziemi, wyglądając na skruszonego. Ale jaki będzie morał takiego zdarzenia? Utwierdzi to jedynie jego psa w mylnym przekonaniu, że może to zrobić ponownie, kiedy tylko zechce. O nie, w rzeczy samej, idzie za swoim psem i przyciągnie go do domu za obrozę, i żadnych łakoci przez tydzień, a może nawet miesiąc...

Ruszył gwałtownie drogą, jakby się śpieszył do pożaru, gwizdząc i wołając na prawo i lewo. Od czasu do czasu w krzewach dał się słyszeć pojedynczy trzask. Ptaki zrywały się i wlatywały nad jego głowę, świergocząc. Wiewiórka przebiegła mu drogę, gdy zbliżał się do domu.

Przy drodze, w miejscu, gdzie zakręcała, prowadząc do frontowych drzwi, znajdowało się coś, czego przedtem nie zauważył. Była to zaśnieżona stara tabliczka, osadzona w cementowej płycie i nieomal całkowicie zarośnięta bluszczem. Kamień węgielny domu, przypuszczał. Pochylił się i mrużąc oczy, odczytał wyryty napis: *Nouvelle Chanson, 1947.*

Wcale nie miał ochoty zakłócać spokoju swojemu sąsiadowi, o nie, zaiste, ale cóż miał zrobić? Stanął i krzyknął:

— Barnaba!

— Czy to znowu ojciec?! — krzyczał z górnego okna pan Love.

— Tak, do licha, proszę pana, to znowu ja.

— Precz! Precz!

O nie, na litość, dość tych bredni.

— Nie mogę wyjść, dopóki nie znajdę mojego psa. Mojego psa, proszę pana. Przepraszam, na litość boską.

Ruszył przez gęstwinę chwastów z boku domu, gdzie — jak mu się wydawało — słyszał zamieszanie.

— Barnaba! Wracaj!

Teraz rozlegało się wściekle szczekanie, być może gdzieś na tyłach domu. Poczł nagle, jak owady gryzą go w nogi, i jakby tego nie było dość, w tamtym miejscu wrzało. Dopóki nie znalazł się za murem, nie zauważył wysokiej wilgotności, nie zdawał sobie też sprawy ze swojego ogromnego pragnienia.

— Ojca pies zagonił wiewiórkę na drzewo po zachodniej stronie domu! — Szorstkie obwieszczenie Morrisa Love'a było rzeczowe.

Ojciec Tim wbiegł w trawę, która sięgała mu do pasa; Bóg raczy wiedzieć, co pełza po ziemi. Potrzebował maczety, nosidła na ramię, prasy do siana, żeby się przez to przedostać. Posuwając się mozolnie na tył domu, potknął się na stercie cegieł, które spadły z komina i leżały ukryte w trawie. Przewrócił się na ostry kawałek betonu i podniósł się. Pokłute palce u stóp, obdarte kolana, pocięte dłonie, pogryzione nogi... ugryzł się w język.

Przemierzył zdający się nie mieć końca tył domu i skręcił za róg, ociekając potem. Aha, na Jowisza, oto jest ta zuchwała bestia, która siedzi na tylnych łapach u stóp drzewa i spogląda w stronę nieba, jakby w modlitwie.

Pies odwrócił łeb i obrzucił go spojrzeniem skazańca.

Bez słowa jego pan wskazał na swoje stopy odziane w buty do biegania. Barnaba w skupieniu rozważał ten gest przez kilka chwil, potem wstał wolno i ze spuszczoneym łbem szedł w stronę swojego pana, po czym usiadł w odległości kilku metrów. Ojciec Tim powtórzył wskazujący gest. Barnaba wstał, przemierzył dzielącą ich odległość i usiadł obok prawej stopy swojego pana.

Ojciec Tim sięgnął w dół i podniósł leżącą na trawie smycz.

— Przebaczenie — powiedział na głos do swojego psa — to zrezygnowanie z mojego prawa do zranienia ciebie, ponieważ ty mnie zraniłeś.

Nie wiedział, skąd przysłała mu do głowy ta konkretna mądrość, ale oto była.

Barnaba siedział ze stoickim spokojem.

Przełożył dłoń przez pętlę i owinał dwa razy smycz wokół ramienia. Następnie klepiąc energicznie całe swoje pokąsane nogi, odwrócił się, żeby w końcu stamtąd się wydostać.

Usłyszał śmiech Morrisa Love'a dobiegający z jednego z licznych okien na drugim piętrze, ukrytych za zamkniętymi okiennicami. Był to dziwny śmiech, delikatnie mówiąc, składający się z krótkich eksplozji dźwięku.

— Proszę pana — zawołał. — Mam nadzieję, że dostarczamy panu wystarczającej rozrywki.

— Bardziej niż wystarczającej.

Morris Love przestał się śmiać, a w jego głosie na powrót pojawił się chłód.

— Zna ojciec drogę na zewnątrz.

— O tak, rzeczywiście, aż za dobrze.

Ton jego głosu też nie przypominał tego, którym witał ludzi, stojąc przy drzwiach do kościoła.

Do licha. Ten wysoki mur przed nimi musi stanowić tył jakiegoś innego skrzydła, chociaż nie ma w nim okien. Albo może jest to tył loggii, którą zauważył wcześniej. Wygląda na to, iż oznacza to dłuższą drogę do frontu, przez głębszą i jeszcze bardziej zwartą gęstwinię.

Potykając się, dotarł do czegoś w rodzaju ścieżki wysadzonej dziką różą bądź też gęstwiny winorośli, które drapały niczym kot. Uwolnienie się z potrzasku tego cholerstwa nie było łatwym zadaniem. Może nie powinien przeć do przodu, tylko wrócić drogą, którą przyszedł? To doprowadzało go do szaleństwa, było naprawdę niepokojące. Poczł chwilową panikę.

— Proszę wrócić drogą, którą ojciec przyszedł. — Morris Love mówił tuż nad jego głową.

Wyswobodził się z winorośli, które zaciągały jego ubrania, i oddalił się drogą, którą przyszedł.

Pchły. Podejrzenia Emmy materializowały się. Podciągnął nogawki spodni i odkrył z ulgą, że to jednak nie są pchły, chociaż zapewne coś jeszcze gorszego. Biegł truchtem, usiłując ominąć stertę gruzu, i w końcu wydostał się na drogę dojazdową, gdzie przystanął i rękawem T-shirtu otarł ociekającą potem twarz.

— W kranie za ojcem jest woda.

Woda! Odwrócił się i zobaczył kurek zamontowany na rurze, mniej więcej na wysokości kolan. Otworzył kurek, pozwalając, żeby spłynął osad, następnie przemył ranę na dłoni i ochlapał twarz oraz głowę. Złożył dłonie i pił z nich łąpczywie, pozwolił się też napić Barnabie, następnie ściągnął koszulkę, wytarł się nią i ponownie ją nałożył. Dobry Boże, co za ulga. Czuł się rześki, świeży; święta woda, zaiste!

— Niech cię Bóg błogosławi! — krzyknął spontanicznie i z wdzięcznością.

— Nie wierzę w Boga. — Głos Morrisa Love'a przypominał prawdziwe warknięcie.

— Bóg wierzy w ciebie!

— Dlaczego dał mi w takim razie takie ciało?

— Dlaczego dał ci taki geniusz muzyczny?

— Zapewniam ojca, że mam bardzo złe mniemanie o odpowiadaniu pytaniem na pytanie.

— Czasami pytanie jest jedyną odpowiedzią, jaką znam, proszę pana.

Ujrzał zardzewiałe zdobione krzesło ogrodowe, około metra na prawo, tuż pod oknem na piętrze, gdzie — jak zakładał — stał Morris Love. Nie zauważył krzesła podczas swojej poprzedniej eskapady, nie zdawał też sobie sprawy, aż do tej chwili, ze swojego ogromnego zmęczenia.

Podszedł do krzesła i usiadł zadowolony, że może złapać oddech. Cóż mógł zrobić mu pan na włościach — rzucić na głowę doniczkę?

— Usiadłem na chwilę — obwieścił zbyt zmęczony, żeby krzyżeć. — Mam nadzieję, że nie ma pan nic przeciwko temu.

Spoglądał na roztaczający się przed nim widok, na sposób, w jaki światło padało ukośnie na gęstą płataninę drzew i ginęło w ich liściach. Dżungla, rzeczywiście. To miejsce jednak z pewnością było kiedyś

piękne, tropikalna wyspa na wyspie, tak egzotyczna i niezwykła, że sama myśl o życiu tętniącym za murem wydawała się niedorzeczna.

— Niech mi wolno będzie zapytać, jak ojciec ma sumienie głosić tę namiastkę wiary?

Pytanie całkowicie go zaskoczyło.

— Nie rozumiem, o co panu chodzi? — odparł. Rzeczywiście, nie wiedział.

— To dość oczywiste. Nosi ojciec koloratkę, odmawia ojciec wyznanie wiary, mówi ojciec o Bogu, a mimo to jako człowiek, który jak przypuszczam, obdarzony został więcej niż przeciętną inteligencją nie może ojciec absolutnie wierzyć w istnienie kochającego Boga czy też jakiegokolwiek innego Boga.

— Wręcz przeciwnie, proszę pana. Nie byłbym w stanie nie wierzyć w istnienie kochającego Boga.

— Widzę, że dyskusowanie z ojcem na temat prawdy absolutnej jest bezsensowne.

— W takim razie jest pan ślepy.

Mimo iż nie chciał być surowy, pragnął, aby jego słowa miały jasną wymowę.

— Ślepotą, może być ojciec pewien, nigdy nie była jedną z moich ułomności.

— Czy uważa pan swoją fizyczną przypadłość za ułomność?

— Mówi ojciec jak głupiec. Oczywiście, że tak.

— Wielu tak nie uważa, proszę pana. Na przykład obecnie mamy kilku praktykujących i świetnie radzących sobie zawodowo lekarzy, którzy cierpią na dokładnie taką samą przypadłość jak pan.

— Wcale nie dokładnie taką samą. Nawet nie wie ojciec, jak dalece się oszukuje, zakładając, że mnie zna. Nie zna mnie ojciec i nigdy mnie nie pozna.

— Obaj dajemy w tej chwili dowód zarozumiałości, proszę pana. Pan zakłada, że w głębi duszy jestem pozbawiony wiary, ja zakładam, że jest pan bardziej sprawny fizycznie, niż pan uważa.

Jesteśmy siebie warci, jak mawiała moja babcia. A teraz skończmy z tym, dobrze?

— Precz! Precz! — zawołał donośnym głosem Morris Love.

— O tak, w rzeczy samej, i dziękuję panu za gościnność. Ruszył truchtem drogą, a jego pies biegł przed nim na smyczy. Krzyki nie ustawały, stanowiąc jedyną formę pożegnania.

— Precz! Precz!

— Precz i z drogi, i niech moja noga więcej tu nie postanie! — szepnął, przechodząc do biegu, gdy znalazł się przy bramie.

Przez kilka ostatnich dni powietrze było cudownie pozbawione wilgoci, a w zamian rześkie i lśniące. Światło padało ukośnie, dźwięki stawały się bardziej wyraźne, chmury zniknęły z nieba tak błękitnego, że wydawało się pokryte glazurą.

Kłęczał, plewiąc i posypując rabaty świeżą sosnową podściółką, zadowolony z tego, iż zanurzył rękę w ziemi.

Nie mógł jednak nie przyznać się przed sobą do konfliktu, jaki odczuwał w sercu — z jednej strony, nowa pora roku przepełniała go szczęściem, z drugiej, smutkiem. Nazwanie tego smutku zajęło mu wiele lat, a teraz w końcu przyszedł moment, by stawić mu czoło.

Jego ojciec zmarł dwunastego października, ponad czterdzieści lat temu, i każdej jesieni poczucie smutku i przygnębienia wracało. Podczas tych smutnych godzin spędzonych w ciemności, w jaskini, był w stanie wybaczyć swojemu ojcu, raz na zawsze, co działo prawdziwe cuda dla jego duszy, dla całego jego spojrzenia na świat. Mimo to coś z tego cierpienia pozostało jak plama z herbaty na obrusie i powracało każdej jesieni ze zmieniającym się światłem, żeby mu przypomnieć.

Sprzeczne uczucia, których doznał, gdy zmarł jego ojciec, były tak ściśle ze sobą powiązane, że nigdy nie był w stanie ich zidentyfikować i nazwać. Nie widział też racjonalnego uzasadnienia, żeby podejmować tę próbę jeszcze raz.

Rzeczywiście, być może nadszedł czas, żeby sobie wybaczyć — za uczucie ulgi, którego doznał, gdy odszedł jego ojciec, za poczucie bólu, nawet teraz, że nigdy nie potrafił go zadowolić, za to, że nie przestawał dociekać, chociaż nie było to w jego mocy, prawdy o duszy ojca. Och, jakże pragnął poprowadzić Matthew Kavanagha do Chrystusa, ujrzeć, jak piekielne cierpienia duszy jego ojca przeradzają się w pokój i pewność. Tak się jednak nie stało; jakby jego ojciec swoim ostatnim wysiłkiem, by odrzucić syna, postanowił na wieczność odciąć się od Boga.

Tak!, pomyślał, rzucając na ziemię rydel. Już czas, by zostawić to za sobą, zostawić to wszystko za sobą...

Wyrzeknie się tego teraz, całkowicie, chociaż pokusa, by znowu to rozważać, może jeszcze powracać wiele razy.

Usiadł na trawie jak dziecko, z nogami rozstawionymi w kształcie litery V i modlił się.

Gdy podniósł głowę, natychmiast poczuł, że ktoś go obserwuje. Spojrzał przez sztachety w stronę żywopłotu Morrisa Love'a i bez zastanowienia uniósł do góry dłoń i pomachał.

Odlamał kilka delikatnych pnączy ze słodkiego jesiennego klematisu i szedł do kuchni, żeby pozmywać i znaleźć flakon, gdy zobaczył siedzącą w kuchennym oknie Cynthię. Podrzucała Jonathana na kolanie, a chłopiec śmiał się i klaskał w dłonie. Widząc wyraz jej twarzy, poczuł w sercu ukłucie, którego nie potrafił do końca zrozumieć.

— Witaj, kochanie! — zawołała Cynthia.

Rozdział piętnasty

W NIEWOLI

W drodze do domu, po wizycie u Janette, zatrzymał się u Erniego.

Roger podniósł wzrok i kiwnął głową, pochłonięty wypalaniem zwierciadlanych piór u swojej kaczki. Roanoke podniósł do góry wskazujący palec.

— Junior ma dobre wiadomości! — pochwalił się Ernie. — Dostał od niej list, w którym napisała, że się z nim nie umówi, ale dodała też, że wybiera się z siostrą odwiedzić koleżankę, która tu mieszka, i że zagładnie się przywitać. Dwudziestego drugiego października!

Ernie obwieścił tę datę, jakby była tak samo przełomowa jak wylądowanie Anglików na Whitecap.

— Powiedziała, że razem z siostrą chętnie wybiorą się z Juniorem na kawę. Odpisał więc i zaproponował Mona's Café o dziewiątej trzydzieści!

— Strzał w dziesiątkę! — wykrzyknął ojciec Tim, przysuwając krzesło. — To dobra wiadomość.

Zapach opalanego drewna Rogera był bardzo przyjemny, sprawiał, że pomieszczenie wydawało się prawdziwie przytulne.

— Junior musi rzucić picie piwa do tego czasu i postarać się zgubić pięć kilogramów.

— Aha.

— Tak, i będzie masował sobie czubek głowy, żeby urosły mu włosy — dodał Roanoke. — Ale nie ma takiej możliwości, żeby to się stało.

— Jak zadziała, daj mi znać — poprosił ojciec Tim.

— A ponadto — kontynuował Ernie — a ponadto sprzedałem łóżko Elmo, w całości.

— Książki Zane'a Greya?

— Cały cholerny komplet. Przyszedł wczoraj pewien człowiek, kupił kilka szałwiaków, poszedł za ścianę i wrócił z pudełkiem w rękach. Zapytał ile, powiedziałem pięćdziesiąt dolców, a on, że bierze.

— A gdzie Elmo spał ostatniej nocy? — chciał wiedzieć.

— Dzisiaj rano znalazłem go w pudełku z westernami różnych autorów.

Roger nie oderwał wzroku od swojej pracy.

— Powiedz mu o *Ostatnich z plemienia**.

* *The Last of the Plainsmen* — pierwsza, wydana w 1908 roku, książka Zane'a Greya (1872-1939), amerykańskiego autora licznych powieści z gatunku westernów.

— Gość dał mi gotówkę, usiadł tam sobie, przejrzał całe pudełko, książka po książce, i znalazł ją — pierwsze wydanie w twardej okładce z autografem! Nawet nie wiedziałem, że tam jest. Warte całą fortunę, może dwieście dolarów, lekko licząc. Powiedział, że nie zamierza mi za to płacić żadnych dodatkowych pieniędzy, a ja zapewniłem go, że nie zamierzam o nic więcej prosić, umowa to umowa. Ale muszę ci powiedzieć, że serce mi prawie pękło. Dwieście dolców!

— Każdemu byłoby żal — ocenił Roanoke, wyrzucając z paczki marlboro.

W drzwiach do tylnego pokoju pojawił się Elmo. Wyglądał na rozstrojonego i zde gustowanego.

— A więc, Elmo — zwrócił się do niego z pytaniem ojciec Tim — jak ci się podobają mieszane westerny?

Z kancelarii nie poszedł prosto do domu; poszedł na plażę.

U podnóża wydmy ściągnął skarpetki i wsunął je do butów, potem podwinął nogawki spodni i ruszył przed siebie. Bez żony, bez małego dziecka, bez psa, bez niczego.

Była w nim gwałtowność, której do końca nie rozumiał. Może opuści go, gdy się przejdzie, zmęczy; może wyparuje i uniesie się ponad ocean, dotykając później jako pomniejszy tajfun Argentyny. Czuł złość na wiele osób z wielu powodów — na Jeffrey'a Tolsona za to, że jest okrutny; na Janette Tolson za to, że jest bierna; na Cynthię Kavanagh za to, że straciła serce dla cudzego dziecka; na Morrisa Love'a za to, że jest uwięziony, podczas gdy mógłby być wolny. Był zły nawet na siebie, ale z jakiego powodu?

Mewa poszybowała do góry z utworzonego przez przyływ stawu i zatoczyła nad nim koło, krzycząc. Zdał sobie wtedy sprawę, że biegnie, biegnie, czując to w kościach i w bijącym sercu. Usłyszał piasek wydobywający się spod jego stóp, hasz, hasz, hasz, i zdał sobie sprawę, że jest jedyną żywą duszą na plaży.

Cały ten ogromny świat, cały ten wielki ocean, całe to nieskończone niebo, myślał — i Morris Love uwięziony za murem w ciele, którego nienawidzi.

Ale, myślał, czyż on sam też nie żył w swoim własnym więzieniu przez całe lata, na przemian to bojąc się, to nienawidząc i potajemnie odrzucając swojego ojca? Jego wolność w Chrystusie jako osoby wierzącej była dojmująco ograniczona, ponieważ nie chciał się wyzwolić z tej starej niewoli; z tej starej adamowej goryczy, którą bezwiednie w sobie pielęgnował. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że ojciec Morrisa Love'a był bardzo podobny do Matthew Kavanagha — rozczarowany i wściekły, zdradzony przez owoc własnego ciała.

A kto modlił się za Morrisa Love'a? Kto go w ogóle wspominał, z wyjątkiem legendy o tej wyspie? Zamiast być żywą, oddychającą i czującą duszą, stał się nierzeczywistym upiorem w umysłach wszystkich, z wyjątkiem gospodyni, stroiciela organów i emerytowanego duchownego, który — gdyby nie łaska żywego Boga — sam pozostałby na zawsze duszą zaklętą w niewoli szatana.

I jeszcze jedno — jeśli Morris Love tak zdecydowanie odrzuca Boga, dlaczego tak często grywa Jego muzykę?

Hasz, hasz, hasz.

Zaczął się zastanawiać, dlaczego nie modlił się za Morrisa Love'a? Jak mógł nadal odsuwać od siebie wypełnienie misji, która została mu dosłownie podsunęta pod nos na tacy?

Mówił do siebie na głos, dysząc i sapiąc w chłodnej, wiejącej od wody bryzie. To właśnie dlatego nie opuszczało go uczucie niezadowolenia z samego siebie — Bóg przyłapał go na tym, że uchyla się od wykonania misji, którą mu powierzył.

Podniósł wzrok znad zlewozmywaka w kuchni, w którym mył pomidory. Jego żona, która wyszła, żeby zebrać resztki bazylii z grządki z ziołami, nagle krzyknęła, wyrzuciła w powietrze koszyk i zaczęła skakać na jednej nodze.

— Au! Au! A niech to, do licha! Ho! Ho! Ha!

Jego żona wyglądała zupełnie jak zaklinacz deszczu, na dodatek śpiewający w plemiennym narzęciu. Co, u licha...?

— Timothy! Timothy! Na pomoc! Ach, au, au, uch!

— Cynthia?

W jednej sekundzie znalazł się na zewnątrz. Błagam, Boże, nie wąż ani straszna rana, jeśli stanęła na rozbitym szkle...

— Szerszenie! — krzyknęła, wciąż skacząc.

— Proszę — powiedział, ujmując jej ramię — pomogę ci wejść do środka.

— Nie mogę stanąć na nodze, Timothy, to straszne, potworne, nie jestem w stanie zrobić ani kroku!

— Wejdź mi na plecy w takim razie — poradził, kucając.

Zarzuciła mu ramiona na szyję i wspięła się na jego plecy, a on zaniósł ją do kuchni i dosłownie rzucił na kanapkę przy oknie niczym worek ziemniaków.

— Niech no tylko się przyjrzę — zaczął, kucając przy niej. — Aha, dwa żądła, i to dokładnie pomiędzy palcami.

— Zrób coś, Timothy, nawet sobie nie wyobrażasz, jak to boli!

Jego żona nie należała do ludzi, którzy lubią się nad sobą użalać, wiedział, że mówi serio.

— Tytoń! — wykrzyknął.

Słyszał, że tytoń wyciąga żądła na zewnątrz. Widział niedopałek papierosa zaledwie kilka dni temu. Gdzie to było?

— Zaraz wracam!

Dokładnie tam, gdzie Otis wyrzucił go w krzaki, gdy zaglądnął do nich we wtorek, tydzień temu...

Stał krótki niedopałek i rozmieszał go z wodą na papkę.

— Proszę! — zawołał, śpiesząc się, by ją zaprezentować w jednym z talerzy na zupę jego babci. — Włóż do tego stopę.

Zrobiła tak, jak jej polecił, zamykając oczy i wykrzywiając twarz.

— Uch! Czuję się tak, jakby moje palce poddawane były amputacji przy użyciu piły ręcznej przez lekarza na dzikich terenach Montany gdzieś około roku tysiąc osiemset sześćdziesiątego czwartego.

— Co też znowu.

Jego żona potrafiła czasami trochę przesadzić.

— To prawda, Timothy, to dokładnie takie uczucie. Jonathan, który przebudził się z drzemki, bił go w plecy, podczas gdy on kucał obok talerza.

— Ty przestań! — krzyczał. — Ty przestań! Ona przez ciebie płacze!

Szczerze mówiąc, był już odrobinę zmęczony pełnieniem obowiązków przybranego rodzica.

— Patrz — zauważyła jego cierpiąca żona — palce mi puchną i robią się czerwone. Jakie to ohydne.

— Musisz mu dać trochę czasu — zachwalał swoje domowe lekarstwo. — Przyniosę ci kilka aspiryn, potem zadzwonię do Marion i dowiem się, co ona poleca.

Wciągnęła gwałtownie powietrze i skrzywiła się z bólu.

— Czy ciebie też użądlił kiedyś szerszeń?

— Nigdy — wyznał. — Ani razu.

Nawet pomimo cierpienia jego żona była w stanie przywołać na twarz wyraz pogardy.

— Jakież było to twoje amerykańskie dzieciństwo, Timothy?

Ten moment, gdy mógł spojrzeć na swoją kongregację i jakby wyczuć jej tętno, zawsze sprawiał mu przyjemność. Czy wydawała się zainteresowana? Zrezygnowana? Niezadowolona?

W każdą niedzielę odkrywał inny klimat uczuć, zupełnie nową konfigurację osobowości i duchowych pragnień, a wszystko to utwierdzało go w przekonaniu, że nigdy nie robi dwa razy tego samego.

Tam siedzi jego kolega, Stanley Harmon, na wakacjach od baptystów, ciekaw zobaczyć, co słychać u anglikanów. Stanley zastąpi go w St. John's dwudziestego siódmego, kiedy będzie udzielał ślubu Pauline i Buckowi w Mitford.

Jego żona uśmiechała się do niego promiennie z drugiego rzędu po lewej stronie, gdzie siedziała razem z Samem i Marion...

...a oto i Duncanowie z dziećmi siedzącymi jedno obok drugiego jak gąski. Raz w miesiącu, zgodnie z tradycją rodzinną, cała gromadka opuszczała szkołę niedzielną i przychodziła na nabożeństwo. Jedna, dwa, trzy, cztery wstążki podskakiwały na ciemnych lokach, gdy dwie dziewczynki kolorowały pilnie kościelne biuletyny.

Właśnie opuszczał wzrok, spoglądając na tekst pieśni na otwarcie, gdy spojrzął na tył kościoła i zobaczył twarz tak chłodną i nieruchomą, jakby była wyrzeźbiona w kamieniu.

Serce zabiło mu mocno, gdy jego wzrok spotkał się na krótko ze spojrzeniem Jeffreya Tolsona, na którego twarzy dojrzał gniew, butę i, tak, sprzeciw.

— „Wy, którzy prawdziwie i gorliwie żałujecie za swoje grzechy i którzy darzycie miłością i otaczacie chrześcijańskim miłosierdziem swoich sąsiadów.

Ponieważ już dawno temu nauczył się tych słów na pamięć, nie spoglądał do modlitewnika, ale na kongregację. Zauważył, że niektórzy odwracali się i patrzyli gniewnie na mężczyznę w tylnej ławce.

— „...i zamierzacie wieść nowe życie, postępując zgodnie z przykazaniami Boga i krocząc od tej pory jego świętymi ścieżkami, przybliżcie się z wiarą i uczynicie swe pokorne wyznania przed Wszechmogącym Bogiem, klęcząc z nabożeństwem”.

Parafianie zsunęli się na kolana jak jeden mąż, co przypominało dźwięk szemrzącej wody. Jeffrey Tolson wstał i spojrzął przez chwilę w kierunku ołtarza, potem odwrócił się i szybko opuścił nawę.

Bał się tej chwili, gdy będzie musiał stanąć przed kościołem. Jego parafianie poczęli wychodzić na słońce. Oliver Hughes nie podał mu ręki, szepcząc:

— ...żeby pozwolić mu tu wrócić, plądrować kościół, brać kobiety, jedną po drugiej, jak kury z kur-nika...

— ...uprowadzać je do jego domostwa! — dokończyła Millie Hughes, oddalając się dumnym krokiem z wyrazem niesmaku na twarzy.

Marion Fieldwalker uściśniła go bez słowa. Sam szepnął:

— O mój dobry Boże. — Oparł jednocześnie dłoń na ramieniu swojego księdza.

Otis zatrzymał się i spojrzał mu w oczy, mówiąc jedynie:

— Chcemy, żebyś to załatwił.

Jean Ballenger uściśniła mu dłoń jak zwykle, ale nic nie powiedziała. Jej usta, zaciśnięte w wyraźnym grymasie, mówiły same za siebie.

Jego żona, która obecnie lekko kulała, podeszła do niego i wsunęła swoją rękę do jego dłoni.

Istniały bardziej elokwentne sposoby, żeby to wyrazić, ale powiedzenie jego babci oddawało to wystarczająco dobrze — nieszczęścia chodzą parami.

Za zaledwie kilka dni wyjeżdżają do Mitford i przedtem musi znaleźć Jeffrey Tolsona, i przeprowadzić z nim rozmowę, musi porozmawiać ze Stanleyem Harmonem i poinformować go o okolicznościach oraz upewnić się, że ojciec Jack będzie mógł celebrować mszę, podczas gdy Stanley wygłosi kazanie. Musi też dopilnować drobnych kwestii związanych z Festynem Jesiennym, który odbędzie się dziewiątego listopada, i spotkać się z niezłomną grupą Pracowitych Palców, która pracowała w pocie czoła, żeby ukończyć przygotowanie wartych prawie tysiąc dolarów artykułów na festyn, w tym fartuchów, haftowanych poszewek na poduszki, kuchennych łapek i ambitnego, haftowanego na kanwie obrazu przedstawiającego Ostatnią Wieczerzę. Co jeszcze ważniejsze, musi pojechać do Dorchester z komunią świętą dla kapitana i odwiedzić Elle.

Prawdopodobnie wyprawa do Dorchester może poczekać, ale nie, jego serce nakazywało mu coś innego. Stary kapitan czekał wystarczająco długo — dość wymówek, to należy zrobić. I jak ma znaleźć Jeffrey Tolsona, który — jak słyszał — mieszka na wyspie, ale jest zupełnie nieuchwytny?

Co gorsza, co pomyśleliby o swoim księdzu parafianie, gdyby zniknął i wyjechał do Mitford w obliczu wysoce niepokojącej sytuacji?

Jeszcze bardziej bał się tego, co będzie musiał zrobić na koniec.

Przed odrzuceniem jednak swych obaw usiłował wyobrazić sobie ich rozmowę. Być może poruszy ten temat, gdy będą leżeć w łóżku.

„Cynthia”, może powiedzieć.

„Tak?”

„Coraz bardziej... przywiązujesz się do Jonathana”. Zwyczajne stwierdzenie faktów, nie krytyka.

„Naprawdę? Przywiązuję się?” „Tak”.

Rozważył całą sprawę bardzo dokładnie i wiedział, że to nie zazdrość. To była obawa, obawa o jej uczucia, które tak łatwo można zranić.

„Co dokładnie masz na myśli?”

„Widzę, jak bardzo go lubisz. A wiesz, że już niedługo wróci do swojego domu”.

„No tak, Timothy. Oczywiście. Czy istnieje jakiś powód, dla którego nie powinnam go lubić?”

Co, wobec tego, mógł powiedzieć? Że uważa, iż byłoby dla niej najlepiej, gdyby zaczęła się wycofywać, żeby się przygotowała w jakiś sposób, którego nie potrafił do końca zaproponować ani zrozumieć? Mimo że Jonathan przybył do nich zaledwie kilka tygodni temu, pomiędzy jego żoną a chłopcem powstała taka więź, jakby był jej synem. Ale z kolei, czyż on sam nie pokochał Dooleya dokładnie w taki sam sposób? Pamiętał swoje najczarniejsze obawy, że ktoś odbierze mu chłopca....

W końcu postanowił nic nie mówić. Jonathan wróci do domu i na tym koniec.

Odczuł ulgę, ogromną ulgę, że nie poruszył tego tematu; sam ten pomysł wydawał mu się dziwny i okrutny.

— Chleb bananowy! — zawołała triumfalnym głosem jego żona, kładąc na kuchennej ladzie brytfankę.

— Moja mamusia, moja mamusia, ona piecze chleb — dodał Jonathan, kiwając twierdząco głową.

— Jeden bochenek dla nas, jeden bochenek dla sąsiadów — obwieściła. — Ale czekaj, zapomniałam... nie znamy naszych sąsiadów.

To prawda. Kilka razy pomachali do ludzi z szarego domu, którzy zdawali się pojawiać i znikać od czasu do czasu, a rodzina z sąsiedniego domu w ogóle nie pojawiła się tego lata; jedna z okiennic w oknie wychodzącym na Dove Cottage uderzała o ścianę targana wiatrem przez cały miesiąc.

Sąsiedzi, rozmyślał. To była dziwna myśl, która sprawiła, że na chwilę zakręciło mu się w głowie.

Usłyszał muzykę, gdy wychodził na ganek, a potem na podwórko za domem.

Nie miał pojęcia, co to takiego. Ale jedno było pewne — ta muzyka miała moc...

Słuchał zapamiętale, idąc, by zrealizować swój dobry uczynek. Postępująco miarowo, melancholijne dźwięki organów wydawały się tworzyć podstawę harmonijnego, choć dziwnie niepokojącego pochodu. Ponad tym ulotna melodia torowała sobie drogę przez deszcz wysokich tonów, które przywodziły na myśl obraz ptaków poruszonych nadciągającą burzą.

Rezultat, myślał, podciągając się i przeskakując przez mur, był niespójny, nieomal chaotyczny, a mimo to muzyka zdawała się tworzyć zasadniczą jedność...

Trzymając chleb w plastikowej torbie Ziploc, stał pod oknem, z którego jego sąsiad zazwyczaj prowadził swoje audyencje, i słuchał, jak melodia zbliża się do finału.

Mógł wyglądać na jakiegoś szalonego księdza, ale wcale tak nie myślał. W rzeczywistości przeskoczył przez mur, jakby to był najbardziej normalny w świecie sposób na złożenie wizyty. Na swoją spontaniczną misję zapatrywał się bardzo optymistycznie — jest to przecież jego sąsiad, za którego teraz się modli, a poza tym, kto byłby w stanie odmówić przyjęcia bochenka chleba, jeszcze ciepłego, z piekarnika?

Gdy muzyka ucichła, zawołał:

— Doskonały występ! Doskonały występ, proszę pana! W pokoju na górze zaskrzypiały deski podłogi.

— Ojciec Kavanagh... — We własnej osobie!

— Ojca psa tutaj nie ma — rzucił ostro Morris Love.

— Tak, i co za szczęście! Przyniosłem panu trochę chleba bananowego. Moja żona go upiekła, jeszcze ciepły z piekarnika, myślę, że będzie panu smakował.

Cisza.

Jeśli jego sąsiad nie wyrazi zainteresowania chlebem, najnormalniej w świecie pochłonie całość w drodze do domu.

— Prosiła, żeby panu przekazać to w dowód uznania dla pana muzyki.

Cisza.

— A co to był za fragment? Bardzo ciekawy. Nie wydaje mi się, żebym to kiedykolwiek przedtem słyszał.

Trajkotał jak nakręcony. Cisza.

Zaczynało go to wszystko drażnić i czuł, że niedługo wybuchnie jak dziecko. Przyszedł tutaj z uśmiechem na twarzy i chlebem w dłoniach i co otrzymywał w zamian za swój wysiłek? Dokładnie to, czego powinien się być spodziewać.

— Proszę pana, na litość boską, co mam zrobić z pana chlebem?

— Proszę go zostawić na krześle — powiedział Morris Love.

— Co mam zrobić?!

— Zostawić go na krześle! — huknął.

Rozważał to przez chwilę, a potem z determinacją podszedł do krzesła i usiadł. Był zmęczony uciekaniem przed swoim zagniewanym sąsiadem jak zając przed ogarem. Czyż przyjscie tutaj nie było warte chwili pogawędki, zwykłej uprzejmości? Tylko jeden moment i już go nie ma.

— Proszę pana, zauważyłem tablicę: *Nouvelle Chanson*. Jak to się stało, że dom otrzymał taką nazwę?

— Moja babcia nadała domowi taką nazwę. Śpiewała w Met*, Rose Bampton i Lily Pons zaliczały się do grona jej przyjaciół. Melchior był bliskim znajomym mojego dziadka.

— Aha.

* Met — Metropolitan Opera. W latach 1940-1943 czołowymi śpiewakami opery byli Rose Bampton, Lily Pons i Lauritz Melchior.

— Gdy moi dziadkowie zbudowali ten dom w tysiąc dziewięćset czterdziestym siódmym roku jako dom letniskowy, miała nadzieję, że życie tutaj będzie nowym początkiem dla ich małżeństwa — nową

pieśnią, można powiedzieć. — W głosie Morrisa Love'a słysząc było zniecierpliwienie, ale zdecydowanie mniejszą wrogość. — Tak się jednak nie stało.

Ojciec Tim odczekał chwilę.

— A jak się stało?

— Moi dziadkowie potrafili żyć jedynie do starej pieśni.

— Do starej pieśni...

— Drobnie akty niemej przemocy, ojczyzna, i zagorzała wzajemna nienawiść.

Morris Love prowadził z nim normalną rozmowę. Zdał sobie sprawę, że wstrzymuje oddech, i wypuścił delikatnie powietrze.

— Kto nauczył pana grać na organach?

— Mój dziadek. Gdy już dorobił się majątku, zaczął studiować muzykę organową. W latach czterdziestych i pięćdziesiątych kilku wielkich mistrzów muzyki organowej spędzało tu letnie miesiące, udzielając mu lekcji. Do czasu gdy ja się pojawiłem, on osiągnął już znaczną biegłość i zaczął mnie uczyć w młodym wieku.

— Słyszałem, że kazał zbudować organy specjalnie dla pana...

— Tak. Gdy miałem sześć lat.

— Czy to są te organy, na których gra pan dzisiaj?

— To była zabawka, ojczyzna, zwykła zabawka. Gram na zbudowanych na indywidualne zamówienie mojego dziadka organach marki Casavant, które następnie zostały dostosowane do moich potrzeb.

— Nigdy nie widziałem organów marki Casavant, chociaż mogłem ich słyszeć, nie zdając sobie z tego sprawy. Należą, oczywiście, do jednych z najznakomitszych na świecie.

— Mówiąc bardziej precyzyjnie, to jeden z najwspanialszych instrumentów. Casavant przyjechał tutaj, żeby przeprowadzić analizę akustyczną, i pracował z architektem, żeby wykończyć ten pokój. Mój dziadek był wysoce wymagającym człowiekiem.

— Przypuszczam, że pokrycie klawiszy zrobione jest z egzotycznego drewna?

To drobiazg, ale zawsze interesowało go pokrycie klawiszy w starych instrumentach klawiszowych.

— Jedynie wysokie nuty, które są z hebanu. Nuty niealterowane są z czystej kości słoniowej i pomimo wieku są wyjątkowo piękne.

Aż kręciło mu się w głowie; oczami wyobraźni widział majestatyczny kształt królujący w pokoju na górze. Położył wszystko na jednej szali.

— Bardzo chciałbym je kiedyś zobaczyć i usłyszeć, jak pan gra... bez ścian pomiędzy nami.

Słuchał bicia swojego serca w długiej chwili ciszy, która nastąpiła. No tak, wszystko stracone, zbyt mocno napierał i to właśnie wtedy, gdy zaczynało mu dobrze iść.

— Byłoby to... niestosowne.

W głosie Morrisa Love'a było coś na kształt żalu, był tego pewien. Panie, przemów do jego serca.

— Proszę pana, czy mogę nazywać pana po imieniu, Morris? I proszę do mnie mówić Tim.

— Nigdy nie zwracałem się do księdza po imieniu. Uważam to za odrażający, nowoczesny zwyczaj.

— Znał pan w takim razie księży? Chodził pan do St. John's?

— Tylko, żeby przyjąć chrzest. Księża z St. John's często przychodzili tutaj, jedni — żeby się za mnie modlić, inni — żeby pić francuskie wina mojego dziadka. Jedyna radość, jaką byłem w stanie czerpać z tych wizyt, to podarunki, jakie mi czasami robili, w formie skradzionych z kościoła nut.

— Pana matka i ojciec... czy oni byli...

— Precz! Precz!!!

Podskoczył. Szok, jakiego doznał, słysząc to, co nieuniknione, sprawił, że poczuł mrowienie na czubku głowy. Ton i powtórzenie tego wściekłego rozkazu były nieomal nie do zniesienia. Czując ogarniające go duchowe zmęczenie i nie mając pojęcia, co jeszcze mógłby powiedzieć albo zrobić, wstał, by odejść.

— Ojciec...

— Tak?

— Może ojciec mówić do mnie po imieniu.

— Morris — odparł głosem szorstkim ze wzruszenia. — Proszę, nie pozwól, żeby wiewiórki poczęstowały się twoim chlebem. Mam nadzieję, że będzie ci smakował. Spróbuj podgrzać go w piekarniku na śniadanie, my tak robimy.

Rozważał przez chwilę dziwną odpowiedź intuicji, następnie zwrócił się z pytaniem w stronę okna:

— Syndrom Tourette'a?

— Tak. Łagodna odmiana.

— Zaglądnę tu jeszcze — rzucił. Nie usłyszał jednak odpowiedzi.

Marion Fieldwalker spojrzała na niego sponad biurka, przy którym wypożyczała książki.

— Ależ to ojciec Tim! Jesteśmy podekscytowani ojca wizytą!

— Szukam encyklopedii medycznej, Marion. Coś wszechstronnego.

Zważywszy na cenę za kilogram przesyłki, zrezygnował z przesłania do Whitecap własnej.

— Przyszedł ojciec pod właściwy adres. Jeden z naszych emerytów studiował medycynę na uniwersytecie w Harvardzie i podarował nam cudowny egzemplarz. Trzeba by dźwigu, żeby ją podnieść!

— No to trafiłem w dziesiątkę! — zawołał z radością.

Skoro już tu był, chciał zajrzeć do *Notatek z podziemia* Dostojewskiego, wspomnienie których mocno współgrało z tym, czego dowiadywał się o swoim sąsiedzie.

Było to dzieło, które odpychało go swoją czarną rozpaczą, on jednak przewracał pilnie jego strony, kichając od kurzu i stęchlizny. Z ciekawości zajrzał do znajdującej się z tyłu karty. Aha! Tylko jeden czytelnik oprócz niego zaglądał do tej książki dwanaście lat temu.

Rozbawiony napisał swoje nazwisko na karcie, „Timothy A. Kavanagh”. Dla potomności!

„Jestem człowiekiem chorym — pisał fikcyjny autor pamiętników Dostojewskiego*. — Człowiekiem złym. Niepociągającym...

Im lepiej rozumiałem dobro i owo »wszystko, co piękne i wzniosłe«, tym głębiej zapadałem w to swoje bagno i tym bardziej byłem skłonny w nim grzęznąć... Ale i w desperacji trafiają się najbardziej palące rozkosze, zwłaszcza kiedy się już ma szczególnie wyostrzoną świadomość beznadziejności swego położenia...

* Fragmenty powieści *Notatki z podziemia* Fiodora Dostojewskiego w tłumaczeniu Gabriela Karskiego zaczerpnięto z książki *Notatki z podziemia. Gracz*, Puls Publications Ltd, Londyn 1992.

Byłem przykry i znajdowałem w tym zadowolenie...

Nawet... bym się rozczulił, chociaż z pewnością później sam zgrzytałbym z wściekłości na siebie zębami i ze wstydu przez kilka miesięcy cierpiałbym na bezsenność...

Teraz zaś dokonuję żywota w swoim kącie, drażniąc siebie gorzką i na nic nieprzydatną pociechą, że człowiek rozumny po prostu nie może na serio kimś się stać, kimś staje się jedynie głupiec".

Zdecydowanie nielekka wakacyjna lektura. Zamknął stęchłą książkę, z ulgą spoglądając przez okno na jasne i bezchmurne niebo.

Siedząc przy starym stole w bibliotece, szybko wodził palcem po linijkach.

„...charakteryzująca się gwałtownymi, powtarzającymi się, mimowolnymi ruchami mięśni, zwanymi »tikami«, i mimowolną wokalizacją...

Tiki fonetyczne są zróżnicowane i składają się z sylab, słów (np. »OK«), krótkich wyrażeń (np. »cicho«, »nie, nie«) i pełnych zdań. Tiki są nagłe, mimowolne i powtarzające się...

Tiki nasilają się w okresach wzmożonego stresu i podenerwowania i są często mylnie interpretowane jako »nawyki nerwowe«...

Wielu chorych cierpi na depresję... często zamyka się w sobie i miewa myśli samobójcze...

...dowody, że syndrom Tourette'a nie jest problemem emocjonalnym ani psychologicznym, ale chronicznym, dziedzicznym zaburzeniem neurologicznym".

— Chciałbym to wypożyczyć — poprosił, niosąc z trudem ciężki tom na biurko.

— O mój Boże, tego się nie wypożycza. To księgozbiór podręczny.

Marion musiała zauważyć wyraz rozczarowania na jego twarzy. — Ale zrobimy specjalny wyjątek dla duchowieństwa — dodała, uśmiechając się. — Czy chciałby ojciec taczkę, żeby przetransportować książkę do samochodu?

Nie musiał szukać Jeffreyja Tolsona. Wkrótce po otwarciu kościoła we wtorek rano Jeffrey Tolson sam pojawił się z nadzieją, że go tu znajdzie.

To nie w kamieniu wyrzeźbiona była twarz jego gościa, myślał ojciec Tim, lecz w bryle lodu. Zauważył, że Jeffrey ma na sobie rozpinaną pod szyją białą koszulę z szerokimi rękawami, tę samą, w której złożył swoją poprzednią wizytę.

Czuł oddzielający ich ogromny mur, gdy zajmowali miejsca w kancelarii. Nie zamierzał głosić żadnego kazania. Pozwoli Jeffreyowi Tolsonowi powiedzieć to, z czym przyszedł, a potem wyłoży na stół swoje karty, krótko i bez owijania w bawełnę.

— Zamierzam wrócić do mojego Kościoła — poinformował go Jeffrey Tolson.

Mięsień zadrgał mu na policzku.

— Twojego Kościoła?

— Kościoła mojego dziadka, Kościoła mojego ojca i mojego Kościoła. Tak.

— To, że urodziłeś się w rodzinie, która należy do tego Kościoła, nie nadaje ci jakichś szczególnych przywilejów ani prawa własności. Zraniłeś tutaj wielu ludzi.

— Istnieje coś takiego jak wybaczenie, ojcze.

— Czy prosisz o wybaczenie parafian Kościoła St. John's?

Jeffrey założył nogę na nogę i ruszał nerwowo lewą stopą w przód i w tył.

— Jeśli to będzie konieczne.

— Przyznajesz w takim razie, że zgrzeszyłeś?

— Nie, przyznaję, że popełniłem błąd.

Ojciec Tim spojrzał uważnie na człowieka, który przed nim siedział.

— Jest pewien warunek konieczny, który należy spełnić, żeby móc poprosić o wybaczenie. I jest to coś, czego u ciebie nie widzę ani nie wyczuwam nawet w minimalnym stopniu.

— Warunek konieczny?

— To żal za grzechy. Wybaczenie to nie jest coś, co zdobywa się łatwo, realizując własną zachciankę. Można je uzyskać poprzez głębokie pragnienie, żeby zadowolić Boga. Polega na wyrzeczeniu się...

— Ja się wyrzekłem. Nie mieszkamy już razem.

— Mówisz o ciele, ja mówię o sercu. Jeffrey Tolson zbladł.

— Jako dyrektor tutejszego chóru przez czternaście lat często słuchałem Pisma Świętego. Nie jest ojciec jedynym, który posiadał tak zwaną prawdę. Wydaje mi się, że święty Paweł powiedział: „Przebaczajcie sobie, tak jak i Bóg nam przebaczył w Chrystusie”.

— Czy wierzysz, że Chrystus jest świętym Synem Boga? Jeffrey Tolson wzruszył ramionami.

— Chyba tak. Niekoniecznie.

— Czytamy, że każdy, kto w Niego wierzy i ufa Mu, otrzyma w Jego imię wybaczenie za grzechy. W rzeczywistości wcale nie chodzi o to, żebyś poprosił mnie albo radę parafialną albo kogokolwiek innego w St. John's o wybaczenie; musisz dojść z tym do ładu wobec Niego.

Jeffrey bębnił po blacie biurka palcami prawej dłoni.

— Żal i skrucha polegają na odwróceniu się, na odwróceniu się od wszystkiego, co cię wiąże czy zniewala. Jak na przykład zamierzasz postąpić ze swoją rodziną?

— Janette ma dom i samochód, świadczy usługi krawieckie i całkiem nieźle sobie radzi, i jak tylko znajdę pracę na wyspie, zadbam o to, żeby dostawała co tydzień czek.

— Jak tylko znajdziesz pracę?

— Nie jest ojciec z Whitecap, więc prawdopodobnie nie przyszło nawet ojcu do głowy, że znalezienie pracy na wyspie jest albo trudne, albo niemożliwe.

Usłyszał drwinę w głosie swojego gościa i musiał się bardzo starać, żeby jego głos brzmiał spokojnie, gdy się odezwał.

— Mógłbyś dojeżdżać do pracy na łądzie, jak połowa mieszkańców tej wyspy.

— Wolałbym pracować na wyspie. Dojeżdżanie jest drogie i niewygodne.

— Pozwól, że się upewnię, iż dobrze cię zrozumiałem, Jeffrey. Porzuciłeś swoją żonę i dzieci i popełniłeś cudzołóstwo, decydując się na związek z zamężną kobietą, opuściłeś wyspę na kilka miesięcy, w którym to czasie twój finansowy wkład w utrzymanie rodziny równał się słownie stu dolarom; zasmuciłeś każdego członka Kościoła, a szczególnie twój chór, a teraz twierdzisz, że niekoniecznie wierzysz, że Chrystus jest Synem Boga, a mimo to masz nadzieję uzyskać Jego przebaczenie.

Jeffrey Tolson otworzył usta, żeby się odezwać, ale ojciec Tim uniósł dłoń.

— Na dodatek zamierzasz czekać, aż znajdziesz pracę, która będzie dogodna, podczas gdy twoja żona, obecnie hospitalizowana i bez dochodu, dzielnie sobie radzi z konsekwencjami, gdy ty paradujesz do domu Boga, gwizdząc sobie beztrąsko. — Był wściekły. — Gdy będziesz gotowy wrócić do Jego domu z pokorą, wyznając swoje grzechy i pragnąc Jego daru przebaczenia, znajdziesz serce chętne, żeby cię wysłuchać. — Podniósł się zza biurka wzburzony.

Jeffrey Tolson również wstał. Był biały na twarzy z gniewu.

— Dzisiaj wieczorem przyjdę po swojego syna. Proszę przygotować jego rzeczy.

— Przyjdiesz po swojego syna? Nie wydaje mi się. Jonathan został powierzony naszej opiece przez Janette. To Janette decyduje o tym, co się z nim dzieje, a to, możesz być pewien, wystarczy w każdym sądzie.

Mimo że nie wiedział tego na pewno, wydawało mu się, że tak powinno być.

Przez chwilę myślał, że może otrzymać cios na miejscu, ale było mu wszystko jedno; był gotów na ryzyko, czuł się niepokonany.

— Nie może mnie ojciec powstrzymać przed chodzeniem do St. John's.

— Masz absolutną rację, nie mogę. Ale odradzam ci to. Jeffrey Tolson wymówił przekleństwo.

— Ojciec Morgan, w odróżnieniu od ojca, był człowiekiem pokoju. Ojciec nie jest ojcem Morganem.

— Dzięki Bogu! — odparł, otwierając i przytrzymując drzwi do kancelarii.

— Ojcie, zanim wyjedzie ojciec na urlop, nie zechciałby ojciec złożyć zamówienia na nową sportową marynarkę?

Spojrzał na świeżo przystrzyżoną grzywkę Jean Ballenger, która zawijała się do góry jak rzęsy gwiazdy filmowej.

— Nową sportową marynarkę?

— Dla Janette, żeby pomóc jej na nowo uruchomić usługi krawieckie, gdy wróci do domu. Zamierzam zamówić szmizjerkę w tureckie wzory; Marion zamawia czerwoną sukienkę, mówi, że nosi za dużo granatu; i myślałyśmy, że może zechce ojciec zamówić sportową marynarkę.

— No cóż...

— W czymś błękitnym dobrze by ojciec wyglądał.

Miał trzy błękitne sportowe marynarki, ale nic nie powiedział.

— Penny Duncan zamawia portfelową spódnicę, chociaż nie ma nie wiadomo ile pieniędzy do wyrzucenia i sama szyje jak marzenie! Czy nie uważa ojciec, że to prawdziwe poświęcenie?

— Rzeczywiście.

— Cynthia mogłaby zamówić kostium, lniany albo z piki, może coś z ładną baskinką, wydaje mi się, że wyglądałaby olśniewająco w czymś z baskinką.

— Ile kosztuje sportowa marynarka?

— Nie mam pojęcia.

— Może dasz mi znać, jak się dowiesz?

— Ależ oczywiście! — zgodziła się z entuzjazmem, zapisując to w notatniku. — Uważam po prostu, że to byłby chrześcijański gest, prawda?

Uśmiechnął się do energicznej Jean Ballenger, podążającej korytarzem, aby zebrać zamówienia od grupy Pracowitych Palców, która obecnie udowadniała, i to w wielkim stylu, że nie bez powodu nosi właśnie taką nazwę.

Prawdę powiedziawszy, bardzo miło było pomyśleć, że już wkrótce spojrzy na nawę i zobaczy całą kongregację wystrojoną w nowe rzeczy, bez względu na to, czy będą ich potrzebować, czy nie.

Spotkanie z Jeffreyem Tolsonem wytrąciło go z równowagi. Siedział w gabinecie w Dove Cottage, podpierając czoło dłonią tak długo, że aż zaniepokoiło to jego żonę.

— Timothy, kochanie, co się stało? — Nie pozwoliła się zbyć przy trzecim pytaniu.

— Ach... — odparł.

Nie miał dość siły, żeby opowiedzieć jej o tej przykrej sprawie. Poza tym, czy to znaczy, że Jeffrey Tolson może się kręcić w pobliżu, żeby zabrać Jonathana siłą, gdy Cynthia i chłopiec będą sami? Sama myśl o tym była nie do zniesienia.

Zamierzał już położyć się spać, gdy usłyszał pukanie. A która to była godzina? Spojrzał na zegarek na nocnej szafce. Po dziesiątej.

Przez szybę w drzwiach frontowych zobaczył coś, co wyglądało na podskakujące na ganku światło latarki. Włączył światło na ganku i otworzył szeroko drzwi.

To był ktoś w mundurze, i to ktoś bardzo postawny na dodatek.

— Czy mógłby się pan przedstawić?

— Tim Kavanagh. Dlaczego pan pyta?

— Mam do wręczenia urzędowe pismo. Wytoczono panu sprawę w sądzie.

— Przepraszam?

— Czy jest pan wielobnym Timothyem A. Kavanaghem?

— Tak, jestem. — Serce biło mu mocno.

— Bill Deal, szeryf tego okręgu.

Bill Deal schował do kieszeni latarkę i wyjął portfel, żeby pokazać odznakę.

— Robię to z ogromną przykrością. Jak mi się wydaje, pływa ojciec na ryby z Cap'n Willie.

Nie mogąc wydobyć z siebie ani słowa, wziął od mężczyzny kopertę i spojrzał na nią oniemiały. Szeryf odchrząknął i odsunął się, stając na brzegu schodów i spoglądając na niebo.

— Prawdopodobnie przyniesie nam już wkrótce trochę deszczu. Cóż, proszę się tym za bardzo nie martwić, wielobny.

Szeryf zbiegł ciężko po schodach, podszedł do głównej furtki i wszedł do samochodu.

Stał tam, na chłodnym październikowym powietrzu, jak zaczarowany.

Cynthia zawołała do niego z korytarza:

— Timothy, co się dzieje?

— Nie mam pojęcia, nie wiem. I nie chciał wiedzieć.

Rozdział szesnasty

DORCHESTER ISLAND

Problem nie polegał na tym, że nie potrafił zrozumieć ogólnej wymowy dokumentów, które zostały mu wręczone — potrafił. Problem polegał na tym, że nie potrafił połączyć tego w żadną logiczną całość; za każdym razem, gdy je czytał, miał wrażenie, że jego mózg rozpada się jak atom. Jednego był pewien — był głęboko zaniepokojony.

Poszedł do gabinetu i ściągnął z półki swoją książkę z cytatami, książkę, w której robił odręczne notatki od piętnastu lat. Szukał czegoś, co powiedział święty Franciszek Salezy, zapisał to w książce zaledwie kilka dni temu...

„Nie zastanawiaj się nad tym, co się może zdarzyć jutro; ten sam wieczny Ojciec, który opiekuje się tobą dzisiaj, zaopiekuje się tobą jutro i każdego dnia. Albo obroni cię przed cierpieniem, albo da ci nieustraszoną siłę, żeby je znieść. Bądź zatem spokojny, odsuń od siebie wszelkie trapiące myśli i to, co

podsuwa ci wyobraźnia, i powtarzaj ciągle: »Pan moją mocą i tarczą! Moje serce Mu zaufało: doznałem pomocy. Pan jest nie tylko ze mną, ale we mnie i ja w Nim«".

Było już po jedenastej, gdy ubrał się i pojechał do St. John's, zszedł po cementowych schodach przy świetle księżycy i przesłał faksem dokumenty do domu swojego kuzyna w New Jersey. Faks znajdował się w pracowni Waltera, gdzie jego kuzyn znajdzie je z pewnością następnego ranka, zanim wyjedzie do swojej kancelarii prawnej na Manhattanie.

Ojciec Tim przygotował odręcznie stronę przewodnią, na której zapisał numer telefonu w St. John's i krótką wiadomość.

„Proszę, zadzwoń do mnie, jak tylko to przeglądniesz. Będę w kancelarii przed szóstą rano”.

Nie chciał rozmawiać ze swoim kuzynem prawnikiem w domu, ponieważ jego żona już teraz była mocno zaniepokojona tym koszmarnym rozwojem wypadków.

Wyszedł z Dove Cottage o piątej czterdzieści pięć, opatulony w sweter i kurtkę.

— Żargon prawniczy, Walter, żargon prawniczy.

Usiadł przy swoim biurku w chłodnej kancelarii w podziemiu, pijąc filiżankę letniej kawy przyniesionej z domu i robiąc notatki w bloku biurowym.

— Zaczynij od początku, chciałbym wszystko zapisać.

„Odsuń od siebie wszelkie trapiące myśli i to, co podsuwa ci wyobraźnia...”

— Hélène Pringle zaskarżyła cię, jako zarządzającego majątkiem, i żąda jednej trzeciej funduszy depozytowych Domu Nadziei.

— Tak.

Jego głos przypominał skrzeczenie ropuchy i zdał sobie sprawę, że znowu podpijera czoło dłonią.

— Twierdzi, iż jest nieślubną córką Josiaha Baxtera...

Ojca panny Sadie. To stwierdzenie wydawało mu się tak absurdalne i niezwykle, że nie mieściło mu się w głowie; myśl ta niezmiennie wymykała się jego rozumieniu, mimo iż starał się do niej przyzwyczać.

— Ale dlaczego teraz, po tych wszystkich latach...?

— Nie mam pojęcia. Najwyraźniej opierają swoje powództwo na własnoręcznym testamencie Baxtera, w którym deklaruje on, że po jego śmierci jedną trzecią majątku otrzyma matka Hélène Pringle, Françoise. A kiedy zmarł Baxter?

Próbował obliczyć to wczoraj w nocy. Data znajdowała się na urnie w kolumbarium w Lord's Chapel. Widział ją wiele razy, ale nie mógł sobie dokładnie przypomnieć.

— Gdzieś pod koniec lat czterdziestych.

— Ile miał lat, gdy zmarł?

— Panna Sadie mówiła mi kiedyś... chyba ponad siedemdziesiąt. Prawdę powiedziawszy, wydaje mi się, że mówiła mi, iż zmarł po dłuższym pobycie we Francji.

Wiedział, że matka panny Sadie zmarła w 1942, więc Josiah Baxter musiał być wdowcem, gdy...

— Oczywiście zgodnie z naszymi przepisami o przedawnieniu ich żądania straciły ważność kilkadziesiąt lat temu — dodał Walter.

— W takim razie ich powództwo jest w istocie bezpodstawne.

— Niestety, powództwo opiera się na prawie francuskim, z uwzględnieniem zawartego pod koniec drugiej wojny światowej mało znanego porozumienia pomiędzy Francją i Stanami Zjednoczonymi. Nie wiem o nim zbyt wiele, prawdopodobnie jest to coś, co uregulowało problem wojsk okupacyjnych i kwestii ojcostwa.

Cała rzecz jawiła mu się jako prawdziwy galimatias tajemniczości i zagmatwania.

— Wygląda na to, że prawnik Pringle jest Francuzem — Louis d'Anjou z d'Anjou and Pichot — i zarówno Pringle, jak i jej matka są obywatelkami francuskimi. Pozwól, że się z tym zapoznam; nie wiem niemal nic o prawie francuskim. Masz trzydzieści dni na złożenie pisemnej odpowiedzi, w której odnosisz się do zarzutów.

Potrząsnął głową jakby się chciał obudzić ze złego snu.

— Zadzwoń do jej prawnika i postaram się w tym zorientować. Skontaktuję się z tobą za kilka dni — w tej chwili jestem w sądzie, duża sprawa.

— Cokolwiek — poprosił. — Cokolwiek możesz zrobić...

Odłożył słuchawkę tak zmęczony, jakby przebiegł kilometr po plaży.

Ava Goodnight miała przyjechać pojutrze, w dniu jego wyjazdu do Dorchester. Zje śniadanie w Mona's Café, o siódmej trzydzieści Roanoke podstrzyże mu włosy, dopilnuje kilku spraw w St. John's, następnie wróci do Erniego nie później niż o dziewiątej trzydzieści, żeby poznać Avę i jej siostrę. Więc... jeśli wyruszą z Cynthią i Jonathanem tuż przed jedenastą, przyjadą do Elli około południa. Spędzą u niej trochę czasu, następnie pojedzie udzielić sakramentu komunii świętej kapitanowi Larkinowi i wyruszą w drogę powrotną do domu. Zważywszy na wszystko, co muszą zrobić, zanim pojedą do Mitford, zaproponuje spacer po cmentarzu innym razem; Bóg raczy wiedzieć, że zmarli nigdzie nie uciekną.

— Nasza wycieczka do Dorchester czeka nas już pojutrze — rzucił, gdy kończyli lunch. — Postaramy się, żeby nie zajęła nam zbyt dużo czasu. Wiem, że masz wiele rzeczy do zrobienia.

— Możliwe, że Jonathan nie będzie mógł pojechać — odparła. — Ma straszny kaszel i leje mu się z nosa.

— Alergia?

— Raczej nie, a poza tym, Timothy, słyszę, że nadchodzi front burzowy.

— Gdybyśmy chcieli rezygnować ze wszystkich planów za każdym razem, gdy nadciąga burza, nic byśmy tutaj nie zrobili!

Wyglądała na przygnębioną.

— Sprawa w sądzie, chory chłopiec, dziesięciogodzinna jazda samochodem i front burzowy...

— Z deszczu pod rynnę — zauważył. — Gra słów niezamierzona.

Jonathan wbiegł do kuchni i wspiał się na kolana Cynthii.

— Na litość — wykrzyknęła, wycierając mu nos serwetką. — A teraz dmuchaj!

— Już się nie możemy doczekać, kiedy cię zobaczymy, kolego.

— Ja też. Mama mówiła, że Buck już przyjechał, zatrzymał się u Harleya, mówi, że zrzucił trochę kilogramów na wesele i tak dalej. Poo nałoży garnitur, nie umiem sobie wyobrazić Poo w garniturze.

— A ty co nałożysz?

— Hm — zastanawiał się Dooley. — Garnitur.

— Nie zapomnij koszuli i krawata — albo możesz pożyczyć jeden z moich.

— Twoje krawaty są zbyt...

— Tak?

— Nudne.

Ponieważ zazwyczaj nosił koloratkę, nigdy nie zaprzętał sobie głowy krawatami. Może powinien kupić coś... optymistycznego! Coś włoskiego!

— O której przyjedziesz do Mitford?

— Około jedenastej w piątek rano.

— Jak się czujesz przed pojawieniem się przed obliczem sędziego?

— Nieszczególnie.

— Wszystko pójdzie dobrze, nie martw się. A jak twoje sprawy z Caroline?

Dooley wzruszał ramionami, prawie to słyszał. Chłopiec zarumienił się, czuł to.

— Ach...

— Całkiem nieźle?

— No cóż, tak, jest naprawdę świetna, bardzo interesująca. Maluje takie piękne akwarele jak Cynthia. Szkoda, że nie widziałeś tej, na której namalowała góry za swoją szkołą, wyglądały dokładnie jak w rzeczywistości, tyle że były jeszcze piękniejsze.

— Niech mnie licho.

— Tak zabawnie się śmieje, coś jakby... coś takiego. Dooley wydał z siebie dziwny dźwięk, coś pomiędzy prychnięciem a chichotem.

— Nie tak, raczej... sam nie wiem!

— Chyba się domyślam.

— A na dodatek jest bardzo zabawna.

Coś mu się wydawało, że Dooley Barlowe zakochał się po uszy.

— Nie możemy pojechać, najdroższy, jest rozpalony gorączką. Mam nadzieję, że to tylko grypa. Prawie wszyscy na spotkaniu kółka czytelniczego w środę byli przeziębieni i chorzy. Gdybym wiedziała, nie zabrałabym go ze sobą. Jestem umówiona na wizytę u jego lekarza.

Dotknął czoła chłopca, spojrzał na jego czerwone oczy i ciekący nos, słuchał przez chwilę, jak ciężko oddycha. Przekonany, że ciągnięcie ze sobą Jonathana do Dorchester jedynie pogorszyłyby sprawy, powiedział jej w końcu:

— Jeffrey Tolson może się tu kręcić. Nie wydaje mi się, żeby był groźny, ale trudno powiedzieć, do czego jest zdolny.

— Nic nam tutaj nie robi! — zawołała, wyglądając groźnie.

— Pozamykamy wszystkie drzwi, a ty wrócisz, zanim się ściemni, więc nie ma się o co martwić. Podam dla Elli lasagne, którą niedawno zamroziłam. Samotne kobiety prawie nigdy nie przyrządzają lasagni!

Jego żona była w stanie przekonać go do wszystkiego. Czując lekką ulgę, poszedł do gabinetu, zamknął drzwi, usiadł na fotelu i pomodlił się w tej sprawie. Napisał kilka dni temu do kapitana Larkina, że przyjedzie, a ostatnia rzecz, której pragnąłby, to go rozczarować. Czy powinien pojechać, czy też przełożyć wyprawę na inny dzień?

Pomodlił się, a następnie czekał przez chwilę.

Bóg chce, żeby pojechał. Był pewien.

Niebo było stalowoszare od horyzontu po horyzont; wyglądało to tak, jakby nad Whitecap zacisnęła się szczelnie, niczym pokrywa rondla do smażenia indyka, stalowa obręcz.

Przemierzał frontowy ganek, nie będąc w stanie myśleć logicznie, zdenerwowany perspektywą jutrzejszego wyjazdu. Może powinien zrezygnować z całej tej historii z Avą i wyjechać wcześniej, ale Ernie był podekscytowany tym spotkaniem, jak każdy rodzic, a on nie zamierzał tego bagatelizować. Poza tym chciał zobaczyć Avę Goodnight, która — powiedzmy to sobie szczerze — nawet się nie starając, zdołała wytworzyć wokół siebie całkiem niezłą aurę tajemniczości.

Cynthii nic nie będzie, powtarzał sobie i zadzwoni do niej przynajmniej raz, a może nawet dwa, z domu Elli.

A skoro już o tym mowa, dlaczego nie ma telefonu w samochodzie? Wszyscy inni zdawali się jeździć dookoła z zawrotną prędkością, gadając do telefonów, jakby to była sprawa życia i śmierci. Mimo to w perspektywie posiadania telefonu nie było nic, co by go pociągało. Czyż inni nie włamywaliby się do jego samochodu, żeby go ukraść, a może ludzie nie kradną już telefonów? Może telefony samochodowe są teraz tak tanie i powszechne, że nikt nawet nie chciał zadawać sobie trudu rozbijaniem okna. A poza tym, gdyby miał telefon, czyż nie musiałby cały czas jeździć z zasuniętym dachem mustanga? W przeciwnym razie złodzieje mogliby po prostu sięgnąć do środka i wyrwać go z uchwytu czy coś takiego.

Dlaczego rozmyśla o takich głupotach? Rozmyśla o głupotach, ponieważ boi się myśleć o tym, co naprawdę ważne; usiłuje rozpaczliwie odsunąć od siebie realne widmo procesu.

Zasunął zamek kurtki i usiadł na swoim ulubionym bujaku, spoglądając na zapadający zmierzch.

Proces wisiał nad nim jak czarna chmura. Co, u licha, mogło to wszystko znaczyć? Dzięki Bogu, Walter był kimś więcej niż tylko kuzynem z praktyką prawniczą. Walter był twardym, rzeczowym prawnikiem z przyzwoitą reputacją i kilkoma wpływowymi klientami; z pewnością będzie w stanie pomóc mu się z tym rozprawić.

Zdał sobie sprawę, że załamuje nerwowo ręce. Prawie nigdy się na tym nie przyłapywał, więc natchmiast przestał.

Musiał jednak przyznać, że jeszcze gorsza od niepokoju i obaw wobec nieuchronnego procesu była perspektywa utraty jednej trzeciej depozytu, która obejmowała część tego, co Andrew Gregory zapłacił za antyki panny Sadie, i jedną trzecią odsetek, które narosły w funduszach wzajemnych, co w efekcie czyniło z Héléne Pringle domniemaną dziedziczkę prawie stu pięćdziesięciu tysięcy dolarów. Panna Sadie zaufała mu, czyniąc go zarządcą wszystkiego, co po sobie zostawiła, a on nigdy nie odżegnywał się od tej ogromnej odpowiedzialności, ani na chwilę. Teraz odczuwał na swoich barkach cały jej ciężar i jedyną osobą, do której mógł się w tej sprawie zwrócić, był ktoś, kogo od dzieciństwa nazywał głąbem.

Bóg nie dał mu zbyt licznej rodziny, ale dał mu Waltera; być może, jak powiedział Mardocheusz w Księdze Estery*, na czasy takie jak te.

* Księga Estery — księga ta wchodzi w skład Starego Testamentu.

Tak więc miał doskonałego prawnika, a on i Cynthia odmawiali modlitwę, która nigdy nie zawodzi. Co jeszcze można zrobić?

Aha! Jego sąsiad znowu grał, chociaż nie rozpoznawał tej muzyki.

Podszedł na północną stronę ganku i przyłożył do uszu złożone dłonie. Interesujące. Bardzo interesujące.

Przykucnął, potem usiadł na krawędzi ganku, machając w powietrzu nogami.

Tak! Właśnie tak, Morris! To, co robisz z basem, tak trzymać, wspaniale, pięknie, nie przestawaj...

Zsunął się z ganku, podszedł do tylnej furtki i otworzył ją, następnie wyszedł na spowitą zmierzchem ulicę, gdzie stał przez chwilę, słuchając.

Jego żona nie byłaby zadowolona, gdyby zniknął na chwilę bez uprzedzenia, o nie, w rzeczy samej, ale nie będzie go zaledwie przez pięć, może dziesięć minut. Cynthia nawet nie zauważy, że go nie ma; jego pies jednak to już zupełnie inna historia. Gdyby Barnaba wiedział, że wybrał się na przechadzkę bez niego...

Zeskoczył na ziemię po drugiej stronie muru i odkrył, że biegnie drogą dojazdową.

Gdy znalazł się przed domem, opadł na krzesło pod oknem i słuchał.

Na przemian to kiwał entuzjastycznie głową, to kręcił nią krytycznie. Kręcił głową na złowieszcze fragmenty muzyki, mimo iż wiedział, że nadają większą lekkość fragmentom iluminacji.

Na Boga, ten Casavant rozsadzi dom.

Gdy muzyka się skończyła, poczuł na policzkach łzy. Czekał przez kilka chwil.

— Morris? — zawołał.

— To ojciec?

— Tak.

Zapadła długa, dziwnie przyjemna chwila ciszy.

— Wyjeżdżam na kilka dni i przyszedłem... — Poczul nagle ściśnięcie w gardle. — Przyszedłem powiedzieć, że twoja muzyka jest... — Że jest jaka? Poruszająca? Potężna? Jak krytycy byli w stanie przeżyć, posługując się językiem, który z pewnością często ich zawodzi? — Cudowna! — zawołał.

Przecudowna. To wszystko, co był w stanie z siebie wykrzesać w tej chwili.

— Być może chciałby ojciec wejść... i zobaczyć Casavanta? Czy na pewno dobrze usłyszał? Otarł oczy rękawem koszuli.

— Ależ tak, dziękuję, bardzo chętnie.

Jego żona będzie odchodzić od zmysłów, ale to było wyjątkowe zaproszenie. Zupełnie oniemiał...

— Drzwi są otwarte. Proszę wejść po schodach. Wyjdę po ojca na półpiętro.

Podniósł się gwałtownie z krzesła, uważając, by się nie potknąć na leżącej luźno kostce, którą kiedyś wybrukowane było wejście.

Ciężkie frontowe drzwi otwarły się łatwo i wszedł do mrocznego holu. Światło zdawało się pochodzić z pojedynczej żarówki w kinkiecie na ścianie, mimo iż nad jego głową górował ogromny żyrandol.

Z pewnością czuło się tu lekki zapach stęchlizny, ale wszystko wyglądało czysto i schludnie. Bogato rzeźbione fotele stały po obydwu stronach ciężkiego lustra, w którym ze zdziwieniem ujrzał swoje odbicie. Na podłodze płytki ułożone w białoczarne wzór, a na prawo kręcone schody i ogromny, oświetlony obraz olejny na wysokiej ścianie. Obraz przedstawiał pagórkowaty pejzaż, być może gdzieś w Europie, z wieżą kościelną i procesją ludzi podążających polną drogą.

— Ojcie.

Spojrzał w stronę półpiętra i zobaczył Morrisa stojącego przy poręczy.

— Morris!

— Zapraszam na górę.

Wszedł po schodach jak we śnie. Jego obecność tutaj była tak niespodziewana i nierealna. Wiedział jedynie, że musi tu być, że powinien tu być...

Morris stał z rękami założonymi na plecach, wyraźnie unikając podania mu dłoni, w czasie gdy ojciec Tim spoglądał mu prosto w oczy. Zauważył duże czoło Morrisa i głęboką, pionową bruzdę pomiędzy grubymi brwiami.

— Nie jest ojciec zdziwiony — stwierdził spokojnie Morris.

— O nie, w ogóle.

— Proszę za mną — powiedział jego gospodarz.

Był zdziwiony jednak, widząc, że Morris porusza się z takim trudem. Jakby wyczuwając jego zaskoczenie, Morris odwrócił się i wyjaśnił:

— Zwężenie kanału kręgowego kręgosłupa, jeszcze bardziej dotkliwe ze względu na artretyzm. Jest to dość powszechne przy mojej chorobie. Jesteśmy na miejscu.

Morris odsunął się na bok, żeby mógł wejść pierwszy.

Gdy przechodził przez próg, wstrzymał oddech. W środku, oświetlony światłem lampy, stał Casavant, królewski, pod szeregiem misternie zdobionych fasadowych piszczałek. Uzupełniony o zdobiony, mahoniowy korpus, instrument wydawał mu się niczym wielki tron.

Mógłby tak stać, gapiąc się z otwartymi ustami bez końca, spojrzął jednak na sam pokój, który był wyłożony panelami z orzecha. Jego wzrok przesuwiał się po misternie wykonanych, ząbkowanych listwach i rzeźbionych intarsjach, aż do otwartego okna, w którym Morris musi stać, rozmawiając z nim; było pozbawione draperii, a u góry wieńczył je jedynie prosty lambrekin, być może po to, aby poprawić akustykę pokoju.

Półki z książkami od podłogi po sufit, goła, wypolerowana podłoga, pokryte aksamitem fotele, zdeformowane przez lata użycia, dwuosobowa kanapka w przeciwległym kącie...

— Pięknie! — zawołał, wybałuszając bezwstydnie oczy.

Niemniej jednak, więzienie. Czuł, jak bardzo ciąży mu atmosfera pomieszczenia, jakby jedynym przejawem życia w tym pokoju mogła być muzyka.

Wyczuł spoczywający na nim wzrok Morrisa.

— Dziękuję, że mnie zaprosiłeś. Jestem bardzo wdzięczny, że mogę tu być.

— Moja gospodyni przychodzi co drugi dzień — Mamie jest ze mną od dzieciństwa — i mój stroiciel organów przyjeżdża, gdy jest to konieczne. Nie jestem zupełnie pozbawiony kontaktów towarzyskich.

— Cieszę się. To jedna z rzeczy, która dodaje nam sił, żeby radzić sobie w tym życiu.

— Staramy się zachować pozory w tej części domu, ale należące do domu tereny są w opłakanym stanie. Mój dziadek zasadził dżunglę. Nie da się nad nią zapanować, już dawno zarzuciliśmy wszelkie starania.

Głowa Morrisa obróciła się nagle w stronę prawego ramienia, podskakując w sposób, który wydawał się niekontrolowany.

— Precz! — krzyknął. — Precz!

Ojciec Tim podszedł do organów, dokonując świadomego wysiłku, aby wyglądało, że nie zauważył tego, co się właśnie stało.

— Pedaly...

— Tak — zaczął Morris, gdy minął tik. — Casavant wyposażył organy w drugi pedał, o stopień wyżej nad standardowym pedałem.

— Zastanawiałem się, co mogę dla ojca zagrać... może toccatę Widora*. Być może wie ojciec, że Casavant jest zaprojektowany specjalnie dla francuskich dźwięków. Założyciele firmy spędzili dużo czasu we Francji i opracowali piszczałki, żeby szczególnie dobrze oddawały francuski repertuar.

* Charles Widor (1844-1937) — komponował muzykę organową.

Morris wsunął się sztywno na siedzenie i pociągnął łańcuch znajdującej się nad klawiaturą lampy z zielonym abażurem.

— Jak ojciec usłyszy, ten fragment jest wyjątkowo barwny. Prezentuje pełną gamę dźwięków instrumentu. Proszę posłuchać piszczałek stroikowych. Są bardzo charakterystyczne i zupełnie inne niż dużo bardziej bezbarwne angielskie piszczałki stroikowe.

Ojciec Tim stał obok organów zauroczony.

— Proszę usiąść — zachęcił go Morris.

Ojciec Tim pośpieszył do fotela przykrytego pokrowcem i usiadł, zamykając oczy, a wtedy rozległa się muzyka. Olśniewająca i odważna, optymistyczna i pozytywna, Widor sprawił, że na całej długości jego prawego ramienia i nogi stanęły mu włosy. Ach, ta różnica pomiędzy znajdowaniem się w pokoju z muzyką a siedzeniem na zewnątrz w charakterze nikczemnego intruza!

Muzyka tak bardzo przepelniła go nerwową i żywiołową energią że na zakończenie uzewnętrzniła się w postaci jego spontanicznego śmiechu.

— Cudownie! — Czyż nie był w stanie wymyślić czegoś mniej pospolitego, na litość boską? — Przepięknie! Brawo!

Morris rozmyślał przez chwilę.

— A teraz może *Wielkie Preludium* Bacha i *Fuga g-moll...* Kiedy rozwijał się temat fugi, ojciec Tim zastanawiał się — jak zawsze, gdy słyszał swoją ulubioną kompozycję — w jaki sposób temat w tonacji molowej może wyrażać taką ufą radość i niezachwianą wiarę. Muzyka szybowała po pokoju niczym ptak, który wyrывa się z klatki, sprawiając, że czuł mrowienie na czubku głowy.

— Dziękuję — powiedział potem, odczuwając niezwykłą radość.

Morris wstał z wysiłkiem ze swojego siedzenia i stanął obok instrumentu.

— Dziękuję za to, że słuchał ojciec mojej muzyki. Ma ojciec wyczulone i łaskawe ucho.

Ojciec Tim wstał z fotela, który lekko pachniał starym tytoniem.

— Jak bardzo chciałbym, żebyś zechciał podzielić się swym talentem z... — Jeszcze nie zdążył tego do końca powiedzieć, a już wiedział, że popełnił błąd.

Twarz Morrisa przybrała surowy wyraz.

— Proszę więcej o tym nie wspominać.

— Przepraszam — odparł. — Masz moje słowo, już nigdy tego nie powiem.

— Zapasy win w piwnicach wyczerpały się wiele lat temu. Nie mogę ojcu nic zaproponować.

— Dałeś mi więcej, niż mógłbym pragnąć. Dziękuję, Morris, dziękuję. Pójdę już. Mój pies będzie wściekły, że przyszedłem tu bez niego.

Morris się nie uśmiechnął.

— Odprowadzę ojca na półpiętro.

Na półpiętrze opanowała go nagła ochota, aby objąć swojego towarzysza, uściskać mu dłoń, uczynić nad nim znak krzyża — zrobić cokolwiek, aby wyrazić swoje głębokie uczucia.

— Modłę się za ciebie nieustannie — powiedział. Głowa jego gospodarza obróciła się w kierunku ramienia.

— Precz! Precz!

Serce ojca Tima biło gwałtownie, gdy schodził szybko po schodach, zły na siebie, że nie udało mu się powiedzieć czegoś bardziej stosownego, zły z powodu strasznego niepokoju, jakie te słowa zawsze wzbudzały w jego sercu.

W holu odwrócił się, żeby spojrzeć na Morrisa, potem otworzył drzwi Nouvelle Chanson i wyszedł na październikowe, nocne powietrze.

Biegł truchtem — w dół ciemnej drogi dojazdowej, pod zasłoniętym chmurami księżycem, przeskoczył przez mur, przeszedł przez ulicę, przez furtkę i wszedł po schodach na tylny ganek, a potem do kuchni, dysząc. Być może wezwała już szeryfa, żeby rozpoczął poszukiwania. Bał się spotkania z nią. Jak mógł być taki bezmyślny i niewrażliwy?

— Czy to ty, najdroższy? — Cynthia weszła do kuchni, przecierając oczy. — Mam nadzieję, że nie czekałeś na mnie przez cały ten czas na ganku. Zaczęłam kolejną ilustrację i, no cóż, wiesz, jak to jest, zapomniałam. — Spojrzała na zegar w kuchni. — Wielkie nieba! Ósma trzydzieści! Mam nadzieję, że nie czułeś się opuszczony.

— Och nie, nie! Nie zwracaj sobie tym głowy — odparł.

Jonathan przyjmuje dostarczone z apteki antybiotyki, a Cynthia spędzi dzień, opiekując się nim i przygotowując go do jutrzejszej podróży do Mitford.

Wstał o szóstej rano, ubrał się cieplej niż zwykle i wyruszył do Mona's Café.

Minęło już zdecydowanie zbyt dużo czasu od chwili, gdy ostatnim razem jadł śniadanie tak jak kiedyś w barze Grill. Był prawdziwie podekscytowany, składając zamówienie.

— Dwa jajka w szklance, średnio ugotowane, tost z pełnoziarnistego chleba bez masła i porcja kaszy.

— Czy chce pan kawę? — zapytała nieśmiała kelnerka, której nigdy wcześniej nie widział.

— Prawdziwą bez śmietanki, bez cukru. Jesteś tu nowa?

— Tak, proszę pana, to mój pierwszy dzień. Jestem trochę... zdenerwowana.

— W ogóle nie zauważyłem! Jestem ojciec Kavanagh, miło cię poznać.

— Nazywam się Misty Summers. Na mojej plakietce napisane jest Missy, pomylili się i będą musieli zrobić mi nową. Miło ojca poznać.

— Misty Summers! To jest właściwe imię dla ciebie. Bardzo ładne.

— Dziękuję — odparła, rumieniąc się. — Czy chciałby ojciec wodę? Mogę przynieść filtrowaną, Mona podaje filtrowaną specjalnym klientom, jestem pewna, że ojciec musi być specjalnym klientem.

— Skąd ci to przyszło do głowy?

— Ojca... — Wskazała na jego szyję. — Wie ojciec.

— Ach. Moja koloratka.

— W swoim życiu prawie w ogóle nie miałam okazji poznać katolika.

— Należę do Kościoła episkopalnego.

— Och — odpowiedziała. — Zaraz wracam z ojca wodą i kawą.

— Dziękuję — odparł zadowolony, że siedzi tutaj z gazetą i ma czas, żeby ją przeczytać.

Naprawdę nie miał ochoty na wyprawę do Dorchester, ale zamierzał zrealizować plany na ten dzień bez względu na wszystko. Poza tym, gdy zadzwonił wczoraj wieczorem z informacją, że Cynthia i chłopiec nie przyjadą, Ella powiedziała mu, że zamierza wyjąć na tę okazję obrus z adamaszku, którego nie używała od śmierci mamy, kiedy to wszyscy sąsiedzi przynieśli jedzenie i dotrzymywali jej towarzystwa.

— Proszę bardzo! — zawołała Misty, stawiając przed nim parujący kubek.

Wygląda jak mleczarka z bajki, pomyślał. Bez makijażu, długie, ściągnięte w kucyk kasztanowe włosy, prosta spódnica i bluzka pod zielonym firmowym fartuchem kawiarni.

— Skąd jesteś, Misty? Z Whitecap?

— Och nie, proszę pana, z Ocracoke. Wprowadziłam się tutaj zaledwie dwa dni temu i miałam naprawdę ogromne szczęście, że od razu udało mi się znaleźć tę pracę.

— Jestem pewien, że świetnie sobie poradzisz. Wydaje mi się, że polubisz Whitecap.

— Tak, proszę pana — przytaknęła, nalewając mu kawę. Zauważył mimowolnie, że ręka drży jej lekko.

— Spróbuj nie przejmować się tym, żeby wszystko ci się dzisiaj udało — poradził jej.

Podniosła wzrok i po raz pierwszy zobaczył jej oczy. Ciepłe. Ufne.

— Będę się za ciebie modlił.

— Dziękuję. Będę bardzo wdzięczna. Pana zamówienie zaraz będzie gotowe. Czy prosił pan o ketchup?

— Ketchup?

— Do pana smażonych ziemniaków.

— Smażonych ziemniaków? Zakryła dłonią usta.

— Ojej, zapomniałam, pan zamawiał kaszę! Uciekła do kuchni zawstydzona.

Tak zrelaksowany, jakby miał przed sobą cały dzień, w którym nie czeka go nic do zrobienia, otworzył gazetę na stronie z artykułem od redakcji i rozsiadł się wygodnie na pokrytym zielonym winylem siedzeniu w tylnym boksie Mona's Café.

— Tylko popatrz! — zawołał Roanoke.

— Co znowu?

— Włosy urosły ci o wiele więcej, niż się spodziewałem.

— Oliwa z oliwek — wyjaśnił ojciec Tim, siedząc na krześle jak uczeń.

— Wcierasz sobie oliwę z oliwek w skórę głowy? Nigdy o czymś takim nie słyszałem.

— Jem dużo oliwy w sałatkach.

— A można by pomyśleć, że z łaski Boga człowiek powinien mieć coś do powiedzenia na temat, gdzie rosną mu włosy, prawda? To znaczy, z tyłu wiszą ci na taką długość, a na czubku nie masz ich zbyt wiele.

— Jakbym sam nie wiedział. Pac, pac.

— Słyszałem, że zanosi się na silną burzę wieczorem — powiedział Roanoke.

— Jadę do Dorchester. Mam nadzieję, że będzie spokój, dopóki nie wrócę.

— Temperatura też opada dość wyraźnie.

Oto i Elmo, siedział w drzwiach do pokoju z książkami i spoglądał na niego złowrogo, jakby był wyliniąłym kundlem. — Sio, Elmo! — zawołał.

O godzinie 9.25, według zegara nad kasą Erniego, cały pokój rozbrzmiał harmiderem śmiechu, opowieści o łowieniu ryb i podnoszącą poziom adrenaliny paplaniną. Domyślił się, że chcą, aby Ava i jej siostra uważały, że jest to tętniący życiem, dobrze prosperujący lokal, a nie jakaś mała dziura na zapyziałej wyspie. Ogólne ożywienie dodatkowo wzmagał fakt, że Roger nieomal skończył opalanie kaczki i niedługo zacznie ją malować.

Ojciec Tim musiał przyznać, że Junior wygląda dobrze. Zamiast cokolwiek prać, prasować i tak dalej, Junior pojechał na ląd i kupił sobie nowe dżinsy, koszulę i marynarkę oraz czapkę z napisem „Ruszajcie, Byki”.

— Ja bym ją ściągnął — poradził Roanoke.

— Dlaczego? Widziała moje zdjęcie, wie, że jestem lekko... no wiesz.

— Nie o to mi chodzi. Chodzi o to, że ona może nie lubić Byków. Junior wyglądał na nieprzekonanego.

— Nie chcę jej ściągać — zaproponował. — Jest zupełnie nowa.

— Tak, a co, jeśli ona lubi Karolinę? Wolałbyś pewnie mieć na głowie czapkę z napisem „Ruszajcie, Osły”.

Rozgniewany Junior zerwał czapkę z głowy i rzucił ją w kąt.

— Nie denerwuj go! — zawołał Ernie, podnosząc czapkę. — Jeśli dobrze się w niej czuje, niech ją nałoży.

Junior naciągnął z powrotem czapkę na głowę i siedział sztywno. Wyglądał na bardzo nieszczęśliwego.

— Tim, powinienesz opowiedzieć Juniorowi, jak złapałeś tuńczyka żółtopłetwego, odwróciłoby to uwagę wszystkich od...

Drzwi z siatką trzasnęły, gdy Ava Goodnight weszła do środka i spoglądała niepewnie na pokój pełen mężczyzn.

W jednej sekundzie zapadła cisza, kompletna i absolutna.

Ernie wyglądał, jakby zamienił się w kamień, ręka Roanoke zawisła nieruchomo przy kieszeni jego koszuli, do której sięgał po marlboro, a Junior siedział z otwartymi ustami.

— Ty musisz być Avą! — zawołał ojciec Tim, podchodząc do niej i ściskając jej dłoń.

— A pan musi być ojcem Timem — odparła, uśmiechając się.

— Betty będzie tu za chwilę, Betty jest moją siostrą, jest obok, w toalecie.

Ava wzięła oddech i przez chwilę wyglądała tak, jakby miała zmienić zdanie i uciec tą samą drogą, którą właśnie przyszła.

— A to jest Junior. Junior Bryson.

Ponieważ był jedyną osobą, która obecnie była w stanie normalnie funkcjonować, domyślał się, że pełnienie obowiązków gospodarza przypada właśnie jemu.

Junior podniósł się wolno od stolika i podszedł do Avy jak w transie. Ojciec Tim zapragnął, na litość, żeby Junior zamknął usta.

— Jak się masz? — zapytał Junior. Ava wyciągnęła dłoń.

— W porządku, a ty?

— Dobrze, a ty?

— A to — ojciec Tim przerwał ten dialog, nie dając za wygraną — jest Roanoke Clark. Jest przyjacielem Juniora.

Roanoke uśmiechnął się i dotknął palcami czoła. Prawie że wymarły zwyczaj, pomyślał ojciec Tim, z czasów gdy mężczyźni unosili kapelusz, witając się z kobietami.

— Bardzo mi miło.

— A to Roger Templeton...

— Miło mi panią poznać — przywitał się Roger, wstając z szacunkiem.

— A ja jestem Ernie — wtrącił Ernie, odzyskując mowę i śpiesząc, żeby ucisnąć dłoń Avy. — Cieszymy się, że do nas przyjechałaś, miło cię poznać, proszę, usiądź! Wiemy, że wybierasz się obok na kawę, ale mógłbym ci nalać coś do kubka, na przykład Cheerwine albo Dr Peppera, ale ty prawdopodobnie pijesz colę, mogę otworzyć ci colę, co ty na to? Firma stawia!

Ernie nadal potrząsał dłonią Avy.

— Och, nie — odpowiedziała Ava. — Niczego nie potrzebuję. Ale bardzo dziękuję.

Ojciec Tim doszedł do wniosku, że jeśli ktoś nie zrobi czegoś natychmiast, Ava ucieknie, zanim się obejrzą.

— Ava, bardzo mi przykro, że są tutaj sami mężczyźni. Moja żona przyszłaby się z tobą przywitać dzisiaj rano, ale mamy w domu chorego chłopca.

— Przykro mi — odparła, sprawiając wrażenie, że mówi szczerze.

— Chodź i usiądź z nami na chwilę — zachęcał ją. — Roger, pokaż Avie swoją kaczkę.

Roger uniósł nieśmiało swoją cyrankę z zielonymi skrzydłami.

— Czy to nie cud? — zapytał ojciec Tim, który zaczynał się czuć jak Perle Mesta* z Outer Banks.

* Perle Mesta (1889-1975) — kobieta polityk i bywalczyni salonów towarzyskich.

Ava spojrzała na drzwi, czekając na Betty.

— Naprawdę ładna! Naprawdę śliczna!

— Chcielibyśmy, żebyś się dobrze czuła na Whitecap — zachęcał ją ojciec Tim. — Czy byłaś tu już kiedyś?

— Nie, proszę ojca, nie byłam. Ale moja przyjaciółka, która mieszka na Tern Avenue... już od dawna chciałyśmy się spotkać.

Junior uśmiechał się obecnie od ucha do ucha. Wypiął pierś i poprawił rękawy marynarki, które według ojca Tima były odrobinę za krótkie.

— Ojej! — zawołała Betty, wpadając z impetem przez drzwi z siatką. — Czy nie jesteśmy spóźnione, stanął mi zegarek, hej wszystkim, jestem siostrą Avy, jej dużo starszą siostrą, a pan kim jest?

— Jestem Tim Kavanagh. Miło mi cię poznać, Betty.

Pan zesłał coś na przełamanie lodów i to ani minutę za wcześniej.

— Hej, Tim, jak się masz, mam nadzieję, że nie mam szminki na zębach, czy mam szminę na zębach? W toalecie upuściłam puderniczkę i rozbiłam lusterko, ale ponieważ siedem pechowych lat mam już za sobą, więc ufam, że to właśnie będzie koniec! — Utkwiła wzrok w Erniem. — A ty musisz być szefem tego lokalu, wyglądasz jak szef.

— No tak, proszę pani, jestem Ernie Fulcher, niezmiennie. Proszę usiąść i poznać wszystkich. Bardzo nam miło, że pani do nas przyjechała.

— Czy nie mielibyście przypadkiem kropelki pepsi lub czegoś innego? Zupełnie zaschło mi w gardle! Ja prowadziłam, ponieważ Ava była zajęta malowaniem paznokci i wyjmowaniem z włosów wałków, a prowadzenie zawsze tak na mnie działa, a na ciebie?

— O tak, proszę pani — zgodził się Roanoke, zadowolony, że zwróciła się do niego z pytaniem. — Gdy woziłem drewno, czasami byłem w stanie wypić całą skrzynkę Cheerwine w drodze pomiędzy Asheville i Wilmington.

— A ty jesteś Junior! Naprawdę jesteś bardziej przystojny niż na zdjęciu, prawda, Ava? Dużo bardziej przystojny, jeśli chodzi o moje zdanie, chociaż nikt mnie o to nie pyta!

Betty zanosła się śmiechem i usiadła z impetem przy stoliku, przewieszając przez oparcie krzesła pasek dużej torby na ramię. Betty poklepała blat stolika.

— No chodź, słonko — zachęciła siostrę — usiądź na chwilę i poznaj tych wszystkich miłych facetów, którzy już nie mogli się doczekać, kiedy cię zobaczą, a potem pójdziemy obok i coś przekąsimy, prawda, Junior?

— No tak, to widzieliśmy naprawdę przystojną kobietę... — ocenił oczarowany Ernie, wpatrując się w drzwi.

Bez podnoszenia wzroku znad swojej kaczki Roger przytaknął skinieniem głowy.

— Ale wydaje mi się, że Junior może sobie z tym nie poradzić. Roanoke zgasił papierosa w zakrętcie od butelki.

— Nie powiedziałaś nam niczego, czego byśmy już nie wiedzieli.

Roger wypalał pióra. Lucas ziewnął. Zegarek Dra Peppera tykał nad kasą.

— Cóż — rzucił ojciec Tim, odsuwając się od stołu — wy wszyscy możecie sobie tutaj siedzieć do końca świata, ale na mnie czekają obowiązki.

Ernie spojrzał na niego z niepokojem.

— Myślisz, że Junior ma jakieś szanse?

— Bóg raczy wiedzieć — odparł jak najbardziej szczerze.

Niebo nadal zaciągnięte było ciemnymi chmurami — gdy przejeżdżał przez most, potem kierował się wzdłuż wybrzeża i drogą na grobli do Dorchester. Gdy dojechał na wyspę, zaczęło padać.

Włączył ogrzewanie, zastanawiając się nad tym, że nigdy nie jest w stanie racjonalnie myśleć, gdy Morris krzyczy, ale przynajmniej zrozumiał, że szorstkie, powtarzające się polecenie nie ma z nim wiele wspólnego; według niego, oznacza coś zupełnie innego — precz z jego ciała, z jego więzienia, z tego straszego wygnania...

Jest... znak stop i Little Shell Beach Road. Spojrzał na zegarek, sprawdził licznik i skręcił w prawo. Dwa kilometry do Old Cemetery Road...

Proces sądowy. Ta myśl nieustannie powracała. „Pan jest moją siłą i moją tarczą...”

Powstrzyma się z poinformowaniem o czymkolwiek rady Domu Nadziei do następnej rozmowy z Walterem. Ironia, pomyślał, obcej osoby, która wprowadza się do jego własnego domu, aby przygotować grunt pod podanie go do sądu. I dlaczego przeprowadziła się do Mitford, by skierować sprawę do sądu, skoro równie dobrze mogła to zrobić z Bostonu? Był to najbardziej niezrozumiały rozwój wypadków, jaki można było sobie wyobrazić.

Modlił się, poruszając się wolno na południe, po małej wyspie Dorchester — za Juniora, Misty Summers, Cynthię, Jonathana, Janette, Morrisa Love'a, Bucka i Pauline...

Old Cemetery Road. Skręcił w prawo, słysząc, jak opony hałasują na żwirze.

...za zaginionych braci Dooleya, za wystąpienie Dooleya przed sędzią, za to, by Pracowite Palce ukończyły haftowaną na kanwie Ostatnią Wieczerzę...

...i za Jeffrey'a Tolsona. Nie chciał się modlić za Jeffrey'a Tolsona, ale wziął głęboki oddech i uczynił to. Czy może osobiście wybaczyć mężowi Janette, nawet jeśli mężczyzna nie żałuje za ból, który spowodował?

Chce, musi i, tak, będzie próbował to zrobić — z pomocą Boga.

Ella czekała na niego. Gdy tylko znalazł się na ganku, otworzyła drzwi, a on wpadł do jej salonu razem z podmuchem wiatru i deszczu.

— O, na litość — przywitała go, ściskając mu dłoń — ocieka ojciec wodą! Ale proszę wejść i stanąć przy pianinie. Przygotowałam suszarkę.

— Suszarkę?

— Żeby ojca wysuszyć! — zawołała zadowolona, że będzie mogła pomóc.

Słyszał o miejscach, w których zatrzymał się czas, i był absolutnie zachwycony, że znalazł się w jednym z nich. Już od lat nie widział nic tak przyjemnego jak domek Elli Bridgewater. Natychmiast poczuł się jak w domu. Prawdę powiedziawszy, miał wrażenie, że jego własna mama mogłaby oprawić w srebrne, wypolerowane ramki meble Elli z przełomu wieku i liczne rodzinne fotografie.

Nieduże płomyki ognia lizały pojedynczą kłodę drewna na kominku, a obok paleniska leżał niewielki zapas drewna, gotowy do zużycia, gdy będzie taka potrzeba.

Głęboko wciągnął cudowny aromat domu, który zdawał się składać głównie ze słonej wody, dymu z kominka i morona z cytrynowym masłem. Siedząc przy kominku, podczas gdy Ella przygotowywała lunch, z zegarem tykającym na półce nad kominkiem, czuł się tak szczęśliwy jak posiadacz ziemski.

Oto, zakładał, miejsce, do którego idą po śmierci koronkowe serwetki — były widoczne wszędzie i na dodatek wykrochmalone na sztywno. Jego mama używała do krochmalenia wody z cukrem; jako dziecko zmagał się z nieprzepartą ochotą żeby zjeść serwetkę z małego okrągłego stolika; jej widok sprawiał, że ślinka ciekła mu do ust.

Ella przyniosła małą szlifowaną szklankę i karafkę.

— Proszę bardzo! — powiedziała, wyraźnie szczęśliwa z jego towarzystwa. — To moja śliwowica, mam nadzieję, że będzie ojcu smakować, zdobyłam za nią nagrodę w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym ósmym! Lunch za dziesięć minut. A teraz, gdy ojciec już się rozgościł, wpuszczę tu Louise.

Podeszła energicznie do sąsiedniego pokoju, z którego w jednej sekundzie wyfrunął kanarek. Poszybował wprost do pianina, gdzie usiadł na krzeselku i spoglądał na gościa z przekrzywioną głową.

— Louise, zaśpiewaj, proszę, dla ojca Timothy'ego, przyjechał do nas z samego Whitecap.

Ku jego zdziwieniu Louise zaczęła świergotać z wielkim urokiem i entuzjazmem i zakończyła swoje wystąpienie usadowiona na serwetce na szczycie pianina.

— Zdziwiałe! — pochwalił koncert. — Przywieź ją, aby wystąpiła z solówką w St. John's!

Mogło się im przytrafić coś dużo gorszego niż wysłuchanie na siedząco śpiewu boskiego stworzenia, dobywającego się z głębi nieskrępowanego serca.

Deszcz nasilił się i targany gwałtownymi podmuchami wiatru uderzał w mały domek, sprawiając, że aż drżał, gdy oni siedzieli przy stole.

— Minor i ja zaplanowaliśmy ślub i wtedy, na dwa tygodnie przed uroczystością, która miała się odbyć w naszym małym kościółku na końcu uliczki, leciał balonem nad Nową Szkocją i... cóż.

— Tak mi przykro — odparł.

Ella uniosła szklankę w geście pozdrowienia i kontynuowała swoje obowiązki gospodyni.

— W dzisiejszych czasach bardzo trudno znaleźć śliwki, chyba że kupi się je w sklepie, a ja prawie nigdy nie daję się skusić. Wie ojciec, na czym polega problem?

— Muszę przyznać, że nie.

— Wszyscy pracują poza domem, nie spryskują ani nie przycinają swoich drzew owocowych i biedne owoce spadają po prostu na pole czy ogród, czy gdzie tam jeszcze rosną, i na tym koniec.

— „Zbyt nam cięży świat; o każdej porze — powiedział, cytując Wordswortha. — Biorąc czy dając, tracimy coś z siebie; / Przyroda rzadko nam służy w potrzebie; / Każdy odrzuca serce jak zepsuty orzech!”*

— Właśnie — zgodziła się. — Amen!

* Fragment wiersza *Zbyt nam cięży świat* w tłumaczeniu Juliusza Żuławskiego zaczerpnięto z książki: *Poeci języka angielskiego*, tom II, PIW, Warszawa 1971.

Poczuł się zaniepokojony, gdy skończyli deser.

— Czy masz może telewizor, żebyśmy mogli oglądać prognozę pogody?

Ella westchnęła.

Nie ma telewizora w tym domu już od lat! Czy pamięta ojciec, jak Dallas Cowboys pobili Denver Broncos w finale mistrzostw?

— Obawiam się, że nie — przyznał.

— Mama i ja oglądałyśmy mecz, siedząc dokładnie tutaj, gdy nagle ekran zrobił się zupełnie czarny. Pamiętam do dzisiaj słowa mamy. Zapytała: „Ella, jak myślisz, czy to się stało dlatego, że założyłam się o dwa dolary z Joe, że wygrają Cowboys?” Joe był naczelnikiem naszej poczty. Próbowaliśmy naprawić telewizor, ale nic nie skutkowało i nigdy już nie kupiliśmy nowego.

Nagle rozległ się nad nimi tak silny grzmot pioruna, że aż poderwał się z krzesła.

— Ja tylko... szukam telefonu! — wyjaśnił.

Wykręcił numer Dove Cottage, podczas gdy Ella stała obok, spoglądając na niego z niepokojem. Jej mama nauczyła ją żeby nigdy nie używać telefonu podczas burzy. Miała ochotę, prawdę powiedziawszy, powyłaczać z prądu wszystko, włącznie z lampami, chociaż wydawało się jej, że nie byłoby to właściwe podczas odwiedzin duchownego.

Cynthia uspokoiła go, że w domu wszystko w porządku i że się za niego modli. Mimo iż jego żona błagała go, aby nie robił nic nierozważnego w taką złą pogodę, niemniej jednak powinien pośpieszyć do domu.

Chciał się stamtąd wydostać jak najszybciej, chociaż zwykła uprzejmość nakazywała mu spojrzenie na przynajmniej kilka z fotografii, zanim się pożegna. Na jednej z nich Minor stał obok balonu. Wyglądał całkiem przystojnie i dzielnie w stroju do latania. Spoglądająca odważnie z owalnej ramki pani Bridgewater prezentowała się jako wystarczająco nieustraszona, żeby zwalczyć malwy, które stanowiły tło.

— Jakże jestem niezadowolona z tej burzy. Wczoraj wieczorem byłam w kościele i zagrabiłam grób mamy, i odkurzyłam ławki... ale zobaczy ojciec to wszystko innym razem.

Róż na policzkach Elli tworzył dwie idealnie okrągłe plamki.

— I chciałam ojcu pokazać zawsze zielony dąb. Najstarszy na wyspie, tak przynajmniej wszyscy twierdzą. Może uda się go ojcu zobaczyć w drodze powrotnej. To zaledwie kilka metrów stąd, po tej stronie ganku.

— Zwiedzimy wszystkie atrakcje następnym razem. Z przyjemnością.

— W takim razie — powiedziała, wsuwając mu do ręki paczkę. — To kilka kropeł mojej śliwownicy i kilka kęsów morona dla waszej Violet. Bardzo chciałabym mieć k-o-t-a, ale nie mogę mieć k-o-t-a, rozumie ojciec, dopóki mieszka ze mną Louise.

— Aha. No cóż, w takim razie żegnam się i wręcz brak mi słów, żeby ci podziękować. Byłem szczęśliwy w twoim domu, Ella, i bardzo mi się podoba twój pomysł na pieśń w najbliższą niedzielę.

— Dziękuję za odwiedziny, ojcze, to dla mnie zaszczyt. A teraz, na końcu podjazdu w lewo i druga przecznica w prawo; stary, dwupiętrowy, biały budynek, tam mieszka kapitan Larkin. Proszę rozglądać się za błękitną ciężarówką przed domem i proszę uważać na psa, podobno gryzie.

Otworzyła drzwi i poraziło ją uderzenie zimnego wiatru i deszczu.

— Będę się za ojca modlić! — zawołała, gdy on wybiegł na zalewający ich potop.

Zdarzyło mu się już przebywać na dworze w czasie burzy, ale ta go przerażała. Jak tylko wrócił z Mitford, odda do naprawy to cholerne radio samochodowe, żeby mógł znaleźć jakąś prognozę pogody, gdy będzie jej potrzebował.

Jadąc z prędkością szesnastu kilometrów na godzinę, zdołał dojrzeć coś, co jak zakładał, było domem kapitana, i zatrzymał samochód za błękitną ciężarówką. Każdy pies, któremu chciałoby się zadawać sobie trud, żeby gryźć w taką pogodę, ma jego otwarte zaproszenie, myślał, chwytając mokrą parasolkę i skórzane pudełko zawierające domowy zestaw do udzielania komunii świętej.

Z trudem dotarł do betonowych schodów w porywistym wietrze, który groził wywróceniem parasola na drugą stronę, i otworzył drzwi z siatką prowadzące na ganek. Gniewna twarz wyjrzała przez szklane panele w drzwiach i szybko zniknęła.

„Panie, pobłogosław ten czas — modlił się, pukając do drzwi — i uchron nas przed wszelkim nieszczęściem w tę burzę...”

Nieomal wyskoczył ze swoich przemoczonych mokasynów, gdy gwałtowny grzmot pioruna przetoczył się nad nim i otwarły się drzwi. Starszy mężczyzna o twarzy anioła wyjrzał na zewnątrz.

— Proszę wejść, ojcze, proszę wejść! — zaprosił go do środka kapitan Larkin.

Rozdział siedemnasty

CHLEB I WINO

Wszedł do dużego salonu, który pachniał popiołem z kominka i stęchłym bekonem, jak domy na wsi, które pamiętał z dzieciństwa w Missisipi.

Jego spojrzenie padło na przykrytą afganem sofę, dwa podniszczone fotele z regulowanym oparciem i podnóżkiem, telewizor na stoliku na kółkach i całą masę rodzinnych portretów zdobiących białe ściany z wycinanej we wzory boazerii. Po prawej stronie, schody z kręconą balustradą i zamknięte podwójne drzwi do czegoś, co było prawdopodobnie jadalnią. Dom musiał być kiedyś raczej wykwintny, jeśli nie pretensjonalny, i był wdzięczny za schronienie, jakie w nim znalazł.

— Gdzie ojca płaszcz nieprzemakalny?

Kapitan mówił donośnym głosem, przekrzykując łomot deszczu na blaszanym dachu.

— Obawiam się, kapitanie, że jestem człowiekiem z gór, bez płaszcza przeciwdeszczowego przy duszy.

Zrzucił z siebie wilgotną kurtkę i zawiesił ją na wieszaku przy drzwiach.

— Bracie! — krzyknął gospodarz. — Przynieś ojcu ręcznik do naczyń, jeśli możesz.

Wydawało mu się, że kapitan Larkin jest tak żywy i szybki jak Święty Mikołaj, mimo że chodził o lasce i wyraźnie kulał. Twarz kapitana również stanowiła połączenie najbardziej różowych policzków i błękitnych oczu, jakie kiedykolwiek widział.

Starszy mężczyzna pośpieszył nierównym krokiem do sofy i wygładził afgan.

— Proszę usiąść i się rozgościć. Nie minie chwila, a będzie ojciec zupełnie suchy.

Mężczyzna, który zjawił się w pokoju, powłócząc nogami, wyglądał dokładnie jak kapitan, ale wyraz jego twarzy był uderzająco inny — gniewny grymas zdawał się wryty na niej na stałe, jak w stalorycie. Światło i ciemność, zauważył ojciec Tim, ogień i lód, biegun północny i południowy!

— To mój brat bliźniak — przedstawił przybysza kapitan Larkin. — Bracie, to ojciec z St. John's.

— Najwyższy czas, żeby się ojciec pojawił — rzucił mężczyzna, spoglądając na niego gniewnie. — Czekaliśmy na ojca od czasu, gdy brat spadł cztery lata temu, mógł się zabić, a dla ojca nie miałyby to żadnego znaczenia.

— Przykro mi, nie było mnie tu wtedy. Przyjechałem do St. John's na początku lipca.

— Cztery miesiące temu — obliczył brat, spoglądając na niego gniewnie zamglonym wzrokiem.

Podał ręcznik i ojciec Tim wziął go, wycierając głowę, twarz i ręce. Poczł ciarki na plecach, gdy rozległ się kolejny grzmot pioruna nad samym dachem.

— Silny — ocenił kapitan Larkin, potrząsając głową.

— Czy dołączysz do nas, bracie?

— Nie, nie dołączę! — odburknął bliźniak, opuszczając pokój. Otwierając jedne z podwójnych drzwi, odwrócił się i krzyknął: — Nie interesują mnie takie głupoty!

Ojciec Tim zamknął oczy, wziął głęboki oddech i pozwolił sobie na chwilę ciszy, która dodatkowo uwypukliła odgłos zacinającego wiatru i deszczu. Pojedyncza żarówka zwisająca na długim kablu z sufitu huśtała się lekko, sprawiając, iż cienie tańczyły na wiszących na ścianach obrazach.

— Niech pokój gości w tym domu i w sercach tych, którzy tu mieszkają. Łaskawie wysłuchaj nas, Panie, Święty Wszechmogący Ojciec, wieczny Boże i ześlij swojego świętego anioła z nieba, aby strzegł, pocieszał, chronił, nawiedzał i bronił wszystkich, którzy tu mieszkają.

Ojciec Tim zauważył brata, który im się przyglądał zza drzwi, podczas gdy nalewał wino z małej flaszeczki do równie małego kielicha. Chociaż wiedział, że może stać, kapitan postanowił uklęknąć.

Trzymając się poręczy swojego fotela i klękając z dużą trudnością, wspólnie z ojcem Timem odmówił Ojciec nasz, następnie złożył dłonie, żeby przyjąć opłatek.

— Panie — modlił się kapitan z pamięci — nie jestem godzien, abys do mnie przyszedł, ale powiedz tylko słowo, a będzie uzdrowiona dusza moja.

— Ciało naszego Pana Jezusa Chrystusa, które zostało za ciebie wydane, mój bracie.

Łzy popłynęły po różowych policzkach kapitana Larkina, gdy unosił dłonie do ust i przyjmował opłatek.

— Krew naszego Pana Jezusa Chrystusa, która została za ciebie przelana, bracie.

Kapitan wypił i wytarł oczy rękawem koszuli.

Kładąc dłonie na głowie kapitana, ojciec Tim modlił się:

— Błogosławieństwo Boga Wszechmogącego, Ojca i Syna i Ducha Świętego, niech będzie z tobą na wieki wieków, amen.

— Amen — powtórzył stary kapitan.

Ojciec Tim pomógł mu wstać i objęli się serdecznie. Czująca dusza tego dobrego mężczyzny zdawała się przenikać go razem z zapachem maści i niemytej głowy, talku po goleniu i ubrań, które wisiały zbyt długo w zapomnianej szafie.

— Niech Bóg będzie z tobą, kapitanie.

— I z duchem twoim — odparł sługa Boży, uśmiechając się promiennie przez łzy.

Wiatr wpadł nagle z hukiem do komina i sypnął popiołem do pokoju. No to tkwił w tej burzy po uszy. Nie wyglądało na to, żeby przechodziła, a raczej z każdą minutą nasilała się. Tylko szalenie wychodziłby...

— Kapitanie, czy mogę skorzystać z telefonu?

— Nie mamy telefonu już od dłuższego czasu. Za dużo pieniędzy i za mało rozmawiania, tak mówi brat.

— Och.

Podszedł do drzwi wejściowych i stał tam zrozpaczony. Nie widział swojego samochodu ani błękitnej ciężarówki zaparkowanej przed przednim gankiem, jedynie szarą ścianę, jakby ktoś opuścił ciężką kurtynę. Drżał w swojej trykotowej koszulce.

Kapitan pociągnął za łańcuch przy żarówce.

— Chyba powinienem to wyłączyć.

W dziwnym półmroku spowitego burzą pokoju starszy mężczyzna usiadł delikatnie na swoim fotelu i westchnął.

— To prawdziwa wichura — ocenił. Ojciec Tim opadł na sofę.

„Poczekaj, aż burza zelżeje — w każdej burzy zdarzają się od czasu do czasu okresy, gdy słabnie — wtedy wyruszy i pojedzie najdalej jak się da. Tak czy inaczej, wróci do domu...”

— Mój pradziadek przybył tu z Anglii małym statkiem, który nazywał się Rose of Charon. Rozbił się on podczas strasznej burzy, mniej więcej o tej porze roku, a pradziadek wraz z pięcioma innymi mężczyznami został wyrzucony przez morze na wyspę. Wydaje się nam, że było to mniej więcej w miejscu, gdzie kończy się ta droga za kościołem. W tamtych czasach plaże zarzucone były wrakami przeróżnego rodzaju, rozbitkowie zabrali się więc do pracy i sklecieli małą chatkę, w której czekali, wyglądając następnego statku, który mógłby ich ze sobą zabrać.

„Cóż za upór sprawił, że był tak cholernie zdeterminowany, żeby przyjechać dzisiaj do Dorchester, jakby to była jakaś misja życia i śmierci czy też kwestia być albo nie być? Co gorsza, jak mógł zostawić swoją żonę, obciążoną chorym chłopcem, i to w czasie burzy? Czy zadał sobie tyle trudu, żeby posłuchać prognozy pogody i sprawdzić szczegóły? Nie, zlekceważył to wszystko, jakby nie miało najmniejszego znaczenia...”

— W tamtych czasach nie było na tych wyspach prawie żadnych mieszkańców z wyjątkiem Indian, niektórzy twierdzą, że mieszkali tu Indianie Wanchese. Wieść niesie, że mój pradziadek nie miał więcej niż dwadzieścia lat, gdy poślubił indiańską kobietę pochodzącą z Whitecap, miała ona włosy do samej ziemi. Mówiono mi i bratu, że mamy kości policzkowe i nosy Indianina, ale nie wiem, trudno powiedzieć.

„Błagam, Boże, nie pozwól, żeby ta burza dotarła do Whitecap i zerwała most, spraw, żeby most był sprawny, most to kluczowa sprawa...”

— Zbudowałem ten dom dla mojej żony Dory, w czasach gdy pływałem na trawlerach. Dora miała dziewiętnaście lat, gdy się tutaj wprowadziła, i była radosna jak anioł zesłany z nieba. Potem, gdy przenieśliśmy się na Whitecap, gdzie byłem latarnikiem, brat się tutaj wprowadził i doglądał wszystkiego w moim imieniu. Gdy skończyłem pracować na latarni, zostałem w Whitecap do śmierci Dory, potem wróciłem do Dorchester, gdzie się urodziłem i wychowałem.

„Druga trzydzieści pięć. Godzina jazdy podczas takiej burzy z pewnością podwoi, a może nawet potroi normalny czas podróży, więc byłby w domu około piątej trzydzieści, może szóstej, maksymalnie...”.

— Zajmowałem się przez dłuższy czas berniklami, teraz każdej jesieni płacę sąsiadowi, żeby zasiał pszenicę i żyto ozime wokół mojego stawu, o tam. Tej wiosny widzieliśmy gniazda, w których było od czterech do ośmiu jaj...”

„Poczuł narastające złe przecucie... coś, co ciążyło mu na sercu i utrudniało oddychanie. Może nie będzie czekał na przerwę, może zaryzykuje...”

Gwałtownie podniósł się z sofy.

— Kapitanie, w domu czeka na mnie żona i chłopiec, muszę wracać, miło było pana poznać, wiem, jak bardzo ciepło myślą o panu w St. John's, niech pana Bóg błogosławi i ma w swojej opiece, przyjadę ponownie przed Bożym Narodzeniem.

Starszy mężczyzna spojrział na niego oniemiały.

— Nie zamierza ojciec wyjść w taką pogodę, prawda?

— Zamierzam, proszę pana — odparł, śpiesząc się, by ściągnąć z wieszaka swoją wilgotną kurtkę.

— Bracie! — krzyknął kapitan. — Chodź i pożegnaj się z ojcem, jeśli możesz.

Drzwi do jadalni otworzyły się i brat wyrzwał na zewnątrz, trzymając w ręce słoik masła z orzeszków ziemnych, w którym tkwiła łyżeczka.

— Niech cię Bóg błogosławi, bracie Larkin. Starszy mężczyzna spojrział na niego gniewnie.

— Wychodząc na taką pogodę, lepiej niech się ojciec sam pobłogosławi.

Gdy ciskał przemoczoną parasolkę na tylne siedzenie i zamykał drzwi, zauważył na podłodze za fotelem pasażera lasagnę. Do licha, zapomniał dać Elli jej prezent. Cynthia zawiązała nawet na przykrytym folią naczyniu kokardkę.

Siedział przez chwilę i zastanawiał się, czy nie podarować potrawy bliźniakom. Po chwili jednak, czując chłód swoich przemoczonych butów, zrezygnował z tego pomysłu.

Mijał, jak mu się wydawało, dom Elli, ale nie zauważył ani jednego światła. Nie, rzeczywiście, organistka St. John's zaszyła się bezpiecznie w swoim domku, wyciągnąwszy z gniazdek wszystkie wtyczki, i tak odcięta od cywilizacji jak mieszkaniec arktycznej tundry.

Dwa kilometry do autostrady...

Ponieważ nie mógł polegać na żółtej linii, nie odrywał wzroku od prawego pobocza, zdarzały się jednak długie chwile, gdy wycieraczki nie nadążały z wycieraniem zalanej strugami deszczu przedniej szyby i zupełnie tracił widoczność.

Na końcu wysypanej żwirem drogi doświadczył chwilowej paniki, bojąc się wyjechać na autostradę. Zacinające strugi deszczu i wiatru biły w samochód, a on starał się dojrzeć światła reflektorów zbliżające się do niego z jednej bądź z drugiej strony. Niczego jednak nie zobaczył.

Wyjechał wolno na asfalt, modląc się.

Czy to był huragan? Na pewno nie, bo w przeciwnym razie siedziałby teraz w swoim samochodzie wyróconym na dach gdzieś z daleka od drogi, w czymś polu tytoniowym. Poza tym na pewno słyszałby, gdyby przewidywano huragan; to była jedynie silna burza z porywistym wiatrem, których kilka mieli już okazję przeżyć, odkąd się przeprowadzili w te strony. Ta myśl była dla niego pocieszeniem, ale kolejna, a mianowicie wizja huczącego i kłębiącego się oceanu tak niedaleko od autostrady, sprawiła, iż poczuł nagły skurcz żołądka.

Prawdę powiedziawszy, nie miał pojęcia, co powinien zrobić. Pozostanie w Dorchester wydawało się stratą cennego czasu, ale kontynuowanie podróży było potencjalnie ryzykowne i najzwyczajniej nierozsądne.

Będzie jechał dalej.

Dwa razy miał ochotę zjechać z drogi i zatrzymać się na — jak mu się wydawało — stacji benzynowej, ale wyglądało na to, że wykształcił w sobie coś w rodzaju szóstego zmysłu, który mówił mu, jak prowadzić w takich warunkach. Nie chciał go zbyt pochopnie stracić.

Przypomniawszy sobie to, co powiedziała Louella podczas jego ostatniej wizyty. Coś w rodzaju: „Jak będziesz miał tam jakieś problemy, pamiętaj, że Louella tu jest i że się modli za ciebie”.

— Módl się za mnie, Louello! — zawołał, znajdując pokrzepienie w dźwięku własnego głosu.

Po obydwu stronach autostrady, niczym wielkie bestie czekające, aż skończy się burza, czaiły się ciężarówki.

Zmierzając na południe, na — jak szacował — drugiej połowie wiodącej brzegiem oceanu autostrady, mustang uderzył o coś niewidocznego. Uderzenie było bardzo mocne i silnik zgasł natychmiast.

Z bijącym sercem wyskoczył z samochodu i zobaczył konar drzewa leżący w poprzek obydwu pasów ruchu. Walcząc z wiatrem, wrócił do samochodu i włączył światła awaryjne — był tu jak cel na strzelnicę — następnie z pochyloną głową zanurkował z powrotem wprost w szalejącą nawałnicę, żeby spróbować usunąć konar. Do licha. Przednie koła samochodu zdążyły przetoczyć się przez konar, zanim silnik zgasł.

Z powrotem na siedzeniu kierowcy przekręcił kluczyk w stacyjce. Nic. Jeszcze raz. Nic. Zalany.

Usiłował myśleć spokojnie. Gdyby udało mu się podnieść przód samochodu i wypchnąć z powrotem za konar, mógłby następnie zsunąć mustanga na pobocze, gdzie byłby bezpieczny. Nigdy nie podnosił samochodu...

Wysiadł i przeszedł na prawą stronę, sprawdzając pobocze. Ale tam nie było pobocza, jedynie ostry spad do strumienia, którego poziom szybko się podnosił, grożąc, iż wkrótce zrówna się z autostradą.

Okulary zsunęły mu się z nosa i złapał je, a następnie schował do kieszeni, na wpół ślepy. Był żalonym głupcem, najgorszym z głupców. Deszcz przygniatał go do asfaltu niczym betonowa płyta.

Zobaczył je, gdy odwracał się od strumienia.

Światła ciężarówki pędzącej jego pasem ruchu.

Z bijącym sercem wybiegł przed tył samochodu i wyrzucił do góry obydwie ręce, machając nimi rozpaczliwie.

Dobry Boże, spraw, żeby zobaczył moje światła.

A jeśli kierowca nie zauważy światel? Zostanie zmiażdżony pomiędzy kratą ciężarówki a zderzakiem własnego samochodu.

— Proszę! — krzyczał, usiłując przekrzyczeć huk i łomot deszczu. — Proszę!

Zeskoczył z drogi, gdy usłyszał działanie hamulców pneumatycznych. Samochód wyhamował i zatrzymał się w odległości zaledwie kilku centymetrów od mustanga.

Nogi miał jak z waty, uginały się pod nim jak pałaki, i jedynie z największym trudem był w stanie dojść do kabiny od strony kierowcy, gdzie zatrzymał się i spojrzął w górę z wyrazem bezmiernej rozpacz na twarzy.

Szyba samochodu zsunęła się w dół.

— W czym problem?

— Konar na drodze. Zalany silnik.

Kierowca w jednej sekundzie wyszedł z kabiny. Na głowie miał kapelusz w stylu Indiany Jonesa, z paskiem pod szyją i rondem, z którego w jednej sekundzie zaczął spływać deszcz, jak z rynny.

— Przyjrę się.

Kierowca pochylił się i walcząc z deszczem, przeszedł na przód samochodu, przykucnął i zaglądnął pod spód.

— Będziemy potrzebować łańcucha. Wsiądź do samochodu, pociągnę samochód przez konar, a potem stoczmy go do Judd's Creek.

Siedząc w samochodzie, usłyszał, jak do jego tylnego zderzaka kierowca przymocowuje łańcuch, a zaraz potem poczuł szarpnięcie, gdy duża ciężarówka ruszyła do tyłu i pociągnęła za sobą samochód, który ponownie przejechał przez konar. Zaciągnął ręczny hamulec i wyszedł z powrotem na ulowę.

Razem podnieśli, przepchnęli i stoczyli przesiąknięty wodą konar z drogi prosto do strumienia.

— Gdzie jedziesz?! — krzyknął kierowca.

— Whitecap!

— Przejeżdżam obok Whitecap. Jedź za mną, ale nie za blisko, bo pył cię oślepi. Nie spuszczaaj po prostu wzroku z moich tylnych świateł i świateł narożnych.

— Załatwione!

— Zjadę na pusty parking przy moście do Whitecap.

— Bóg z tobą! — krzyknął.

Jechał za ciężarówką przez jakieś pół godziny w stale słabnącym deszczu. Około sześciu kilometrów na północ od Whitecap burza ustąpiła i wyłączył wycieraczki.

Na pustym parkingu woda stała w głębokich kałużach i zobaczył metalowy znak reklamujący sprzedaż używanych samochodów, Jake's Used Cars, oparty o wjazd na most.

Alleluja, nie było znaku informującego, że most jest nieczynny.

Omijając kałuże, kierowca zaparkował chłodnię na parkingu, a ojciec Tim zatrzymał się obok niej.

Nie wyłączając silnika, kierowca zsunął się na dół i potrzęsął jego dłoń w żelaznym uścisku.

— Tim Kavanagh. Brak mi słów, żeby ci podziękować.

— Loretta Burgess — odparł kierowca. — Miło mi, że mogłam pomóc.

— Loretta? — zawołał zaskoczony. — To znaczy... No, no. Do licha.

Loretta Burgess roześmiała się i zdjęła przemoczony kapelusz. Cała masa siwych włosów rozsypała się na jej szerokie ramiona.

— Wszystko mi jedno, co mówią, ojciec duchowny, to nie jest do końca świat mężczyzn.

— Masz absolutną rację!

— Pokazałabym ci zdjęcia moich wnuków, gdybyśmy mieli czas, ale mam opóźnienie. A teraz jedź ostrożnie.

Gdy Loretta Burgess wyjeżdżała na autostradę, odwrócił się, żeby wsiąść do samochodu. Stał z ręką na klamce, gdy wyczuł coś dziwnego i niepokojącego.

W powietrzu panowała dziwna, przerażająca cisza.

I wtedy usłyszał dźwięk syreny.

TLR

Rozdział osiemnasty

ZWYKŁE ŁASKI

Trzy wojskowe ciężarówki przemknęły pędem obok pustego parkingu, a tuż za nimi pojawiła się karetka pogotowia na sygnale, zmierzająca z lądu na wyspę.

Wy dostał się na drogę i pojechał za kolumną przez most, nie pamiętając w ogóle, że to zrobił.

Gdy zjeżdżał z mostu, jechał ponad sto kilometrów na godzinę, ale wcale nie miał zamiaru zwolnić. Gdziekolwiek była potrzebna ta ekipa ratownicza, on też mógł być potrzebny. W jednej sekundzie pomodlił się za tych w potrzebie, jakakolwiek mogła być, i uświadomił sobie, że modli się nieomal nieprzerwanie od szóstej rano tego dnia. Ta jedna połowa dnia zdawała się mieścić w sobie niezliczoną liczbę innych dni.

Woda płynęła wartkimi strumieniami w niektórych miejscach Tern, rzeźbiąc wyrwy w asfalcie. Przez cokolwiek przedzierały się pojazdy przed nim, on szedł w ich ślady.

Kiedy kawalkada skręciła w lewo, kierując się do Hastings, zobaczył drzewo wiszące na obwisłych liniach wysokiego napięcia jak na temblaku. Naprzeciw powalonego drzewa znajdował się szary dom na rogu, ten, który zawsze podziwiała Cynthia — inne drzewo przewróciło się na dach, załamując go do środka i rozrzucając po podwórku cegły z komina. W sąsiednim domu przeszło drewnianego płotu huśtało się na drzewie, a niedaleko jeden z konarów spadł pionowo w dół, wbijając się niczym strzała z nieba wprost w dach samochodu.

We wstecznym lusterku ujrzał kilka kolejnych wojskowych ciężarówek jadących za nim, a jeszcze dalej — kolejną karetkę pogotowia.

Jego ciało zalewała zimna fala strachu.

W posepnym, rozjaśniającym się po burzy dniu wrócił do miejsca, które z największym trudem udawało mu się rozpoznać.

Kilka domów po stronie Dove Cottage nosiło ślady ataku burzy, ale nie miało żadnych poważniejszych uszkodzeń.

Kiedy ujrzał własny dom, jego serce przeszył rodzaj strachu, jakiego nigdy wcześniej nie zaznał.

Dove Cottage nie miała ganku.

Jej fasada była dziwnie pusta, jak niema i nieruchoma twarz. Zobaczył, że wiatr przerzucił ganek na podwórko sąsiada. Część konstrukcji była nienaruszona, reszta w drobnych kawałkach. Deski ogrodzenia leżały rozrzucone wszędzie. Kilka wylądowało na dachu.

On sam był jednym z potrzebujących, za których modlił się zaledwie kilka minut temu.

Zaparkował samochód przy czymś, co kiedyś było główną furtką, a tymczasem strumień podążających za nim samochodów przemknął obok z hukiem. Rzucił się pędem do domu i stał tam, spoglądając w górę na drzwi wejściowe. Rozważał, jak się dostać do środka.

— Cynthia! Tylny ganek...

Obiegł szybko dom i wbiegł do kuchni, gdzie stanął na kawałkach porcelany, które pryskały pod jego butami jak folia z bąbelkami.

— Cynthia! Barnaba!

Pobiegł, ślizgając się, korytarzem i przystanął gwałtownie przy drzwiach do salonu, w którym podłoga zawałowała się do środka, tworząc w centrum głębokie i idealne V.

Ich meble tworzyły zgrabny stos, spoczywający wzdłuż zagłębienia V, a na jego szczycie znajdowała się waza Limoges jego matki; wyglądała na nienaruszoną jakby stoczyła się po jednym z boków zawałonej podłogi i — w ostatniej chwili — wylądowała bezpiecznie na poduszce krzesła.

— Cynthia! Błagam!

Przebiegł przez korytarz do sypialni, które wyglądały tak, jakby pościel lekko pofałdował wiatr, jakby ganek nie został porwany i ciśnięty nie wiadomo gdzie i jakby salon nie został doszczętnie zniszczony.

Ale jeśli ona i Jonathan byli w salonie, gdy...?

Wybiegł tylnymi drzwiami na ulicę, myśląc, że przywoła karetkę, sąsiada, kogokolwiek. Ale w polu widzenia nie było nikogo, kto mógłby mu pomóc. Wiele osób z sąsiedztwa pracowało na ładzie i jedynie samotna półciężarówka przetoczyła się w pobliżu. Kierowca celowo unikał jego wzroku.

Co się stało?

Czy to był naprawdę huragan? Czy tornada atakowały wybrzeże? Nigdy o to nie pytał. Przez całe życie ignorował pogodę w największym możliwym stopniu, ponieważ co można było na nią w rezultacie poradzić?

Przekopie się przez meble jak kret, przez krzesła i stoły, i książki, i czasopisma...

Gdzieś na dnie był chodnik. Jeśli dostanie się na samo dno i znajdzie chodnik, będzie wiedział, że nie ma jej nigdzie w domu...

Wołał ją nieustannie po imieniu, przeszukując rękami pozostałości ich codziennego życia, przerażony, że może ją znaleźć.

Ale nikogo tam nie było, nic.

I jak, na litość boską, ma się wspiąć po śliskiej, wypolerowanej podłodze na górę, żeby wydostać się z tej dziury, do której sam się zsunął?

— Ojczy! Jest tam ojciec?

Junior, biały na twarzy, kuczał na progu salonu i zaglądał do zagłębienia.

— Jestem tu, Junior. Czy widziałeś moją żonę?

— Nie, proszę ojca, jechałem z Czubka i zobaczyłem, że porwało ojca ganek. Jadę do Erniego. Słyszałem, że jego dom bardzo ucierpiał.

— Czy możesz mnie wyciągnąć?

W całym swoim życiu nie był tak szczęśliwy, widząc twarz drugiego człowieka. Drżał z emocji i z zimna.

— Jakoś zupełnie nie mam formy. Nie wiem, ale położę się i spróbuję zaczepić stopy po obydwu stronach drzwi...

Junior przygotował się i sapiąc, sięgnął po ojca Tima.

— OK, proszę poczekać, teraz proszę wspiąć się po moich rękach, jakoś tak.

— Ten pokój został zbudowany dość wysoko nad ziemią, więc jest to trudne.

— Ale proszę mnie nie ściągnąć razem ze sobą w dół — przestrzegł go Junior — bo obaj znajdziemy się w niezłych tarapatach.

— W ogóle nie jestem w stanie złapać przyczepności w tych mokasynach — poskarżył się, ciężko oddychając.

Do licha z mokasynami, zamierza z nimi zdecydowanie skończyć.

— To się po prostu stało — wyjaśniał Junior, kiedy ojciec Tim przebierał się pośpiesznie w suche rzeczy i naciągał ciepłe skarpety na zdrętwiałe stopy. — Około trzydziestu, czterdziestu minut temu. Wygląda na to, że zahaczyło o północny kraniec i następnie skierowało się w stronę otwartego morza, deszcz i wiatr ucichły nagle. Ale w Czubku nie ma żadnych zniszczeń, zupełnie żadnych. O ile wiem, na całej wyspie nie ma prądu i telefony pana Bragga też są nieczynne. A co z mostem?

— Nadal czynny.

— To błogosławieństwo — wyznał Junior.

W drodze do tylnych drzwi zawrócił i po raz ostatni poszukał Violet, zaglądając pod łóżka i mając nadzieję, że nie utknęła pod sofą w salonie, do której nie mógł się dostać z powodu zawalonej podłogi.

Pośpieszyli do ciężarówki i samochodu.

— Powodzenia w znalezieniu żony i chłopca. Jestem pewien, że nic im się nie stało, byli prawdopodobnie na poczcie albo w sklepie spożywczym, gdy zaatakowała burza.

— Dziękuję, przyjacielu.

Ale jego żona nie mogła być ani na poczcie, ani w sklepie spożywczym; nie miała samochodu. Była zdecydował, w kościele z Jonathanem, gdzie wybrała się, żeby pomóc w przygotowaniach do Festynu Jesiennego. Był tego tak pewien, że miał ochotę krzyknąć.

Gdy oddalał się od Dove Cottage, zastanawiał się, gdzie jest jej rower? Zazwyczaj wносиła go po schodach i zostawiała na przednim ganku. Nie wyjechała przecież na swoim rowerze...

Na ulicy było teraz więcej samochodów, ludzie najeżdżający z lądu albo z Czubka; wzdłuż Hastings ciągnął się prawdziwy sznur samochodów, ale nie było słyhać żadnego trąbienia.

Widok domu Erniego był straszny. Prawa ściana zniknęła, a wszystko, co po niej pozostało, to szkielec i sterta cegieł. We frontowych oknach brakowało również szyb, a na parkingu i na ulicy leżały porozrzucone książki.

Cała ta znajdująca się poza lodówką przynęta, wszystkie te książki narażone na działanie czynników zewnętrznych — powinni to przykryć brezentem, i to szybko.

Nie mógł jednak w tej chwili myśleć o Erniem.

Kamera telewizji z łądu przemknęła obok niego, gdy wjeżdżał mustangiem na pusty parking obok Erniego, a potem ruszył biegiem do St. John's.

— Skłania się w stronę moich poglądów politycznych, ot i wszystko.

Ray Gaskill, który mieszkał najbliżej St. John's, wyjął wykałaczkę z ust i próbował ocenić zniszczenia.

Około jedna trzecia zawsze zielonego dębu odłupała się i zawałiła na dach kościoła, przekrzywiając budynek na jedną stronę.

— Przechylony na lewo — ocenił Leonard Lamb popielaty na twarzy.

— Kto był w środku? — dopytywał się ojciec Tim.

— Nikogo nie było. Wkrótce po tym, jak wyjechałeś do Dorchester, kobiety się spakowały i przeniosły z pracą do Fieldwalkerów.

— Organy?

— W porządku, jeśli tylko uda nam się zdobyć brezent, zanim znowu zacznie padać. Nie możemy znaleźć Sama, a telefony nie działają, więc nie możemy zadzwonić do Larry'ego, żeby przywiózł brezent z przystani. Wygląda na to, że będę musiał pojechać na ład, jeśli most jest czynny.

— Nic się nie stało mostowi.

— Albo może uda nam się dostać brezent w Dorchester, może przy naprawie łodzi.

Poczuł się śmiesznie winny, że nie przywiózł brezentu.

— Problem polega na tym, że bardzo popękał tynk i gdy wyprostujemy ściany przekrzywionego budynku, popęka jeszcze bardziej.

— To nic w porównaniu z burzą ze Środy Popielcowej — ocenił Ray, żując wykałaczkę. — To dopiero była burza. Tu prędkość wiatru nie była większa niż sto dwadzieścia, może sto trzydzieści kilometrów na godzinę.

Miał wrażenie, że sąsiad St. John's czuje osobistą dumę z katastrofy w sześćdziesiątym drugim roku. Mimo iż nie wyrządziła strat w ludziach, jej siła zniszczyła nieomal wszystko wzdłuż prawie ośmiuset kilometrów linii brzegowej.

— Muszę znaleźć Cynthię — wyjaśnił. — Czy nie wiecie, gdzie...?

— Nie — odparł Leonard. — Marjorie jest u Fieldwalkerów. Ona będzie mogła prawdopodobnie coś powiedzieć.

Jeśli się nad tym zastanowić, to dlaczego Cynthia miałaby gdzieś wychodzić z Jonathanem podczas strasznej burzy, skoro chłopiec miał wysoką gorączkę i przyjmował lekarstwa? I przecież nie zabrałaby Barnaby i Violet na spotkanie do Fieldwalkerów...

Serce podeszło mu do gardła.

— Wygląda na to, że odpadła część deskowania po bokach. To wystawi na działanie deszczu słupki — zauważył Ray.

— Co z podziemiem? — dopytywał się Leonard.

— Wolałbyś nie wiedzieć.

I nie chciał. Dopóki nie znajdzie Cynthii.

— Zobaczymy się niedługo — pożegnał się.

Gdy poszedł po mustanga, zamienił kilka słów z młodym policjantem z tłumy kręcącego się w pobliżu Erniego.

— Dlaczego jest tu wojsko? — zapytał, obawiając się odpowiedzi.

— Oni nie przyjechali tutaj jako wojsko. Używamy dostępnych ciężarówek wojskowych w czasie burzy, ponieważ słona woda niszczy okładziny hamulców w naszych wozach patrolowych. Te cudenka pozostają wysoko ponad poziomem drogi.

— Czy ktoś ucierpiał u Erniego?

— Nie, proszę pana. Uważają, że to woda, która była pod ziemią, musiała jakoś uszkodzić część fundamentów i sprawiła, że ściana się zawaliła. Potem duży pojemnik na śmiecie wleciał wprost na jego okno i wiatr porzrzucał książki aż do samego Przylądka Hatteras.

— A co z Mona's Café?

— Jedna z kelnerek dość poważnie poparzyła sobie ramię, naczynie z rozgrzanym olejem spadło z kuchni, gość w półciężarówce właśnie zawiózł ją na pogotowie.

— Moja żona zginęła — powiedział odruchowo. Młody mężczyzna zdjął czapkę.

— Ojej — powiedział.

— Chciałem powiedzieć, że nie mogę jej znaleźć — wyjaśnił z poczuciem winy.

Dlaczego tu stoi?

Ponieważ nic innego nie przychodziło mu do głowy, uściśnął dłoń policjanta i pobiegł do samochodu. Bliski łez, zawrócił samochód na parkingu i pospieszył na Hastings, która zalana była wodą.

Nagle przypomniał sobie chwilę na plaży, zupełnie niedawno, gdy uniosła dłoń, dotknęła jego policzka i powiedziała, że chciałaby go zawsze pamiętać właśnie tak. Czy był to jakiś straszny omen?

Przy pomocy policji, która kierowała ruchem, wrócił tą samą drogą, którą przyjechał.

Drzwi nie tylko nie były zamknięte w Love Cottage, ale były otwarte na całą szerokość, a większość mebli leżała wywrócona. Wiatr porwał bujany fotel i wyrzucił przez okno z przodu; rozbite szkło porzrucane było po przemoczonej podłodze.

— Cynthia!

Była tam piwnica, mówił Otis. Może gdy ganek został porwany, przyszła tutaj, obawiając się czegoś jeszcze gorszego.

Trzęsąc się jak w febrze, szukał drzwi do piwnicy, otwierając schowki, znajdując bojler, nasłuchując donośnego szczekania swojego psa...

— Cynthia! Błagam!

Tam! Ukryci w sypialni, w której spali wieki temu... Pchnięciem ręki otworzył drzwi do piwnicy i zaglądnął w dół, w ciemną głębię, nie odważając się włączyć światła.

— Cynthia! — zawołał z rozpaczą.

Cisza.

Odwrócił się od stęchłego powietrza, które go owionęło, zamknął drzwi, ujął głowę w dłonie i zrobił to, co robił przez cały dzień.

— Panie — zwrócił się z błagalną prośbą z najgłębszego zakątka serca — wysłuchaj mojej modlitwy...

Może w Dove Cottage jest jakaś wiadomość.

Może na ladzie w kuchni jest coś, co powie mu, gdzie poszli. Jeśli nie, pojedzie do Fieldwalkerów, o ile tylko linie wysokiego napięcia nie leżą w poprzek drogi. Słyszał, że są jakieś problemy w północnej części, ale co z tego, ma przecież dwie nogi, a poza tym nie mogli przecież zapaść się pod ziemię. Muszą gdzieś być...

Zaparkował obok Dove Cottage i pobiegł przez podwórko. Miał wrażenie, że biegnie po bagnach, tak wyraźnie odczuwał miękkość ziemi przez podeszwy swoich butów do biegania.

— Ojczy! Morris Love...

Odwrócił się i spojrzał ponad murem. Coś dziwnego w perspektywie, puste miejsce na niebie w miejscu, gdzie stało drzewo...

— Są tutaj!

Ponownie stracił poczucie świadomości i nie będzie pamiętał, jak biegł ze swojego podwórka przez ulicę i przez żelazną bramę, którą Morris Love odemknął i otworzył szeroko, gdy on wbiegł na znajomą murawę Nouvelle Chanson.

— Timothy!

Zdarzyły się w jego życiu chwile absolutnej, niczym nieskrępowanej radości — jego śluby kościelne, jego ślub z Cynthią i dzień, w którym obaj z Walterem stali na wzgórzu w Irlandii i spoglądali przed siebie na miejsce, gdzie kiedyś wznosił się zamek rodziny Kavanagh.

Z żoną w ramionach, z psem skaczącym, żeby oblizać mu twarz, i Jonathanem ciągnącym go za nogawkę spodni, doświadczył chwili największego szczęścia, jakiego — jak mu się wydawało — być może już nigdy nie będzie mu dane zaznać.

— Violet? — zapytał.

— W kuchni, zjada puszkę sardynek pana Love'a.

Żałował, że oboje z żoną mieli łzy szczęścia w oczach, ale cóż mógł zrobić?

Zobaczyli, jak Morris odwraca się od tej sceny rodzinnego spotkania w holu i staje przy oknie. Na jego twarzy widzianej z profilu malowało się cierpienie, coś, co w jednej chwili przekreśliło radość w ich sercach.

— Gwóźdź — wyjaśniła jego żona, tłumacząc obecność bandaża na swojej prawej ręce. — Prosto w dłoń.

Siedzieli w ogromnej kuchni, oświetlonej światłem świec w srebrnym świeczniku, i czekali, aż zagotuje się woda w czajniku na kuchence olejowej. Nie znając najwyraźniej swojej kuchni, Morris nie był w stanie zaproponować im niczego innego z wyjątkiem kuchenki i czajnika już napełnionego wodą. Cynthia zaoferowała się przeszukać jego szafki i znalazła herbatę, razem z paczką Fig Newtons*. Morris wyjaśnił, że należą do Mamie, ale zachęcał, by się nimi poczęstowali. Widząc, iż się ociągają, sam zjadł jedno, z uprzejmości.

* Fig Newtons — jedne z najbardziej popularnych w USA kruchych ciastek, wprowadzonych na rynek w 1891 roku przez Kennedy Biscuit Works.

Wszyscy rzucili się na poczęstunek.

— Mleko! — zawołał Jonathan. — Moja mamusia, ona daje mi mleko i herbatniki.

— Nie ma mleka, kochanie — odparła Cynthia, wciągając chłopca jedną ręką na kolana. — I wody w kranach, tylko tyle, co w czajniku.

— Jest sok jabłkowy — powiedział Morris.

— Przyniosę go! — zaproponował ojciec Tim.

— Nie. Ja przyniosę.

Morris wstał sztywno i podszedł do lodówki; wyjął z niej karton i nalał sok do szklanki.

— Powiedz: dziękuję — poleciła Cynthia.

— Dziękuję — powiedział Jonathan, pijąc łączywie sok.

— Gdy wiatr zrobił się taki straszny — opowiadała — przypomniałam sobie o swoim rowerze i bałam się, że wiatr porwie go z ganku jak nasze bujaki w sierpniu. Wysłałam więc, żeby wnieść go do domu, a jego tam nie było, a wiesz, jak bardzo lubię swój rower. Chciałam powiedzieć, nigdy nie byłabym w stanie znaleźć niczego podobnego, jest stary jak świat.

— Więcej — zawołał Jonathan.

— Więcej, proszę — poprawiła chłopca jego żona.

— Więcej, więcej, więcej, proszę, proszę, proszę!

Morris wziął szklankę, wstał ponownie z wyraźną trudnością i napełnił jeszcze raz szklankę.

— Dziękuję — powiedział Jonathan.

Cynthia rozpromieniła się z radości i kontynuowała swoją relację:

— I tak spojrzałam z ganku, i zobaczyłam, że wiatr zdmuchnął mój rower na boczną uliczkę. Zbiegłam, żeby go podnieść, i nagle coś zaczęło fruwać w powietrzu, i zdałam sobie sprawę, że to sztachety z płotu spadały jak deszcz z nieba, i podniosłam rękę, żeby zasłonić twarz, i sztacheta z gwoździem...

— Tak mi przykro — powiedział, ujmując jej zabandażowaną dłoń.

— Bach. Przygwożdżona. Uch. A teraz pan, proszę dokończyć.

— Proszę mówić do mnie Monis.

— Morris!

— Wyjrzałem z pokoju muzycznego i zobaczyłem, jak przewraca się drzewo. Na szczęście nie na dom, tylko w drugą stronę, i miałem dobry widok na ulicę. Padał bardzo gęsty deszcz i widoczność nie była zbyt dobra, ale wydawało mi się, że zobaczyłem ojca żonę i wyglądała na zaniepokojoną. Pamiętałem, że mówił ojciec, iż wyjeżdża z miasta, i pomyślałem, że może potrzebować... pomocy.

— I tak, wyszedł do mnie — kontynuowała Cynthia — i właśnie w tej chwili zobaczyliśmy, jak ganek odrywa się od przodu domu. To było straszne. Wydawało mi się...

Jonathan pokiwał energicznie głową.

— Byłem, byłem w domu!

— Tak, byłeś i Morris pobiegł ze mną do domu, i wzięliśmy Jonathana i Violet, i Barnabę, i przyprowadził nas wszystkich tutaj, i staliśmy w jego pokoju muzycznym, przemoknięci do suchej nitki, żeby zobaczyć, czy reszta domu też zostanie porwana, ale nie została, i wtedy Morris zobaczył, że krew kapie mi z dłoni na dywan. Tak mi przykro z tego powodu, twoja gospodyni nie będzie z tego zadowolona...

— To ciemny, orientalny dywan, nikt nawet nie zauważy.

— I przemył mi ranę, i nałożył maść z antybiotykiem, i zabandażował mi rękę.

Jego żona uśmiechała się promiennie do Morrisa Love'a, który wyraźnie pobladł, onieśmielony jej ciepłem i bezpośredniością uczuć. Ojciec Tim odchrząknął.

— Dziękuję, przyjacielu.

— Bałem się — wyznał Jonathan, któremu lało się z nosa ciurkiem. — Płakałem.

Wytrzeł Jonathanowi nos i wygładził mu włosy, ogarnięty przyływem czułości.

— A co się stało z rowerem? — zapytał swoją żonę.

— Pan Love, to znaczy Morris, wyszedł z powrotem na tę okropną burzę i odzyskał go. Jest pod schodami.

Morris poruszył się na krześle, czując się niezręcznie.

— Oto i zagotowała się woda! — zawołała Cynthia. — Bardzo proszę, nie ruszaj się, Morris. To zadanie dla mnie.

— Jestem głodny — skarżył się Jonathan.

— Umieram z głodu — dołączyła do niego Cynthia. Jemu również burczało w żołądku.

— I tak musimy się dostać do domu i zobaczyć, jak wszystko wygląda. Co mamy w lodówce?

— Nic. Zero. Salami, jeden pomidor. Jedziemy do Mitford i dlatego nie chciałam nic zostawiać.

— Salami i pomidor. To dobry początek — ocenił, nie tracąc optymizmu.

— Możecie sprawdzić, czy tutaj nic nie znajdziecie. Nie wiem, Mamie przynosi wszystko...

Morris uniósł do góry ręce, jakby zupełnie nie potrafił znaleźć rozwiązania.

— Mam! — wykrzyknął ojciec Tim.

— Mam! — powtórzył Jonathan, uderzając w stół.

— Właśnie przyszło mi do głowy, że mam dokładnie to, czego nam potrzeba. Lasagna domowej roboty! Aksamitne wstążki ciasta, przełożone świeżym szpinakiem, świeżą ricottą, mozzarellą gęstym sosem pomidorowym, osłodzonym posiekaną cebulą, i mielone mięso z pręgi cielęcej. Wstępnie upieczona, świeżo rozmrożona i gotowa do podania.

— Na litość! — zawołała jego żona. — To zupełnie jak mój przepis. Skąd, u licha, się wzięła?

— Z podłogi mojego samochodu — wyjaśnił, czując się tak, jakby właśnie podarował jej gwiazdkę.
— Morris, czy dołączysz się do nas?

„Bądź wdzięczny za małe błogosławieństwa — napisał Thomas à Kempis — a zasłużysz na to, by otrzymać większe. Ceń najmniejsze błogosławieństwa nie mniej niż największe i zwykłe łaski jako specjalne przywileje. Jeśli będziesz pamiętał o godności Dającego, żaden dar nie będzie Ci się wydawał mały ani pośledni, ponieważ nic nie może być bezwartościowe, co zostało podarowane przez Boga”.

Jedząc z apetytem swoją porcję lasagny, ojciec Tim przypomniał sobie, co powiedział starszy brat. Potem postawił resztkę dania na podłodze dla Barnaby.

Uważał, że to najlepsze, co kiedykolwiek smakował. Jego żona, która zawsze miała niezły apetyt, zajadała, aż trzęsły się jej uszy. Nawet Morrisowi Love'owi zdawało się smakować jej arcydzieło, a Jonathan jadł bez grymaszenia i narzekania.

Ponadto Ella Bridgewater oddała im nieocenioną przysługę. W paczce z moronem, którego spałaszowała Violet, znajdował się mały słoik jej wiśniówki, który — aby zaoszczędzić wody i zmywania — włali do pustych filiżanek po kawie i wypili z ogromnym entuzjazmem.

Przeszli na drugą stronę ulicy, z latarką Morrisa Love'a, i weszli do zimnej kuchni Dove Cottage. Wydawało mu się, że ich dom został jakby pozbawiony życia, jakby straszny atak zranił go w jakiś namacalny sposób.

Wchodził właśnie do holu, gdy zaskrzypiały deski podłogi i ujrzał cień zbliżającej się do niego postaci.

— Wielkie nieba, kto tu jest? Jonathan krzyknął ze strachu.

— Otis! — zawołał właściciel domu, świecąc latarką. — Fatalnie to wygląda.

— Jakbym nie wiedział.

— Wygląda na to, że ten żalorny ganek w ogóle nie był przymocowany do domu. Nie potrafię ocenić, jaki jest stan domu, dopóki nie przyjrę się temu w świetle dziennym i nie sprowadzę tu kilku fachowców. Chciałbym jednak, żebyś razem z rodziną zatrzymał się w moim motelu. Oddamy wam do dyspozycji wyborny pokój ze specjalnie dużym łóżkiem.

— Och nie, wszystko w porządku, postaramy się jakoś tutaj zainstalować.

— Nie ma tu wody, nie ma prądu, nie ma ogrzewania i nie wiem, co jest pod tymi podłogami i co może się zawalić w następnej kolejności. Gdy został oderwany ganek, prawdopodobnie puścił jakiś przegniły legar podłogowy w waszym salonie.

Cynthia spojrzała na niego.

— Otis ma rację, kochanie. Jonathan jest chory, a dom jest w strasznym stanie. Poza tym musimy wypocząć przed jutrzejszą podróżą.

— Nie pojedziemy do Mitford — zdecydował.

Jego parafia potrzebowała go tutaj. Bóg zajmie się szczegółami.

Trzymając śpiącego chłopca w ramionach, stał na tylnych schodach z Otisem, podczas gdy Cynthia z pomocą latarki pakowała pospiesznie najbardziej potrzebne rzeczy.

— U mnie nie stało się dosłownie nic — wyjaśniał Otis. — Jedyne czyjeś leżaki pływają w moim basenie. Gdy usłyszałem, co się tutaj dzieje, pośpieszyłem do domu w poszukiwaniu Marlene i nie mogłem jej znaleźć. Odchodziłem od zmysłów ze strachu, miała być w domu. Cóż, za jakieś dwie, trzy godziny pojawiła się, paradując jak królowa Saby, i narzekała, że deszcz zrujnował jej fryzurę. Była na łądzie, farbowała sobie odrosty.

— Aha.

— Tam, gdzie wichura przewraca drzewa, często wyrrywają one rury kanalizacyjne, a te z kolei rozrywają oczywiście drogi. Dzięki Bogu, że pojechała samochodem terenowym.

Jonathan poruszył się w jego ramionach i oparł swoją ciepłą dłoń na policzku ojca Tima.

— A co z prądem? — zapytał Otisa. — Jak dużo czasu zajmie przywrócenie wszystkiego do porządku?

— Prądu nie ma na całej wyspie. Potrzeba będzie prawdopodobnie czterech do pięciu dni, żeby wszystko ruszyło na nowo. I potrzeba będzie około tygodnia pracy ciężkiego sprzętu, żeby wyrównać drogi i położyć asfalt.

Miał wrażenie, że to wszystko jest snem.

— Ile czasu potrwa, zanim będziemy mogli odprawiać nabożeństwa?

— Kościół nie wygląda za dobrze. Gont odskakuje jak ziarnka kukurydzy. Ale przykryliśmy budynek brezentem, trzema płachtami. Ja miałem jedną, Larry kupił drugą i Sam wyprosił u kogoś trzecią. Zamówiłem na jutro ludzi, którzy przyjdą oglądnąć budynek i ocenić, co trzeba zrobić i ile czasu to zajmie.

Otis westchnął głęboko.

— Przekiekająca woda zamienia tynk w papkę, a potem, gdy wyschnie, robi się z niej proszek.

Najemca powtórzył jak echo westchnięcie właściciela.

— Ale to zbliży nas do siebie — ocenił Otis, spoglądając pozytywnie na to, co czeka członków Kościoła St. John's.

Ojciec Tim poczuł kroplę deszczu na policzku.

— Ojej — westchnął, cofając się na tylny ganek. Usłyszał, jak jego parafianin wyjmuje cygaro z kieszeni i zdejmuje celofan. Nastąpiła chwila cichego namysłu.

— Niech mnie licho, jeśli nie wypalę tego nieszczęśnika!

W płomieniu zapalniczki z monogramem ojciec Tim ujrzał twarz szczęśliwego człowieka.

Cynthia stanęła za drzwiami pokoju numer czternaście w Bragg's Mid-Way Motel i przyglądała się ich pokojowi, który był oświetlony lampą naftową.

— Uch! — zawołała z mocą. — Włochaty dywan!

Rozdział dziewiętnasty

JERYCHO

Jego żona wyglądała na niewypowiedzianie przygnębioną, gdy ubierał się następnego ranka. Siedziała na brzegu łóżka w swojej nocnej koszuli, obuta w jego skórzane pantofle, unikając widoku dywanu.

— Mogłabyś zawieźć mnie do kościoła i zatrzymać sobie samochód — zaproponował, starając się ze wszystkich sił jakoś jej pomóc.

— Nie mogę ciągnąć za sobą Jonathana w tym deszczu.

Zjedli śniadanie złożone z kanapek z serem, które Otis przygotował osobiście i doręczył o szóstej rano wraz z gorącą kawą w termosie. W papierowej torbie znajdowały się też banany, jabłka, rodzynki i pomarańcze, sok i krakersy dla Jonathana oraz paczka czekoladowych ciasteczek z orzechami ze sklepu spożywczego.

— Tak mi przykro, że cię zostawiam. Możesz wybrać się do Braggów, wiesz o tym. Otis nas zapraszał.

— Za nic w świecie — odparła, zaciskając usta tak, że tworzyły idealnie prostą kreskę. — Za żadne skarby!

Marlene Bragg zaproponowała jego żonie, żeby przestała robić sobie własnoręcznie pasemka i wybrała się do profesjonalnego fryzjera; ponadto stwierdziła, że kolor fuksji nie pasuje do karnacji Cynthii i zaleciła inny odcień różu, żeby lepiej wydobył błękit jej oczu. Cynthia nie przyjęła tego dobrze.

— Marjorie i Sam błagali, żebyśmy przyszli.

Sam pojawił się wczoraj wieczorem w motelu o godzinie jedenastej, pragnąc przyjść im z pomocą.

— Ale w ich pokoju gościnnym przecieka sufit i nie ma wody. Sam mówi, że używają nocnika jego babci.

— Są na tym świecie gorsze rzeczy niż nocnik — odparł, starając się ją pocieszyć.

— Nie potrafię sobie tego wyobrazić.

Nie chciał tego mówić, ale co na przykład z byciem uwięzionym w pokoju w motelu, bez prądu, bez telefonu i z trzylatką?

Zapiął na guziki koszulę, przyglądając się jednocześnie pokojowi. Lampa naftowa rozjaśniała słabym płomieniem półmrok deszczowego ranka; grzejnik olejowy syczał w kącie; Jonathan spał głęboko, ściskając poduszkę; Barnaba chrapał w winylowym fotelu; Violet drzemała na dywaniku w łazience. Mimo iż wszystko sprawiało wrażenie przytulności, nie chciałby spędzić tutaj całego dnia. O nie.

— Jak twoja ręka?

— Pulsuje.

— Czy nie sądzisz, że powinnaś wybrać się do lekarza?

— Chyba nie. Morris polał mi ją czymś, co było absolutnie palące, przed nałożeniem maści. Wydaje mi się, że wszystko jest w porządku, najdroższy, nie martw się. Zaglądnę pod bandaże, zanim wrócisz do domu. Uch! Czy powiedziałam: do domu?

— Dom jest tam, gdzie ty jesteś, Kavanagh. Opadła na poduszki, wzdychając.

— Co myślisz o naszym sąsiedzie? — zapytał, nakładając buty.

— Najdziwniejszy, a jednocześnie najcudowniejszy z ludzi. Czuję, że pod jego bólem kryje się nieprzebrana czułość. Ale czy to naprawdę ból, Timothy? Nie wiem, może to coś bardziej zbliżonego do gniewu, strasznego, destrukcyjnego gniewu?

— Dziwne, że tak się zna na domowych sposobach leczenia.

— Mówił, że nauczył się tego od Mamie.

— Aha. No cóż. Wracam około dwunastej. Może deszcz przestanie padać i będziesz mogła zawieźć mnie do kościoła i zabrać samochód.

— Dokąd miałabym pojechać?

— Nie wiem. Do biblioteki?

— Biblioteka jest dzisiaj nieczynna.

— Do sklepu spożywczego?

— Żeby oglądać, jak witryna z produktami mlecznymi zarasta pleśnią?

Przyszedł mu do głowy wspaniały pomysł.

— Mógłbym przynieść ci kilka łapek do garnków, do dokończenia na Festyn Jesienny. — Brawo! Idealne rozwiązanie, żeby zajęła czymś myśli.

— Łapek do garnków?

Spojrzała na niego tak, jakby właśnie przyleciał z Marsa.

Ponieważ telefony działały w innych częściach miasteczka, pojechał dwie przecznice dalej i stanął w kolejce, żeby zadzwonić z budki telefonicznej na tyłach drogerii Whitecap.

Gdy zgłosiła się centrala telefoniczna Domu Nadziei, poprosił o połączenie z jadalnią.

— Pauline...

— Ojczy! Widzieliśmy w wiadomościach, że mieliście wczoraj straszną burzę.

— Tak. I Pauline... — Wolałyby raczej nie żyć. — Nie mogę... przyjechać. Nie mogę przyjechać na ślub w niedzielę. Dzwonię, żeby zapytać, czy mogłabyś odwołać, to znaczy przesunąć termin ślubu o dwa tygodnie, żebyśmy mogli doprowadzić tutaj rzeczy do porządku.

Zapadła chwila ciszy. Rozczarowanie po drugiej stronie telefonu było wyczuwalne.

— Albo... — zaczął i naprawdę nienawidził siebie, wypowiadając te słowa — moglibyście znaleźć kogoś innego, kto by celebrował, kogoś innego, kto...

— Cóż, nie, proszę ojca, to znaczy, wszystko w porządku, nie chcemy nikogo innego, wie ojciec, że i tak planowaliśmy bardzo skromną uroczystość, więc... nie będzie dużego kłopotu z przesunięciem jej na późniejszy termin.

— Tak mi przykro, nie umiem ci powiedzieć, jak mi przykro... Było mu dosłownie niedobrze, gdy myślał o tym wszystkim.

Szczególnie było mu przykro, że wielka radość Jessie, Poo i Dooleya będzie musiała poczekać.

— No cóż, ale proszę się nie martwić — uspokajała go. — Ustalimy inną datę. Nie daliśmy nawet ogłoszenia do gazety, ale powiedziałam wszystkim w jadalni i panna Louella... ona miała przyjść, ale... oni wszyscy zrozumieją.

— A co z Buckiem? Jak to wpłynie na jego plany?

— Och, Buck nie wraca na Alaskę. Skończył swoją część. Zamierza spróbować otworzyć własny interes w Mitford.

— Alleluja!

— Tak więc rozumiem — powtórzyła mama Dooleya — naprawdę rozumiem.

Słyszał jednak smutek w jej głosie. Zawsze potrafił usłyszeć smutek w czyimś głosie....

— Dwa tygodnie — powiedział. — Bez względu na wszystko przyjadę. I porozmawiamy znowu za kilka dni, dobrze?

— Tak, proszę ojca. Jak się mają sprawy w tamtych stronach?

— Nikt nie stracił życia, na ile się orientujemy, ale nie ma prądu i miejscami nie działają telefony, i nie ma wody na północnym końcu. Kościół mocno ucierpiał, część dużego drzewa spadła na dach i... — nagle poczuł, że jest bliski łez — i nasz dom też został częściowo zniszczony.

— Tak mi przykro — odpowiedziała, a jej głos był ochryply z emocji.

Wiedział, że ona też potrafi usłyszeć smutek w czyimś głosie.

Udało mu się zastać Bucka w mieszkaniu Harleya w suterrenach; Buck wybierze się z Dooleym do sądu w poniedziałek i Harley zawiezie Dooleya do szkoły, tak jak planowali. Ślub przeniosą na połowę listopada.

Wziął głęboki oddech i poddał się jeszcze jednej telefonicznej procedurze — kod dostępu, numer, na który dzwoni, numer jego karty telefonicznej, jego numer PIN, następnie centrala, gdzie poinformowano go, że telefon w pokoju nie odpowiada, a więc pokój pielęgniarek na czwartym piętrze, potem świetlica na końcu korytarza z bezprzewodowym telefonem....

— Halo?

— Janette...

— Och, to ojciec, tak bardzo się cieszę, że słyszę ojca głos, widziałam w telewizji, jak mówili o burzy. Czy Jonathan...?

— Ma się świetnie! Jest trochę przeziębiony, to wszystko. Nasz dom nie będzie się nadawał do użytku przez kilka dni, ale wszyscy są bezpieczni. Mieszkamy w motelu Otisa Bragga w miasteczku.

— Dzięki Bogu! I ojciec, tak bardzo się cieszę, że wracam do domu.

— Przyjedziemy, żeby odebrać cię we wtorek, tak jak uzgadnialiśmy. Około drugiej. Czy nic się nie zmieniło?

— Nie. Idealnie! Będę gotowa.

— Gdybyś chciała zadzwonić, jesteśmy w pokoju numer czternaście w Bragg's Mid-Way Motel. Uch, och, zapomniałem. Nie działają tam telefony, ale powinny być już w najlepszym porządku za dzień czy dwa.

— Tak bardzo się cieszę, że zobaczę moje kochanie. Czy był... greczny?

— Bardziej niż greczny!

Jej śmiech był niczym muzyka dla jego uszu.

— Zawieziemy cię do domu i przygotujemy ci coś gorącego na kolację. Możemy przywieźć Jonathana w czwartek — zaproponował zgodnie z radą lekarza. — W ten sposób będziesz miała możliwość...

— Och nie, ojciec, proszę przywieźć go we wtorek. Tak bardzo tęskniłam za swoimi dziećmi. Nie mogę się doczekać, kiedy będę miała je w domu.

— Załatwione w takim razie. A kiedy przyjadą Babette i Jason?

— Będą w domu w środę.

— Dobrze, cudownie — odparł.

— Czy widział ojciec... Jeffreya?

— Ostatnio nie.

Ponieważ zaskoczyła go swoim pytaniem, wolał odpowiedzieć wymijająco, niż skłamać.

— Jean Ballenegr mówi, że czeka mnie po powrocie mnóstwo pracy.

— Włącznie z marynarką osobiście dla mnie. Nie sprawiłem sobie nowej już od lat. Cynthia mnie na nią namówiła i wybrała guziki.

Nastąpiła chwila ciszy.

— Jestem... tak bardzo wdzięczna, ojciec Timothy. Za wszystko.

— Ja również — odparł. — Ja również.

— Emma! — krzyczał, ponieważ połączenie było wyjątkowo złe. — Nie gotuj szynki!

— Co?

— Nie gotuj szynki!

— Skrzynki? Jakie skrzynki? Do licha.

— Zadzwoń do ciebie jeszcze raz!

Gdy zadzwonił ponownie, linia była zajęta.

Zadzwoił do małego domku Pauline pośród drzew laurowych, z ogromnym żalem, że będzie musiał obudzić Dooleya, który przyjechał wczoraj późno w nocy ze szkoły.

— Dooley...

— Hej! — przywitał go Dooley zaspanym głosem.

— Hej, przyjacielu — odwzajemnił przywitanie chłopca. — Mamy tu pewien problem.

Wyszedł na deszcz i stał przez chwilę przy swoim samochodzie, oszołomiony i z ciężkim sercem, czując, że wszystko w końcu do niego dociera — i to wszystko naraz.

Po drodze do St. John's skręcił do Erniego. Budynek z przodu i z boku osłonięty był brezentowymi płachtami.

Mimo iż Książki, Przynęta i Sprzęt Wędkarski wypadły chwilowo z rynku, połowa budynku należąca do Mona's Café tętniła życiem dzięki sporym zapasom butelkowanej wody i agregatowi prądotwórczemu, z którego pomocą kawiarnia przeżyła skutki kilku burz i huraganów. Za progiem otoczyło go ciepło pomieszczenia, w którym pachniało zaparzaną kawą i smażonym bekonem. Zachwyił się poczuciem bezpieczeństwa, jakie dawało to przytulne wnętrze.

Wszystkie boksy były pełne.

— Tutaj, Tim! — zawołał Roger Templeton.

— Dosiądź się do nas — zaprosił go Roger, przesuwając się, żeby zrobić mu miejsce.

— Roanoke, Junior, co słyhać? Jak się ma Ernie?

— Wywozi książki na wysypisko — wyjaśnił Junior. — Usiedliśmy właśnie, żeby coś przekąsić, zanim do niego dołączymy. Wziąłem dzień urlopu, żeby mu pomóc.

— Czy jest jakiś sposób na wysuszenie książek?

— Nie — odparł Roanoke. — Cały księgozbiór do skasowania.

— A co z Elmo?

— Wygląda na to, że wszystko w porządku — relacjonował Roanoke — ale nie chce wyjść spod kasy.

— Junior, słyszałem, że zawiozłeś wczoraj kogoś na pogotowie. Co się stało?

— Dzień dobry, wielebny, co mogę ojcu podać dzisiaj rano? — Misty Summers uśmiechała się do niego i wyglądała jeszcze ładniej, niż gdy ją widział pierwszy raz.

— Co się stało, Misty? Czy złamałaś rękę?

— Nie, proszę ojca, oparzyłam się. Gorący tłuszcz prysnął z kuchenki, gdy ściana Erniego się przewróciła.

— Aha. — Spojrzał na Juniora, który promieniał jak bożonarodzeniowa choinka. — No cóż, przykro mi, ale mam nadzieję, że szybko się zagoi.

— Dziękuję. Bardzo boli, ale lekarz powiedział, że wszystko będzie dobrze. Chwileczkę, to była...
uch, co ojciec zamawiał? Zapomniałam.

Z jakiegoś niewyjaśnionego powodu Misty Summers zarumieniła się jak uczennica.

— Kawa bez śmietanki i sok pomarańczowy — powiedział ojciec Tim.

— Zaraz wracam — odparła Misty.

— Jakie są zniszczenia w St. John's? — chciał wiedzieć Roger.

— Dość poważne. Siła uderzenia spadającego na dach drzewa przekrzywiła budynek na jedną stronę. Otis zamówił ekipę, która to obejrzy. Szkody są dość duże.

— Gdy pomożemy Erniemu zaprowadzić tu porządek — obiecał Roanoke — przyjedziemy, żeby tobie pomóc.

— Ależ dziękuję — odparł wzruszony propozycją. Na korytarzu, gdy szli do Erniego, zapytał Rogera:

— A przy okazji, co się stało z Avą?

— Niech mnie licho, jeśli wiem. Wygląda na to, że po prostu zniknęła z horyzontu. Junior nie miał o niej zbyt wiele do powiedzenia.

— No, no.

— Nie sprawiali wrażenia dobrze dobranej pary, trzeba przyznać.

— Zgadza się — odparł ojciec Tim, wchodząc do Erniego. Wcale nie podobało mu się to, co zobaczył.

W pokoju z książkami półki, które nie były przytwierdzone do ściany, zostały strącone, dosłownie rozrzucając książki na cztery strony świata. Półki na ścianie, która się zawaliła, spadły razem z cegłami, tworząc stosy książek wymieszanych z gruzem. Zapach mokrego papieru przenikał chłodny pokój, w którym czuło się podmuchy wiatru, jako że pomieszczenie było jedynie prowizorycznie zabezpieczone brezentem.

Kilku przyjaciół Erniego, z którymi wspólnie wypływał na połowy ryb, wkładało zniszczone książki do taczek.

Objął mężczyznę, który od samego początku traktował go jak członka rodziny.

— Tak mi przykro, przyjacielu.

Ernie usiłował uśmiechnąć się w charakterystyczny sposób, ale nie zdołał.

Stał w namiocie, który Sam rozbił przy kościele, pijąc kawę z Leonardem i Otisem, spoglądając na nieustający deszcz i czekając na przyjazd przedsiębiorcy budowlanego.

— Wielebny Kavanagh?

Starszy mężczyzna w czapce i płaszczu nieprzemakalnym zajrzał do namiotu.

— Tak, proszę pana.

— Albert Gragg.

Albert Gragg dotknął palcami runda kapelusza i wyciągnął dłoń.

— Przyjeżdżam z Dorchester, panna Ella mnie przysłała.

— Mam nadzieję, że nic się nie stało...

— Nie była w stanie się dodzwonić. Upadła i złamała sobie biodro.

— Nie! — zawołał zasmucony wiadomością. To okropne. W ogóle mu się to nie podobało. —

Pęknięcie czy złamanie?

— Proste złamanie. Jest w szpitalu i nie może grać na organach, mówiła, że zadzwoni, jak tylko uda się uzyskać połączenie.

— Co się stało?

— W czasie burzy usłyszała, jak coś bardzo mocno uderzyło w jej ganek. Pomyślała, że to konar drzewa, które jest dla niej bardzo cenne, ale to była psia buda sąsiada targana wiatrem. Mówiła, że gdy wybiegła, żeby to sprawdzić, deszcz sprawił, że na jej ganku było ślisko jak na lodowisku i upadła. Udało się jej dostać do telefonu, zadzwoniła do mnie, a ja zawiozłem ją do szpitala.

— To naprawdę bardzo przykra wiadomość. Czy jest pan starym przyjacielem?

— Och, już od ponad czterdziestu lat doglądam panny Elli i jej mamy, robiąc przeróżne rzeczy.

— Niech pana Bóg za to błogosławi. Kto jest jej lekarzem?

— Nie wiem, nie powiedziała mi.

— Proszę jej przekazać, że przyjadę, jak tylko będę mógł, musimy tu poradzić sobie z tym bałaganem. Proszę jej powiedzieć, że się za nią modlimy i że może na to liczyć.

— Tak, proszę ojca — odparł Albert Gragg, dotykając palcami kapelusza.

— A jak się ma kapitan i jego brat, nie wie pan?

— Jaki kapitan?

— Kapitan Larkin.

— Nie mam pojęcia. Nie widziałem go, nieczęsto wychodzi z domu. Jego chłopiec robi mu zakupy raz na tydzień albo raz na dwa tygodnie.

— No cóż — odparł, czując się bezradny. Ile razy marzył o tym, żeby się rozdwoić?

Do namiotu wszedł Stanley Harmon, wycierając swoją łysą głowę chusteczką.

— Tak mi przykro, Tim. Tak mi przykro.

— Dziękuję, Stanley. Kościół rzeczywiście mocno ucierpiał. Jakież straty u ciebie?

— Złamało się jedynie kilka konarów. Gdybyście tylko mieli ochotę, zapraszamy wszystkich na nabożeństwo w niedzielę o jedenastej, albo moglibyście odprawić własne nabożeństwo przed nami, o dziesiątej. Co ty na to?

— Wspaniale. Byłoby cudownie. Dziękuję!

— Do tego czasu powinniśmy już mieć wodę, więc będzie można splukiwać toalety, ale jeśli chodzi o prąd, to przynieście parę świec.

— Załatwione.

— Wygląda na to, że nie będziemy mieć prądu wcześniej niż w środę. Gotujemy z Mildred na kuchence turystycznej. A jak sobie radzicie w Mid-Way?

— Och, bardzo dobrze, bardzo dobrze.

— Możecie zamieszkać u nas, mówię szczerze. Mildred mówiła, że byłaby zachwycona, gdybyście przyjęli nasze zaproszenie. Teraz, gdy dzieci są w szkole, mielibyście dla siebie całe sutereny, tylko wy wszyscy i nasze dwa psy, Paul i Silas, nie skrzywdziłyby nawet muchy.

— Dziękuję, Stanley, zatrzymamy się przez jakiś czas w Mid-Way, nie powinno to potrwać zbyt długo.

— Czego jeszcze będziecie potrzebować w niedzielę?

— Właśnie się dowiedziałem, że nasza organistka złamała biodro.

— Ach, jej. No cóż, to żaden problem, mamy pierwszorzędnego organistę, a jak się nad tym zastanowić, grywał do nabożeństw anglikańskich tu i tam. Porozmawiam z nim i dam ci znać jutro. Zagładnij do baptystów jutro około ósmej. Pokażę ci wszystko, dam ci klucz i tak dalej.

— Dostaniesz za to medal, Stanley! — zawołał, gdy jego kolega wybiegał na deszcz.

Kuchenska turystyczna! Oto pomysł. Stanley ponownie pokazał się w namiocie.

— Do licha! Zapomniałem, że nie możemy mieć muzyki organowej bez prądu.

— To prawda. Jak szybko zapominamy.

— Cóż, do zobaczenia rano.

A capella w takim razie, bez dwóch zdań.

Mniej niż połowa oczekiwanej ekipy pojawiła się w Dove Cottage i po wyciągnięciu mebli z zagłębienia oraz upchnięciu ich w pracowni zrywała podłogę w salonie.

Według Otisa oderwany ganek pociągnął za sobą przednią ścianę, sprawiając, iż zapadły się legary podłogowe. Zanim będą mogli wymienić podłogę, najpierw muszą cofnąć ścianę, a gdy to będzie zrobione, przyjedzie ekipa, która zajmie się pracami wykończeniowymi. Wszystko to oznaczało, że prace nie zostaną zakończone wcześniej niż za minimum dwa do trzech tygodni, a ekipa będzie mogła zająć się gankiem dopiero na wiosnę.

Słyszając te wysoce niepomysłne wiadomości, przypomniał sobie Earlene Ferguson, która — pozbawiona ganku w domu dla emerytów — wychodząc przez frontowe drzwi, „wypada po prostu do ogrodu jak barbarzyńca”.

— Nie martw się — usiłował go pocieszyć Otis — każę kilku moim chłopcom z Czubka zamontować z powrotem twój ganek. I mnie samego nie odstrasza perspektywa wbicia kilku gwoździ.

Drżąc na ostrym październikowym powietrzu, Sam, Leonard, Otis i ojciec Tim czekali na przedsiębiorcę budowlanego i przyglądali się złamanym konarom oraz gruzowi zaśmiecającemu teren wokół kościoła.

— Powinniśmy pozbierać i ułożyć te konary — zaproponował Leonard, który nie mógł się już doczekać, kiedy będzie mógł zabrać się do pracy.

— Układanie konarów w taką pogodę nie ma sensu — nie zgodził się Otis.

Deszcz dudnił o dach namiotu. Sam westchnął.

— Dobry Bóg wie, że serce aż się kroi na widok tego starego drzewa nieomal zupełnie zniszczonego.

— Przypuszczam, że mogło mieć około dwustu lat, może więcej. Razem z Marjorie widzieliśmy wiele par, które brały ślub pod tym drzewem.

Leonard nalał kawę z termosu.

— Czy wiedzieliście, że są jeszcze żywe drzewa pochodzące z czasów przed Chrystusem?

— Gdzie? — nie dowierzał Otis.

Leonard podmuchał na swoją kawę.

— Nie wiem, zapomniałem. Czytałem o tym w czasopiśmie.

— Nie wierzę w to — zaprzeczył Otis.

Gdy przedsiębiorca budowlany nie pojawił się o godzinie jedenastej, Otis odgryzł koniec cygara, zapalił i wypuścił dym nozdrzami.

— Coś mi się wydaje, że skopię komuś porządnie tyłek — zadeklarował, opuszczając gniewnym krokiem namiot.

— Jak zdołamy wszystkich poinformować, gdzie zostanie odprawione nabożeństwo? — zapytał ojca Tima Marshall Duncan. — I skąd będą wiedzieć, że jest o dziesiątej, a nie o jedenastej?

Ray Gaskill zapamiętała gryzł swoją wykałaczkę.

— Umieście dzisiaj tabliczkę z informacją na poczcie, żeby wiadomość się rozeszła. I jedną przed kościołem, ludzie będą przyjeżdżać, żeby zobaczyć zniszczenia.

Ekipa drogowców przetoczyła się obok St. John's w paradzie ciężkiego sprzętu, machając do zgromadzonej przed namiotem grupki.

— Chcesz zobaczyć podziemie? — zapytał ojca Tima Leonard.

— Czy to bezpieczne?

— Ja bym tam nie schodził — ostrzegł Ray. — O nie, proszę pana, nie ja.

— Chyba zrezygnuję. Poza tym muszę pojechać do motelu i zawieźć żonie lunch.

— Skąd zamierzasz go wziąć? — dopytywał się Ray.

— Z Mona's Café.

— Chyba że nie przeszkadza ci stanie w kolejce na deszczu. Właśnie tamtędy przejeżdżałem i nie jest to ładny widok. Mógłbyś pójść do sklepu spożywczego, kupić sobie puszkę parówek wiedeńskich, puszkę tuńczyka, różne inne puszkę i bochenek chleba, trochę majonezu...

— Aha.

— I na twoim miejscu — poradził Ray — splukiwałbym węzem podwozie mustanga, inaczej rdza zje go kompletnie.

Nic nie powiedział Cynthii o przewidywanym czasie prac w Dove Cottage. Jeśli perspektywa spędzenia trzech tygodni w Mid-Way nieomal doprowadzała go do szaleństwa, trudno powiedzieć, jaki mogłyby wyrzucić skutek w przypadku jego żony.

— Nie ma sposobu na to, żeby to załatać — oświadczył Sewell Joiner. — Musimy podeprzeć budynek, oderwać, rozebrać i wyprostować. Będzie wyglądał dużo gorzej, zanim zacznie wyglądać lepiej.

— Zdaję się na was — zgodził się ojciec Tim.

— Będziemy musieli przekopać część podziemia, oderwać i przebudować ścianę. Jest bardzo brzydkie pęknięcie w dolnych spoinach kamieniarki...

— Obecnie bardziej interesuje nas samo sanktuarium — wyjaśnił Otis. — Co trzeba zrobić, żeby kościół został na nowo uruchomiony?

— Najpierw wstawimy do środka jakieś ruchome rusztowanie i zdejmujemy tynk, który jeszcze nie odpadł z belek stropowych i słupków. Będziemy też musieli usunąć część poszycia i gontu oraz wymienić połamaną więźbę, później użyjemy podnośnika, żeby wyprostować całość, i położymy nowych dach.

— Chciałbym, żeby twoi chłopcy zaczęli dzisiaj rano — poprosił Otis.

— Jutro jest sobota — odparł przedsiębiorca budowlany.

— Jedź i przywieź ich tutaj, chcemy z tym ruszyć. Fakt, że nie trwają tu żadne prace remontowe, wpływa na wszystkich bardzo przygnębiająco.

— W porządku — zgodził się Sewell Joiner. — Mogę to zrobić. Otis odwinął cygaro.

— Ile czasu zajmie wam to wszystko?

— Dwa, trzy miesiące, jeśli będzie nam sprzyjać pogoda. Włącznie z ponownym otynkowaniem i malowaniem.

Dwa albo trzy miesiące?, serce ojca Tima ścisnęło się z żalu.

O godzinie trzeciej tłum parafian zebrał się pod namiotem, pragnąc wysłuchać raportu na temat zniszczeń, zgłaszając chęć pomocy, oferując słowa pocieszenia i strasznie rozpaczając. Deszcz nie ustawał, spowijając teren wokół kościoła posępną szarością.

— Pomiędzy palcami rosną mi takie maluteńkie grzybki — opowiadał Orville Hood, który dbał o to, żeby pojemnik z olejem w St. John's zawsze był pełny.

— Daj mi oglądnąć! — pisnęła najmłodsza córka Penny Duncan.

— Siedziałam w salonie i rozwiązywałam krzyżówkę, gdy nagle pomyślałam, że to chyba koniec świata. — Maude Proffitt otulona była w żółty płaszcz przeciwdeszczowy, a na głowie miała taki sam kapelusz, spod którego widać było tylko jej oczy. — Trach, coś trzasnęło tuż nad moją głową. Słonko, to był sufit, pękł na pół jak skorupka jajka. No i cóż, wiecie, natychmiast wybiegłam z pokoju jak oparzona! Dzięki Bogu, że nie zostałam na tym fotelu ani chwili dłużej, bo w przeciwnym razie gryzłabym teraz ziemię tu, gdzie stoimy.

— Poczęstujcie się czekoladowym ciasteczkiem z orzechami — zaproponowała Marjorie Lamb. — Upiekłam je wczoraj, zanim zabrakło prądu.

— Ojej, czego nie dałabym za filiżankę kawy do tego smakołyku — jęknęła Maude, pochłaniając ciastko dwoma kęsami.

Okulary Sue Blankenship cały czas zsuwały się z jej mokrego nosa.

— Czy słyszeliście, że biedną żonę ojca uderzył drewniany płot? — zwróciła się z pytaniem do barytonu z chóru.

— Niemożliwe! Cały płot?

— No cóż, może tylko jedna sztacheta.

Ann Hartsell, pielęgniarka, która właśnie przyjechała z pracy na łądzie, zobaczyła kościół i wybuchła płaczem. To sprawiło, że dwójka jej dzieci, które właśnie odebrała z przedszkola, dołączyła do niej, szlochając rozpaczliwie.

— Poczęstujcie się ciasteczkami — zachęcała dzieci Marjorie, przykucając na ich wysokość z plastikową tacą.

— Problem z tą burzą — zauważył Ray Gaskill — to głównie drzewa. To drzewa wyrządziły większość szkód.

— Dopóki się tu nie przeprowadziłam, nawet nie wiedziałam, że na wyspach rosną drzewa — wyznała Edith Johnson, gruba ryba w grupie Kobiet Kościoła Episkopalnego.

Jean Ballenger drżała w swoim zimowym płaszczu.

— Prawie skończyliśmy Ostatnią Wieczerzę, pracujemy teraz nad obrusem. Taka ilość bieli wydaje się nie mieć końca. Jeśli o mnie chodzi, to nie sądzę, żeby ci wszyscy mężczyźni rzeczywiście używali obrusu.

— Czy uważacie, że mimo wszystko powinniśmy zorganizować Festyn Jesienny? — zapytała Mildred Harmon, częstując wszystkich wyłożonymi na tacy bułkami z parówką.

Ojciec Tim odwrócił się na chwilę, przerywając rozmowę z przedsiębiorcą budowlanym.

— Ależ oczywiście — rzucił. — Bez względu na pogodę! Jean poprawiła grzywkę.

— Co za ulga! Nie mogłam znieść myśli, że efekt naszej pracy będzie leżał w szufladach do następnego roku.

Następnego dnia wcześniej rano deszcz przestał padać.

Zawiózł Cynthię, Jonathana i Violet do Marion, zajrzał do kościoła baptystów i przyjechał do St. John's punktualnie o ósmej trzydzieści, gdy na plac budowy zajechała pięcioosobowa ekipa, gotowa rozpocząć prace.

Przed godziną jedenastą wyszło słońce, temperatura podniosła się o trzy stopnie i jedna trzecia północnego krańca wyspy odzyskała bieżącą wodę.

— Alleluja! — wykrzyknął ojciec Tim, wyrzucając w górę swój kapelusz przeciwdeszczowy.

Otis zgasił cygaro i schował do kieszeni niedopałek.

— W porządku, chłopcy, pozbierajmy i ułożmy konary.

Ojciec Tim zaglądał od czasu do czasu do nawy, żeby zobaczyć postępy prac ekipy. Uczucie smutku już go opuściło, teraz chciał jedynie wiedzieć, jak szybko posuwają się prace.

Mimo że ławki i ambona znajdowały się pod brezentem i pył z tynku pokrywał dosłownie wszystko, witraż z tyłu sanktuarium był nienaruszony, z wyjątkiem jedynie drobnych pęknięć i przesunięć wokół ramy. Mocne poranne światło oświetlało wyraźnie obraz, rzucając barwne plamy na biały brezent. Przyjdź do mnie... To było kazanie zupełnie wystarczające dla tej burzy, pomyślał, albo dla każdej burzy.

Za każdym razem, gdy wchodził do środka, spoglądał nerwowo na balkon dla chóru, zatroskany o bezpieczeństwo i ochronę organów.

— Wszystko będzie dobrze — uspokoił go Sewell, który, jak dowiedział się ojciec Tim, wszystkim był znany jako Sew, wymawiane jak imię żeńskie Sue.

Postanowił przestać się martwić. Komu miałby zaufać, jeśli nie ważącemu sto dziesięć kilogramów mężczyźnie, który potrafił uzupełnić brakującą część betonowej ściany podziemia?

Mniejsze tłumy przychodziły na zwyczajne nabożeństwa niedzielne.

Przed południem przybyła ponad połowa parafii. Liczni przywieźli ze sobą pakowany lunch z Mona's Café, niektórzy wręcz urządzili piknik dla całej rodziny. Ponieważ ziemia była zbyt mokra, żeby na niej usiąść, siedzieli w zaparkowanych samochodach z otwartymi drzwiami, nawołując się wzajemnie, spacerując po namiocie, gdzie Sam rozłożył składany stolik i ekspres do kawy na czterdzieści dwie filiżanki, zasilany przez przenośny agregat prądotwórczy.

— Oponki!

Jean Ballenger postawiła na ziemi pudełko ze sklepu obok jej fryzjerki na ładzie.

— Spójrzcie! — zawołał Ray Gaskill, który nie chciał stracić nic z tego, co się dzieje.

Podniósł pokrywę pudełka z cukierni, odsłaniając połowę tortu, na którym widniał wykonany lukrem w kolorze limonki napis: 100 lat! Ray.

— W lipcu skończyłem sześćdziesiąt siedem lat... to będzie sierpień, wrzesień, październik, niecałe cztery miesiące i cały czas był w zamrażarce, częstujcie się.

Penny Duncan przybyła z kilkoma litrami herbaty przyrządzonej, jeszcze zanim zaczęły się deszcze, i torbą z zamrażarki pełną rozmrożonych ciasteczek owsianych. Mona Fulcher przysłała Juniora Brysona z dużym pojemnikiem gorącej zupy, naczyniem chili i workiem filiżanek oraz plastikowych łyżeczek. Stanley Harmon zaglądnięt z dwoma bochenkami rozmrożonego chleba domowego wypieku z zamrażarki u baptystów, razem z jedną czwartą soku jabłkowego, jaki udało mu się wyprosić od szkoły niedzielnej.

Nie wiedząc, że jego ksiądz już poprosił o błogosławieństwo i ponieważ skłaniało go do tego jego własne serce, Sam Fieldwalker zaintonował żarliwy psalm błagalny i dziękczynny.

— Dubeltowo! — zauważył ktoś, kto z radością pochylił głowę w czasie obydwu modlitw.

Leonard Lamb wsunął do ust oponkę.

— Tego nam właśnie potrzeba — zauważył.

O drugiej, nadal pełen energii dzięki zalewającej jego organizm adrenalinie, pojechał do motelu, żeby zabrać Barnabę na bieg po plaży.

Grzejnik podniósł temperaturę pokoju tak, że było w nim gorąco jak w piecu. Wyłączył grzejnik, zapiął smycz i już go tam nie było. Jego pies przejawiał taką radość z powodu uwolnienia, że oparł przednie łapy na piersi ojca Tima i sprawił, że jego okulary zasłży mgłą.

Plaża była zaśmiecona bardziej niż zwykle, ale w niczym nie przypominała zdjęć plaż z Whitecap, które widywał po silniejszych burzach.

Miał wrażenie, że w głowie ma piasek; nie był w stanie myśleć. Jak na człowieka, którego oskarżano o to, że myśli za dużo, było to dziwne uczucie, jakby żył we śnie, przyjmując raczej, niż inicjując okoliczności, które stawały się jego udziałem.

Jednej rzeczy był jednak pewien — musi zabrać swoją gromadkę z Mid-Way Motel, i to szybko.

Omijając śmieci będące pozostałością burzy, biegł z łatwością, kierując się przy akompaniamencie chrzęszczącego piasku na południe, w stronę latarni, i spoglądając na niebo tak błękitne, że mogło być wypalone na porcelanie. Morze w oddali było lazuruowe i spokojne, woda delikatnie obmywała piasek.

Zobaczył to, ale nawet się nad tym nie zastanowił. Potem, po kilku metrach, zatrzymał się i spojrzał ponownie.

Był to mały samolocik, jasnoczerwony na bezchmurnym niebie. Pomyślał o swoich dwóch wyprawach w błękitne przestworza z Omerem Cunninghamem i o okazji, gdy Omer zabrał go samolotem do Wirginii, żeby mógł wziąć udział w szkolnym koncercie Dooleya. Do licha, tak strasznie tęsknił za chłopcem. Minęły cztery miesiące od chwili, gdy widział go, jak znika na swoim rowerze za zakrętem na rogu Wisteria Lane i Main Street. „Cześć, tato...”.

Barnaba zatrzymał się w miejscu i zaszczekał gwałtownie, gdy samolot zanurkował w kierunku szerokiej plaży i skręcił, oddalając się od tafli wody.

Ojciec Tim stał i przyglądał się, jak samolot osiąga pułap i oddala się na południe. Czy wydawało mu się, że ktoś macha do niego z kabiny?

Prawdopodobnie nie, ale również pomachał, na wszelki wypadek.

Siedział na ostatnim stopniu przejścia pomiędzy wydmami, zawiązując sznurówkę, gdy to usłyszał.

Do licha, ten samolot nie tylko ponownie tu nadlatywał, ale leciał nisko. Bardzo nisko.

Prawdę powiedziawszy, lądował...

Przemknął obok niego, dotknął piasku i lekko odbił się kilka razy od podłoża. Gdy zwalniał trochę dalej na plaży, ogon samolotu uniósł się do góry, potem wrócił do pozycji wyjściowej.

Czuł takie mrowienie na czubku głowy, jakby ktoś podłączył go do gniazdka z prądem. To niemożliwe, myślał, widząc, jak otwierają się drzwi...

A jednak tak.

Szczekając dziko, Barnaba wyrwał smycz spod jego stopy i pobiegł susami do czerwonego samolotu i ludzi, którzy z niego wychodzili.

— Omer! Dooley!

Nie, w rzeczy samej, nie będzie płakał jak dziecko. Wytarł oczy rękawem kurtki, biegnąc za swoim psem. Zdziwiająca łaska! Alleluja! Niewiarygodne!

I to nie był tylko Omer i Dooley.

— Pauline! — zawołał do biegnącej w jego kierunku kobiety.

— Buck!

Dooley podbiegł do niego pierwszy.

— Łamiesz mi żebra! Hej, cześć, staruszkule, cześć, Barnaba, cześć, przyjacielu.

Dooley przewrócił się na piasek z Barnabą w czasie, gdy Pauline uściśnęła nieśmiało ojca Tima, a Buck i Omer klepali go bez końca po plecach.

— To mój mały stinson voyager — pochwalił się Omer.

Jego dumny uśmiech odsłaniał zęby tak duże, że można byłoby zastąpić nimi klawisze z kości słoniowej w pianinie.

— Co myślisz?

— Piękny! Dumny! Prawdziwa uczta dla oczu! — zachwycił się ojciec Tim.

Buck uśmiechnął się do niego. Wyglądał dużo młodziej i szczuplej.

— Przelecieliśmy nad tym miejscem chwilę temu, chcieliśmy sprawdzić plażę. Tak nam się wydawało, że to ty.

— Tak — wyznał Dooley. — Skąd wiedziałeś, że przylecimy?

— Nie wiedziałem!

— Świetnie.

Omer lekko kopnął tylne koło voyagera.

— Opony do lądowania w tundrze. Specjalnie je założyłem, ponieważ wiedziałem, że będziemy lądować na miękkim podłożu. Przy okazji, poprosiłem mojego kolegę w Raleigh, żeby to sprawdził, a on powiedział mi, że ta część plaży należy do kościoła, więc możemy tu wylądować bez problemu.

— Spójrz! — Omer zaciągnął go do otwartych drzwi i pokazał ogromne pudło za tylnym siedzeniem.

Ojciec Tim poczuł jakiś cudowny zapach.

— Przywieźliśmy ze sobą duszoną wołowinę, smażone kurczaki, wodę w butelkach i... co jeszcze mamy? — zwrócił się do Pauline.

— Szynkę, którą Emma ugotowała na jutro! — zawołała Pauline, lekko zarumieniona z wrażeń. — I ciasto pomarańczowe pani Bolick.

— Tak! — potwierdził Dooley. — Trzywarstwowe! Plus rzeczy, które przysyła Tony i pan Gregory, i Anna, ale to wszystko pachnie jak czosnek.

Omer był zajęty wyjmowaniem ładunku zza tylnego siedzenia.

— Nie mogłem przewieźć więcej niż dwadzieścia kilogramów, zwłaszcza że czekał łód do schłodzenia i transport trzech pasażerów, ale więcej będzie w następnej turze.

— Pozwólcie, że przywiozę taczki — zaproponował ojciec Tim. — Mamy ich wystarczająco dużo w kościele.

Kątem oka ojciec Tim zobaczył kilku gapiów gromadzących się w pobliżu.

— Byłoby chyba lepiej, gdybyś nie zostawiał go tutaj na dłużej. W Whitecap jest mnóstwo miłych ludzi, ale...

— Ach, wcale nie zamierzam go tutaj zostawiać na długo. Za chwilę robię drugą rundę do Mitford i z powrotem.

— Z powrotem do Mitford?

— Widzisz, jutro rano przywożę maluchy.

— Poo i Jessie — wyjaśnił Dooley. — Przyjeżdżają.

— Aha — zgodził się, usiłując zrozumieć. Dooley poprawił swoją czapkę baseballową.

— Lepiej powiedz mu, mamo.

— No cóż — zaczęła Pauline. Nagle wyglądała na bardzo zawstydzoną. — No cóż...

— Próbowaliśmy zadzwonić — wtrącił Buck — ale nie mogliśmy się skontaktować.

— Widzisz, chodzi o to — wyjaśnił Dooley — że mama i Buck chcą, żebyś dał im ślub jutro.

Buck Leeper, która prawdopodobnie nigdy jeszcze w swoim życiu się nie zarumienił, zrobił się nagle czerwony jak burak.

— Gdyby ojciec był tak miły.

— Kiedy usłyszałem, jak się sprawy mają — dodał Omer — zaproponowałem, że przetransportuję ich tutaj samolotem.

Nastąpiły kolejne uściski dłoni, klepanie po plecach i hałaśliwe szczekanie jego psa, który w szale radości biegał wokół nich, zataczając koła.

Z bagażnikiem pełnym jedzenia i wody zawiózł Dooleya do Fieldwalkerów, gdzie pozwolił swojej żonie wypłakać łzy, które sam powstrzymywał. To tylko jeden z wielu dogodnych aspektów małżeństwa, myślał, gdy Cynthia płakała rzewnymi łzami, przytulona do Dooleya jak porastający drzewo mech.

Po drodze do St. John's doszedł do wniosku, że Stanley pozwoli mu skorzystać z kościoła, aby jutro po południu mógł udzielić ślubu. Jeśli to się nie uda, to z pewnością będą mogli wypożyczyć ich korytarz w podziemiu. W najgorszym wypadku zostawał im ratusz miejski — niezbyt przyjemne miejsce, ale słyszał, że pary biorą tam ślub.

Cokolwiek się zdarzy, będzie musiało zdarzyć się szybko. Boże, modlił się...

Pożegnali się z Omerem odlatującym w asyście sporego tłumu, który nadciągnął, żeby zobaczyć start.

— Mamy tutaj do czynienia — tłumaczył Omer, gdy jechali drogą — z samolotem w całości wykonanym z brezentu. Jest tu kadłub stalowy pokryty brezentem...

— Czy mógłbym wejść do kościoła i rozglądnąć się? — poprosił Buck.

— Oczywiście, weź kask i pójdę z tobą. Ekipa się pakuje i zaraz wychodzi. Wrócą w poniedziałek i prace ruszą pełną parą.

Pauline się rozpromieniła.

— Buck nie musi szukać daleko, żeby znaleźć kask — wyjaśniła. — Czy ja też mogę wejść?

— Zapraszam! — zawołał. — Ale stawiaj kroki ostrożnie. Tynk leży dosłownie wszędzie.

Poprosił na bok Sew Joinera.

— Zanim twoi ludzie wyjdą, chciałbym, żeby coś zrobili, jeśli to możliwe. Właśnie zwrócono się do nas... ze szczególną prośbą.

W czasie zaimprovizowanego szybko, a jednak bardzo wykwintnego posiłku u Fieldwalkerów, który Marion nazwała próbą generalną przed przyjęciem, ojciec Tim wznosił toast za Bucka i Pauline. Buck, nieprzyzwyczajony do dużego towarzystwa, kiwał niezręcznie głową, pragnąc wyrazić wdzięczność. Pauline uśmiechała się i trzymała go za rękę, mówiąc niewiele z powodu serca przepełnionego zdumieniem i czegoś, co jak przypuszczała, mogło być nawet radością.

Zanim tiramisu Tony'ego zostało podzielone między wszystkich, Cynthia i Pauline wymknęły się z lampą naftową do sypialni, żeby oglądnąć suknię ślubną. Ojciec Tim cieszył się, słysząc dochodzące z pokoju wybuchy śmiechu swojej żony, jako że ostatnio niezmiernie rzadko miał okazję być świadkiem takiej wesołości.

Otoczył ramieniem Dooleya. Zauważył przy tym, że chłopiec jest teraz o kilka centymetrów od niego wyższy. Przyglądnął się również wyrazowi twarzy chłopca. Czy był szczęśliwy, że jego mama poślubia Bucka Leepera? Na ile ojciec Tim potrafił to ocenić, odpowiedź brzmiała tak, zdecydowanie.

Po zakończeniu wieczoru, którego atmosfera była jeszcze bardziej radosna dzięki świecom i ogniu płonącemu na kominku, Buck i Dooley zostali odesłani do pokoju numer dwadzieścia dwa w Mid-Way. Pauline otrzymała zaproszenie do domu Fieldwalkerów, którzy podkreślili, że sufit w pokoju gościnnym przestał przeciekać i że udało im się zdobyć jeszcze jeden nocnik.

Otis obwieścił, że Kavanaghowie przeprowadzą się we wtorek po południu do wartej milion dolarów rezydencji Marthy Talbot, przyjeżdżającej tu letniczki z Kanady, która nie była w Whitecap już od dwóch sezonów ze względu na całą serię ślubów w rodzinie, od Brazylii aż po Portugalię, nie wspominając o Bar Harbor w stanie Maine.

To wszystko niemal zapierało dech w piersiach, myślał ojciec Tim, kiedy wkładał pizamę i głęboko poruszony kładł się do nierównego łóżka w pokoju czternastym.

Ale nie mógł spać.

Leżał, słuchając syczenia grzejnika i świszczącego chrapania swojej żony. Jonathan rzucał się i przewracał, kopiąc go w żebra raz, a potem dwa razy.

Odrętwiały z wyczerpania wstał, nałożył szlafrok i pantofle, zaśwycił lampę naftową i usiadł na podniszczonym fotelu przy oknie. Nabożeństwo o dziesiątej, następnie ceremonia ślubna o pierwszej

trzydzieści jutro, a on siedzi sobie pół godziny po północy z oczami otwartymi szeroko jak reflektory tira Loretty Burgess.

Poszedł do łazienki i sprawdził poziom cukru. Ach, no cóż, będzie musiał zapomnieć na jakiś czas o tiramisu; w przeciwnym wypadku jutro byłoby po nim.

Wziął z parapetu swoje Pismo Święte, otworzył je w słabym świetle, zamknął oczy i modlił się.

„Dziękuję Ci, Panie...”.

Spójrzmy prawdzie w oczy, mógł zostać wyłowiony z dna Judd's Creek. Gwóźdź w sztachecie mógł trafić Cynthię w oko, nie w dłoń. Gdyby Maude Proffitt nie poderwała się z miejsca w chwili, gdy to zrobiła, sufit mógł wylądować na jej głowie, a nie na fotelu. Lista ciągnęła się bez końca. St. John's mógł zostać kompletnie zniszczony, całe drzewo mogło się przewrócić...

Jerycho.

Ocknął się gwałtownie, zdając sobie sprawę, że usnął. Dosłownie znikąd w jego sercu zrodziło się to słowo.

Zobaczył je przed oczami, jakby zostało zapisane białą kredą na tablicy. JERYCHO.

— Jerycho — szepnął zaskoczony. Barnaba poruszył się u jego stóp.

„Panie, czy to od Ciebie? Czy usiłujesz mi coś powiedzieć?”

Wsluchiwał się w swoje serce i zdał sobie sprawę, że czuje spokój, którego zawsze potrzebował, aby wiedzieć, czy Bóg jest z nim w danej sytuacji.

Zaintrygowany otworzył Pismo Święte na stronach Starego Testamentu, szósty rozdział Księgi Jozuego, i zaczął czytać.

— Jerycho było silnie umocnione...

Z ciekawości Ray Gaskill otworzył drzwi do St. John's w niedzielę około południa i otworzył usta na widok tego, co zobaczył.

Pokruszony tynk został zmieciony pod obydwie ściany nawy i przykryty brezentem. Podłoga na środku była idealnie zamieciona, rozbite okna zasłonięte, a ruchome rusztowania stały równo w tyle nawy.

Ambona została odsłonięta spod brezentu i świeciła lustrzaną warstwą wosku cytrynowego, podobnie jak dwie ławki ustawione przodem do ambony. Na końcu jednej i drugiej ławki stały grzejniki olejowe, sycząc i emitując ciepło.

Na przykrytym haftowanym jasnym płótnem stole przed ołtarzem stał srebrny kielich, patena i kandelabr oraz misa ze złotymi liśćmi i czerwonymi owocami.

Miejsce nad drewnianym krzyżem, tam, gdzie stał On z rozpostartymi ramionami, czekając, oświetlało wpadające przez okno jasne, jesienne światło.

Rozdział dwudziesty

DRODZY UMIŁOWANI

— Drodzy umiłowani, zebraliśmy się tutaj w obecności Boga, aby być świadkami i pobłogosławić połączenie razem tego mężczyzny i kobiety w świętym związku małżeńskim.

Znał większość liturgii na pamięć, ponieważ nigdy nie podobał mu się widok księdza, którego wzrok wlepiony był w karty modlitewnika, zamiast obejmować kongregację. Dzisiaj wypowiadał te słowa z wyjątkowym uczuciem.

— Wiąż i przymierze małżeństwa zostało ustanowione przez Boga przy stworzeniu świata i nasz Pan Jezus Chrystus uświęcił ten sposób życia poprzez swoją obecność i pierwszy cud w Kanie Galilejskiej. Symbolizuje ono tajemnicę wiążi pomiędzy Chrystusem i Jego Kościołem, a Pismo Święte poleca, aby było ono czczone przez wszystkich ludzi. Jedność kobiety i mężczyzny, ich serca, ciała i umysłu została zaplanowana przez Boga dla ich wzajemnej radości; aby wzajemnie sobie pomagali i byli dla siebie pocieszeniem w chwilach dobrych i złych...

W przedniej ławce Jessie bawiła się koronką swojej nowej sukienki, Poo obserwował w ogromnym skupieniu przebieg ceremonii, Dooley wyglądał zaskakująco dumnie. Cynthia promieniała.

— ...dlatego sakramentu małżeństwa nie należy zawierać lekkomyślnie ani pochopnie, ale z należnym szacunkiem, rozważą i zgodnie z celami, dla których został on ustanowiony przez Boga. Dzisiaj stają przed nami Pauline Barlowe i Bernard Leeper, aby połączyć się w tym świętym związku.

W uśmiechu Omera Cunninghama widać było wystarczającą liczbę zębów, żeby zagrać marsz weselny.

— Pauline, czy bierzesz tego mężczyznę za męża; i obiecujesz żyć z nim w sakramentalnym związku małżeńskim? Czy będziesz go kochała, pocieszała, czciła i opiekowała się nim w zdrowiu i w chorobie; i wyrzekając się wszystkich innych, będziesz mu wierna po wszystkie dni życia?

Pauline odpowiedziała żarliwym szeptem:

— Tak!

Otis Bragg wyciągnął chusteczkę ze swojej sportowej marynarki w kratkę i wytarł nos. Marion Fieldwalker osuszyła chusteczką oczy; Sam wyglądał na osobiście zadowolonego, jakby cała rodzina Barlowe'ów była co najmniej jego najbliższym kuzynostwem.

— Bernardzie, czy bierzesz sobie tę kobietę za żonę i obiecujesz żyć z nią w sakramentalnym związku małżeńskim? Czy będziesz ją kochał, pocieszał, czcił i opiekował się nią w zdrowiu i w chorobie; i wyrzekając się wszystkich innych, będziesz jej wierny po wszystkie dni życia?

Zauważył, że oczy Bucka zamglily się łzami. Potem Buck odchrząknął i przemówił głosem, który było słychać pod samym sklepieniem:

— Tak!

— Czy wy wszyscy, którzy zostaliście wezwani na świadków tego ślubu, zrobicie wszystko, co w waszej mocy, żeby wspierać te dwie osoby w ich małżeństwie?

Dooley wstał spontanicznie, a potem usiadł, podczas gdy wszyscy zgromadzeni zawołali zgodnie:

— Tak!

— Kto wydaje tę kobietę za tego mężczyznę?

Dooley wstał z ławki i wyszedł do przodu blady jak płótno. Mimo iż jego serce waliło jak oszalałe z obawy przed odpowiedzialnością, którą miał na siebie wziąć, był absolutnie przekonany, że to właściwa rzecz; jego mama będzie miała kogoś, kto będzie się nią opiekował, i po raz pierwszy w życiu jego brat i siostra będą mieć prawdziwą rodzinę.

Uczta weselna została przygotowana w znajdującej się w podziemiach kościoła baptystów świetlicy, gdzie zbieranina przenośnych agregatów prądotwórczych pomagała wytworzyć jakże przyjemny zapach czosnku, kawy, ciepłych bułeczek i innych wiktuałów, nad którymi unosił się lekko wyczuwalny zapach benzyny z agregatów.

Stoły przykryte były błękitnymi papierowymi obrusami i udekorowane pełnymi czerwonych owoców gałązkami, skradzionymi z kępy berberysu za szkołą niedzielną. Ozdoby błyszcząły na stołach i wzdłuż górnej krawędzi stojącego przy kuchennych drzwiach szpinetu.

— Oto i są! — ktoś krzyknął.

Roześmiany i podekscytowany chór St. John's, do którego dołączył baryton i sopran z kościoła baptystów, zgromadził się i stał, wstrzymując oddech, na środku pomieszczenia.

Gdy państwo młodzi weszli, rozległy się wiwaty wszystkich, którzy przybyli na poranną mszę świętą u Stanleya Harmona i dlatego zostali zaproszeni na ucztę; następnie zabrzmiały rozradowane głosy chóru:

Chwal, o duszo moja, niebios Króla,

U stóp jego hold swój złóż;

Wolna, czysta i zbawiona,

Chwałę Jemu zawsze mnóż;

Alleluja, alleluja!

Chwal wiecznego Króla!

Pauline Leeper zasłoniła obydwoma dłońmi twarz jak niedowierzająca uczennica i poczuła na swoim ramieniu dłoń męża. Następnie usłyszała okrzyki zachwyty swoich dzieci, które stały obok niej. Pomyślała, że być może nigdy więcej w życiu nie zobaczy ani nie zostanie obdarzona niczym tak cudownym.

Po błogosławieństwie i pieśni, która po nim nastąpiła, ojciec Tim pomyślał przez chwilę o Jeffreyu Tolsonie i żarliwym chórze, który porzucił. Poczuł nagle w sercu czułość dla tego mężczyzny i zastanawiał się, gdzie może być, czy udało mu się ująć z życiem przed burzą i czy kiedykolwiek tęsknił za swoimi dziećmi. Ojciec Tim przyglądał się zarówno ze smutkiem, jak i z radością, jak syn Jeffrey'a zmierza wprost

do niego z czekoladową markizą w każdej ręce, pragnąc się podzielić. Przykucnął i wyciągnął dłoń, aby przyjąć ciasteczko.

— Na litość, skąd się wzięło to ciasto?

— Nie wiem, a poza tym kto jest w stanie upiec ciasto bez prądu? Czy ktoś wie, kto je przyniósł?

— Słyszałam, że przyleciało specjalną dostawą.

— Wierzcie mi, to najlepsze ciasto, jakie kiedykolwiek miałam w ustach.

— Dałabym sobie odciąć rękę za przepis, a ty?

— Jeśli mi wybaczycie, to zbiorę te okruszki, które mi zostały, i dam je mamie — żeby potem ktoś, to znaczy ja, mógł wylizać talerzyk, na którym był ten kawałek.

Zarezerwował kawałek ciasta, który zawinął w folię.

Wziął też duży kawałek lasagny, udko upieczonego kurczaka, cztery plasterki szynki i dwie bułki, które umieścił na niezwykle mocnym papierowym talerzu ze szlaczkiem z irysów. Podszedł do szafek, znalazł tam bardzo dużą plastikową filiżankę i nałożył do niej sałatki ziemniaczanej.

Cały czas miał w pamięci Morrisa Love'a i ani na chwilę nie mógł odpędzić tej myśli. Był sam w tym ciemnym, przepastnym domu, miał jedynie świece, żeby oświetlić sobie drogę, i nie miał zielonego pojęcia, jak się wyżywić, chyba że była z nim Mamie, żeby to za niego zrobić. Nawet jeśli tak było, nie ma prądu, żeby cokolwiek ugotować, i stinsona voyagera, który przytransportowałby mu wiktuały.

Aha. Zapomniane jajko faszerowane. Sam miał ochotę je zjeść, ponieważ niezmiernie lubił jajka faszerowane, ale włożył je do szczelnie zamykanego woreczka śniadaniowego Ziploc. Och, nieprzebrane zasoby kościelnej kuchni...

Szukał przez chwilę, zanim znalazł duży, pusty słoik, odkręcił wieczko i powąchał. Pikle. Opłukał słoik wodą z plastikowego dzbanka i napełnił go słodką herbatą.

— Zaraz wracam — oznajmił swojej żonie. — Znosi się na to, że potrwa to jeszcze przynajmniej godzinę.

— Gdzie, u licha...? — zapytała, spoglądając ze zdziwieniem na pękatą plastikową torbę na zakupy.

— Powiem ci potem. Pocałował ją serdecznie w same usta.

Wszystko wyglądało teraz inaczej, gdy zrobiło się chłodniej. Nie było otwartego okna, do którego mógłby zawołać.

Przy drzwiach stał na jednej nodze, potem na drugiej i drapał się w głowę.

Dlaczego nie użyć dzwonka? To była oryginalna myśl!

Przycisnął dzwonek, ale z wnętrza nie dobiegł żaden odgłos. Być może dzwonek ma jakiś feler, jak większość dzwonek, i trzeba go naciskać w pewien szczególny sposób. Przycisnął ponownie. Nic. Morris Love potrzebuje psa, na litość boską.

Gdy odkrawał kawałek lasagny w kościele, była jeszcze ciepła. Jeśli będzie stał tutaj nadal, zrobi się zimna.

Nie dowierzając swojej beczelności, otworzył drzwi i wsunął do środka, do ciemnego foyer, głowę.

— Morris! — zawołał na tyle głośno, by usłyszał go ktoś znajdujący się na piętrze. — Morris, to ja, Tim Kavanagh! Przyniosłem ci kolację!

Proszę bardzo, to powinno pobudzić do działania mężczyznę, który — o ile wiedział — żywi się wyłącznie Fig Newtons.

— Ojciec...

Nieomal wyskoczył ze skóry. Morris Love wyłonił się zza klatki schodowej, wyglądając zupełnie jak zjawa.

— Do licha, Morris, przepraszam, że tak krzyczałem, skoro stałeś obok.

— Zapraszam — rzucił Morris, wyglądając przy tym, jakby miał coś zupełnie innego na myśli.

Poszedł za Morrisem do zimnej i ogromnej kuchni, którą oświetlało światło padające jedynie z dwóch małych okien nad zlewozmywakiem, i postawił torbę na stole.

— Lasagna jest jeszcze ciepła — oznajmił. — Mam nadzieję, że zjesz ją wkrótce.

Poczuł się jak mama pouczająca dziecko i odsunął się od stołu, czując się nagle niezręcznie.

— Dziękuję — odparł Morris, stojąc z rękami w kieszeniach swojego szlafroka w kolorze burgunda.

Dziękuję? Za ledwie zwykle dziękuję? Chciał zobaczyć, jak mężczyzna rozrywa torbę i pałaszuje jej zawartość!

Ojciec Tim otworzył torbę, wyciągnął ciężki talerz i postawił go na stole.

— Wszystko jest na talerzu — wyjaśnił, czując się coraz bardziej niezręcznie. — Wystarczy ściągnąć folię. A tutaj jest trochę herbaty, dodałem do niej cytrynę...

Gdzieś w domu zegar wybił godzinę trzecią.

— Cóż... — powiedział w końcu, ponieważ nic innego nie przychodziło mu do głowy.

— Ojca sąsiadka dobroć, jestem pewien, zagwarantuje ojcu miejsce w niebie — powiedział Morris.

Jego zagniewane oblicze w słabym świetle wydało się ojcu Timowi groźne.

— Ach, cóż, to nie dobroć zapewnia nam miejsce w niebie — odparł, czując, że wpakował się w niezłe tarapaty.

Morris zmrużył oczy.

— Chciałbym, aby wziął ojciec pod uwagę to, że żyłem sam, bez całej bzdury sąsiedzkich kontaktów, przez większość mojego życia. A ojciec mimo to raz po raz narusza prywatność i samotność, którą polubiłem. Zachowanie to, którego absolutnie nie jestem w stanie zrozumieć, zdradza najwyższy brak szacunku.

— Ale...

— Nie jestem jakąś ciekawostką, ojczy, jakimś przedziwnym eksperymentem, aby mógł ojciec zaspokoić swoje przekonanie o inherentnej czułości ludzkiego serca. Nie potrzebuję ojca dobroci ani nie chcę ojca zbawienia.

— To nie jest moje zbawienie.

— Ponadto nie pragnę ojca przyjaźni, nie oczekuję też ojca podziwu dla moich żalonych umiejętności muzycznych.

Ojciec Tim poczuł z niepokojem, że nogi ma jak z waty.

— Jeszcze jedna rzecz. Proszę sobie zaoszczędzić wysiłku, ojczy, i przestać się za mnie modlić.

Nagle poczuł, że odzyskuje grunt pod nogami, i odparł śmiało:

— To ty oszczędź sobie wysiłku, Morris. Będę się modlił za ciebie, aż... — Pospiesznie szukał w myślach właściwego słowa. Aż Bóg nadejdzie ze swoimi zastępami? Aż sam będę miał ochotę przestać? — ...aż do końca świata! — Wygłosił tę żarliwą deklarację szczerze i poważnie, z głębi serca.

Wyszedł z kuchni i przeszedł szybko przez foyer, słysząc te paralizujące i nieuniknione słowa, które raniły do żywego:

— Precz! Precz!

Zamykając za sobą drzwi wejściowe, pośpieszył drogą dojazdową, którą oświetlało późnopopołudniowe słońce, padające ukosem przez baldachim drzew.

Byli stłoczeni w pokoju numer czternaście jak sardynki w puszcze, cała ich siódemka, włącznie z Violet i Barnabą.

Uważał, że powinni przynajmniej dać odpocząć Fieldwalkerom i Lambom. Nie dość, że ich dobrzy przyjaciele wydali ucztę na ponad czterdzieści osób, to jeszcze zjawili się po wstępnych porządkach ekipy budowlanej i przygotowali ołtarz oraz nawę do ślubu.

Mimo iż było to małe i zorganizowane na poczekaniu wesele, zauważył, że wyzwalało mnóstwo wszelakiej aktywności.

Buck zarezerwował kilka dodatkowych, obecnie sprzątaných, pokoi dla Omera i dzieci, a wszystko to powodowało przeciąganie przeróżnych torebek, worków i toreb z pokoju czternaście do sąsiadujących pomieszczeń, czemu towarzyszyło ciągnięcie się pojedynczych skarpetek i swetrów oraz pozostawianie otwartych drzwi — co szczególnie przypadło do gustu jego psu.

Kiedy Omer zwiedzał miasteczko, a nowożeńcy oglądali wyspę w jednym z pick-upów Otisa, on i Cynthia zastanawiali się nad kolacją. Czy w ogóle powinni jeść kolację, skoro jedli o drugiej trzydzieści? Dzieci są zawsze głodne, nieprawda? Oczywiście.

Mona's Café była jednak w niedzielę zamknięta na cztery spusty, co spowodowało, że zaczęli kartkować żółte strony w poszukiwaniu czegoś, co byłoby otwarte na lądzie. Przypomnieli sobie wtedy o Cap'n Willie's, co wydało im się idealnym rozwiązaniem; ponadto dowiedział się, że Pauline, Buck i Jessie lecą z samego rana do domu z Omerem, a wieczorem przyjeżdża Harley, żeby zabrać jutro wcześniej rano Dooleya i Poo z powrotem do Mitford. Omer nie może wykonać jeszcze jednej podwójnej przeprawy, po-

nieważ zamierza wziąć udział w ogromnym przyjęciu pożegnalnym jego szwagierki i ustępującego burmistrza, Esther Cunningham, która zaraz potem ze swoim mężem udaje się na zachód, ich samochodem turystycznym.

Ojciec Tim pośpiesznie zarezerwował pokój dla Harleya, który według Dooleya musi wyjechać tak wcześnie jutro rano, ponieważ wykonuje właśnie niezwykle pilny przegląd silnika w samochodzie pomocy drogowej Lew Boyda.

Zgraja zza drzwi powróciła, emanując energią.

Z ogromną niechęcią poruszył przykry temat.

— Wydawało mi się, że musisz być w sądzie jutro rano.

— Och — rzucił Dooley. — Zapomniałem.

— O czym?

— Buster Austin przestraszył się i wyznał całą prawdę kapitanowi Underwoodowi, powiedział, że on to zrobił... nie ja. Był śmiertelnie przerażony, że będzie się musiał stawić przed sędzią więc nie ma... żadnego sądu. Przynajmniej nie dla mnie. Przepraszam, że zapomniałem ci powiedzieć. Tak dużo się działo...

Ojciec Tim opadł na krawędź łóżka, czując się tak, jakby z ramion spadł mu ogromny ciężar.

— Och, jest jeszcze coś, o czym zapomniałem ci powiedzieć. Harley mówił, że dzwonił twój kuzyn, Walter, mówił, że nie może się tutaj z tobą skontaktować, mówił, że ma ci coś do powiedzenia o procesie, coś naprawdę ważnego, prosił, żebyś do niego zadzwonił.

Proces!

Na powrót poczuł na swoich barkach przytłaczający ciężar.

— Ach — westchnął.

Niczego nie pragnął tak jak ukojenia, które niesie sen, chciał zapomnieć o procesie, burzy, przykrej konfrontacji z Morrisem Love'em. Wstał i nałożył kurtkę.

— Wybierzmy się na przejażdżkę — zaprosił Dooleya. — Pokażę ci wyspę.

— Świetnie — zgodził się Dooley. — Ja prowadzę!

— My też chcemy pojechać! — zawołała Jessie. Barnaba podszedł do drzwi i usiadł, spoglądając z nadzieją. Poo wybiegł z łazienki.

— Czy możemy pojechać zobaczyć latarnię?

— Ja też, ja też mógłbym pojechać! — zadeklarował Jonathan, naciągając czapkę i chwytając kurtkę.

Ojciec Tim spojrzał na żonę, która wyglądała zdecydowanie blado.

— Alleluja — szepnęła.

— Gdy wrócimy do tego miejsca, gdzie mieszkamy, możesz nim być — zaproponowała Jessie.

— Być kim? — chciał wiedzieć Poo.

— Mężem.

— Nie chcę być żadnym mężem.

— Widzisz, możesz poślubić Jonathana, a ja wypowiem te słowa, ponieważ bardzo mi się podobają.

— Nie mam zamiaru poślubić dziecka — rozgniewał się Poo.

— Nie jestem dzieckiem! — zaproponował Jonathan.

— W takim razie, Jonathan może być Buckiem, ja mogę być mamą, a ty możesz powiedzieć te słowa.

— Jakie słowa? — zapytał Poo.

— Drodzy umiłowani.

— Nie chce.

Dooley spojrział we wsteczne lustro.

— Nie mów: nie chce! poprawił brata.

Leżał zwinięty w pozycji embrionalnej, plecami do swojej żony i Jonathana, czując rodzaj tępego bólu, którego nie potrafił wyjaśnić ani zrozumieć. Życie jest jak przejażdżka kolejką górską, nic dodać, nic ująć. Radość i uzdrowienie w jednym miejscu, rozpacz i zniszczenie w drugim.

Całym sercem pragnął uzdrowienia dla złamanej duszy Morrisa Love'a, ale kim był, żeby myśleć, że może się jakoś przyczynić do takiego cudu? Bywały chwile, gdy wcale nie był zadowolony z faktu, że jest księdzem, zawsze na linii ognia, w poszukiwaniu sprawiedliwości i łaski, i wybaczenia, i zbawienia; usiłując odgadnąć Boże myśli; wręczając Bogu swój osobisty program, a następnie czekając w pobliżu na jego wypełnienie. Nie miał programu dla Morrisa Love'a, już nie; wyrzekał się tej samolubnej, zatwardziałej myśli. Jego zrozpaczony sąsiad należy do Boga; załatwienie sprawy jest Jego zadaniem. Zataszczył mu worek wiktuałów, podczas gdy ten człowiek potrzebuje zachwycającej, porażającej mocy Wszechmogącego, która poruszy jego serce i duszę, i umysł, jak wielki, ogarniający wszystko ogień... Wytarł oczy rękawem piżamy.

— A więc, Panie — szepnął — zrób to.

Mimo że zdołał spędzić pełne pół godziny z Buckiem, prawie zupełnie nie udało mu się pobyć z Dooleyem. W poniedziałek rano stwierdził stanowczo, że pojedzie po śniadanie do Mony i pozwoli prowadzić Dooleyowi. Przyjechali do Mony w chwili, gdy otwierała drzwi, i czekali w przednim boksie, podczas gdy kuchnia kompletowała zamówienie złożone z bułek z parówkami, bułek z szynką frytek, słodkich bułeczek, kawy, mleka i coca-coli dla całej gromady z Mid-Way.

— Jak się układają sprawy z Caroline?

Zdażył już poznać stopnie Dooleya, które były doskonałe i warte pochwały. Teraz zamierzał się dowiedzieć szczegółów.

Dooley sięgnął do wycięcia bluzy pod szyją. Uśmiechając się, wyciągnął mały złoty pierścionek z jedną perełką, który miał zawieszony na łańcuszku na szyi.

— Co to znaczy... hm, tak naprawdę? Dooley wzruszył ramionami.

— No... wiesz.

— W porządku. Czy widzisz Lace?

— Spotkałem ją kiedyś w sobotę w drugistorze. Była w White Chapel z kilkoma koleżankami.

— Rozmawialiście?

Dooley ponownie wzruszył ramionami.

— Niedokładnie. No cóż, czas pokaże.

Chłopiec robił się przystojny, tak brzmiała odpowiedź. Ojciec Tim zauważył muskuły jego ramion i zwrócił uwagę na długie, szczupłe palce, które doskonale przydadzą się chłopcu w jego powołaniu.

— Jakies dalsze przemyślenia na temat tego, czy chciałbyś leczyć małe czy duże zwierzęta?

— I jedno, i drugie — odparł Dooley z przekonaniem. — Chcę leczyć i jedno, i drugie.

— Dobrze! — odparł. — Dobrze.

— Harley, dziękuję ci za to, że wybrałeś się w taką długą podróż. Przykro mi, że samolot Omera nie jest w stanie pomieścić więcej niż czworo ludzi.

— Proszę nawet o tym nie myśleć, wielebny. Miło było znowu wyruszyć w trasę.

— Czy często widzisz naszą lokatorkę?

— Widziałem ją dwa razy. Wygląda na przygaszoną, jakby się bała sama siebie. Ktoś mówi, że rezygnuje z dawania lekcji gry na pianinie i że wraca na północ. Nie próbuje wykręcić się od zapłacenia czynszu?

— Och, nie, za wszystko zapłaciła. No cóż, niech Bóg będzie z wami, Harley, Poo, Dooley.

— Cześć, tato.

— Cześć, przyjacielu. W takim razie zobaczymy się tutaj na Boże Narodzenie, dobrze?

— Dobrze!

— Harley, chcemy, żebyś ty też przyjechał.

— Tak, proszę ojca, przyjedziemy.

— W porządku, szerokiej drogi.

Odczuwając rodzaj pustki, przyglądał się, jak czerwona ciężarówka rusza z parkingu przy motelu i kieruje się na autostradę w stronę Mitford.

— Gość mieszkający trochę dalej przy plaży opowiadał, że siedział sobie na swoim leżaku, właśnie wyciągnął okulary, żeby przeczytać gazetę, gdy nagle wprost na kolana spadła mu książka, bam.

— Nie żartuj.

Musi stąd szybko zmykać; wpadł tylko na chwilę, żeby zobaczyć, jak przebiega odbudowa u Erniego.

— Mówię wam! — zawołał Ernie, który w końcu zaczął przypominać dawnego siebie. — To musiał być *Mustang* Franka Dobiego. Ta książka sfrunęła prosto z mojej półki.

— Zdziwiałe — powiedział, pragnąc okazać szacunek.

— Bzdura — ocenił Roanoke.

— Burza była w czwartek, książka spadła mu na kolana w niedzielę. Musiała najpierw polecieć gdzieś, gdzie wyschła, później porwał ją silny wiatr i zaniósł na południe.

Roanoke zapalił pod stołem zapałkę, a potem marlboro.

— Nie wierzę.

— Powiedział mi, że książka bardzo mu się podobała, ale zakończenie było do niczego.

— Oto i cała wdzięczność — ocenił Roanoke.

Nie chciał tego robić, w ogóle.

— Mówi Walter Kavanagh.

— Walter...

— Timothy! Co, u licha, się u ciebie działo?

— Burza. Straszna. Nieustająca. — Czysty strach ograniczył jego wypowiedzi do prymitywnych monosylab.

— Cóż — zaczął Walter. — Nie spodoba ci się to.

— Ani przez chwilę nie miałem takiej nadziei.

— D'Anjou twierdzi, że własnoręcznemu testamentowi towarzyszy list miłosny, który w jasny sposób określa osobiste uczucia starszego mężczyzny i jego prawne intencje, zgodnie z testamentem.

— Skąd wiadomo, że to pismo Josiaha Baxtera, a nie fałszerstwo?

— D'Anjou zdaje się przekonany, że sprawa jest wystarczająco pewna do obronienia w sądzie, nie powiedział jak. Szczerze mówiąc, uważam, że d'Anjou jest osobiście zainteresowany i że mocno naciska. Już od lat prowadzi sprawy rodziny. Wyczuwam tu osobistą chciwość. Gdyby to była moja sprawa, nie czułbym się tak pewnie — weźmy chociażby fakt, że nikt nie wystąpił o to przez pięćdziesiąt lat. Jemu wydaje się jednak, że przekona ławę przysięgłych.

— A co z pieniędzmi, które panna Sadie zostawiła Dooleyowi?

Walter i Cynthia byli jedynymi osobami poza nim, które wiedziały, że panna Sadie przekazała ponad milion dolarów pod zarząd powierniczy na rzecz Dooleya.

— To były pieniądze jej mamy. To postępowanie prawne z pewnością nie może...

— Nie, nie wydaje mi się. Nie uprzedzaj biegu wydarzeń, Timothy. W każdym razie wygląda na to, że będziemy musieli przez to przejść. Pomogę ci w przygotowaniu odpowiedzi do sądu, mamy na to trzy tygodnie. Czy możesz do mnie zadzwonić w środę wieczorem? Mam kilka pomysłów.

Chociaż wiedział bardzo dobrze, że w niebie nie ma smutku, miał jednak nadzieję, że panna Sadie w żaden sposób nie dowie się o tej godnej ubolewania sprawie. Tuż przed śmiercią dowiedziała się o nieślubnej przyrodniej siostrze, którą urodziła jej matka, zanim wyszła za mąż za Josiaha Baxtera. Ta ponura tajemnica jednak miała bardzo radosną stronę — panna Sadie poznała Oliwię Harper, która stała się jej ukochaną siostrzenicą. To zaś było oczywiście niekwestionowanym błogosławieństwem.

Ale jeszcze jedna nieślubna przyrodnia siostra? To zdawało się czystą fikcją; wołał nie myśleć o tym, jaką przykrość mógł sprawić ten proces jego starej przyjaciółce i parafiance, gdyby nadal żyła.

Przeczuwał, że w sposób, którego jeszcze nie był w stanie do końca zrozumieć, jego życie już na zawsze pozostanie związane z życiem Sadie Baxter.

O pierwszej we wtorek, po kilku wizytach domowych, pojechał do Mid-Way i pomagał Cynthii zapakować rzeczy Jonathana do samochodu.

— Jadę do domu, Cyn'dy.

— Wiem, kochanie.

— Czy przyjedziesz mnie odwiedzić?

— Oczywiście.

— I spotkasz też Babette i Jasona. — A czy ty do nas przyjedziesz?

— Może będę mógł kiedyś. — Jonathan nałożył czapkę.

— Przywieziemy twoje filmy później. Są w naszym domu, który się zawalił.

— Możecie, możecie je jeszcze raz oglądać, zanim mi je przywieziecie. Moglibyście tak zrobić, gdybyście tylko chcieli.

Spojrzał na żonę, gdy wsiadali do samochodu, i poczuł jej cierpienie jak własne.

Najzwyczajniej w świecie oniemiał, gdy zobaczył dom Marthy Talbot, stojący samotnie na końcu wysypanej muszlami ostryg alei. Milion patyków wznoszących się na niezagospodarowanej skarpie nad zatoką Sound było dość imponującym widokiem.

— Jej — szepnęła Cynthia.

— Chyba zasłużyłaś sobie na to dobrymi uczynkami, Kavanagh.

Zaparkowali w podwójnym garażu tylko dlatego, że jego posiadanie było luksusem, i weszli po schodach, zatrzymując się przed wejściowymi drzwiami.

— Proszę — powiedział, podając jej klucz. — Niech ten zaszczyt przypadnie tobie.

Gdy drzwi się otwały, znaleźli się w oświetlonym słońcem salonie, z którego przez całą ścianę okien roztaczał się widok na zatokę Sound. Powierzchnia wody była tak gładka jak tafla jeziora i błyszczała w słońcu.

Jego żona wydała z siebie ledwie słyszalny okrzyk zdziwienia i zachwytu.

— No, to rozumiem! — zawołała.

Wędrowali po przestronnym domu jak para dzieci, zachwyceni swoimi odkryciami. Centralny odkurzacz, ogromne kominki zarówno w salonie, jak i w głównej sypialni, cudowne widoki z każdego miejsca, pokój z odpowiednim światłem i właściwym usytuowaniem do pracy dla niej, pokój wystarczająco wygodny i niezobowiązujący do pracy dla niego, intercom; duża kuchnia, w której czuli się zdecydowanie zagubieni, i pokój ze sprzętem audio-wideo, który dzięki swojej imponującej technologii i ekranowi telewizyjnemu na całą ścianę sprawił, że pośpiesznie zamknęli do niego drzwi.

Opadli na jedną z sof w salonie, rozważając rozpalenie w kominku, żeby złamać chłód.

— Cóż — rzucił.

— Cóż — rzuciła.

W życiu by się z tym nie zdradził, ale żałował, że nie ma z nimi Jonathana, który ożywiłby to miejsce.

— Rozpakujmy w takim razie samochód. Przyprawdzą Barnabę i Violet.

— Czy nie byłoby cudownie, gdybyśmy mieli prąd? — marzyła.

— Spróbuj włączyć lampę na wszelki wypadek. Sześćdziesiąt wat rozbłysło światłem w odpowiedzi na pstryknięcie jej palców.

— Dzięki Ci, Panie! — rozległ się ich zgodny spontaniczny okrzyk.

Zerwali się i pośpieszyli do kuchni, gdzie przekręcili kurek, który zaczął syczeć i prychać, aż wreszcie popłynął z niego do zlewozmywaka słonawy strumień wody.

— Sprawdź telefon! — krzyknęła. Sygnał wybierania!

— Ogrzewanie...

Pośpieszyli w tandemie, szukając termostatu.

Znalazszy go na końcu korytarza, padli sobie w ramiona i wymienili gorące uściski w chwili, gdy piec z hukiem zaczął działać.

— Ksiądz i diakon umierają i idą do nieba! — zawołał triumfalnie.

Och, ale żaden wart milion dolarów dom nad zatoką Sound nie był w stanie złagodzić cierpienia jego żony.

Leżał w obcym łóżku i trzymał ją w ramionach, podczas gdy ona płakała.

Może to jasny księżyc w trzeciej kwadrze sprawiał, że nie mógł zasnąć...

Wstał i spojrzał przez drzwi balkonowe, które wychodziły na taras na piętrze. Platynowa wstęga spływała po wodzie. Oddaleni zaledwie o dwa kilometry od Dove Cottage, znajdowali się w zupełnie innym świecie. Prawdziwy cud.

Zasunął zasłony w oknie, pogłaskał swojego psa śpiącego w nogach łóżka i położył się ponownie.

Pamiętał to biorące się z bezsenności wyczerpanie, które przyczyniło się do zaostrzenia jego cukrzycy.

Czy Hoppy nie radził mu, aby znalazł dobrego lekarza, gdy tylko przyjedzie? Oczywiście. A czy on to zrobił? Ależ skąd.

Już dość wymówek, obiecał sobie. Spróbuje się dowiedzieć czegoś jutro z samego rana. I musi uwolnić się od myśli o procesie. Martwienie się i przejmowanie tą niepokojącą sprawą jest bezsensowne. Razem z Walterem zrobią wszystko, co w ich mocy; a dalej zamierza liczyć na łaskę boską.

„O nic się już zbytnio nie troskajcie...” — zaczął recytować w myślach jeden z wersetów, który usiłował wcielić w swoje życie już od bardzo dawna.

„...ale w każdej sprawie wasze prośby przedstawiajcie Bogu w modlitwie i błaganu z dziękczynieniem. A pokój Boży, który przewyższa każdy umysł, będzie strzegł waszych serc i myśli w Chrystusie Jezusie”.

— Ach — westchnął.

Jerycho.

Nie znowu.

Panie, nie jestem jasnowidzem. Wyjaw mi, proszę, co chcesz mi powiedzieć.

Usiłował otworzyć swoje serce i umysł na odpowiedź, ale w końcu spokojnie zasnął.

Gdy nad zatoką Sound zapadał zmierzch, usłyszał dzwonek przy frontowych drzwiach i podszedł do nich, zastanawiając się, kto może chcieć ich odwiedzić.

Zobaczył samochód zaparkowany na podjeździe i kobietę stojącą na dole schodów. Przed nim na najwyższym stopniu stały dwie małe postaci w kostiumach piratów oraz dużo mniejsza postać ubrana w prześcieradło i trzymająca w wyciągniętej w jego kierunku dłoni dynię.

— Cukierek albo psikus! — zawołał Jonathan Tolson.

Czując się dziwnie od siebie oddaleni, gdy siedzieli w fotelach stojących po obydwu stronach kominka, usadowili się razem na sofie. — Wiesz, o czym marzę? — zapytała. — Nie mam pojęcia.

— O pieczeniu wieprzowej twojej mamy z tymi cudownymi podpłomykami.

— Moja droga, a kto nie chciał zabrać w naszą podróż w nieznane żeliwnego rondla?

— Myliłam się, przyznaję. Czy nie możesz przyrządzić jej pieczeni bez niego?

— Nigdy tego nie robiłem. Pieczeń wieprzowa z tego rondla to gwarantowany absolutny sukces. Dlaczego miałbym się skusić na odstępstwo od tej zasady i ryzykowny krok, taki jak zawinięcie jej w folię albo upieczenie w brytfannie do pizzy czy coś jeszcze gorszego?

— Mówisz swoim głosem kaznodziei — zaprotestowała.

— Przepraszam po tysiącokroć — odparł, wstając, by pomanipulować pokrętłami domowego zestawu grającego i sprawić, żeby coś, cokolwiek się stało.

— Julia Child nie potrzebowała żeliwnego rondla, żeby zrobić pieczeń wieprzową — zauważyła, unosząc jedną brew.

— A jak posiadłaś tę tajemną wiedzę?

— Sprawdziłam w jej książkach kucharskich w naszej nowej kuchni.

— Cóż — odparł, ponieważ nic innego nie przychodziło mu do głowy.

— Dwa i pół kilograma mąki... — szepnęła, układając listę zakupów.

Cynthia Kavanagh była zdeterminowana i nic nie mogło jej powstrzymać od podania podpłomyków na kolację.

— Czy naprawdę musimy kupować mąkę tylko po to, żeby wieźć ją z powrotem do Dove Cottage?

— Przypuszczasz, że jak długo tu zostaniemy?

— Mówili, że prace potrwać prawdopodobnie trzy, maksymalnie cztery tygodnie.

— Dobrze. Teraz podwój te prognozy z powodu drewna, które nie jest dostarczone na czas albo w ogóle nie ma go na składzie, i z powodu ekipy, która postanawia zająć się inną pracą przez cały tydzień, i z powodu deszczowej pogody, która sprawia, że podłoga jest zbyt lepka, abyśmy mogli się wprowadzić przez kolejne dziesięć dni, i... masz wyobrażenie.

— Dwa miesiące — stwierdził. — Kup mąkę.

Cynthia uniosła do góry lampkę, wznosząc toast.

— Za Marthę Talbot!

— A ten za pannę Child, niech ją Bóg błogosławi!

Nie przyzna tego oczywiście, ale była to najbardziej smaczna pieczeń, o jakiej można zamarzyć, nie wspominając już o tym, że również ich pierwszy solidny posiłek w Sound Doctrine, którą to nazwę domu znaleźli wyrytą na tabliczce przy drzwiach.

— Do trzech razy sztuka! — zawołała Emma, chrupiąc coś, co wyglądało na prażoną kukurydzę.

— Andrew wygrał przytłaczającą większością głosów!

— No cóż, wygrał, zgadza się, ale nie przytłaczającą większością głosów. Wielu ludzi, którzy urodzili się w Mitford, głosowało na Coota. W każdym razie zgadnij, co jeszcze.

— Po prostu mi powiedz i miejmy to za sobą.

— Nie, musisz zgadnąć. Zgadnij, co stanie się z Cootem, jak tylko Andrew zostanie zaprzysiężony?

— Zostanie emisariuszem do naszego miasta partnerskiego Mitford w Anglii?

— Nie, ale podoba mi się pomysł miasta partnerskiego! Ktoś powinien podsunąć ten pomysł Andrew, na pewno by go podchwycił. Zgaduj jeszcze raz.

— Poddaję się.

Po jednej próbie Emma zazwyczaj zostawiała go w spokoju.

— Andrew zamierza ustanowić go szefem komisji historycznej!

Coś, czego zawsze się obawiał, może okazać się prawdą wiedział teraz bez wątplenia — ustanawiając Coota Hendricka szefem jakiegokolwiek komisji w ogóle, Andrew Gregory okazał się człowiekiem dużo większej klasy niż on sam.

Zrobił wszystko, co w jego mocy, żeby odciąć tę pępowinę, która zwyczajowo łączyła parafię z jej wieloletnim pastorem, i miał wrażenie, że w końcu stało się to faktem. Prawdę powiedziawszy, nie miał wiadomości od Esther Bolick ani od nikogo innego w Lord's Chapel już od niepamiętnych czasów. Więc do licha z jego tymczasowym biskupem i jego chłopską mądrością, zadzwoni do Bolicków.

— Esther?

— Kto mówi?

— Jak szybko zapominasz. Twój stary ksiądz.

— Ojciec Hammond?

— Esther!

— Żartowałam. Jak, na Boga, się masz? Nie odzywałeś się przez całe wieki.

— Mnóstwo pracy w nowej parafii, ale myślę o tobie i Gene i modlę się za was wiernie. Jak on się czuje?

— Lepiej. Przestałam się już zadręczać na śmierć.

— Bardzo mnie to cieszy. A ty może się ucieszysz, gdy ci powiem, że twoja sława rozciąga się teraz aż do Whitecap. Prawdę powiedziawszy, dzwonię, żeby ci przekazać aż jedenaście prób o przepis na twoje ciasto pomarańczowe. Wiem, że go nie dajesz, ale mnie prosili.

— Jedenaście?

Nie był pewien, czy była zadowolona z tej liczby, czy też rozczarowana.

— Jestem przekonany, że przynajmniej drugie tyle osób jest zainteresowanych, ale ja osobiście zebrałem jedenaście nazwisk, włącznie z księdzem baptystów, który słynie z cytrynowego ciasta bezowego.

— Och, no dobrze — odparła — nie widzę powodu, żeby się nie zgodzić. Ten przepis i tak został już nielegalnie powielony na tysiąc sposobów.

— Będą zachwyceni i na tym nie koniec, zostanę bohaterem.

— Cynthia ma egzemplarz, z którego pozwołam jej korzystać. Może im go udostępnić.

— Tak, ale zostawiła w Mitford. Czy myślisz, że mogłabyś przesłać mi kopię?

— Naprawdę, ten przepis będzie mnie prześladował aż po grób. Ale dobrze. Jaki masz adres?

— Prześlij ją po prostu na St. John's, skrzynka pocztowa czternaście.

Podał jej kod pocztowy.

— Niech cię Bóg błogosławi, Esther.

— Ojciec Talbot wprowadził się do tego dużego domu za Harperami. Jest taki niesamowicie przystojny i ma takie bieluteńkie zęby, na litość...

Miał wrażenie, że kiedyś już to słyszał.

— Wydaje się nam, że je sobie wybiela, no wiesz, jak ludzie z telewizji.

— Tak więc, cieszę się, że Gene...

— I miły! Taki miły! Przechodzi przez ulicę, żeby z tobą porozmawiać, macha do ciebie z samochodu... nie wspominając o tym, że złożył wizytę domową Gene'owi zaledwie dwa dni po przyjeździe!

— Na Boga — zachwycił się, cytując Sama.

— A jego dzieci — łagodne jak owieczki i absolutnie genialne. A szkoda, że nie widziałeś jego żony, najzwyczajniej w świecie gwiazda filmowa. A kazania? Porywające! Wszyscy padają na kolana! Gene mówi, że przywiążemy go za nogę do ołtarza. Nie możemy pozwolić mu się wymknąć.

— Ach — odetchnął głęboko.

Rozmawiali z Walterem ponad godzinę, ale czuł się odrobinę pocieszony. Było to niezwykle cenne uczucie.

Co powinien zrobić, jeśli w ogóle, z pogłoską, że wraca do Bostonu? Czyż nie była mu winna tej uprzejmości, aby poinformować go o wyjeździe? Z drugiej strony, co wspólnego z tym wszystkim miała uprzejmość — zważywszy na okoliczności?

Walter zaproponował, żeby pozostawił tę sprawę w spokoju, ale aby poinformował Dom Nadziei o procesie.

Bał się tego jak ognia co najmniej z kilku powodów. Poczekaj z tym do następnego tygodnia, gdy zrobi się trochę... spokojniej. W chwili obecnej St. John's otoczony był ze wszystkich stron zewnętrznym rusztowaniem, ciągnik gąsienicowy wykopywał część podziemia, a koparka pracowała na terenie budowy, robiąc Bóg raczy wiedzieć co. Jak każdy przy zdrowych zmysłach był w stanie ocenić, że nie był to właściwy moment, aby dzwonić do rady i przekazywać złą wiadomość.

Gdy razem z Cynthią odmawiali wieczorną modlitwę, zwrócił się do Boga słowami z *Pieśni św. Patryka o wieczornej porze*.

— Niech nasz sen będzie słodki i głęboki — wyszeptał — aby nasza praca była rześka i twarda.

Jego żonie, która znowu pracowała jak oszalała nad swoją książką, podobał się sposób, w jaki ujął to święty Patryk.

Mimo to nadal nie sypiał dobrze.

I nie mógł uwierzyć w to, co zdawał się mówić wprost do jego serca Bóg.

— Jesteś pewien? — zapytał na głos, stojąc na górnym tarasie podczas zachodu słońca.

Śnieżnobiała czapla sfrunęła z dachu i usadowiła się w wysokiej trawie nad brzegiem wody.

— Nie chciałbym źle Cię zrozumieć — powiedział.

Z drugiej jednak strony, nawet jeśli się pomyli, to co ma do stracenia? Nic.

Nic do stracenia, a tyle do zyskania.

Spędził większość poniedziałku rano, rozmawiając z Hoppym Harperem i pozostałymi członkami rady. Byli zaskoczeni, oczywiście. Ale był zadowolony, że z nimi porozmawiał, ponieważ naradzali się i myśleli nad tym wspólnie, i czuł, że to dodaje mu odwagi.

Byli zgodni co do tego, że to prawdziwy cios, ale gdyby przegrali proces, wydawało im się, że zdołają zastąpić brakujące środki z innych źródeł.

Dodawało mu to odwagi, to prawda, ale gdzieś w środku czuł tępy ból, który zdawał się tam zadomowiony na dłuższy czas.

— Barnaba i ja zamierzamy pospacerować po starych okolicach.

Dziewiąta rano teraz i spotkanie o dziesiątej z Sewellem Joinerem w kościele. Idealnie.

— I proszę, zrób coś z samochodem — zwróciła się do niego Cynthia. — Wygląda jak pojazd farmera.

— Załatwione.

— Nie pojmuję, co ty robisz z samochodami — szepnęła.

— Była burza, nie pamiętasz?

— Ale to było wiele dni temu, a rdza pojawi się na błotnikach lada moment, wspomnisz moje słowa.

— Rdza...

— Ona istnieje, wiesz. Rozprzestrzenia się. Czy zauważyłeś, jak wyglądają samochody i ciężarówki, którymi się tu jeździ? Nie mają prawie nic, z wyjątkiem podwozia i kierownicy.

— Z pewnością przesadzasz.

— Z pewnością to robię, ale proszę — umyty, nawoskowany i cokolwiek będzie jeszcze potrzebne; muszę go mieć jutro na drobną wyprawę.

— Jutro ma być piękny dzień, mogłabyś pojechać na swoim rowerze.

— Nie, dopóki będzie tkwił pod schodami Morrisa Love'a.

— Masz rację — odparł. — Do zobaczenia w porze lunchu.

Po sprawdzeniu, jak posuwają się prace w Dove Cottage, rozpoczął swój pierwszy spacer wokół muru Nouvelle Chanson, idąc na wschód od żelaznej bramy, skręcając w lewo na Hastings i modląc się w trakcie wędrowki.

Tuż przy samym murze szedł na północ, w stronę Hastings, i skręcił na rogu w alejkę, która prowadziła wprost do domu Erniego.

Zobaczył przed sobą postać, która przeszła przez alejkę, kierując się w stronę muru Love'ów. Był to ktoś wysoki i szczupły, o ciemnej karnacji i mimo iż niósł torbę z zakupami w każdej ręce, poruszał się z lekkością.

— Spokój — upomniał swojego psa, którego zawsze ciekawiło, kto i co przecina ich drogę.

Mimo że usiłował nie przyglądać się, zauważył, iż jedna z papierowych toreb nagle upadła, i zobaczył, jak kilka rzeczy wysypuje się na piaszczystą alejkę. Grejpfruty potoczyły się na wszystkie strony.

Pośpieszył przed siebie.

— Pani pozwoli, że pomogę! — zaproponował. — Barnaba, siad!

Barnaba nie usiadł; stanął na tylnych nogach, żeby przywitać nieznaną którą stała, spoglądając na niego z niepokojem. Chwytając swojego psa, ojciec Tim podszedł do małego rosnącego pod murem drzewa i zawiązał wokół niego smycz.

— Proszę, tak mi przykro. Jest zupełnie niegroźny. Przykląkł i zaczął zbierać grejpfruty i banany, kostki masła, które wypadły z opakowania...

— Przynajmniej nie było jajek — zauważył, spoglądając w górę na elegancką ciemnoskórą kobietę, która patrzyła w dół, na niego.

— Bardzo dziękuję.

Miała delikatny i śpiewny głos — dystyngowany, pomyślał.

— To duży pies — powiedziała zwyczajnie.

— To prawda. No tak, do czego to teraz włożymy?

— Wrócę do domu i przyniosę koszyk — zaproponowała. —

Prawie nigdy nie noszę zakupów inaczej niż w koszyku, ale dzisiaj rano... gdyby mógł ich pan przypilnować, dziękuję.

— Z przyjemnością — zgodził się, biorąc z jej ręki drugą torbę.

Poszła do domu po drugiej stronie alejki, domu, który często podziwiał za jego schludny wygląd i duży, zadbany ogród. Jednego wieczoru w lecie przywitał się z mężczyzną, który pracował w ogrodzie, i od czasu do czasu widywał schnące na sznurku pranie. W świecie, w którym rzadko eksponowało się swoje pranie na sznurku, był to widok, który zawsze ku jego przyjemności prznosił go w czasy dzieciństwa.

Stał, pilnując małego stosiku zakupów, ułożonego równo na środku alejki, podczas gdy ona wyszła z domu i podeszła do niego, niosąc duży kosz. Uważał, że porusza się po królewsku jak na swój wiek, chociaż nie potrafił dokładnie go określić.

— Zawsze, zawsze używam tego koszyka — powiedziała miłym głosem — a dzisiaj rano, nie do wiary...

Pochylili się razem i załadowali koszyk.

— Czy mogę go zanieść? — zapytał.

— Nie, proszę pana — odparła, wyprostowując się. — Idę tylko tutaj.

Wskazała na przerwę w gęstym żywopłocie, za którym ukryta była ściana.

— Ach. Dom pana Morrisa Love'a.

— Tak, proszę pana.

— Pani jest Mamie — odparł, zauważając jej starannie splecione w warkocze włosy i kolorową chustkę przewiazaną wokół głowy jak opaska.

— Tak, proszę pana, jestem Mamie. A pan jest księdzem, którego żona podała dla pana Love'a ten smaczny chleb bananowy.

— Tak! — Był podekscytowany jak dziecko. — Więc miło mi panią poznać, pani...

— Po prostu Mamie — odparła.

— Jest pani pewna, że nie mogę tego zanieść? Byłoby mi bardzo miło.

— Dziękuję, już nawet nie pamiętam, od ilu lat noszę tam ten koszyk. Cóż, mam nadzieję, że przekaże pan żonie, iż pan Love szczególnie zachwycał się tym smakiem cytryny w jej chlebie bananowym.

— Ależ oczywiście, że przekażę. I dziękuję. Dziękuję! — Kobieta pełna życia i o niezłomnym duchu...

Czując się dziwnie wzruszony i zaskakująco szczęśliwy, przyglądał się, jak znika na wydeptanej ścieżce za przerwą w żywopłocie.

Wyglądał jej niecierpliwie, gdy obchodził mur następnego dnia, w środę, ale nie pojawiła się. Zobaczył natomiast małe pranie, rozwieszane równo na sznurku i powiewające z wdziękiem na listopadowym wietrze.

Przyjął ten jakże miły widok jako znak, potwierdzenie, i szedł dalej, modląc się.

Zaplanował swój spacer wokół muru w czwartek na dziewiątą piętnaście, porę, kiedy się spotkali, ale Mamie nie pojawiła się. Widok dymu wydobywającego się z jej komina sprawił mu dziwną przyjemność i zastanawiał się, dlaczego tak bardzo pragnie ją zobaczyć.

Przeszedł do końca alejki i wtedy, gdy skręcał w lewo, obchodząc mur, nagle pojawiła się odpowiedź.

Miał wrażenie, jakby spotkał kogoś, kogo stracił wiele lat temu.

— Timothy, zadzwoń do Harleya, jest u Lew Boyda. Zapisałam numer przy telefonie.

— Jak ci idzie praca nad książką? — zawołał, zaglądając do pracowni w Sound Doctrine.

— Wspaniale! Mam ci coś do pokazania po obiedzie!

Jego żona, która była zaskakująco nieśmiała w kwestii swojej pracy, potrzebowała całych dwóch lat, żeby się otworzyć i rzeczywiście wtajemniczyć go w to, czym się zajmowała. Tak więc zawsze był bardzo zadowolony, gdy...

— Lew! Tim Kavanagh. Jak leci?

— Nieźle, jak tylko uda nam się uruchomić ten samochód pomocy drogowej.

— Harley świetnie się do tego nadaje. Czy jest gdzieś w pobliżu?

— Chwileczkę i zapraszamy do nas, słyszy ojciec?

Usłyszał dźwięk zamykanej kasy; Lew zawołał Harleya; ktoś zapytał, gdzie znajduje się toaleta.

— Harley przy telefonie.

— Harley! Dzwoniłeś?

— Tak, proszę ojca, dzwoniłem. Przełączę się na bezprzewodowy, Lew.

Zakłócenia, szuranie, dźwięk klaksonu.

— OK, jestem w warsztacie, żeby nikt nie słyszał.

Nie chciał żadnych złych wiadomości, zdecydowanie nie...

— Wygląda na to, że znalazłem ojca anioła, tego, który został skradziony.

Rozdział dwudziesty pierwszy

PRAWDZIWE WYZNANIA

— I nie uwierzy ojciec, gdzie jest — rzucił konspiracyjnie Harley.

— Gdzie?

— Widział ojciec ten stary samochód, którym jeździ? Zostawiła go, żeby wymienić w nim płyny, i powiedziała, że niedługo wybiera się w podróż i że chciałaby, żeby był niezawodny. Lew był akurat na poczcie, więc powiedziałem, że w porządku, zajmę się nim.

— Tak, tak.

— Wyszła na ulicę, a ja zacząłem sprawdzać i zobaczyłem, że trzeba dokręcić śruby w jej kołach. Widzi ojciec, miałem jej kluczyki i trochę czasu, żeby to zrobić, i wyglądało na to, że chce, żebym się tym zajął, więc otworzyłem jej bagażnik i podniosłem ten panel w środku, szukając kluczy do kół. Widzi ojciec, po obydwu stronach tego panelu, można powiedzieć, są takie głębokie kieszenie. Zajrzałem po jednej stronie i nie znalazłem klucza, ale było tam coś, co wyglądało na kawałek szmaty wepchniętej do środka. Umierał z ciekawości.

— Wyciągnąłem więc tę szmatę, żeby zajrzeć do środka i, na litość boską, zobaczyłem tego anioła, który stał u ojca na półce nad kominkiem.

Nie będzie formułował pośpiesznych wniosków.

— Wysoki na około pięćdziesiąt centymetrów?

— Tak, proszę ojca. Zrobiony z czegoś, co przypomina brudne złoto.

Brąz.

— Na jakiej podstawie?

— Z marmuru, tak mi się zdawało.

— Jakiego koloru był ten marmur?

— Zielony. A ponieważ nie prosiła mnie wprost, żebym zrobił coś poza wymianą płynów, nie robiłem nic z jej śrubami, gdyż mogłaby się domyślić, że coś znalazłem. Gdy wróciła, powiedziałem tylko: „Proszę pani, trzeba dokręcić śruby w pani kołach”.

Oparł się wygodnie na krześle i czuł, jak mocno bije mu serce.

Wolał działać, niż zostać zaskoczony.

Jeśli Héléne Pringle wyjeżdża do Bostonu, to musi działać szybko.

Oczywiście, nie chciał się koncentrować na tej nieprzyjemnej informacji, gdy po raz czwarty okrążał pokój. Chciał uwolnić swoje serce i umysł od osobistej urazy, aby mógł się modlić z czystym sumieniem.

Boże, pomóż mi, myślał, gdy parkował mustanga z boku Dove Cottage i wyruszał ze swoim psem w kierunku Hastings.

Ernie stał na parkingu z kilkoma rybakami i zawołał go, zapraszając do środka. Nie zatrzymując się, uniósł do góry rękę i pomachał do niego.

— Wracam za chwilę! — zawołał.

Szyby zostały wymienione, boczna ściana odbudowana i poza kilkoma pojedynczymi cegłami, których jeszcze nie uprzętnięto, Książki, Przynęta i Sprzęt Wędkarski wyglądały zupełnie normalnie.

Znajdował się zaledwie kilka metrów od przerwy w murze, gdy Mamie pojawiła się w drzwiach wejściowych swojego domu, niosąc pusty kosz wiklinowy na bieliznę.

— Dzień dobry, Mamie!

— Dzień dobry, ojciec. Jak podoba się ojcu pogoda?

— Och, bardzo. Rześka!

— Mój mąż dobrze napalił dzisiaj rano w kominku. Zapowiadają na jutro mróz.

Gdy wyszła na alejkę i dołączyła do niego, nie mógł już dłużej powstrzymać się przed zadaniem jej tego pytania:

— Mogę zapytać, gdzie odebrałaś wykształcenie?

— W Wirginii — odpowiedziała miękko. — Pan Redmon posłał mnie do szkoły dla młodych panienek ciemnej rasy. Miałam szesnaście lat, gdy wyjechałam z Whitecap, i wróciłam do domu, gdy miałam dwadzieścia.

— Ach — odparł.

Jej dystygowana elegancja była niczym balsam dla jego duszy.

— Pan Redmon miał swoich wrogów, ale nie był złym człowiekiem, ojczy, w ogóle. Dał mojej mamie ten dom.

— Podoba mi się twój dom! — pochwalił go szczerze.

— Pamiętam, jak urodził się pan Morris, rok przed moim wyjazdem do Wirginii. Tak bardzo nie chciałam go zostawiać. Do kilku miesięcy nie był w stanie podnieść głowy i nie potrafił chodzić aż do dwóch i pół roku. Był... wyjątkowy, coś mi to mówiło.

— Jego matka...?

— Jego matka zostawiła swoje dziecko. Nigdy nie potrafiła znieść jego obecności. Miał zapalenie ucha środkowego przez kilka pierwszych lat i często płakał z bólu. Pan Redmon wzywał tu przeróżnych lekarzy, a potem pan Morris został poddany operacji podstawy czaszki. Wydawało się, że jego cierpienie nigdy się nie skończy. Nie, jego matka uciekła i spędziła większość życia w Europie. Razem z drugim synem pana Redmona zginęła w strasznym pożarze. To moja mama opiekowała się panem Morrisem, aż ja wróciłam do domu i zaczęłam pomagać.

— Rozumiem.

— Nie mam pojęcia, dlaczego tu stoję i z ojcem rozmawiam, ufam jedynie, że jest ojciec dobrym człowiekiem. Nie chciałabym, żeby pan Morris wiedział, iż rozmawialiśmy o takich sprawach.

— Nie, to zostanie pomiędzy nami.

— Spędziłam wiele lat, usiłując pomóc w zaleczeniu tej rany, ale jest tylko Jeden, który może uzdrowić.

— Tak.

Spojrzał jej prosto w oczy, znajdując w nich rodzaj schronienia, którego nie potrafił nazwać.

— Jesteś dla Morrisa prawdziwym błogosławieństwem.

— To on jest moim błogosławieństwem. Nawet mi się nie śniło, że zostanę w Whitecap po tym, jak udało mi się zobaczyć trochę świata, ale wróciłam do domu i poślubiłam dobrego człowieka, a potem Bóg zabrał mamę...

— Tak?

— ...zaczęłam wydeptywać ścieżkę przez żywopłot, tak jak ona przez wiele lat.

— Czy żałujesz czasami, Mamie?

— Nie, nie żałuję. Noah i ja wychowaliśmy wspaniałego syna. Jest lekarzem w Filadelfii. Zawsze, gdy przyjeżdża do domu, sprawdza, jak się czuje pan Morris.

Był szczęśliwy, słuchając wszystkiego, co miała mu do powiedzenia ta niezwykła kobieta, czując się zaszczycony w jakiś dziwny sposób, że w ogóle chce z nim rozmawiać.

— Widzę na ojca twarzy, że rozumie ojciec pana Morrisa, to, jak cierpiał.

Nie odpowiedział. Jak mógł zrozumieć?

— Zznał w swoim życiu wiele okrucieństwa. Pan Redmon bardzo dużo od niego wymagał. Proszę jednak spojrzeć na talent, jaki otrzymał. Mama była z tego dumna i ja też jestem.

— Mam nadzieję, że poznam kiedyś twojego męża. Tego lata raz wymieniliśmy pozdrowienia. A gdybyście kiedykolwiek mieli ochotę odwiedzić St. John's, to byłoby nam bardzo miło.

— Razem z Noahem jeździmy do kościoła na łądzie. W Whitecap nigdy nie było zbyt wielu kolorowych. Duży tato Johnson zwykł zabierać nas na łąd w małej łódce rybackiej, później pojawił się prom, a wreszcie most.

— Czy urodziłaś się tutaj?

— Moi ludzie zostali wyrzuceni na brzeg jak drewno ze starych statków. Wydaje się nam, że nasz rozbił się około tysiąc osiemset sześćdziesiątego roku.

— Zatrzymałem cię zbyt długo, Mamie, przepraszam. Jesteś interesującą i dystygowaną damą i rozmowa z tobą to prawdziwy przywilej.

— Tak mi było przykro, że Morris nie miał was czym poczęstować, gdy odwiedził go ojciec z rodziną. Miałam mu zrobić zakupy następnego dnia, a w piekarniku nie można było podgrzać tego, co mieliśmy pod ręką.

— Z Jego łaski mieliśmy ucztę i również strawę dla duszy!

— Mam nadzieję, że jeszcze się spotkamy — pożegnała się, stając na ścieżce z koszem na bieliznę.

— Niech Bóg będzie z tobą! — zawołał za nią. Odwróciła się i spojrzała na niego.

— I z duchem twoim! — odparła, cytując modlitewnik. — Ta szkoła, do której chodziłam w Wirginii, była szkołą episkopalną.

Uśmiechnęła się, znowu odwróciła i zniknęła na ścieżce.

— Nie wiesz, kiedy wyjeżdża?

— Nie.

— Każ wydać nakaz rewizji — powiedział jego kuzyn.

— Co?

— Natychmiast.

— Ale...

Hélène Pringle w więzieniu? Ta łagodna drobna kobieta, która siedząc na krześle, nie dotykała stopami ziemi?

— Zadzwoń do swojego miejscowego szefa policji, tego gościa, z którym jesteś tak zaprzyjaźniony, i opisz anioła. Powiedz mu, żeby przeszukał bagażnik jej samochodu. Jeśli nie będzie go w samochodzie, przeszukają dom. Mówiłeś mi, że anioł jest dość wartościowy?

— Zgaduję, że jakieś trzy, może nawet cztery tysiące dolarów.

— Możesz sprawić, że zostanie aresztowana za kradzież, nie wspominając o kradzieży z włamaniem. To w obydwu przypadkach ciężkie przestępstwo. Jeśli zostanie skazana, to na podstawie każdego z paragrafów mówimy o wyroku do dziesięciu lat łącznie. Istnieje szansa, że uda jej się wybronić i dostać trzy lata za każde ciężkie przestępstwo, ale dla nauczyciela gry na pianinie to bardzo długi okres.

Odłożył słuchawkę zasmucony tym ponurym rozwojem wypadków.

Porozmawia o tym z Cynthią dzisiaj wieczorem i pomodlą się w tej sprawie, a rano podejmą decyzję odnośnie do nakazu rewizji. Nigdy nie przyczynił się do aresztowania nikogo, a na pewno nie kobiety, ale czy to było w tym wszystkim najważniejsze? Czyż nie chodziło tutaj o pieniądze, niesłusznie wydobyte z kiesy Domu Nadziei? Gdyby nie skrupulatna oszczędność panny Sadie i jej przezorne inwestycje, mogłoby nie być żadnych pieniędzy. Czy to nie miało żadnego znaczenia?

Zdał sobie sprawę, że po raz kolejny siedzi z głową schowaną w dłoniach.

Bez względu na to, co przyniesie ranek, nie może i za nic w świecie nie zrezygnuje ze swojej piątej przechadzki wokół muru.

Zadzwoił do Rodneya Underwooda do domu o ósmej rano.

— Rodney, mam dla ciebie nieprzyjemne zadanie.

— Nie wydaje mi się, żeby mogło to być coś tak skomplikowanego jak człowiek na poddaszu; chyba już nigdy nie przytrafi mi się nic takiego.

Rodney mówił o złodzieju klejnotów, który mieszkał na strychu w Lord's Chapel aż do chwili, gdy oddał się w ręce władz lokalnych podczas porannego nabożeństwa w niedzielę.

— Chciałbym, żebyś wydał nakaz rewizji mojego domu. Mam powody, żeby przypuszczać, iż moja lokatorka ukradła anioła.

Słowa, które wymówił, zmroziły mu krew w żyłach. Mówił rzeczy, których już się nie da cofnąć.

— Bez jej wiedzy Harley Welch znalazł anioła w bagażniku jej samochodu, podczas naprawy u Lew Boyda.

— Jesteś pewien, że to ten sam? Czy podał ci szczegółowy opis?

— Tak. Wysoki na około pięćdziesiąt centymetrów, z brązu, podstawa z zielonego marmuru.

— Chciałbyś, żebyśmy przeszukali tylko samochód, czy oczekujesz od nas, że wydamy też nakaz rewizji domu?

— I jedno, i drugie, na wszelki wypadek.

— Wystawienie nakazu rewizji zajmie trochę czasu. Ale osobiście tego dopilnuję, w tej chwili.

— Co się stanie, gdy znajdziecie statuetkę?

— Aresztujemy twoją lokatorkę, prześlemy do sędziego pokoju w Wesley. Zatrzymają ją prawdopodobnie na dwanaście godzin, dopóki nie sprawdzimy odcisków palców na statuetce, nie zrobimy zdjęć i tak dalej.

— Na statuetce...

— Tak, na statuetce. Zadzwoił do Waltera.

— Nie sprawiło mi to żadnej przyjemności, ale mam to już za sobą.

— Dobrze. Gdy już będą mieć anioła w swoich rękach, daj mi znać, a zadzwonię do jej prawnika.

Prawdę powiedziawszy, robił tylko to, co przewidywało prawo, ale czuł się z tego powodu dosłownie słabo. Tak samo Cynthia. Co dziwne, podjęcie kroków prawnych wobec bezprawnego czynu sprawiło, że obydwójce poczuli się jak kryminaliści.

Dzisiaj rano nie chciał zobaczyć Mamie ani nikogo innego. Spuścił głowę i szedł szybko, koncentrując myśli i serce wyłącznie na Morrisie Love i wyrazie jego twarzy, gdy wypraszał go z Nouvelle Chanson, być może po raz ostatni.

Nie będzie błagał dzisiaj Boga, aby uzdrowił, aby odnowił, aby przeistoczył. Będzie błagał go tylko o to, żeby pobłogosławił.

Modlił się cicho.

„Pobłogosław, Boże, talent, który mu dałeś, aby wykorzystywał go na Twoją chwałę, pobłogosław jego duszę, która łaknie Ciebie, a mimo to nie pozwala Ci wejść, pobłogosław śmiech, który tam na pewno jest, śmiech, który mieszkał w nim przez te wszystkie lata, pragnąc się uwolnić, pragnąc się wydostać na zewnątrz i stać się błogosławieństwem dla innych...”

Śmiech Morrisa Love'a — to byłby cud, pomyślał i przypomniał sobie, jak się modlił, żeby kiedyś mógł usłyszeć, jak śmieje się Dooley Barlowe. Ta modlitwa została wysłuchana. Uśmiechnął się na myśl o szalonym chichocie Dooleya.

„Dziękuję Ci, Panie, za to, że pobłogosławiłeś Morrisa bystrym i sprawnym umysłem, i dociekliwym intelektem, i duszą zdolną tworzyć majestatyczną muzykę, która żarliwie wielbi Stwórcę. Dziękuję Ci za to, że pobłogosławiłeś Morrisa Mamie, która spośród tych wszystkich, którzy mieli tę wspaniałą możliwość, by go kochać, jako jedyna zapragnęła go kochać i służyć mu w Twoim imieniu”.

Na twarzy czuł zimne łzy.

„Panie, błogosław go dzisiaj, gdy będzie siedział przy swoich organach, gdy będzie się dzielił chlebem z Mamie, gdy będzie wyglądał przez okno na świat, który go zdradził i który on teraz zdradza. Gdy będzie się kładł do snu, obdarz go swoim świętym pokojem. Gdy wstanie, obdarz go nadzieją. Gdy będzie myślał, obdarz go swoimi własnymi szlachetnymi myślami.

Teraz, Ojcze, błogosławię Cię — i wielbię Cię, i dziękuję Ci za to, że wysłuchałeś mojej modlitwy, przez Chrystusa naszego Pana, który został nam ofiarowany, abyśmy mogli otrzymać nowe życie. Amen”.

Szedł dalej.

— Sprawa załatwiona — poinformował go Rodney głosem, który brzmiał zupełnie obco.

— Jak... poszło?

— Znaleźliśmy twojego anioła w samochodzie, jak mówiłeś, ale twoja lokatorka bardzo źle to zniosła... — Rodney odchrząknął.

— Źle to zniosła?

— Jeszcze nigdy nie widziałem, żeby ktoś tak płakał, załamywała dłonie. Było nam bardzo przykro, że musieliśmy to robić.

— Co zrobiliście?

— Zabraliśmy ją do sędziego pokoju i zatrzymali ją tam, aż wszystko zostanie dopięte, odciski, raporty i tak dalej.

— I co wtedy? — chciał wiedzieć.

— Wygląda na to, że oskarżą ją o kradzież z włamaniem, kradzież i posiadanie skradzionych przedmiotów.

Potrząsnął głową w nadziei, że będzie mógł jaśniej myśleć.

— Na podstawie dowodów sędzia wyda nakaz aresztowania i będzie musiała wpłacić kaucję. Za dwa, trzy tygodnie będzie się musiała stawić przed sędzią okręgowym i w zależności od wyniku rada przysięgłych wysłucha dowodów stanowych, co może doprowadzić ją do Sądu Najwyższego.

— A jeśli wyjedzie do Bostonu?

— Może jechać gdzie chce, jeśli tylko stawi się na wezwanie sądu.

— A jeśli się nie stawi? — Wolał wiedzieć, jak się przedstawia najgorszy scenariusz.

— Wydadzą nakaz aresztowania plus decyzję o konfiskacie kaucji.

— Innymi słowy, nie będzie chciała tego zrobić. Hélène Pringle ścigana i prześladowana...

— Nikt, kto ma chociaż odrobinę zdrowego rozumu, nie chciałby tego zrobić.

Wystarczy. Dłużej już nie może tego słuchać, jest strzępką nerwów, niech Walter się tym zajmie.

Przed nabożeństwem o dziesiątej rano obejdzie mur po raz szósty a w poniedziałek — po raz siódmy z rzędu. Wtedy spełni zadania, które powierzył mu Bóg.

— Na zawsze w niewoli Chrystusa! — powtórzył za świętym Pawłem. Dzięki Bogu, że nikt się nie domyśla, co robi; dla świata spaceruje ze swoim psem, zażywa ruchu na świeżym powietrzu, robi sobie masaż serca.

Niedziela wieczorem nad zatoką Sound.

Całkiem niezłe życie, myślał, siedząc na sofie i trzymając dłoń żony. Udało mu się w końcu odkryć, jak działa telewizor i który z kilku pilotów jest do tego potrzebny. Oglądali obecnie Discovery Chanel.

— Uch — jęknęła jego żona, gdy lew zanurzał głowę w zabitym zwierzęciu — tylko się wzajemnie zjadają.

— Takie jest życie — ocenił w chwili, gdy zadzwonił telefon. Wyłączył odgłosy afrykańskiej puszczki.

— Proszę!

— Ojciec Kavanagh? Hélène Pringle.

— Tak bardzo chciałam z ojcem porozmawiać.

Miał wrażenie, że zadrżała mu ręka, w której trzymał słuchawkę.

— Ja też chciałbym z panią porozmawiać, panno Pringle.

— Nie mogę już tak dłużej, mam tyle do wyznania, tyle do ujawnienia, to... — przerwała. — To ponad moje siły.

Usłyszał ogromny ból w jej głosie.

— Dałabym wszystko, żeby móc z ojcem porozmawiać osobiście — powiedziała — ale...

— Chwileczkę, panno Pringle.

Zasłonił ręką mikrofon i szybko analizował swoje obowiązki na miejscu — spotkanie rady parafialnej z Sewellem Joinerem, Sam może się tym zająć, mogliby pojechać do Mitford i wrócić do domu rano w dniu Festynu Jesiennego...

— Chcesz pojechać do Mitford? — zapytał żonę.

— Jesteśmy spakowani! — odparła, promieniejąc. Obejdzie jutro mur siedem razy z samego rana — będą w samochodzie o dziesiątej, a w Mitford o ósmej w poniedziałek wieczorem.

— Panno Pringle, spotkamy się u pani we wtorek rano o jedenastej. Czy to pani odpowiada?

Panna Pringle płakała cicho i — zakładał — nie była w stanie się odezwać.

— Proszę się nie spieszyć — uspokoił ją. — Mój czas należy do pani.

Robił właśnie czwarte okrążenie, gdy nagle Mamie pojawiła się na ścieżce z Nouvelle Chanson, zaskakując go.

— Ach, Mamie!

Roześmiała się swobodnie, a jej oddech zamienił się na powietrzu w obłoczek pary.

— Idę do domu po majonez. Pan Morris prawie nigdy go nie jada, ale dzisiaj rano ma ochotę na odrobinę majonezu na grillowanym serze.

Zdawało się to bardzo ją cieszyć.

— Mamie, zastanawiałem się, czy któregoś dnia mógłbym odzyskać rower mojej żony. Nie wydaje mi się, żeby Morris chciał, abym zgłosił się po niego osobiście.

Jej oczy powiedziały mu, że rozumie.

— Mogę go tu przyprowadzić w każdej chwili.

— Będę z powrotem za... powiedzmy... — zostało mu jeszcze trzy i pół okrążenia — dwadzieścia, trzydzieści minut? Czy to ci odpowiada?

— W porządku — zgodziła się. — Jak najbardziej.

— Mogłabyś go zostawić tam, na ścieżce, gdzie nikt nie będzie go widział. Byłbym wdzięczny.

— Kiedyś jeździłam na rowerze — był ładnego zielonego koloru z małym dzwonkiem.

Uwielbiałam swój rower.

— W każdej chwili możesz pożyczyć ten — zaproponował.

Kiedy wjeżdżali do Mitford o ósmej piętnaście, wydawało mu się, że widzi je zupełnie innymi oczami. Mimo iż było otulone mgłą, znajome widoki wydawały się zupełnie nowe i oryginalne, nieomal egzotyczne w jego oczach. Światła migotały na wystawach sklepowych, lampy uliczne jaśniały w gęstej mgle, okno wystawowe Dory Pugh ozdobione było dyniami i snopkami pędów kukurydzy.

— Kocham nasze miasto — wyznał żonie, rozglądając się dookoła jak dziecko.

Barnaba rozpląszczył nos na tylnej szybie; nawet Violet stojąc na kolanach Cynthii i opierając przednie łapy na oknie, przyglądała się uważnie Main Street.

Zdał sobie sprawę, że uśmiecha się od ucha do ucha, ale gdy zobaczył różowy neon Fancy Skinner nad cukiernią Sweet Stuff, roześmiał się na głos.

Gdy dotarli do żółtego domku, włączyli światła i Harley dostarczył im blaszkę ciastek czekoladowych z orzechami, było już zbyt późno, żeby odwiedzić znajomych w Mitford. Puny, którą uprzedzili o tym, że wybierają się do domu, zaopatrzyła ich lodówkę w piezonego kurczaka, sałatkę ziemniaczaną i auszpik pomidorowy. Rzucili się na to wszystko, jakby nie jedli od tygodnia.

Przebrali się następnie w coś, co od dziecka nauczył się nazywać „nocnym strojem”, i wędrowali po domu, widząc go na nowo, ciesząc się jego widokiem.

— Timothy! — wykrzyknęła jego żona. — Czy ten obraz nie wygląda wręcz idealnie nad tym szarozielonym flakonem?

— Na pewno tak uważałaś, gdy go tu wieszalaś — ocenił rozbawiony.

— Kocham nasz dom, Timothy.

— Ja też.

Opadł na fotel przy biurku i przeglądał od niechcenia szuflady.

— Jak myślisz, co powie jutro?

— Nie mam pojęcia, nie wiem. Nie sędzę, że zadzwoniłaby, nie zamierzając się pogodzić. I mówiła o wyznaniu...

— Tak mi żal panny Pringle.

Spojrzał przez okno w pracowni w kierunku swojego domu, gdzie — przez żywopłot — zobaczył palące się słabo światło w kuchni.

— I mnie też — powtórzył. — I mnie też.

„Lekcje gry na pianinie”, przeczytał na biało-czarnej tabliczce umieszczonej w trawie przy frontowej ścieżce, „Wiadomość na miejscu”.

Hélène Pringle stała na środku salonu w jego domu i patrzyła na niego. Miała oczy czerwone od płaczu i błagalny wyraz twarzy. Ubrana była prosto, w dość długą suknię i wyciągnięty szary kardigan, nie miała na sobie żadnej biżuterii ani wymyślnych ozdób. Włosy zczesła surowo do tyłu, jakby właśnie zamoczyła grzebień w wodzie, i spięła w kok.

— Nie umiem ojcu powiedzieć, jak bardzo mi przykro... i błagam o przebaczenie.

Poczuł się potwornie, widząc, jak załamuje ręce, gdy wypowiadała te słowa.

— Przebaczam pani — zapewnił ją szczerze.

— Proszę usiąść, ojczu. Mam do opowiedzenia długą historię. Mam nadzieję, że nigdzie się ojciec nie śpieszy.

— W ogóle się nie śpieszę.

Nawet jeśli w czasie tej wizyty nie uda mu się zrobić nic innego, nie będzie niezadowolony. Rozglądając się za Barbizonem, ale nie dostrzegając nigdzie tego wyrosniętego mopa, usiadł na fotelu, z przyjemnością odczuwając jego wygodę.

— Przypuszczam, że powinnam zaproponować ojcu kawę albo herbatę — zauważyła, nadal stojąc.

— Nie, proszę, panno Pringle, niczego nie chcę. Dziękuję. Widok jej ogromnego zdenerwowania sprawiał mu, nie wiadomo dlaczego, ogromny ból.

— Proszę — powtórzył, uśmiechając się.

Usiadła na sofie i spojrzała na złożone na kolanach dłonie.

— W takim razie pozwoli ojciec, że zacznę — powiedziała — od początku.

Zauważył ze zdziwieniem, że z największą trudnością rozpoznaje pokój, który był częścią jego życia przez ponad szesnaście lat.

— Z mojego dzieciństwa mam dwa bardzo wyraźne wspomnienia — rozpoczęła, mówiąc ledwie słyszalnym szeptem. — Nikt nigdy nie chciał uwierzyć, że mogę pamiętać to pierwsze, ponieważ byłam wtedy zaledwie niemowlakiem, jeszcze w wózku. Zostałam wywieziona na trawnik i pozostawiona pod drzewem, i pamiętam tak żywo kolor liści nade mną, prawie... pistacjowy. Może raz albo dwa razy w życiu udało mi się jeszcze potem zobaczyć tak łagodny i delikatny odcień zieleni. Nigdy nie zapomnę tej misternej koronki, jaką tworzyły liście, i migotania tego cudownego koloru, gdy tańczyły na wietrze.

Podniosła wzrok znad swoich dłoni i nagle rozpoznał coś odlegle znajomego w Hélène Pringle, ale nie potrafił powiedzieć co.

— Tym drugim wspomnieniem, które zawsze będzie mi towarzyszyć, to gdy *ma grandmère* spojrzała na mnie, kiedy leżałam w moim malutkim łóżeczku w jej wiejskim domku w Barbizon. Byłam bardzo chora i później jako dorosła osoba myślałam, że cały ten straszny epizod mógł być jedynie wytworem rozgorączkowanego umysłu, ale nie był. Mogłam mieć wtedy trzy lata. Na głowie miała swój koronkowy czepek i wykończenie koronki przypominało mi poszarpane brzegi rozbitej szklanki. Widziałam każdą zmarszczkę na jej twarzy; nagle wydała mi się przerażająco, przerażająco straszna. Ale byłam jak zauroczona i nie potrafiłam odwrócić wzroku. „Nie masz — powiedziała — ojca. Mam nadzieję, że jesteś zadowolona z tej wiadomości, *ma petite chère*”. Potem dotknęła mojej piersi swoim palcem o długim i ostrym paznokciu, a ja płakałam z ogromnego strachu, który nagle poczułam przed moją babcią Héléne.

Nigdy nie pragnął zdolności odczuwania w tak dojmujący sposób bólu innych, ale posiadał ją, miał ją od zawsze i nie było na to żadnego ratunku. Być może i tak niewiele by to zmieniło, ponieważ razem z tym darem empatii otrzymał umiejętność doświadczenia własnego bólu.

— Rozumiem — odparł.

Spojrzała teraz na niego z pewnym spokojem.

— W wieku dziewiętnastu lat moja matka, Françoise, wyjechała do Paryża i zamieszkała ze swoją Tante Brigitte. Tante Brigitte była siostrą mojego dziadka i osobą wysoce nieostrożną. Była zdecydowanie nieodpowiednią opiekunką dla mojej pięknej i niewinnej matki. Wydaje mi się, ojcze, że ciocie i wujkowie nie zawsze podchodzą do swoich obowiązków tak odpowiedzialnie jak powinni.

Zauważył na jej twarzy ślad dawnej goryczy, gdy to mówiła.

— Zawsze uważałam, że Tante Brigitte spiskowała, żeby przedstawić moją mamę... — Ponownie spojrzała na swoje ręce.

— Josiahowi Baxterowi?

— Tak. Był bardzo zamożny i miał tyle lat, że mógłby być dziadkiem mojej mamy.

— Ach — westchnął.

— Nawet ojciec nie wie, jak ogromny ból sprawia mi mówienie o tych sprawach, które przez tak wiele lat smuciły moje serce, przed nikim nie wyjawione.

Płakała cicho, przykładając do oczu chusteczkę i odsuwając ją dopiero po chwili.

— *Pardon, j'en suis désolée!* — zawołała w końcu. — Przepraszam, że straciłam nad sobą panowanie.

— Ależ nic się nie stało.

— Pan Baxter... sprowadził wiele kosztownych rzeczy do mieszkania w Paryżu — obrazy, rzeźby, piękne przedmioty... moja mama pamięta nieduże, ręcznie rzeźbione krzesło z gobelinową poduszką...

Widział takie krzesło w sypialni panny Sadie; w ostatniej minucie ich negocjacji w Fernbank Andrew Gregory kupił je razem z wieloma innymi sprzętami i bielizną stołową.

— I wszystkie te piękne rzeczy zostały wysłane statkiem do jego domu w Ameryce. Przychodzili po nie mężczyźni i pakowali je do skrzyń, a potem wysyłali w długą podróż za morze, do miejsca, którego moja mama miała nigdy nie poznać i nie zobaczyć. Nie chciałabym sprawić wrażenia, że nigdy nie dawał żadnych upominków mojej mamie. Dostała od niego piękną biżuterię, która już dawno zniknęła, sprzedana, by pokryć koszty mojej edukacji. I regularnie dawał pieniądze Tante Brigitte na prowadzenie domu. Coś w niej... tak znajomego...

— Pewnego dnia pan Baxter...

Zauważył, że wymawia jego imię z trudnością, robiąc krótki oddech przed jego wypowiedzeniem.

— ...przyniósł mojej mamie anioła. Mówiła mi, że powiedział: „Oto, mój gołąbku, coś, co będzie nad tobą czuwało podczas mojej nieobecności”. Wyjął następnie mały klucz z kamizelki i podał go jej. „Odemknij tę małą skrytkę w podstawie anioła” — poprosił. Moja mama przyjrzała się bardzo uważnie podstawie anioła, ale nie mogła znaleźć dziurki na klucz. Wziął wtedy od niej klucz i położył anioła na boku...

Hélène Pringle siedziała przez chwilę nieruchomo jak posąg. Wyczuł, że słyszała tę opowieść wiele razy; patrzyła na niego niewidzącymi oczami, przed którymi rozgrywał się film, jaki sama stworzyła ze wspomnień swojej mamy.

— ...i wysunął spód, który wydawał się jedynie kawałkiem sukna zabezpieczającego przed zarysowaniem meble, na których postawiono by statuetkę. Tuż przy krawędzi marmurowej podstawy znajdowała się malutka dziurka na klucz.

— Ach — powiedział.

— Pan Baxter przekreślił mały kluczyk w dziurce i na rękę wypadł mu spód podstawy, cienka marmurowa płytką. „Teraz — polecił mojej mamie — zagłębij do środka”. Zajrzała do środka i znalazła dwa kawałki papieru, zwinięte wielokrotnie. „Najpierw otwórz ten” — powiedział jej, a ona go posłuchała. To był jego testament, napisany własnoręcznie i po francusku, chociaż prawie w ogóle nie mówił i nie pisał po francusku. Poprosił francuskiego prawnika, żeby przetłumaczył treść dokumentu na język mojej matki, a on skopiował go w bardzo niezręczny i ciężki sposób. Testament stwierdzał, że z chwilą jego śmierci zapisuje jedną trzecią swojego majątku mojej mamie.

Hélène Pringle wzięła głęboki oddech i kontynuowała opowieść.

— Na końcu napisał po angielsku: „To jest kodycył do mojej ostatniej woli i testamentu, który znajduje się w pieczy mojego prawnika, Williama Perry'ego z Filadelfii w stanie Pensylwania”. Był przez niego podpisany i opatrzony datą czternastego kwietnia tysiąc dziewięćset czterdziestego siódmego roku. Powiedział jej, że wraca do Ameryki z kopią testamentu dla jego prawnika. Mama opowiadała mi, że czuła dziwny rodzaj radości i zachwytu, a jednocześnie złowieszcze poczucie strachu. Wyciągnęła wtedy drugi kawałek papieru. Był to... list miłosny. Mam nadzieję, że będzie go mógł ojciec kiedyś przeczytać.

Siedziała znowu z chusteczką przyciśniętą do oczu, nie wydając z siebie żadnego dźwięku.

— Potem — kontynuowała, patrząc na niego — wszystko zostało na powrót umieszczone w marmurowej podstawie, kluczyk został przekreślony w zamku, a mała płytką ze spodem z sukna wsunięta na miejsce. Wtedy pan Baxter wsunął kluczyk do kieszeni sukienki mojej mamy i pożegnał się z nią do swojej następnej wizyty, jak przypuszczał, latem, w lipcu. Tego popołudnia przyszli mężczyźni, żeby zapakować do skrzyń przedmioty, które kupił do swojego domu w Ameryce, i Tante Brigitte powiedziała im, co mają zapakować, a co ma zostać. Tak się zdarzyło, że anioł został zapakowany, zabrany i umieszczony na statku do Ameryki...

Zobaczył wyraz bólu na jej twarzy, jakby to się stało zaledwie wczoraj albo tydzień temu i było tak samo realne dla niej, jak ten pokój, w którym teraz siedzi.

— Tante Brigitte wysłała do portu mężczyznę, żeby poszukał skrzynki, ale statek już odpłynął.

Wstała z sofj i obeszła pokój, niespokojna i zdenerwowana, potem stanęła przy oknie, rozsunała gładkie żaluzje i wyjrzała na ulicę.

Czekał przytłoczony ogromem jej smutku. Odwróciła się, podeszła znowu do sofj i usiadła.

— Nigdy nie wrócił do Paryża. Przypomina sobie ojciec, że testament opatrzony był datą jego wyjazdu, czternastego kwietnia tysiąc dziewięćset czterdziestego siódmego roku. Urodziłam się dwunastego grudnia tysiąc dziewięćset czterdziestego siódmego roku.

Wydawało się, że pokój został zamknięty w kapsule czasu. Zapadła absolutna cisza. Nie słyszał tykania zegara ani przejeżdżającego ulicą samochodu; słyszał jedynie bicie własnego serca.

— Gdy nie przyjechał w lipcu, moja mama wysłała list do jego tartaku w pobliżu Mitford, ale nie dostała żadnej odpowiedzi. Kilka tygodni po moich narodzinach wysłano kolejny list. Dwa miesiące później został do nas odesłany, nie otwarty i z pieczętką: „Adresat nie żyje”. Tante Brigitte napisała list do szefa tartaku Baxter Lumber Company, wierząc, że uda się jej w jakiś sposób odzyskać pieniądze, i on też został odesłany z odręcznym napisem na kopercie: „Firma nie istnieje”. Wiele lat później rozmyślałam nad tymi zwróconymi kopertami, zastanawiając się nad słowami „nie żyje” i „firma nie istnieje”, i ich bolesną ostatecznością. Moja rodzina straciła wszelką nadzieję na jakikolwiek kontakt z moim... z amerykańskim gościem małego mieszkania w Paryżu. Moja ciocia nie była zupełnie biedna, ojciec, ale posiadała ograniczone środki i nie miałyśmy żadnego przyjaciela rodziny czy też prawnika, na którego można byłoby liczyć. Odesłała moją mamę do domu do Barbizon z siedmiomiesięcznym dzieckiem, gdzie zamieszkałyśmy z moją *grandmère*.

Nastąpiła długa chwila ciszy, podczas której Hélène Pringle wpatrywała się w pianino, jakby mogło zawierać długo poszukiwaną odpowiedź.

— Być może, aby zrekompensować jakoś ten straszny rozwój wypadków w sprawach rodzinnych, *grandmère* Hélène stworzyła spuściznę goryczy i nienawiści, której mam nadzieję już nigdy nie zaznać w tym życiu. Gorycz i nienawiść, ojciec, są zaraźliwe, czy wie ojciec o tym?

— Wiem.

— Zaraziła moją mamę tą nienawiścią i ja też nie oparłam się temu jadowi. Było to tak, jakbyśmy... jakbyśmy pomiędzy sobą skomponowały trującą liturgię i nabożnie recytowałyśmy ją dzień po dniu. Przerosła rzeczywisty świat. Skupiłyśmy się całkowicie na goryczy i gniewie odczuwanym wobec mojego ojca i jego pieniędzy, i jego pięknego amerykańskiego domu, który nazywał się Fernbank, i jego zmarłej żony, którą nazywał piękną i uwielbianą przez niego Sadie, i tego, że miała kogoś, kto nazywał się China Mae, żeby jej służył i robił jej pranie, i plótł jej włosy. Moja babcia zaczynała swoje wyliczanie z momentem nadejścia jej tacy ze śniadaniem, opowiadając mi, jak to moja mama nie miała nigdy *le courage*, *le cran*, *le culot*, żeby doprowadzić sprawę do ostatecznego finału, żeby zażądać swojej części, bez względu na wysiłek, jakiego by to wymagało, nawet jeśli oznaczało to podróż do Ameryki i szukanie tej rzeczy, która zawierała całą naszą przyszłość. Moja mama była kiedyś piękną kobietą, ale poświęciła swoją urodę dla goryczy i smutku. Czy rozumie to ojciec?

— Tak — odparł. — Widziałem, jak się to dzieje.

— Ja nigdy... nie byłam piękna. Zastanawiam się, jak mogłam się urodzić komuś tak ślicznemu, podczas gdy ja...

Odwróciła wzrok.

— Podczas gdy pani była? — zapytał.

— Niska i zwyczajna jak mój ojciec.

Po prostu zwykła Sadie... Ta myśl przyszła mu do głowy znienacka. Tak właśnie panna Sadie często opisywała samą siebie. Po prostu zwykła Sadie, której stopy — gdy siedziała na dwuosobowej kanapie w Fernbank — nie dotykały podłogi. Oczywiście. To właśnie tę znajomą cechę rozpoznał w zagubionej i samotnej kobiecie, która przybyła tu w poszukiwaniu, jak wierzyła, szczęśliwej gwiazdy.

— Przez te lata stworzyłam sobie obraz ojca na podstawie poglądów mojej babci na temat jego niegodziwego i rozpustnego postępowania, jego rozmyślnego zlekceważenia obowiązku i jego ogromnego, egoistycznego bogactwa. Stał się dla mnie potworem, a mimo to nie umiem powiedzieć, jak bardzo pragnęłam go pokochać, chociaż troszeczkę, chociaż odrobinę, ale nie mogłam.

Nie podobał mu się popielaty wygląd jej twarzy.

— Czy miałyby pani ochotę napić się odrobinę wody, panno Pringle?

— *Non, merci*. Ale z drugiej strony, tak, byłoby...

— Wiem, gdzie jest — rzucił, śpiesząc do kuchni.

Zdał sobie sprawę, że znowu potrząsa głową, jakby chciał pozbyć się otulającej ją waty i zrozumieć to, czego właśnie słuchał. Jego kuchnia wydawała mu się obca, jakby znalazł się w niej po raz pierwszy. „Panie — modlił się — spraw, aby nad tym domem zapanował spokój...”.

Wyjął szklanekę z szafki i odkręcił na chwilę kurek, napełnił szklanekę i przeszedł korytarzem do salonu. „I pobłogosław tę kobietę w sposób, który nawet nie przychodzi mi do głowy...”.

— Proszę — powiedział, gdy piła wodę.

Wziął od niej szklanekę, jakby był pielęgniarzką, wrócił do swojego fotela i usiadł ponownie, trzymając szklanekę w dłoni.

— Zanim moja babcia zmarła czternaście lat temu, stwierdziła, że podróż do Mitford byłaby zupełnie sensownym przedsięwzięciem. Wierzyła, że anioł zostałby znaleziony na czyjejś półce nad kominkiem, gotowy, żeby go wziąć.

— I tak było — powiedział delikatnie.

— Postanowiłam, że zrobię to dla mojej matki, która, przy okazji, poślubiła Alberta Pringle'a i wyjechała do Bostonu, mniej więcej w czasie, gdy ja skończyłam college. Byli małżeństwem przez siedem lat, zanim on zmarł na zapalenie płuc. To był wspaniały człowiek. Przyjęłam jego nazwisko z wdzięczności za jego dobroć. Wydaje mi się, że pomógł uwolnić moją mamę od części gniewu. Stała się znowu prawie... prawie miła i tak często słyszałam, jak się śmieje z Albertem.

— Ach.

— Zawsze kochałam moją matkę, nawet gdy jej nienawiść oddalała nas od siebie raz po raz. Rok temu, gdy nasza sytuacja finansowa... tak bardzo się pogorszyła, obiecałam jej, że pojedę do Mitford. Nie powiedziałam, że będę szukała anioła, ojciec, powiedziałam jej, że pojedę do Mitford i że go znajdę.

— Podziwiam pani szczerść, panno Pringle.

— Nie mogłam uwierzyć w swoje szczęście, gdy odkryłam, że ojciec i panna Sadie byliście bliskimi przyjaciółmi i że ojca stary dom był do wynajęcia, tuż obok ojca nowego domu. Wierzyłam wtedy całym sercem, że zostałam posłana z misją, która... która odkupi cały ten żal w jakiś sposób.

Znowu spojrzała na dłonie.

— Z misją?

— Tak, nie wiem zbyt wiele o Bogu, ojczyźnie, to ojca domena, ale czułam w jakiś dziwny sposób, że Bóg miał swój udział w moim przybyciu tutaj. Mam nadzieję, że nie uważa ojciec, że to impertynencja z mojej strony.

— Nie, panno Pringle, wcale nie uważam, że to impertynencja.

— Przypuszczam, że zastanawiał się ojciec, dlaczego przywożę swoje meble i rozpoczynam lekcje gry na pianinie, skoro chcę wynająć dom za ledwie na sześć miesięcy.

— Tak, rzeczywiście przyszło mi to do głowy.

— Chciałam... niechaj wolno będzie mi powiedzieć, że przez całe moje życie, od wczesnego dzieciństwa, odczuwałam potrzebę nowego startu, rozpoczęcia wszystkiego od nowa. Przyjechałam tutaj, żeby znaleźć anioła, ale głęboko w środku miałam również nadzieję, że znajdę i to. Przyjechałam, myśląc, że być może Mitford może zostać... — Westchnęła i wolno potrząsnęła głową. — Ja jednak spędziłam swoje życie, pragnąc wymierzenia kary — być może ktoś taki jak ja nie może zacząć wszystkiego od nowa.

— Zawsze można zacząć wszystko od nowa — zapewnił ją. — A co się dzieje z pani matką? Jak ona sobie radzi?

— Moja mama jest w domu opieki, pod Bostonem. Pod względem umysłowym jest sprawniejsza ode mnie, ale różne problemy zdrowotne sprawiają, że wymaga opieki, której ja nie mogę jej zapewnić. Albert zostawił nam trochę pieniędzy i ja radziłam sobie całkiem nieźle z moimi lekcjami gry na pianinie, ale...

Zobaczył, jak wiele ją to kosztuje, jak wiele kosztowałoby każdego zrelacjonowanie całej spuścizny cierpienia i poczucia krzywdy.

— Przepraszam — odezwała się — straciłam chyba wątek.

— Proszę wziąć głęboki oddech — poradził. — Odpocznijmy przez chwilę, dobrze?

— Odpocznijmy?

Tak! Przez jedną ulotną chwilę wydawało mu się, że zobaczył pannę Sadie w twarzy Héliene Pringle.

— Och, nie, ojczyźnie, nie mogę odpocząć, dopóki nie opowiem ojcu wszystkiego.

Kiwnął głową.

— Byłam bardzo odważna, gdy zaglądnęłam wtedy przez ojca okno. Położyłam jedną cegłę na drugiej. Czy może sobie ojciec wyobrazić moją wielką radość i konsternację, gdy zaglądnęłam do ojca ślicznego, skapanego w słońcu pokoju i dostrzegłam anioła?

Kiwnął głową.

— Był dokładnie tam, gdzie moja babcia twierdziła, że będzie.

Oniemiałam. Nie zdawałam sobie sprawy, że mogłabym... ukraść coś, co w pewnym sensie do mnie nie należy, ale co w zupełnie innym sensie jest moje.

— Tak — zgodził się. Prawdziwy galimatias.

— Być może oszukiwałam się, że jeśli go znajdę, to będę mogła go kupić albo... Przypuszczam, że nigdy nie przemyślałam tego do końca. I tak zaczęłam obserwować ojca gospodynię, jak przychodzi i wychodzi, i pewnego popołudnia zauważyłam, że wychodząc, nie zamknęła drzwi na klucz. O zmierzchu przeszłam ukradkiem do ojca domu i weszłam do środka. Poruszałam się bezszelestnie i wszystko zrobiłam bardzo szybko. Moje powodzenie było niepokojące, ojcze; pragnąc czegoś tak strasznie przez tak wiele lat i nagle... to było niewyobrażalne! Zaczęłam wierzyć, że los mi sprzyja, że wszystko dzieje się we właściwym czasie i mój zamiar się spełni. Przyniosłam anioła tutaj.

Na jej twarzy pojawił się wyraz ulgi. Natychmiast wydała się silniejsza, gdy tylko przyznała się przed nim do kradzieży.

— Zasunęłam wszystkie żaluzje i zasłony i postawiłam go na łóżku. Użyłam małego kluczyka, żeby otworzyć podstawę, a tam... tam były te papiery, nikt ich nie dotykał od ponad połowy wieku. Płakałam jak nigdy przedtem z radości, że trzymam w rękach coś, co należało do mojego ojca. Przeczytałam list i znalazłam w nim czułość, co do której byłam pewna, że nigdy jej nie posiadał. List otworzył przede mną jego sekrety jak rozchylające się płatki kwiatu i odkryłam prawdziwe uczucia mojego ojca — i to, że był człowiekiem. Wiem, że jego postępowanie było bardzo złe, ale widzi ojciec, pomimo całej krzywdy, którą mi wyrządził, byłam w końcu w stanie trochę go pokochać.

Teraz usłyszał tykający gdzieś zegar, być może w korytarzu, jakby kapsuła pękła i jakby wracało do nich życie.

— Wysłałam papiery do prawnika mojej mamy w Bostonie. Bałam się je skopiować, bałam się korzystać z kserokopiarki na pocztę i ponieważ nic lepszego nie przychodziło mi do głowy, wysłałam papiery listem poleconym do Monsieur d'Anjou. Zachęcał mnie do podjęcia działań w sprawie, która innym mogła się wydawać jedynie dziwaczną i lekkomyślną grą. Po wysłaniu papierów przestraszyłam się, że ktoś może znaleźć tutaj anioła, więc schowałam go do bagażnika mojego samochodu. Po raz kolejny pragnę podkreślić mój żal z powodu zrobienia czegoś, co zasmuciło ojca i radę Domu Nadziei.

— Nie ma tego złego — zapewnił ją — co by na dobre nie wyszło.

— Naprawdę tak ojciec myśli? — zapytała znowu zaniepokojona.

— Nie mogę tego wiedzieć na pewno, ale tak mi się wydaje.

— Dziękuję — odparła, spoglądając mu prosto w oczy. — Poszłam do Domu Nadziei, zanim Monsieur d'Anjou założył sprawę, i rozejrzałam się dookoła. To... cudowne miejsce, takiego właśnie miejsca chciałabym dla mojej mamy.

— To wszystko było pomysłem Sadie Baxter — wyjaśnił — każda cząstka, od pokoi z widokiem na dolinę po wersety z Pisma Świętego nad drzwiami do każdego pokoju... atrium, doskonała opieka medyczna, kapelan, wszystko.

— Zdaję sobie sprawę z konsekwencji mojego działania, ojcze. Wiem, że mogę pójść do więzienia za to, co zrobiłam. Niemniej jednak muszę powiedzieć, że jestem zadowolona, że to zrobiłam. Bardzo, bardzo zadowolona. Zabrałam coś ojcu, a mimo to zyskałam dużo więcej niż chwilowe posiadanie anioła na marmurowej podstawie. Mam teraz zaskakujące poczucie, że posiadam coś dużo cenniejszego — nie rozumiem jeszcze, co to jest. Ale wiem... że jest to tutaj. — Położyła dłoń na sercu. — Teraz czuję się w Mitford jak w domu. Nigdy nie poznałam, co to do końca znaczy czuć się gdzieś jak w domu, ale tutaj jest pocieszenie, którego nigdy wcześniej nie znalazłam. A zatem zyskałam nawet to.

Teraz to on wstał, podszedł do okna i stanął z założonymi do tyłu rękami, spoglądając niewidzącymi oczami przez gładkie żaluzje. Trudno mu było to wszystko zrozumieć, trudno wiedzieć, co zrobić ze wszystkim, co usłyszał, ale wiedział jedno:

Coś trzeba z tym zrobić. Dla Hélène Pringle; dla Sadie Baxter, która w niebie nie będzie osądzała niczyich złych czynów; i dla niego samego; dla jego własnego spokoju umysłu; i z pewnością dla Boga, który — rzeczywiście — mógł doprowadzić tę kobietę do kryzysu przemiany.

— Panno Pringle — zaczął, odwracając się — jestem gotów wycofać wszystkie zarzuty przeciwko pani. To może wymagać trochę wysiłku. Rozumiem, że będę musiał spotkać się z sędzią okręgowym, który może nie spojrzeć przychylnie na chęć wycofania zarzutów. Ale właśnie to zamierzam zrobić.

— Ojcze — powiedziała, wstając. — Rezygnuję z procesu sądowego.

— Dziękuję — odparł. — Anioł należy do pani.

— *Non! Ce ne serait pas juste!* To nie byłoby sprawiedliwe...

— Jest to zupełnie sprawiedliwe. Był właściwym i zamierzonym miejscem dla listu i testamentu. Stanowią one kawałki Bożej łamigłówki i uważam, że muszą pozostać razem.

Stała obok sofy poruszona i wyraźnie czując się niezręcznie; miał ochotę podejść do niej i ją przytulić, ale duchownym przez wszystkie wieki odradzano takie osobiste kontakty bez żadnego świadka, który mógłby je zaaprobować.

— Cóż — rzucił, z trudem przetykając.

— Dziękuję, dziękuję, ojcze. *Mon Dieu, encore des larmes!*

Wyciągnęła chusteczkę z kieszeni kardigana i przycisnęła ją do oczu.

— Panno Pringle — zauważył, wyjmując chusteczkę ze swojej kieszeni — niezła z nas para.

Poszedł jeszcze raz do swojego starego domu, zanim wyjechali do Whitecap, i zapukał do drzwi. Nie mógł poznać Hélène Pringle. Ramiona miała wyprostowane; patrzyła mu prosto w oczy.

— Czy mogę na chwilę?

— Proszę! — powiedziała, otwierając szeroko drzwi.

Aha. Oto i ten przeklęty kot, zwinięty na sofie i spoglądający na niego z góry.

— Nie będę wchodził, chciałem pani tylko coś dać. Wręczył jej kremową kopertę.

— Cokolwiek znajdzie pani w środku, proszę przyjąć to w duchu, w jakim jest to podarowane.

Proszę mi to obiecać.

Przez chwilę wyglądała trochę niepewnie, potem się uśmiechnęła.

— W takim razie tak właśnie zrobię, ojcze!

— Dobrze. I, panno Pringle?

— Tak?

— Mamy nadzieję, że zostanie pani w Mitford.

— Ale...

— Wiem, że za wcześnie o tym mówić, ale mamy nadzieję, że się pani nad tym zastanowi.

Do oczu napłynęły jej łzy.

— *Oui* — zgodziła się. — *Oui. J'y penserai.*

Wychodząc od swojej lokatorki w sam środek jasnego dnia w Mitford, spojrział ponownie na tabliczkę na podwórku. Pomyślał, że z łatwością mogłaby brzmieć: „Lekcje miłości. Wiadomość na miejscu”.

Rozdział dwudziesty drugi

NOWA PIEŚŃ

Rankiem w drugą niedzielę okresu wielkanocnego siedem dzikich kucyków przeszło przez otwartą bramę zagrody w pobliżu latarni. Gdy z wyraźnym zadowoleniem skubały sobie trawę, zauważył je uprawiający w pobliżu jogging mężczyzna, który zdołał zamknąć rdzewiejącą bramę i pobiegł dalej, rozgłaszając po drodze nowinę każdemu, kogo napotkał.

Ten cudowny widok przyciągał wszystkich mieszkańców Whitecap — bez względu na wiek i poglądy — którzy nie posiadali się z radości, że kucyki z Dorchester pokonały postawione przez władze ogrodzenie, które ciągnęło się aż do zatoki Sound, i opływając je, wyruszyły do Whitecap.

Penny i Marshall Duncan zapakowali swoją gromadkę i pojechali zdezelowanym subaru do zagrody, gdzie złożyli ofiarę dzięczczynną z siana i dużej miarki owsa wykradzonej z ich przylegającej do domu stodoły. W poniedziałek „Whitecap Reader” obwieścił, że władze przyjadą żeby przetransportować kucyki tam, gdzie jest ich miejsce, więc jeśli ktoś chce je zobaczyć w czasie tej krótkiej wizyty w domu, powinien się pośpieszyć.

W miasteczku właściciele sklepów przygotowywali się na falę turystów, która miała ich zalać za zaledwie dwa albo trzy tygodnie. Nie mogli się już doczekać, kiedy gospodarka, której źródło prawie zupełnie wyschło, na nowo przybierze na sile jak porwana przyływem: sporo cen zostało dyskretnie podniesionych i rozpoczęła się coroczna gorączka zapelniania nieomal pustych półek.

Sklep odzieżowy wznowił zamówienie T-shirtów z Whitecap z nadrukiem przedstawiającym latarnię, historyczną jednoizbową szkołę przeniesioną z Czubka na główny skwer w miasteczku bądź często fotografowany St. John's in the Grove; właściciel sklepu spożywczego postanowił zdecydowanie powiększyć zwyczajowy asortyment ciasteczek kukurydzianych, chętnie kupowanych przez turystów wynajmujących mieszkania z kuchnią; a Whitecap Flix, teatr na sześćdziesiąt dwa miejsca powstały z upadłego sklepu z częściami do samochodów i otwarty od 15 maja do 1 października, w drodze głosowania zdecydował o rozpoczęciu sezonu sztuką *Babe — świnka z klasą*, przekonany, iż ma ona na tyle długą tradycję, że można ją reklamować jako klasykę. Aby potwierdzić wiarę w sukces nadchodzącego sezonu, Flix zamówił reklamę na pół strony, która miała się ukazać 15 maja, i załączył kupon uprawniający do dziesięcioprocentowego rabatu dla widzów, którzy będą mogli udowodnić, że to dzień ich urodzin.

Słyszając o prawdziwym boomie reklamowym elektryzującym środowisko biznesu, Mona postanowiła zamieszczać raz w miesiącu — przez trzy miesiące — menu na jedną czwartą strony, coś, czego nie robiła nigdy wcześniej w całej swojej karierze. Ponadto zmieniała swoje menu, co zawsze ekscytowało nielicznych sceptyków, a całą resztę przyprawiało o zawrót głowy. Postanowiła rozprawić się ze wszystkimi skargami poprzez zaoferowanie w piątek wieczorem, pod hasłem „płacisz i jesz, ile chcesz”, specjalności zakładu w postaci smażonego suma za siedem dziesięćdziesiąt pięć, co z pewnością zadowoli wszystkich. Ze względu na miniaturową wielkość lokalu, opierała się wszelkim inicjatywom z gatunku „płacisz i jesz, ile chcesz” od samego początku istnienia baru, ponieważ każde takie przedsięwzięcie, a szczególnie danie smażone, skutkowało ogromnym obciążeniem kuchni. „Płacisz i jesz, ile chcesz” stanowiło obosieczną broń według Erniego — który nieważne jak się starał, nie był w stanie trzymać języka za zębami w sprawach dotyczących jej biznesu — mimo iż można było dzięki temu zwabić tłumy, w ostatecznym rozrachunku straty finansowe były nieuniknione, ponieważ ludzie tutaj mieli apetyty jak wilki. Koniec końców, przedsięwzięcia typu „płacisz i jesz, ile chcesz” w terminologii niektórych punktów gastronomicznych znane były pod nazwą kreatorów strat. Monie nie podobało się słowo „strata”, nie było go w jej słowniku, zamierzała jednak wypróbować suma, i to głównie po to, żeby odwrócić uwagę klientów od faktu, że jej menu nie przewiduje już wątroby i cebuli, do których zresztą nie zamierzała nigdy w życiu wracać, nie wspominając o chlebie kukurydzianym z brytfanny, który zapychał piekarnik, gotowanej kapuście, która rozsiewała uciążliwe zapachy, i fasoli pinto. Bóg raczy wiedzieć, że nie może robić wszystkiego, to nie jest Nowy Jork, to Whitecap i mimo iż tutaj się urodziła i wychowała, wcale nie zamierzała spędzić tu reszty życia; inwestowała pieniądze w mieszkanie na Florydzie, nawet jeśli Ernie wyrażał nadzieję na zamieszkanie na emeryturze w Tennessee. Tennessee! Na samą myśl przechodziły ją

ciarki. Wszystkie te domy z drewnianych bali, wszystkie te potykające się w ciemnościach niedźwiedzie, a na dodatek lejący się strumieniami bimber... o nie.

Gdzieś w okolicach kwietnia w oknie sklepu Erniego, Książki, Przynęta i Sprzęt Wędkarski, pojawiła się następująca tablica:

Kup pięć westernów Dowolny tytuł, a dostaniesz gratis Zane'a Greya lub Louisa L'Amoura; Wybór należy do Ciebie.

Prawie nikt z klientów Mony nigdy nie czytał Zane'a Greya, chociaż kilku o nim słyszało, a stałemu klientowi przychodzącemu tu na śniadania zdawało się, że był kiedyś bokser zawodowy z Kansas City o nazwisku L'Amour. Dwa dni po wywieszeniu ogłoszenia przedstawiciel handlowy z branży frytek wyłożył sto osiemdziesiąt siedem dolarów na ogłoszoną promocję i zamieścił numer telefonu i adres Erniego w grupie dyskusyjnej poświęconej literaturze dawnego Zachodu. W przeciągu ośmiu dni roboczych książkowa część biznesu przysłoniła zupełnie część rybną, a Ernie zatrudnił kilku uczniów ze szkoły średniej, aby zajęli się zamówieniami drogą pocztową.

Roanoke Clark malował jeden z dużych domów lotniskowych i zatrudnił pomocnika, który — jak się przyjemnie rozczarował — nie brał alkoholu do ust i był pracowity jak mrówka. Rozważał zatrudnienie go na stałe, chociażby tylko ze względu na nieomal nową drabinę teleskopową jego partnera, nie wspominając o najnowszym modelu ciężarówki ford. Rozwiązanie to pozwoliłoby mu zrezygnować z wypożyczenia od Chessa Doyle'a rozklekotanego chevroleta z platformą domowej roboty, za co Chess liczył sobie równe czterdzieści dolarów tygodniowo.

W Czubku firma Bragg's była zajęta wlewaniem do baków ropy i wysyłaniem ton żwiru oraz cementu na place budowy tak odległe jak Williamston, nie wspominając o parku przemysłowym w Tyrrell County.

Na północnym krańcu małej wyspy w kształcie bożonarodzeniowej skarpety zdjęto w końcu rusztowania z St. John's in the Grove. Ciężki sprzęt zniknął, sterty resztek drewna i dachu zostały wywiezione i nie słychać już było niepokojącego łopotania na wietrze płacht brezentu.

Za tymi wysiłkami stały wspólne wielkie porządki całej parafii. Zniesiono miotły, grabie, motyki i łopaty razem z nowymi sadzonkami, aby zastąpić roślinność zniszczoną podczas ogólnej zawieruchy.

W czasie wietrznego, trwającego cały dzień święta pracy ktoś odkrył, że zaczyna kwitnąć nachyłek, a ojciec Tim stwierdził podobno, że ich mały kościółek jest gotowy, by przetrwać kolejne stulecie z godnością i wdziękiem.

Przez całe miesiące zimowa pogoda opóźniała prace nad odbudową. Miał już dość pyłu z tynku, wiercenia, szlifowania i piłowania. Nic dziwnego, że niektórzy z jego kolegów opierali się roli „budujących księży”. Prawdopodobnie nie przeszkadzało im tak bardzo samo pozyskiwanie funduszy, ile właściwa praca, wznoszenie i codzienny znój.

Na szczęście udało im się ocalić stary dąb i był zadowolony z dodatkowej korzyści, jaką była większa ilość światła wpadającego teraz do St. John's.

W dojmująco zimny, ale jasny poniedziałkowy rano otworzył główne drzwi i przeszedł przez próg, stając w nowej nawie, w której zachował się jednak jej dawny duch. Usiadł pośrodku ławek po lewej stronie i ogarnął wszystko ojcowskim spojrzeniem.

Kościół, jak każdy inny dom, posiadał swoją wyjątkową i indywidualną duszę, a on pokochał niepowtarzalną atmosferę St. John's. W Lord's Chapel masa i ciężar ich rzeczno kamienia jawiła się mu jako potężna forteca, dawała poczucie bezpieczeństwa. St. John's z kolei wzbudzał w nim uczucie bezbronności i niewinności; wydawał się delikatny i taki w rzeczywistości się okazał.

W niedzielę za dwa tygodnie jego parafia będzie uroczyście świętować szczęśliwe odrodzenie kolacją wydaną na przykościelnym terenie i pierwszym zjazdem parafian od ponad trzydziestu lat. Nie potraktują tego długiego rozbierania, a następnie ponownego stawiania, jakby się nic nie stało, pod żadnym pozorem; będą je czcić tak, jak na to zasługuje — jako błogosławieństwo, najdroższe i najwyższego rzędu.

— St. John's in the Grove, ojciec Kavanagh.

— Hej, tato.

— Hej, przyjacielu!

— Zerwałem z Caroline.

— Och, to fatalnie.

— A ja się cieszę. Wiesz, co zrobiła?

— Co takiego?

— Podbiegła do mnie podczas balu, chwyciła mój łańcuszek na szyi i pociągnęła go tak mocno, że się rozerwał, a ona zabrała z powrotem swój pierścionek.

— Wielkie nieba!

To bardzo przypominało mu zachowanie, jakiego mógł się spodziewać po Peggy Cramer.

— Następnym razem będę się spotykał z kimś takim jak... jak...

— Jak kto? Lace Turner!

— Jak... no wiesz... może Cynthia. Czuł, jak duma rozpiera mu serce.

— No, teraz to rozumiem! — zgodził się z chłopcem.

— Naprawdę podobało mi się Boże Narodzenie z wami w Whitecap.

— Było wspaniale i czekamy, aż przyjedziesz do nas na wakacje.

— Ja też, a kiedy porozmawiamy o moim wranglerze?

— Poprosiłem Harleya, aby rozglądnał się za jakimś dobrym egzemplarzem. Damy ci znać, jak tylko coś znajdziemy.

— Żeby nie był za stary — podkreślił Dooley.

— Zgadza się. Nie za stary. Szukamy czegoś w idealnym stanie, z małym przebiegiem, więc o nic się nie martw.

On też nie zamierzał się tym martwić. Tego lata Dooley zamieszka z nimi nad morzem, będzie miał szybki zwrotny samochód i pracę u Mony. Ojciec Tim czuł się tym wszystkim tak podekscytowany, jakby to jego właśnie czekała ta perspektywa.

— Powiedz mi w takim razie, dlaczego Caroline tak... się zachowała?

Dooley Barlowe zdawał się wzbudzać bardzo silne emocje u płci przeciwnej. Pamiętał, jak kiedyś Lace Turner nieomal ukręciła Dooleyowi głowę za to, że ukradł jej kapelusz.

Nie wiem, to dziwne. Ktoś powiedział, że miałem tańczyć z Caroline, a ja zapomniałem i rozmawiałem przez cały czas z Lace, ale to nieprawda, rozmawiałem z Lace przez najwyżej pięć... no, nie wiem, może piętnaście minut.

— Aha, no tak. No tak.

Siedział w kancelarii lekko odurzony uporczywą wonią świeżej farby i nowego dywanu i usiłował bez większego sukcesu skupić swoje myśli na planie kazania.

Znalezienie Jessie Barlowe było prawdziwym łutem szczęścia, ale do znalezienia Sammy'ego i Kenny'ego potrzeba im będzie prawdziwego cudu.

W żaden sposób nie był w stanie odnaleźć Kenny'ego, bazując na wskazówkach w rodzaju „lekkolysiejący” i „wybierał się do Oregonu”.

Co do Sammy'ego, Buck dzwonił kiedyś i powiedział mu, że ktoś widział Sammy'ego sześć lat temu z ekipą pracującą przy budowie autostrady z Holding do New Hampton. Ojciec chłopca pracował kiedyś z nimi; może Sammy został zabrany przez swojego ojca. Martwiło go, że być może któregoś dnia będzie musiał spojrzeć w oczy ojcu Dooleya; nie była to wcale przyjemna myśl, nie mógł się jednak od niej uwolnić.

Gdy wróca do Mitford, będzie musiał pójść za tym śladem, tym jedynym tropem, jaki im pozostał.

Przed lunchem przystąpił do wykonywania wszystkich zaplanowanych telefonów.

— Gdybym miała odejść przez złamane biodro, to już by mnie nie było — stwierdziła Ella Bridgewater.

— Zdecydowanie!

— Jeszcze nie jestem gotowa, żeby mnie ponieśli drogą w trumnie!

— Amen!

— Wybieram się jednak na cmentarz, żeby posadzić coś na grobie mamy. Zobaczymy, jak ta przeklęta konstrukcja radzi sobie na żwirze.

Ella Bridgewater kuśtykająca w dół nieuczęszczanej zwirowej ścieżki z pomocą aluminiowego balkoniku? Ubrana w czarną długą suknię i targająca łopatę i krzew?

— Przyjadę w następnym tygodniu i pójdę razem z tobą.

— Nie, ojciec — sprzeciwiła się wyraźnie zadowolona — nie musi ojciec tego robić!

— Wiem, że nie muszę, co jest jeszcze jednym powodem, dla którego bardzo chętnie to zrobię.

— Bije ojciec wszystkich!

— Słyszałem już gorsze opinie — wyznał.

— Louella!

— Kto mówi?

— Ojciec Kavanagh.

— Słonko, jak sobie radzisz?

— Nie mogę narzekać. Ale co u ciebie, jak twoje biodro?

— To biodro wcale nie przykuło mnie do łóżka. Dzisiaj rano pojechałam do kuchni i upiekłam blaszkę ciastek.

— Maślanych?

— Tylko takie robię.

— Chętnie zjadłbym jedno.

Jego głos zabrzmiał naprawdę tęsknie.

— Z dużą ilością masła i... jakim dżemem, jak ci się wydaje?

— Z czernic! — zawołała Louella.

— Trafiałaś w dziesiątkę!

— Kiedy przyjeżdżacie z panną Cynthią do domu?

— Nie wiem. Może pod koniec roku. Szybko!

— Nie dość szybko. Wszyscy tu za wami bardzo tęsknią. Chodzę i modłę się z panną Pattie, biedactwo. Ojej, ta panna Pattie...

— Co tym razem zrobiła?

Louella roześmiała się swym głębokim mezzosopranem.

— Panna Pattie podkochuje się w panu Bermanie, wie ojciec, że bardzo przystojny z niego mężczyzna. Teraz już nie wyrzuca mu ubrań przez okna, a za to wkłada jego buty.

— Jak, u licha, jest w stanie chodzić w jego butach?

— Och, jeździ na wózku, wie ojciec, jak ja; nie jest w stanie zrobić ani kroku. Nakłada te buty, siada na wózku i rusza przed siebie zadowolona, że hej.

— Aha.

— Pan Berman jest kochany, słonko, dał jej parę mokasynów ze skóry aligatora, powiedział siostrze Loli, niech je sobie weźmie i tak człowiek może na jeden raz nałożyć tylko jedną parę butów. Czy to nie było miłe?

— No pewnie! Westchnęła.

— Ani żywej duszy, z którą można byłoby tutaj coś zaśpiewać. Westchnął.

— Ani żywej duszy, z którą można byłoby coś zaśpiewać tutaj.

— Niech ojciec zacznie, a ja się dołączę — odparła, chichocząc.

Nie wydawało mu się, żeby kiedykolwiek wcześniej zaśpiewał cztery linijki czegokolwiek przez telefon, ale gdy skończył, był w zdecydowanie lepszym nastroju.

Jego żona postawiła przed nim świeżo zrobioną sałatkę z kurczakiem, z ciepłą bułką i parującym kubkiem herbaty. Stała, trzymając go za rękę, kiedy on odmawiał błogosławieństwo.

— Jak odbierasz to, że przychodzę do domu na lunch? — zapytał. — Słyszałem, że niektóre kobiety nie są zachwycone, gdy mężowie zwalają się im na głowę, żeby ich nakarmić.

Równie dobrze może poznać prawdę, do której wyłożenia jego żona zawsze podchodziła z entuzjazmem.

— Uwielbiam to, że przychodzisz do domu na lunch, Timothy, jesteś moim głównym łącznikiem ze światem teraz, gdy pracuję tak ciężko nad ukończeniem książki.

Postawiła na stole swój talerz i pocałowała męża w czubek głowy.

— Jak posuwa się twoja praca?

— Góry i doliny, wzloty i upadki — podsumowała, siadając.

— Samo życie — skwitował.

— Do licha, przypomniałeś mi, że dzisiaj po południu będę potrzebowała samochodu. Muszę pojechać nad zatokę Sound, żeby naszkicować czapkę błękitną.

Jego żona potrzebowała autentycznej natury, z krwi i kości; nie dla niej polaroidy, o nie — ona musiała pracować w plenerze. Z wyjątkiem jakiegoś sporadycznego parasola plażowego czy krzaku w tle, które można było narysować z pamięci, zawsze szukała oryginału. Violet, która z pewnością była oryginałem, była czwartym czy piątym kotem w nieprzerwanym łańcuchu prawdziwych Violet, zaadoptowanych przez jego żonę na przestrzeni lat. On sam został przez nią zaangażowany do odegrania roli mędrca w jej książce *Mysz w stajence*. Nie uważał, że wyglądał bardzo inteligentnie na jej akwareli — raczej idiotycznie, szczerze mówiąc — ale ona była zadowolona.

Kiedyś wybrali się razem do lasu, gdzie usiłował wejść do jej fascynującego świata, podczas gdy ona utkwiała swój wzrok w porostach — jego myśli jednak ulatywały swobodnie jak motyle i skończyło się na tym, że przemyślał całe kazanie, które bazowało na wersecie cztery trzynaście z Listu do Filipian.

— Och, a po wizycie nad zatoką zagładnę do Janette i zabiorę dzieci na lody.

— Świetny pomysł.

Jej oczy wydawały mu się błękitne jak dzika cykoria.

— Przy okazji, tuż przed twoim przyjściem dzwonił Roger Templeton. Mówił, że nie udało mu się zastać cię w kościele.

— Aha.

— Chce, żebyś do niego zadzwonił.

— Zadzwonię.

Jedli w ciszy przerywanej jedynie tykaniem zegara nad kuchenką.

— Timothy...

— Tak?

— Obiecuj, że mnie nigdy nie opuścisz.

Bardzo często, zupełnie zniecka, powtarzała tę błagalną prośbę, która wstrząsała nim i go poruszała. Odłożył widelec i ujął jej dłoń.

— Nigdy cię nie opuszczę. Nigdy.

— Nawet gdy będę stara i pokryta kurzymi łapkami?

— Kocham twoje kurze łapki, Kavanagh.

— Wydawało mi się, że mówiłeś kiedyś, iż nie mam żadnych kurzych łapek.

Poczuł ulgę, widząc, że opuszcza ją chwilowy smutek, a jego miejsce zajmuje śmiech.

— Masz mnie — przyznał, śmiejąc się. Ujął jej rękę i pocałował wewnętrzną część dłoni, a potem przyłożył do policzka. — Jesteś dla mnie wszystkim. Nigdy nie będę w stanie podziękować ci za to wszystko, czym jesteś, każdego dnia i każdej nocy, darem, darem...

Spojrzała na niego i uśmiechnęła się.

— Kocham, gdy tak mówisz, najdroższy. Możesz przychodzić do domu na lunch, kiedy tylko zechcesz.

Roger odwiedził go w kancelarii w środę rano. Miał ze sobą papierową torbę zamykaną na klips i wyglądał na zawstydzonego.

— Stań twarzą do biurka i zamknij oczy — polecił.

Ojciec Tim zrobił, co mu kazano, słysząc szelest papierowej torby otwieranej przez Rogera.

— W porządku, teraz możesz się odwrócić.

Cyranka z zielonymi skrzydłami w wyciągniętej dłoni Rogera patrzyła mu prosto w oczy.

Świeżo wymalowana, w pełnej krasie subtelnych i żywych kolorów zaparła mu dech w piersiach, tak była piękna i do złudzenia przypominająca żywego ptaka.

— Jest twoja — oświadczył Roger.

— Nie mówisz serio.

— Jest twoja. Jest twoja od samego początku. Widziałem wyraz twojej twarzy, gdy przyglądałeś się, co robię. Znam ten wyraz twarzy; jest twoja.

Wziął ją z szacunkiem, poruszony i zaskoczony.

— Odwróć ją — polecił Roger, rumieniąc się lekko z radości.

Odwrócił. Na płaskiej podstawie wypalona była nazwa wyspy, dzisiejsza data i dedykacja:

Cyranka z zielonymi skrzydłami

Dla Tima Kavanagha od Rogera Templetona

Bracia na morzu

Ściskając cenny przedmiot w lewej ręce, objął Rogera Templetona i poklepał go po plecach.

— Dziękuję — odezwał się i niewiele brakowało, a załamałby mu się głos.

— Podarowałem innym tylko kilka. Ernie ma jedną i mój syn, i jego żona, i...

Roger wzruszył ramionami, wyraźnie zmieszany i zawstydzony.

— Nie wiem, jak ci dziękować, przyjacielu. To dla mnie zaszczyt.

Postawił ją na biurku i spojrzął na nią ponownie w niemym podziwieniu.

Kilka miesięcy temu zrezygnował z anioła, dzisiaj dostał kaczkę. To jemu przypadła w udziale nagroda, bez dwu zdań.

Stał w zakrystii odziany w szaty liturgiczne, czekając z podekscytowanym chórem i radosną procesją, która ciągnęła się przez całą długość, aż do schodów prowadzących do podziemia.

Dzisiaj rano mieli usłyszeć nową muzykę skomponowaną przez organistę, coś cudownego i nie tak łatwego do zaśpiewania, więc ciała wszystkich członków chóru zalewała fala adrenaliny. Dodatkowych emocji już i tak zelektryzowanemu tłumowi dostarczał fakt, że muzyka wymagała odpowiedzi całej kongregacji, co zawsze niosło ze sobą pewien element niepewności, jeśli nie całkowitego przerażenia.

Zajrzał przez szklane panele w drzwiach do zakrystii do wnętrza nawy, ale z tego miejsca był w stanie zobaczyć jedynie lewą część kościoła. Zauważył kilka twarzy, które z pewnością widział po raz pierwszy, zważywszy na fakt, że dzisiaj był zjazd parafian.

Niektórzy z nielicznych wiernych musieli zrezygnować ze swoich ławek na rzecz przyjezdnych, musiał więc szukać w tłumie Otisa i Marlene, i trzódki Duncanów daleko po prawej stronie. Z przodu zobaczył Janette z Jonathanem na kolanach, a po obydwu jej stronach siedzieli Babette i Jason, dzięki Ci, Panie. A dwa rzędy dalej siedział Sew Joiner, oceniając efekt pracy na ścianach i suficie. Wyglądał na bardzo z siebie zadowolonego.

Na dźwięk dzwonu kościelnej wieży niosąca krzyż kobieta wkroczyła do kościoła, a za nią ruszyła do nawy cała procesja, organy zagrzmiały otwierającymi pieśń nutami, a chór wysypał się z zakrystii niczym toczący się grzmot pioruna.

Chór kroczył z wigorem środkiem kościoła, a jego śpiew unosił się wraz z donośnym brzmieniem i proklamacją organów.

Śpiewajcie Panu pieśń nową, chwałę Jego, od krańców ziemi

Alleluja! Alleluja!

Niech Go sławi morze i co je napętnia, Alleluja! Alleluja!

Kongregacja włączyła się w dwa pierwsze alleluja, jakby budząc się z długiego snu; przy drugiej parze przyczaiła się i ruszyła z wyższego biegu, porwana przez potężne prowadzenie chóru.

Niech oddają chwałę Panu

I niechaj głoszą cześć Jego na wyspach

Alleluja! Alleluja!

Gdy chór wspinał się po skrzypiących schodach na balkon, muzyka organów wznosiła się w niedużej nawie, powiększając ją i poszerzając, tak że wkrótce mogłaby wypełnić sklepienie wachlarzowe angielskiej katedry.

Szybko zajmując swoje miejsce przy organach, chór ponownie zaintonował gorliwe słowa uwielbienia Izajasza i psalmisty:

Śpiewajcie Jemu pieśń nową, pełnym głosem pięknie Mu śpiewajcie Alleluja!

Bo słowo Pana jest prawe, Alleluja!

A każde Jego dzieło niezawodne! Alleluja!

Pełna minuta muzyki organowej zamknęła pierwszą część nowego utworu wielbiącego łaskę, jaką Bóg otacza parafian St. John's i radosny, pierwszy zjazd po trzydziestu latach. Wielu członków kongregacji nie mogąc się nadziwić muzyce, która płynęła z balkonu, odwracało się w ławkach i spoglądało do góry w zdumieniu.

Alleluja! Alleluja!

W finale, który został odśpiewany *a capella*, sopran wzbił się do samych gwiazd i ku ogromnej radości i uldze pastora już tam pozostał.

— Gdy drzewa się przewróciły i linie wysokiego napięcia zerwały, gdy sam dach zawalił się nad waszymi głowami, gdy światło ustąpiło ciemności, a woda zamieniła się w pył, czyż nie wzywaliście Go? Gdy wezwaliście Go, czy był gdzieś na górze, czy też był tak blisko was, że czuliście Jego oddech?

Dzisiaj rano stał przed amboną, spoglądając na twarze tych, których Bóg oddał w jego ręce na tę ulotną chwilę w wieczności.

— Niektórzy wierzący wciąż nie mogą uwierzyć, że Bóg pragnie być tak blisko nas, byśmy czuli jego oddech. Dużo bardziej niż posiadania liczniejszej kongregacji czy też większej świetlicy parafialnej, czy też bardziej ambitnego budżetu... bardziej niż czegokolwiek pragnę jako wasz ksiądz i modłę się za wszystkich i za każdego z was, abyście poczuli i doświadczyli obecności Boga... tak bliskiej, żebyście poczuli Jego oddech. Krótko mówiąc, odkąd tu przyjechaliśmy, modłę się, aby pomiędzy każdym z was a Chrystusem powstała osobista więź, codzienna i wzajemna przyjaźń.

Mówię o czymś, co wykracza poza granice cotygodniowego niedzielnego nabożeństwa, jakie kiedykolwiek zostało albo będzie odprawione, o czymś, na czym będziecie mogli polegać do końca swojego życia, a potem przez całą wieczność. Mówię o czasach, gdy będziecie płakać podczas burzy, która rozpętała się nad wami, o czasach, gdy zawiedzie was wasze serce i ciało i nie będziecie widzieć żadnego wyjścia i rozwiązania, gdy jakakolwiek modlitwa, którą zaniesiecie do Boga, który może się wam wydawać odległy i obojętny, będzie się zdawała rozplýwać we mgle.

Są całe armie wierzących w istnienie zimnego i odległego Boga i w chwilach, gdy wołają do Niego w skrajnej rozpacz i nie słyszą żadnej odpowiedzi, muszą się podnieść i błądzić w ciemnościach samotnie. Są też tacy, którzy znają Go osobiście, którzy odkryli, że gdy wołają, oto jest tak blisko, że czują Jego oddech — z nimi, całym sercem, zbawiciel, Pan, partner, przyjaciel.

Niektórzy należą do Kościoła przez całe swoje życie, a mimo to nigdy nie poznali tej potężnej, cudownej, a jednak zwykłej osobistej więzi z Bogiem. Inni wierzą, że chociaż taka więź jest możliwa, nie jest możliwa dla nich — dlaczego Bóg miałby chcieć się nimi przejmować, chyba że tylko z bardzo daleka? W rzeczywistości dla Boga nie jest to żaden kłopot. Pragnie tej więzi bardziej, dużo bardziej niż ty czy ja, i modłę się, abyście rozważyli tę cudowną prawdę.

Ale kto spośród nas mógłby kiedykolwiek zasłużyć na taką wspaniałą i ogólnie rzecz biorąc, niewyobrażalną rzecz jak bliska, codzienna więź z Wszechmogącym Bogiem, stwórcą wszechświata? Wydaje się to niewiarygodne i dlatego... boimy się nawet o tym pomyśleć.

Przez tę ulotną chwilę w historii, ten kruchy i przemijający moment w naszym życiu, jestem waszym księdzem; Bóg wezwał mnie, abym poprowadził tę kongregację. Gdy patrzę na was dzisiaj rano, moje serce układa listę życzeń. Pragnie uzdrowionych małżeństw, dobrej pracy, dobrobytu i bezpieczeństwa waszych dzieci; dla Eleanor zdrowych kolan, dla Toby'ego — by jego uszy słyszały; dla Jessie — dobrych wieści od jej syna; dla Phillipa — dobrych wieści od jego lekarza. I tak dalej, i tak dalej, w moim sercu są żarliwe pragnienia dla każdego z was. Ale najważniejszą spośród tych nadziei, modlitw i błagań jest ta: Panie... spraw, aby moi ludzie poznali. Spraw, aby poznali, że to, co niewyobrażalne, jest nie tylko realne, ale osiągalne i możliwe, i można tego zaznać teraz, dzisiaj — chociaż, rzeczywiście, zupełnie na to nie zasługujemy.

Można tę listę ustanowić dzisiaj za sprawą prostej modlitwy. Ona niektórym wydaje się nie dość mądra, aby mogła zaprowadzić ich przed oblicze Boga, nie dość wymyślna, aby przyciągnąć Jego uwagę, nie dość długa, nie dość podniosła, nie dość głęboka... A jednak ta prosta modlitwa sprawia, że możecie Go poznać nie tylko jako Zbawiciela i Pana, ale również jako przyjaciela. „Już was nie nazywam sługami — powiedział tym, którzy szli za nim w Ewangelii według świętego Jana — ale przyjaciółmi”.

Gdy nadchodzą burze w waszym życiu, czyż nie szukacie pocieszenia w Jego bliskości i Jego przyjaźni? Nawet sobie nie wyobrażacie, jak On szuka pocieszenia w was. To niewyobrażalne, prawda, że On miałby pragnąć być blisko nas — takich bezbronnych, słabych i bezradnych, jakimi się często czujemy. Bóg chce być z nami. Tak w rzeczywistości brzmi Jego imię: Emmanuel, Bóg z nami. I dlaczego tak trudno sobie to wyobrazić, gdy zaiste, stworzył nas dla siebie? Proszę, usłyszcie to dzisiejszego ranka. Ten, który nas stworzył... stworzył nas dla siebie.

Czytamy w Apokalipsie świętego Jana, że stworzył wszystkie rzeczy — dla swojej przyjemności. Wielu z nas wierzy, że stworzył wszystkie rzeczy, ale zapominamy o najlepszej nowinie — że stworzył nas... dla swojej przyjemności.

Są wśród was tacy, którzy pragną skończyć z szukaniem Go raz w tygodniu i pragną w zamian być z Nim dzień po dniu, mówiąc Mu wszystko, zawierając Mu wszystko, wdzięczni jedynie, że doświadczyli w życiu takiego szczęścia jak przyjaciel, który ich nigdy, bez względu na okoliczności, nie zostawi i nigdy nie pozbawi ich swojej miłości. Zdziwiający? Tak, to prawda. To jest zadziwiający.

Bóg wie, kto pragnie odmówić tę prostą modlitwę dzisiaj rano. To sprawa pomiędzy wami a Nim i jest to modlitwa, która zaprowadzi was przed Jego oblicze, do wiecznego życia i do bliskości przyjaźni, w której On będzie tak blisko... że będziecie czuli Jego oddech.

Oto, jak działa ta niezwykła modlitwa — gdy zapraszacie Go do swojego serca, on przyjmuje was do własnego! Czyż można znaleźć lepsze schronienie na całą wieczność?

Pochylając głowy w modlitwie pod tym nowym dachem i pośród tych nowych ścian, proszę, aby łaskawie pobłogosławił dzisiaj wszystkich i każdego... abyśmy otrzymali nowe serca.

Pochylił głowę, złożył ręce i usłyszał pulsowanie krwi w skroniach. Ella Bridgewater siedząca przy przejściu między ławkami, z balkonikiem pod ręką spoglądała na niego z aprobatą. Kapitan Larkin, który siedział po jej prawej stronie, schował głowę w dłoniach.

— Poczujcie, doznajcie obecności Boga pośród nas dzisiaj rano... — Czekał. — ...podczas gdy ci spośród was, którzy tego pragną, będą w milczeniu powtarzać tę prostą modlitwę:

— Dziękuję Ci, Boże, za to, że mnie kochasz...

...i za to, że posłałeś swojego Syna, żeby umarł za moje grzechy. Szczerze za nie żałuję...

...i przyjmuję Chrystusa jako mojego Zbawiciela.

Teraz, jako Twoje dziecko...

...zawieram Ci całe swoje życie.

Amen.

Podniósł głowę, ale się nie śpieszył. Taka modlitwa była potężna i — jak w muzyce — domagała się chwili wytchnienia.

W porządku mszy przypadało teraz odmówienie wyznania wiary i otworzył usta, żeby to powiedzieć, ale je zamknął.

Spojrzał na prawą stronę i zobaczył Mamie i Noaha; Mamie uśmiechała się i kiwała głową. Za nimi siedział Junior Bryson i Misty Summers; wydawało mu się, że uśmiech Juniora jest wyraźnie szerszy niż jego krawat.

— Jeśli odmówiliście tę modlitwę i chcielibyście dołączyć do mnie przy ołtarzu, to podejdźcie, proszę.

Nie wiedział, że to powie; był tym zupełnie zaskoczony.

Niektórzy będą zbyt nieśmiali, żeby tu podejść, ale to była sprawa Boga; miał nadzieję, że nie zapomni i nie pominie całkowicie wyznania wiary.

— Gdybyście chcieli odnowić w swoim sercu sakrament chrztu świętego, proszę, podejdźcie. Gdybyście chcieli wyrazić swoją wdzięczność za wszystko, co Bóg uczynił w waszym życiu, proszę, podejdźcie. Gdybyście chcieli zacząć wszystko od nowa, zawierzyć swoje życie całkowicie Jego opiece, proszę, podejdźcie.

Mimo że ta część nabożeństwa była całkowicie niezaplanowana, pomyślał, że być może nadszedł właściwy moment na odrobinę muzyki. Jego chór jednak zupełnie oniemiał.

W rzędzie po prawej stronie wstało czterech parafian, wyszli z ławek i podeszli do ołtarza.

Po lewej stronie z pojedynczych ławek podniosło się pięciu parafian i jeden z gości i — przepaszając innych — omijali stopy tych, którzy nie potrafili ukryć zawstydy i spoglądali z utęsknieniem w stronę drzwi.

Ojciec Tim otworzył fiolkę z olejkiem, ukląkł na chwilę przy balaskach od strony nawy i modlił się po cichu. Jeden po drugim członkowie kongregacji osuwali się pokornie na kolana. Przynajmniej dwóch miało poważną, ale zdecydowaną minę. Pozostali wyglądali na zadowolonych ze sposobności do zrobienia czegoś tak spontanicznego, do złożenia swych serc w szalonym i radosnym akcie zawierzenia i rozpoczęcia od nowa.

Zanurzył prawy kciuk w olejku i dotknął czoła pierwszej osoby przy balaskach, czyniąc znak krzyża i mówiąc:

— Namaszczam cię, Phillipie, w imię Ojca i Syna i Ducha Świętego...

Na balkonie z ławki wstał organista i zszedł z wyraźnym wysiłkiem po schodach, a potem przeszedł pomiędzy ławkami, opierając się na lasce.

Madeleine Duncan wspięła się na kolana w ławce i szepnęła swojej mamie do ucha:

— Patrz, mamó, to mały człowieczek z dużą głową. Przyglądając się penitentowi, który teraz zbliżył się do ołtarza,

Leonard Lamb nie zdawał sobie sprawy, że wpatruje się w niego z otwartymi ustami ani że do oczu napłynęły mu nagle łzy. Marion Fieldwalker dała Samowi kuksańca w żebra.

— Kto to?

— Na litość boską! — szepnął Sam, jakby mówił sam do siebie. Gdy ojciec Tim dotykał czoła mężczyzny, który klęczał przed nim, zdawało mu się, że przy połączeniu ich ciał powstał prąd, który zaiskrzył i przeszył mu ramię jak błyskawica.

— Namaszczam cię, Morrisie, w imię Ojca i Syna i Ducha Świętego i modłę się, aby miłosierdzie naszego Pana Jezusa Chrystusa na zawsze przypieczętowało to, co w twoim sercu najlepsze. Niech Bóg będzie z tobą zawsze, bracie:

Pan wydobyl mnie z dołu zagłady i z kałuży błota, Alleluja!

A stopy moje postawił na skale, Alleluja!

I umocnił moje kroki. Alleluja!

I włożył w moje usta śpiew nowy, Pieśń dla naszego Boga!

Alleluja! Alleluja! Amen!

— Nikt — wyznał Barnabie, gdy szli ścieżką na plażę — nie docenia w takim stopniu wyjątkowego geniuszu twojej wypowiedzi, jak twój pies.

Jego pies nie odpowiedział.

— To słowa Christophera Morleya. Barnaba szedł dalej.

— Czy nie wydaje ci się, że jest w nich dużo prawdy?

A co jeśli ktoś usłyszy, jak rozmawia ze swoim psem? Z drugiej jednak strony, dlaczego człowiek nie miałby rozmawiać ze swoim psem, kiedy tylko ma na to ochotę?

— Och, mój przyjacielu, co to będzie za zachód słońca.

Był najnormalniej w świecie w beztroskim nastroju, jakby wiosna wydobywała z niego coś, co nie dochodziło do głosu już od dłuższego czasu.

Poprosił żonę, aby mu towarzyszyła, ale ona miała do zrobienia coś dużo bardziej ważnego i epokowego niż podziwianie spektakularnego zachodu słońca w cudowny wieczór — po prostu myła sobie głowę.

Zaznał tego uczucia lekkości tylko raz, odkąd tutaj przyjechał. Było to w dniu, gdy szedł po raz pierwszy do Erniego, wolny jak ptak. Całe godziny wolności rozciągały się przed nim w obcym nowym miejscu, którego tajemnice dopiero miał poznać. Dlaczego całe życie nie mogło przepelniać człowieka takim uczuciem, uczuciem, że za chwilę odkryjemy coś nowego? Czyż każda chwila nie była chwilą objawienia? Czy ktokolwiek tak naprawdę wiedział, co go czeka za rogiem?

Ach, no cóż, za dzień czy dwa będzie prawdopodobnie biegał z nosem przy ziemi, jak cała reszta zwykłych śmiertelników. Lepiej będzie, jak zapomni o całym tym uczuciu lekkości, dopóki jest na to czas.

Odkrył, że gwizdże fragment muzyki organowej z wczorajszego nabożeństwa; mimo iż była dość trudna, zawierała wewnętrzną linię melodyczną, która wydawała mu się absolutnie fascynująca. Jakim ogromnym cudem było to wszystko; potrzęsnał głową, nie mogąc uwierzyć w to niezwykle przeżycie. Pamiętał zaskoczenie i zachwyt swojej kongregacji, i nostalgiczną radość Mamie. Zaiste, w tym dniu było tyle radości, że mogło jej wystarczyć na całe miesiące.

Zeszli z chodnika i szli ścieżką z desek pomiędzy wydmami.

— Siad — polecił, zatrzymując się na ścieżce, zanim zeszli w dół po schodach.

Gdy obserwował, jak kolor zaczyna powoli wypełzać na wodę, nagle przyszło mu do głowy, że z St. John's powinien przynieść tu kilka krzeseł na poranne niedzielne nabożeństwo.

Co za nawa! Co za sanktuarium! A sufit bezapelacyjnie bił na głowę wszystkie sklepienia wachlarzowe, jakie kiedykolwiek widział. Nie miał pojęcia, dlaczego, na litość, nie celebrowali dokładnie w tym miejscu tegorocznego nabożeństwa o wschodzie słońca; musiał być chyba zupełnie ślepy.

No cóż, w takim razie może za rok. Jeśli będzie następny rok. Bardzo prawdopodobne, że St. John's powoła stałego księdza przed zimą.

Zeszli po schodach i szli plażą, nie biegnąc, nie pokonując odległości truchtem, ale spacerując. Mniej więcej po pięciuset metrach spuścił Barnabę ze smyczy.

Ten zachód słońca jest niesamowity, pomyślał, siadając na piasku i zdejmując buty oraz skarpety. Nie wstawał przez chwilę, przyglądając się i rozmyślając.

Widok Janette Tolson z dziećmi w kościele sprawił mu prawdziwą radość. Płaciła jednak ogromną cenę za to, że musiała radzić sobie sama, i to nie napawało go radością. Szła do drugiej nad ranem i wstawała wcześniej, żeby wyprawić dzieci do szkoły, a Jonathana do przedszkola.

Zaglądał, żeby się z nią zobaczyć, być może częściej, niż powinien, ale przeważnie zatrzymywał się tylko po to, żeby zapewnić ją o swojej modlitwie i dodać jej otuchy do pracy. We współczesnym świecie rodziców samotnie wychowujących dzieci spotykało się na każdym kroku. Coś takiego spływało po

dzisiejszym społeczeństwie jak woda po kaczmę; stało się to powszechnym elementem tak zwanej cywilizacji.

Dla niego jednak wcale nie stało się to zwyczajne, ani trochę. Zawsze cierpiał, widząc zniszczenie i chaos, i zbyt często całkowitą rozpacz tych, którzy musieli sobie radzić samotnie. Krótko mówiąc, był to trudny kawałek chleba i najeżony licznymi pułapkami zastawionymi przez szatana.

Gdy był u niej ostatni raz, zdobyła się na odwagę, żeby zapytać go jeszcze raz:

— Czy widział go ojciec?

Nie widział go, podobnie jak inni, na ile był zorientowany.

— Może nie żyje — rzuciła, wyglądając ponad maszyną do szycia przez okno. — Ta burza...

To prawda. Nikt nie wiedział, gdzie mieszkał na wyspie ani w jakich warunkach. Jeśli tynek z sufitu o mały włos nie wylądował na Maude Proffitt, skąd można było wiedzieć, że burza nie odcisnęła swego śmiertelnego piętna gdzie indziej?

Ale chwileczkę. Robił coś, czego za ledwie wczoraj postanowił świadomie unikać — myślał za dużo.

— Ten młody Timothy — zauważył kiedyś prezbiter w kościele jego mamy — on za dużo myśli.

Nigdy nie zapomniał tej zdawkowej uwagi, mimo iż nie mógł mieć więcej niż siedem czy osiem lat. Ile myślenia było za dużo i kto o tym decydował? Czy powinien przestać myśleć cokolwiek raz na jakiś czas i chodzić z pustą głową? Usiłował wyrzucić z głowy wszystkie myśli, ale mu się to nie udawało. A może inni potrafili to zrobić, a tylko on nie posiadał takiej zdolności? Było to niepokojące. Z drugiej strony, czy istnieją ludzie, którzy myślą za mało? Jako dorosła osoba od czasu do czasu dochodził do wniosku, że osobiście zna kilku...

Zagwizdał na swojego psa, który wyskoczył z morskiej piany i stał przed nim, otrzepując się ze słonej wody, która pryskała na wszystkie strony.

— Siad — polecił. Barnaba usiadł posłusznie.

Pamiętał czasy, gdy psa udawało mu się nakłonić wyłącznie do jedzenia. Minęły całe lata, zanim nauczył się siadać na polecenie czy też przychodzić, gdy się go wołało. Dojrzały wiek to cała zagadka. Dojrzały wiek, i mądrość! Jeśli Barnaba miał, powiedzmy, dwa lata, gdy z nim zamieszkał — a to było siedem lat temu — to na psie lata oznaczało... sześćdziesiąt trzy. Mniej więcej tyle samo, ile jego pan. W takim razie to wcale nie był dojrzały wiek, zdecydowanie nie, tylko i wyłącznie mądrość.

Tak myśląc, wstał i pobiegł wzdłuż plaży, a jego pies podążał za nim susami.

Skęcili na ścieżkę, gdy Barnaba zatrzymał się i zawarczał niskim głosem.

Było już ciemno; pojedyncza latarnia paliła się na końcu ulicy. Zobaczył, że ktoś się do nich zbliża, spowity w cieniu, który rzuciła latarnia.

— Kto to? — zapytał. — Kto tam?

— Ojciec Kavanagh? Natychmiast rozpoznał głos.

— Tak?

— Przepraszam, że ojca przestraszyłem.

Mimo że postać się zbliżyła, Barnaba przestał warczeć. Prawdę powiedziawszy, jego ogon poruszał się powoli.

Biała koszula błyszczała jak perła.

— Miałem nadzieję, że będziemy mogli porozmawiać.

— Ja też na to liczyłem.

— Jeśli ma ojciec czas.

Ojciec Tim wyciągnął dłoń, podając ją w ciemnościach.

— Mój czas — odparł — należy do ciebie.

TLR